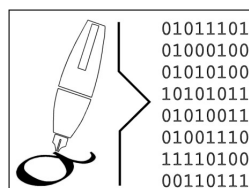


Graham Masterton

IKON

Przełożyli: Piotr Kuś, Maja Skorupska

Poznań 1991



Książka ta jest jedynie wytworem wyobraźni. Wszystkie postacie i wydarzenia w niej opisane są wymysłem autora, a jakakolwiek zbieżność z rzeczywistością żyjącymi ludźmi i prawdziwymi wydarzeniami jest wyłącznie dziełem przypadku.

„RINC” — Reduction In Nuclear Capability — (zwykle wymawiane — „rink”) to akronim wymyślony przez Biuro Połączonych Sztabów dla określenia rozmów toczących się obecnie pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Socjalistycznych Republik Radzieckich, mających na celu możliwie szeroką dwustronną redukcję zdolności do ataku nuklearnego.

„Przegląd Połączonych Służb”

Nr XVII, 1981

„Poleciliśmy naszym żołnierzom zdemontować [pociski] i zabrać je z powrotem do Związku Radzieckiego”.

Nikita Chruszczow

Październik 1962

„Może były i inne kobiety fizycznie tak piękne jak ona, lecz nie ulega wątpliwości, że w niej było coś więcej: wyróżniały ją kombinacja zadumy, tęsknoty i żywotności”.

Lee Strasberg

1962

Rozdział pierwszy

Szukał jej od tak dawna, przez dwadzieścia pustych i stresujących lat. Kiedy w końcu ujrzał ją, siedzącą w półmroku sali koktajlowej hotelu Arizona Biltmore, gdy zobaczył jej piegowate dłonie obejmujące szklankę dużej Mimozy, zakrztusił się lunchem. Aż musiał szybko wyjść do toalety, aby wypłuć na wpół przełkniętą firmową kanapkę. Stał tam z uczuciem triumfu i drażniącego niepokoju.

— Jezus znalazłem ją. Po tych wszystkich latach naprawdę znalazłem ją.

Nagle, patrząc w dół na swoje ręce oparte o brzeg umywalki, na ręce, które były o dwadzieścia lat starsze niż wtedy gdy zaczął jej szukać, pomyślał: „Mam jednak nadzieję, że to halucynacja. Jeśli to ona, będę musiał ją zabić. Oni żądają całkiem poważnie, żebym wrócił z jej głową. A poza tym, co będę robił przez resztę życia? Kto zatrudni człowieka, który przez dwadzieścia lat nie robił nic, tylko przemierzał Amerykę wzdłuż i wszerz, od deszczowej Filadelfii po styczniowe śniegi Oregonu, w poszukiwaniu jednej kobiety?

Wyszedł z toalety, drzwi zaskrzypiały głośno. Wciąż tam siedziała, sama, na jednej z tych niezgrabnych sof z lat dwudziestych, pod podzwaniającymi żyrandolami w stylu art-deco. Hotel Arizona Biltmore zaprojektowany został w połowie lat dwudziestych przez Franka Lloyd Wrighta. Wyzywająco nowoczesny, ulubione miejsce spotkań znanych i bogatych Ameryki Epoki Jazzu. Z solidnymi domkami z gotowych elementów w ogrodach kwiatowych, restauracjami o kasetonowych stropach, z fontannami w stylu deco i ręcznie tkanymi dywanami o geometrycznych wzorach. I właśnie tu ją znalazł, otoczoną tym całym dekadentckim splendorem — grubą (przynajmniej sto osiemdziesiąt pięć funtów) tak jak ją sobie wyobrażał, w liliowej, plisowanej, popelinowej sukience, o skórze jak mleko. Jej rudo-brązowe włosy z siwymi pasmami zaczesane były starannie do tyłu i podpięte grzebykami z dala od twarzy. Gdyby pozostała platynową blondynką albo farbowała włosy henną na rudo, zamaskowałaby się lepiej. On jednak zawsze był pewien, że gdy ją znajdzie, okaże się brunetką. I tak było. Na twarzy nie miała widocznych śladów po operacjach plastycznych. Dla każdego innego otyłość zmie-

niła ją na tyle, iż zabieg chirurgiczny stał się niepotrzebny. Dla każdego, lecz nie dla kogoś, kto spędził dwadzieścia lat swego życia na studiowaniu fotografii, rysunków i glinianych podobizn jej twarzy i głowy we wszystkich możliwych ujęciach i w każdym rodzaju oświetlenia. Jej opuchnięte oczy przypominały mongoidalne szparki. Dorobiła się głębokiego podwójnego podbródka. Prawdopodobnie uwierzyła, że gdy tylko powróci do swej zwykłej, pozbawionej uroku postaci z którą się urodziła, będzie bezpieczna. Nieznana, niechciana sierota, brzydkie kaczątko, którego nikt nie chciał zaadoptować. Brak przebiegłości zdradzał ją przez całe życie. Teraz zdemaskował ją znowu.

Usiadł naprzeciwko niej, całkiem blisko, zakładając jedną nogę na drugą, zapalił papierosa i ją obserwował. Nawet jeżeli to zauważyła, nie dała tego po sobie poznać. Sączyła swoją Mimosę, bawiła się złotą obrączką na serdecznym palcu i od czasu do czasu spoglądała w kierunku rozsuwanych drzwi prowadzących do trawników, bungalowów i olśniewającego blasku popołudniowego słońca; a raz uśmiechnęła się do trzyletniego, jasnowłosego angielskiego chłopca, który przebiegł obok niej, wołając mamusię. Smutny, uległy uśmiech, jaki posłałaby każda pięćdziesięcioletnia kobieta, bezdzietna, po trzech małżeństwach skazana na dalszą samotność, gdyż była uciekinierem przed zemstą daleko straszniejszą niż sprawiedliwość.

Kelnerka serwująca drinki właśnie rozpoczęła swoją zmianę. Podeszła do niego i zapytała, czego sobie życzy. Zastanawiał się chwilę i powiedział: — Bud i trochę orzeszków — głównie dlatego, że zamówienie piwa, tego staromodnego trunku baseballowych boisk, wydawało się stosowne przy takiej właśnie okazji. Może był to ukłon w kierunku Joe DiMaggio. Dziwił się, jak mogła to wszystko znosić, wiedząc że Joe DiMaggio kładł regularnie róże na grobie w Westwood. Przetarł oczy, zaciągnął się papierosem, a wspomnienia minionych dwudziestu lat wracały, wypełniając salę koktajlową jak grupa nieproszonych gości.

Nazywał się Henry Friend i zaczął jej szukać w dwa tygodnie i dwa dni po swoich trzydziestych ósmych urodzinach. Teraz miał pięćdziesiąt osiem lat. Był o dwa lata od niej starszy: naznaczony zmarszczkami mężczyzna, o oczach przymrużonych, jak przy uporczywych bólach głowy. Miał nos niczym ziemniak i zwisające luźno dłonie. Henry Friend nie miał przyjaciół, a z rodziny — tylko starszego brata w Bend, w stanie Oregon. Spędzał życie w hotelach, pensjonatach, przyczepach campingowych i schroniskach, czasami w ramionach wdów, dziwek lub samotnych żon, gdzieś na Środkowym Zachodzie, za wyblakłymi siatkowymi zasłonami w sypialniach. Palił Winstony, czytał „Playboya” i „Guns and Ammo” i dla pozy jeździł Fordem „Thunderbird Landau”, rocznik 1969. Prał swoje slipki w hotelowych umywalkach w proszku z małych torebeczek, przydzielanych gościom i rozmawiał sam ze sobą przed hotelowymi lustrami. Był kiedyś fachowcem (co jest dość łagodnym określeniem zawodowego mordercy), prawdopodobnie najlepszym ze swego pokolenia. Ale często zastanawiał się, czy po dwudziestu

latach jeszcze coś z tego mu pozostało. Rubinowy Jack powiedział mu kiedyś: „Możesz myśleć, że jesteś największy. Ale twój talent może zniknąć jednej chwili w jakiejś toalecie, na przykład kiedy będziesz mył swoje cholerne ręce”.

Rubinowy Jack. Henry ciągle uśmiechał się do siebie myśląc o Jack'u i jego trafnym pseudonimie. Rubinowy Jack, czyli Czerwony Jack. Czerwony jak krew. Przez te wszystkie lata nikt się nie zorientował, aż człowiek zastanawiał się co właściwie robili, zarabiając na życie, ludzie z FBI, oczywiście poza piłowaniem paznokci, chodzeniem na senackie przyjęcia i walką o gabinety z więcej niż jednym oknem. Pieprzony Jack.

Skończyła swoją Mimosę zbyt szybko, jak kobieta, która musi koniecznie się napić. Za chwilę będzie próbowała przywołać kelnerkę, żeby zamówić następnego drinka. Henry nie wiedział, że przychodziła tu zawsze o piątej po południu i wypijała trzy, czasami cztery kolejki, zawsze sama. Sama, po tym wszystkim co się wydarzyło. Była teraz grubą matroną w średnim wieku, wiodącą samotne życie w salonach piękności, życie wyznaczone nieudanymi dietami odchudzającymi i lekturą „The Price is Right”.

Odezwał się do niej głośno:

— Przepraszam, ale nie mogę tego nie powiedzieć. Pani przypomina mi kogoś.

Spojrzała w jego kierunku i zamrugała oczami. Jej umysł był skoncentrowany wyłącznie na przywołaniu kelnerki.

— Słucham? Czy pan mówi do mnie? — zapytała.

— Przepraszam — uśmiechnął się. — Nie chciałem pani przestraszyć. Ale przypomina mi pani kogoś. Aż nie mogę uwierzyć w takie podobieństwo.

Znowu spojrzała na niego tymi swoimi małymi szparkowatymi oczami. Podeszła do niej kelnerka i zapytała:

— Jak się pani miewa, pani Schneider? Czy mam przynieść jeszcze jedną Mimosę?

— Czy może pani zapisać jedną na mój rachunek? — zaproponował Henry.

Pani Schneider nic nie powiedziała, tylko spoglądała to na Henry'ego, to na kelnerkę, jakby podejrzewała, że coś się między nimi dzieje, że chcą sobie z niej zakpić.

— Śmiało, jeszcze jedną Mimosę. A dla mnie jeszcze jeden Bud — powiedział Henry.

Kiedy kelnerka podeszła do baru, wziął swoje piwo i usiadł obok pani Schneider, tak aby jej nie krępować, ale jednak dość blisko. Poczęstował ją Winstonem, ale potrząsnęła tylko głową.

— Rzuciłam palenie. Mój lekarz nalegał.

— Wygląda pani całkiem dobrze. Rzekłbym, wręcz kwitnąco.

Położyła rękę na piersiach.

— Muszę uważać na serce, to wszystko. Nic poważnego. Ale lepiej nie palić.

— Czy będzie pani przeszkadzało, jeżeli zapalę?

— Wolę, żeby pan tego nie robił.

Wsunął papierosy z powrotem do pudełka.

— W takim razie dobrze, nie będę.

Zapadło kłopotliwe milczenie. Pani Schneider spojrzała w kierunku rozsuwanych drzwi. Na zewnątrz, w upale, nakrywano stoliki rypсовymi obrusami i ustawiano jaszkrawożółte parasole na weekendowy Jarmark Wielkanocny. Boy hotelowy przeszedł z trzema wielkimi drewnianymi królikami pod pachą: zielonym, białym i czerwonym.

— Zostaje pan przez Święta? — zapytała Henry'ego.

— Nie wiem. To zależy. Chciałbym.

— Jest pan tutaj w interesach, prawda?

Przytaknął.

— Tak. Motorola — pokiwał głową potakująco.

— Domyśliłam się tego — uśmiechnęła się. — Jeżeli nie Mafia, to musi być Motorola. Dwa duże M w Phoenix. Mam nadzieję, że odbywa pan owocną podróż.

Odpowiedział twierdząco. I znowu cisza. Spojrzała na niego.

— Powiedział pan, że panu kogoś przypominam. Kogo?

— Nie wiem. To było dawno. Przynajmniej dziewiętnaście czy dwadzieścia lat temu. Nikt z nas nie staje się młodszy.

— Naprawdę pan nie pamięta? No, niechże mnie pan nie dręczy. Kogo?

— Przyjaciółkę? Może... — odpowiedział Henry. — Nigdy się nie ożeniłem. Myślę, że nie zostałem stworzony na męża, więc mieszkam różne takie... Ale zapewniam panią, wszystkie ładne.

— Ja sama jestem wdową — powiedziała pani Schneider.

Kelnerka przyniosła im trunki.

— Ja płacę — przypomniał Henry i położył dziesięciodolarowy banknot na tacy. — Reszta dla ciebie.

Pani Schneider wypila łyk szampana z sokiem pomarańczowym. Zamknęła oczy, kiedy szampan musując spływał jej do gardła. Potem powiedziała:

— Mój mąż był lotnikiem w bazie Air Force w Luke, wie pan, tam w pobliżu Litchfield Park. Latał na F-16, był majorem. Przystojny mężczyzna i dobry. Wie pan, ile mu płacili? Tysiąc siedemset dolarów miesięcznie. Majorowi po dwunastu latach służby! A jednego dnia wleciał prosto na zbocze White Tank Mountain i tak się to skończyło. Zostałam z domem, rentą z Air Force i niewielką kolekcją nieprzyzwoitych magazynów, które znalazłam w jego szufladzie ze skarpetami.

Henry skończył swoje pierwsze piwo i zaczął drugie. Przytaknął pani Schneider ze zrozumieniem, ale i z widocznym roztargnieniem, jakby słuchał historii jej życia po raz trzeci czy czwarty. Jednak w rzeczywistości cała ta opowieść była dla niego całkiem nowa, choć przecież wszystkie biograficzne detale, jakie mu podawała, były z pewnością sfabrykowane i starannie przeciwiczone w ciągu dwudziestu lat ukrywania się.

Dla Henry'ego nie miały już znaczenia. Nie była w stanie odwieść go od zadania, którego wypełnienie było tak blisko. Doprawdy, ten kawałek o sprośnych magazynach w szufladzie ze skarpetami całkiem mu się podobał. To przydawało majorowi Schneiderowi pewnej urojonej głębi, pewnej autentyczności. Ktokolwiek wymyślił dla niej ten właśnie drobny szczegół, był profesjonalistą.

— Nigdy nie pijam niczego innego, tylko Mimosę — odezwała się. — Jedynie czasami sam sok pomarańczowy. Kiedy piję za dużo, nie mogę brać moich pigułek nasennych, a kiedy ich nie mogę wziąć, wpadam w panikę. Wie pan, jak to jest, kiedy nie można zasnąć? Myśli galopują, pędzą aż do momentu, kiedy czujesz, jakby mózg miał się wypalić. Tak właśnie ze mną bywa każdej nocy, albo raczej tak byłoby, gdybym nie brała moich tabletek. Ciągłe, ciągłe to samo.

Henry zapalił i popatrzył na nią.

— Długo mieszka pani tutaj, w Phoenix? — zapytał.

— Od dziesięciu lat. Mieli zamiar wysłać nas do Wheeler na Hawajach, zanim Martinowi zdarzył się ten wypadek. Cieszyłam się na to. Nie wiem, czy Martin podzielał tę radość. Przedtem byliśmy w Myrtle Beach, w Południowej Karolinie. Tam raczej mi się nie podobało. Żony oficerów zadzierały nosa. Pozycja była wszystkim. Nikt nie spodziewał się po żonie majora, że odezwie się do pani pułkownikowej, chyba, że ta sama zacznie rozmowę; i żadna z nas — żon oficerów — nie rozmawiała z żonami podoficerów.

— Czy Luke jest bardziej przyjazne?

Klasnęła jedną białą, pulchną dłońią o drugą.

— Było i myślę że nadal jest. Ostatnio nie widuję zbyt wielu przyjaciół z Air Force. Wie pan jak to jest. Teraz, kiedy Martin odszedł, nie wydaje się, żeby to miało większy sens. Co mnie obchodzi, że pułkownik Bickerstaff uważa kapitana Willisa za kretyna, albo że major Hodges pieprzy panią Bickerstaff co srode w motelu „Mesa” przy Indian School Road?

Henry skrzywił się.

— Pewnie, co to panią obchodzi?

Zapanowała cisza, lecz Margot Schneider ciągle nie była odprężona. Sprawiała wrażenie tak spiętej i poruszonej, że był prawie pewien, iż za chwilę zmieni zdanie i poprosi go o papierosa.

— Czy ma pan zegarek? — nagle chciała wiedzieć.

— Dziesięć po.

— No to jeszcze wcześniej — stwierdziła, choć nie powiedziała w odniesieniu do czego jest wcześniej. Do pory obiadowej? Do pory snu? Do zmierzchu? Do końca świata? — Nie powinien mi pan pozwalać na zawracanie sobie głowy — dodała. — Musi pan być bardzo zajęтым człowiekiem.

— Wcale mi pani nie zawraca głowy — odparł spokojnie. — Nie mam żadnych spotań aż do jutra.

— Tak? No, nie ma tu, w Phoenix, nic ciekawego do roboty. Ciągłe jeszcze jesteśmy typowymi ludźmi Zachodu. Jemy wcześniej, kładziemy się spać wcześniej. Zdrowi, za-
możni i mądrzy jak diabli.

— To dobry pomysł. To znaczy, wcześniej pójść do łóżka — to mam na myśli.

Spojrzała na niego z ukosa. Znowu wypięła mały łyk MIMOZY, szybko, jak ktoś, kto myśli o czymś więcej niż tylko o piciu. Opanowanie Henry'ego wyraźnie ją niepokoiło. Nie powiedział jednak, ani nie zrobił niczego, co dałoby jej pretekst, aby się go pozbyć. Po chwili zapytała:

— Co pan właściwie tu robi, do diabła?

W tym momencie przekonał się ostatecznie, że znalazł właściwą kobietę. Żadna inna nie odezwałaby się tak; żadna prawdziwa wdowa z Zachodu nie rzuciłaby tego pytania z taką arogancją, będąc jednocześnie pewną, że się na nią nie obrazi. Odwróciła się, żeby spojrzeć na niego. Wyraz jej twarzy dowodził, że nie czuła niechęci do niego, że nie miała zamiaru go urazić. Ona po prostu wypowiadała na wpół zapomniane kwestie z jakiegoś na wpół zapomnianego filmu.

— Pracuję — powiedział. — Jestem sprzedawcą. Sprzedaję półprzewodniki.

— Nie to miałam na myśli — rzuciła niecierpliwie. — Wcale nie to miałam na myśli. Zastanawiam się po prostu, co pan robi tutaj, teraz, rozmawiając ze mną?

— Podoba mi się pani — odparł Henry bezbarwnym głosem. Bezbarwnym, ale jednak dziwnie zaczepnym.

— Podobam się panu?

— Podoba mi się pani wygląd. Nie sądzi pani, że moglibyśmy gdzieś razem pójść?

Przyglądała mu się uważnie.

— Co pan rozumie przez „gdzieś”?

— Tu jest tak jakoś oficjalnie. Nie sądzi pani?

Nagle roześmiała się głośno.

— Przystawia się pan do mnie. Czyż nie?

Henry udawał, że jest zakłopotany. Opuścił wzrok i niby to bezradnie, jak nastolatek ze szkoły średniej, wzruszył ramionami.

— Tak, pan naprawdę się do mnie przystawia — uśmiechnęła się.

Po chwili znowu się roześmiała. — Nie mogę uwierzyć, pan naprawdę mnie podrywa!

— Nie chciałbym być bezczelny — powiedział Henry. — Ale to dlatego, że tak bardzo przypomina mi pani... Sam nie wiem. Nie mogę przypomnieć sobie, kogo. Ale pani wygląda jak gwiazda filmowa. Ma pani tę charyzmę, ten dziwny rodzaj magnetyzmu.

Pogładziła swoje włosy.

- Zawsze mi mówili, że mam to w sobie. Zawsze.
- Kto mówił? — zapytał Henry.
- Wszyscy. Martin. Moi przyjaciele. Po prostu prawie wszyscy.
- No pewnie — Henry kiwnął głową.

Po dziesięciu minutach opuścili hotel Biltmore i wyszli w blask słońca. Według radia temperatura w Sky Harbor wynosiła dziewięćdziesiąt siedem stopni Fahrenheita. Pachniało upałem i kurzem. Henry rozłożył okulary słoneczne o pomarańczowych szklach i starannie umieścił je na swoim bulwiastym nosie. Pani Schneider osłoniła twarz przed słońcem białym kapeluszem z dużym rondem.

- Może weźmiemy mój samochód? — zaproponował.

Był to ciemnoniebieski Oldsmobile, wypożyczony z „Avis”, zaparkowany pod drzewami po drugiej stronie parkingu. Każdy kto zobaczył tych dwoje wsiadających do niego, uśmiechających się i kiwających jedno do drugiego, wycofujących się powoli z parkingu, spokojnych i ostrożnych, pomyślałby że są oni świeżo emerytowaną parą, członkami klubu golfowego, jadącymi właśnie do domu, aby uciąć sobie drzemkę po zaliczeniu dziewięciu dołków w gorącym porannym słońcu i po meksykańskim lunchu w klubie „Adobe”. Podawali tam dobre empanady i równie dobre żeberka.

- Niech pan skręci w prawo — powiedziała — w 24 Ulicę, a potem jeszcze raz w prawo, w Lincoln.

Henry uśmiechnął się. Prowadził z przesadnym spokojem i ostrożnością. Ostatnią rzeczą, której by sobie teraz życzył, było zwrócenie na siebie uwagi, albo — co gorsza — wmieszanie się w jakiś wypadek drogowy. Jutro po południu osobiście odda samochód w biurze „Avis” w Międzynarodowym Porcie Lotniczym w Los Angeles i jego alibi będzie polegało na tym, że nie mógł przejechać całej tej drogi z Arizony do Los Angeles, będąc tutaj, w Phoenix, z panią Schneider.

- Mieszka pan w Los Angeles? — wyrwała go z rozmyślań.
- Tak. Mam mały kawalerski domek przy 6 Ulicy.
- Ja mieszkałam kiedyś w Brentwood.
- Doprawdy? Dwadzieścia czy trzydzieści lat temu to były strony gwiazd filmowych, nieprawdaż? Czy pani mąż był tam oddelegowany?

Nie odpowiedziała. Popatrzyła przez okno samochodu na zakurzone pobocze, w oddali widniała Camelback Mountain. Henry dotknął jej ręki i powiedział:

- Niech się pani za bardzo mną nie przejmuj. Jestem starym fanem Hollywood i to od dawna. Greta Garbo, Bette Davis, Marilyn Monroe, Jayne Mansfield. Kochałem je wszystkie. Kochałem je.

Dotarli do miejsca na 24 Ulicy, w którym stykała się z Lincoln Drive.

- Jeszcze nie powiedziała mi pani, jak ma na imię. Jeśli mamy zostać przyjaciółmi... — odezwał się Henry.

Uśmiechnęła się, ale nie do niego.

— Margot — powiedziała — Margot Schneider.

— Ach, Margot — Henry poczekał, aż miejski autobus przejechał obok niego, a potem skręcił w prawo, w Lincoln Drive, w kierunku Paradise Valley. Droga wznosiła się w górę — gładka, gorąca i zakurzona. Daleko na prawo wysokie budynki centrum Phoenix falowały w gorącym powietrzu późnego popołudnia: Convention Center, Compensation Fund, gmach Radia KOOL. Henry czuł się tak wysuszony jak jaszczurka Gila w wiwarium, złapana w pułapkę w pełnym słońcu. Wyjął papierosa i wcisnął samochodową zapalniczkę, ale kiedy Margot Schneider spojrzała na niego z boku z wyrzutem, pozwolił zapalniczce wyskoczyć, a sam posłusznie odłożył papierosa.

Mieszkała w parterowym domku przy Oasis Drive, w ekskluzywnej podmiejskiej dzielnicy, na wschodnich stokach Phoenix Mountains. Poniżej werandy rozpryskiwacze wody zwilżały jasnozielony romb trawnika. Wiatr wył i wydzwaniał blachą okapu, obwieszczając, że nie ustanie już na Oasis Drive do końca dnia. Pani Schneider poprowadziła Henry'ego w górę do drzwi frontowych ze szlifowanego szkła, wzmocnionego pozłacanymi różami z kutego żelaza. Dom miał numer 62, co wydało się Henry'emu cholernie na miejscu.

— Miło tu — zauważył, kiedy otwierała drzwi. — A jacy są twoi sąsiedzi?

— Spokojni. Millerowie obok są naprawdę kochani. On prowadzi butik z akcesoriami do łazienek w Scottsdale, „Tub Time”. Korgowie z naprzeciwka są też w porządku. On pracuje w Mountain Bell.

— Co robią ich żony?

— Och — wzruszyła ramionami — wychowują dzieci i oglądają „As the World Turns” w telewizji.

— Ja sam jestem fanem „Guiding Light” — uśmiechnął się Henry.

Wprowadziła go do domu. Najpierw weszli do dużego, pomalowanego na biało salonu, ze spadzistym stropem i dębowym kominkiem. Na ścianach wisiały podobizny amerykańskich Indian, autorstwa Barrie Tinklera. Brudnobiały zmierzwiony dywan wymagał już czyszczenia. Pod ścianą stała imitacja konsoli w stylu Ludwika XIV oraz para krzeseł, też imitacja ale Chippendale'a. Henry dostrzegł również w odległym kącie pokoju mały stolik na wrzecionowatych nogach, który najbardziej go zainteresował. Stało na nim kilka czarno-białych fotografii, oprawionych w srebrne ramki. Pani Schneider w dwunastym roku życia, major Schneider z żoną w trzecią rocznicę ślubu. Ich suczka — Natasza. Państwo Schneider w Myrtle Beach. Henry wziął do ręki fotografię przedstawiającą majora Schneidera, człowieka o doskonałym profilu, stojącego z pewnością siebie obok spiczastonosego F-16 i podziwiał troskliwość i dbałość, jakie zostały włożone w stworzenie nowego życia pani Schneider.

— Twój mąż był przystojnym mężczyzną. Jak mówiłaś, kiedy go poznałaś?

— Nie mówiłam ci. Ale było to w grudniu 1950 roku.

— Acha, w grudniu 1950. To wtedy, kiedy kręcili „As Young As You Feel”.

Zdejmując swój biały kapelusz, zamarła nagle.

— Co?

— Mówiłem ci — Henry uśmiechnął się. — Zawsze byłem fanem kina. Filmy i seria-
le. Widziałaś „Rzekę bez powrotu”?

Spojrzała na niego z ukosa tymi osadzonymi głęboko w grubych poduszkach policz-
ków oczami.

— Nie — powiedziała. — Nigdy tego nie oglądałam. Czy puszczali to w „Midnight
Movie”?

— Być może, chyba tak.

Znowu zapanowała cisza. Usłyszeli jakiś odległy dźwięk syreny. Wówczas Margot
Schneider zapytała:

— Miałbyś ochotę na drinka? Nie mam piwa.

— Wszystko będzie dobre. Whisky czy wino, ty zaproponuj.

— Mam Stag’s Leap Riesling z Napa Valley.

— OK, Stag’s Leap Riesling będzie doskonały.

Usiedli na tarasie i pili wino, które dla Henry’ego było za zimne i za słodkie. Zrobi-
ło się już późne popołudnie i podczas gdy słońce obniżało się na zachodzie, gdzieś nad
Yuma County, góry wypełniały się połamanymi cieniami. Margot powiedziała:

— Ja sama nigdy za bardzo nie lubiłam filmów.

— Nie polubiłaś tego czaru?

Skrzywiła się lekko.

— One nigdy nie były do końca olśniewające. Wyglądały tak, to prawda, ale człowiek
jest ostatecznie tylko człowiekiem. Czy myślisz, kiedy widzisz na ekranie jedną z tych
filmowych gwiazd, że ona czasami choruje albo miewa bóle głowy, albo bolesną mie-
siączkę, albo bywa przerażona na śmierć, ponieważ nie wierzy, że zagra naprawdę do-
brze? Nie myślisz o tym wszystkim, prawda? Ale tak jest.

Henry patrzył na nią uważnie.

— Pewnie — zgodził się po chwili. — Myślę, że tak rzeczywiście musi być.

— Tak jak mój mąż — Margot kontynuowała. — Nigdy nie rozumiał, że ktoś inny
może być słabszy od niego, że ktoś mógłby sądzić, że sobie z czymś nie poradzi. Mówił
że rozumie, no pewnie, ale w głębi duszy nie mógł pojąć, ponieważ on był przygotowa-
ny do tego, aby radzić sobie z całym światem, a ja nie. No, ale teraz muszę. Chociaż sa-
motnie przez większość czasu.

Wygładziła sukienkę, a potem spojrzała na Henry’ego i uśmiechnęła się do niego
z zakłopotaniem, przepraszająco.

— Ale ty nie chcesz słuchać o mnie. Nie jechałeś tutaj przecież, tak daleko, aby być

obarczonym czyimiś problemami.

— Przeciwnie — powiedział Henry. — Słucham cię z przyjemnością. Myślę, że jesteś jedną z najbardziej interesujących kobiet, jakie kiedykolwiek spotkałem. Szukałem kobiety takiej jak ty bardzo, bardzo długo.

— Chciałbyś coś zjeść? — zapytała go nagle. — Mam w zamrażalniku pizzę z papryką.

— Nie, nie jestem głodny — odparł. — Wszystkie te służbowe lunche odkładają się w człowieku. Zapychają organizm w krótkim czasie. Pozostanę tylko przy winie.

— W takim razie, czy nie będziesz miał nic przeciwko temu, że przebiorę się w coś wygodniejszego?

— Oczywiście, że nie. Zrobię sobie drinka, jeśli pozwolisz.

Weszła do domu, odwracając się na moment w drzwiach, aby rzucić mu spojrzenie, o którym musiała sądzić, że jest uwodzicielskie. Henry został sam. Wolno sączył wino i obserwował odległy odrzutowiec wojskowy, połyskujący jak igła na ciemnoniliowym niebie. Potem sięgnął do kieszeni i wyjął czarny winylowy portfel, który położył na stole oraz parę chirurgicznych jednorazowych rękawiczek z gumy. Zagwizdał przez zęby „Some Day I’ll Find You”.

Z wnętrza domu usłyszał nagły dźwięk telewizora nastawionego na KPHO: „Stan pogotowia w związku z burzą piaskową pomiędzy Gila Bend i Yuma na autostradzie... jeśli zauważysz gęsty pył zbliżający się do autostrady to nie wjeżdżaj na ten obszar... zjedź z drogi tak daleko jak to tylko będzie możliwe i zatrzymaj się, gasząc światła...”

Odpiął klapkę portfela i wyciągnął zwiniętą piłę — dwie stopy drutu z doskonałej stali, z ostrymi zębami, z czarnymi drewnianymi rączkami na obu końcach. Wyglądała jak garota z ząbkowanym brzegiem. Naprężył ją i wydała nieomal przyjemny dla ucha metaliczny dźwięk. Kupił ją w staromodnym sklepie z artykułami żelaznymi w Rumney Depot w Vermont. Właściciel zapewniał go, że przecięłaby sześciocalową gałąź amerykańskiego białego orzecha, tak jak drut przecięłby ser.

Skończył swój kieliszek wina z grymasem nieuświadomianej niechęci na twarzy. Potem ostrożnie wsunął palce w rękawiczki, naciągając je mocno na dłonie. Czuł swój puls, uderzający w tym regularnym, prawie zapomnianym już rytmie, rytmie, w którym uderzał zawsze, gdy Henry przygotowywał się do morderstwa. Minęło już dwadzieścia lat, ale odczuwał znów to samo. Uczucie chłodnego, kontrolowanego podniecenia. Narastające poczucie siły.

W dawnych czasach nazywali go „Gentleman Henry” z powodu jego opanowania. Niewielu z nich kiedykolwiek zrozumiało, jakiej natury wymagało zabicie człowieka na rozkaz. Specjalizował się w zabijaniu z zemsty: w zadaniach, w których klient wymagał, żeby ofiara cierpiała i żeby to się dokonało we właściwy sposób. Po zakończeniu roboty zdawał rzeczowy raport z tego, co zrobił. Opowiadał o tym, jak ofiara błagała o litość,

mimo że większość jej wnętrzości była już w pokoju obok. Jak krzyczała i płakała. Ciekawe, czy klienta nigdy nie podnosiły się, żeby napotkać jego wzrok. Pieniądze przesuwały się po stole bez wymiany choćby jednego spojrzenia. Henry doszedł do wniosku, że prawie wszyscy unikają zabijania, nawet przez pośrednika. I przed dwudziestu laty podniósł swoją cenę do pięciu tysięcy dolarów za zlecenie. W następnym tygodniu wykończył w Pittsburghu mężczyznę przy pomocy elektrycznej wiertarki Boscha, wierząc pięć dziur w jego czaszce. Nigdy nie słyszał, żeby ktoś tak wrzeszczał ani przedtem, ani potem. Nigdy też nie miał nocnych koszmarów z tego powodu.

Wylał swój kieliszek do czysta miękką lnianą chusteczką do nosa. Przetarł też poręcz fotela i wszystkie inne powierzchnie, których mógł dotykać. Nie miało sensu mycie kieliszka i bezcelowa byłaby próba zaaranżowania wszystkiego tak, jakby Margot umarła przypadkowo albo jakby popełniła samobójstwo. Nikt nie mógł zrobić przypadkowo tego, co Henry miał za chwilę zrobić z Margot i nikt nigdy nie byłby w stanie zrobić tego sam sobie. Wstał i skierował się do drzwi patio, ciągle napinając pilę. Przystanął na chwilę, nasłuchując, potem wszedł do środka.

Wzięła szybki prysznic, a teraz siedziała w swojej sypialni, szcotokowała włosy i podśpiewywała wesoło. Henry nie uważał, żeby zabijanie szczęśliwych ludzi było choć trochę trudniejsze od zabijania ludzi złych, przerażonych czy też żalosnych. W gruncie rzeczy więcej satysfakcji sprawiała mu śmierć szczęśliwych.

Wszedł bez pukania. Brudnobiały dywan był miękki i cichy, tłumił więc odgłos jego kroków. Telewizja pokazywała reportaż o rozwścieczonych rodzicach, którzy pikietowali szkołę w Flagstaff. W sypialni stało ogromne łóżko z białą, pikowaną ałasową narzutą i białymi draperiami. Przy łóżku leżał biały telefon i butelka nembutalu. Drzwi łazienki były jeszcze uchylone i Henry zobaczył rzeczy Margot rozrzucone na podłodze. Popelinowa sukienka, majtki i jeden porzucony sandał.

Margot siedziała przed białą toaletką w stylu rokoko, w białym satynowym płaszczu kąpielowym, z dużą srebrną gwiazdą naszytą na plecach. Robiła do siebie miny, malując usta pomadką o ostro różowym kolorze. Henry pomyślał: „To pozostałość z minionych czasów. Takiej szminki mogłaby używać tylko blondynka”. Stanął tuż za nią, zaledwie o kilka cali, i dopiero wtedy skupił wzrok na jego odbiciu w lustrze i zdała sobie sprawę z jego obecności.

— No więc — powiedziała, nie odwracając się. Zamknęła pomadkę i sięgnęła po róż.
— Gdybym wiedziała, że jesteś facetem, który lubi wkradać się do damskiej sypialni...

— To co byś zrobiła? — zapytał.

Serce ciągle uderzało w tym równym, zdecydowanym rytmie, ale głos miał lekki, rozbawiony. W telewizji rozwścieczony rodzic mówił: „Nie pozwolę, żeby moje dziecko uczyło się razem z chuliganami, podżegaczami i głupimi Indianami, to wszystko. Moje dziecko ma prawo do edukacji takiej, jaką ja miałem”.

- Nie wiem — odparła. — Być może nie zaprosiłabym ciebie do domu.
- Wiedziałem że mnie zaprosisz, od chwili kiedy cię ujrzałem — powiedział.
- Ach, tak? — jej głos był trochę ostrzejszy.

— Nie zamierzałem cię obrazić — usprawiedliwiał się. — Nie myślałem, że wyglądasz na tanią czy łatwą, czy nawet szczególnie samotną. Ale wiedziałem, jakie posiadasz cechy. Cechy gwiazdy, wiesz o tym? Jesteś gwiazdą, na swój własny sposób.

- Chciałabym nią być.
- Musisz mi uwierzyć — powiedział Henry.

Uniosł elastyczną piłę za jej plecami. Jego ręce, mocno ściskające dwa drewniane uchwyty, rozciągnęły ostrze tak, że aż się naprężyło. Margot Schneider nałożyła róż, potem zacisnęła usta i patrzyła dalej na siebie w lustrze tak, jakby nie była zadowolona z wyglądu swojej twarzy.

— Powinnam trochę schudnąć, prawda? Ale to bardzo trudne, kiedy człowiek nie ma nikogo, dla kogo by się odchudzał.

- Dlaczego nie zrobisz tego dla mnie? Jestem tak samo dobry jak każdy.

— Nie sędzę, żebym po dzisiejszym dniu jeszcze kiedykolwiek ciebie spotkała. Tacy wy wszyscy jesteście. Pożądliwi, przemęczeni, zestresowani. Wszystko, czego potrzebujecie to jednego wieczoru przyjemności. Potem wracacie do swoich żon.

Podczas gdy Margot grzebała w szufladzie swojej toaletki, Henry podniósł piłę wyżej, o kilka cali nad jej głowę.

— Jestem taka nieporządna — mówiła. — Powtarzali mi to, kiedy byłam małą dziewczynką, wiesz? Nigdy nie mogę niczego znaleźć.

— Podnieś głowę — powiedział Henry. — Spójrz w lustro na siebie. A teraz, co powiesz o kobiecie, która tak wygląda mając pięćdziesiąt sześć lat?

Margot Schneider jeszcze przez chwilę przebierała w szufladzie, a potem zamarła. Henry widział, jak napinają się mięśnie na jej karku. Wydawało się, że upłynęła cała minuta, zanim przemówiła, a kiedy to zrobiła, zabrzmiało to tak, jakby odezwał się ktoś całkiem inny, ktoś przestraszony i mały.

- Wiesz kim jestem, prawda? — wyszeptała.
- O co ci chodzi? Jesteś Margot Schneider. Tak mi powiedziałaś.
- Powiedziałaś: pięćdziesiąt sześć lat. Skąd wiesz, że mam tyle?
- Ty mi to powiedziałaś.
- Nigdy nic takiego nie mówiłam. Zawsze mówię, że mam pięćdziesiąt jeden.

— No, to nie wiem — odrzekł Henry. Bardzo się starał, żeby jego głos brzmiał naturalnie i modlił się prawie o to, aby się nie odwróciła, nie zobaczyła go stojącego tuż za nią z tą cienką stalową piłą uniesioną w zaciśniętych pięściach.

Margot zaczęła wyrzucać z siebie żale.

- Czy nie dość dałam? Nigdy nie miałam niczego, z czym mogłabym zacząć. Czy nie

dość dałam? Na miłość boską, wy zabraliście mi wszystko.

— Słuchaj, Margot...

— Nie kłam — szeptala. — Naigrywałeś się ze mnie przez całe popołudnie, prawda? Hollywood, filmy, „Rzeka bez powrotu”. A ja byłam wystarczająco tępa, żeby nie zrozumieć.

— Margot, uwierz mi, nie myślę, że jesteś kimkolwiek innym niż Margot Schneider. Dlaczego miałbym tak sądzić? — zapytał tonem zaskakującym nawet jego samego dlatego, że brzmiało to tak szczerze.

Mijały sekundy. Jeden z rodziców w telewizji rzucił: „Jeśli potrzebują zwierząt doświadczalnych, niech używają świnek morskich. Nie będą wykorzystywać moich dzieci”.

I wtedy, jakby domyśliła się, co ma się stać i jak gdyby postanowiła przyjąć to z godnością Joanny d’Arc, Margot podniosła głowę i spojrzała na swoją twarz w lustrze. W tej chwili, dopiero w tej ostatniej chwili, wyglądała dokładnie tak, jak zawsze wyglądała na swoich fotografiach — z szeroko otwartymi oczami, zdziwiona, przerażona wszystkim.

W tym momencie Henry Friend szybkim ruchem przesunął piłę w dół przed jej twarzą i ściągnął ją ciasno na jej gołej szyi. Był tak szybki, że nie miała nawet czasu na nabranie wystarczającej ilości powietrza, aby krzyczeć. Wydała tylko wysokie wewnętrzne tchnienie. Henry przesunął piłę mocno na prawo, a potem jeszcze raz w lewo, przecinając białą skórę, silne mięśnie po obu stronach szyi i włóknistą tkankę, w której biegły tętnice, żyły i nerw błędny. Jęknął z wysiłku i przerażenia, a potem wykonał ostatnie cięcie w prawo i ostrze przeszło lekko przez chrząstki pomiędzy kręgami szyjnymi. Jej głowa stoczyła się z ramion i z głuchym odgłosem upadła na toaletkę pomiędzy grzebienie i kosmetyki.

Krew tryskała obficie z otwartej szyi, plamiąc lustro i ścianę do połowy wysokości. Ciało ciężko runęło na podłogę, ciągle pompując litry lepkiej cieczy na biały dywan i narzutę. Jedna noga szarpnęła się i niespodziewanie zrzuciła ozdobiony futerkiem atłasowy pantofel.

Henry potrzebował czasu, żeby się pozbierać. Wpatrywał się w podłogę, nie mogąc spojrzeć na głowę, która spokojnie leżała na toalecie. Zbryzgana krwią, wyglądała wciąż jak żywa. Odbierała mu trochę odwagi, jak gdyby oczy Margot mogły nagle odwrócić się i spojrzeć na niego, a usta wydać głos.

— O Jezu — zajęczał.

Cały się trząsł. Chyba stracił zimną krew. Po dwóch czy trzech minutach odwrócił się i poszedł do łazienki. Była jeszcze wypełniona parą i pachniała po kąpieli Margot. Umył piłę pod kranem w kabynie prysznica. Lustro było zbyt zaparowane, żeby mógł ujrzeć swe oblicze. Wszystko, co mógł rozpoznać, to rozmazana różowa twarz, nieokreślone monstrum z przeszłości, które lepiej, aby było zapomniane, ekto plazma ludzkich kosz-

marów nocnych. Krew kolicie opasała brodzik, odpływając w dół.

Zwinął piłę z dokładnością profesjonalisty. Potem wyszedł z łazienki, zamykając za sobą drzwi. Przeszedł przez sypialnię, celowo odwracając wzrok od toaletki. W kuchni znalazł pod zlewem duży plastikowy worek na śmieci. Zdarł zakrwawione rękawiczki i wrzucił je do worka. Na moment zamknął oczy, jak człowiek który ma migrenę. Ale musiał to zrobić.

Wrócił do sypialni, niosąc worek. Zmusił się do tego, żeby podejść prosto do toaletki i spojrzeć w dół na głowę Margot. To nie krew tak go denerwowała. Krew to nie był problem. Krew była częścią jego pracy. A jednak głowa Margot okropnie go irytowała. Nie był pewien, dlaczego. Może dlatego, że tak naprawdę ona była martwa, pogrzebana już od dwudziestu lat i podczas gdy mogło mu się udać zabić jej ciało, jej duch przeżył jakoś tę egzekucję nietknięty, tak jakby Henry nie zrobił nic więcej ponad obcięcie głowy woskowej lalce. Jej życiowa siła, legenda pozostały nienaruszone. Ten niewytłumaczalny blask, który sprawiał że wydawała się większa i daleko bardziej fascynująca niż w istocie była — ten blask ciągle bił. Zabił ją, lecz ona ciągle żyła. Dla Henry'ego nie było to zabójstwo jak za dawnych lat. To za bardzo przypominało hollywoodzkie *voodoo*, Sharon Tate, Jayne Mansfield czy Anton Levey. To było zbyt podobne do „Helter — Skelter”.

Spojrzał na głowę, na słoiczki z kosmetykami. Wiedział, że i on był skazany na zagładę. Dwadzieścia, dwadzieścia lat jego życia po to, aby odkryć, czym jest zagłada.

Ostrożnie podniósł czerep i wrzucił do zielonego worka. Jego żołądek przechoziołkował, ale udało mu się utrzymać w nim wino. Ostatni raz rozejrzał się po sypialni, powoli i rozważnie, upewniając się, że nie zostawia niczego, co mogłoby go zdradzić. Kiedyś, w Marion, zostawił krawat w paski w damskiej szafie i ta chwila nieuwagi kosztowała go szesnaście dni więzienia i osiem tysięcy dolarów dla adwokata Mafii. Mogło go to kosztować życie.

Było już prawie ciemno, kiedy zamknął za sobą drzwi i przeszedł przez podjazd do swojego samochodu. Otworzył zamek bagażnika i ułożył worek starannie na wierzchu koła zapasowego tak, żeby pozostał na swoim miejscu na zakrętach. Rozciągnął na nim pled w szkocką kratę, tak na wszelki wypadek. Potem szybko wsiadł do samochodu, zapuścił silnik i pojechał z powrotem w dół Oasis Drive, bez świateł. Po paru chwilach pędził wzdłuż Lincoln Drive w kierunku 24 Ulicy, z której skręci w lewo do portu lotniczego Sky Harbor.

Sposób ucieczki był prosty. Został przygotowany wiele lat temu, gdy po raz pierwszy zaczął sięgać dalej, poza Kalifornię. Henry zaparkuje Oldsmobila na parkingu portu lotniczego. Odkręci tablice rejestracyjne i zedrze charakterystyczne naklejki. Wtedy, z terminalu, zatelefonuje do swoich ludzi w Los Angeles i powie im, co zaszło. Kiedy on będzie wsiadał do samolotu w Phoenix, identyczny samochód zostanie wypożyczony z biura „Avis” w Los Angeles i do czasu, zanim Henry przyleci do tego miasta, nowy po-

jazd będzie czekał na niego bez tablic rejestracyjnych na parkingu lotniska w Los Angeles. Henry przymocuje do niego tablice samochodu, który wynajął w Phoenix i zgłosi się do biura „Avis”; nie omieszka wspomnieć żeńskiej obsługi biura, jak ciężka była jazda z Arizony. „A te kurzawy...!” Wspólnik, który wynajął samochód w Los Angeles poleci do Phoenix z jego tablicami, przykręci je do pierwszego samochodu Henry’ego i potem natychmiast pojedzie nim do Las Vegas i tam go zwróci.

Ta zamiana nie zostanie odkryta, aż do momentu, kiedy jeden albo drugi samochód pójdzie do przeglądu. Prawdopodobnie nawet i wtedy mechanicy nie będą się trudzić sprawdzeniem numerów pojazdu.

Henry włączył radio, jadąc 24 Ulicą na południe, w kierunku lotniska. Na tle wieczornego nieba, po obu stronach drogi rysowały się juki, jak wycinanki z czarnego papieru. Zapalił papierosa. Ręce mu drżały. Czas robił swoje. Dwadzieścia lat to o wiele za długo. Czuł się jak średniowieczny żeglarz, sędziwy, z brodą, zdesperowany, który nagle dotarł na skraj świata.

Rozdział drugi

Daniela obudziło głośne uporczywe mruczenie, przypominające odgłosy kota, jedzącego poranną rybę. Otworzył oczy i zamrugał, patrząc na skąpany w słońcu ceglany sufit.

Przez blisko minutę zastanawiał się, gdzie jest i w jakiej epoce. Pomyślał: „Buck Rogers musiał się czuć podobnie, gdy zbudził się z dala od wypełnionej gazem kopalni w Pittsburghu i odkrył, że znajduje się w dwudziestym piątym wieku. Gdzie ja jestem, kim jest kobieta leżąca obok mnie i dlaczego ona chrapie tak głośno?”

Miała miedzianorude włosy, ale włosy to było wszystko, co Daniel mógł w tej chwili zobaczyć. Wydawało mu się, że pamięta jej imię — Cara. Przynajmniej tak mu powiedziała. Autostopowiczki rzadko mówiły prawdę i było to niepisane prawo. Wystarczyło, że były zabawne albo seksy, albo takie i takie jednocześnie. Cara z Południowej Dakoty, jadąca na wybrzeże. Daniel był kiedyś w Południowej Dakocie, grając w zespole „Treble Clef Club” w Rapid City i nie uważał jej historii za niewiarygodną. Wszystko do czego Południowa Dakota była dobra, jak się zdążył zorientować, to do ucieczki z niej.

— Hej — powiedział, delikatnie potrząsając jej ramieniem.

— Mmmm....? — zamruczała, przeciągając się.

— Chrapiesz.

Mocowała się z prześcieradłem owiniętym wokół niej.

— Nie chrapię, gdzie tam — zaprzeczyła, nie otwierając oczu. — Damy nigdy nie chrapia.

— Ach, nie? Czym jest więc ten mrukliwy odgłos, który wydajesz?

— Głębokim oddychaniem — powiedziała. — A teraz pozwól, że podłapię jeszcze trochę snu, dobrze? To jeszcze nawet nie świt, na miłość boską.

Daniel przechylił się i spojrzał na nią.

— Jest szósta piętnaście — oznajmił. — Muszę otworzyć o siódmej.

Doszedł do wniosku, że nadal posiada całkiem dobry gust, jeśli chodzi o kobiety. Miała twarz o wyrazistych rysach, białą skórę, duże piersi i te szerokie krągłe bio-

dra, które zawsze przypominały mu dziewczyny z farm. Zadziwiające było, jakie kobiety można spotkać na autostradzie pomiędzy Superior a Phoenix w gorący czwartkowy wieczór, a właściwie nawet w każdy inny wieczór. Absolwentki Vassar, kobiety-kierowców ciężarówek, stare prostytutki, altowiolistki, aktywne feministki, hazardzistki-naciągaczki... a teraz Cara.

Nadal chrapała, głęboko i nisko, ale tak prawdę mówiąc, Daniel nie powinien się na to skarżyć. Minionej nocy, po wyjściu ostatniego gościa, pomogła mu posprzątać, a potem słodka i w świetnym humorze pod wpływem dobrego, czerwonego wina i płyty Bruca Springsteena, baraszkowała z nim w pościeli z taką radością, energią i nieskrępowaną namiętnością, że musiał panować nad sobą z całych sił, żeby nie wydać, ze zwykłej radości, swojego słynnego buntowniczego ryku, od którego drżały szyby. Tego ranka jego plecy i uda były tak podrapane, jakby wczoraj przedzierał się przez jeżyny, a usta bolały go, jakby ktoś ścisnął mu je w dużej prasie do wyciskania czosnku.

Wylazł niezdarne z łóżka, aż zaskrzypiały głośno sprężyny. Jego dżinsy i podkoszulki leżały zmięte na gołej podłodze i wyglądały tak, jakby wyskoczył z nich zeszłej nocy nawet ich nie rozpinając. Wielki budzik z Myszką Miki, stojący na biurku, wskazywał szóstą dwadzieścia. Daniel ziewnął tak szeroko, że prawie wywichnął sobie szczękę i pociągnął nosem.

Susie stała tuż za drzwiami w długiej różowej koszuli nocnej w stylu Mary Poppins. Obserwowała go cicho, kiedy wyjmował czystą koszulę i zakładał ją, a potem podążyła za nim korytarzem, kiedy szedł zrobić siusiu i spryskać twarz wodą. Dopiero gdy podniósł twarz znad ręcznika, żeby spojrzeć na siebie w popękany lustrze łazienkowym, przemówiła:

— Kto to jest?

Miała siedem lat, jasne warkocze i porcelanowobłękite oczy na zuchwałej buzi. Dokładnie jak jej matka. Bardzo, bardzo ładna. I wyjątkowo dojrzała, jak na swój wiek.

— To Cara. Cara z Południowej Dakoty.

— Zostaje na śniadaniu?

— Myślę.

— Lubisz ją?

Daniel patrzył na Susie przez długą chwilę. W końcu odpowiedział:

— Nie wiem jeszcze. Nie rozmawialiśmy zbyt dużo dotychczas.

— I ty nie nienawidzisz siebie? A ona? Nie nienawidzi siebie za to?

— Nie wiem. Ona jeszcze śpi. Dość trudno ocenić, jak bardzo się siebie lubi lub nie, kiedy się jeszcze śpi.

— Ja mogę śpiewać, kiedy śpię.

Daniel powlókł się w dół po wąskich drewnianych schodach do starej kuchni w meksykańskim stylu. Susie podążała za nim, z oddaniem zatroskanej żony. Daniel otworzył

ogromną lodówkę i zaczął wyjmować plastry bekonu, jajka, paszteciki do hamburgerów, sznury kielbasek, przygotowując się do porannego nawału roboty. Do tego zaparzy dwa galony kawy, wycisnie trzy tuziny pomarańczy, rozkroi dwadzieścia pięć bułeczek i nakryje dziewięć stołów. Wypił ogromny łyk soku z grejpfrutów i zjadł pełną garść nieświeżych Cheeto.

Susie zagadnęła go:

— Już czas, żebyś się ustatkował, wiesz?

— Ustatkował? — Daniel był zaskoczony. — Jestem ustatkowany. Co może być bardziej poważnego i statecznego niż mieszkanie tutaj z tobą i robienie tego, co robię?

— Mam na myśli to, że mógłbyś się ożenić.

Daniel potrząsnął głową.

— Próbowałem, przecież wiesz. Nie jestem jednak odpowiednim facetem, do małżeństwa. Nie mam właściwych łańcuchów aminokwasów. A tak w ogóle, to jestem uczulony na wierność. To słowo powoduje, że dostaję gęsiej skórki.

— Mnie jesteś wierny.

— Ty jesteś moją córką. Być wiernym swoim dzieciom, to co innego.

Susie bawiła się magnetycznymi pinezkami przyczepionymi do drzwi lodówki.

— Nigdy nie myślisz o mamusi, nigdy?

— Wiesz, że myślę. Twoja mamusia była najładniejszą damą, jaka kiedykolwiek żyła. Na dowód tego ty jesteś najładniejszą z córek. Ale ona wołała coś innego, kogoś innego. Nie tutaj i nie mnie. Nic na to nie poradzę.

— Przyjąłbyś ją z powrotem, gdyby wróciła? — zapytała Susie. Daniel miał pełne ręce świeżych jaj. Zatrzymał się tam, gdzie stał i spojrzał na Susie poważnie, a potem jedno po drugim umieścił jajka na kontuarze, żeby móc ją przytulić i przytrzymać bardzo, bardzo blisko siebie. Pachniała ciepłym chlebem jak małe dziecko, które jeszcze przed chwilą spało; dopiero co uwolniony zakładnik Władcy Pustyni.

— Susie — powiedział zachrypłym, ojcowskim szeptem. — Wszystko czego potrzebuję, mam w tobie.

— Więc nie przyjmiesz jej z powrotem?

— Nie, to by nie było w porządku.

Popatrzyła na niego. W jej oczach były łzy.

— W stosunku do kogo nie byłoby to w porządku? — zapytała.

— To nie byłoby fair ani w stosunku do twojej mamy, ani do mnie, ani do ciebie. Kłólibyśmy się ciągle, wiesz o tym. Krzyczeliśmy. Skończylibyśmy to, nienawidząc się wzajemnie, podczas gdy powinniśmy się kochać.

Susie przycisnęła swoje czoło do jego i zapiszczała cieniutkim głosem:

— Tęsknię za nią.

— Wiem — powiedział Daniel. — Ja też.

Jakiś ciekawski głos wtrącił nagle:

— Mam nadzieję, że nie przerywam niczego ważnego.

Daniel podniósł wzrok. To była Cara, z zaspanymi oczami, ale już przebudzona, z włosami starannie wyszczotkowanymi w chryzantemowe loki. Miała na sobie jedną z dżinsowych roboczych koszul Daniela w niebieskim kolorze, rozpiętą tak, że ukazywała głębokie alabastrowe zagłębienie pomiędzy piersiami, jej płaski brzuch i rdzawą plataninę rudych włosów między długimi udami. Była bezwstydną, prowokującą — po prostu autostopowiczka. Posiadała tę samą włóczęgowską elegancję, która przyciągnęła Daniela do Candii, jego pierwszej i ciągle jedynej żony, matki Susie. Susie rozpoznała ten typ z dziecięcą bystrością, pocałowała swojego ojca w nos i wyszła.

— Czy to ja ją przegoniłam? — zapytała Cara, nie bez satysfakcji.

Daniel wstał i potarł ręką kark.

— Jest do tego przyzwyczajona. Ona tylko próbuje coś zrobić, żebym poczuł się winny. Tęskni za swoją matką.

— To zrozumiałe — powiedziała Cara.

Podeszła blisko i pocałowała go w policzek, potem w usta.

— Chcesz, żebym przygotowała dla nas trochę kawy?

— Nie kłopotz się. I tak muszę przygotować ilość wystarczającą dla połowy Apache Junction. Mogłabyś podać mi ten rondel?

Cara stała obok niego, gdy topił w garnku słoninę do siekanego mięsa. Dotknęła zmysłowo jego ramienia, jakby nie mogła do końca uwierzyć, że jest prawdziwy. Słońce wkradło się pomiędzy listewki żaluzji i nagle oświetliło jaskrawymi promieniami porcelanową miseczkę z hiszpańskimi cebulami, i kiedy Daniel stał tak nad gorącą kuchenką — w swoich dżinsach, w białej koszuli z krótkimi rękawami, szczupłej budowy, ciemnowłosy, trochę zmęczony, ale bez wątplenia atrakcyjny — wydawało się, że promieniał takim samym domowym czarem. Portret szefa kuchni jako zmęczonego, lecz przyjaznego anioła.

— Byłeś dziwny ostatniej nocy — powiedziała mu. — Dziwny i cudowny. Zbyt delikatny jak na kucharza od szybkich dań.

— Jak na właściciela baru — poprawił ją. Zeskrobał z talerza plasterki cebuli do rondla. Zaczęły głośno skwierczeć.

— Wszystko jedno — uśmiechnęła się.

— Sądzisz, że jestem dziwny? — zapytał.

Radośnie kiwnęła głową. Boczył się na nią przez chwilę, a potem wzruszył ramionami. W rzeczy samej często myślał, że urodził się w odbitej na opak lustrzanej krainie. Jego życie i jego kariera zawsze okazywały się być dokładnym przeciwieństwem tego, czego naprawdę chciał i co naprawdę był w stanie osiągnąć. Nawet jego trzydziestosześcioletnia twarz, gdy widział ją na fotografiach, wyglądała jakby była odwrócona w nie-

właściwym kierunku; jakby mężczyzna, którego widział w lustrach, w szybach sklepowych wystaw, wyglądał tak, jak on faktycznie powinien wyglądać, a twarz z którą chodził przez całe życie była tylko nieudaną kopią. Oto i on — niezgrabny cień własnego odbicia. Powinien był zostać znanym komikiem telewizyjnym, drugim Johnny'm Carsonem, Danem Ratherem dla ubogich. Zamiast tego prowadził bar — „Daniel's Downhome Diner” — w Apache Junction, w Arizonie, blisko załamującego się od gorąca horyzontu, z Superstition Mountains łączącymi niebo z ziemią w oddali; blisko słynnej kopalni Zaginionego Holendra. „Daniel's Downhome Diner” był dość popularny, jeśli popularność cokolwiek znaczyła w miasteczku o 2391 mieszkańcach, których liczba zresztą stale spadała. Było to miejsce okazynego handlu obwoźnego. Spotykało się tu kierowców ciężarówek, turystów, sprzedawców pompek rowerowych, jak też autostopowiczów i różnego rodzaju dziwaków. Czasami klienci byli przyjaźni, a czasem zaczepni. Czasami płakali nad swoją kawą, a czasem wyrzucali krzesła przez okna.

Było tam dziewięć stołów przykrytych czerwonymi bawełnianymi obrusami z plastikowymi pomidorami pełnymi ketchupu, szafa grająca z 1967 roku z „Happy Together” zespołu Turtles i „Penny Lane” Beatlesów — nie dlatego żeby Daniela wiązały jakieś szczególne wspomnienia z 1967 rokiem, ale po prostu dlatego, że wówczas zepsuł się zamek i nikt nie mógł dostać się do wnętrza szafy, aby wymienić płyty. Na ścianie, na czarnej tablicy wisiało zapaćkane menu: fasola, stek z fasolą, empanady, chesburgery, pieczona dziczyzna i tak dalej. Wszystko dobre, domowe jedzenie. Daniel był w stanie przyrządzić również ostrygi Bienville, Pompano en papillote, czy nawet gołąbki królewskie w rajskim sosie. Jego ojciec był kuchmistrem w „Alciatorre” w San Francisco w latach pięćdziesiątych i nauczył Daniela gotować z dokładnością, cierpliwością i wyrachowaną niechęcią prawdziwego zawodowca. Dziś Daniel rzadko przygotowywał takie egzotyczne dania, głównie dlatego, że pod koniec dnia czuł się bardziej niż mocno zmęczony gotowaniem, ale i z tego powodu, że nikt w Apache Junction nie chciałby zjeść niczego podobnego. Mieszkańcy jedli dużo steków, mnóstwo fasoli i to prawie wszystko. Mógł sobie wyobrazić reakcję Indianina Billa Hargravesa, gdyby podał mu delikatne części kraba, grzyby i rybę w papierowej torebce. „Co to jest, u diabła, torebka do wymiotowania z Western Airlines?” Nigdy nie myślał o prowadzeniu knajpy, szczególnie nie tutaj, w Pinal County w Arizonie. Próbował śpiewać, zajmował się handlem, czyszczeniem rur kanalizacyjnych, zbierał opłaty od Indian w Indian Nation Turnpike w Oklahomie. Pracował nawet jako komik w pseudowiktoriańskim lokalu nocnym „Gaslight” w Nevadzie: „I stoi Mojżesz na szczycie góry, no nie, i mówi do Jehowy: Słuchaj, ujmę to krótko, po prostu chcesz, żebyśmy poobcinali sobie końce naszych kutasów”. To tam poznał i poślubił Candii — matkę Susie. Blond loki i zadarty nos, oczko małej Annie Fannie. Chichocząca, mała i pełna seksu, z piersiami tak dużymi, że kiedy podrygując szła ulicą, mężczyźni zatrzymywali się i gapili na nią z szeroko otwartymi

mi ustami. Najlepsza tancerka stolikowych blatów, artysta burleski ponad miarę swych czasów. Pasja i miłość jego życia. Candii rzucała najgorsze przekleństwa pod jego adresem w klinice położniczej w Reno, podczas gdy czerwony neon z napisem „ROZWÓD” po przeciwnej stronie ulicy zapalał się i gasł przez całą noc, a lekarz sugerował niejasno, że dziecko prawdopodobnie umrze. Susie nie umarła, dzięki Bogu, ale Candii odeszła od nich po ośmiu miesiącach, zabierając ze sobą swoje obcisłe, jedwabne sukienki i pończochy. Okropnie za nią tęsknił, nawet teraz, sześć lat później, ponieważ była nieosiągalnym erotycznym marzeniem, ponieważ zawsze śmiała się z jego dowcipów i ponieważ ją kochał. Co więcej, miała naprawdę na imię Candii — tak zapisano w jej metryce urodzenia.

Do Apache Junction przybył przypadkiem. Zmierzał do Sante Fe w stanie Nowy Meksyk, aby pochwalić się Susie przed matką Candii (miała czterdzieści dwa lata i była piersiasta tak jak jej córka) i wyżebrać kilka setek od ojca Candii na opłatę części zaległego czynszu. Kilka mil od Phoenix jego stary zielony Mercury załamał się ostatecznie i stanął na poboczu. Mechanik, Indianin z plemienia Navajo, o twarzy pomiętej od zmarszczek, długo patrzył na zardzewiały, zielony kadłub Mercury’ego i wreszcie ogłosił swój wyrok:

— Nie ma sensu tego naprawiać, przyjacielu, nawaliła przekładnia.

Kiedy Daniel się rozejrzał, zobaczył tablicę, która informowała, że jest właśnie w Apache Junction, i drugą, nawołującą: „Dobrze prosperujący bar na sprzedaż”. Facet o okrągłej twarzy, który sprzedawał tę knajpę, zerknął na niego podejrzliwie ze swojej cieniistej werandy i powiedział:

— Nie zabierasz mi czasu na próżno, mam nadzieję? Przychodzi tu do mnie wielu takich.

W Apache Junction nie było nic ciekawego. Kilka stacji benzynowych, kilka odrapanych domów, indiański sklep z biżuterią. Ale było to równie dobre, czy raczej równie złe miejsce jak każde inne. Klimat był tu ciepły i suchy, dobry na chore zatoki Daniela. Przestępczość była niewielka. Jedynym notorycznym przestępcą był półkrwi Navajo o nazwisku Ronald Reagan Kinishba, i natychmiast zostali z Danielem dobrymi przyjaciółmi. Od czasu do czasu grali razem w karty, upijali się wspólnie, a czasem Ronald zabierał Daniela na tylne siodełko swej Hondy 749 i pędził poprzez noc autostradą, sto dziesięć mil na godzinę, nie zważając na kurz, gorący wiatr i światła, które migotały po bokach, jak kosmiczne pociski w „Star Trek II”. Potem siadali okrakiem na motocyklu na jakiejś odległej, nieistniejącej na mapie krzyżówce, podnieceni, dygocący w zachwycie nad osiągniętą prędkością.

Było to ciche życie, życie w którym człowiek mógł zawieść tylko sam siebie. W nocy, w środku lata, pod niebem czystym niczym czarny trawnik usiany srebrnymi stokrotkami, gdy Susie spała w swoim wymiętoszonym, dzieciennym łóżeczku, a w powietrzu

unosił się ten dziwny, aromatyczny zapach pustyni. Daniel siadał na balkonie, na tyłach swojego baru, słuchając cichutkiego głosu lokalnego radia KSTM, dobiegającego z odbiornika z kuchni i zastanawiał się, czy istnieje naprawdę czy nie. Rozweselał sam siebie przypominając sobie jednego z bohaterów Woody Allena, który nienawidził rzeczywistość, lecz jednocześnie uświadamiał sobie, że jest ona jedynym miejscem, w którym można dostać dobry stek. Ostatnio często czuł się jak bohater Woody Allena: niespokojny i już prawie gotów do walki o siebie. Ale im dłużej żył w Apache Junction, tym większa stawała się jego niepewność, czy sobie poradzi.

— Może masz już ochotę na wakacje? — zapytała Cara.

Podniósł wzrok znad cebuli.

— Wakacje? Co masz na myśli?

— No, uciec od tego wszystkiego.

— Nie sądzisz, że Apache Junction właśnie jest z dala od tego wszystkiego?

Podeszła i pocałowała go.

— To jest praca. Ja mówię o pływaniu, surfingu, górskiej wspinaczce i kochaniu się na śniegu.

— Ach tak? A kto się zajmie Susie?

— Nie masz żadnego zaprzyjaźnionego starszego małżeństwa, które mogłoby zabrać ją na tydzień lub dwa?

Daniel sięgnął po przyprawę.

— Tęskniłbym za nią — powiedział.

Zapanowała długa cisza. Potem Cara zapytała:

— Czy nie będziesz miał nic przeciwko temu, że zostanę tu na trochę? Może dzień albo dwa?

Daniel spojrzał na nią i uśmiechnął się.

— Jesteś mile widzianym gościem, jeśli tego właśnie pragniesz. Cara wzięła go za rękę. Straciła koszulę, którą miała na sobie i mocno przytrzymała jego dłoń na swojej nagiej lewej piersi. Patrzyła na niego wyzywająco, a on czuł, jak jej brodawka marszczy się i powiększa pod jego palcami.

— Przeznaczenie — powiedziała.

— Co? — zapytał.

— Ty i ja. To, że się spotykamy. Przeznaczenie. Nie wielkie przeznaczenie. Nie grzmot i błyskawice, i całe kontynenty w ogniu. Ale dobre, słodkie zrządzenie losu. coś, co oboje będziemy wspominać zawsze, kiedy ogarnie nas melancholijny nastrój.

Ciągle patrzył w te jej blade, niebieskie oczy i delikatnie gładził dłonią jej pierś.

— Cara — powiedział. — Cara z Południowej Dakoty. Nawet nie znam twojego nazwiska.

— Czy to ma znaczenie?

Właśnie wtedy ktoś głośno zapukał w kuchenne okno. Przez matowe szkło Daniel zobaczył rozmazaną twarz mężczyzny.

— Daniel! Jesteś tam? Daniel!

— Willy? — zawołał Daniel. — Poczekaj sekundę, wpuszczę cię.

Odwrócił się do Cary i powiedział:

— To mój przyjaciel. Zechcesz może pójść się ubrać?

Cara spojrzała po sobie.

— Pewnie — odparła.

Posłała mu całusa, potem odwróciła się i dała susa na schody.

— Gówno — dobiegł z jadalni głos Susie, chociaż Daniel dwukrotnie dał jej w ubiegłym tygodniu klapsa za to, że mówi jak kierowcy ciężarówek. Ale czasami kobiety wiedzą, kiedy im się upiecze. Susie nie była wyjątkiem.

Rozdział trzeci

Daniel zmniejszył gaz pod cebulą i otworzył tylne drzwi. Jak zwykle niezgrabny, wszedł Willy Monahan. Strzepnął kurz z oficerskiego munduru.

— Czyje są te przekłete kurczaki? Twoje? Przekłete stworzenia, nieomal wydziobały mi sznurowadła z butów!

— Są Billa — łagodnie odpowiedział Daniel. — To Indianin Pima, który mieszka z tyłu; jest dość spokojny. A poza tym dostarcza mi mnóstwo jajek. Chcesz kawy? Przy-szedłeś wcześniej.

— Nie jestem wcześniej. Jestem już cholernie spóźniony — odparł Willy. Powiesił swoją czapkę majora obok długiej węgierskiej salami. — Pracowałem całą noc w maga-zynie broni. — Pociągnął nosem, a potem zapytał:

— Co to za zapach?

— Cebula.

— Nie, zupełnie inny zapach. Delikatny, zmysłowy, gdzieś w tle. Czyżbym wyczuwał kobietę przez duże „K”?

Do kuchni weszła Susie, niosąc stos czystych, czerwonych serwetek.

— Cześć wujku Willy.

— Cześć Susie. Tylko mi nie mów, że ten stary facet ma znów towarzystwo.

Susie kiwnęła głową.

— Rudowłosa. Z Południowej Dakoty.

Daniel zdjął jeszcze jeden rondel i wrzucił do niego trochę słoniny.

— Wszyscy przeciwko mnie. Moja córka. Mój najlepszy przyjaciel. Kto będzie następny? Tylko dlatego, że ładna, młoda dama z Woonsocket postanowiła spędzić ze mną trochę czasu, pomagając mi.

— Woonsocket? Poważnie? — dopytywał się Willy.

— Oczywiście. Woonsocket leży w Sanborn County, kilka setek mil na południe od Huron.

— Ach, *ten* Woonsocket — drażnił go Willy. — A więc, mój przyjacielu, jeśli to jest

ten Woonsocket, to nie musisz się zbytnio przejmować. Oni są znani ze swoich usługowych, rudowłosych kobiet. Rzeczywiście osiem spośród dziesięciu kobiet z Woonsocket jest rudych. Słyszał też z Woonsocket Jew's Harp Orchestra i ze swych pasztecików: zapiekanych w całości susłów w puszystym cieście.

Susie zachichotała, ale Daniel zamknął oczy i podniósł głowę, tak jakby wzywał Boga, aby uchronił go przed tym cwaniakiem z Air Force.

— I pomyśleć, Willy, że polegamy na tobie, jeśli chodzi o obronę naszego wielkiego narodu w czasie wojny.

Willy hałaśliwie przyciągnął jedno z meksykańskich krzeseł kuchennych i usiadł, zakładając jedną kanciastą nogę na drugą.

— Nawet nie wiesz, jakie masz diabelne szczęście — powiedział. — Powód, dla którego spędziłem całą noc w zbrojowni był taki, że na własną rękę, bez niczyjej pomocy, odkryłem błąd w naszym systemie radarowym powietrze-powietrze. Co o tym myślisz?

— A co mam myśleć? — zapytał Daniel.

— Co masz myśleć? Powinieneś jedynie pomyśleć, że w twojej skromnej, małej kuchni siedzi geniusz, największy spec od systemów rażenia i naprowadzania w całych Siłach Powietrznych Stanów Zjednoczonych. I tylko tyle.

— Napij się kawy.

Willy miał jak na majora lotnictwa niezwykle niedbały wygląd, szczególnie jak na majora, który odbywał regularne taktyczno-szkoleniowe loty na odrzutowcu mogącym osiągać prędkość dziewięciuset dwudziestu mil na godzinę i kosztującym amerykańskich podatników coś ponad osiemnaście milionów dolarów. Willy był szczupłym mężczyzną z dużym, ostrym nosem i błyszczącymi, ciemnymi oczami. Był kiedyś żonaty, wiele lat temu, ale jego żona — Nora — zostawiła go podczas wojny w Wietnamie. Przysiągł sobie wtedy, że się już nigdy nie ożeni. W zamian oddał się niemal fanatycznie Siłom Powietrznym, nowym wymyślnym systemom broni, stając się ekspertem-amatorem od pocisków sterowanych radarem. Swój wolny czas poświęcał dla Chivas Regal, pokera oraz skandalicznego kobieciarstwa. Był jedynym oficerem w Air Force, który na własną rękę dokładnie przejrzał system radaru obronnego Boeinga B-1 i jedynym oficerem, który ściągnął białe, nylonowe majtki kapralowi Sherry P. Kearns, wyjątkowo pięknej, ale równie niedostępnej sekretarce generała „Tailpipe” Truscott z bazy lotniczej w Nellis.

Willy był urodzonym Nebraskańczykiem. Długonogi, zabawny, ale też bardzo dobry we wszystkim co robił. Człowiek Sił Powietrznych na wskroś. Gdyby nie opuściła go żona i gdyby dobrze się sprawował, mógłby już być pułkownikiem. Ale pozostawał majorem od sześciu lat, podczas gdy młodszy mężczyźni, wiodący życie w bardziej konwencjonalnym stylu, awansowali szybciej od niego. Jego ostatnie przeniesienie do bazy

Air Force w Williams, z zadaniem szkolenia młodych, niedoświadczonych pilotów na Eagles F-15, było nieomylnym znakiem ze strony dowództwa, że nie powinien spodziewać się awansu. Willy nazywał Williams „cmentarzyskiem marzeń”.

Jednak nie zostawił Air Force. Nie istniało nic innego, co mógłby robić w życiu, przynajmniej nic, co mógłby robić z zadowoleniem. Tylko od czasu do czasu, gdy był pijany, jego żal wpływał na powierzchnię jak bulgoczące bańki z tonącej łodzi i wtedy sprośnie przeklinał wszystkie żony, wszystkich wyższych oficerów, ale najbardziej samego siebie.

Głośno popijał kawę i poczęstował się garścią ciasteczek z czekoladą.

— Nie mogę się doczekać, kiedy położę to wszystko na biurku pułkownika Kawałka. Już teraz mogę wyobrazić sobie jego minę. „No więc, Willy, co to jest to wszystko? No, Willy? Co rozumiesz przez „radarowe szambo”? Oprócz tego, że to jest niesmaczne, to jest to także politycznie niemożliwe”.

Willy w szczególnie złośliwy sposób naśladował pułkownika Kawałka.

Daniel wydierał kawałki bekonu z opakowania i układał je w rondlu.

— Czy to jest poważne, ta usterka którą znalazłeś?

— Czy poważne? A czy Hiroszima była „poważna”? Oczywiście, że tak! — Willy chrupał ciasteczka i popijał kawę.

— No to może mi coś o tym opowiesz? — zaproponował Daniel.

— To bardzo zawiłe technicznie — powiedział Willy. — Nie jestem pewien, czy potrafiłbym to wyjaśnić kucharzowi od szybkich dań.

— Właścicielowi baru — jeśli pozwolisz.

— Wszystko jedno. Niełatwo to zrozumieć, szczególnie że nie masz podstawowych wiadomości o zasadach działania radaru Dopplera.

— Żartujesz? — odezwał się Daniel, przewracając bekon. — Moja matka opowiadała mi bajki na dobranoc o tych radarach. Nie słyszałeś nigdy tej o radarze Dopplera i siedmiu krasnoludkach?

— Poważnie mówiąc — przerwał mu Willy — to jedno z tych odkryć zaawansowanej techniki, których człowiek dokonuje raz w życiu.

— Możesz mi podać pieprz? Nie ten, tamten. Dziękuję. Opowiadaj w takim razie. Powiedz mi, co odkryłeś.

— Ach, gówno — rozpaczał Willy. — Jak wyjaśnić anomalie w APG-63, wielofunkcyjnym radarze, facetowi który smaży cebulę?

— Po prostu spróbuj! Słucham.

Willy przyciągnął swoje krzesło do stołu i położył drewnianą łyżkę po jednej stronie, a białą-niebieską, porcelanową miseczkę do masła po drugiej stronie blatu.

— Ten radar jest wysoce skomplikowany, bardzo złożony. Znajduje się w nosie myśliwca i kontroluje każdy ruch, który pilot zamierza wykonać, w każdej sytuacji bojo-

wej. Może wytropić jeden samolot wroga i jednocześnie szukać innych. Może natychmiast przenosić się z jednego obiektu na drugi. Do dziś uważałem, że jest to najlepszy radar typu powietrze-powietrze na całym świecie.

— W takim razie jestem szczęśliwy, że należy do nas, a nie do Rosjan.

Willy zamrugał oczami.

— To wszystko, co mi przyszło do głowy — usprawiedliwił się Daniel.

Willy wziął cynowe sito do mąki i dokładnie pokrył cały stół równą białą warstwą. Susie obserwowała go z powagą i zainteresowaniem, a Daniel pomyślał: „Dobry Boże, znowu zaczyna”.

— Ten stół to nasz teatr wojny, dobra? — powiedział Willy.

— Myślałem, że robisz ciasto — zadrwił Daniel. Willy uniósł rękę, aby go uciszyć.

— Nie żartuj. To poważna sprawa. Ta drewniana łyżka to wrogi, nieproszony gość, w porządku? A to naczynie do masła to ja, OK? W moim F-15 bronię ojczyzny w ostatnim etapie przedłużającej się konfrontacji nuklearnej. Wrogie drewniane łyżki nadciągają ze wszystkich stron.

— Co robisz, wujku Willy? — zapytała Susie, krzywiąc się.

— Co robię? Powiem ci co robię. Startuję w moim F-15 z pełnym uzbrojeniem, wyposażony w dwudziestomilimetrowy, wielolufowy karabin maszynowy M-61 z 960 sztukami amunicji, do tego w cztery pociski powietrze-powietrze AIM-7 „Sparrow” i cztery pociski powietrze-powietrze AIM-9 „Sidewinder”, tropię te drewniane łyżki radarem, dopóki nie skupię się na jednej z nich. Jestem gotowy zdmuchnąć je z nieba i wtedy odpalam moje pociski „Sparrow”. A potem co się dzieje?

— To ty nam przecież opowiadasz — stwierdził Daniel i kichnął dwukrotnie.

— Cieszę się, że to nie moje śniadanie — zauważył zjadliwie Willy.

— Po prostu powiedz nam, co dalej — nalegał Daniel.

— O.K. Właśnie wystrzeliłem pociski. To całkiem nowa rzecz, taki pocisk. Naprowadzany radarem; z dyskryminatorem fazy; jest zdolny w trakcie wyszukiwania do skupienia się na wybranym obiekcie przy zakłóceniach radarowych dochodzących do 10 db.

Daniel jeden po drugim przewracał paski bekonu, wywołując skwierczenie tłuszczu. Lannie Watts, kierowca z Globe Trucking Corporation, będzie tutaj za pięć lub dziesięć minut, żądając śniadania. Lannie zawsze jadł to samo: siedem kawałków bekonu, trzy jajka, jeden tost i kupę siekanej, smażonej wołowiny, do tego zawsze wypijał sok grejpfrutowy, żeby utrzymać się w wadze.

— Czy ty mnie w ogóle słuchasz? — zapytał Willy.

— Pewnie, że słucham — odparł Daniel. — Słucham, ale zupełnie nie wiem o czym ty, do diabła, mówisz. Co to są, te zakłócenia radarowe?

— Wystrzeluję pocisk. Pocisk skupia się na drewnianej łyżce i już — zaznaczył

nieomyślny tor pocisku w warstwie rozsypanej mąki — jest dwieście, sto, pięćdziesiąt jardów od celu i co się dzieje?

Jego palec ostro zmienił kierunek w bok.

— Chybia. Po prostu nie trafia, tak jak tu.

— Chybia. Czy za każdym razem? Czy próbujesz mi może wmówić, że Siły Powietrzne Stanów Zjednoczonych są wyposażone w pociski, które nie trafiają do celu?

— To jest przypadek jeden na milion — powiedział Willy z satysfakcją. — Gdyby nie testy, które przeprowadziłem na tym radarze, wątpię czy ktokolwiek, kiedykolwiek by to wykrył.

— Ale ktoś z pewnością sprawdzał te pociski — zaprotestował Daniel. — Działyły podczas tych testów, prawda?

— Pewnie — zgodził się Willy. — Teraz też działają, kiedy są testowane na sprzęcie Air Force. Ale musisz sobie uświadomić, że nigdy nie sprawdzaliśmy ich na prawdziwych, sowieckich samolotach. Zwykle używamy POM-102 RPV, co jest symbolem bezpilotowego F-102 „Delta Dagger”. Każdy typ samolotu ma inny, odrębny kod radarowy. I choć nasz radar jest wyraźnie zadowolony, gdy może rozpoznać F-102 czy każdy inny amerykański samolot, to wydaje się, że ma rozpowszechnioną awersję do kodów sowieckich.

Daniel wyjął widelcem bekon dla Lanniego.

— Czy to faktycznie prawda? Czy nie jest to jakiś pojedynczy błąd w jednej jedynej sztuce?

Willy potrząsnął głową.

— Prowadziłem badania, posługując się komputerem wojskowym, na trzech różnych systemach radarowych. Każdy system zawodził dokładnie w ten sam sposób, dokładnie w tym samym momencie. Ale oczywiście, gdyby pilot nie zdawał sobie sprawy z tego, że jego radar jest do kitu, pomyślałby po prostu, że sam chybił. Zwróć uwagę, że jeśli byłaby to prawdziwa sytuacja bojowa, pilot nie musiałby zbyt długo martwić się tym, bo wątpię żeby sowieckie pociski powietrze-powietrze miały podobną awersję do naszych samolotów.

— Ależ to jest szalone — powiedział Daniel. — Jak to możliwe, aby lotnictwo wyposażone było w pociski, które nie trafiają?

— Cóż ci mogę powiedzieć? — odparł Willy zdmuchując mąkę ze stołu. — To największy skandal w historii Air Force. Naprawdę największy. Polecą głowy, wierz mi.

— Jezu — jęknął Daniel.

— Mam jeszcze więcej testów do przeprowadzenia — dodał Willy. — Chcę się przyrzuć przeszukiwaczowi IR w „Falconie” i może sprawdzić także zapalnik laserowy.

— Tylko nie oszałamiaj mnie znowu szczegółami technicznymi — powiedział Daniel.

— Mówię ci po prostu, że chcę sprawdzić systemy naprowadzenia i detonacji w innych pociskach. Każdy pocisk ma swój własny skomplikowany system, a niektóre z nich są tak zaawansowane, że nie mógłbyś w to pewnie uwierzyć. Niektóre z ostatnich pocisków ziemia-powietrze mają system radarowy, który jest zdolny do pełnej autokontroli: do wyszukiwania celu, naprowadzania na właściwy tor i samosterowania. Mogą zrobić wszystko z wyjątkiem podania do stołu.

— A żaden z nich nie jest przydatny, skoro nie trafiają tych samolotów, które powinny zniszczyć — podsumował Daniel.

— Dokładnie tak — zgodził się Willy.

Susie kichnęła i ponownie wznieciła chmurkę mąki.

— Zostaw to — Daniel nakazał Willemu. — Cara to posprząta.

— O, Cara, tak ma na imię ta rudowłosa? Ładne imię zważywszy na to, że pochodzi z Południowej Dakoty. Zwykle mają tam na imię Waynette, Laurence czy Trixie.

— Albo Candii? — zauważył Daniel.

Willy zrobił głupią minę.

— Pewnie. Albo Candii.

Rozległo się potężne walenie we frontowe drzwi baru. To musiał być Lannie Watts, domagający się śniadania.

— Idź, wpuść Lanniego — Daniel poprosił Susie. — Powiedz mu, że właśnie rozbijam dla niego jajka.

Kiedy Susie poszła do baru, podnosząc zasłonę z plastikowych pasków, Daniel odezwał się poważnym głosem do Willy'ego.

— Ta rzecz, którą wykryłeś, to jest całkiem serio, prawda? To znaczy, że z tego może być większa afera?

— Dokładnie tak, jak powiedziałem, Daniel — polecą głowy.

— Jesteś pewien, że to nie będzie twoja głowa? Wiesz jaki jest Kawałek. Nie zna się na żartach. On jest tylko pułkownikiem. Będzie wielu generałów i innych osobistości w Pentagonie, którym się nie spodoba, że jakiś wszystkowiedzący major z Williams powoduje tyle zamieszania.

— Muszę zrobić to, co jest właściwe, Daniel.

— Oczywiście, że tak. Ale musisz pomyśleć także o sobie. Ten kto zaprojektował te pociski, kto zamówił je i zatwierdził jako zdadne do zadań bojowych, wszyscy ci ludzie będą chcieli usunąć cię z drogi. Pomyśl tylko, jak dużo pieniędzy wchodzi w grę przy realizacji kontraktu w sprawie pocisków. Miliardy. No, a ludzie giną na ulicach dla groszy. Miej się na baczności.

— Daniel — uspokajał go Willy — to wszystko są fakty i koniec. Po prostu pociski nie są skuteczne przeciwko sowieckim oznaczeniom radarowym.

Daniel wytarł ręce w dzinsy.

— Chciałbyś jakieś śniadanie?

— Nie chcesz o tym mówić?

— Zdobądź więcej informacji, to wszystko — odparł Daniel. — Nie wpadnij do biura Kawałka z czymś, czego nie będziesz mógł udowodnić. A zanim tam pójdziesz, zostaw kopię tego nad czym pracujesz — cokolwiek to będzie — tutaj, u mnie. Albo u kogoś innego, komu ufasz.

Willy odepchnął krzesło i wstał. Susie weszła do kuchni i oznajmiła:

— Lannie kazał ci powiedzieć, żebyś ruszył swój tyłek z jego śniadaniem.

Daniel uśmiechnął się i kiwnął głową.

— W porządku.

— Myślę, że utnę sobie parogodzinną drzemkę — powiedział Willy. — Potem pojadę z powrotem do zbrojowni i sprawdzę ostatni z tych programów. Spotkamy się o dziesiątej na drinku u Hanka, dobrze?

— W porządku. Ale zostaw mi wyniki swoich badań, zanim pójdziesz na rozmowę z Kawałkiem.

— Żebyś mógł je sprzedać Rosjanom i wzbogacić się? — zażartował Willy.

— Willy — Daniel zmierzył go wzrokiem.

Willy podszedł i niezgrabnie objął przyjaciela ramieniem.

— Wiem, Daniel, wiem — powiedział. — Rozwaga jest najlepszą częścią męskości. „Nie strzelaj, dopóki nie zobaczysz białek ich oczu”.

Daniel jedną ręką rozbił dwa jajka.

Grywali razem z squasha. Rozmawiali godzinami, czasem całe noce, aż poznali się jak bracia, albo nawet jeszcze lepiej. Daniel nigdy nie był w Omaha, ale potrafiłby znaleźć drogę do spróchniałego drzewa w parku Fontenelle, gdzie Willy chował swoją procę, tak jakby sam się kiedyś tam bawił. Byli kumplami w najwłaściwszym znaczeniu tego słowa. Ale teraz Daniel miał niepokojące uczucie, że odpowiedzialność wobec prawdziwego świata wdziera się pomiędzy nich i choć próbował się uśmiechać, nie wychodziło mu to. Jego twarz sztywniała jak gwałtownie stygnące szkło.

Rozdział czwarty

Tytus dość wcześnie ujrzał nadjeżdżającego Cadillaka Joe Jaspera, jego światła podskakujące i niknące pomiędzy wierzbami Beahms Grove. Zanim Joe niedbale zaparkował przy brzegu rzeki i w swych wyczyszczonych do połysku, eleganckich butach wybrał drogę przez nierówną, grząską trawę opadającą do samej wody, Tytus przeszedł około trzydziestu jardów dalej od brzegu. Zrobił to po to, aby być wystarczająco blisko by usłyszeć, co Joe może krzyknąć — na wypadek, gdyby było to coś interesującego — ale jednocześnie wystarczająco daleko, żeby udawać, że jest poza zasięgiem słuchu — gdyby tak nie było.

W Shenandoah Valley, historycznej krainie Wojny Secesyjnej, było ciche, mgliste popołudnie. Tytus spędzał pierwsze swoje wakacje z wędką od trzech lat i cokolwiek Joe Jasper miał do powiedzenia, nie mogło to być nawet w części tak zajmujące, jak głęboki nurt rzeki Shenandoah, czy opadanie kropli wody ze zwisających gałęzi albo wołanie drożdów. Po trzech i pół roku na stanowisku Sekretarza Stanu oraz po pięciu i pół roku małżeństwa z Nadine, Tytus nagradzał samego siebie trzema dniami i trzema nocami całkowitego spokoju, przerywanego tylko dźwiękiem kołowrotka czy furkotaniem nylonowej żyłki.

— Tytus! — zawołał Joe. Huśtał się na błotnistej kępie trawy, z desperacją próbując utrzymać swoje buty za dwieście dolarów z dala od błota. Tytus jednak nadal stał odwrócony plecami do brzegu, pykając fajkę z kaczanu kukurydzy, pomimo tego, że zgasała prawie dwadzieścia minut temu i w ogóle starał się wyglądać na bardzo zajętego prądem rzeki, pogodą i rybami. Często słyszał, że najwięksi aktorzy potrafili przekazywać całe partie z Szekspira, stojąc tyłem do widowni, chociaż prawdę mówiąc, nie był całkiem pewien, jak to robili. To, co starał się teraz przekazać swoimi plecami, brzmiało: „Idź stąd do diabła Joe, jeśli to nie jest coś naprawdę ważnego”.

— Tytus! — Joe zawołał znowu. Miał cienki głos jak chart wyścigowy. — Tytus, słyszysz mnie pan?

Tytus przesunął się jeszcze dwa czy trzy kroki w głąb strumienia. Poziom wody się-

gał prawie góry jego woderów, lecz Tytus pozostał tam gdzie był, głuchy jak skała, od czasu do czasu odwracając głowę ku górze strumienia, żeby jego poza wyglądała naturalnie. Gwizdał również przez chwilę, ale zaraz o tym zapomniał.

— Panie sekretarzu, to wiadomość absolutnie najwyższej wagi! — Joe ryczał. — Lecz zbyt drażliwa, aby krzyczeć o tym głośno. Będzie pan musiał podejść do brzegu i posłuchać z bliska!

Nastąpiła długa przerwa. Woda szemrała przepływając. Tytus pozostawał na swoim miejscu, z kijem uniesionym w górę, w odrętwieniu, z zamkniętymi oczami. Ze wszystkich instynktów do których Joe mógł się odwołać, ciekawość była tym, który najłatwiej było w Tytusie rozbudzić. Mógł zostać tutaj, udając że jest bezgranicznie zaabsorbowany, albo mógł w końcu przyznać, że usłyszał wołanie Joe'go, przedrzeć się z powrotem do brzegu i posłuchać, jakie mogły być te drażliwe wiadomości. Ten wybór był tak cholernie irytujący głównie dlatego, że Joe nie skomentowałby oczywiście jego udawanej głuchoty, tylko pożerałby go oczami po cichu i rozwścieczyłby go bardziej, niż kiedykolwiek.

Ciągle jeszcze próbował podjąć decyzję, gdy usłyszał całkiem blisko pluskanie wody. Odwrócił się i, ku swemu kompletnemu zaskoczeniu, zobaczył Joe'go, idącego w bród, prosto do niego, w swoim garniturze od Diora za siedemset pięćdziesiąt dolarów. Jego szczupła twarz zastygła w takim samym wyrazie, jakiego można by się spodziewać po człowieku, któremu całą miseczkę galaretki opróżniono powoli w spodnie.

— Panie sekretarzu! — wysapał.

Tytus zapomniał udawać, że nie słyszał wołania Joe'go.

— Czemu, do diabła, nie zostałeś na brzegu? Oszalałeś, czy co? — zapytał.

— Panie sekretarzu, to pilne.

Stali twarzą w twarz, prawie po pas w wodzie. Tytus wyjął fajkę z ust, potem wetknął ją z powrotem i zaczął zwijać linkę.

— Nie przeszkadzałbym panu za nic w świecie — powiedział Joe — ale myślę, że zupełnie przypadkowo znaleźliśmy rozwiązanie problemu RINC i wiedziałem, że będzie pan chciał dowiedzieć się o tym jako pierwszy.

— Jak mogę dowiedzieć się pierwszy, kiedy ty już wiesz? — mruczał Tytus, zwijając linkę równie gwałtownie, jak gwałtownie kończyły się jego wakacje. Znowu został zraniony, jak w przypadku wszystkiego, co próbował robić, a co nie było związane z Departamentem Stanu, Nadine czy jej wstrętnymi dziećmi.

— Mam na myśli to, że jest pan pierwszym VIP-em, który się o tym dowie — Joe poprawił się. — A co z tym zrobimy, zależy całkowicie od pana.

— Zdajesz sobie sprawę z tego, że jesteś mokry? — Tytus zapytał Joe'go. — To znaczy, czy czujesz, że całkowicie i cholernie przemokłeś, do suchej nitki?

— Tak, proszę pana — powiedział Joe i zaraz dodał, bardziej nieśmiało: — Mam

drugi garnitur w samochodzie.

Tytus zaczął haczyk i zaczął powoli podążać w kierunku brzegu rytmicznymi, dużymi krokami.

— To typowe dla ciebie, Joe, wiesz o tym? Bohaterstwo bez niewygody. Zawsze jesteś przygotowany na to, żeby zabrudzić ręce, pod warunkiem, że jest po ręką coś, w co je możesz wytrzeć.

Joe brnął za nim. Dotarł do brzegu i stał w błocie, a woda spływała z jego garnituru hałaśliwą kaskadą. Tytus otworzył torbę wędkarską, żeby schować przynętę i haczyk. Potem złożył swoją drogą, zrobioną z włókien węglowych wędkę. Nadine podarowała mu ten kij po ślubie, a teraz pierwszy raz go używał. Ściany jego biblioteki pełne były porozwieszanych, wypchanych trofeów z lat młodości, ale nie dołożył do swojej kolekcji ani jednej małej rybki, odkąd opuścił armię i szukał większej chwały w polityce.

— To jest prawdziwy zwrot w naszych działaniach — powiedział Joe. — Przypadek jeden na milion.

— Może zmienisz garnitur, zanim mi opowiesz? — burknął do niego Tytus. — Nie będę zły, jeśli poczujesz się nieco wygodniej.

— No dobrze — Joe próbował być skromny.

Tytus podszedł do Cadillaka i, bez zaproszenia, usiadł na miejscu pasażera, rzucając torbę wędkarską na tylne siedzenie. Skórzana tapicerka była dziewiczo biała, a jego wysokie wodery bardzo zabłocone, oblepione czarnym, błotnistym szlamem z dna Shennandoah. Doszedł jednak do wniosku, że Joe'mu dobrze robi, gdy będzie musiał siedzieć tu i bezradnie przyglądać się, jak jego zrobiona na zamówienie tapicerka jest zupełnie bez potrzeby niszczona.

Joe przebierał się w czysty garnitur za podniesioną pokrywą bagażnika. Tytus opuścił okno i powiedział:

— Nie marudź zbyt długo. W Zachodniej Wirginii każdy facet bez spodni to dobra zabawa.

Joe powrócił po niecałej minucie, upychając koszulę w spodnie, wiążąc krawat, spocyny i zmieszany.

— Żartowałem tylko — powiedział Tytus, gdy Joe siadał za kierownicą.

— Ale to nie jest temat do żartów — odpowiedział Joe. Jego zapasowy garnitur był znacznie mniej kosztowny niż ten pierwszy, z dość brzydkiej jasnoniebieskiej tkaniny, ale znacznie lepiej pasował do sytuacji.

— Masz któreś z tych swoich tanich cygar? — zapytał Tytus.

Joe otworzył schowek i podał mu pudełko z cygarami, zawierające cztery cygara najwyższej jakości — hawańskie *coronas*. Tytus wybrał jedno. Joe przyciął je, a potem wyjął pudełko zapalek firmy British Swan Vesta, które były jego najnowszym snobizmem. Tytus zauważył, że Joe czuje się skrępowany w garniturze z niebieskiej dzianiny i nie

omieszkął potrzeć palcami kłapy jego marynarki, kiedy ten zapalał dla niego cygaro.

— Miła rzecz — powiedział pykając. — Powinieneś to przerobić na mundurek ordynansa.

Joe, z twarzą oświetloną migocącą zapalką, odezwał się całkiem spokojnie:

— Znaleźliśmy dziwkę, która spędziła noc z Robertsem podczas prawyborów w 1979 roku. Jest gotowa oświadczyć publicznie, że prosił ją o robienie różnych rzeczy. Ma też przyjaciółkę, którą można przygotować do wystąpienia w roli świadka. Wszystkie fakty, daty, godziny, które ona podaje, zgadzają się. A najbardziej fantastyczne jest to, że ta dziwka ma zdjęcia z polaroidu.

Tytus uważnie oglądał koniuszek swojego cygara. Paliło się równo.

— Czy widziałeś te zdjęcia osobiście? — zapytał.

— Mam tutaj odbitki — Joe sięgnął pod fotel kierowcy i wyjął małą, pękatą kopertę. Wręczył ją Tytusowi i obserwował bacznie, czekając na jego reakcję. Tytus nie od razu otworzył kopertę. Puknął nią lekko Joe'go w rękaw.

— Czy nagrałeś na taśmę zeznania dziewczyny?

— Lepiej. Nagrałem na video. Zeznanie jej przyjaciółki też.

— Przyjaciółka też jest dziwką?

— Nie, pokojówką w hotelu „Futura” w Las Vegas. Tytus otworzył kopertę i wyjął zdjęcia.

— Czy coś o nich wiemy?

— Jeśli chodzi o pokojówkę, nie. Czysta jak łąza. Świadek pierwsza klasa.

— Coraz lepiej — powiedział Tytus. Trzymał zdjęcia wysoko, blisko lampy na suficie Cadillaka i przyglądał się im dokładnie.

— Potrzebuje pan okulary? — zapytał Joe Jasper.

Tytus potrząsnął głowę.

— Widzę, co się dzieje. A może się mylę? Może trzymam to do góry nogami?

— W dobrą stronę — odparł Joe krótko.

— A więc — Tytus potarł oczy — są to raczej złe wieści dla naszego wspaniałego prezydenta, nie sądzisz? To znaczy, to jest najwyraźniej on.

Joe przytaknął.

Tytus oglądał następne zdjęcie, potem kolejne.

— Nie wiem, co u diabła, może skłonić kogoś do zrobienia czegoś takiego — zauważył odwracając jedno ze zdjęć, żeby je pokazać Joe'mu. Ten dyplomatycznie wzruszył ramionami.

— Ty nie gustujesz w robieniu takich rzeczy, co? — dopytywał się Tytus.

— Nie, proszę pana.

— Dobrze — powiedział Tytus przekładając zdjęcia i wpychając je z powrotem do koperty. — Dobrze. — A potem, po dłuższej przerwie, dodał:

— Nie chciałbym, żeby ktoś z moich ludzi znajdował przyjemność w czymś, czego ja sam nie lubię.

— W porządku.

Tytus wytarł bok swojego brudnego buta w biały dywanik, a Joe obserwował to z mieszaniną udręki i fascynacji. Przez głowę przebiegły mu nazwy kilku firm czyszczących tapicerkę. W „Delco” robili to szybko i fachowo, przypomniał sobie.

— Pytanie brzmi — powiedział Tytus — co zrobimy z tą damą? Jak najlepiej się nią zająć?

Joe uśmiechnął się, ale zaraz uświadomił sobie, że Tytus nie miał na myśli żadnego *double entendre*, i szybko spoważniał.

— Po pierwsze, musimy ją ochraniać od samego początku — powiedział. — Od chwili gdy *mass media* wyniuchają, co się dzieje, będą ją ścigać jak psy gończe. I jeśli wiem cokolwiek o wujku Robertsie, Sekcja Nieszczęśliwych Wypadków będzie w pobliżu.

Tytus kiwnął głową z powagą.

— Masz rację, Joe. Dopilnuj tego. Ulokuj ją w jakimś miłym miejscu na peryferiach, gdzieś poza Waszyngtonem. W Rockville albo w innej, równie miłej okolicy. Pilnuj jej. Niech będzie do naszej dyspozycji, kiedy będziemy jej potrzebować. Zadbaj o wygody. Daj jej dużo jedzenia, dużo alkoholu. Przyprowadź kilku przystojnych facetów, jeśli tego będzie potrzebowała. Daj jej narkotyki, cokolwiek. Ale trzymaj ją w ukryciu i niech będzie przygotowana. Mam nawet lepszy pomysł: namówię Nadine, aby się nią zajęła.

— Tak, proszę pana.

— Gdzie ona teraz jest? — zapytał Tytus.

— W Filadelfii, pojechała odwiedzić siostrę. Ale jest z nią Nielsen.

Tytus chciał powiedzieć coś złośliwego, ale ugryzł się w język. To, że sam nienawidził widoku swojej własnej rodziny, nie znaczyło, że inni ludzie nie powinni odwiedzać swoich bliskich. Była to jedna z tych ludzkich słabostek, których nie można na codzień unikać.

— Lepiej wracajmy do hotelu — powiedział Tytus. — Chcę porozmawiać z senatorem Rodneyem.

— Tutaj jest telefon — zaproponował Joe, podnosząc samochodowy aparat i włączając go.

— Sądzisz, że chcę rozmawiać z senatorem w moich woderach? — zapytał Tytus.

— No nie, myślę, że nie — odpowiedział Joe.

— W porządku więc — Tytus splótł ręce i rzucił: — Jedźmy.

Po dziesięciu minutach dotarli do hotelu „Elkswood”, białego, obłożonego drewnem budynku, wznoszącego się nad mglistym zakrętem rzeki Shenandoah. Joe wnosił sprzęt Tytusa, gdy ten szedł przez hall, a potem po schodach na górę do swojego dwupokojo-

wego apartamentu, człapiąc głośno w chybocących się woderach.

Agent Secret Service siedział przed drzwiami na składanym krześle. Pograżony był w lekturze „The Playboy Advisor” i gdy Tytus przechodził, stanął w niewygodnej pozycji; ale Tytus, nieomal nieobecny myślami, ścisnął go za ramię i powiedział:

— W porządku, dziękuję, że pozwoliłeś mi wyjść na kilka godzin.

Joe pytająco uniósł brwi, podążając za Tytusem do pokoju. Po lekko pochylonej głowie agenta łatwo było poznać, że Tytus nigdy naprawdę nie był sam. Inny agent Secret Service czekał cierpliwie w lesie nad rzeką z lornetką i bronią ciężkiego kalibru. Tytus był zbyt niepopularny, żeby mógł chodzić sam, bez ochrony. W Cleveland ktoś oddał do niego dwa strzały, a w Fort Worth uderzony został puszką grochu w bok głowy. Do jego biura przychodził dziennie przynajmniej tuzin listów z pogrózkami, łącznie z ponawianą obietnicą „ognistej egzekucji” od kogoś, kto sam siebie nazywał „Wielki Podmuchi”.

— Przygotuj mi drinka — Tytus polecił Joe’mu, zdejmując z wysiłkiem wodery i rozpinając koszulę. — Alkohol jest tam, w tym meblu podobnym do biurka.

Joe otworzył przód biurka i znalazł butelkę „Johnnie Walkera” z czarną nalepką oraz kryształowe szklanki. Nalał dużą porcję whisky i zaniósł naczynie Tytusowi, który właśnie owijał płaszczem kąpielowym w kolorze królewskiego błękitu swe mocno zbudowane ciało o szorstkiej skórze. Tytus wyjął na krótką chwilę cygaro z ust, wypił łyk whisky, potem zakaszał.

— Połącz mnie z Rodneyem.

Joe otworzył czarną walizeczkę Tytusa, opatrzoną specjalnym zabezpieczeniem. Zawierała ona czujniki przeciwpodsłuchowe, sprzęt z detektorem na podczerwień i telefon, wyposażony w urządzenie powodujące zakłócenie treści rozmowy dla podsłuchującego: telefon ten można było włączyć bezpośrednio do gniazdka w ścianie, jak każdy inny, zwykły telefon. Joe wycisnął numer 414 i czekał, aż dźwięk telefonu zmać spokój senatora Rodneya w jego wielopoziomowym domu w Kenosha, w stanie Wisconsin. Senator Rodney był, podobnie jak Tytus, zapalonym wędkarzem, a większość czasu który mógł spędzać w rodzinnym stanie, poświęcał jezioru i swojej łodzi „Spirit of Southport”, drugiej na dwadzieścia trzy stopy.

Tytus stał przy oknie i spoglądał na podjazd hotelowy. Co prawda przez cały dzień było mgliście, ale teraz, kiedy nadciągał wieczór, prawie nie można było dojrzeć rzeki. „Czas duchów” — pomyślał. — „Czas w którym nocne mary i straszne proroctwa stają się prawdą”. Wierzył w przeznaczenie. Tytus walczył w Korei i Wietnamie. To on był ostatnim generałem, który opuścił Sajgon. Zawsze sobie przysięgał, że będzie też pierwszym, który tam powróci. W wieku 52 lat znajdował się w dobrej formie, był muskularny i przystojny. Ćwiczył każdego ranka: sto pompek, pięćdziesiąt przysiadów i dwadzieścia mostków. Mógł wybić pięścią dziurę w drzwiach ze sklejki. Kiedyś rozłożył nachalnego demonstranta, protestującego przeciwko broni nuklearnej. Nie pochodził z bo-

gatej rodziny. Był twardym i bezkompromisowym żołnierzem. Swoją polityczną karierę zawdzięczał wpływowym przyjaciołom w Pentagonie i w przemyśle zbrojeniowym, wyrażającym ciągle obawy, czy polityka zagraniczna Ameryki pozostanie nadal wystarczająco agresywna.

Tytus powiedział kiedyś: „Wolałbym zobaczyć jak Ameryka topnieje, niż jak wpada w ręce Sowietów”. „Newsweek” komentując te słowa, chłodno zauważył, że kiedy Israel Zangwill określił Amerykę jako „Wielki Tygiel”, to nie chodziło mu o to samo topnienie, o którym myślał Tytus.

Nagle Joe odezwał się:

— Senator Rodney? Dobry wieczór. Tak, proszę pana. Przepraszam, że niepokoję w domu. Tu mówi Joe Jasper. Pan Alexander chciałby z panem mówić. Nie, z Shenandoah Valley.

Tytus wziął słuchawkę, wycierając ją uprzednio w płaszcz kąpielowy, jakby Joe mógł zostawić na niej ślinę.

— Ken? Tu Tytus. Jak się masz? Tak. Oczywiście. Słyszałeś najnowsze wieści na temat RINC?

Senator był przeziębiony i sapął przez chwilę do słuchawki.

— Słyszałem, że Marshall mówi już o rozmontowaniu jednej trzeciej naszych pocisków „Cruise”. Pod warunkiem, że dostanie jakieś sensowne gwarancje z Moskwy — powiedział.

— Tak, to się częściowo zgadza — odparł Tytus. Pstryknął palcami na Joe’go, aby ten przyniósł mu drinka. — On się spodziewa jakichś poważniejszych redukcji ze strony Sowietów, w Europie także; ale ciągle jeszcze nie zaszło nic takiego, co usprawiedliwiłoby redukcję naszych Cruise’ów o jedną trzecią.

Senator Rodney pociągnął nosem i zakaszłał.

— Wczoraj wieczorem był program w NBC, w którym stwierdzono, że on z każdym miesiącem coraz bardziej mięknie wobec Sowietów. Szczególnie, jeśli się weźmie pod uwagę sposób, w jaki zwykł się wyrażać przed swoją inauguracją... Dostawałem wówczas gęsiej skórki, kiedy go słuchałem, a wiesz co ja sam myślę na temat redukcji nuklearnej.

Tytus przełknął trochę whisky i dopiero po chwili odezwał się:

— Możemy znaleźć sposób na to, aby go znowu usztynić.

— To dlatego dzwonisz? — ostrożnie zapytał senator.

— Tak, właśnie. Joe natrafił na pewne bardzo ciekawe zdjęcia i nagrania, ukazujące prezydenta Marshalla Robertsa w sytuacji, którą bez cienia wątpliwości można nazwać kompromitującą.

— Świadkowie?

— Najlepsi. Pewna dziwka — osobiście, a także pewna kobieta o nieposzlakowa-

nej opinii, która przypadkiem zobaczyła ich idących razem do jego apartamentu i która miała zadanie nie do pozazdroszczenia: posprzątać po nich, kiedy już skończyli zabawę.

— Sprzątanie. Jakiego rodzaju sprzątanie?

— Zawsze mówiłem, że jesteś lubieżny, Ken. Powiedzmy, że nasz ukochany prezydent poprosił panią, aby mu zrobiła mały prysznic.

Nastąpiła przerwa w rozmowie, w czasie której Rodney z pewnością trawił sensacyjne wiadomości. Po przeciwnej stronie pokoju Joe wepchnął ręce do kieszeni i poczuł, jak drobne, zabawne ciarki zadowolenia przeszły mu po plecach. Potem senator Rodney odezwał się znowu:

— Co zamierzasz z tym zrobić? To jest fantastyczny materiał!

— Na pewno nie zacznę natychmiast biegać po Ovalnym Gabinetie wymachując plikiem zdjęć, nie powiem też Marshallowi, że musi odwołać rozmowy RINC, bo inaczej pożałuje. Nic z tych rzeczy.

— Ale nie chcesz chyba, żeby rozmowy RINC posunęły się dalej, prawda? Żaden z nas tego nie chce. Im dalej się posuwamy, tym więcej obietnic daje Marshall i tym trudniej jest nam zachować wiarygodność. Najgorsza rzecz, jaką możesz robić w polityce, to sprawiać wrażenie, jakbyś ciągle zmieniał zdanie. To gorsze niż się mylić.

— Nie zamierzam wywierać żadnego nacisku na Marshalla, dopóki nie będę pewien mojej strategii. Bądźmy realistami. Zawsze istnieje szansa, że rozmowy RINC w następnym tygodniu same się załamią. Jezu, Ken, trzy miesiące zabrało im podjęcie decyzji, ile czasu każdy z delegatów może spędzić w toalecie. Najważniejsze dla mnie w tym wszystkim jest to, żeby nie zmarnować tej najbrudniejszej i najbardziej cuchnącej informacji o Marshallu jaką kiedykolwiek miałem, gdy jej wykorzystanie będzie naprawdę nieodzowne. Ta rzecz może się okazać bardziej przydatna w czasie wyborów.

— Ciągłe masz oko na Pokój Lincolna? — zapytał Rodney z zauważalną ostrością w głosie. Tytus często odwiedzał prezydenta Nixona w Pokoju Lincolna, kiedy prezydent pracował tam wieczorami i było jasne, że zawsze mu zazdrościł.

— Co ma być, to będzie — powiedział Tytus z niezmaconym spokojem. — Tymczasem zamierzam umieścić naszego głównego świadka w jakimś domu pod Waszyngtonem, gdzie zawsze będziemy mieli łatwy dostęp na wypadek, gdybyśmy jej potrzebowali. Zamierzam strzec jej dzień i noc. Joe mówi, że ta druga kobieta jest prawdopodobnie bezpieczniejsza tam, gdzie się teraz znajduje — w domu w Las Vegas. Jeśli zaczniemy naciskać na Marshalla z powodu tego, co zrobił w Las Vegas w hotelu „Futura” i przypadkiem jedna z pokojowych zniknie, ludzie Marshalla będą wiedzieli kogo szukać. Ta kobieta ma męża i dzieci i w żadnym wypadku nie chcemy, żeby się spłoszyła, gdyby Marshall zagroził jej na przykład spaleniem domu.

— To będzie niebezpieczne, wiesz chyba o tym. Marshallowi nie spodoba się to ani

trochę — Rodney ostrzegł Tytusa.

— Nie boję się Marshalla.

— No, może i nie. Ale on nie podda się bez walki.

— Teraz już nie byłbym tego taki pewien — powiedział Tytus. — Cała odwaga, jak się wydaje, opuściła go. A pamiętasz to przemówienie, które wygłosił w Cow Palace w San Francisco, na spotkaniu przedwyborczym? Całą tę gadkę o „świecie wolności”? Ta mowa o „sprawowaniu kontroli nad komunizmem”? No i co się z tym wszystkim stało, gdy obiecał Sowietom, że wycofa z przestrzeni kosmicznej satelity poszukująco-niszczące? Co się z tym stało, kiedy udzielił amnestii temu sowieckiemu szpiegowi — jak on się nazywał — Newskiemu? Pozwól, że coś ci powiem, Ken. Marshall był podporą amerykańskiego konserwatyzmu politycznego. Teraz jest tylko cholerną galareta.

— Zgadzam się z tobą, Tytus, przecież wiesz — odpowiedział senator. — Jedyne kłopot w tym, że on jest silny, bardzo silny. I szalony. Ma szczelną ochronę i najlepszą sieć informatorów od czasów Eisenhowera. Będzie trudno dobrać się do niego, ostrzegam cię, a nawet gdy ci się to uda, nie będziesz bezpieczny.

— Bezpieczeństwo — odpowiedział Tytus — nie jest dla mnie najważniejsze. Byłem w Changjin Reservoir, pamiętasz? Byłem w Khe Sanh. Nie troszczyłem się o własne bezpieczeństwo wtedy i nie martwię się o nie teraz. Wszystko, czego obecnie chcę, to położyć kres tym przeklętym, katastrofalnym porozumieniom RINC.

— Mam nadzieję, że nie będziesz tego żałował — podsumował Rodney. — Bądź ze mną w kontakcie, dobrze? Kiedy wracasz do Waszyngtonu?

— Natychmiast. Muszę przygotować kilka pułapek.

— A jak się udało wędkowanie?

— Dość dobrze. Złapałem całkiem przyzwoitego pstrąga. Jednak nie takiego jak kiedyś. Może straciłem już czucie w ręce.

— Są większe ryby w Waszyngtonie, Tytus. Wieloryby, ryby-piły i rekiny. Przede wszystkim rekiny. Całe mnóstwo rekinów.

Tytus zachichotał wesoło, a potem odłożył słuchawkę.

— Nie musi pan wracać natychmiast; dziewczyna nie przybędzie do Waszyngtonu wcześniej niż pojutrze. Mógłby pan jeszcze przez jeden dzień powędkować, gdyby pan chciał — stwierdził Joe Jasper.

Tytus skończył drinka i wyciągnął rękę ze szklanką po następnego.

— Joe — powiedział — łowienie ryb wymaga spokoju i koncentracji. W tej chwili nie mam do tego nastroju. Czuję zapach krwi, Joe, dzięki tobie czuję zapach krwi!

— Pochlebia mi pan, panie sekretarzu.

Tytus spojrzał na niego. Joe Jasper był taką łasicą, taką pozbawioną skrupułów, kąsającą i kłamliwą kreaturą, że towarzystwo jego było dla Tytusa czymś wstrętnym. Joe przełknąłby każdą obrazę, wykonałby każde zadanie, niezależnie jak służalcze byłoby

i upodlające. Przybył do Waszyngtonu wraz z ludźmi Nixona z Zachodniego Wybrzeża — z Johnem Ehrlichmanem, Hankiem Haldemanem i Johnem Deanem. Przetrwiał jednak aferę Watergate przyczepiając się („jak wesz” — często myślał Tytus) do tymczasowej administracji, która nastąpiła po niej. Joe Jasper, pomimo swojej bladej, bez wyrazu twarzy, mimo swoich wymyślnych ubrań i ostentacyjnie noszonych złotych pierścieni, mógł wkręcić się wszędzie w Waszyngtonie i od każdego coś wyciągnąć.

— Zapłać rachunek — polecił mu Tytus. — Chcę natychmiast wyruszyć do Waszyngtonu.

— A co z bagażem?

— Wyślij Wilkinsa, żeby zabrał go rano.

Joe zamknął walizeczkę ze sprzętem łącznościowym i pozbierał dokumenty i notatki, które Tytus pozostawił w różnych miejscach apartamentu. Pokój zostanie jutro dokładnie przeszukany w celu usunięcia najmniejszych nawet śladów świszków tajnych papierów, które mogły w nim pozostać. Rzeczy osobiste też zostaną zabrane. A to, że lewicowe środki przekazu odkryją, iż Sekretarz Stanu regularnie zażywa EX-LAX, czy używa kasztanowej farby do włosów Chestnut-7, nie przyda się im do niczego.

Tytus wziął prysznic i ubrał się w szary, moherowy garnitur, założył krawat Drugiej Dywizji Piechoty i włożył do kieszonki chusteczkę dokładnie takiego samego koloru. Tymczasem agent Secret Service polecił, żeby sprowadzono przed hotel czarnego, służbowego Cadillaka Tytusa, gotowego do drogi powrotnej do stolicy. Była prawie szósta trzydzieści, nieprzyjemny wieczór nad Shenandoah, a z powodu mgły było niemal ciemno.

— Jesteśmy wszyscy gotowi do drogi, panie sekretarzu — powiedział Joe, gdy Tytus wyszedł z łazienki, pachnąc wodą po goleniu Jules, z ostatnim z cygar Joe’go ściśniętym między zębami.

— Wykonałeś ten telefon do mojej żony?

— Tak, proszę pana. Zdecydowała się zostać w Filadelfii jeszcze jeden dzień, a wróci najpóźniej w czwartek po południu. Pana pasierbowie są oboje w domu.

— Cholera — powiedział Tytus, poprawiając mankiet i przeglądając się po raz ostatni w lustrze. — Tego mi tylko było trzeba. Carl i Samanta, dwa wstrętne potwory.

Joe zdjął sztywny, siwy włos z pleców Tytusa.

— Był telefon od pana Notta z Wielkiej Brytanii, ale wyraźnie nie był pilny, telefonował też Yusef w sprawie ustaleń co do rurociagu.

— Ani słowa od Schmidta?

Joe pokręcił głową.

— Nie, nic. Wydaje się, że nie chce ujawnić żadnych swoich atutów.

— Hmm — zamruczał Tytus. A potem dorzucił: — Jedźmy więc. Mamy wszystko?

Wyszli z apartamentu i poszli korytarzem. Z jednego z mijanych pokoi dobiegł ich

brzęczący odgłos maszynki do golenia, a z wnętrza następnego stłumione mamrotanie programu „Mary Tyler Moore Show”. Agent Secret Service szedł krok czy dwa za nimi, pogwizdując przez zęby. Jego kolega czekał w hallu.

— Panie sekretarzu — skinął głową drugi agent, gdy Tytus zszedł ze schodów.
— Wszystko gotowe. Jest mi naprawdę bardzo przykro, że musiał pan skrócić wędkowanie.

— Cóż zrobić — Tytus uśmiechnął się sztucznie. Nad blatem hotelowej recepcji wisiał ogromny, wypchany szczupak, oświetlony reflektorem. „Front Royal Towers” zawsze reklamowały się jako „wspaniałe zakątki dla wędkarzy”.

Zeszli po mokrych, kamiennych schodach. Czarna służbowa limuzyna Tytusa stała zaparkowana obok muru otaczającego patio; zwykle rozświetlone — tego wieczoru było ledwie widoczne, pełne kałuż i omszałe, z samotnym zegarem słonecznym, ociekającym wodą w mroku, jak zapomniana płyta nagrobkowa.

— Pojadę razem z Joe — powiedział Tytus ludziom z Secret Service. — Joe, chcę omówić z tobą pewne sprawy dotyczące RINC. Może uda nam się wypracować jakąś strategię.

— Panie sekretarzu, samochód pana Jaspera nie jest kuloodporny — stwierdził jeden z agentów. — Gdyby wystąpiły jakieś zakłócenia...

— Nie uważasz, że to świetne? — Tytus rozchylił usta w uśmiechu. — Oni nazywają próbę zamachu „zakłóceniem”. No więc, mogę cię zapewnić synu, że jedyne znane mi możliwe zakłócenie dotyczy moich kiszek i to tylko dlatego, że moje przekłete przybrane dzieci całymi godzinami okupują rano obie łazienki, robiąc makijaż, goląc się, smarując płynem na trądzik, podczas gdy ja muszę już wyjeżdżać do Departamentu Stanu. W Wietnamie wypróżniałem się tak regularnie, że USS „New Jersey” wystrzeliwał swoje poranne salwy, gdy tylko jego obserwatorzy zauważyli, że drzwi mojej toalety są otwarte. Byłem bardziej dokładny niż chronometr okrętowy.

Agenci wzruszyli ramionami i ruszyli w kierunku służbowej limuzyny, swoim specyficznym dla straży przybocznej chodem, przygarbieni, wymachujący rękami. Tytus wsiadł do samochodu Jaspera i powiedział:

— A może by tak jeszcze jedno z tych twoich tanich cygar? Przednia szyba samochodu była zroszona wilgocią. Joe włączył wycieraczki i przetrął ją.

— Muszę ci powiedzieć, że po raz pierwszy z radością skracam swoje wędkarskie wakacje — stwierdził Tytus. — Powiedz mi, jak ci się udało dostać te rzeczy w swoje ręce? Jesteś chyba geniuszem. Słyszałeś? Moje gratulacje.

Joe włączył silnik.

— Cała rzecz wyszła na jaw, kiedy rozmawiałem z facetem zwanym Iacono w Atlantic City. Powiedział mi po prostu, że spotkał dziewczynę, która przechwalała się, że kiedyś...

Ze wstrząsającym łomotem, jaki powstaje, gdy dziób lodołamacza toruje sobie drogę wśród lodu, pękła przednia szyba samochodu, a cała lawina błyszczących kawałeczków szkła poleciała na ich kolana. W miliardową część sekundy później samochód uniósł się, zadrżał, a następnie opadł z powrotem.

Potem usłyszeli eksplozję, tak głośną, że aż im w uszach zadzwoniło. Zobaczyli ogromną czarną limuzynę Tytusa, unoszącą się w powietrze z otwartymi szeroko drzwiami, jakby z desperacją próbowała wystartować do dalekiego lotu. Obróciła się dachem w dół, jakieś dwadzieścia stóp nad nimi, a potem, obracając się ciągle wokół swej osi, zwała się na patio, zupełnie zgruchotana. Ciągle jeszcze koziołkowała, aż wreszcie uderzyła w zegar słoneczny i przebiła się przez kamienne ogrodzenie otaczające ogród.

Potem nastąpiła druga eksplozja. Tytus powiedział krótko:

— Zbiornik paliwa.

Kula płomieni wystrzeliła w górę, we mgłę. A potem już Cadillac tylko płonął gwałtownie, aż do końca, samego końca, z miękkim zgłodniałym hukiem, jakiego Tytus nie słyszał od czasu Nam.

Wysiadł z samochodu, strzepując grad kryształków z garnituru.

— Powinniśmy, do diabła, wynieść się stąd. Mogą mieć snajperów — powiedział Joe.

Tytus jednak zignorował go i podszedł do szerokiej na dziesięć stóp dziury w ceglonym podjeździe, do miejsca, w którym eksplodowały ładunki wybuchowe. Prawdopodobnie ładunki zostały wsunięte pod Cadillaka, kiedy ten stał tam zaparkowany kilka minut wcześniej, a potem wysadzono je przy pomocy fal radiowych. Tytus popatrzył uważnie w górę w okna hotelowe, sprawdzając jedno po drugim, ale były puste, nie zdradzały niczego.

Wszedł na niski, kamienny murek otaczający patio i przeszedł po wymytych, poobijanych kamieniach brukowych. Samochód ciągle jeszcze się palił, choć jego karoseria poczerniała już i pokryła się pęcherzami, a dymu było nie mniej niż płomieni. Zobaczył ludzką rękę, zwisającą z okna po stronie pasażera, zwęgloną, z czubkami palców ciągle jeszcze płonącymi jak świece. Było w tym coś złowieszczo niesamowitego. Tytus przygryzł wargi i odwrócił się zaniepokojony.

Joe pospieszenie podszedł do niego, trzymając broń wysoko w lewej ręce. Był to gigantyczny rewolwer kaliber 357 i gdyby Joe kiedykolwiek z niego wystrzelił, odrzut prawdopodobnie rzuciłby go na plecy. Zobaczywszy płonący samochód, stanął jak wmurowany.

— Chryste — jęknął.

Ludzie zbiegali ze schodów hotelu, otwierali okna. Światła zapalały się wszędzie. Ktoś powiedział:

— Wezwijcie pogotowie, był wypadek.

„Wypadek” — pomyślał Tytus. Ruszył z powrotem do samochodu trzęsąc się jak stary, osiemdziesięcioletni człowiek. Nie, nie wypadek. „Zakłócenie” — to jest to, co miało miejsce. A on z całego serca, naprawdę chciał wiedzieć, kto za tym stał.

Rozdział piąty

Szef Policji Walter Ruse uważał siebie za prawdziwego mieszkańca Zachodu. Wierzył, iż sprawiedliwość jest czysta, natychmiastowa i pozostawia trwałe piętno. Znano go z tego, że mając na przykład do czynienia z piratami drogowymi, raczej dawał im szybkiego, mocnego kopniaka w tyłek niż wypisywał mandat.

Był z niego potężny chłop, z wielkim brzuchem, ogorzałą twarzą i dwoma blisko osadzonymi oczami koloni chłodnej stali. Kathy Forbes z „The Arizona Flag” mówiła, że jego oczy przypominają dwa gwoździe, sterczące ze świńskiego zadka. Szef Ruse z kolei powtarzał, że Kathy Forbes przypomina mu damulkę średniej klasy. Resztki sympatii pomiędzy policją a prasą w Phoenix wygasały, zwłaszcza tego lata.

Z powodu swego bezpośredniego rozumienia sprawiedliwości, szef Ruse nie był wcale szczęśliwy w związku z oczywistymi komplikacjami, jakie łączyły się z zabójstwem na Oasis Drive. Znaleziono tam ciało kobiety z odciętą głową. Była to jedna z najbardziej brutalnych zbrodni, jakie widział w życiu. Jak dotąd nie mieli żadnego wyraźnego motywu, nie było śladu gwałtu, rabunku czy wandalizmu, nie było nawet napisu „śmierć świniom” nabazgranego krwią na ścianie. Tylko odcięta a raczej odpiłowana głowa, i co gorsza — głowa ta zaginęła. Policyjne psy przeszukiwały teren przez cały ranek i wszystko czego jak dotąd się doszukały to zdechły, śmierdzący kojot. Szef Ruse żywił nadzieję, że nie będzie to początkiem nowej bezsensownej i niewyjaśnionej fali przemocy, dzieła jakiejś kolejnej anonimowej grupy terrorystycznej. Miał i tak dość innych problemów, z którymi właśnie się zmagał. Musiał pilnować, aby mężowie i żony w Phoenix nie strzelali do siebie nawzajem ze swoich pistoletów. A zdarzało się to zawsze latem, kiedy temperatura sięgała osiemdziesięciu stopni Fahrenheita. Ruse zdjął swój wielki kapelusz, wytarł wewnętrzną stronę runda jedwabną chusteczką i pociągnął nosem.

Ciało bez głowy właśnie zabrano. Szef Ruse słyszał jak syrena ambulansu wyła w oddali, z ulicy 36 Ulicy. Stał z rękami opartymi na wypukłych biodrach i kontemplował z przejściem i powagą czerwone rozbryzgi krwi na ścianach i narzucie na łóżku oraz

ciemną falę skrzepłej krwi, która rozciągała się na białym dywanie jak monstrualnej wielkości strup. Usłyszał jak frontowe drzwi domu zamknęły się za kimś, ale nie odwrócił się. Wiedział kto to był. Oczywiście, nucący coś pod nosem porucznik Berridge.

Berridge był chyba najlepszym detektywem Wydziału Zabójstw, jakiego policja z Phoenix zatrudniła w ciągu ostatnich piętnastu lat. Młody, w dobrej formie, inteligentny, dobrze wyszkolony i doświadczony. Szef Ruse uważał jednak, że jest nie do zniesienia nie tylko dlatego, że był tak cholernie dobry, ale i dlatego, że wyglądał jak jeden z tych „szczerzących się” kalifornijskich tenisistów, z błyszczącymi białą zębami i opalonymi torsami. Również dlatego, że miał dopiero trzydzieści jeden lat, jasnosłoneczne, gęste włosy i bystre, błękitne oczy, i ponieważ jego żona Stella była dokładnie taka jak on: była blondynką, piękną i dobrze zbudowaną. Ponieważ był takim zarozumiałym, bolesnym wrzodem na tyłku i jeszcze dlatego, że nie usiedział chwili w spokoju, ale zawsze podrygiwał, skakał na jednej nodze, kręcił się tu i tam, jakby rozgrzewał się przed meczem koszykówki.

— Czy zechce mi pan przekazać swoją opinię, szefie? — zapytał Berridge, szczepiając palce i strzelając kostkami, raz po raz, w kontrolowanych salwach. Szef Ruse zamknął oczy. Nienawidził ludzi, którzy wydawali dźwięki, używając do tego — jako instrumentu — swego ciała. Odezwał się, nie otwierając oczu:

— Jakąkolwiek opinię zdarzy mi się mieć, wiem, że ty masz swoją, która jest sto razy doskonalsza. Może więc przedstawisz mi ją po prostu.

— W porządku — powiedział Berridge, podnosząc palec, aby zaznaczyć punkt pierwszy. — Bez wątpliwości, mamy tutaj niecodzienne trudności, szczególnie jeśli chodzi o identyfikację zwłok. Ale sądzę, że możemy bez ryzyka założyć, iż ta martwa kobieta jest panią Margot Schneider, wdową po zmarłym majorze Rudolfie Schneider z Air Force. Wszystko zdaje się potwierdzać to założenie. Nie mamy karty identyfikacyjnej ani ubezpieczeniowej. Faktycznie nie dysponujemy żadnym dokumentem ze zdjęciem. Ale są jej dokumenty dotyczące emerytury; kiedy sprawdziłem w bazie lotniczej w Luke, potwierdzili jej wiek i ogólny wygląd. I to wszystko się zgadza. Jej lekarz potwierdził grupę krwi, tak jak ta tutaj „Rh” plus. Co więcej, w sekretarzyku są listy od jej przyjaciółki, sięgające roku 1951.

Ruse otworzył oczy i odwrócił się, żeby spojrzeć na Berridge’a tak, jakby młody porucznik plótł zupełnie bzdury. Ale Berridge był zbyt pewny siebie, aby wysyłające śmiertelne promieniowanie spojrzenie szefa Ruse mogło go zbić z tropu. Uniósł drugi palec i powiedział:

— Jeśli o mnie chodzi, najważniejszym pytaniem jest, nie kim ona była, czy dlaczego została zamordowana, ale dlaczego komuś potrzebna była jej głowa? Zgadza się pan? I sądzę, że są trzy możliwe odpowiedzi na to pytanie. Jedna, że jej zabójcy chcieli usunąć wszystkie ślady jakiejś niezwyklej i charakterystycznej rany na głowie. Być może

została zamordowana jakimś niewiarygodnie wyszukany narzędziem, takim jak młotek szklarza, czy przyrząd do mocowania wykładzin. To jest możliwe, ale mało prawdopodobne. Druga: mogli zabrać głowę, aby ją kopać, na przykład.

— Sądysz, że chcieli grać nią w piłkę?

Tym razem Berridge był szczerze zaskoczony, ale udało mu się zwięźle wyjaśnić:

— Mogli ją zabrać z jakiegoś rytualnego powodu, to mam na myśli. Seksualny albo magiczny rytuał. Tego rodzaju kopanie.

— A trzecia możliwość?

— Trzecia możliwość jest taka, że mogli wziąć jej głowę dla kogoś jako dowód na to, że naprawdę ją zabili.

— Innymi słowy, nasza biedna wdowa została zabita w wyniku kontraktu? „Przynieś mi głowę Alfredo Garcii” — tego rodzaju sprawa?

— Tak, taka jest moja konkluzja.

— A więc — Ruse cedził słowa — są to wszystkie możliwości. Nie przybliżają nas one jednak do odkrycia, kto ją zabił ani dlaczego.

— Przeciwnie, szefie — sprzeciwił się Berridge. — Przede wszystkim powinniśmy teraz uruchomić komputer i wyszukać wszystkie zabójstwa ze szczególnym okrucieństwem, w których miały miejsce uderzenia w głowę niezwykłą bronią czy przedmiotami. Potem uruchomić inny program, nastawiony na seksualne lub magiczne kulty, w których ludzka czaszka lub głowa gra szczególną rolę. I w końcu wszystkie zabójstwa popełnione na mocy kontraktu, gdzie głowa czy inne części ciała zostały zabrane jako dowód śmierci.

Rozległ się dzwonek do drzwi frontowych. Berridge powiedział:

— Ja otworzę. To chyba jedzenie, które zamówiłem.

— Zamówiłeś jedzenie?

Berridge wyglądał na zdziwionego.

— Prawdopodobnie będę przecież pracował przez resztę nocy. A w ogóle, to tylko dietetyczny burger.

— Boże, dopomóż — westchnął szef Ruse, podciągając spodnie. — Dietetyczny burger.

Usłyszeli jakieś głosy sprzed drzwi frontowych. Po chwili Ruse wyszedł na korytarz i zapytał:

— Co się dzieje?

— Ach, szefie, tu pan jest — rozległ się dziewczęcy głos. — Szukałam pana wszędzie. Powiedzieli mi, że pojechał pan z koronerem do miasta.

— Nigdy nie jeżdżę ze sztywnymi — odparł Ruse. — A teraz proszę się stąd zbierać, panno Forbes. To jest teren zamknięty, tylko dla policji.

Funkcjonariusz przy drzwiach usprawiedliwił się:

— Przepraszam szefie, ale zwyczajnie przepchnęła się obok mnie.

— W porządku — odezwał się Berridge. — Możemy chyba wpuścić najlepszą reporterkę z „The Arizona Flag”? Może będzie w stanie jakoś nas wesprzeć?

— Następny przeklęty Kalifornijczyk — gderał Ruse.

— Ja nim nie jestem, jeśli chodzi o fakty — powiedziała Kathy, rozpinając swoją czarną torbę na ramieniu, aby sprawdzić reporterski magnetofon. Posłała szefowi szeroki uśmiech, który ukazywał jej piękne zęby.

— Urodziłam się w Tucson, w pobliżu Randolph Park. Wychowałam się w Phoenix i przyjechałam do Los Angeles dopiero, gdy miałam czternaście lat.

— Dzięki za sprostowanie — powiedział Ruse. — A teraz, co chciałaby pani wiedzieć, a czego jeszcze pani nie powiedziano? Ciało zabrano, fotografowie pojechali, grupa sądowa poczyniła wstępne badania i przyjedzie tu jutro, żeby zrobić coś więcej. Wszystko przebiega rutynowo.

— Czy ma pan jakieś teorie? — zapytała Kathy.

— Tak — zdecydowanie odpowiedział Ruse. — Podejrzewam, że pani Schneider została zamordowana.

Kathy nawet nie mrugnęła okiem.

— A pan, poruczniku? Ma pan jakieś pomysły?

— Proszę go nie pytać — wtrącił Ruse. — Według niego głowę pani Schneider obciął albo ktoś, kto nie chciał, żebyśmy wiedzieli, że uderzył ją w głowę jakimś dziwnym przedmiotem, takim jak na przykład pianino; albo jacyś owładnięci seksem i magią szaleńcy, którzy wyładowują się na ludzkich głowach; albo zabójca, który potrzebował pamiętki, żeby udowodnić, że zarobił to, za co mu zapłacono.

— Czy tak? — Kathy zapytała porucznika.

Berridge bębnił palcami po framudze drzwi, w jakimś skomplikowanym rytmie.

— Nie całkiem. Ale sądzę, że można uznać, iż wystarczająco dokładnie.

— A więc, reasumując, szukacie opanowanego przez seks szaleńca z pianinem w rękach, z obsesją bycia wiarygodnym dla swoich pracodawców.

— Panno Forbes — szef Ruse nie wytrzymał. Ale Berridge podniósł rękę, żeby go uspokoić i roześmiał się.

— Spokojnie, szefie, ona celowo pana prowokuje. Powinien pan to zauważyć. Panno Forbes, muszę pani pogratulować tej techniki.

— Przy okazji, porucznik Berridge jest żonaty — powiedział Ruse, pociągając nosem.

— Może przejdziemy do kuchni — zaproponował Berridge. — Tutaj jest dość makabrycznie.

Wziął Kathy pod rękę i poprowadził do schludnej, wyłożonej drewnem kuchni pani Schneider.

— Proszę niczego nie dotykać, dobrze? — zwrócił się do niej. — Chłopcy z sądu skończyli w pokoju gdzie miało miejsce morderstwo, ale muszą jeszcze sprawdzić cały dom.

W kuchni, na ścianie obok lodówki wisiał notes z ważnymi sprawami, o których należało pamiętać, z uwagami: „Nie zapomnij o broce”, „zrealizuj czek”. Na kuchennym blacie stała na wpół dopita filiżanka kawy, z ciągle jeszcze obecnym śladem różowej pomadki do ust kobiety, która nie miała już głowy. Porucznik Berridge wcisnął ręce do kieszeni, rozejrzał się i powiedział:

— Bardzo dziwne, prawda? Ostatnia osoba, która korzystała z tej kuchni, nie żyje.

Szef Ruse wszedł za nimi. Założył ręce na brzuch.

— Nie chcę pani poganiać, panno Forbes, ale jednak to zrobię. Trzy pytania i koniec. Mamy obowiązki w stosunku do wszystkich mass mediów w Phoenix, nie tylko w stosunku do „Flag”.

— Oczywiście, rozumiem — powiedziała Kathy. — Proszę mi powiedzieć, czy nie ma pan przypadkiem jakiejś fotografii ofiary, czegoś co moglibyśmy opublikować?

Szef Ruse spojrzał na porucznika Berridge’a z zakłopotaniem. Wolałby, aby pytanie o fotografię padło później. Problem tkwił w tym, że nie znaleźli żadnych fotografii zamordowanej kobiety, nawet pomiędzy oprawionymi w ramki fotografiami jej rodziny stojącymi na stole w ba wialni. Również sierżant posłany dziś po południu do bazy Air Force w Lukę, aby sprawdził fotografie w ich zbiorach ze spotkań towarzyskich i przyjęć, nie odnalazł żadnego zdjęcia, na którym można by zidentyfikować Margot Schneider. Było mnóstwo zdjęć majora Martina Schneidera, uśmiechającego się i wznoszącego kieliszki z szampanem. Było też jedno, przedstawiające Margot Schneider tańczącą z mężem, ale i ono sprawiło im zawód. Margot odwrócona była plecami do obiektywu.

To było jedyne zdjęcie pani Schneider i dokonanie identyfikacji na tej podstawie okazało się niemożliwe. Wydawało się to dziwne, tak jakby nigdy w życiu się nie fotografowała. Zaginęła nawet jej legitymacja ubezpieczeniowa.

— E..., mamy kilka zdjęć, ale musimy pokazać je najpierw jej krewnym — porucznik Berridge improwizował. — Rozumie pani, jak to jest.

— Czy mogę zobaczyć choć jedno?

Szef Ruse potrząsnął głową.

— Nie tym razem. I nie przed innymi reporterami.

— Dobrze, jak pan chce — stwierdziła Kathy. — Ale muszę powiedzieć, że pani Margot Schneider wydaje się być najmniej fotografowaną istotą ludzką na świecie. Żaden z sąsiadów nie ma jej zdjęć. W „Arizona Biltmore” także brak jej podobizny, pomimo że zwykła chodzić tam na obiady i różne imprezy dobroczynne. No i, oczywiście, nie możemy sfotografować jej po śmierci.

— Racja — kiwnął głową Berridge. — Nie ma głowy — zabrzmiało to jak dowcip.

— Czy nie przyszło panu do głowy, że morderca mógł odciąć jej głowę tylko po to, żeby uniemożliwić wam odkrycie tego, kim ona była? — zapytała Kathy.

— To była Margot Schneider — odpowiedział porucznik Berridge. — Wszystkie dokumenty potwierdzają to. Mamy dokumenty związane z emeryturą, listy od przyjaciół. Kiedy zginęła, miała na nodze jeden pantofel, i ten pantofel został kupiony w Scottsdale Shopping Mall dziewięć tygodni temu, właśnie przez Margot Schneider. Użyła swej karty kredytowej „American Express”. Proszę posłuchać. Istnieją teorie dotyczące przypadków zabójstwa oraz tak zwane „ślepe strzały”. Czasami, albo bardzo rzadko, przypadkowe pomysły sprawdzają się. Ale jeżeli zaczniemy podważać dowody pośrednie i udokumentowane fakty, dowodzące że ofiarą morderstwa była Margot Schneider, to zaczniemy wtedy plątać się w tym wszystkim od samego początku. Szef Ruse i ja zwykle nie jesteśmy jednomyślni, jeśli chodzi o pracę dochodzeniową, ale sądzę że co do tego się zgadzamy. Podstawowym i niekwestionowanym faktem jest to, że kobieta znana jako Margot Schneider została zamordowana poprzez odcięcie głowy. Teraz musimy pracować nad możliwymi teoriami, dotyczącymi pytania „dlaczego”. To właśnie czynimy, jasne? Mogę jeszcze powiedzieć, aby panią uspokoić, że w tym co robimy, jesteśmy bardzo dobrzy. Jesteśmy najlepsi w Phoenix.

Kathy Forbes zamilkła na chwilę. Berridge patrzył na nią z protekcyjnym zainteresowaniem i po raz pierwszy pomyślał, że jest bardzo ładna. Miała ciemne, opadające na ramiona włosy, związane ciasno szkarłatno-żółtą jedwabną chustką, kwadratową twarz z wystającymi kośćmi policzkowymi i dużymi orzechowobrazowymi oczami, a także jeden z tych małych, prostych nosków, które zawsze podziwiał. Jej wydatne usta wyglądały tak, jakby mogły się dużo śmiać, dużo mówić i dużo całować. Figurze również nie można było niczego zarzucić. Miała na sobie lniany kostium w szarym kolorze i przejrzyste szare pończochy ze szwami, takie jakie lubił. Scharakteryzował ją: dwadzieścia pięć lat, najprawdopodobniej rozwiedziona, żadnych dzieci. Miłośniczka Christophera Crossa i entuzjastka aerobiku. Feministka, do czasu gdy znajdzie mężczyznę, który się o nią naprawdę zatroszczy. Stuprocentowa amerykańska dziewczyna, bez plomb w zębach. Tylko piersi trochę zbyt duże, aby je zmieścić w dłoniach. Bez żadnych wątpliwości — prawdziwy, zdrowy okaz amerykańskiej kobiety, panna Kathy Forbes.

— Jeśli chce pani bardziej szczegółowo przedyskutować nasze teorie, to mogę to dla pani zrobić — zaproponował Berridge. Jego głos obniżył się co najmniej o oktawę. — Jednak nie sądzę, abym mógł to uczynić tutaj. Może w restauracji. Nie jadłem przez cały dzień.

— Czyż nie zamówił pan dietetycznego burgera? — zapytał Ruse sarkastycznie.

— Dietetyczny burger? — Berridge śmiał się z zakłopotaniem. — Do czego, u diabła, potrzebny by mi był dietetyczny burger?

— Może mógłbyś odchudzić sobie głowę — powiedział szef.

Rozległ się kolejny dzwonek do drzwi i Ruse poszedł otworzyć.

Był to Jackson Daves z biura burmistrza, który chciał porozmawiać o politycznym aspekcie tego morderstwa.

— Nie chciałbym, aby Phoenix wyglądało jak miejsce gdzie... — coś tam zaczął szeptać w drzwiach do Ruse. — No, rozumie pan, co chcę powiedzieć. Nie próbuję tuszować tej sprawy, ale...

Kathy Forbes zapytała porucznika Berridge:

— Czy pan jest naprawdę żonaty?

— Jesteśmy w separacji. Myślę o rozwodzie. Mary nigdy nie polubiła mojego pomysłu pracy w policji. Głównie z powodu godzin pracy. Jest kobietą z gatunku bardzo systematycznych i nie chce, aby jej życie było tak pełne niespodzianek.

— Czy jest pan całkowicie pewien, że była to Margot Schneider?

— Chce pani zobaczyć dowody? Nie ma wątpliwości.

— To dlaczego to zrobili? Dlaczego odcięli jej głowę? I dlaczego w ogóle ją zabili, jeśli nie była nikim ważnym, lecz po prostu wdową po oficerze? Wszyscy sąsiedzi mówią, że była lubiana. Dlaczego ktoś mógł chcieć zabić taką kobietę?

Berridge wsunął pasek gumy do zucia w usta i wzruszył ramionami. Potem, przypominając sobie o dobrych manierach, zaproponował Kathy:

— Może gumę?

— Nie, dzięki. Myślę, że lepiej będzie jak wrócę do biura. Chcę do dziesiątej wyszlifować mój artykuł.

— Nie ma pani ochoty na kolację? Moglibyśmy pojechać do „Mother Tucker”. To po drodze do miasta. Podają tam doskonałe sałatki.

— No... może.

Ale w tym momencie wszedł szef Ruse i klepnął Berridge’a w plecy.

— Nie ma potrzeby, żeby pan tu dłużej został, poruczniku. Jestem pewien, że Stella już od dawna tęskni za panem.

— Stella? — zapytała Kathy.

— Rozkoszna pani Berridge, panno Forbes. Nasz detektywistyczny as ma jedną z najbardziej szykownych żon w całej policji. Zaskoczyłem panią, nieprawdaż?

Kathy uśmiechnęła się do Berridge’a cierpko. Porucznik mimo całej pewności siebie, zarumienił się.

— Tak, szefie — powiedziała Kathy — zaskoczył mnie pan.

— Może podwieźć panią z powrotem do miasta? — zapytał Berridge. — Bez zatrzymywania się gdziekolwiek.

— Nie, dziękuję. Mam swój samochód.

— W takim razie, pani może mnie podrzucić. Proszę poczekać kilka minut, a ja się upewnię, czy wszystko załatwione. Szefie, chce się pan spotkać ze mną jutro, na śniada-

niu, powiedzmy o siódmej? Naprawdę chcę włączyć komputer do tej sprawy.

Kathy czekała w kuchni, podczas gdy Ruse i porucznik Berridge ustalali spotkanie na dzień następny. Poczula się teraz zmęczona. Wstała o szóstej i wkrótce dowiedziała się o morderstwie Margot Schneider. Miała ochotę na papierosa, ale właśnie minęło dziewięć tygodni, od kiedy zapaliła po raz ostatni i była zdecydowana poprawić ten rekord. Tym razem musiała wytrzymać. Nie chciała być niewolnicą niczego ani nikogo.

Porucznik Berridge mylił się co do jej wieku. Miała dwadzieścia dziewięć lat. Nie mylił się co do rozwodu. Przed sześcioma laty, w Los Angeles, poślubiła olśniewającego, błyskotliwego młodego aktora, Dawida Forbesa i przez cztery lata wiedli życie pełne radości i uśmiechu, przyjąć na plaży i tańców do białego rana. Ale pewnego dnia wróciła niespodziewanie do domu z podróży do Arizony i znalazła Dawida w łóżku z dwiema nastolatkami o dużych, przerażonych na jej widok oczach. Jej świat rozpadł się w jednej chwili jak alabastrowe jajko. Może powinna była być w tej kwestii bardziej wyrachowana, bardziej „hollywoodzka”. Przecież mężczyźni potrzebowali rozrywki. Ale każda jej reakcja na to musiała być negatywna. Poślubiła Davida na zawsze, jakkolwiek staromodne by się to nie wydawało, i jeśli to nie miało być na zawsze, w takim razie lepiej, aby nie trwało ani minutę dłużej. Odeszła.

Nie prosiła go o nic, nawet o swoją część wartości ich mieszkania w Westwood. Dał jej jednak Miradę, ich samochód, prawdopodobnie w wyniku porady prawnika, i całą kolekcję litografii Miro. „Chodź na górę i obejrzyj moje litografie” — to była pierwsza rzecz, jaką do niej kiedyś, dawno temu, powiedział.

Kiedy tak czekała, jakiś funkcjonariusz policji z dużą teczką wszedł do kuchni. Był drobnej budowy, przygarbiony, z wąsem, jeden z tych policjantów, którzy wydają się nosić nazwisko Rizzo albo Wuschinsky i którzy zawsze mają taką przepraszającą minę, nawet dokonując aresztowania. Położył nieuporządkowany stos magazynów, fotografii i dokumentów na kuchennym stole i zapytał:

— Czy widziała pani porucznika Berridge? Miałem mu oddać te rzeczy.

— Zaraz tu będzie — odpowiedziała. — Rozmawia z szefem Ruse.

— Aaa, w porządku. Ale czy mogę zostawić to tutaj? Sprawdzi pani, czy porucznik Berridge to dostał? Muszę iść do domu. Dziś są moje urodziny, uwierzy pani? Żona planuje od tygodni przyjęcie-niespodziankę. Gdy przyjdę, wszyscy będą chować się w szafach, strzelać nadmuchanymi prezerwatywami, a ja będę udawał, że nie wiem, co się dzieje. Co by było, gdybym ich zawiódł?

— W porządku — uśmiechnęła się Kathy. Wzięła stos papierów i przesunęła go przed siebie. — Co mam powiedzieć, że jak się pan nazywa?

— Russo. Policjant Russo. Będą wiedzieli o kogo chodzi.

— A nie Rizzo?

Policjant spojrział na nią ze zdziwieniem.

— Rizzo? — zapytał.

— To tylko taki żart — powiedziała Kathy. — Przepraszam. Przekażę te papiery porucznikowi.

— To są rzeczy ze strychu pani Schneider. Nie było tam nic więcej oprócz tego i ubrań.

— W porządku — powiedziała Kathy.

Russo wyszedł i Kathy została sama z papierami pani Schneider. Nie było cienia wątpliwości, najlepsza reporterka „Flag” zamierzała do nich zajrzeć. Przeglądała wszystko pośpiesznie. Jej oczy śmigały po polisach ubezpieczeniowych, fakturach, rachunkach adwokackich, kosztorysach garażowych, niewielkim zbiorze wycinków prasowych o Clarku Gable i innych aktorach. Wszystko to było spięte razem zardzewiałym spinaczem. Była jeszcze naddarta recenzja z „The Mistifs” („dlaczego właśnie ten spośród wszystkich innych filmów?”) — i nagle coś, co Kathy zmroziło. Polaroidowa fotografia, stara polaroidowa fotografia, pożółkła i poplamiona, czarno-biała fotografia mężczyzny uśmiechającego się ku słońcu, zastygłego w geście odgarniania gęstej czupryny; mężczyzny, którego twarz widziała Kathy wcześniej tysiące razy na zdjęciach w codziennych gazetach i w magazynach, jednak nigdy w dokładnie takiej pozie jak ta, nigdy w takiej sytuacji. To był John F. Kennedy, co do tego nie było żadnych wątpliwości, uśmiechnięty, jak żywy, ubrany w białą tenisową koszulkę z krótkimi rękawami. Tak żywy, że podpisał fotografię: „Dla N, na pamiątkę, P”.

„P”? — zastanawiała się Kathy. To był z pewnością John F. Kennedy, nikt inny. Może „P” oznaczało Prezydenta, albo jakieś zdrobniałe imię? Ale kto to był „N”? Może pisał „M” — Margot? Patrzyła ze zmarszczonym czołem przez dwie czy trzy minuty na fotografię, aż usłyszała szefa Ruse i porucznika Berridge wychodzących z pokoju, w którym popełniono zabójstwo. Porucznik mówił:

— Jutro badania krwi, a potem możemy sprawdzić wyniki u jej lekarza.

Wepchnęła zdjęcie do kieszeni swego kostiumu i niewinnie uśmiechnęła się.

Berridge wszedł do kuchni i zapytał:

— No, co tam u pani? Czy nadal zamierza mnie pani podwieźć?

— Jeśli pan chce — uśmiechnęła się. — Przy okazji, jakiś funkcjonariusz o nazwisku Rizzo zostawił te papiery dla pana.

— Rizzo?

— Russo. Drobna różnica.

Porucznik Berridge skrzywił się.

— Nic dziwnego, że nigdy nie drukują poprawnie mojego nazwiska w tych przeklętych gazetach. Jak to mnie „Star” nazwał w zeszłym tygodniu? Burberry!

Samochód Kathy zaparkowany był przy krawężniku. Na Oasis Drive zmierzchało. Ciemności rozpraszał jedynie słaby blask słońca, zachodzącego za Phoenix Mountains.

Pod wieczornymi chmurami błyszczały i migotały światła Paradise Valley i Phoenix. Nadzieja, rozpacz, walka i spokój; wszystko to wyrażone przez jedno skrzące się białe światło. Porucznik Berridge otworzył drzwi Mirady od strony fotela pasażera, wsiadł i powiedział:

— Miły wieczór. Czy będzie ci przeszkadzało, jeśli zapalę? Kathy włączyła silnik i zwolniła hamulec ręczny.

— Naprawdę myślisz, że złapiecie tego dowcipnisia? — zapytała, kiedy trzaskał zapalniczką i łapczywie zaciągał się dymem.

— Złapiemy.

— I naprawdę myślisz, że ta kobieta którą zamordowano, to Margot Schneider?

— A któż inny mógłby to być? Czy istnieje może jakaś inna kobieta poza tobą, która nosi twoje pantofle, twoją koszulę, twój makijaż i mieszka w twoim domu?

Nie odpowiadając Kathy skręciła w lewo, w 24 Ulicę. Dopiero potem odezwała się:

— Rzeczywiście, to bardzo okrutne morderstwo. Możesz sobie wyobrazić, ile siły musiał mieć morderca, żeby tak jej odciąć głowę?

Porucznik Berridge wzruszył ramionami.

— A co szef Russe myśli o tym? — zapytała Kathy. — Wygląda na bardzo zmartwionego.

— Pewnie. Trzy ulice na wschód i cała sprawa pozostałaby poza jego jurysdykcją. Dotyczyłaby policji z Paradise Valley. Ale nie martw się. Dowiemy się, kto to zrobił. Przestępstwa takie jak to zawsze w jakiś sposób rozwiązują się same. Gdy najmniej się tego spodziewamy.

— Rozwiązują się same? Czy to nie pozbawi cię kiedyś pracy? Mijali restaurację „King of Beef” na rogu Campbell Avenue.

— Jesteś pewna, że nie dasz namówić się na stek?

Kathy poklepała go po kolanie i uśmiechnęła się pobłaźliwie.

— Pojechałabym do domu, do Stelli, gdybym była tobą, poruczniku. Będzie się zastanawiała, gdzie się podziewasz.

Berridge uchylił wieczko samochodowej popielniczki i zdusił papierosa.

— Szlag by to trafił — zaklął.

Rozdział szósty

Niepodobny do większości lokali, w których można się było napić, bar zwany „U Hank’a”, nie był jednym z tych solidnych bunkrów z klimatyzacją, plastikowymi żaluzjami i toaletą, zawsze wyglądającą jak po wielkiej bitwie. Nie miał nawet jednego z tych niebiesko-czerwonych napisów w oknie, zachwalających „Coors” albo „Bud”, albo „Eats”.

Był to salon w starym stylu, w jedynym eleganckim budynku w całym Apache Junction; budowli, która została wzniesiona w najlepszych czasach kopalni „Zaginiony Hollender” przez przedsiębiorczą, ale nieszczęsną madame o nazwisku Regina Smibbs. Hankiem zwano łysego sprzedawcę pianin o nazwisku Rufus McNeice. Jego żona nigdy nie pochwałała picia, więc Rufus przez trzydzieści lat wiódł podwójne życie. Publicznie głosił wstrzemięźliwość, a w samotności popijał małymi łykami z butelki, którą — ukrywając przed żoną — przymocowywał przy pomocy magnesów do podwozia swojego samochodu. Kiedy w 1972 roku jego żona zmarła, Hank załatwił licencję na sprzedaż alkoholu i otworzył bar, w miejscu, w którym sam pragnął baru najbardziej — w największym salonie swojego domu.

Daniel siedział tam z Carą, kiedy wszedł Ronald Reagan Kinishba, cały ubrany w czarne motocyklowe skóry, machając swoim kaskiem. Był wysoki. Miał przystojną twarz ze śladami po ospie i nos wymodelowany na podobiznę dzioba orła. Podniósł rękę, pozdrawiając Hanka za barem. Potem podszedł i położył kask na stoliku przed Danielem.

— Cześć, Ronald — powiedział Daniel. — Jak się masz?

Ronald rozpiął chyba z dziesięć różnych zamków, zdjął kurtkę i powiesił ją na oparciu krzesła. Pod spodem nosił turkusowy bawełniany podkoszulek ozdobiony napisem: „Pamiętaj Ah-jon-jon.”

— No, w porządku — powiedział ochrypłym głosem. — Postawisz mi piwo?

— To jest Cara — przedstawił Daniel. Cara skinęła głową.

— Cześć.

Ronald oparł łokieć na stole i oglądał ją z dużym zainteresowaniem. Miała na sobie obcisłą bawełnianą bluzkę, przez którą przeświecały brodawki, jak ciemne wszywające plamy i jeszcze bardziej obcisłe różowe szorty.

— Czy Daniel dobrze cię traktuje? — zapytał Ronald.

Cara położyła dłoń na ręce Daniela i uśmiechnęła się.

— Tak dobrze jak każdy mężczyzna, dziękuję.

— Cara przyjechała z Południowej Dakoty — zaznaczył znów Daniel. — Co chcesz? Może Coors'a?

— To będzie dobre — odparł Ronald. A potem odezwał się do Cary. — Ty przejazdem, słoneczko, czy chcesz tu pozostać?

— A zgadnij — odparła.

— Bądź ostrożna z tym facetem — ostrzegł ją Ronald. — Ma bardzo dziwny wpływ na kobiety. Tak naprawdę, to ma dziwny wpływ na każdego. Indianie mają swoje określenie na facetów takich jak on.

— Tak? — zapytała Cara.

— Pewnie. Nazywają ich *moksois*.

— A co to znaczy? — Cara chichotała.

Ronald spojrzał na nią z udawaną powagą.

— „Brzuchacz” — powiedział, a potem głośno się roześmiał.

— Nie przywiązuj uwagi do tego, co on mówi — odezwał się Daniel.

Hank podał im dwa piwa i lemoniadę dla Cary.

— Czy Willy przyjdzie dzisiaj? — chciał wiedzieć Ronald.

— Miał tu być o dziesiątej — powiedział Daniel. — No, ale wiesz, jaki on jest. Znów coś go zatrzymało w bazie.

— Zapewne nie praca, gdzież tam — uśmiechnął się Ronald, przyciągając swoje krzesło o kilka cali bliżej do Cary i gapiąc się na nią z nieskrywanym uznaniem.

— Trzymaj się trochę dalej od niej — ostrzegł go Daniel.

— Bądź ostrożna — Ronald szeptał do Cary. — On jest bardzo zaborczy, a jednocześnie szalony. Jeśli cię tylko przyłapie, jak patrzysz na innego faceta, zabije cię. Nie masz pojęcia, w co się pakujesz.

Cara znowu zachichotała i powiedziała do Daniela:

— On jest bardzo miły, nie sądzisz?

— Miły? Czy grzechotnik może być miły?

— Och, daj spokój — powiedziała Cara.

Drocząc się tak, rozmawiali i pili przez następną godzinę, aż zrobiło się dobrze po jedenastej. Wtedy Daniel spojrzał ponownie na zegarek.

— Wiecie co? To niepodobne do Willy'ego. Nigdy nie jest zbyt punktualny, ale nigdy też nie spóźnia się tak jak dziś. A szczególnie, kiedy ma do stracenia picie.

— Może dali mu jakąś dodatkową robotę? — podsunął Ronald.

— Dlaczego twoi rodzice nazwali cię Ronald Reagan? — zapytała Cara.

Ronald wzruszył ramionami.

— Oboje nie byli zbyt lotni. No, może byli bystrzy, ale niewykształceni. Myśleli, że jak dadzą mi imię po jakimś białym bohaterze, to będzie mi łatwiej radzić sobie w świecie białego człowieka. Jedynym białym bohaterem jakiego znali był Ronald Reagan.

— Dobrze przynajmniej, że nie nazwali cię Mickey Rooney — podsumowała Cara.

Daniel jeszcze przez chwilę kręcił się niespokojnie, a potem powiedział:

— Chyba zadzwonię do bazy. Sprawdzę, może go tam zatrzymano.

— Właśnie, dlaczego po prostu nie poszedłeś i nie zrobiłeś tego wcześniej? — zapytał Ronald i przysunął się jeszcze bliżej do Cary. — I proszę, nie spiesz się.

Zastępca szeryfa, Pete Burns, wszedł do baru i poznawszy ich, kiwnął im ręką. Był łagodnym mężczyzną, z dużym brzuchem, ale i tak wlepił Ronaldowi mandat za przekroczenie prędkości osiem razy w ciągu ostatnich dwóch lat. Zawsze też jasno dawał do zrozumienia, że z radością i bez wahania wsadziłby do paki każdego obywatela Apache Junction, gdyby tylko wiedział, że robi on coś niezgodnego z prawem. „Prawa nie są ustanowione po to, żeby z nich drwić”, zwykł powtarzać, zbyt często aby go jeszcze słuchano. Ronald równie często oskarżał go o bezduszne stosowanie prawa.

Daniel wyszedł do hallu. Hank umieścił automat telefoniczny w pobliżu drzwi frontowych, obok stojaka na parasole w kształcie nogi słonia. Daniel wepchnął dziesięciocentówkę i wykręcił numer bazy Air Force w Williams.

W salonie Ronald mówił do Cary:

— Co kobieta wyglądająca jak ruda lisica, robi przy miłym, spokojnym facecie, takim jak Daniel? Czy kiedykolwiek jechałaś na motocyklu? Na tylnym siodełku? Wyobraź sobie wiatr we włosach, gwiazdy w oczach i ryczący silnik o pojemności 749 centymetrów ściśnięty przez twoje uda.

— Daniel jest przystojny — powiedziała Cara.

— Słuchaj, nikt nie mówi, że nie jest. Ale ja mówię o czterech poprzecznie ustawionych cylindrach, elektronicznym zapłonie i głowicach Pentroda.

— O czym mówisz? — zapytała.

Ale właśnie wrócił Daniel i znowu wyglądał na zdumionego. Usiadł i powiedział:

— Nie ma go. Mówią, że nie było go tam przez cały dzień.

— No, to może nie było.

— Nie, specjalnie podkreślał, że wraca do zbrojowni, żeby przeprowadzić jakieś testy.

— Może się rozmyślił.

— To nie była jaka rzecz, co do której mógłby zmienić zdanie. To było coś pilnego.

Ronald skrzywił się.

— Nie wiem, co powiedzieć. Jeśli go tam nie ma, no to nie ma. Daniel skończył piwo. Może Ronald miał rację, może to on był po prostu śmieszny. Ale nie mógł zapomnieć tego, o czym Willy mówił mu z takim przejęciem dziś rano — wszystko to o pociskach, które nie działają przeciw sowieckim kodom radarowym i o tym, że głowy pospadają. A teraz nie było go tam, gdzie być powinien.

— Nie musisz się martwić — powiedziała Cara. — On jest dorosły. Jest majorem Air Force, na miłość boską. Jestem pewna, że sam potrafi troszczyć się o siebie. No, przynajmniej ufam Bogu, że potrafi zatroszczyć się o siebie, kiedy myślę, że jego zawód, to troszczenie się o nas.

— Może jeszcze jedno piwo? — zaproponował Ronald. — Tym bardziej, że ty stawiasz.

Daniel gryzł kciuk w zamyśleniu.

— Słuchaj — odezwał się. — A co byś powiedział na szybką przejażdżkę do bazy, tak po prostu, aby upewnić się, że go tam nie ma?

— Żartujesz?

— Martwię się, to wszystko. Willy wyraźnie mi powiedział, że będzie pracował w zbrojowni przez większość dnia i że będzie tutaj o dziesiątej.

Ronald z rozdrażnieniem przechylił się do tyłu w krześle.

— Wiesz, co o tym myślę? To twój chwyt, żeby się mnie stąd pozbyć. Żeby nie mógł już dłużej robić wrażenia na twojej dziewczynie moją wyższą inteligencją i zdecydowanie lepszym wyglądem.

— Głupi jesteś — odparł Daniel. — Zawieziesz mnie tam, czy nie?

— O.K. — zgodził się Ronald niechętnie. — I tak chciałem wypróbować, jak wyregulowałem silnik.

— Ale co ja mam robić, kiedy wy będziecie pędzić w sto koni do bazy Air Force? — zapytała Cara.

Daniel pochylił się i pocałował ją w policzek.

— Zechciej wrócić do baru i powiedzieć pani Koperwas, że może pójść do domu i dać panu Koperwas kolację. A jeśli Susie jeszcze nie śpi, możesz wyłączyć telewizor i dać jej klapsa w pupę.

— Czy tak już będzie do końca świata? — westchnęła Cara. — Mężczyźni bawią się, a kobiety siedzą i czekają na ich powrót do domu.

Ale na zewnątrz, w ciemności, kiedy Ronald poszedł po motocykl. Cara objęła Daniela w pasie, przycisnęła się do niego i pocałowała raz... dwa... trzy razy, z namiętnością której łatwo się nie zapomina.

— Będziesz tam długo? — szeptała mu do ucha. — Poczekam na ciebie, aż wrócisz. Naprawdę.

Daniel pocałował ją w kark i mocno ścisnął rękami jej pośladki.

— Wiesz co? — wyszeptał. — Masz najpiękniejszą pupę od czasów Sabine.

— W porządku, przerwijcie to macanie — powiedział Ronald, doprowadzając swego błyszczącego, czarnego Nighthawka. — Jeśli jest coś, czego nie lubię bardziej niż skąpstwa, jakim jest na przykład niepostawienie mi jeszcze jednego piwa, to jest to samowola z macania takiej wspaniałej rudowłosej kobiety, wprost na moich oczach.

— Masz swój motocykl do kochania, czego chcesz więcej? — zapytał Daniel.

Ronald wzruszył ramionami.

— On jest w porządku. Tylko, niestety, zostawia olej na pościeli — powiedział.

Cara posłała Danielowi ostatni pocałunek i poszła poboczem drogi do baru. Pod fluorescencyjnymi lampami rzucała cztery cienie, we wszystkie cztery strony świata.

— To świetna dziewczyna — powiedział Ronald, siadając okrakiem na motocyklu i zapinając kask. — Dokładnie w twoim typie. Doświadczona i mądra dzięki swoim podróżom, z nienajmłodszą ale ładną twarzą i wielkimi, lecz zgrabnymi cyckami.

Daniel wszedł na wysokie, pokryte skórą tylne siodło i objął Ronalda mocno w pasie.

— Czy nikt ci nie powiedział, że Indianie mają tylko chrząkać i jodłować, i zwracać się do każdego, kogo spotkają „kemo sabay”?

Ronald odwrócił się i spojrzał na niego krzywo.

— „Kemo sabay”? Co to takiego? Jakiś gatunek wina?

— Rusz tyłek — powiedział Daniel ze zniecierpliwieniem.

Ronald odpalił Nighthawka, pobudzając silnik do życia. Motocykl grzmiał i wibrował, gdy Ronald zwiększał obroty, już byli w drodze, już podskakiwali na zakurzonej szosie mijając Carę. Posłali jej ostatnie pożegnanie klaksonem, zanim zahuczeli, zmierzając na zachód, drogą numer 60 w kierunku Mesy.

Ronald rozróżniał dla jazdy motocyklem tylko dwie prędkości: „zdychająca” i „prestissimo”. Daniel przyłgnął desperacko do jego skórzanej kurtki. Kiedy Ronald pędził w ciemności, owady stukały w jego kask jak miękkie szrapnele. Motocykl przeskakiwał z jednej strony szosy na drugą, mijając ciężarówki, samochody i ogromną przyczepę ciągniętą przez traktor, wiozącą żywy inwentarz.

— Jutrzejsze cheeburgery! — zawołał Ronald przyspieszając. Pędził już z prędkością stu dziesięciu mil na godzinę. Daniel zamknął oczy i próbował nie myśleć, co by się stało, gdyby uderzyli w jakiś kamień albo zabłąkane zwierzę lub pojazd bez świateł.

Skręcili w lewo, na South Lindsay i kiedy skierowali się na południe, do bazy lotnictwa w Williams. Ronald znowu otworzył przepustnicę. Transportowy „Herkules” lądował właśnie, zbliżając się z południowego-wschodu. Jego światła migotały w ciemności, kiedy obniżał swój lot nad pustynią niczym wielki, czarny ptak-olbrzym, bohater wschodnich legend. W końcu zwolnili i skręcili w kierunku głównej bramy bazy. Gdy zatrzymali się, wyszedł ku nim wartownik. Powiedział:

— Proszę karty identyfikacyjne. — Jego twarz pod białym hełmem była tak samo uprzejma, co łagodna, ale w głosie drgała jakaś pełna napięcia struna i z miejsca oczywistym stawał się fakt, iż nikt nie dostanie się do bazy bez właściwej przepustki, a zwłaszcza już Indianin w czarnej skórzanej kurtce.

— Przyjechałem zobaczyć się z majorem Williamem Monahanem — powiedział Daniel. — Mówił mi dziś rano, że zamierza pracować w zbrojowni. Czy mógłby pan skontaktować się z nim i powiedzieć mu, że tu jestem?

— Jak się pan nazywa? — zapytał wartownik. — Czy ma pan jakiś dokument tożsamości?

Daniel sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wręczył wartownikowi kartę ubezpieczeniową. Żołnierz przyjrzał się jej spod hełmu i zapytał:

— Daniel F. Korvitz?

— Tak.

— W porządku, proszę chwilę poczekać — powiedział i wszedł z powrotem do swojej jasno oświetlonej wartowni. Podniósł słuchawkę. Rozmawiał z kimś przez około pięć minut. W tym czasie Ronald i Daniel czekali na niego, siedząc ciągle okrakiem na motocyklu, w olśniewającej powodzi światła, oświetlających bramę bazy Air Force.

— Chciałem cię o coś zapytać — powiedział Daniel.

— O co?

— Kto to jest ten Ah-jon-jon? Facet, którego imię masz na koszulce.

— Nigdy nie słyszałeś o Ah-jon-jon? Był Indianinem ze szczepu Assinboin. Pojechał do Waszyngtonu i spotkał tam prezydenta Andrew Jacksona. Był pod takim wrażeniem obyczajów białego człowieka, że porzucił kożle skóry, pióra i ubrał się jak modniś. Potem, któregoś dnia, pobił laską innego Indianina za to, że ten nie dawał wiary jego słowom. To było coś, co — jak widział — robią biali ludzie. Jego nieszczęście tkwiło w tym, że pobity Indianin wrócił i zastrzelił go, czego by pewnie nie zrobił, gdyby Ah-jon-jon był faktycznie białym.

— Czy jest w tym jakiś morał?

— Nie wiem, może. Bądź sobą, to miałyby być morały. Albo: nie próbuj grać, gdy zostali nie znają reguł gry.

Daniel odchrząknął.

— Czy to jest warte noszenia specjalnej koszulki?

— Może.

Wartownik odłożył w końcu słuchawkę i wyszedł na zewnątrz. Oddał Danielowi kartę ubezpieczeniową i stał, patrząc na niego, jakby nie mógł się zdecydować, co powiedzieć.

— No więc? — zapytał Daniel. — Czy major Monahan jest, czy nie?

— Jest tam, ale go nie ma.

— Co to, u diabła, ma znaczyć?

Wartownik spuścił głowę tak nisko, że Daniel mógł zobaczyć poniżej wygiętego brzegu jego hełmu jedynie usta o bladych wargach, które powiedziały:

— Przykro mi, ale muszę panu powiedzieć, że major Monahan nie żyje.

Daniel poczuł się nagle tak, jakby dotknął odizolowanego przewodu elektrycznego. Przez jego ciało przebiegły lodowate ciarki, nie całkiem rzeczywiste.

— Nie żyje? O czym pan mówi? Widziałem go dziś rano. Powiedzieli mi przez telefon, że nie było go w bazie przez cały dzień.

— No tak, przykro mi, ale musiało zajść nieporozumienie. Był tutaj przez cały dzień. Ale krótko po godzinie drugiej trzydzięci po południu zdarzył się wypadek przy śmigłowcu „Hughes”. Major Monahan zginął na miejscu.

— Czy on leciał?

— Nie, proszę pana. To był wypadek na ziemi. Ale obawiam się, że to wszystko, do powiedzenia czego mnie upoważniono. Jeśli zostawi mi pan swój adres, ktoś z bazy napisze do pana i poda wszystkie szczegóły we właściwym czasie.

Daniel zsiadł z motocykla. Ledwo mógł utrzymać się na nogach. Ronald odezwał się do niego:

— Daniel, *moksois*, spokojnie.

— Spokojnie? Ten facet mówi mi, że Willy nie żyje. Na miłość boską, co się stało?

Bezkrwiste usta, poniżej brzegu hełmu, powiedziały:

— Żałuję, ale nie zostałem upoważniony do przekazania panu tej informacji, lecz jeśli zostawi mi pan swój adres...

— Pierdolę ten adres, co się stało?

Zapanowała długa cisza, okropna, trochę za długa, jakby wpisana w scenariusz kiego serialu, pokazywanego w poniedziałkowe popołudnia. Ćma zafurkotała i błysnęła między nimi. Gdzieś w bazie ożył na chwile silnik odrzutowy, potem zamarł ponownie.

— On go nie widział — powiedział wartownik. — Był nieuważny. Cofnął się i wirnik śmigłowca odciął mu głowę.

Daniel wpatrywał się w mężczyznę bez słowa. Potem odwrócił się do Ronalda i wyszeptał:

— Lepiej zabierz mnie do domu.

Twarz Ronalda była napięta, oczy błyszczały od łez, które nagle napłynęły mu do oczu — łez wstrząsu, frustracji i smutku.

— W porządku.

Wracali powoli przez noc. Nawet kiedy dojechali do Apache Junction nie odezwali się do siebie, ale gdy Daniel zsiadł, złapał Ronalda za przegub ręki i ścisnął mocno.

— Pamiętaj Ah-jon-jon — powiedział tak cicho, że Ronald ledwo go słyszał. — Nie

próbuj grać, jeśli pozostali nie znają reguł gry.

— Mówisz o Willym?

— Nie wiem — powiedział Daniel. Musiał zacisnąć wargi, żeby ukryć żal, a ściskanie w gardle było tak mocne, że nie od razu mógł odpowiedzieć. — Pogadamy jutro, dobrze? Dziękuję za podwiezienie.

Ronald pozostał na motocyklu i patrzył za odchodzącym Danielem, jak ten wyjmuje klucze i otwiera drzwi do swego baru. Na górze, w mieszkaniu Daniela, zabłyśło światło.

Rozdział siódmy

Szef Ruse siedział przed swoim ogromnym telewizorem w spodniach wygodnie rozpiętych, z odpiętymi zapinkami czerwonych szelek, z nogami opartymi na stołku. Oglądał nocny film „They Saved Hitler’s Brain” i popijał ciepłe mleko z kubka, z namalowanym na nim napisem: „świnia szefem”. Mimo brzęczącego pod oknem klimatyzatora, w bawialni było ciągle uciążliwie gorąco. Od czasu do czasu Ruse wyjmował chustkę do nosa wielkości małego prześcieradła i przykładał ją do ciągle spoconej twarzy.

Jego żona, Ingrid, siedziała u góry, przed ozdobioną falbankami z tafty toaletką, z maseczką z owsianki na twarzy, z włosami ciasno nawiniętymi na wałki. Jej córka, Maisie-Ann, leżała na łóżku, na różowej pikowanej narzucie, w różowym pikowanym płaszczu kąpielowym, jedząc preparowane płatki z dużej torebki i czytając poradnik „Cudowna dieta na trzy dni”. Dzwonek u drzwi zagrał „The Bluebells of Scotland”. Ojciec Ingrid był szkockim inżynierem zatrudnionym przy budowie linii kolejowej Wschód-Zachód i Ingrid na zawsze pozostała dumna z tego, że płynie w niej prawdziwa szkocka krew. Ruse tolerował jej pledy i serwety w szkocką kratę, aby jej dogodzić. Ale zdecydowanie zaprotestował, gdy poprosiła go, żeby nosił czasem — od święta — szkocką spódnicę.

— Nie będę nosił spódnicy nigdy i dla nikogo — powiedział swemu zastępcy, żaląc się kiedyś.

— Maisie-Ann, otworzysz wreszcie te drzwi? — wrzasnął.

Nie było odpowiedzi i przy drzwiach zagrało znowu.

— Maisie-Ann!

— Ona jest już ubrana do spania! Ty idź! — zawołała Ingrid.

Rozwścieczony Ruse zwlókł się z fotela, zapiał rozporek i poszedł, powłócząc nogami, do hallu.

— Kobiety — gderał półgłosem. Dzwonek zadzwonił jeszcze raz, zawołał więc:

— Idę, na litość boską, już idę.

Otworzył drzwi. Na zewnątrz, pod lampą oblepioną ćmami, stał szczupły, wysoki mężczyzna w białoniebieskim garniturze i srebrnym krawacie, zawiązanym w gruby

węzeł. Rondo kapelusza w kowbojskim stylu zakrywało mu twarz.

— Szeł Ruse? — zapytał mężczyzna. — Przykro mi, że przeszkadzam o tak późnej porze. Nazywam się Skellett.

— Co pana tu sprowadza, panie Skellett? Czy nie jest to przypadkiem coś, co mogłoby poczekać do rana?

— To nie zabierze dużo czasu, szefie Ruse.

Mężczyzna sięgnął do garnituru i wyjął czarny skórzany portfelik, który wręczył bez żadnych wyjaśnień. Szeł Ruse otworzył go i przeczytał:

„James Skellett, Narodowa Agencja Bezpieczeństwa.”

Ruse znowu wyciągnął swoją chusteczkę i osuszył nią kark.

— NAB? O co panu chodzi?

Skellett zabrał portfel i wypchnął go do kieszeni.

— Wolałbym wejść. To nie jest sprawa, o której chciałbym rozmawiać w progu.

— Oczywiście, proszę wejść — powiedział Ruse i cofnął się pod ścianę, podczas gdy Skellett przeciskał się obok jego brzucha. — Mam nadzieję, że to nic skomplikowanego. Miałem ciężki dzień, mówię panu. Przez cały poranek posiedzenie w Komitecie do Spraw Kredytów, po południu narada w Wydziale Drogowym, a wieczorem zabójstwo, od którego włosy stają dęba. Przyszedłem do domu i mój obiad był już zimny. Chociaż dzisiaj wcale nie miałem na niego ochoty.

Weszli do bawialni. Ruse wyłączył fonię telewizora i wskazał krzesło.

— Wypije pan piwo? — zapytał.

— Nie, dziękuję — odparł Skellett. — Nie chcę zabierać panu zbyt dużo czasu. Rzecz w tym, że to mrozące krew w żyłach zabójstwo, to właśnie sprawa, o której przyszedłem porozmawiać. Sprawa pani Schneider.

Szeł Ruse usiadł.

— Ach tak? — odrzekł, patrząc uważnie na Skelletta. — A co? Wiecie coś, czego my nie wiemy?

Skellett zdjął kapelusz. Miał falujące jasne włosy, zaczesane z jednej strony wąskiej czaszki na drugą tak, aby przykryć powiększającą się łysinę.

— Zapewne będzie pan zadowolony, gdy się pan dowie, że dzisiaj, tuż po pierwszej po południu, FBI odkryła miejsce pobytu zabójcy pani Schneider.

— Dlaczego nikt mi nie powiedział?

— Nikt panu nie powiedział, ponieważ aż do tej chwili utrzymywano to w ścisłej tajemnicy. Ale jestem upoważniony powierzyć ją teraz panu, bo ma pan prawo wiedzieć, a także dlatego, że ma pan obowiązek przedsięwziąć odpowiednie kroki dla utrzymania tej sprawy w tajemnicy.

— Może pan mówić jaśniej, panie Skellett?

Skellett pochylił się do przodu i mówił, mruczając konspiracyjnie.

— Istota tej sprawy leży w tym, że pani Schneider była zamieszana w pewną działalność, która dotyczyła bezpieczeństwa Air Force — w przekazywanie niektórych informacji ludziom, którzy nie mieli do nich prawa. Wie pan, o czym mówię? Ale, jak się zdaje, ostatnim razem nie zrobiła tego, co miała zrobić według instrukcji tych, którym przekazywała te informacje. Albo raczej, przekazała im informacje do niczego nieprzydatne — w każdym razie postanowili pozbyć się jej. Odcięli jej głowę, ponieważ nie chcieli, żeby ktoś ją rozpoznał. W rzeczywistości była bowiem agentką komunistyczną o nazwisku Olga Woroszyłow. Przybyła tu w 1948 roku z zamiarem szybkiego poznania i poślubienia oficera Air Force. Była takim agentem, którego my nazywamy „śpiącym”. Słyszał pan o tym? Agent pozostaje w „uśpieniu” przez dziesięć, a może dwadzieścia lat i przygotowuje sobie odpowiedni grunt. Kiedy otrzymuje sygnał, zaczyna przekazywać informacje.

— Tak, słyszałem o tym — powiedział szef Ruse. — I ona była takim agentem?

— Tak, właśnie — kiwnął głową Skellett. — I dlatego musi pan utrzymać tę sprawę w sekrecie. Olga Woroszyłow była ogniwem całej siatki komunistycznych szpiegów, spośród których wielu jeszcze działa. Jeśli zrobimy zbyt dużo zamieszania wokół jej śmierci, zaalarmujemy ich i ukryją się. A my przecież chcemy ich wytropić i oddać w ręce sprawiedliwości.

— Mówi pan, że ci z FBI złapali faceta, który ją zabił?

Skellett uśmiechnął się pod nosem.

— Nie złapali, znaleźli. Był na dnie wozu w Deming w Nowym Meksyku, w spalonej furgonetce. Wyglądało na to, że zasnął w czasie jazdy.

— Skąd wiedzieli, że to on? To znaczy, jak mogli być tego pewni?

— We wraku samochodu znaleźli elastyczną piłę. A przecież ona została zamordowana przy pomocy elastycznej piły, prawda? Znaleźli także jej głowę.

— Znaleźli głowę?

Skellett potaknął, prawie z zadowoleniem.

— Spaloną, aż do kości, ale nie może być mowy o pomyłce.

— No, a czy mogę ją zobaczyć? — zapytał Ruse. — Chciałbym, żeby moi specjaliści z medycyny sądowej zbadali ją i upewnili się, że jest to właściwa głowa.

— Szefie — odparł Skellett. — Ilu mężczyzn moglibyśmy dziś znaleźć w jakiejś niewielkiej odległości od Phoenix z giętką piłą i odciętą ludzką głową w samochodzie?

— Nie więcej niż jednego, jestem pewien — zgodził się szef Ruse. — Ale i tak chcę, aby moi eksperci medyczni ją obejrzel.

— Nie jestem pewien, czy to będzie możliwe, szefie. A w ogóle, to mam nakaz z NAB, aby przejąć ciało Margot Schneider. Przygotujemy chłodnię, żeby zabrać ją wcześniej rano.

Szef Ruse na moment zeszytniał, a potem aż się uniósł w fotelu.

— Chwileczkę, panie Skellett. To było jednak zabójstwo popełnione w granicach miasta Phoenix i jako takie podlega mojej jurysdykcji, skoro popełniono je na moim terytorium. Zanim ten trup opuści moje podwórko, chcę mieć przynajmniej satysfakcję, że został właściwie zbadany i zidentyfikowany przez moich ekspertów, a także, że cała wymagana papierkowa robota jest w porządku. Zrozumiał pan? Ta kobieta nie zgubiła swojej portmonetki, jej odcięto głowę. A ja nie zamierzam dawać pretekstu nikomu, kto by chciał powiedzieć, że nie postępowałem zgodnie z wymaganą w takim przypadku procedurą. Nie w sprawie takiej, jak ta. Nie, proszę pana.

— Szeffie Ruse — powiedział Skellett, teraz już prawie rozdrażniony. — Musi pan zrozumieć, że jest pan w swych działaniach osamotniony. To jest sprawa bezpieczeństwa narodowego. Daleko ważniejsza, niż jakieś lokalne śledztwo.

— Panie Skellett, nie mogę zaniedbać właściwej procedury.

— Nakaz NAB będzie krył pana tyłek.

— Mam bardzo duży tyłek, panie Skellett.

— To jest bardzo mocny nakaz.

Ruse nie odzywał się. Zaglądał do swojego kubka z napisem „świnia szefem”. Gapił się na pomarszczony kożuch, który uformował się na powierzchni ciepłego mleka, tak jakby widział na nim coś interesującego. Skellett wstał i obciągnął płaszcz.

— No, to chyba wszystko uzgodniliśmy, szefie? — zapytał.

— Nigdy w życiu, proszę pana.

— Ma pan zamiar sprzeciwiać się nakazowi wydanemu w interesie narodowego bezpieczeństwa?

— Mam zamiar wykonać moje zadanie. A mój obowiązek to zidentyfikowanie tej martwej kobiety i przeprowadzenie właściwych oględzin zwłok. Każdy, kto spróbuje mi przeszkodzić, albo mnie powstrzymać, naraża swoją dupę na areszt, jasne? To wszystko.

— Chce się pan pojawić w „Time” w przyszłym tygodniu, jako lokalny szef policji, który przeszkodził w największej operacji szpiegowskiej, jaka została kiedykolwiek przeprowadzona w Stanach Zjednoczonych?

Szef Ruse wstał i podciągnął spodnie.

— Chce panu coś powiedzieć, panie Skellett. Nie obchodzi mnie, jak wypadnę w gazetach dopóty, dopóki wykonuję pracę, za którą mieszkańcy Phoenix mi płacą. I chcę panu jeszcze coś powiedzieć: gdyby miał pan władzę, do jakiej rości pan sobie pretensje, nie musiałby mi pan grozić i obrażać przedstawiciela prawa, który po prostu, zgodnie z prawem wypełnia swe obowiązki. Co więcej, gdyby pan naprawdę był zaangażowany w największą operację szpiegowską, jaką kiedykolwiek przeprowadzono w USA, to z pewnością nie mówiłby mi pan o tym. Myślę, że już czas, żeby pan sobie poszedł.

Skellett podniósł kapelusz.

— Muszę pana uprzedzić, że niezależnie od wszystkiego przyjedziemy rano po ciało.

— Spróbujcie tylko — powiedział szef Ruse, nadal uśmiechając się. — Napotkacie uzbrojoną straż dookoła kostnicy i więcej telewizyjnych i radiowych reporterów, niż będziecie w stanie sobie poradzić. Chcecie wyciągnąć ciało bez głowy na ulicę i spróbować je uprowadzić? No to spróbujcie — to wszystko, co mam do powiedzenia. Tylko spróbujcie!

— Robi pan błąd — powiedział Skellett.

— Nie, panie Skellett. To pan popełnił błąd. Nie przychodzi się do prywatnego mieszkania szefa policji w środku nocy, chyba że ma się zamiar wyciąć jakiś głupi numer. Więc niech pan pozwoli, że coś panu powiem. Nikt nie będzie wycinał mi głupich numerów w Phoenix, a już szczególnie młodzi funkcjonariusze agencji rządowych. A teraz wynoś się pan stąd, zanim wypróbuję swoje buty na pana tyłku.

Skellett westchnął z rezygnacją i precyzyjnie umieścił kapelusz na głowie.

— Wie pan co? — zapytał, idąc do drzwi frontowych i otwierając je. — Doprawdy, czasami się zastanawiam, po której stronie jest społeczeństwo. Tak naprawdę po której. Prawdopodobnie bardziej pan pomoże w ciągu tej jednej nocy Związkowi Radzieckiemu niż Julius i Ethel Rosenberg w ciągu całego roku.

Kiwnął głową na dobranoc i odwrócił się, ale w tym momencie szef Ruse wykonał zamach nogą i kowbojski but wylądował na siedzeniu Skelletta z taką siłą, że nogi, odrywając się od schodów, nie pozwoliły złapać mu równowagi. Zwalił się ciężko na niskie łańcuchowe ogrodzenie, biegnące wzdłuż przejścia prowadzącego do frontowych drzwi.

— Oszalał pan? — krzyknął. — Czy kompletnie postradał pan zmysły?

Szef Ruse stanął w drzwiach i założył ręce na swym ogromnym brzuchu.

— Był pan nieproszonym gościem, panie Skellett, a w naszym stanie gospodarz nie może być pociągnięty do odpowiedzialności karnej nawet za strzelanie do intruza. Nawet jeśli go zastrzeli. Ma pan i tak szczęście, iż siedzi pan na swoim tyłku, przed frontem mojego domu, wrzeszcząc na mnie. Mógłby pan już być mięsem dla psów. A teraz niech się pan stąd wynosi i nie wraca więcej.

Skellett wstał i ze złością otrzepał garnitur.

— Cholera, będę musiał oddać go do czyszczenia — mruczał. — Cholerne mohero-we ubranie, za dwieście pięćdziesiąt dolarów.

Ruse zamknął za sobą drzwi i przekręcił zamek. Potem przeszedł do kuchni, otworzył lodówkę i wyjął dużą, zimną puszkę piwa.

— Walter, chyba nie pijesz piwa? — zawołała Ingrid z góry. Szef Ruse nie odpowiedział. W zamyśleniu pociągnął łyk z puszkę, zostawiając mokry ślad warg na szczycie zmrożonego aluminiowego opakowania. Pomyślał o różowej szmince, którą Margot

Schneider pozostawiła na filiżance z kawą.

— Walter! — Ingrid znowu zawołała. — Nie pijesz piwa, prawda? Wiesz, że od tego brzydko pachnie ci z ust.

— Jezu — Ruse wyszeptał do siebie. — Te kobiety...

Zabrał puszkę do bawialni i podniósł słuchawkę telefonu.

Wykręcił dwa numery, zanim zlokalizował porucznika Berridge. Nie spiesząc się, wyjaśnił co zaszło. Berridge, który najwyraźniej był w łóżku ze Stellą, sądząc po szelestach i kuszących chichotach słyszalnych w tle, powiedział:

— Chcą ciała? Niemożliwe! Naprawdę znaleźli głowę!?

— Mówi, że znaleźli. Ja jej nie widziałem. W dodatku, według Skelletta, jest spalona. Nie ma na niej ani odrobiny ciała.

— Dokonanie identyfikacji na podstawie kości czaszki to nie problem, szefie. Zęby, kości szczękowe i tak dalej. Nie ma sprawy. A prócz tego przecięta szyja powinna dokładnie pasować do ciała, które mamy na West Washington.

Ruse popił i czekał.

— Niech pan słucha, Berridge, zobaczymy się w biurze jutro o siódmej rano. Przedtem zamierzam jeszcze zatelefonować do Kearneya i upewnić się, czy cały budynek jest zamknięty. Chcę także umieścić ludzi na dachu. Nikt niczego z miasta nie wywiezie, a zwłaszcza szczątków Margot Schneider, dopóki ja nie wydam na to pozwolenia.

— Pewnie, szefie. Do zobaczenia jutro.

— Pewnie — odpowiedział Ruse i odłożył słuchawkę. Stał na środku pokoju, z jedną ręką w kieszeni, połykając od czasu do czasu hausty zimnego piwa i zastanawiając się, czy może nie potraktował jednak Skelletta trochę zbyt obcesowo. Jeśli faktycznie był agentem Narodowej Agencji Bezpieczeństwa i jeśli naprawdę miał nakaz przejęcia ciała Margot Schneider...

— Cholera — zaklął do swego różowego odbicia w lustrze nad kominkiem. Prezentowało wielkiego, muskularnego mężczyznę, oprawionego w pozłacaną ramę, w pokoju pełnym reprodukcji ośnieżonych gór w Vermont, ozdobnych serwetek, perkalu i ohydnych lakierowanych tradycyjnych foteli. Wszystko, co nie miało falbanek czy lamówek, ozdobione było pledami w szkocką kratę. Szef Ruse miał czasami ochotę przynieść z policyjnej zbrojowni do domu półautomatyczny karabin Ingrama i rozwalić to wszystko w diabły.

Ale to, oczywiście, złamałoby serce Ingrid.

Rozdział ósmy

Pierwszą wiadomość nadano o 11.30 wieczorem. „Limuzyna Departamentu Stanu, należąca do Tytusa Alexandra, została wysadzona w powietrze koło Elkswood Hotel w Zachodniej Wirginii. Zginęli dwaj agenci Secret Service. Sekretarz Stanu Tytus Alexander uniknął śmierci, decydując się w ostatniej chwili na podróż innym samochodem. Pierwsze teorie głoszą, że bomba została podłożona przez OWP albo przez samotnego maniaka zwanego «Wielki Podmuch», który często groził śmiercią Sekretarzowi Stanu.”

Nadine przyleciała z Filadelfii natychmiast, po to aby zauważono ją w takiej chwili u boku męża. Została sfilmowana na lotnisku w dużych ciemnych okularach, które sprawiały, że wygląda jak wielka sowa. Powiedziała, że jest „wstrząśnięta, oburzona i wdzięczna Bogu”. Zapomniała dodać, że przykro jej z powodu dwóch zabitych członków ochrony.

Wróciła do Georgetown, do ich eleganckiego, zbudowanego w stylu kolonialnym, porośniętego bluszczem domu. Zastała Tytusa w bibliotece z Joe Jasperem i stwierdziła, że w pokoju jest gęsto od dymu. Zanim zapytała Tytusa, czy dobrze się czuje, przeszła dumnym krokiem przez bibliotekę i otworzyła okno.

— Cześć. Myślałem, że jesteś u siostry — powiedział Tytus chłodno.

— Byłam, kochanie, jeszcze trzy godziny temu. Przed trzema godzinami skończyłam właśnie zupę i podnosiłam nóż i widelec, żeby zjeść pełen talerz pieczonej kaczki.

— Twoja siostra sprawia, że jesz za dużo. Przy twym wzroście zawsze powinnaś być szczupła.

Joe Jasper popatrzył z zakłopotaniem na Nadine, a potem znowu na Tytusa.

— Mogę się przejść — zaproponował.

— Zostań — powiedział Tytus.

Nadine, przybierając pełną współczucia pozę, zapytała:

— Czy wszystko w porządku, kochanie? Czy nie zostałeś ranny?

— A czy wyglądam na rannego? — odparł Tytus. Potem — uświadomiwszy sobie że

jest zbyt niegrzeczny — wstał, wyciągnął do niej rękę i powiedział:

— Mam się dobrze, dziękuję. Miałem szczęście, a ci dwaj biedni chłopcy nie. Dziękuję, że przyjechałaś.

Przytrzymał ją za łokcie i ucałował w policzek. Starła się wyglądać na tak obojętną, jak to tylko było możliwe.

— Ciocia Betty prosiła, żebym przekazała ci ucałowania od niej.

— To całkiem nieoczekiwana serdeczność z jej strony.

— No tak — powiedziała żywo Nadine. — Ona ma siedemdziesiąt dwa lata. Staje się zgrzybiała. Nie bardzo wie, kto jest kto.

Joe wtrącił, żeby zmienić temat tej rozmowy:

— Czy mam pani przygotować drinka, pani Alexander? W lodówce jest butelka Martini.

— Proszę wytrawne sherry, jeśli nie masz nic przeciwko temu — powiedziała Nadine. Zdjęła z ramion białą etolę z norek i usiadła naprzeciwko Tytusa, w jednym z dużych, obitych czerwoną skórą foteli, stawiając z ukosa swoje doskonałe nogi z przesadną elegancją. Była ciągle bardzo atrakcyjną kobietą.

— Jak się ma Penelopa? — zapytał Tytus.

— Och, z Penelopą wszystko w porządku. Jest bardziej zaniedbana niż kiedykolwiek.

— Nie może być ani trochę bardziej zaniedbana niż wtedy, kiedy widziałem ją po raz ostatni.

Nadine lekko westchnęła z rozdrażnieniem.

— Jak tylko wracam do domu, ty znowu krytykujesz moją rodzinę.

— Nadine, przecież to ty powiedziałaś, że jest bardziej zaniedbana niż zwykle.

— No, ale ja mam prawo do tego. Ona jest przecież moją siostrą. Co ty możesz wiedzieć o siostrzanej miłości!

— Niewiele. Chociaż wydaje mi się, że to odmiana wojen punickich na małą skalę, prowadzona przez dwie siostry każdego czwartego lipca, w weekend Święta Pracy, w Święto Dziękczynienia i w Święta Bożego Narodzenia.

Joe, wyraźnie zmieszany, wręczył Nadine szklaneczkę wytrawnej sherry. Wypiła łyk i lekko się skrzywiła.

— Siki. jak zwykle. Dlaczego nigdy nie kupisz Croft Original? — zapytała Tytusa.

— Ponieważ kiedy kupiłem Croft Original, zrobiłaś taką samą minę i powiedziałaś: „Siki, jak zwykle. Dlaczego nie kupisz Croft Original?”

— Kłamiesz, jak zawsze — powiedziała Nadine otwierając torebkę i wyjmując papierosa. — Nic dziwnego, że zrobili cię Sekretarzem Stanu.

— Nadine, jacyś ludzie próbowali zabić mnie dziś wieczorem. Nadine przez chwilę patrzyła na niego bezmyślnie, potem niedbale wzruszyła ramionami, założyła nogę na

nogę i czekała, aż Joe podejdzie i zapali jej papierosa.

— Przepraszam — powiedziała. — Nic nie poradzę na to, że w taki właśnie sposób na siebie oddziałujemy.

Tytus usiadł znowu i zetknął opuszkami swoje grube palce. Jego głos brzmiał bardzo szorstko i bardzo poważnie:

— Może to być zbieg okoliczności, ale kilka godzin wcześniej, zanim to się wydarzyło, Joe przyszedł do mnie z bardzo szczególnym materiałem na temat Marshalla. Z czymś, czego moglibyśmy użyć, żeby wpłynąć na całą politykę obronną i spowodować zamrożenie RINC.

Nadine wypuściła kłęb dymu.

— Nie mów mi, że Marshall kiedykolwiek zachowywał się źle.

— Jest jak wszyscy ludzie, pani Alexander — wtrącił Joe. — Ma pewne, wie pani, zachcianki, słabości. Pewne, no...

— Perwersje? — zapytała.

Twarz Tytusa pozostała niewzruszona.

— Właśnie — powiedział. — Perwersje.

— I chcesz użyć tego „szczególnego materiału”, cokolwiek masz na myśli, aby przerwać rokowania RINC?

— Tylko wtedy, gdy Marshall nie będzie rozsądny.

— Co dla ciebie znaczy „być rozsądnym”? Czy to, że będziemy dalej gromadzić broń nuklearną, ogromnym kosztem i bez powodu? Nie jestem pacyfistką, Tytus, na miłość boską, ale wiem, że mamy już dość bomb i pocisków, aby sto razy zetrzeć świat na proch. Jaki to ma sens?

Tytus odkaslnął.

— Sens jest taki, Nadine, aby zapobiec nierównowadze w tej dziedzinie. To jest sens i cel.

— Nierównowadze? — kpiła Nadine. — Czy brak równowagi to wszystko, o co się martwisz?

— Istnieje coś takiego, jak „współczynnik globalnego zniszczenia” — dodał Joe.

— A, tak. To mój ulubiony termin — stwierdziła Nadine. — Generał Housman nazywa to krótko: ilość razy, z jaką USA jest w stanie dokonać całkowitej zagłady świata, do ilości razy, z jaką jest w stanie to zrobić Związek Sowiecki. Biedny generał Housman, tak się tym martwił, kiedy po raz ostatni z nim rozmawiałam. My możemy zniszczyć Ziemię tylko czterdzieści jeden razy, podczas gdy Sowieci aż sześćdziesiąt trzy.

— Nadine — przerwał jej Tytus. — Proszę, daj spokój.

— A, tak, zapomniałam — ciągnęła Nadine. — Jako lojalna i oddana żona Sekretarza Stanu naprawdę nie powinnam mówić takich rzeczy. Kiedy wychodzisz za jastrzębia, musisz zachowywać się tak jak i on.

— Jakkolwiek cyniczna byś nie była, Nadine... — wtrącił Tytus.

— Cyniczna! — wybuchnęła. Wręczyła Joe'mu na wpół dopitą szklankę sherry i powiedziała: — To jest okropne. Przynieś mi Martini. — Potem znowu spojrzał na Tytusa.

— Ja nie jestem cyniczna, mój kochany. Ja jestem realistką. I jestem dorosła.

— W każdym razie jestem przekonany, że mogę ci zaufać. Cynicznej, czy też nie. Spojrzała na niego ostro.

— Do czego zmierzasz?

— Mówię po prostu, że wiem, że mogę ci ufać.

— No, oczywiście, że możesz mi ufać. Nie planuję zrezygnowania z szansy zostania Pierwszą Damą w przyszłym roku, tylko dlatego, by czerpać drobne radości z rozgłaszania nudnych, głupich szczegółów o twoich brudnych, małych intrygach. Mój Boże, Tytus, ty nigdy nie powiedziałeś, ani nie zrobiłeś niczego, co byłoby warte rozplotkowania.

— Chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła — powiedział Tytus. — Nie mogę tego uczynić sam, w każdym razie nie teraz. Z powodu tego, co się stało w Elkswood Hotel, ludzie z Secret Service stoją teraz w trzech zwartych szeregach wokół mnie.

— Zauważyłam jedynie krótko ostrzyżonych mężczyzn w ciemnych garniturach, drepczących po ogrodzie.

Tytus dokończył swoje Martini i stuknął paznokciem o brzeg szklanki tak, że zadzwoniła.

— Nadine, chcę, żebyś się zajęła naszym głównym świadkiem. Dziewczyną, z którą zadawał się Marshall — tą, która może nam pomóc zahamować rozmowy RINC. Chcę, żebyś się z nią spotkała i umieściła w bezpiecznym miejscu, a potem dbała o nią tak długo, dopóki będziemy jej potrzebowali.

— Co mam robić? Karmić ją orzeszkami i czytać jej „Życiorysy prezydentów”?

— Nadine — Tytus upomniął ją cicho. Joe Jasper próbował się uśmiechnąć, ale było to zbyt trudne.

Prawda była mniej więcej taka: małżeństwo Tytusa i Nadine stanowiło jedną z osobliwości Waszyngtonu. Można je było śmiało uznać za atrakcję równą pomnikowi Lincolnowi i Smithsonian Institution. Tytus i Nadine wspaniale dopasowali się seksualnie, jednak ich zapatrywania polityczne, ich osobowości, były zupełnie różne. To co ich łączyło, oprócz pożądania i łóżka — to ambicja. Nadine była urodzoną demokratką z Południa (jej ojciec był bliskim przyjacielem Hermana Talmadge'a i B. Everett Jordana), podczas gdy Tytus był upartym i zawziętym Jankesem z Illinois, którego ojciec nie kontaktował się prawie z nikim, oprócz poborcy podatkowego i policjanta zwanego Cummings, z którym grywał w soboty w pokera. Tytus i Nadine poznali się na przyjęciu w Białym Domu, za czasów Nixona. Oboje pili za dużo. Potem pojechali do „Madison Hotel” i kochali się dziko przez całą noc i następny ranek. Pobrali się, ponieważ Tytus

chciał zostać Prezydentem, a Nadine chciała być Pierwszą Damą. Ciągłe wertowała „Architectural Digest”, wybierając meble, zastawę stołową i ręcznie haftowaną pościel do Białego Domu. Ich małżeństwo, według Joe Jaspera, było tak proste jak narkotyk, romans i ambicja.

Nadine często myślała, że powinna była zostać gwiazdą filmową albo modelką. Miała 5 stóp i 10 cali wzrostu, gęste faliste włosy, ramiona jak Arnold Schwarzeneger i wspinały 38-calowy biust. Ktoś kiedyś powiedział, że wyglądałaby najlepiej jako figura na dziobie galeonu. Ale ona pragnęła Białego Domu bardziej niż cegokolwiek innego.

— Ta dziewczyna pewnie jest dziwką? — zapytała Tytusa.

— Niezupełnie dziwką — odpowiedział Joe. — Bardziej kimś w rodzaju hostessy.

— Zdajesz sobie sprawę z tego, że prosisz mnie o coś zupełnie przeciwnego moim zasadom etycznym i moralnym?

— Możliwe — zgodził się Tytus. — Ale nie przeciwnego twoim osobistym interesom. Jeśli Marshall Roberts nie zdoła pchnąć naprzód rozmów RINC, to nie ma wątpliwości, że poniesie poważną porażkę polityczną. Z powodzeniem może go to zmusić do rezygnacji z prezydentury na długo przed rozpoczęciem przyszłorocznej kampanii wyborczej.

Nadine popijała Martini i patrzyła na Tytusa w zamyśleniu.

— Przyszło ci do głowy, oczywiście, że to Marshall Roberts mógł nakazać podłożyć tę bombę pod twój samochód...

— Myślałem o tym.

— Wie, jaki masz apetyt na Biały Dom i wie, że jesteś gotowy zrobić wszystko co się da, żeby przerwać odprężenie w stosunkach ze Związkiem Radzieckim.

— To prawda. Nie przeczę temu. On jest na samym szczycie mojej listy podejrzanych.

Joe Jasper wtrącił:

— Nie mogę uwierzyć, że to była na przykład OWP. Nie po tych dyskusjach, które odbyliśmy z Arafatem. Mógł to być raczej samotny zamachowiec, albo jedna z tych radykalnych podziemnych grup z lat sześćdziesiątych, takich jak Yippies, czy Czarne Pantery. Ostatnio znów zaczynają być niespokojne.

— To dlatego, że chcą wykonać ostatni ruch zanim staną się zbyt starzy — powiedział zjadliwie Tytus. — Nie. Stawiam swoje pieniądze na Sekcję Nieszczęśliwych Wypadków Marshalla lub jakiegoś samotnego szaleńca. Nie uświadamiasz sobie jak modne stało się obecnie zabicie kontrowersyjnego polityka czy legendarnej gwiazdy rocka. To specjalność lat osiemdziesiątych. No, bo dzięki doskonałej polityce ekonomicznej Marshalla ludzie nie mają dużo więcej do roboty, nieprawdaż?

Nadine odwróciła się do Joego.

— Opowiedz mi o tej dziwce. O tej hostessie.

Joe usadowił się na poręczy fotela.

— Nazywa się Colleen Petley, znana jest też jako Rita Haze. Ma dwadzieścia pięć lat, pochodzi z Forth Worth w Teksasie. Opuściła dom w dziewiętnastym roku życia, po zajściu w ciążę. Straciła dziecko, ale nie wróciła do rodziny. Pojechała do Las Vegas z zamiarem zostania krupierem. Nie trwało zbyt długo i wpadła w oko facetowi zwanemu Denny DiMarco, dużego kalibru alfonsovi z Vegas. Zadbął o nią, wyszkolił i zrobił z niej wysokiej klasy hostessę, biorącą tysiąc dolarów za noc. Jest dziewczyną z rodzaju tych, które robią absolutnie wszystko, czego chce od nich mężczyzna. Ma wystarczającą klasę, żeby można ją było zabrać na obiad i udawać, że to stała dziewczyna albo nawet żona. Kiedy zaś przyjdzie czas na łóżko, ona robi wszystko. Każdą rzecz jaka facetowi przyjdzie do głowy i jeszcze kilka innych, które mu nawet nie przyjdą na myśl.

Nadine nerwowo strząsnęła popiół z papierosa.

— A czego oczekujecie ode mnie? Co mam zrobić dla tej mistrzyni seksu?

— Najważniejsze, to utrzymywać ją w przekonaniu, że jest bardzo ważna — powiedział Tytus. — Chcemy zapewnić jej wszelkie wygody, jakich mogłaby sobie życzyć: mężczyźni, narkotyki, co tylko wymyślisz. Ale nie możemy dać jej żadnych pieniędzy, bo za bardzo wyglądałoby to na przekupstwo. Jeśli ma stanąć przed Komisją Kongresu, to chcę, żeby była czysta tak, jak to tylko jest możliwe. Przynajmniej, jeśli chodzi o wiarygodność jej informacji.

Nadine nie odezwała się. Joe Jasper pochylił się do niej i zapytał:

— Jeszcze Martini? — ale potrząsnęła głową.

— Jesteś popularna. Masz dobrą prasę. Jesteś podziwianą kobietą — mówił Tytus. — Colleen Petley, kiedy cię zobaczy, zacznie zdawać sobie sprawę z tego, jak ważne będą jej zeznania, nie tylko dla niej, nie tylko dla mnie. ale dla całej Ameryki. Jeśli nie dla świata.

— Czy ty naprawdę sądzisz, że ona jest świadoma swoich obowiązków w stosunku do Stanów Zjednoczonych? — zapytała Nadine. — Dziwka z Las Vegas?

— To twoje zadanie, aby ją uświadomić — powiedział Tytus. — Spraw, aby uwierzyła, że będzie sławna i poważana. A przede wszystkim spraw, żeby uwierzyła, że będzie szanowana. Jeśli jest coś, czego pragną dziwki, poza pieniędzmi oczywiście, to właśnie szacunku.

— Sądzę, że wiesz o tym z bezpośrednich kontaktów — Nadine skomentowała ostro.

— O, pewnie — odciął się Tytus. — Mam dość czasu i energii, żeby zadbać o Departament Stanu, dyskutować z prezydentem, działać jako prezes Legii Amerykańskiej, być twoim mężem, troszczyć się o twoje zasmarkane bachory, uprawiać sport, łowić ryby i pieprzyć jeszcze ze dwie lub trzy dziwki co noc. Jak również rozmawiać z nimi, na miłość boską!

Nadine zdusiła papierosa. Potem spojrzała na Tytusa i jej twarz złagodniała.

— Przepraszam — powiedziała. — Nie wiem, ile już razy cię przepraszałam, prawdopodobnie wcale nie mniej niż ty przepraszałeś mnie. Ale ciągle cię kocham, wiesz? Jestem szczęśliwa, że jesteś już bezpieczny.

Joe odetchnął z ulgą. Mimo wszystko nie zanosilo się jednak, żeby dzisiejszy wieczór minął w bojowej atmosferze. I przy odrobinie szczęścia, Nadine pomoże utrzymać Colleen Petley w pełni zadowolenia i ochoty do współpracy, nadejdzie czas, aby wykręcić rękę Marshallowi Robertsonowi.

Za oknem rozległ się ryk motocyklowego silnika. Tytus podniósł czujnie wzrok, ale Joe już odchylił zasłony, żeby zobaczyć, co się dzieje.

— Spokojnie — powiedział. — To tylko Samanta ze swym ostatnim chłopakiem. Nie wiedział pan, że w Georgetown są jeszcze Anioły Śmierci, prawda? No, a Samanta znalazła jednego z nich. Wygląda na to, że faceci z Secret Service dają mu właśnie wycisk.

— Tytus... — poprosiła Nadine.

Tytus skrzywił się, ale kiedy Nadine kokieteryjnie przechyliła głowę, wiedział, iż będzie to część ceny za to, że zajmie się ona Colleen Petley. Podniósł słuchawkę telefonu stojącego obok niego i powiedział:

— Wallis.

— Tak, proszę pana.

— Tej małej istocie, która przywiozła moja pasierbicę do domu na tylnym siedzeniu motocykla, wolno odprowadzić ją do środka.

— On ma tatuaż, proszę pana. On ma napisane na lewym bicepsie „pierdolę świat”.

— Wallis, po prostu wpuść go do domu, dobrze? Mógłbyś usłyszeć taki język codziennie w Ovalnym Gabinetu. Nie ma więc powodu, aby wykluczyć go z Departamentu Stanu. Co jest wystarczająco dobre dla prezydenta, jest również dobre dla nas.

— O.K., proszę pana, skoro pan tak mówi...

— Tak mówię, Wallis — Tytus odłożył słuchawkę.

— Te twoje dzieciaki, Nadine, pozostają całkowicie poza kontrolą. Wiesz o tym? Są jak dzikie zwierzęta. Może powinniśmy zainstalować klatkę?

— Tytus, kochanie — uśmiechnęła się Nadine. — Zrobię wszystko, czego zechcesz. Ale teraz jestem bardzo zmęczona.

Tytus rzucił szybkie spojrzenie na Joe Jaspera, ale on już pochwycił wiadomość, głośną i jasną. Poglądził swój notes i teczkę. Skłonił głowę w stronę Nadine. kiwnął głową do Tytusa i ruszył do drzwi.

— Porozmawiamy jutro, wcześniej rano — powiedział Tytus.

— Tak, proszę pana — przytaknął Joe, a potem dodał z uśmiechem: — Słodkich snów, panie sekretarzu. O ile to możliwe.

Rozdział dziewiąty

Nadine była z dala od niego przez pięć dni i odczuwała oczywiście gwałtowną potrzebę kochania. Kiedy Tytus wyszedł z łazienki i wkroczył do bogato umeblowanej sypialni w kolonialnym stylu, z dwustuletnim mahoniowym łóżem i draperiami w kolorze ciemnego wina, leżała już na łóżku naga, tylko w maleńkich, ale drogich majtkach z ręcznie tkanego francuskiego jedwabiu, z koronkową wstawką, pod którą kusząco wiły się lśniąco, ciemne włosy łonowe.

Stanął w nogach łóżka w białoniebieskich spodniach od piżamy, z ręcznikiem na ramionach. Nie mógł jej nie podziwiać. W wieku czterdziestu lat miała wspaniałą figurę: duże krągłe piersi z wielkimi brodawkami. Wąską talię, rozłożyste biodra i nogi tak drugie, że kiedy się kochali splatała je w kostkach za jego plecami. Jej ciemne włosy rozrzucone były na ozdobionej koronką poduszce jak u pięknej, tajemniczej i skazanej na zagładę Lady Shallot.

Usiadł na brzegu łóżka i położył rękę na jej udzie. Miał muskularny tors, a pod lewą brodawką małą, ukośną bliznę. W świetle lampy wyglądał na nieco zmęczonego, ale był bardziej przystojny niż zwykle. W wyrazie jego twarzy dominowała czułość, której Nadine nie widziała u niego od bardzo dawna. Otarł się o śmierć i to nie z powodu żółtków z Korei czy Wietnamu, ale za sprawą swoich rodaków. Jego penis, już sztywny, sterczał z rozporka, jako oczywisty dowód na to, jak bardzo ta niepospolita żona pociągała swego niepospolitego męża. Nadine wyciągnęła rękę, szerzej rozchyliła rozporek i długimi palcami objęła sterczącego członka.

— Tęskniłeś za mną? — wyszeptała.

— A jak myślisz?

— Nie pytaj mnie, co myślę. Powiedz mi.

Kiwnął głową bez uśmiechu.

— Tęskniłem.

— Naprawdę myślisz, że macie tym razem coś dobrego na Marshalla?

Kiwnął głową.

— Naprawdę mamy. Sam widziałem fotografie.

— Co on robił?

Tytus z początku nie odpowiadał. Wtedy Nadine chwyciła jego penisa i ścisnęła mocno.

— Co robił?

— Czy słyszałaś kiedyś o zlocistych prysznicach?

Oczy Nadine zrobiły się okrągłe ze zdziwienia.

— Marshall Roberts to robił?

— Nie uwierzyłybyś znając go, prawda? — stwierdził Tytus. — Nie pomyślałabyś, że te same usta, które wygłaszały święte przemówienia o redukcji broni i odprężeniu w stosunkach z Sowietami, o tym jak możemy pomóc biednym...

Nadine pochyliła się do przodu, żeby dosięgnąć sznurka od jego spodni. Pociągnęła i sznurek puścił.

— Nie chcę rozmawiać o Marshallu — powiedziała. — Chodź tutaj — ponagliła go.

Zdjął spodnie od piżamy, a potem wszedł na łóżko, już nagi. Usiadł okrakiem na jej brzuchu tak, żeby sztywny członek leżał pomiędzy jej piersiami, a ona unosiła je i przysuwała do siebie rękami, mocno masując go swoim miękkim ciałem. Tytus pochylił się. Z rosnącą namiętnością całował czoło, policzki, usta. Teraz pieściła go, ciągnąc powoli ku swej twarzy, aż wreszcie Tytus klęczał okrakiem nad jej głową. Otworzyła usta i wzięła penisa między wargi. Tytus zamknął oczy i cicho jęknął. Nadine wciągnęła członka głębiej, ssąc delikatnie i liżąc od spodu koniuszkiem języka, sondując też maleńki otwór, który już był śliski. Pracowała nad nim coraz szybciej i szybciej, coraz bardziej niecierpliwie, aż Tytus poczuł, jakby potężny wulkan miał za chwilę wybuchnąć pomiędzy jego udami.

— Nadine — wyszeptał scenicznym szeptem aktora, który dawno już zapomniał swoją kwestię.

Wysunęła jego członek, lśniący od śliny, z ust i masowała go na swej twarzy i policzkach, całowała go i szczypała zębami. Pieściła go nawet przy pomocy trzepoczących rzęs. W końcu Tytus zadrżał i wytrysnął, a trzy strugi białego, lepkiego nasienia ozdobiły jej czoło, utworzyły perełki w jej włosach, zebrały się też na jej rzęsach. Całował ją znowu i znowu, a potem wyciągnął rękę, żeby zetrzeć spermę z jej twarzy.

— Chcę tego — przytrzymała go za nadgarstek. — I chcę więcej.

Sięgnęła ku majtkom i odrzuciła na bok cienki trójkąt z jedwabiu i koronki, który ją osłaniał.

— Wsadź mi natychmiast — zażądała.

Z początku było to trudne. Tytus sflaczał już i musiał wchodzić w nią szybko i gwałtownie, żeby odzyskać sztywność. Po piętnastu minutach jednak, kiedy oddychał chrapliwie, a jego mięśnie lśniły od potu, poczuł nieodpartą potrzebę drugiego szczytu.

Nadine poruszała się pod nim w dzikim rytmie, dysząc przy każdym pchnięciu. Jej brodawki były pomarszczone i sztywne, piersi kołysały się, oczy miała mocno zaciśnięte w oczekiwaniu na zbliżający się orgazm.

I nagle straciła oddech i zaczęła drżeć, a Tytus wytrysnął w nią głęboko. Dopiero po blisko minucie przestała dygotać i otworzyła oczy. Przez moment dostrzegł w nich coś, co było podobne do uczucia. Ale to nie mogło być to, oczywiście. Przeszli przez zbyt wiele kłótni i rozbili swoje namioty zbyt daleko, na przeciwległych wzgórzach. Nadine leżała ozdobiona i umazana spermą Tytusa, aż wreszcie napięcie zaczęło uchodzić z jej piersi, brodawki zmiękły, a ona sama westchnęła i usiadła.

— Myślę, że powinnam wziąć kąpiel — zauważyła.

Rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi. Tytus znalazł spodnie od piżamy i wciągnął je.

— Kto tam?

— Tytus? Tu Carl. Właśnie wróciłem.

— Świetnie — odparł Tytus. — Może porozmawiamy jutro?

— Aż tobą wszystko w porządku? Słyszałem w telewizji, co się stało.

— Wszystko w porządku, dzięki. Jestem trochę roztrzęsiony. Ale to chyba całkiem normalne w takiej sytuacji.

— Mam nadzieję, że się na mnie nie gniewasz — powiedział Carl. — Pożyczyłem Porsche.

Tytus spojrzał znacząco na Nadine, ale ona jedynie wyrzuciła ręce do góry w geście żydowskiej matki. Miało to znaczyć: „Jest już dorosłym chłopcem, co mogę poradzić?”

— Postawiłem chyba sprawę jasno, prawda? Nie życzę sobie, żebyś używał Porsche — powiedział Tytus. — Masz przecież Zephyra.

— Och, Tytus. Miej serce. Ledwo mogę wciągnąć dziewczyny do Zephyra.

— Kiedy byłem w twoim wieku, wszystko co miałem to stuknięty Nash 600.

Zapanowała cisza. Potem Carl odezwał się słabym głosem:

— Porsche też jest trochę stuknięty.

— Zniszczyłeś Porsche? — warknął Tytus. Żyły na jego szyi nabrzmiały, a pięści zacisnęły się. — Co się stało? Jak mocno?

— No — zaczął Carl ostrożnie — przód nie wygląda zbyt dobrze. Zostawiłem go w warsztacie przy Ulicy H.

Tytus wpatrywał się w drzwi i postanowił, że dla dobra tego, co chciał zrobić, żeby zniszczyć Marshalla Robertsa, lepiej będzie, jeśli ich nie otworzy. Bo, Jezu Chryste, gdyby je otworzył i zobaczył Carla, zdeptałby tę chodzącą kreaturę, a to oznaczałoby koniec między nimi — nim i Nadine.

Próbował sobie wytłumaczyć: to tylko samochód, samochód można naprawić. Był jednak pewien, choć Carl tego nie powiedział, że na pewno niewiele z niego zostało. Ty-

tus był perfekcjonistą — najmniejsze zadrapanie wystarczyło, żeby go całkowicie zniechęcić do auta.

— W porządku, Carl — powiedział głosem zimnym, jak płyta nagrobkowa w mroźny poranek. — Tym razem daruję ci. Załatw naprawę samochodu, a potem jeszcze do tego wrócimy.

Nadine, wysoka i naga, wyższa od niego, podeszła i położyła mu ręce na ramionach.

— Jesteś fascynującym mężczyzną — powiedziała. — Chciałabym tylko móc cię kiedyś naprawdę polubić.

Natychmiast zamknął oczy i kiwnął głową.

— Odwzajemniam tę chęć — powiedział. — W najwyższym stopniu odwzajemniam.

Rozdział dziesiąty

Susie weszła do pokoju i stanęła na ukośnym trójkącie światła słonecznego. Patrzyła na niego poważnie.

— Tatusiu? — zapytała. — Co się stało?

Usadowił się wygodnie na skrzypiącym wiklinowym krześle. Miał zmierzwione włosy i wyglądał na zmęczonego. Gdzieś na zewnątrz chrypiące radio grało „La Cucaraca”. Był to jeden z tych wyczerpujących dni w Arizonie, gdy rtęć na skali termometru pokazuje sto jeden stopni Fahrenheita i nawet saguary zdają się nie dawać cienia, a horyzont faluje od szklistych mirażów.

Wyciągnął rękę do Susie, a ona podeszła i przytuliła się do niego. Pachniała jeszcze czekoladką, którą przed chwilą zjadła. Wyczałował złotowłosą grzywkę na jej czole i powiedział:

— Przejdzie mi. Ale przecież kochałem go. Był dobrym przyjacielem. Wesolą, miłą osobą.

Czy oni go pochowają?

— Myślę, że tak. To zależy od tego, czego zechce jego rodzina. Pochodził z Omaha i pewnie zabiorą go tam samolotem.

Susie zamilkła na chwilę, lekko głaszcząc grzbiet dłoni Daniela. Potem odezwała się cichutkim głosem:

— Smutno mi. Modliłam się za niego dziś rano.

— Ja także — powiedział Daniel. — Pamiętasz tę starą piosenkę, która ci śpiewałem, kiedy byłaś bardzo mała, kiedy mamusia była jeszcze z nami?

„Mój tatko zakończył swoje życie długie

Zostawił mi konie, aby szły za pługiem”

Susie zaśpiewała z nim tę piosenkę z dawnych, minionych czasów. Dzisiaj, w ten upalny dzień, śpiewali ją dla Willy’ego Monahana. Daniel pomyślał, że zostało jeszcze trochę uczucia, jeszcze trochę miejsca na prawdziwy żal i smutek w tym zagonionym, zmęczonym świecie.

Cara weszła do pokoju i stanęła słuchając. Poprzedniej nocy oboje nie zmrúżyli oka. Próbowali rozmawiać, upić się, kochać... Ale była to zbyt gorąca noc i nagła śmierć Willy'ego zbyt ich przygnębiła. Daniel przysnął tylko na pięć czy na dziesięć minut na krześle. Śniła mu się uśmiechnięta głowa Willy'ego, wirująca w powietrzu. Obudził się przestraszony, cały spocony i drżący. W tej chwili nie wiedział dokładnie, czy śmierć Willy'ego miała miejsce naprawdę, czy była tylko nocnym koszmarem. Cara uklękła obok niego, naga i miękka. Uspokajała go. Mimo to noc wydawała się dłuższa i ciemniejsza niż jakakolwiek noc w historii ludzkości.

— Otwierasz na lunch? — zapytała Cara.

Daniel potrząsnął głową.

— Wywieś kartkę w oknie, dobrze?

— Pewnie, ale kiedyś musisz zacząć żyć dalej.

— Przecież wiem.

— Ronald był tu dziś rano — odrzekła. — Pytał, czy może coś dla ciebie zrobić. Miły jest, prawda?

— Pewnie. Najmilszy indiański przestępca drogowy w tej części kontynentu.

— Daniel, nie bądź taki zgorzkniały, to był wypadek.

— Jasne — stwierdził, ale jedno zdanie błąkało mu się po głowie: „Tak jak powiedziałem, Daniel, głowy pospadają”, i pamiętał, co wówczas odpowiedział Willy'emu: „Jesteś pewien, że to nie będzie twoja głowa? Czy jesteś absolutnie pewien, że to nie będzie właśnie twoja głowa?”

— Czy mogę pójść na stację benzynową pobawić się z Lucy? — zapytała Susie.

— Ona też nie poszła do szkoły?

— Lucy ma zawsze wolne. Jej tatuś mówi, że to nieważne, czy ona się uczy, czy nie.

— W porządku, kochanie, ale wróć na pewno przed trzecią. Nie podchodź do samochodów i nie przebiegaj przez autostradę, słyszysz?

Susie wybiegła, a Daniel pozostał na skrzypiącym, wiklinowym krześle. Cara przez chwilę stała przy drzwiach obserwując go, a potem podeszła do okna i popatrzyła na zakurzony plac przed domem, na czarną szosę, na odległy, brunatny grzbiet gór.

— Dzwoniłeś do bazy? — zapytała go.

— Dwukrotnie. Powiedzieli, że nie mogę ujawnić żadnych szczegółów, dopóki nie powiadomią krewnych.

— Smutno mi — powiedziała.

— Smutno ci? Nie bądź smutna, każdy musi umrzeć, prędzej czy później. Pięćset lat temu ta część Arizony zamieszkała była przez Indian Hohokam. Wybudowali kanały, tworzące odnogi rzeki Salt River, stworzyli całą cywilizację, a potem zniknęli bez śladu. Nikt nie wie, co się z nimi stało. Może obrazili bogów?

— Willy nie obraził bogów.

— Nie jestem tego taki pewien.

Cara odwróciła się.

— Co masz na myśli?

— Kiedy przyszedł wczoraj rano, powiedział, że zamierza spędzić cały dzień w magazynie broni i sprawdzać pociski. Podejrzewał, że pociski będące na wyposażeniu amerykańskich samolotów bojowych nie są w stanie niszczyć radzieckich celów powietrznych. Mówił, że okaże się to największym skandalem, o jakim Air Force kiedykolwiek słyszało.

Cara przeszła przez pokój i znów uklękła przed nim. Tak bardzo przypominała mu Candii: była zuchwałą, przejmowała się całym światem — niewinnie zmysłowa, niczym bohaterka z piosenek *country and western*. Grecja może i miała swoje hetery, Rzym swoje uwodzicielki, Florencja swoje loretki. Ale Ameryka miała swoje Candii i Cary, pełne tupetu, dziewczyny z Zachodu, o włosach prosto z salonów piękności, z białymi butami na wysokich obcasach i kołyszącymi się pupami, opiętymi ciasnymi spódnicami z koziej skóry. Kiedy Cara przyklękła przy nim, żeby go uspokoić, ukazała się głęboka jak Wielki Kanion Kolorado piegowata przestrzeń między jej piersiami; spódniczka podniosła się wystarczająco wysoko, aby sprowokować, ale z kolei nie na tyle, żeby pokazać, iż nie nosiła bielizny. Bo dziewczyny takie jak Candii czy Cara nigdy nie nosiły bielizny. Ubierały się tak, aby podniecać mężczyzn.

— Co zamierzasz zrobić? — zapytała go.

— Zrobić? — skrzywił się.

— No, jeśli myślisz, że ktoś go skrzywdził, że ktoś sprawił, iż dostał się w ten wirnik śmigłowca... to znaczy, czy nie powinienes czegoś zrobić?

— Telefonowałem już dwa razy.

— Wiem. Ale co z r o b i ł e ś?

— Telefonowałem! A co innego mogę zrobić? Ciągłe mówią mi, że Willy miał wypadek, że nie żyje. To wszystko. Nawet nie potwierdzają tego, co przekazał wartownik, że ucięło mu głowę. Będą próbowali skontaktować się z najbliższymi krewnymi, a do tego czasu nie mają prawa ujawnić żadnych szczegółów.

— Przeglądałeś „Flag” dziś rano?

— Gazetę? Nie. Co to ma do rzeczy?

Cara wstała i podeszła do taniego bambusowego stolika.

Rozłożyła „Arizona Flag” i pokazała mu jeden z nagłówków: „Tajemnica wdowy z odciętą głową. Policja poszukuje Wyznawców Kultu Czaszki”.

— Słyszałem o tym w wiadomościach wczoraj wieczorem. No i co?

— Czy mówili w wiadomościach, że ta zabita w Phoenix kobieta była wdową po oficerze Air Force?

— Chyba nie. A była?

— Uhm. Margot Schneider, pięćdziesiąt dwa lata, wdowa po majorze Martinie Schneider, który zabił się w czasie próbnego lotu z bazy Air Force w Luke, tuż za granicami Phoenix. Daniel, miała obciętą głowę tak jak Willy. Jedyna różnica polegała na tym, że jej odcięto głowę piłą, a nie za pomocą śmigłowca.

Daniel w zamyśleniu patrzył na Carę.

— Wiesz co? — stwierdził. — Jesteś zdecydowanie bardziej inteligentna, niż na to wyglądasz.

— Nie wiem czy to komplement, czy zniewaga.

— Komplement. Wyglądasz ładnie i tępo. A okazuje się, że jesteś i ładna, i inteligentna.

— Jeśli to ma być komplement, to myślę, że poproszę kogoś, żeby obciął także moją głowę.

Daniel wstał i warknął:

— Nie żartuj na ten temat.

— Przepraszam, nie chciałam ci zrobić przykrości. Ale czy nie sądzisz, że byłoby dobrze pojechać i rzucić okiem na zwłoki Willy'ego? Po prostu, aby się upewnić, że zginął tak, jak oni mówią.

Daniel zrobił pięć czy sześć rund wokół pokoju. Widać było, że jest poddenerwowany.

— Zabili go. To o tym myślałem przez całą noc. Odkrył to o pociskach i zabili go.

— Może panią Schneider zabili z tego samego powodu?

— Tak — Daniel kiwnął głową. Potem spojrzał na Carę i poprosił; — Zrób mi trochę kawy, dobrze? Chcę zatelefonować.

Przyniósł telefon z parapetu i wykręcił numer. Po długiej chwili usłyszał damski głos w słuchawce:

— Baza Air Force w Williams. Słucham.

— Nazywam się Korvitz. Dzwoniłem już wcześniej. Czy mogę rozmawiać z pułkownikiem Kawałkiem?

— Przykro mi, ale pułkownika Kawałka nie ma dzisiaj w bazie. Czy chciałby pan rozmawiać z jego zastępcą?

— Tak, jeśli może mnie pani z nim połączyć.

Zaległa cisza, która wydawała się trwać bez końca, w tle słychać było śpiewanie drutów, trzaskanie telefonów i dalekie głosy:

„Halo? George? Nie słyszę ciebie zbyt dobrze” — w końcu szorstko brzmiący głos kobiety odezwał się:

— Pan Korvitz? Przykro mi, ale pułkownika Kawałka nie ma dzisiaj w bazie.

— Już mi to powiedziano. Chciałem dowiedzieć się po prostu, czy mógłbym zobaczyć ciało majora Monahana? Był moim przyjacielem, sama pani rozumie, i...

— Żałuję, panie Korvitz. Nikt nie może zobaczyć ciała majora Monahana, zanim jego najbliżsi krewni nie zostaną powiadomieni o wypadku.

— Jeszcze ich nie powiadomiono?

— Niestety, nie potrafię panu odpowiedzieć.

— No, ale ktoś musi wiedzieć.

— Przykro mi, ale jedyny oficer, który mógłby wiedzieć coś na ten temat jest dzisiaj poza bazą. Nie będzie osiągalny aż do jutra rana. Najwcześniej.

— Ach tak, a czy może mi pani przynajmniej powiedzieć jego nazwisko?

— Żałuję, ale nie mogę.

— A kto może?

— Obawiam się, że nikt. Nikt, aż do czasu, gdy wróci pułkownik Kawałek.

— Jezu, czy nikt nic nie wie?

— Nie ma potrzeby się denerwować, panie Korvitz. Po prostu staram się panu pomóc.

Daniel trzymał słuchawkę przez chwilę, jakby chciał ją zmiażdżyć. Potem bez słowa odłożył ją.

— Słyszę ciągle tę samą odpowiedź — powiedział. — Pułkownik Kawałek wyjechał, nikt inny nie może mi pomóc i oczywiście nie dostanę pozwolenia na zobaczenie ciała Willy'ego.

— Gdzie mieszkał Willy? — zapytała Cara. — Nie sądzisz, że dobrze byłoby pojechać do jego domu? To znaczy, jeśli pracował nad jakąś teorią o pociskach, czy czymś takim, może zostawił coś w domu. Notatki albo może pamiętnik.

— Acha... warto spróbować. Zadzwońię tylko na stację benzynową do Levona i powiem mu, że nie będzie nas przez jakiś czas.

Willy mieszkał przy ulicy Indigo w mieście Mesa, w połowie drogi pomiędzy Phoenix i Apache Junction. Odnajdywanie tego domu zawsze doprowadzało Daniela do szału, gdyż jest tam aż pięć ulic Indigo. Wszystkie w przybliżeniu w prostej linii, ale oddzielone jedna od drugiej tysiącami jardów otwartej przestrzeni i kanałem Consolidated. Willy mieszkał przy tej ulicy Indigo, która znajdowała się najbliżej miejskiego cmentarza.

Daniel i Cara przyjechali brudną i koślawą Electrą. Zobaczyli równy rząd pomalowanych na żółto parterowych domów z dachami pokrytymi gontem i otoczonych wyschniętymi trawnikami. Daniel zaparkował przed domem Willy'ego i założył okulary przeciwsłoneczne. Trzasnął drzwiami samochodu i wolno ruszył bitą drogą podjazdową. Cara podążyła za nim. Niebo nad ich głowami było prawie granatowe, a powietrze suche i duszące. Zajrzeli wpierw do domu Willy'ego przez okno. Trudno było coś zobaczyć dokładnie, ale wyglądało na to, że w mieszkaniu nie ma żadnych mebli. Nawet dywany zniknęły — nie było tani niczego oprócz lśniącej podłogi, wyłożonej drewnianymi

mi płytkami.

— Jesteś pewien, że to ten dom? — zapytała Cara.

— Żartujesz? Przyjeżdżałem tu raz w tygodniu na pokera i piwo. Nie rozumiem, co się stało.

Jakaś kobieta wyszła z sąsiedniego domu. Okulary miała założone na czoło, na głowie nosiła nylonową chustkę koloru cytryny. Ubrana była w beżowy, gruby strój i całe mnóstwo uroczych złotych bransoletek.

— Szukacie kogoś? — zapytała.

— Tak. Majora Monahana. Jestem jego przyjacielem.

— Został odesłany. Do Langley, tak chyba powiedzieli.

— Kto powiedział?

— Jak to kto? Ci mężczyźni, którzy przyszli posprzątać jego dom. Powiedzieli, że został pilnie przeniesiony do Langley, a oni przyszli zabrać jego rzeczy. Mówili też, że meble prawdopodobnie dotrą do Langley przed nim.

— Z pewnością — powiedział Daniel. — Prawda jest taka, że on nie żyje.

— Nie żyje? Jest pan pewny? Ci mężczyźni wyraźnie mówili, że został odesłany do Langley. Uśmiechali się, żartowali i w ogóle. Nie sądzę, by zachowywali się w taki sposób, gdyby major Monahan nie żył.

— Proszę pani, Willy Monahan był moim najlepszym przyjacielem. Mogę pani powiedzieć z całą pewnością, że on nie żyje.

— Bzdura. Mam nadzieję, że podoba mu się w Langley — odpowiedziała kobieta. — Jest takim ciepłym, troskliwym mężczyzną. Polubiliśmy się od chwili, kiedy ujrzeliśmy się po raz pierwszy.

Cara wzięła Daniela pod rękę.

— Chodź — powiedziała łagodnie. — Jedźmy już. Niczego tu nie znajdziemy.

Daniel niechętnie poszedł za nią do samochodu. Cara rozmyślała głośno:

— Oni naprawdę się go pozbyli, prawda? To znaczy, sprawili, że zniknął tak, jakby nigdy nie istniał. A jeśli powiedzieli sąsiadce, że wyjechał do Langley, to to samo mogli powiedzieć krewnym.

— Może on jednak wcale nie jest martwy? — powiedział Daniel. — Może po prostu porwali go, po to, aby nie sprawiał więcej kłopotów.

— Jest tylko jeden sposób, aby się o tym przekonać.

— Wiem — Daniel spojrzał w lusterko wsteczne, wjeżdżając z powrotem na drogę numer sześćdziesiąt, w kierunku wschodnim. — Zamierzam zobaczyć jego ciało na własne oczy, jeśli w ogóle jest jakieś ciało.

Cara położyła rękę na jego udzie, przechyliła się i pocałowała go w policzek.

— A to? Po co to było? — zapytał ją.

— Nie wiem, może dla przyjemności?

Pocałował ją również w usta.

— Nie ma już podróżniczek takich jak ty — powiedział. — Jesteś ostatnią z pięknego, ale wymierającego gatunku.

— Nie wierz w to — roześmiała się Cara. — Rozglądnij się tylko po którymkolwiek mieście na Zachodzie i będziesz zdziwiony, widząc te wszystkie rozkwitające „piętnastki”, „szesnastki” ze szkół średnich. Zakładają sobie spirale, nie wiedząc jeszcze, co to jest, na przykład, trójkąt równoramienny?

— A ty wiesz, co to jest trójkąt równoramienny? Cara roześmiała się rozbawiona i potrząsnęła głową. Daniel pocałował ją znów.

— Jedźmy porozmawiać z Ronaldem, może on zdoła wymyślić sposób na to, żeby dostać się do tej bazy. Jest przecież profesjonalistą w łamaniu prawa.

Znaleźli Ronalda przy stacji benzynowej Levona, dwie przecznice od baru Daniela. Siedział ze skrzyżowanymi nogami na tylnej klapie poobijanej małej ciężarówki i popijał colę prosto z puszki. Omawiał z Levonem jakieś szczegóły techniczne, dotyczące regulatora momentu obrotowego. Przez drewniane ogrodzenie, z tyłu stacji, Daniel słyszał, jak Susie chichocze i piszczy, bawiąc się z Lucy. Zostawił swoją zdezelowaną Electrę obok warsztatu i przeszedł przez spalone słońcem podwórze, z rękami wciśniętymi w tylne kieszenie dżinsów. Cara szła kilka kroków za nim.

— Cześć, Levon — powiedział Daniel, potrząsając jego ręką. — Jak leci?

Levon Wisby był jednym z ulubieńców Daniela w Apache Junction. Chudy jak po-grzebacz i małomówny jak sęp amerykański, zawsze nosił brudny kombinezon roboczy i z jakiegoś powodu, którego nigdy nie wyjaśnił, czapkę baseballową „Seattle Mariners”.

— Twoja dziewczynka i Lucy dobrze się bawią — powiedział Levon. — To byłoby spokojne popołudnie, gdyby nie ten tu zabijaka i gadka o tym jego motocyklu.

— Ronald zwracałby dupę na temat motocykli nawet Aniołom Śmierci — uśmiechnął się Daniel.

— Salut! Tobie też — rzucił Ronald i uniósł w górę puszkę coli.

— Słuchaj, Ronald — odezwał się Daniel. — Właśnie wracamy z domu Willy’ego Monahana.

— Z jego domu?

Daniel przytaknął.

— Mieszkanie jest puste, wysprzątane do czysta. Kobieta z domu obok powiedziała, że jacyś mężczyźni byli tam, żeby zabrać wszystkie jego meble i rzeczy. Ale — i to jest dziwne — powiedzieli jej, że Willy żyje i został przeniesiony do bazy w Langley.

— To bzdura. Nigdy nikogo nie przenoszą tak szybko. Poza tym, dlaczego Willy nic tobie o tym nie powiedział? Nie przesłał wiadomości ani nie zatelefonował?

— Jeśli nie jest martwy i naprawdę przeniesiono go, to z pewnością nie w normal-

ny sposób — powiedział Daniel. — Może ci z Air Force zabrali go pod strażą i wywieźli poza granicę stanu, żeby trzymać go w izolacji?

— Naprawdę myślisz, że odkrył coś, czego nie powinien?

— Nie wiem — powiedział Daniel. — Ale chcę koniecznie dowiedzieć się, czy jest żywy czy martwy, bo jeśli jest martwy — to ktoś go zamordował, a jeśli jest żywy — to potrzebuje pomocy.

— Tak czy inaczej, będzie z tego duży smród — filozoficznie stwierdził Ronald.

— Ronald, muszę zobaczyć ciało Willy'ego na własne oczy. To jedyny sposób, żeby się przekonać, czy został zabity czy nie. Chcę wiedzieć, gdzie on jest i dlaczego został usunięty. Są jeszcze prawa w tym kraju: *habeas corpus* i tak dalej. Nie mogą tak po prostu zamknąć kogoś i wyrzucić kluczy.

— Daniel znowu próbował dodzwonić się do Kawałka — wtrąciła Cara — ale nic z tego nie wyszło. Coś się za tym kryje, jestem pewna.

Ronald uniósł brwi i spojrzał na Levona, ale ten tylko wzruszył ramionami i powiedział:

— Te typy z Air Force — oni zawsze są dziwni, przynajmniej takie jest moje zdanie. Albo są stuknięci, albo pijani, albo jedno i drugie, a jak latają na tych, no, odrzutowcach, nad górami — jak pociski!

— A więc musimy dostać się do bazy — powiedział Ronald.

— Ach tak? A jak zamierzasz to zrobić? Williams jest bazą taktyczną i centrum szkoleniowym, nie wchodzi się tam spacerkiem przez główną bramę — stwierdził Levon.

— Można by przebrać się za pilotów, czy coś takiego — zaproponowała Cara. — Wi-działem jak ktoś to zrobił w filmie z Gregory Peckiem. Co prawda, to nie byli piloci tylko marynarze, w każdym razie w taki właśnie sposób dostali się na statek, na który nie mieli prawa wstępu.

— Ale gdzie, do diabła, znajdziemy dwa mundury Air Force? — zapytał Ronald. — A w ogóle, to oni i tak będą chcieli zobaczyć nasze karty identyfikacyjne, zanim przepuszczą nas przez bramę.

— Czekaj no — odezwał się Levon. — Mam trzy te, no, kombinezony robocze, które oni zakładają dłubiąc przy tych swoich odrzutowcach. Dał mi je taki jeden inżynier, który pracował w Luke. Zrobiłem mu raz darmo smarowanie i dał mi pięć, czy sześć sztuk. Pewnie miał na zbyciu. Jeszcze mają naszywki Air Force.

— To już jest coś — powiedział Daniel. — Gdybyśmy tylko mogli dostać się do bazy. Nikt nie zwróciłby szczególnej uwagi na dwóch zabłąkanych mechaników.

— No, dostać się tam możecie bez problemu — wtrącił Levon. — Mogę wam to załatwić, ale tylko pod warunkiem, że sami się stamtąd wydostaniecie. Jim Pryor jeździ tam dwa, czy trzy razy w tygodniu ze świeżą wołowiną, mlekiem i kupą mrożonego meksykańskiego jedzenia. Jest mi winien przysługę. I zaręczam, że wwiezie was do bazy, ale

pod warunkiem, że jeśli was złapią, to powiecie, no, że on was nie widział. No, na przykład, że się schowaliście w tyle jego ciężarówki. I oczywiście pod tym warunkiem, że sami się stamtąd wydostaniecie.

Daniel spojrział na RONALDA i nie mógł się nie uśmiechnąć. Zawsze czuł, że LEVON jest jednym z tych niezwykłych facetów z Zachodu, którzy są w stanie wszystko załatwić nie pracując, którzy zawsze wiedzą, gdzie można znaleźć jakąś zagraniczną część zapasową, no i w ogóle, że jest to facet, który może kumpla wyciągnąć z najbardziej dziwnego miejsca, z najtrudniejszej sytuacji, w jakiej ten może się znaleźć. Teraz przekonał się, że to co czuł, było prawdą.

— Co zrobicie? — zapytała CARA.

— To proste — odrzekł RONALD. — Dostaniemy się do bazy i znajdziemy oddział szpitalny albo kostnicę, albo jakieś inne miejsce, gdzie może się znajdować ciało WILLY'EGO. Rzucimy na nie okiem, jeśli tam będzie i przekonamy się, czy WILLY rzeczywiście nie żyje, a jeśli — to jak umarł.

— A jak się potem stamtąd wydostaniemy? — zapytał DANIEL.

— Jak gdyby nigdy nic podejźmy do bramy, a potem będziemy spieprzać jak cholera.

— Przypuśćmy, że złapią nas i zaaresztują?

— Wtedy to nie będzie już miało żadnego znaczenia, prawda? Będziemy znali prawdę o WILLY'EM.

— Ach tak. a jaki będzie z tego pożytek, jeśli nas wsadzą do pudła za wkroczenie na teren wojskowy i za udawanie personelu U.S. Air Force?

— Spokojnie — powiedział RONALD. — Dopiero zaczynam układać plan.

— Ty i te twoje przekłete plany — gderał DANIEL. — To był chyba także twój plan, kiedy zabraliśmy tych dwóch facetów z zepsutego Cadillaka i graliśmy z nimi w pokera? Łatwy łup, mówiłeś, a to było dwóch przeklętych zawodowych graczy, w drodze powrotnej do Las Vegas! Miałbym teraz nową lodówkę, gdyby nie ty i twoje przekłete plany.

— Mówisz jak WILLY — powiedział RONALD.

Daniel odwrócił się i spojrział na drogę w kierunku gór. Dzień był tak gorący, że sklep po przeciwnej stronie ulicy wydawał się tańczyć w falach gorącego powietrza.

— Brakuje mi go, to wszystko. I martwię się o niego — odezwał się.

RONALD podrzucił pustą puszkę w powietrze, potem uderzył ją łokciem tak, że zatoczyła łuk i z brzękiem wpadła do kubła na śmierci.

— Wszystko będzie dobrze. Ile razy mówiłem ci, DANIELU KORVITZ, że jestem geniuszem?

— Coś koło tysiąca. A ile razy dałeś tego dowód?

Susie wyszła z podwórka LEVONA, trzymając swoją lalkę o imieniu SINDY. Uniosła lal-

kę w kierunku Daniela, a łzy ciekły jej po policzkach. — Jest zepsuta — powiedziała.

— Co się stało? — zapytał Daniel, wyciągając ręce. Do jednej ręki Susie włożyła mu nagie ciało lalki, a do drugiej — oderwaną głowę.

Rozdział jedenasty

Od momentu gdy otworzył oczy, czyli od piątej nad ranem, szef Ruse nie mógł pozbyć się myśli, że nie docenił Jamesa T. Skelletta. Był niezwykle zdenerwowany, gdy zajmowali pozycje dookoła miejskiej kostnicy w Phoenix, w kilka minut po tym, jak słońce wzniosło się ponad szczyt czterdziestopiętrowego budynku „Valley National Bank”. Kiedy porucznik Berridge poszedł i zapytał go, czy słyszał o odrzutowcu „Diamond I”, który rozbił się w parku narodowym „Dead Horse”, z milionerem Clintonem Charlesem na pokładzie, szef Ruse wydał tylko obojętne „hmmm”, jak gdyby ludzie tacy jak Charles zasługiwali tylko na to, żeby spaść z nieba z wysokości dwunastu tysięcy stóp i zmieszać się z pustynnym piachem pomiędzy kaktusami.

Dookoła kostnicy rozstawiono trzydziestu policjantów, a także dziesięć samochodów patrolowych i ośmiu motocyklistów.

Na dachach pobliskich domów, na budynku radia KOOL i szkole Grace Court, rozlokowano sześciu strzelców wyborowych. Mericopa Freeway, prowadząca na południowy-wschód i Canyon Freeway, na północ, zostały zablokowane, a na West Indian School Road i Van Buren przy 24 Ulicy przygotowano zasadzki. To wszystko było trochę teatralne, ale szef Ruse zawsze wolał działać spektakularnie niż stosować przemoc. „Lepiej się zbłąźnić niż strzelać” — powtórzył to już swojemu zastępcy więcej razy, niż ten zdołałby policzyć.

Porucznik Berridge podszedł do niego i zapytał:

— Czy naprawdę sądzi pan, że będziemy mieli kłopoty? Ruse potrząsnął wszystkimi swoimi podbródkami.

— Stawiam na duży show.

Przez ulicę dumnie przemaszerowała dziewczyna ubrana w nieprzyzwoicie obcisłe spodnie i bluzkę w hawajskim stylu, zawiązana w węzeł na brzuchu.

— Ładny show — zauważył porucznik Berridge, gdy szła, kręcąc biodrami, mijając zaparkowane samochody policyjne. Uważam, że należy się panu za to nagroda Emmy.

Młody Murzyn klęczał na jezdni przed samochodem szefa Ruse, zbierając jakieś pa-

kunki. Ruse chrząknął rozbawiony:

— Raz spojrział na tę dupę i wszystko upuścił.

Skellett przyjechał na Washington Street sam, kilka minut przed siódmą, lśniącym Eldorado, rocznik 80. Wysiadł z samochodu, starannie i prawie bezszelestnie zamknął za sobą drzwiczki, a potem przeszedł przez chodnik w kapeluszu zsuniętym nisko na czoło, w białych butach stukających o płyty chodnika. Gromadka gapiów z zaciekawieniem obserwowała go spoza policyjnej bariery.

— Szefie Ruse — przywitał się grzecznie.

— Panie Skellett — odpowiedział Ruse.

— Szefie Ruse, mam przy sobie nakaz sądowy wydany przez sędziego okręgowego, żądający od pana wydania zwłok Margot Schneider Narodowej Agencji Bezpieczeństwa. Mam również dokumenty z NAB, żądające tego samego. Muszę pana ostrzec, że jeśli nie zastosuje się pan do tych nakazów, dokona pan poważnego naruszenia prawa i obraży Sądu Stanu Arizona.

Szef Ruse pociągnął nosem i głośno odkaslnął.

— Zechce pan przyjąć do wiadomości, Skellett, że ciało Margot Schneider nie opuści miejskiej kostnicy w Phoenix do czasu, kiedy nie będę osobiście przekonany, że zostało właściwie zidentyfikowane, a przyczynę śmierci ustalą w wyniku sekcji zwłok moi eksperci.

— Szefie Ruse, te nakazy...

— Panie Skellett, może pan zwinąć te nakazy i wsadzić je sobie w tyłek.

Skellett zamilkł na chwilę i zacisnął usta. Wokół jego oczu pojawiły się blade kręgi. W końcu poprawił kapelusz i powiedział:

— Rozumiem, że nie ustąpi pan.

— Jasne, że nie — potwierdził Ruse.

Skellett spojrział na swój złoty zegarek marki Rollex.

— Wrócę tu dokładnie za godzinę, będę miał ambulans. Jeśli do tego czasu będzie pan gotowy wydać zwłoki Margot Schneider, nie wrócimy więcej do tej sprawy. Jeśli jednak znowu powie pan „nie”, będę zmuszony podjąć bardziej zdecydowane kroki. Rozumie pan?

W tej chwili do przodu przedarła się Kathy Forbes, trzymająca w ręku mikrofon reporterskiego magnetofonu.

— Proszę pana — zapytała Skelletta. — Czy może mi pan powiedzieć, dlaczego NAB jest tak zainteresowana usunięciem zwłok Margot Schneider z kostnicy w Phoenix? Czy ma to związek z zagrożeniem bezpieczeństwa narodowego?

Skellett wykrzywił twarz w grymasie zniecierpliwienia.

— Nie mam w tej chwili żadnych komentarzy dla prasy.

— Ale to jest sprawa bezpieczeństwa narodowego? — Kathy upierała się.

— Tak, musimy wziąć pod uwagę to, że miały miejsce próby naruszenia spoistości naszego systemu obronnego.

— Co to znaczy po angielsku? Czy próbuje mi pan powiedzieć, że śmierć Margot Schneider mogła mieć coś wspólnego z przeciekami w systemie bezpieczeństwa woj- skowego?

— Nie mogę w tej chwili tego szerzej komentować.

— A kiedy będzie pan w stanie to skomentować?

Skellett odwrócił się i ruszył szybko i dumnie przez chodnik. Ale Kathy podążyła za nim, a tuż za nią dwóch innych reporterów z prasy i kamerzysta z telewizji KPHO. Skellett podniósł rękę, zasłaniając twarz, żeby uniemożliwić kamerzyście uchwycenie swej miny. Ten jednak dał nura, zaszedł go z drugiej strony i złapał wyraz twarzy, który straż- nik z budynku telewizji KPHO opisał później żonie jako „wyraźnie mniej niż wesoły”.

— Czy Margot Schneider miała coś wspólnego z Kubą? — zapytała Kathy.

Skellett, będący już w połowie drogi do swojego Cadillaka, stanął i spojrzał na nią, jak gdyby rzuciła głośno jakieś przekleństwo.

— Kubą? — zapytał. — Skąd przyszła pani do głowy Kuba?

— To pan ma odpowiadać na pytania, nie ja. — Odpowiedziała Kathy.

— Chcę wiedzieć, dlaczego powiedziała pani „Kuba”?

— Nie muszę panu tego mówić. To pan jest przecież urzędnikiem państwowym. Ja reprezentuję społeczeństwo — odparła Kathy.

— Proszę wsiąść do samochodu — zaproponował Skellett.

— Nie ma mowy.

— Chce pani usłyszeć prawdę? To proszę wsiąść do samochodu.

Kathy spojrzała niespokojnie za siebie. Szef Ruse rozmawiał głośno z porucznikiem Berridge i teraz inni reporterzy odwrócili się, aby usłyszeć, co on mówi.

— Absolutnie nie ma mowy, żeby zwłoki Margot Schneider zostały wydane, aż do chwili...

Kathy zawahała się przez moment, ale potem podeszła do samochodu i usiadła na miejscu pasażera. Skellett zatrzasnął drzwiczki, włączył silnik i z piskiem opon zawró- cił w kierunku zachodnim.

— No więc? — zapytał. — Co jest z tą Kubą?

Kathy odwróciła się w swoim fotelu. Beżowy Pontiac jechał jakieś dwadzieścia jar- dów za nimi.

— Śledzą pana — powiedziała. — Wie pan, prawda?

— Oczywiście, że wiem. Jadą za mną, odkąd dziś rano wyjechałem z hotelu. Po pro- stu próbują mnie zastraszyć.

— Szef Ruse to twardy gość. Nie ustąpi, jeśli naprawdę nie będzie musiał.

Skellett wzruszył ramionami i włączył radio z muzyką *country and western*. „Don't

forget me when the sun goes down”... Skręcił na prawo w 11 Aleję i skierował się na północ w stronę University Park. Kathy odezwała się:

— Doprawdy, nie pamiętam, czy kiedykolwiek widziałam szefa Ruse tak zdenerwowanego.

— Nadepnąłem mu na odcisk, to wszystko.

Kathy zamilkła na chwilę. Potem powiedziała:

— Coś bardzo ważnego dzieje się tutaj, prawda?

— Ważnego?

— No, nie wysyłaliby nikogo z NAB, gdyby to nie było ważne.

— Nie — zgodził się Skellett — Nie wysyłaliby.

— No więc, co się dzieje? Całe centrum Phoenix jest naszpikowane uzbrojonymi policjantami. Niech mi pan powie, co się dzieje?

Skellett spojrział w lustro wsteczne. Samochód ciągle jechał za nim, lawirując z uporem wśród aut w porannym tłoku. Temperatura sięgała już 71 stopni Fahrenheita, a spiker w radiu zapowiadał właśnie kolejny gorący dzień.

— Jesteś ładną dziewczyną — powiedział Skellett. — Wiem, że jesteś także reporterką i że od czasu afery Watergate każdy reporter próbuje doszukać się takiego skandalu, który przyćmiłby wszystkie inne. Ale pozwól sobie powiedzieć, że to nie jest żadne Watergate. To są uczciwe, rutynowe działania zabezpieczające, prosta operacja przeprowadzona po to, aby upewnić się, że technika wojskowa wykorzystywana w bazie Air Force w Lukę pozostaje tajna.

— Próbuje mi pan powiedzieć, że Margot Schneider przekazywała tajne informacje dotyczące lotnictwa?

— Niczego nie próbuję pani powiedzieć poza tym, że zrobiłaby pani błąd, rozdmuchując tę historię. A więc, szef Ruse stracił humor. Mam nakazy sądowe na to, żeby ciało Margot Schneider przekazano Narodowej Agencji Bezpieczeństwa. Ruse w końcu będzie musiał się poddać.

Kathy czuła ciarki, przebiegające jej po plecach ze strachu. Skellett prowadził jedną ręką, ręką o długich palcach, przypominających groźną pozaziemską istotę. Było w nim coś nieokreślonego, ale zatrważającego, jak w kimś, kto odczuwa jednakowe zadowolenie dusząc psa i przygotowując spaghetti po bolońsku dla swoich przyjaciół. Jak w człowieku, u którego trudno dostrzec ludzkie sumienie.

— Zdenerwował się pan, kiedy wspomniałam o Kubie?

— Zdenerwował? Nie, nie nazwałbym tego zdenerwowaniem. Raczej ciekawością, dlaczego pani to powiedziała.

— To było przypuszczenie, nic więcej.

Skellett znowu rzucił okiem w lusterko.

— Dziwne to przypuszczenie.

— Wcale nie dziwne. W Phoenix przebywa teraz kilku ważnych uchodźców kubańskich: Antonio Matanzas, Juan Casilda... Odkąd Marshall Roberts został prezydentem, ciągle rozmawiają o kolejnej próbie obalenia Castro. Sądziłam, że może Margot Schneider była w to zamieszana. Rozumie pan — samotna wdowa, która nie ma żadnego innego zajęcia...

— Mówi pani poważnie? — zapytał Skellett.

— Oczywiście, że tak. Dwa miesiące temu mieliśmy w Phoenix przypadek starszej kobiety z El Mirage, która przyłączyła się do gangu obrabowującego banki. Pomogła im obrobić dwa, zanim ją aresztowano. Powiedziała, że robiła to z nudów.

— Bzdury mi pani opowiada, młoda damo — podsumował Skellett.

— To nie są żadne bzdury. Poza tym próbuję coś od pana wyciągnąć.

— Nie, opowiada mi pani bzdury. Nie mam wątpliwości. Wiem, kiedy ktoś próbuje mnie nabrać, a pani to właśnie robi. Kuba nie była żadną zgadywanką. Wie pani coś, albo może inaczej, coś pani wydedukowała, a ja chcę wiedzieć co.

— No to nie ma pan szczęścia — odrzekła Kathy.

Skellett spojrzał na nią pierwszy raz. Jego oczy były dziwnie nieobecne, tak jakby patrzyły poprzez nią, przez ulicę, gdzieś daleko.

— Czy powie mi pani prawdę, czy nie? — zapytał ostro.

— Czy to groźba? Jeśli chce mi pan grozić, może pan natychmiast zatrzymać samochód i wypuścić mnie.

— Nie zatrzymam samochodu, młoda damo, a pani powie mi, dlaczego wspomniała o Kubie.

— Wsiadam — warknęła Kathy i nagłym ruchem chwyciła klamkę u drzwi, ale Skellett spokojnie przycisnął guzik centralnej blokady i drzwi nie ustąpiły.

— Proszę zatrzymać ten samochód i wypuścić mnie stąd! — zażądała Kathy. Teraz naprawdę się przestraszyła. Skellett był tak opanowany i taki nieludzki. Prowadził nadal samochód z jedną ręką na kierownicy, jakby krążył po głównej ulicy w Mesa w sobotnie popołudnie, prowadząc używane Oldsmobile. Uśmiechnął się do niej, a jego zimny uśmiech pozbawił ją najmniejszych wątpliwości, że zabije ją, jeśli tylko będzie chciał. Odwróciła się znów w fotelu.

Pontiac był tylko o jedną przecznicę za nimi.

— Gliny ciągle nas śledzą. Chce pan, żebym zwróciła ich uwagę? Mogę powiedzieć, że próbował mnie pan zgwałcić.

Skellett wzruszył ramionami.

— Może pani robić, co się pani podoba. Ale to ja kontroluję sytuację, nie pani. A ja chcę po prostu wiedzieć, co sprawiło, że wspomniała pani o Kubie. Co albo kto?

— Jestem dziennikarką! — wykrzyknęła Kathy — Nieważne kim pan jest, ani z jakiej rządowej agencji — nie może pan mi nic zrobić. Moja gazeta dopadnie pana.

— „Arizona Flag” to chyba Scripps i Howard, nieprawdaż? — trzeźwo zapytał Skellett.

— Nie, jeszcze ciągle jest niezależna. Jest własnością rodziny Rosnerów.

— A, prawda, Rosnerowie. Miły stary ludek, który nie zechce zrobić niczego, co zdenerwowałoby prezydenta. Nie sądzę, żeby Rosnerowie zrobili zbyt dużo szumu, nawet jeśli jedna z ich reporterek zaginie.

— Czy pan oszalał? — krzyknęła Kathy.

Skellett potrząsnął głową.

— Po prostu wypełniam swoje obowiązki.

Dojechał do Woodland Avenue naprzeciwko University Park i Arizona Museum. Włączył lewy kierunkowskaz, ale kiedy światła zmieniły się, nacisnął pedał gazu i gwałtownie skręcił w prawo, wywołując wrogi chór klaksonów i złorzeczenia kierowców. Beżowy Pontiac na moment zniknął, ale po chwili wyskoczył zza rogu i ruszył w poгон.

— Niech pan stanie, na Boga! Stań skurwysynu! — Kathy krzyczała.

Skellett nie zwracał na nią uwagi. Z piskiem opon zręcznie skręcił w lewo. Z wyjącem na najwyższych obrotach silnikiem ruszył na północny-zachód Grand Avenue. Biegnie ona wzdłuż linii kolejowej do Aitchison, Topeki i Santa Fe i jest jedyną trasą przecinającą Phoenix ukośnie. Kathy szarpnęła Skelletta za lewe ramię tak, że skręcił kierownicą. Odepchnął ją zdecydowanym ruchem i warknął:

— Nie zmuszaj mnie do tego, żebym cię uderzył, ty głupia suko.

Mknął z wielką szybkością Grand Avenue, minął ulicę West Roosevelt i tereny targowe stanu Arizona. Przejeżdżał jedno czerwone światło za drugim. Pontiac pędził tuż za nim. Kathy zacisnęła ręce na brzegu fotela, kiedy przelatywali z prędkością 75 mil na godzinę przez krzyżówkę z Encanto Boulevard i wywołali kolejną falę klaksonów.

— Oszalałeś! — zawołała. — Zabijesz nas!

Skellett nic nie mówił, tylko naciskał gaz do dechy. Minął autobus, ocierając się niemal o jego zderzak, i dalej przeciskał się w strumieniu pojazdów. Kathy usłyszała syrenę, odwróciła się i zobaczyła, że Pontiac, który dotychczas podążał za nimi incognito, wystawił teraz czerwoną błyskającą lampę i już oficjalnie brał udział w szalonym pościgu.

Przez chwilę miała nadzieję, że Skellett skręci na północ, w kierunku Canyon Freeway, gdzie zostanie zatrzymany przez jedną z blokad szefa Ruse. On jednak przemknął ponad autostradą i jechał ciągle na północny-zachód Grand Avenue przecinając Indian School Road, tym razem na zielonym świetle, z prędkością blisko 80 mil na godzinę.

Kathy znowu się odwróciła, akurat w porę, żeby zobaczyć ogromną nieoznakowaną przyczepę ciężarówki, wyjeżdżającą z boku i wolno wysuwającą się w poprzek drogi, tuż przed policyjnym Pontiakiem. To, co nastąpiło za chwilę, odbyło się jak na zwolnio-

nym filmie. Pontiac uderzył w boczne koło przyczepy i potoczył się na pobocze w strumieniach pękającego szkła. Kathy zobaczyła kierowcę, który wypadł przez zdruzgotaną boczną szybę, jak wynurzająca się z fal zakrwawiona Afrodyta i przeokoziółkował przez drogę. Samochodem na moment zarzuciło i znowu zaczął się toczyć, ale w przeciwnym kierunku. W końcu uderzył prosto w okno wystawowe sklepu z alkoholem po przeciwnej stronie ulicy, przewracając półki pełne whisky, wina i szampana, rzucając klientkę w średnim wieku prosto na przednią szybę lady chłodniczej, która natychmiast odcięła jej połowę twarzy. Cała reszta — nos i czoło — skąpana była we krwi.

Kathy nie zobaczyła niczego więcej. Skellett natychmiast skręcił w prawo w Camelback i znowu w prawo w 35 ulicę, pędząc teraz na południe.

— Ty to wszystko przygotowałaś — powiedziała bezbarwnym i drżącym głosem.

— Jestem profesjonalistą. A ty więcej wiesz o Margot Schneider, niż mi powiedziałaś.

— Co chcesz zrobić?

— Zamierzam zabrać cię do bezpiecznego domu pod miastem i zadać ci kilka szczegółowych pytań. Masz coś przeciwko temu? Może wolisz odpowiedzieć na nie tutaj i teraz?

— A co z szefem Ruse? Będzie chciał wiedzieć, gdzie jestem.

— Nie martw się o szefa Ruse. Zatroszczyłem się także i o niego.

— Co masz na myśli?

Skellett znowu skręcił, w Thomas Road, i zaczął kierować się na wschód.

— Powiedziałem ci już, jestem zawodowcem. Robię wszystko dokładnie i właściwie.

— Jesteś szalony. Właśnie zabiłeś ludzi. Widziałeś twarz tej kobiety?

— Nie patrzyłem.

— Zwariowałaś! — krzyknęła Kathy.

Skellett spojrzał na nią zimno.

— Słuchaj — powiedział. — Jestem agentem rządu Stanów Zjednoczonych i mam wszelkie upoważnienia do tego, żeby robić to, co uznam za wskazane. Ten wypadek był rodzajem zabezpieczenia, z którego zamierzałem skorzystać tylko wtedy, gdybym musiał. A musiałem! Gdyby ludzie Ruse trzymali się z daleka i pozwolili mi wykonać moje zadanie bez przeszkód, nie byłoby to konieczne. Nie chciałem nikogo skrzywdzić, ani policjantów, ani przechodniów. Są jednak pewne sprawy rządowe, które trzeba traktować z dyskrecją i załatwiać je szybko i zdecydowanie. Nie myśl, że to co zobaczyłaś, było czymś nadzwyczajnym.

— To koszmar — powiedziała Kathy. — Nic nie wiem o tej Schneider. Dlaczego jest taka ważna?

— Nie powiedziałem, że jest. Ważne jest to, dlaczego powiązałaś jej osobę z Kubą.

— Mówiłam ci już, że to było przypuszczenie. Próbowалам wydobyć coś od ciebie.

— Zbyt wielu ludzi to dzisiaj robi — powiedział Skellett tajemniczo. — Trochę mniej wyciągania tajemnic, trochę więcej pomyślnej współpracy i współżylibyśmy jeden z drugim odrobinę lepiej.

— Nie wiedziałam, że agentem rządowym wolno filozofować — rzuciła Kathy, odzyskując trochę pewności siebie i ciętości, szczególnie teraz, kiedy Skellett zwolnił.

— Żeby stosować filozofię, trzeba ją rozumieć. Ślepe posłuszeństwo to nie wszystko.

— Wypuści mnie pan z samochodu? — poprosiła Kathy.

Skellett spojrział w przód, potem w lusterko wsteczne, a wreszcie w bok na Kathy.

— Nie — powiedział cicho, ale dobitnie. Wiedziała już, że nic nie dałoby, gdyby poprosiła go o to jeszcze raz.

Rozdział dwunasty

Szef Ruse właśnie odjeżdżał, żeby zjeść gdzieś śniadanie, kiedy przy krawężniku zatrzymała się służbowa limuzyna burmistrza, a szyba samochodu została opuszczona. Ruse rzucił Berridge'owi: — Chwileczkę — i poszedł powiedzieć „dzień dobry” burmistrzowi Gardensowi.

— Dzień dobry, Walter — odpowiedział burmistrz. Był szczupłym mężczyzną o twarzy pomarszczonej od słońca, z włosami tak kędzierzawymi, jak potargana przez wiatr pszenica — Harris mówi, że masz jakieś kłopoty z NAB.

— Nic, z czym nie dałbym sobie rady — odrzekł Ruse, opierając się o czarny dach Cadillaka i fundując burmistrzowi możliwość obejrzenia z bliska swego ogromnego brzucha. — Niewielka różnica w interpretacji prawa.

— Nigdy nie myślałem, że doczekam dnia, kiedy i ty zaczniesz mówić biurowym żargonem, Walterze — stwierdził burmistrz. — Co to jest, u diabła, ta różnica w interpretacji prawa?

— To jest sposób, w jaki się podchodzi do prawa, Andrew. NAB podchodzi do niego w jeden sposób, a ja, tak się składa, w inny.

Burmistrz wykrzywił twarz w grymasie. Zaciśnął zęby i spał na nich wargi. Zawsze tak robił, kiedy musiał powiedzieć coś niepopularnego.

— Problem w tym, Walterze, że sędzia Fredericks podziela punkt widzenia Narodowej Agencji Bezpieczeństwa w tej sprawie. Jesteś więc przyciśnięty do muru.

Szef Ruse wyjął chusteczkę do nosa i wytarł spoconą twarz.

— Mam nadzieję, że nie próbujesz powiedzieć tego, co myślę, że chcesz powiedzieć. Burmistrz Gardens skrzywił się znowu. Wyglądał na zakłopotanego.

— Ile Skellett dał ci czasu?

— Godzinę — spokojnie odparł Ruse. — Teraz już coś około czterdziestu pięciu minut.

— No więc, chcę żebyś wydal tego trupa w ciągu tych trzech kwadransów. Słyszysz? Chcę, żebyś to zrobił, bo to jest zgodne z prawem i jest słuszne. Także dlatego, że nie

chcę, aby Phoenix dorobiło się w NAB opinii miasta, które nie współpracuje z nimi i jest do nich źle nastawione. Być może będziemy ich kiedyś potrzebować, Walterze, potrzebować ich pomocy, a to wcale nie jest sposób na to, żeby ją zdobyć.

— Andrew — powiedział szef Ruse. — Nie wydam tego ciała. A teraz pozwól, że pójde zjeść jakieś śniadanie.

Ruse odszedł. Burmistrz Gardens obserwował go z rosnącą frustracją, nagle ryknął za nim:

— Walter, ty zakuty łbie!

Kiedy Ruse wrócił do swojego samochodu, porucznik Berridge odbierał raport radiowy z centrali policji w Phoenix.

— Szef jest tutaj. Powiem mu. W porządku, zrozumiałem, kończę.

— Co się dzieje? — zapytał Ruse.

— To Skellett. Wilson i McKenzie jechali za nim w kierunku dzielnicy willowej, w górę Grand Avenue. Najwyraźniej zabrał z sobą tę dziewczynę, reporterkę, jak ona się nazywa, ta z „Flag”?

— Kathy Forbes — odpowiedział szef Ruse. — Spędziłeś wczoraj pół wieczoru próbując dorwać się do jej majtek, a nawet nie dowiedziałeś się, jak ma na imię.

— Wilson i McKenzie mieli wypadek — odrzekł poważnie porucznik — Uderzyli w przyczepę ciężarówki z prędkością 80 mil i przekoziółkowali. Wilson jest teraz w County General, ma połamane nogi i potężny wstrząs mózgu. McKenzie nie żyje.

— Cholera — zaklął Ruse. Przez chwilę stał cicho, z rękami na biodrach, patrząc na ziemię. Potem potarł twarz i powtórzył: — Cholera!

— Skellett wyszedł bez szwanku — dodał Berridge. — Da Vito i Haskins sądzą, że widzieli go jadącego na południe 35 Ulicą, ale nic poza tym.

— Jechał na północ, a potem na południe?

— Tak się wydaje. Prawdopodobnie odbił w prawo w Camelback czy Bethany.

— Hmm — odezwał się szef Ruse. — W każdym razie musi być z powrotem za około pół godziny, żeby zabrać ciało Margot Schneider. Albo spróbować zabrać ciało.

— Prawdę mówiąc, jeśli chodzi o niego, to do niczego nie możemy się przyczepić — powiedział porucznik Berridge. — Przekroczenie szybkości może, ale to wszystko.

— A co z kierowcą ciężarówki?

— Jakim kierowcą ciężarówki?

— Kierowcą ciężarówki z tego zderzenia z Wilsonem i McKenzie. Czy ktoś pofatygował się, żeby zadać mu jedno, czy dwa pytania? Mam nadzieję, że tak.

— Pewnie — odparł porucznik Berridge — ale nie sądzę, żeby był w jakiś sposób powiązany ze Skellettem. — Polizał kciuk i przewrócił parę stron swojego notesu. — Nazywa się Gordon Farito z Tucson. Ma czyste konto za wyjątkiem kilku pomniejszych przestępstw drogowych. Niezabezpieczone ładunki, tego typu rzeczy.

— Niezabezpieczone ładunki — westchnął Ruse. — Niezabezpieczone pierdolone ładunki.

Berridge zupełnie nie wiedział, co powiedzieć. Zamknął notes i włożył go z powrotem do wewnętrznej kieszeni.

— To mi przypomina sprawę braci Ziff. Pamięta pan braci Ziff? Szmuglowali towar przez granicę w Nogales. Zawsze mieli zasadzkę zorganizowaną gdzieś po drodze, na wypadek pościgu. Furgonetka albo ciężarówka wyjeżdżała tuż przed samochód policyjny, kiedy bracia Ziff już przejechali. To mi właśnie ich przypomina.

Wysłuchawszy go szef Ruse polecił:

— Upewnij się, że będziemy wiedzieli, gdzie znaleźć pana Farito na wypadek, gdybyśmy chcieli jeszcze z nim porozmawiać. A tymczasem jedźmy coś zjeść. Nie cieszy mnie myśl, że stracę pracę z pustym brzuchem.

Wsiadł do swojego samochodu i rzucił młodemu kierowcy:

— Do „Rity”, dobra? I jedź szybko. Mam dokładnie dwadzieścia osiem minut, żeby zjeść talerz siekanej wołowiny z jajkami i wrócić tu z powrotem.

— Świetnie, proszę pana — powiedział kierowca i przekręcił kluczyk w stacyjce.

Szef Ruse od razu wiedział, co się stało. Odczuł trzask w uszach i miał wrażenie, jakby cały świat skurczył się do wielkości łebka od szpilki. A potem nastąpił nieokiełznany wybuch ognia, piachu, szkła i pokręconych kawałków metalu. Drzwi samochodu odleciały i potoczyły się przez ulicę.

„Coś takiego — pomyślał — wysadzili mnie w powietrze. Tak, tak musi być, gdy jest się wysadzonym w powietrze”. Za strzaskaną przednią szybą zobaczył coś, co przypominało skrwawione martwe ciało krowy, obracające się ciągle w powietrzu i uświadomił sobie, że był to tors jego kierowcy. Nagle zdał sobie sprawę z tego, że nogi kierowcy znajdują się ciągle obok niego na swoim, zdruzgotanym i podartym w strzępy miejscu, ciągle w pozycji jak do podróży donikąd.

Usłyszał huk albo jego echo odbijające się od otaczających budynków. Usłyszał dźwięk podobny do turkotu. Najpierw sądził, że to deszcz. Ale był to odgłos biegających stóp. Przez jeden krótki moment pomyślał: „Jestem cały. Wysadzili mnie, a jestem cały i zdrowy”.

Usłyszał ryk gaśnic pianowych — ktoś gasił płomienie. Usłyszał jakiś głos, mówiący:

— Nie dotykajcie go, on jeszcze żyje. — I pomyślał: „To prawda, jestem jeszcze żywy. Ciągle żywy i co więcej, nawet nie jestem ranny”.

— Poruczniku Berridge — próbował powiedzieć, ale mógł mówić tylko o swoich myślach. „To absurdalne. Mogę artykułować słowa w swoim wnętrzu, ale nie mogę ich wypowiedzieć. To musi być szok. To jest to. Jestem cały, ale muszę cierpieć z powodu szoku. Widziałem takie rzeczy podczas wypadków drogowych. To nic takiego, na co nie

mogłaby pomóc filiżanka mocnej kawy”.

Pomyślał, że będzie dobrze, gdy zamknie oczy choć na chwilę. Odpoczynek był drugim wspianiałym lekiem na szok. Zdziwił się jednak, kiedy odkrył, że tego także nie może uczynić. Było prawie tak, jakby nie miał powiek. To było drażniące, dlatego że oczy zaczynały boleć. Spojrzał w górę, w niebo. To musiała być bardzo silna eksplozja: w samochodzie nie było dachu, tylko poczerniałe ramy, obwieszone czerwonymi wstążkami. Znowu opuścił głowę. Nie mógł wiedzieć, że te czerwone wstążki, to było wszystko, co pozostało ze skóry jego twarzy. Jego kości policzkowe były obnażone, a oczy wpadły do oczodołów jak u popsutej lalki.

Wyglądał tak upiornie, że z początku nikt do niego nie podchodził. Nie mogli uwierzyć, że ciągle jeszcze żyje.

Burmistrz Gardens był pierwszy. Wyszedł do przodu żwawo i szybko. Zdarł z siebie płaszcz. — Walter — powiedział. Przyklęknął obok pogieętego podwozia samochodu policyjnego. — Walter, wszystko będzie dobrze.

Ruse próbował skupić na nim wzrok i wydał krwawe rżenie z ust pozbawionych warg.

— Słyszysz mnie, Walterze? Wszystko będzie dobrze. Lekarze już tu są.

— Skellett — próbował powiedzieć szef Ruse. Ale nie wydobył z siebie żadnych słów oprócz grubego, zdławionego dźwięku. Spróbował podnieść rękę i chwycić Andrew za ramię, ale nawet czynność tak prosta jak ta, wydawała się zupełnie niemożliwa. „Przeklęty, głupi szok” — pomyślał. — „Nigdy w całym moim życiu nie czułem się tak bezradny”. Jego ręka, ciągle opasana strzaskanym zegarkiem, leżała w rynsztoku, ponad pięćdziesiąt stóp dalej.

Zrobiło mu się zimno. Głowa zaczęła mu opadać. Spojrzał w dół. Zobaczył, że ktoś był tak nieuważny, iż zostawił całe jardy węża od gaśnicy na jego kolanach. Jardy, jardy błyszczącego i mokrego węża. Wypadałoby jednak, aby traktowali człowieka będącego w szoku z większą troską.

Andrew Gardens przykrył go swoim płaszczem.

— Walter? Słyszysz mnie? Wszystko będzie dobrze. Chcesz, żebym pomodlił się za ciebie? Chciałbyś, żebym odmówił modlitwę?

Ruse słyszał burmistrza, odległego jak słaby głos przez telefon. Dlaczego Andrew telefonował do niego? Wydawało się to zupełnie absurdalne, tak absurdalne, że wywoływało śmiech. Wiedział, że jest w doskonałym porządku, ale czuł się bardzo zmarznięty i bardzo odległy od tego wszystkiego.

Andrew Gardens modlił się:

— Boże, zmiłuj się nad nami i pobłogosław nas. I wskaż nam światłość swego oblicza. Zlituj się nad nami.

Kamerzysta z KPHO nagrał na taśmę video łzy burmistrza, ale trzymał obiektyw

z dala od szefa Ruse, który zmarł kilka minut później nie sfotografowany, do końca wierząc, że udało mu się cało i zdrowo wyjść z tej eksplozji.

Rozdział trzynasty

Wysoko nad ulicą, czarny dym po wybuchu bomby wisiał jeszcze na bezwietrznym niebie, niczym duch Waltera Ruse'a; kolejne żniwo krwawej ery terroryzmu.

A niespełna trzydzieści jardów od spalonego samochodu wpatrzony gdzieś w dal, w pomiętym orzechowym garniturze safari, z rękami w kieszeniach, stał Henry Friend. Kobieta z białym pudełkiem na rękach, stojąca obok Henry'ego powiedziała:

— O mój dobry Boże, nigdy przedtem nie widziałam czegoś takiego, nigdy w życiu. Ten biedny człowiek... Rozerwany na kawałki. Nigdy przedtem nie widziałem czegoś takiego.

Henry zapalił papierosa. Nie patrzył wcale w kierunku samochodu: nie dlatego, że był wrażliwy, ale dlatego, że nie potrzebował. On sam osobiście nie zakładał nigdy ładunków wybuchowych. Nigdy ich nie dotykał, jeśli nie musiał. Bo Henry chciał umrzeć we własnym łóżku. Dlatego i teraz ograniczył się do nadzoru nad zadaniem tego szczególnego ciosu: prawidłowym nastawieniem mechanizmu zegarowego i organizacją umieszczenia materiału.

Potaął oczy i podrażnił je nikotyną ze swych palców. Był bardzo zmęczony i potrzebował kąpieli. Dwa dni temu, zaledwie sześć godzin po powrocie z Phoenix do Los Angeles i złożeniu głowy Margot Schneider w schowku na lotnisku Santa Monica w Clover Field, otrzymał polecenie, aby natychmiast powrócić do Arizony.

Siedział właśnie w restauracji „Czarny Wieloryb” w Marina del Rey, po raz pierwszy od dwudziestu lat nie robiąc nic innego, tylko odpoczywając i jedząc. Po raz pierwszy był w stanie skoncentrować się na samej czynności picia i jedzenia, nie potrzebując ukradkiem badać tożsamości swoich współbiesiadników. Zamówił ogromnej wielkości „Krwawą Mary” i kopiasty talerz królewskich krabów z Alaski, specjalność „Czarnego Wieloryba”. Ale gdy pociągnął drinka i w błogim spokoju zamknął oczy piekące z wy-czerpania, czyjaś dłoń dotknęła jego rękawa. To samo znajome dotknięcie.

— Musisz wracać — wyszeptał młody, łamiący się głos. Głos młodocianego posłańca.

— Wracać? — zapytał nie otwierając oczu. — Wracać dokąd?

— Do Phoenix. Są tam jakieś kłopoty.

— Odkryli, kim ona jest?

— Nie. Chodzi o coś zupełnie innego. Nie pytaj mnie, o co. W końcu otworzył oczy i spojrzał na młodego mężczyznę w lnianym garniturze w kratkę i lustrzanych okularach. Pomyślał: „Palant. Dlaczego zawsze wybierają takich palantów? No, może ten dzieciak celowo usiłuje tak wyglądać. Człowiek nigdy nie wie, jaki styl panuje w tych czasach”.

— Nie jestem pewien, czy nie mam już dość Arizony — odpowiedział tak ostrożnie, jak gdyby słowa które dobierał, mogły mieć wpływ na decyzje o jego powrocie. Już dostrzegł sylwetkę kelnera niosącego różowo-białą górę krabów.

— A jednak — powiedział młody człowiek.

Henry pomyślał: „A jednak”.

A jednak złapał najbliższy samolot z Los Angeles do Phoenix, nie telefonując nawet do swego brata czy do swojego bookmachera, nie otwierając też swojej eleganckiej walizki marki Gucci. Patrzył później przez iluminator samolotu na suchą, beżową pustynię zachodniej Arizony, która znów mknęła pod nim. Ta praca nie miała końca. Zabiłeś jednego i zawsze musiałeś zabijać następnych, tak jakby każde życie ludzkie było elementem zagmatwanego łańcucha, który drżał, kiedy tylko jedno z ogniw ulegało zamierzonemu zniszczeniu, „Sprzątniesz dla mnie, koleś, co?” „Pewnie, zawsze”. Pięć czy sześć zabójstw za cenę jednego.

Ambulans z wyjącą syreną przejechał przez Washington Street i zasłonił Henry'emu widok dymiącego wraka. Począł jeszcze minutę, może dwie, i zaczął torować sobie drogę przez tłum. Potem poszedł na południe 6 Ulicą, gdyż tam zaparkował wynajęty samochód. Niespodziewanie poczuł przygnębienie. Nie z powodu rzezi, którą sprawił, nie z powodu gwałtownej śmierci dwóch facetów, ale dlatego, że całe to zadanie wydawało mu się niepotrzebnie tak brudne i zagmatwane. Dla mężczyzny, który przez długi czas przebywał w pokojach moteli, żyjąc na walizkach, nieporządek i zamieszanie były prawdziwym przekleństwem. Żył w sposób systematyczny i skromny jak prawdziwy zawodowiec, i był z tego dumny. I to zaowocowało: po dwudziestu latach chowania się w cieniu, znalazł kobietę o nazwisku Margot Schneider i zabił ją. Miał jednak problem: jej śmierć zdawała się wzbudzać w nim jakiś rodzaj psychicznej wibracji — jakiś mroczny szmer wspomnień, który zapowiadał coś złego.

Dotarł do zielonego Mercurego, otworzył drzwiczki i niezgrabnie wszedł do środka. Młody czarny mężczyzna już na niego czekał: chłodny, bez emocji, w koszuli, której błękitny kołnierz trzymał starannie wywinięty na klapy kremowego, sportowego płaszcza.

— Poszło jak z płatka, co? — zapytał młodzian, kiedy Henry usadowił się wreszcie na swoim miejscu i włączył silnik.

— Nie spodziewałeś się, że tak będzie? Pracujesz z zawodowcem o wielkim doświadczeniu, kolego Boyd.

— Lloyd, panie Friend, nie Boyd.

Henry ostrożnie włączył się do ruchu. Pociągnął nosem.

— Może teraz wszyscy będziemy mogli pojechać do domu — stwierdził.

— Nie wiem, panie Friend, pan Skellett nic nie powiedział.

Henry z rozdrażnieniem stukał czubkami palców w kierownicę.

— Skellett — powiedział sam do siebie głosem człowieka, który nagle przypomniał sobie, że zostawił swój portfel w domu. — Czy była to dobrze zrobiona robota?

— Doskonale, panie Friend. Ustawienie czasu — doskonale. Ładunek — doskonały. Efekt ostateczny — doskonały.

— Lepiej niż ten przekłety bałagan, jakiego narobili w Wirginii — powiedział Henry, skupiając uwagę na skręcie w lewo, w Jackson, za stacją Union Railroad.

Lloyd nic nie powiedział, tylko oparł łokieć na brzegu okna i spoglądał na ulicę. Henry popatrzył na niego:

— Byłeś w tamto zamieszany?

— Lepiej, aby pan nie wiedział.

— Ach tak, rozumiem — powiedział Henry. — A nigdy nie przyszło ci do głowy, że Alexander może przypadkiem zamienić samochód? Nie miałeś żadnego planu na wypadek jakiejś zmiany?

— Nie mogę o tym rozmawiać.

Henry zaśmiał się cicho.

— Skellett — powtórzył kwaśno. — Skellett nie potrafiłby wylać moczu z buta, gdyby instrukcję miał napisaną na podeszwie. Myślę, że Skellett zawsze chciał być kowbojem. Takim Clintem Eastwoodem. Widziałeś dzisiaj te śpiewy i tańce? Rozwścieczył lokalnych bonzów tak, że wylegli na ulice z rewolwerami, snajperami, kamerami TV i prasą, a przecież cała ta sprawa miała być całkowicie tajna.

Przerwał na chwilę, prowadząc ostrożnie w porannym tłoku.

— Gdyby mnie kto pytał, to Skellett będzie miał szczęście, jeśli wytrzyma jeszcze przez miesiąc — stwierdził, znowu skręcając w lewo, w kierunku dworca autobusowego linii „Greyhound”.

— Kto wie, nie chcę dyskutować na takie tematy. Po prostu zakładam ładunki — powiedział Lloyd.

— Dobrze się dzisiaj spisałeś. Umieszczenie tego ładunku wymagało opanowania.

— To nic takiego. Najważniejszy był zapalnik czasowy.

Henry uśmiechnął się do siebie z satysfakcją. Nie było sposobu, żeby wcześniej dowiedzieć się, gdzie szef policji zaparkuje, czy nawet którym samochodem pojedzie. Dlatego wybrał ośmioletni ładunek w winylowej walizeczce. Już dawno temu nauczył

się, jak łatwo można odwrócić ludzką uwagę, a brunetka z dużym biustem i w obcisłych spodniach z pewnością uczciwie zarobiła swoje sto dolarów. Skupiła na sobie uwagę wszystkich mężczyzn w okolicy dokładnie w chwili, gdy młody czarnoskóry pracownik biurowy, ze zbyt dużą liczbą paczek na rękach, przeszedł przez ulicę tuż przed zaparkowanym samochodem szefa Ruse. Henry uważał, że należało poczekać trochę z usunięciem Ruse, może do następnego wieczora, gdy wszystko by się uspokoiło. Potrafił także zrobić to o wiele ciszej. Ale jeśli Skellett mógł się popisywać, to on mógł również, a ponadto Skellett wyraźnie polecił mu wykonać robotę natychmiast, bez odkładania jej. Nie lubił Skelletta i strasznie chciał mu pokazać, jak przerażająco skuteczny potrafi być, gdy trzeba.

Było jeszcze coś... coś, czego Henry nie mógł tak do końca zrozumieć. Uczucie, że odbywają się jakieś bardzo poważne manewry, ważne przesunięcia w strukturze organizacji. Może to było powodem, dla którego Skellett podjął ryzyko bezpośredniego spotkania z szefem Ruse.

Henry kontaktował się i rozmawiał z wystarczająco wieloma agentami NAB, wystarczająco wieloma, aby zrozumieć, że trwa ciągła walka w obrębie Agencji o wpływy polityczne, szczególnie teraz, kiedy Ikon tak się postarzał i osłabł. Henry nie wiedział zbyt wiele o NAB, ale i tak o wiele więcej, niż powinien. Gdyby tylko zorientowali się, jak dużo, zabiliby go natychmiast.

Wysadził Lloyda na dworcu autobusowym. Zanim odjechał, młody Murzyn powiedział:

— Może jeszcze będziemy razem pracować, co pan na to?

Henry pokręcił głową.

— To może pójdziemy razem na drinka?

— Może — odpowiedział Henry. Lloyd postukując paznokciem kciuka o zęby patrzył za nim, gdy odjeżdżał. Było coś przerażającego w postaci Henry Frienda.

W drodze, powrotnej do centrum Phoenix Henry minął przeraźliwie wyjący ambulans i całe stado policyjnych motocykli, pędzących w przeciwnym kierunku, do szpitala okręgowego. To szef Ruse w swej przedostatniej drodze.

A w jego domu Ingrid otworzyła drzwi frontowi i ze zdziwieniem zobaczyła stojącego przed nimi porucznika Berridge'a.

Spojrzała prosto na niego. A potem za niego, na zaparkowany przy krawężniku samochód policyjny z migającym, czerwonym „kogutem”.

Cichym i pełnym powagi głosem, jaki rzadko było dane usłyszeć jej mężowi, zapytała:

— Był wypadek, prawda? To Walter?

— Tak — skinął głową Berridge. — To Walter.

Rozdział czternasty

Tego popołudnia Joe Jasper wioził Nadine na lotnisko Dulles świeżo stukniętym Porsche Tytusa. Tytus obejrzał uszkodzenie zanim wyjechał do Departamentu Stanu i nic nie powiedział. Ale Joe, spoglądając na jego napinające się mięśnie policzkowe, pewien był, że nigdy więcej nie będzie chciał on prowadzić tego samochodu.

Nadine milczała większość drogi przez Potomac. Był szary, wilgotny dzień. Wschodnie wybrzeże zasnuły chmury od Bostonu aż po Norfolk. Zapowiadano ulewy z piorunami na resztę popołudnia i większość wieczoru. Nadine miała na głowie żółtą jedwabną chustkę, a część jej twarzy była ukryta za wielkimi lustrzanymi okularami słonecznymi. Prawdopodobnie nawet Tytus przeszedłby obok niej w tłumie, nie zwracając na nią uwagi.

Czuła się zmęczona, lecz nie nieszczęśliwa. Oprócz nocy spędzonej na kochaniu się z Tytusem, co zawsze ją odprężało, faktycznie osiągnęła najbardziej subtelny z sukcesów. Doprowadziła do tego, iż Tytus zaufał jej do tego stopnia, że wreszcie wciągnął ją w jedną ze swych tajnych intryg.

Nie było to wcale łatwe. Zajęło jej całe lata, by uwierzył w jej szczerość. Bynajmniej nie w tę seksualną: był dla niej tak pobudzający erotycznie i tak niezbędny dla jej codziennego szczęścia jak narkotyk i wiedział o tym. Co więcej, nałóg był chyba obustronny. Nie było takiego miejsca na ich ciałach, które nie zostałyby wzajemnie przez nich odkryte, czule albo z dziką namiętnością.

Nie, tą najtrudniejszą częścią było budowanie ich przyjaźni i zaufania. Musiała się z nim kłócić i walczyć po to, żeby zmusić go do traktowania jej jak kogoś ważniejszego, innego niż zwykła waszyngtońska żona. Zajęło jej to pięć wyczerpujących lat, ale teraz dawało w końcu efekty. Nadine nie mogła powstrzymać się od uśmiechu do samej siebie, kiedy Joe skręcał w aleję dojazdową na lotnisko i wjechał na parking.

— Coś śmiesznego, pani Alexander? — zapytał Joe.

— Nie, tylko to moje przebranie mnie bawi.

Joe znalazł miejsce do parkowania i wcisnął w nie Porsche. Ustawił go tak blisko sa-

mochodu zaparkowanego obok, że nie mógł otworzyć swoich drzwi i musiał wysiąść od strony Nadine.

— Nie jestem zbyt zręczny w manewrowaniu. Zbyttnio koncentruję się na zmianie biegów — stwierdził.

Ruszyli w kierunku terminalu. Joe wyjął z kieszeni płaszcza okulary przeciwsłoneczne, włożył je i poczuł się, jakby był bardzo tajemniczy i doskonale zamaskowany. Nadine zapytała:

— Rozpoznasz tę dziwkę, kiedy ją zobaczysz?

— Pewnie, ale nie powinna pan nazywać jej dziwką, pani Alexander. W najgorszym przypadku hostessą.

Nadine zignorowała go.

— Jaka ona jest jako człowiek? — pytała. — Poznałeś ją, prawda? I rozmawiałeś z nią?

— Podoba mi się, prawdę mówiąc — odrzekł Joe. — Ale proszę zauważyć, że lubię większość ludzi. Nie jestem z tych, co to można ich nazwać wybrednymi towarzyszko.

— Acha, wielkie dzięki.

— Nie miałem pani na myśli, pani Alexander — usprawiedliwiał się Joe. — Chciałem zasugerować, że...

— Och, na miłość boską, przestań się płaszczyć — Nadine warknęła na niego. — I zdejmij te śmieszne okulary. Wyglądasz w nich jak albinos.

Joe zdjął okulary i wepchnął je z powrotem do kieszeni. Musiał trochę przyspieszyć, żeby dotrzymać jej kroku.

— Colleen Petley ma klasę, jak na hostessę. Pochodzi z dobrej rodziny, to widać. I oczywiście dobrze jej się obecnie powodzi. Tysiąc za noc przez trzysta nocy w roku, plus napiwki i inne prezenty...

Samolot z Dallas już wylądował i Colleen Petley czekała na nich na zewnątrz budynku przy postoju taksówek, dyskretnie eskortowana przez jednego z pomocników Joe Jaspiera, małomównego byłego pięściarza, o nazwisku Crack Nielsen. Spotkanie wysokiej, smukłej i wyniosłej Nadine Alesander, z małą nadąsaną, rzucającą się w oczy Colleen Petley, było jednym z klasycznych spotkań we współczesnej polityce. Jednak, podobnie jak śmierć szefa Ruse, nie zostało utrwalone na zdjęciach. Przyciągało jednak uwagę.

Colleen Petley, alias Rita Haze, była oszałamiająco piękną blondynką z dużym biustem, wielkimi błękitnymi oczami i ustami przypominającymi barwą rozgniecione truskawki. Miała na sobie błękitną bluzkę z falbankami w stylu meksykańskim, odsłaniającą ramiona, oraz szeroki biały pas i jasnoniebieskie, bardzo obcisłe spodnie, które wyglądały, jakby były namalowane na jej nagim ciele. Crack Nielsen — niski i krępy, o twarzy nieruchomej jak kupa betonu, której pozwolono zastygnąć na chodniku — niósł jej białe torby lotnicze i równie białe sztuczne futro.

Joe Jasper chwycił Colleen za rękę i pochylił się do jej ucha.

— To jest pani Alexander, Colleen. Żona Sekretarza Stanu. Wszystko, co teraz masz zrobić, to spokojnie uścisnąć jej rękę i powiedzieć „cześć”. Pamiętaj, to nie jest przedstawienie. Potem już pojedziemy.

— Cześć, Colleen — powiedziała Nadine. — Witamy w Waszyngtonie.

— Jestem zachwycona — odpowiedziała Colleen z wyraźnym teksańskim akcentem. A potem ku kompletnemu osłupieniu Nadine, dygnęła nisko. Jej ogromne piersi wychyliły się niebezpiecznie z elastycznej meksykańskiej bluzki.

— Samochód stoi na parkingu — poinformował Joe. — Mam nadzieję, że wszyscy się wciśniemy.

Jechali na północny-zachód wzdłuż Washington Memoriał Parkway, w krępującej intymnej bliskości. Nadine powiedziała do Joe'go:

— Nie wiem dlaczego, u diabła, Tytus w ogóle kupuje te śmieszne zagraniczne rzeczy. Sześćdziesiąt tysięcy dolarów za samochód, który nie odpowiadałby nawet federalnym przepisom o zagęszczeniu mieszkań.

— Znałam faceta w Vegas, który miał zdumiewająco rozłożystego Lincolna — stwierdziła Colleen. — Ten wóz miał telewizor, brokatowe siedzenia i dywany z prawdziwej wilczej skóry. Był po prostu olśniewający.

— Bardzo miło — odpowiedziała Nadine. A potem do Joe'go półgębkiem: — Wydało mi się, że powiedziałeś: „z klasą”.

Joe wzruszył ramionami z zawstydzeniem.

— To jest kwestia porównania, wydawała się mieć klasę w Vegas.

— Byłaś już przedtem w Waszyngtonie, kochanie? — Nadine zapytała Colleen.

— Nie, nigdy. Czy to jest pomnik Lincolna?

— Tak. Może za dzień lub dwa będziesz miała okazję pooglądać miasto.

— Muszę pani powiedzieć — oznajmiła Colleen — że jestem bardzo zdenerwowana. To znaczy, wcale nie jestem pewna, że robię dobrze. To znaczy, on jest przecież prezydentem i w ogóle...

Nadine uśmiechnęła się do niej i wysunęła rękę, żeby poklepać ją pocieszająco po ramieniu.

— Nie martw się. To co robisz, to najbardziej zaszczytna i wymagająca odwagi rzecz, taka jakiej prawdopodobnie nikt inny nie mógłby zrobić. Zdajesz sobie sprawę, że twoje nazwisko prawdopodobnie przejdzie do historii?

Colleen uśmiechnęła się niepewnie.

— Wiem, pan Jasper powiedział mi o tym. Ale, widzi pani, jestem trochę niespokojna. Pochlebia mi to, na pewno. Ale wie pani, denerwuję się.

— Dlatego jesteśmy tacy dumni z ciebie — powiedziała Nadine. — Ponieważ tak się tym przejmujesz.

W końcu dotarli do Rockville w Maryland na spokojną, obsadzoną drzewami boczną uliczkę, gdzie najgroźniejszym wrogiem był palusznik krwawy — roślina zarastająca tamtejsze trawniki i gdzie status człowieka mierzyło się nie pozycją na politycznej scenie, ale najnowszym modelem Oldsmobile'a i garażem z drzwiami otwieranymi automatycznie. Wiał wilgotny wiatr, kiedy wysiadali z samochodu. Joe poprowadził ich do parterowego domu, który wynajął na nazwisko „Smithson”. Otworzył frontowe drzwi. Nadine odwróciła się do Colleen.

— Chodź. Wejdź do środka. To jest twój dom.

Wnętrze domu było przytulne i wygodne. Były tu grube dywany z kudłatej wełny, meble obite skórą, telewizory w pokoju bawialnym, kuchni i jadalni. Na pomalowanych na kremowo ścianach wisiały banalne abstrakcyjne reprodukcje, jakie zwykle znajdują się w hotelach. Reszty dopełniał bar ze szklanym frontem, kącik śniadaniowy i przeszklone drzwi z widokiem na małe podwórkó z zardzewiałym drucianym koszem do palenia śmieci.

— Nie ma *jacuzzi*? — spytała Colleen zawiedziona. — Zawsze spędzam całe godziny w *jacuzzi*.

— Chcesz mieć wannę z podgrzewaną wodą? — spytał Joe, zanim Nadine zdążyła cokolwiek powiedzieć. — Zamontujemy jakąś. Nie ma problemu.

— Acha — powiedziała Colleen, spacerując od pokoju do pokoju. Jej obcisłe spodnie lśniły w ruchu jak świeżo złowiona niebieska rybka. — Myślę, że jak na kryjówkę jest nie najgorzej.

— Nie powinnaś myśleć o tym jak o kryjówce — poprawił ją Joe, zapisując „wanna” na odwrocie koperty. — To czasowe schronienie, nic więcej. Jak tylko to się skończy, znajdziemy dla ciebie coś dużo lepszego. Z wanną w każdym pokoju, jeśli tego zapragniesz.

— Mogłabym wypić drinka? — poprosiła Nadine. — Może ukryłeś tu przypadkiem jakieś Martini. Joe?

Joe schował ołówek.

— Jestem pewien, że znajdzie się w lodówce jakaś butelka albo nawet dwie. Byłem tutaj wczoraj wieczorem, żeby sprawdzić, czy Colleen będzie miała wszystko, czego potrzeba.

— Jeśli raz spróbujesz Martini Joe'go, nigdy niczego innego nie będziesz chciała pić — uśmiechnęła się Nadine.

Joe nalał drinka, a potem poszedł do telefonu zaplanować przygotowania do jutrzejszej konferencji prasowej. Crack Nielsen, nieruchomy jak zawsze, stał warując przy oknie.

— Chyba wezmę kąpiel. Czuję się, jakbym podróżowała przez całe życie. Chce pani pójść ze mną i porozmawiać, pani Alexander? — zapytała Colleen.

— Mów do mnie Nadine, na litość boską — odpowiedziała, idąc za nią do sypialni.

Colleen zakryła twarz rękami tak, że tylko jej duże bławatkowe oczy pozostały widoczne.

— Wiesz co, próbowałam tego nie pokazać po sobie, ale kiedy Joe Jasper zatelefonował do mnie wczoraj wieczorem i powiedział mi, że masz zamiar osobiście się mną zająć... no, po prostu nie mogłam w to uwierzyć. Obiecałam sobie, że nie będę taka papla, wiesz? Ale tyle czytałam o tobie w gazetach i widziałam ciebie z Johnny Carsonem. Czy to nie było śmieszne, kiedy poprosił, żebyś mu pokazała, jak mężczyzna powinien uwodzić bardzo wysoką kobietę?

— Śmieszne — zgodziła się Nadine, siadając na brzegu łóżka i krzyżując nogi.

— Muszę to koniecznie powiedzieć: naprawdę cię podziwiam — oznajmiła Colleen. — To wszystko, co robisz na rzecz praw kobiet i wszystko, co mówisz o broni nuklearnej. Wiesz, to bardzo odważne, biorąc pod uwagę, kim jest twój mąż.

— Każdy musi się opowiedzieć po którejś stronie, przyjmując konsekwentną postawę.

— No tak, z pewnością, i dlatego zgodziłam się przyjechać do Waszyngtonu. Pomyśleć, że ktoś taki jest Prezydentem USA. Mężczyzna tego pokroju, mężczyzna o takich nawykach seksualnych, nie powinien stać na czele żadnej organizacji politycznej, nie można więc tym bardziej pozwolić mu dłużej rządzić całym krajem, tak myślę.

Nadine wyciągnęła rękę przed siebie i oglądała z uwagą swoje długie, czerwone paznokcie.

— Jak odnalazł cię Joe Jasper? — zapytała.

— Tak naprawdę, nie wiem dokładnie. Ale powiedziałam znajomemu facetowi o imieniu Jackie Opa wszystko o prezydencie. Wiesz, o tym co robił w czasie wyjazdów na spotkania przedwyborcze. Myślę, że Jackie Opa sprzedał Joe'emu tę informację, wyciągając za nią ile się dało. Chyba nie można go za to winić?

— Nie, pewnie. Nie można go winić — odrzekła Nadine.

Colleen ściągnęła bluzkę, ukazując duże miękkie piersi, otulone skąpym biustonoszem od Fredericka z Hollywood. Nadine zawsze uważała, że jest nienagannie zbudowana, w stylu Walkirii, ale figura Colleen też była pierwszorzędnej jakości, cała złociста i giętka. Żywa, oddychająca Mała Annie-Fannie. Nadine patrzyła na nią, gdy Colleen stała przed lustrem i odpinała obcisłe atłasowe spodnie.

Pomyślała wtedy, że mimo seksualnej śmiałości dziewczyny i mimo swojej własnej elegancji i sławy, ona i Colleen były w pewnym sensie siostrami — córkami zarówno losu jak i politycznego oportunizmu.

— Nie zabrałam z sobą zbyt wielu rzeczy — stwierdziła Colleen, zsuwając majtki z bioder. — Mam ogromną szafę u siebie w Vegas: tyle sukienek, że muszę posługiwać się ich spisem. I tyle samo butów.

— Znajdziemy ci jakieś ubrania — powiedziała Nadine. — Wezmę cię na zakupy, je-

śli chcesz. Teraz jesteś przecież w Waszyngtonie, może uda nam się znaleźć dla ciebie coś bardziej eleganckiego. Może kostium uszyty na zamówienie i jakieś oficjalne suknie wieczorowe.

— Jesteś naprawdę miła — podziękowała Colleen. — Jestem pewna, że będziemy przyjaciółkami.

— Mam nadzieję — zgodziła się Nadine. Starła się być grzeczna, kiedy to mówiła. Potem Colleen odwróciła się i stanęła przed nią, nie mając na sobie nic oprócz unoszącego piersi biustonosza i ślicznego, truskawkowego uśmiechu na ustach. Nadine poczuła gwałtowny przypływ czegoś, czego nie czuła od lat, od czasu, kiedy uczyła się w szkole z internatem i wraz z Tanią zmagaly się nagie pod pościelą.

Odwróciła wzrok. Przepełniona nagłym poczuciem winy zdała sobie sprawę, iż próbowała sobie przypomnieć, czy drzwi sypialni były zamknięte na klucz. Colleen usiadła pewna siebie obok niej i zaczęła piłować paznokcie. Z bliska była jeszcze bardziej nierealna: miała skórę bez najmniejszej skazy, poza zagęszczeniem pieprzyków na lewym ramieniu. Małe brodawki jej piersi miały kolor cukierkowo-różowy. Wszystko w niej było lśniące, żywe i nienaturalnie duże. Nic dziwnego, że dostawała tysiąc dolarów za noc.

Nadine odezwała się:

— Nie zarobisz tutaj za dużo pieniędzy.

— Och, nie dbam o to — uśmiechnęła się Colleen, kręcąc palcami młynka. — Nie miałam wolnego dnia od dwóch lat. A przedtem był tylko jeden weekend w Lake Tahoe, a to i tak z czterema facetami. Czterema! I uwierz, tylko jeden był prawdziwym tygrysem. Pozostali mieli, no wiesz, ochotę, ale łatwo się męczyli.

— Czy ty naprawdę to lubisz? — zapytała Nadine. To było jedno z tych pytań, jakich obiecała sobie nie zadawać. Ale teraz, gdy poznała Colleen, nie mogła się temu oprzeć. Nie będzie w stanie nawiązać z nią kontaktu jak z przyjaciółką, dopóki nie zrozumie, co może popchnąć dziewczynę do robienia tego wszystkiego, czego chce mężczyzna. Szczególnie dziewczynę tak ładną i żywotną jak ta.

Colleen zamrugwała swoimi dużymi, błękitnymi oczami.

— Lubię to? Co masz na myśli?

— Czy lubisz to, co robisz? Być hostessą?

Colleen zastanawiała się nad tym z wyraźną powagą. Potem powiedziała:

— Tak, myślę, że tak.

— Nawet, kiedy musisz robić rzeczy tego rodzaju co te, do których zmusił cię Marshall Roberts?

Colleen wzruszyła ramionami i dalej piłowała paznokcie.

— To wszystko jest chyba jedynie kwestią granicy tolerancji. To znaczy, niektóre dziewczyny martwią się, gdy ich mąż mówi, że chce założyć ich brudne majtki do pracy. Myślą, że jest zboczeńcem, czy kimś takim. A znowu inne dziewczyny chcą same ro-

bić pewne rzeczy, ale nie wiedzą, jak to powiedzieć swoim chłopcom albo mężom, żeby nie popatrzyli na nie jak na dziwki. Jedyny powód, dla którego pracuję w tej branży jest taki, że zwykli ludzie nie mają dobrych stosunków pomiędzy sobą. Jeżeli żona zechce robić wymyślne rzeczy z mężem, a on nie ma nic przeciwko temu, to o co chodzi? A tak w ogóle, to Marshall Roberts wcale nie zmuszał mnie do niczego. Nikt z nich tego nie robi. Proszą mnie o to, czego chcą, a ja im podaję cenę.

Nadine nie wiedziała, co odpowiedzieć. Siedziała, patrząc przez chwilę na Colleen. Dziewczyna też spojrzała na nią. To był ten dziwny, decydujący moment.

— Lepiej wezmę teraz kąpiel — powiedziała w końcu Colleen.

— A ja lepiej wrócę do Georgetown — dodała Nadine, patrząc na zegarek.

Colleen wstała. Wyciągnęła rękę za plecy i odpięła biustonosz. Jej piersi zakołysały się lekko, gdy go zdjęła. Miała ładne jasne włosy łonowe, mocno przycięte i ciemnordzawe wargi sromowe, wystające spośród nich jak zdrowy, ale zabroniony owoc. Nadine spojrzała na nią i spróbowała posłać jakiś uśmiech na do widzenia, ale jej twarz wydawała się dziwnie zmrożona. Ciągle myślała o Tani i tym ciepłym, wspólnym łóżku.

— Wiesz co? — powiedziała. — Kiedy byłam w szkole...

Colleen wyciągnęła rękę. Nadine, czując się idiotycznie, ale nie będąc w stanie jej odrzucić, chwyciła dłoń. Colleen przyklękła przed nią na dywanie, jej brodawki były różowe i nabrzmiące.

— Każda kobieta to czuje — Colleen powiedziała łagodnie. — Kobiety też miałam. Płaca mi tak samo jak mężczyźni. Nie ma w tym nic złego. I w większości, wiesz czego chcą? — uwolniła rękę Nadine i ścisnęła swoje piersi tak, że miękkie ciało niemal rozlało się między palcami. — Chcą czuć piersi innej kobiety. Całować brodawki innej kobiety. To nie jest wcale tak, jak myślą mężczyźni, jak w tych lesbijskich filmach pornograficznych. Jest czule i delikatnie, i najczęściej pięknie.

Nadine pochyliła się do przodu, tylko trochę. Colleen wsunęła palce w gęste, ciemne włosy Nadine i pocałowała ją otwartymi ustami. Czubki ich języków zetknęły się delikatnie.

— Połóż się — nakłaniała Colleen głosem tak miękkim, że Nadine wyobraziła sobie, że słyszy go w środku swej głowy. Zawahała się, ale wtedy Colleen zamruczała znowu: — Połóż się.

Położyła się na łóżku i spojrzała w sufit. Podjęła decyzję. Niech się dzieje, co ma się dziać. Czowała, jak rozsuwa się zamek błyskawiczny jej włoskich spodni. Potem spodnie zsunęły się z bioder. Rzadko nosiła bieliznę pod spodem i natychmiast poczuła chłód powietrza na swoim wilgotnym seksie. „Jestem podniecona” — pomyślała. „To szaleństwo, ale naprawdę jestem podniecona. Nawet nie wiem, czy któraś z nas pamiętała, żeby zamknąć drzwi na klucz, a przecież Joe i Crack Nielsen siedzą w pokoju obok, oddaleni od zapierającego dech skandalu zaledwie o półtora cala drewna sosnowego”.

Czuła, jak palce Colleen przesuwają się w górę po jej udach i zadrżała. Potem poczuła na skórze kręcone jasne włosy Colleen i przeszywające na wskroś odczucie obecności języka Colleen między swymi nogami.

Colleen pieściła ją. Czubek języka rozsuwał jej wargi, pobudzał łechtaczkę ze sprawnością znawcy, która przyprawiała Nadine o wypieki. Potem, drażniący i szczypiący, zagłębił się na chwilę w otwór moczowy, a w końcu zanurzył się, nagle i głęboko, w śliską studnię jej pochwy.

Nikt i nigdy przedtem nie podniecił Nadine tak mocno jak teraz, nawet Tytus. Język Colleen przelatywał przez jej krocze jak trzepoczący wilgotny motyl, sprawiając, że cała dygotała i gryzła palce w ekstazie. Teraz już nie dbała, o to, czy drzwi się otworzą, czy nie. Rozłożyła nogi tak szeroko, że Colleen mogła sięgnąć każdej szczeliny, rzucała się i skręcała na łóżku jak w śmiertelnej walce.

Tuż przed końcem Colleen zwilżyła jeden palec i wsunęła go gwałtownie w odbyt Nadine tak głęboko, jak tylko mogła, a gdy to uczyniła, Nadine poczuła, jakby sufit zwałił się na nią. Cały świat był wirującym kalejdoskopem, kawałkami kolorowego szkła.

Kiedy otworzyła oczy, wydawało się, że minęły już godziny, choć przecież wszystko to trwało tylko kilka minut. Colleen stała w łazience, napuszczała do wanny gorącą wodę i wlewała olejek do kąpeli firmy Chanel, który Joe Jasper dla niej zostawił. Nadine powoli wciągnęła spodnie, zapięła pasek i wstała z łóżka. Przesunęła rękami po włosach, żeby je ułożyć.

— Mam nadzieję, iż zdajesz sobie sprawę z tego, że zrobiłaś coś bardzo nieprzyzwoitego z kobietą, która mogłaby być Pierwszą Damą Ameryki? — zapytała.

— Przyszło mi to właśnie do głowy, muszę przyznać — powiedziała Colleen. Jej głos wydawał się teraz inny, twardszy.

Nadine oparła się o drzwi łazienki. Obserwowała Colleen mieszającą ręką wodę w wannie.

— Chcesz powiedzieć, że uwiodłaś mnie celowo?

— Boisz się? — dziewczyna uśmiechnęła się.

— Nie wiem. A powinienam?

— Nie zamierzam tego wykorzystać, jeśli o to ci chodzi. Ale dziewczyna zawsze potrzebuje jakiegoś zabezpieczenia. Jak z Marshalllem Robertsem. Zapytałam Denny'ego, czy mogę obsłużyć Roberta. I nie sądzisz, że mi się to opłacało?

Nadine nie odpowiedziała, a Colleen weszła do wanny i usiadła.

— Możesz podać mi tę szczotkę do pleców? — zapytała. — Tak, tę z łabędziem. Jest śliczna, prawda?

Poruszając się w sposób tak wystudiowany jak słuchaczka szkoły teatralnej, Nadine usiadła na brzegu wanny i obserwowała Colleen, gdy ta namydlała swe ciało.

— W takim razie chyba byłam głupia, że pozwoliłam ci zrobić to, co zrobiłaś — po-

wiedziała.

— Niespecjalnie. Nie było żadnych świadków.

Zapanowała cisza, przerywana tylko odgłosami kąpieli. Potem Colleen uśmiechnęła się:

— Źle mnie zrozumiałas, wiesz? — powiedziała. — I sama siebie także źle rozumiesz. Powinnaś mieć więcej wiary w siebie jako kobieta. Kochałam się z tobą, ponieważ chciałam się z tobą kochać, nie dlatego, że chciałam cię szantażować czy zniszczyć, czy też żądać pieniędzy.

Wygląd Nadine zdradzał niepewność, ale Colleen wyjęła rękę z wody i ujęła jej dłoń.

— Próbowałam ci tylko pokazać, że mogłabym cię szantażować, gdybym chciała. Ale nie chcę i nie będę. Szanuję cię, a jedyny sposób jaki znam na to, żeby pokazać komuś swój szacunek, to kochać się z nim.

— To się więcej nie powtórzy — powiedziała Nadine łamiącym się głosem.

— Mogłoby — stwierdziła Colleen.

— Nie powtórzy się. Zadbam o to.

— Ale masz się przecież mną opiekować. Zaspokajać każdą moją potrzebę, z jednym wyjątkiem — pieniędzy. Nie jest tak?

— Tak, tak jest.

— No więc, to jest to, czego chcę. To właśnie jest każda „moja potrzeba”.

— O czym mówisz?

— O tobie, pani Alexander. Ty jesteś moją każdą potrzebą. Jesteś piękna, jesteś sławna i masz najszybsze orgazmy, z jakimi się kiedykolwiek spotkałam.

„W co, u diabła, się wpakowałam — pomyślała Nadine. — Jeśli to kolejna paskudna intryga Tytusa...” Ale nie wydawało się to możliwe. Daleko bardziej prawdopodobne zdawało się, iż ta wyszkolona w Vegas hostessa po prostu odkryła tajemnicę, jak zostać bogatą. Pieprzyć się ze sławnymi ludźmi, a potem ujawniać prawdziwą, nie okrojoną, intymną historię, z typu tych będących cotygodniową pożywką dla pism w rodzaju „Star” czy „National Enquirer”. Jedyny problem tkwił w tym, że zabawy takie mogły szybko i łatwo stać się niebezpieczne. Nikt nie lubi, aby brano go za naiwniaka, nikt nie lubi być okradany. A przede wszystkim, nikt nie lubi być ośmieszany.

— Colleen — Nadine zapytała. — Czego ty naprawdę chcesz?

— Powiedziałam ci. Ciebie. Na tak długo, jak długo postanowię zostać tu, w Waszyngtonie. Potrzebuję też nieco pieniędzy i chcę trochę rozrywki. Wiem, co Joe Jasper powiedział o trzymaniu mnie pod kluczem, ale komu to potrzebne? Będę grzeczna. Mogę nawet obiecać, że będę wracać do domu przed północą.

— Masz pojęcie jak ryzykowne to będzie dla ciebie? Skakać tu i tam poza tym domem? Jesteś jedyną dziewczyną na świecie, która może obalić prezydenta Stanów Zjed-

noczonych otwierając tylko usta!

— Więc?

— A wiec, chyba nie rozumiesz, iż ten właśnie prezydent może sprawić, że zostaniesz bardzo skrzywdzona, jeśli tylko spróbujesz pozbawić go stanowiska. A kiedy mówię „bardzo skrzywdzona”, to właśnie myślę „naprawdę skrzywdzona”. Cenisz swój wzrok, swoje piersi?

Colleen wynurzyła się z kąpieli i sięgnęła po ręcznik. Owinęła się nim ciasno, patrząc podejrzliwie na Nadine.

— Nie próbowałam cię wcale przestraszyć — powiedziała Nadine. — Ostrzegam cię tylko.

Wzięła Colleen w ramiona i trzymała ją tak przez chwilę. Potem pocałowała ją w czoło, w nos i w usta. — Niech to będzie nasza tajemnica, dobrze? — wyszeptała.

Wsunęła rękę pod ręcznik Colleen i masowała jej duże, śliskie piersi, aż brodawki stwardniały między jej palcami. Colleen pocałowała ją w policzek, a potem żarłocznie znów w usta.

Żadna z nich nie wiedziała, że ukryty aparat fotograficzny wykonywał im zdjęcia w odstępach dokładnie ośmiosekundowych. Joe Jasper już telefonował na pewien adres przy Pennsylvania Avenue. mówiąc coś szybko i ostro. Od czasu do czasu rzucał okiem na zamknięte drzwi nowej sypialni Colleen.

Rozdział piętnasty

Tuż po godzinie jedenastej tego ranka, zwłoki Margot Schneider zostały wywiezione z kostnicy miejskiej w Phoenix w czarnej plastikowej torbie do przechowywania szczątków i przekazane oficjalnie Jamesowi T. Skellettowi z Narodowej Agencji Bezpieczeństwa. Skellett odmówił jakichkolwiek komentarzy dla prasy. Burmistrz miasta Phoenix, Andrew Gardens, stwierdził, że miasto po prostu podporządkowało się dyrektywom wydanych przez wyższe instancje w interesie narodowego bezpieczeństwa.

— Wolałbym myśleć dziś raczej o szefie Ruse niż o pani Margot Schneider — zauważył — A wy?

Rozdział szesnasty

Daniel wycierał właśnie stoły po lunchu, gdy wszedł Ronald Reagan Kinishba, niosąc jakąś nieporządną paczkę pod pachą. Po chwili przywołał go do stolika w odległej części baru. Pete Burns, zastępca szeryfa, siedział przy kontuarze, kończąc cytrynowe ciastko. Ronald obawiał się, żeby ktoś ich nie podsłuchiwał. W tych dniach nosił ubranie w krzykliwych kolorach, a już to w zupełności wystarczyło, by Pete Burns wsadził go do paki.

Cara, która właśnie ścierała kontuar i znosiła brudne naczynia, spojrzała na nich i zrozumiała, o co chodzi, odwróciła się więc do Pete Burnsa z uśmiechem i z ożywieniem zapytała:

— A może jeszcze trochę kawy?

Pete Burns odwrócił się majestatycznie na stołku barowym i zwrócił się do Daniela:

— Obsługa się tu poprawiła, Daniel. Muszę powiedzieć, że pochwałam twój gust. Zawsze miałem skłonność do rudych.

Ronald skinął mu głową i mrugnął. Burns najwyraźniej chciał powiedzieć coś ciętego, ale Cara zapytała:

— Jeszcze jedną kawę? — i odwróciła jego uwagę od dwóch mężczyzn.

— Co masz? — Daniel zapytał RONALDA. — Czy to te ubrania robocze?

Ronald przytaknął:

— Jim Pryor będzie za godzinę. Podobno wcale nie był szczęśliwy, że ma nas przemyć do bazy.

— Chciałbym, u diabła, żebyś mi powiedział, jakież to wspaniałe plan przygotowałeś, aby nas stamtąd wydostać?

— Naprawdę chcesz wiedzieć? — zapytał RONALD.

— Czy jest aż tak zły?

— Jest zły. doprawdy złyyyy...

Daniel przyciągnął krzesło i usiadł:

— Lepiej mi powiedz od razu. Jeśli mani nie doczekać zachodu słońca, to chciałbym

wiedzieć to wcześniej.

Ronald przechylił się do przodu i mrucząc konspiracyjnie, zaczął wyjaśniać:

— Więc wygląda to tak. Ciężarówka Jima Pryora jest wystarczająco duża, żeby zabrać mój motocykl schowany pod torbami i pudłami. Objechałem teren bazy dookoła ogrodzenia dziś wcześniej rano i odkryłem właśnie to, czego szukałem. Jest tam skalista odkrywka, całkiem blisko ogrodzenia, od strony Higley. Kiedy już obejrzymy ciało Willy'ego, przejedziemy przez teren bazy na motocyklu, rozpędzimy się na terenie odkrywki i dosłownie przelecimy nad ogrodzeniem. Nawet słynny Evel Knievel może zjeść gówna wobec takiego wyczynu: zrobimy to we dwóch, z tobą na tylnym siedzeniu.

Daniel wolno pocierał policzek. Zamilkł na tak długo, że nawet Burns odwrócił się znowu, żeby zobaczyć, co spowodowało taką przerwę w rozmowie.

— Kiepsko — w końcu skomentował Daniel. — To kiepsko.

— Wiedziałem, że będziesz narzekał. Ale co jest złego w tym, że wydostaniemy się w taki właśnie sposób? Grunt jest równy i twardy, a płot wysoki na dziesięć stóp. Ta odkrywka tworzy naturalną rampę. Przelecimy dwie, trzy stopy nad górnym drutem. A jeśli ktoś będzie nas ścigał, nie nadąży, ponieważ najbliższa brama w ogrodzeniu jest ponad milę dalej. W ten sposób dojedziemy wolni do domu.

— Jeśli jeszcze będziemy żywi.

Ronald wydał policzki i wzruszył ramionami.

— Chcesz zobaczyć Willy'ego? Musisz podjąć pewne ryzyko.

— Wiesz co? — powiedział Daniel wstając. — Teraz dokładnie pojmuję, jak i dlaczego Indianie stracili cały ten piękny kraj. Gdyby mieli wtedy motocykle zamiast koni, straciliby go jeszcze szybciej.

— No więc, zrobisz to? — uśmiechnął się Ronald.

— A mam jakiś wybór?

Kiedy Pete Burns skończył swoje trzecie ciastko i wyszedł, Daniel poszedł za Carą do kuchni, gdzie Susie pomagała pani Koperwas ustawić naczynia w zmywarce.

Pani Koperwas była ruchliwą, opiekuńczą matroną, pomagającą Danielowi w sprzątaniu i pracy domowej, odkąd otworzył ten swój biznes. Natychmiast zjednała sobie Susie, gdyż pamiętała ostatnią walkę na rewolwery w Apache Junction, w 1907 roku, kiedy to Robert „Chicken” McTeague zabił Edwarda Baileya przed sklepem z artykułami chemicznymi. „Jeszcze ciągle widzę nogę pana Baileya, jak się prostuje, tak dokładnie jakby to się zdarzyło dzisiaj rano”.

— Ruszacie teraz? — zapytała Cara.

— Jak tylko Jim Pryor przyjedzie.

Chwyciła go za rękę i pocałowała.

— Wiem, że to był mój pomysł, to przebranie się za personel Air Force i to wszystko... ale, czy jesteś pewien, że chcesz to zrobić? To znaczy, jesteś pewien, że powinieneś?

— A co innego mogę uczynić?

Przysunęła się do niego. — Bądź ostrożny, dobrze?

— Nie jestem samobójcą, jak ten kamikaze-motocyklista ze szczepu Nawajo.

Ronald chrząknął z rozbawieniem.

— Jest tylko jeden środek ostrożności, jaki możesz przedsięwziąć — powiedział Daniel do Cary. — Jeśli nie wyjedziemy z bazy po dwóch godzinach, zatelefonuj do Pete Burnsa i opowiedz mu o wszystkim, co się zdarzyło. Jeśli będziemy cali, prawdopodobnie wsadzi nas do paki — jeśli nie, to ktoś z wyższych władz musi się o tym dowiedzieć.

Poszli na górę i przebrali się w ubrania mechaników US Air Force, które pożyczył im Levon.

— Nie pachną zbyt dobrze, prawda? — skomentował Ronald. — Levon chyba sam zaszywa się w nie na zimę, co?

Levonowi udało się też wygrzebać kilka niebieskich czapek polowych z daszkiem i zniszczoną skrzynkę na narzędzia, z napisem „USAF”. Daniel podważył wieczko skrzyni i zobaczył, że zawiera trzy zardzewiałe klucze ośmiokątne, metalowe spinki od kombinezonu OshKosh i podarty egzemplarz „Post Intelligencer” z Seattle.

— Zawsze wiedziałem, że coś zabawnego łączy Levona z Seattle — zauważył Ronald.

Wypili wspólnie zimnego Coorsa, trochę za szybko i zbyt nerwowo. Potem, o drugiej pięć, usłyszeli klakson samochodu Jima Pryora. Daniel wciągnął czapkę i zapytał Carę:

— Jak wyglądam?

— Na przestraszonego — odparła.

Jim Pryor czekał na nich niecierpliwie w swoim wysokim, poplamionym kapeluszu i czerwonej koszuli w kratę. Żuł gumę, która wypełniała mu niemal całe usta. Jego niebieski ford-furgonetka stał zaparkowany niedaleko, na drodze, z otwartymi drzwiami i opuszczoną tylną klapą.

— Powiem wam wprost, wcale bym was nie zabierał, chłopcy, gdyby nie Levon — powiedział i splunął w piach. — Zawsze byłem pewien, że jesteście parą dziwaków.

Ronald pocieszająco poklepał go po plecach.

— W gruncie rzeczy jest jeszcze coś. Zastanawiałem się, czy byłbyś tak uprzejmy i zabrał także mój motocykl? — skinął głową w stronę Nighthawka i uśmiechnął się.

— Motocykl? — zapytał Jim Pryor z niedowierzaniem.

— No, panie Pryor, Levon powiedział nam, że jest pan jego dłużnikiem.

— O Boże miłosierny — westchnął Jim.

Susie patrzyła poważnie z okna na górę, kiedy wnosili w trójkę motocykl RONALDA na tył ciężarówki, wciskając go pomiędzy kupę puszek z burakami, a bekon owinięty w perkal. Potem zamknęli tylną klapę, weszli do kabiny i ruszyli. Susie klęczała na krze-

śle, patrząc na opustoszałą drogę przez prawie pięć minut, zanim weszła Cara i położyła łagodnie rękę na jej ramieniu.

— Wszystko będzie dobrze z tatusem, prawda?

— Och, na pewno.

— Nie okłamujesz mnie?

— Dlaczego miałabym kłamać?

— Bo ty się także martwisz.

Cara usiadła na łóżku.

— Twój tatuś jest w stanie zadbać sam o siebie, jeśli tylko w to uwierzy.

— Nie wiem, co masz na myśli — powiedziała Susie.

Cara uśmiechnęła się.

— Nie jestem pewna, czy sama wiem. Ale jest silnym mężczyzną, dużo silniejszym niż sam myśli. On ciągle kocha twoją mamusię, wiesz o tym?

— Mówi, że gdyby mamusia wróciła, to oni by się tylko kłócili.

— Może ma rację?

Susie spojrzała na Carę dużymi, okrągłymi oczami, a jej usta były zaciśnięte z rozpaczy. Cara dotknęła jej policzków. Potoczyły się po nich dwie duże łzy.

Tymczasem w ciężarówce Ronald z zacięciem śpiewał „O Sole Mio”. Daniel siedział z nogami wspartymi na błotniku, a Jim Pryor wyglądał tak, jakby miał nieustającą migrenę. Sześć, czy siedem odświeżaczy powietrza dyndało na gałkach radia. Rozsiewały wszystkie zapachy — od górskiej sosny do czarnej jagody. Wewnątrz kabiny Pryor trzymał duże zdjęcie Chesty Morgan, kobiety o 72-calowym biuście.

— Chłopcy, będziecie musieli za dwie minuty wynieść się z kabiny i ukryć się z tyłu — powiedział Jim Pryor.

— Za pięć lub za dziesięć minut — poprawił go Ronald.

— Nie wiem czemu, u diaska, chcecie wkraść się do bazy lotniczej. Nie zabieracie się chyba do kradzieży jednego z myśliwców typu „swing-wing fighter”, żeby polecieć do Moskwy? — wymawiał to „swang-wang farter” z oryginalnym akcentem z Apache Junction.

— Nie — powiedział Ronald. — Coś znacznie lepszego. Robimy najazd na bieliznę. Chcemy ukraść ciepłe gacie oficerów.

— Zawsze wiedziałem, że jesteście stuknięci — stwierdził Jim Pryor.

Zatrzymali się na poboczu. Było gorące, jasne popołudnie, ani śladu samochodów w zasięgu wzroku. Tylko jakiś samotny Indianin orał o ćwierć mili od nich, na pobliskim polu. Ronald i Daniel wpakowali się na tył ciężarówki i utorowali sobie drogę pomiędzy zapasami, aż wreszcie znaleźli duszną kryjówkę za skrzynią z brzoskwiniami w puszkach. Pryor zamknął tylną klapę i wsiadł z powrotem do kabiny.

— Mam tylko nadzieję, że nie będzie próbował być za sprytny — oderwał się Da-

niel, gdy ciężarówka ruszyła. — Że nie będzie próbował przekupić wartownika, czy coś takiego.

— No tak — stwierdził Ronald filozoficznie. — Zawsze istnieje takie niebezpieczeństwo. Ale Levonowi by się to nie podobało, i nie sędzę, żeby Jim Pryor próbował zmienić plan — zdenerwowałby Levona. Nie robi tego, jeśli chce mieć części zapasowe, paliwo i dobrą obsługę dla swojej ciężarówki.

— Nie wiem — powiedział Daniel. — Zaufam mu dopiero wtedy, gdy będziemy wewnątrz bazy, nie wcześniej.

Wydawało się, że całe popołudnie minęło na podrzucaniu i odbijaniu, zanim ciężarówka zatrzymała się przed bazą Air Force w Williams. Daniel i Ronald kulili się i pocili w ciemnościach, słysząc jak wartownik podchodzi do kabiny i prosi Jima Pryora o pokazanie przepustki.

— Bekon, owoce w puszkach, warzywa w puszkach, ziemniaki, brokuły, olej kuchenny — wartownik recytował wykaz zawartości ciężarówki Jima Pryora. — Coś jeszcze? Jakiś alkohol? Piwo? Kosmetyki?

— W środku jest to, co pan widzi na tej liście — usłyszeli Jima.

— No, to pan tak twierdzi — odpowiedział wartownik. — Ale z tego co mi mówiono wynika, że przywozi pan jakieś taśmy wideo: „Debbie Does Dallas” i temu podobne, jakieś magazyny, „Fifteen”, „Anal Fun” i „Private”...

— Młody człowieku, słyszałeś z pewnością jakieś bzdury — powiedział Jim Pryor. — A teraz oddaj mi ten wykaz i pozwól, że pojadę dalej z dostawą.

— Jestem upoważniony do przeszukania pojazdu — powiedział wartownik. — Będę zobowiązany, jeśli wysiądzie pan z kabiny i otworzy tylną klapę. Rzucimy okiem i zobaczymy, co pan tam ukrywa.

— Jestem już spóźniony — zdenerwował się Pryor.

— To niedobrze — powiedział wartownik. — Jednak moim obowiązkiem jest upewnić się, czy nic co nie powinno, nie dostanie się na teren bazy: broń palna, narkotyki, aparaty fotograficzne, czy budzące wątpliwości filmy — nic z tych rzeczy.

— To szaleństwo — prawie krzyknął Jim. — Nigdy przedtem mnie nie przeszukiwaliście.

— Wcześniej nigdy nie słyszałem, że przywozi pan niesmaczne filmy i magazyny.

„To jest to” — pomyślał Daniel. — „Teraz sprzeda nas siłom powietrznym, żeby ocalić własną skórę”. Ale potem usłyszał, jak Jim Pryor mówi:

— W porządku, jesteśmy przecież obaj rozsądni, prawda?

— A jaka jest pana definicja rozsądku? — chciał wiedzieć wartownik.

— Proszę, niech pan spojrzy tutaj. Kilka dobrych filmów video. Powiedzmy, że jest to prywatne porozumienie, rodzaj zlecenia.

Nastąpiła kolejna przerwa, tym razem dłuższa. Daniel wytarł rękawem pot z czoła.

Ronald wyszeptał:

— Weź je. Na litość boską, weź te filmy, człowieku.

Jim Pryor i wartownik odeszli poza zasięg słuchu, chociaż Daniel i Ronald ciągle słyszeli niewyraźnie, jak omawiają zalety „Busy Bodies” i „World of Pleasure Part III”. „Eagle” F-15 zagrzmiał nad głowami, zagłuszając rozmowę i wszystkie rozsądne myśli. Kiedy przeleciał, wokół panowała kompletna cisza. Ronald zapytał:

— Co się tam dzieje? — Daniel w odpowiedzi jedynie potrząsnął głową.

Następnym odgłosem, który usłyszeli, był trzask zamykanych drzwiczek Forda i terkot włączanego silnika. Na odjeźdźnym dotarł jeszcze do nich głos Jima:

— Przyjemnego wieczoru. Tylko nie przesadz z tym. Tam, skąd to przywożę jest tego jeszcze całe mnóstwo. — A potem ciężarówka podskakując przejechała przez bramę i zakręciła w kierunku magazynów, gdzie Jim Pryor zwykle rozładowywał dostawy. Kiedy zmieniał biegi. Daniel usłyszał, jak na głos przeklina strażnika.

Ciężarówka szarpnęła zatrzymując się i Jim obszedł ją dookoła, żeby opuścić klapę.

— W porządku, możecie wychodzić — powiedział mrukliwie. — Ale nie proście mnie więcej o żadną przysługę, bo nie jestem, cholera, w nastroju. Ten skurwysyński wartownik! Gdybym nie miał was ukrytych z tyłu, powiedziałbym mu, żeby wepchnął swojego kutasa w dyszę jakiegoś samolotu. Te kasety kosztowały mnie całe dwadzieścia dolarów za sztukę. A teraz będę musiał mu dawać kilka za każdym razem, kiedy będę przejeżdżał przez tę przeklętą bramę; jeśli dam mniej, to będzie coś podejrzewał.

Przenieśli motocykl nad klapą i ustawili go na ziemi. Daniel powiedział:

— To już wszystko. Twoja robota skończona. Nie przemyciłeś nas przez bramę i my nigdy przedtem, ciebie nie widzieliśmy.

Pryor zdjął kapelusz i przeczesał palcami rzadniejące włosy.

— Ten Levon, to przeklęty spryciarz, mówię wam. Powiedźcie, że nie jestem mu już winien żadną przysługę.

— Żadnej przysługi — poprawił go Ronald.

— Możesz mnie pocałować w dupę — odpowiedział kierowca.

Daniel i Ronald zostawili rozzłoszczonego Jima Pryora, który musiał rozładować dostawę, a sami poszli szukać szpitala. Ronald poprowadził motocykl przez sto jardów w cień karłowatej, podgórskiej paloverdy; zaparkował go tam, w każdej chwili gotowego na wypadek ich ewentualnej ucieczki. Przelatujące nisko trzy odrzutowce F-15 zagrzmiały tuż za rzędami baraków i przez moment nie słyszeli swoich głosów. W końcu, kiedy samoloty zaczęły wznosić w kierunku Chandler i rezerwatu indiańskiego nad Gila River. Ronald wziął Daniela za ramię i powiedział:

— Ty idź tą drogą, dobrze? Ten kierunek wygląda najbardziej obiecująco, wszystko solidne budynki. Ja sprawdzę te baraki tutaj. Spotkamy się za pięć minut, chyba że znajdziesz to, czego szukamy. Ale niezależnie od wszystkiego, będę czekał na ciebie tutaj.

— Bądź ostrożny — odrzekł krótko Daniel.

— Ty też.

Machając poobijaną starą skrzynką Levona z narzędziami tak zwyczajnie, jak tylko mu się to udawało. Daniel szedł w kierunku głównych budynków administracji i wieży kontrolnej. Zapomniał zabrać swoich okularów słonecznych i dlatego musiał mrużyć oczy przed blaskiem solidnych bloków, pomalowanych na białą i oślepiająco połyskujących szyb wieży kontrolnej. W powietrzu unosił się uderzający do głowy zapach rozgrzanego paliwa lotniczego, zmieszany z aromatem pustyni, tak charakterystycznym dla klimatu Arizony. Było piekące gorące popołudnie, prawie nikogo w pobliżu, z wyjątkiem czarnoskórego lotnika w mundurze roboczym, malującego maszty flagowe.

Daniel szedł wokół bloku administracyjnego, udając że pogwizduje ustami, które były zbyt wysuszone, żeby wydać jakikolwiek dźwięk. Nagle drzwi otworzyły się i młody kapitan wyszedł w takim pośpiechu i tak nagle, że Daniel nie miał czasu, żeby zareagować inaczej niż rzucić ręką w geście, który — jak sądził — wystarczająco przypominał salutowanie. Kapitan odpowiedział mu podobnie i zniknął za rogiem. Daniel zatrzymał się i wziął głęboki oddech. Jego płuca i serce były jakby związane razem, w jakiś niemożliwy do rozsupłania węzeł.

Zlokalizowanie szpitala okazało się śmiesznie łatwe. Kiedy obchodził ostatni blok, zobaczył rząd wyraźnie wymalowanych tablic informacyjnych. Blok szpitalny stał po przeciwnej stronie drogi, dokładnie przed nim, otoczony pomalowanym na białą ogrodzeniem z łańcucha.

Spojrzał szybko w prawo, potem w lewo. Oprócz pary mechaników pracujących przy radarze z przodu kadłuba odległego F-15, teren był zupełnie opustoszały. Z opuszczoną głową, tak że jego twarz pozostawała zasłonięta przez daszek czapki, Daniel zaczął przechodzić przez drogę.

Był już prawie po drugiej stronie, kiedy usłyszał wycie zbliżającego się dżipa. Próbował przyspieszyć, ale pozostało mu jeszcze pięć czy sześć kroków do podjazdu szpitalnego, gdy z piskiem opon dżip zatrzymał się tuż przy nim. Ochrypli głos zawołał:

— Hej, ty!

Daniel zatrzymał się i rozejrzał dookoła. Za kierownicą siedział sierżant sztabowy. Na naszywce identyfikacyjnej miał wypisane nazwisko „Wells, H. B.". Patrzył na Daniela przez nieprzeniknione okulary słoneczne, gdzieś między tylnymi trzonowcami żuł gumę tak rytmicznie, jak gdyby dowództwo Air Force wydało zarządzenie co do tempa poprawnego żucia.

— Jak się nazywasz, lotniku? — spytał.

— Korvitz, sir.

— No więc, Korvitz, jak ty, do cholery, jesteś ubrany?

— Co? — Daniel odezwał się. — A potem spojrzał na swe wybrudzone ubranie ro-

bocze, jakby go nigdy przedtem nie widział. — Co takiego, sierżancie?

— A to, Korvitz, to.

Daniel otworzył usta, ale wydawało mu się, że nie wydusi z siebie nawet słowa. Sierżant patrzył na niego i żuł gumę, patrzył i żuł.

Nagle Daniel usłyszał siebie samego mówiącego:

— To w szpitalu, panie sierżancie. Kanalizacja się zatkała. Muszę ją przepchać. Powiedzieli mi, że mam założyć na siebie coś, co potem będę mógł spalić.

Podoficer żuł gumę w zamyśleniu niemal przez minutę. Wreszcie, z wyraźną radością przemówił:

— Wysmarujesz się gównem, to chcieli powiedzieć?

Daniel skinął głową, starając się wyglądać na tak nieszczęśliwego, jak to tylko było możliwe.

— Ha — szczerknął sierżant. A potem, całkiem już rozbawiony: — Ha! Ha! Ha! — W końcu wrzucił bieg i odjechał, ciągle śmiejąc się głośno. Daniel patrzył za nim i czuł, jak pot ścieka mu po plecach. Dzięki Bogu za głupie wojskowe poczucie humoru.

Szedł drogą podjazdową do bloku szpitalnego, potem w górę po schodach i wreszcie pchnął drzwi. W środku szpital pachniał świeżą farbą i formaliną. Był cienisty i chłodny. Blisko wejścia stało biurko, ale nikt przy nim nie siedział. Plakat na ścianie wychwalał zalety codziennej diety z dużą ilością otrębów. Siła moralna to nie wszystko.

Ostrożnie szedł korytarzem, zaglądając przez szyby w każdych drzwiach. W końcu korytarza dojrzał zamknięte drzwi bez okna, oznaczone napisem „Private”. Zawahał się na moment, a potem przekręcił gałkę i stwierdził, że są otwarte. Za nimi biegł następny korytarz, pomalowany farbą w odcieniu wyjątkowo nieprzyjemnej grozkowej zieleni. Daniel wszedł i zamknął drzwi za sobą. Skradał się wzdłuż korytarza, aż dotarł do kolejnych drzwi, opatrzonych tabliczką „Osobom nieupoważnionym wstęp wzbroniony”. Otworzył je także. Znalazł się w kostnicy.

Nie była to duża kostnica. Każda ze ścian miała może dwanaście stóp długości. W środku nie było niemal niczego poza dwoma szpitalnymi wózkami, ustawionymi jeden przy drugim tak zwyczajnie, jakby zostawił je tam przed chwilą sprzedawca w supermarkecie. Wyposażenie uzupełniał zlew z kapiącym kranem, półka zastawiona butelkami ze środkami antyseptycznymi, chlorkiem sodu, arszenikiem i spirytusem, kalendarz „House and Garden” sprzed dwóch lat i grzechocąca, wyjąca lodówka.

Na jednym z wózków spoczywała plastikowa torba do przechowywania zwłok. Daniel patrzył na nią bardzo długo, zanim przesunął się kawałek dalej w głąb kostnicy. Jego tętno wydawało się zwalniać aż do powolnego, dudniącego niczym uderzenie w bęben, a pot chłodził czoło i pachy, jakby on sam był bliski śmierci. Podeszedł do wózka. Zaczął myśleć o wszystkich horrorach, jakie kiedykolwiek widział, filmach, w których zwłoki

nagle ożywały i chwytaly żywych ludzi za gardło. Świadomość, że to właśnie ciało może należeć do Willy'ego nie była ani trochę mniej przerażająca; w rzeczywistości nawet pogarszała sprawę. Ludzie w filmach o *zombie* zawsze byli atakowani przez byłych przyjaciół.

Do zamka błyskawicznego torby przyczepiona była tabliczka. Daniel podniósł ją i spojrzał na nią, ale zobaczył jedynie napisany ołówkiem numer: 755368. Wiedział, że będzie musiał otworzyć torbę i obejrzeć ciało. Chwycił uchwyt i zaczął ciągnąć go w dół.

Wieki całe zabrała mu czynność ściągnięcia zamka do poziomu klatki piersiowej. Ciągłe się zacinał, musiał go zwalniać, to znów cofać w górę i ponownie próbować zsunąć niżej. Ale w końcu ciało spoczywające w środku zostało odkryte i Daniel mógł przekonać się, co się stało z Willy'm Monahanem.

Wiedział, że to Willy, chociaż nie było głowy. Rozpoznał ciało po bliźnie w kształcie litery „L” na prawym obojczyku, którą Willy zawsze się chwalił mówiąc, że zdobył ją w pojedynku na rapiery z pewnym hrabią pruskim. Oczywiście — była to bzdura — spadł po prostu i motocykla, kiedy jeszcze był kadetem i nadział się na drążek hamulca. Ale to była blizna Willy'ego i jego klatka piersiowa, i ramiona też należały do Willy'ego, Daniel nie mógł mieć co do tego żadnych wątpliwości. Willy nie żył.

Naprawdę przerażające było jednak to, że głowa Willy'ego wcale nie została odcięta przez wirnik śmigłowca. Przecież najmniejszy nawet wirnik zostawiłby posiniaczony i poszarpany kikut szyi. A szyja Willy'ego została przecięta dokładnie powyżej krtań i chociaż grubo oblepiona skorupą skrzepłej krwi, była odcięta tak precyzyjnie, jakby zabiegu tego dokonał doświadczony chirurg. Co jeszcze bardziej przerażało Daniela, to fakt że nie było nawet śladu głowy. Ktokolwiek go zabił, zabrał jego głowę. Czyżby na pamiątkę?

Zupełnie sparaliżowany, Daniel wyszeptał modlitwę w intencji Willy'ego. To było wszystko, co mógł zrobić. On i Willy byli sobie tak bliscy! Choć nigdy zbyt wiele ze sobą nie gadali. Tylko pili dużo, grali w karty, śmiali się i oglądali telewizję. Ale teraz Daniel zrobiłby wszystko za jedną, jedyną, ostatnią poważną rozmowę z Willy'm; po prostu po to, żeby dowiedzieć się, kim Willy Monahan był naprawdę, tak w głębi serca.

Zaciągnął z powrotem zamek tak gwałtownie, że przyciął sobie palce. Potem wycofał się do drzwi, chwiejnymi, ale stawianymi pewnie krokami pijaka, opuszczającego nad ranem bar w Nowym Jorku. Głośno zamknął drzwi za sobą. Trzask. A potem znowu realny świat.

— Panie Boże — powiedział do siebie i poczuł smak goryczy w ustach.

Pokonał drogę powrotną wzdłuż groszkowozielonego korytarza i popchnął drzwi z napisem „Private”. Zaczynał odczuwać ogromne zimno. Panicznie chciał uciec z bloku szpitalnego i wydostać się znowu w blask słońca. Jednak gdy szedł już do wyjścia na-

tknął się na kobietę-kaprała, siedzącą za biurkiem recepcji. Miała mocno falujące włosy i zimny wyraz twarzy.

— Lotniku — rzuciła w tym samym momencie, w którym on podniósł już rękę, aby otworzyć drzwi wyjściowe.

— Tak, proszę pani — odpowiedział Daniel. Ale został tam, gdzie był, z ręką opartą o szklane drzwi. Na zewnątrz widział błękitne niebo i gorącą, konkretną wolność. Wewnątrz nie było niczego poza wstrętem i śmiercią.

— Kto dał panu pozwolenie na wejście do bloku szpitalnego w tym obrzydliwym ubraniu roboczym?

— Sierżant sztabowy Wells, proszę pani.

— Co pan tu robił? Nie widziałam, jak pan wchodził.

— Była pani chwilowo nieobecna, proszę pani. Czekałem. Ale powiedziano mi, że to pilne. Kanalizacja się zatkała.

— Kanalizacja to tam, lotniku.

— Tak, proszę pani. Ale ja sprawdzałem wylot kanału. Lubię wykonywać konserwację dokładnie, rozumie pani?

— Chwileczkę — powiedziała do niego i podniosła słuchawkę telefonu. Daniel pozostał w miejscu, o krok od wolności. Słyszał, jak kapral mówi:

— Dajcie mi sierżanta Wellsa, proszę. Kapral Knobla. Potem zacisnęła jedną rękę na słuchawce i zwróciła się znowu do Daniela:

— Pan niech tu zostanie. Proszę pozostać tam, gdzie pan stoi.

Daniel nie ruszył się. Kolejny F-15 przeleciał nad bazą, a drzwi zatrzęsły się i zagrzechotały we framudze. Wszystko o czym mógł teraz myśleć, to była przepiłowana szyja Willy'ego, nerwy i naczynia krwionośne, i wystający kręgosłup. Pot ściekał mu po plecach jak chłodna krew.

— Sierżant Wells? Tu kapral Knobla, z bloku szpitalnego. Tak sierżancie, przepraszam. Ale mam tutaj lotnika, który twierdzi, że przetykał kanalizację. Coś się zatkało. No więc, on mówi, że pan go przysłał. Tak, sierżancie. Pan osobiście. Wiem, że ma na sobie obrzydliwe ubranie. Tak, wiem. Dlatego go zatrzymałam. Tak. Ale chyba powinniśmy sprawdzić jego tożsamość, nie sądzi pan?

Zapanowała długa cisza, przerywana tylko stłumionym głosem sierżanta Wellsa, mówiącego z kantyny podoficerów. Daniel pocił się, czekał i modlił. Ale wtedy nagle kapral Knobla powiedziała:

— Przyślecie żandarmerię? Bardzo dobrze, zatrzymam go tutaj.

Bez słowa Daniel pchnął drzwi szpitalne. Owiało go ciepłe powietrze, jak z otwartego piekarnika. Potem wszystko wokół niego zaczęło skakać i podskakiwać jak w *cinéma verte*, kiedy biegł w dół podjazdem szpitalnym, mijał ogrodzenie z łańcucha, biegł przez drogę dookoła rogu bloku administracyjnego. Trampki klepały na spieczonym twar-

dym podłożu, a oddech charczał gdzieś w jego głowie, jakby był oddechem kogoś biegnącego tuż za nim.

Prawie wpadł na Ronalda, nadchodzącego z drugiej strony. Wydyszał:

— Wezwali żandarmerię. Na miłość boską! Wydostańmy się stąd!

— Znalazłeś szpital? — chciał się dowiedzieć Ronald.

— Widziałem ciało Willy'ego. A teraz uciekajmy.

Biegli szybko w kierunku drzew, tam gdzie Ronald zaparkował swój motocykl. Nie było słyhać alarmu, nie było też pościgu. Daniel jednak nie chciał już więcej ryzykować. Chciał być z powrotem we własnym łóżku, z Carą leżącą obok niego, z Susie śpiącą w drugim pokoju. Z pewnością zaś nie chciał zostać zamknięty w areszcie wojskowym i odpowiadać na pytania o Willy'ego Monahana i sterowane pociski, które nie działają. I o ciała bez głów, które najwyraźniej w świecie nie zostały odcięte przez wirniki śmigłowca, a już z całą pewnością nie zostały odesłane do bazy w Langley.

Dotarli do Nighthawka i wsiedli na niego. Ronald musiał trzy razy kopnąć, zanim go uruchomił. Widocznie, gdy leżał na boku w ciężarówce Jima Pryora, zalał się silnik. Ale w końcu motocykl prychnął, zatrzęsł się i z rykiem powrócił do życia. Chmura błękitnego dymu uniosła się w górę przez gałęzie paloverdy — i już ich nie było.

— Jesteś pewien... że ta cała akrobacja... ze skokiem się uda? — ryczał Daniel do Ronalda, kiedy objeżdżali budynki pocztowe i wreszcie wyjechali na otwarty teren w pobliżu granicy bazy.

— Jeśli chcesz mieć pewność co do wszystkiego, to nie możesz podejmować żadnego ryzyka — odkrzyknął Ronald.

Trzęśli się, niknąc wzdłuż rzędu wozów strażackich, dwóch baraków, długiego drucianego ogrodzenia i kolekcji częściowo rozebranych samolotów. Po ich prawej stronie dwa czy trzy F-15 drżały z wysiłkiem przed startem. Ich lśniące sylwetki falowały w gorącej mgłę, która unosiła się z pasa startowego. Wkrótce przez ryk silników odrzutowców Daniel usłyszał wycie syren. Odwrócił się i zobaczył dwa dżipy, do których po chwili dołączył jeszcze trzeci. Pędziły w ich kierunku z migającymi, czerwonymi lampami.

— Ścigają nas! — krzyknął w ucho Ronalda. Ronald odchylił głowę do tyłu.

— Nie mają, kurwa, żadnej szansy! Uważaj teraz! — ruszył ręką i otworzył mocno przepustnicę, a „Nighthawk” rwał po chwili blisko 110 mil na godzinę wzdłuż przedpoła hangarów. Motocykl trząsł się tak mocno, że Daniel odniósł wrażenie, jakby wszystkie zęby miały mu za chwilę wypaść razem z korzeniami. Odwrócił się znowu. Dżipy zostały o prawie ćwierć mili za nimi, ale uparcie ścigały ich.

— A jeśli nie damy rady przedostać się przez ogrodzenie? Wiesz co się stanie, prawda? Chleb i woda przez dziesięć lat. Jeśli będziemy mieli szczęście.

— Czego ty się, u diabła, boisz? Zaufaj mi — odkrzyknął Ronald.

Nagle do ich uszu dobiegł kolejny warkot. Daniel odwrócił się w lewo. Jeszcze jeden dżip dołączył do pościgu, a żandarm z Air Force stał na tylnym siedzeniu z karabinem opartym o ramę pojazdu.

— Rusz ten cholerny motocykl! — wrzasnął Daniel do RONALDA. — Strzelają do nas!

Kula trafiła w błotnik tuż za plecami Daniela i z jękiem wryła się w piach. Jeszcze jedna zagwizdała w powietrzu o jakiś cal albo dwa obok jego twarzy. Nagle zrozumiał. To było groźne. Mogli umrzeć.

Ronald ryknął: — To tu! Patrz! Płot!

Daniel wystawił głowę przez ramię RONALDA i zobaczył przed nimi rumowisko skalne koloru ochry. Za nim wznosiło się wysokie na dziesięć stóp ogrodzenie bazy, z podwójnej siatki zakończonej drutem kolczastym.

Nie było już innego wyjścia. Nie było też czasu, żeby zatrzymać się i rozważyć, czy warto skakać. Albo zastanowić się jak wylądować, kiedy już będę po drugiej stronie. Ronald dodał gazu, żeby wycisnąć z silnika resztki mocy. Daniel objął RONALDA w pasie, skurczył się na tylnym siedzeniu i zacisnął zęby tak mocno, że zmiażdżył jedną ze swych porcelanowych koronek. Pędzili po płaskiej nawierzchni skał, a silnik Nighthawka wył na najwyższym górnym „C”, dźwiękiem, od którego pękałyby witraże w wielu katedrach. Ronald wydał wojenny okrzyk, od którego włosy Daniela zjeżyły się. Kiedy wzniesli się w powietrze, wiedział już, że im się to nie uda; że Nighthawk jest za ciężki z nimi dwoma siedzącymi na nim; że naturalna rampa ze skał nie wznosi się pod odpowiednio dużym kątem; że Ronald nigdy nie brał pod uwagę możliwości ucieczki, przynajmniej nie poważnie. Ronald był bardziej Indianinem Nawajo, niż Daniel przypuszczał, bardziej dzikim i zwariowanym. Ten napad na bazę Air Force w Williams dawał mu usprawiedliwienie, którego zawsze szukał, żeby odejść w chwale i glorii. Daniel myślał o tych wszystkich przejażdżkach, kiedy pędzili szosą z prędkością sześćdziesięciu czy nawet stu mil na godzinę i uświadomił sobie, że prawdopodobnie miał wielkie szczęście, że dożył aż do tej chwili.

Przednie koło opuściło się w dół jeszcze w powietrzu. Potem cały motocykl przekoziółkował. Daniel próbował trzymać się RONALDA, ale jego uchwyt był zbyt słaby. Następną rzeczą, którą sobie uświadomił było to, że został przerzucony przez wysokie na dziesięć stóp ogrodzenie. Rozdarł przy tym dłoń chyba do kości, tak mu się przynajmniej wydawało. Zwalił się na twardy grunt po drugiej stronie i turlał się długo, waląc rękami i nogami o ziemię jak cepami, bez tchu, z żebrami tłuczonymi przez kamienie, z twarzą biczowaną przez suche gałęzie.

Ronald nie miał tyle szczęścia, lecz może wcale nie chciał go mieć. Gdy jego motocykl zanurkował przodem w dół, on runął głową na druciane ogrodzenie z prędkością blisko dziewięćdziesięciu mil na godzinę, a jego twarz została zmiażdżona w krwawą miazgę. Zwalił się na ziemię tuż przy siatce po tamtej stronie ogrodzenia. Już po trzy-

dziestu sekundach wyzionął ducha, oślepiiony, w szoku, cichy i sparaliżowany, z rękami uniesionymi w powietrzu tak, jakby nadal trzymał kierownicę niewidzialnego motocykla.

Cztery wojskowe dżipy zatrzymały się z piskiem opon przy ogrodzeniu, wzniecając wielki tuman kurzu. Dwóch żandarmów podbiegło natychmiast do płotu i bacznie wypatrywało Daniela. Pozostali stali dookoła roztrzaskanego Nighthawka Ronalda, tak jakby znaleźli pterodaktyla, który nagle spadł z nieba. Daniel bez tchu, posiniaczony, siedział nieruchomo w pustynnych zaroślach. Prawie nieświadomie odmawiał modlitwę, dziękując Bogu za to, że pozostał przy życiu, i modlitwę za Ronalda Reagana Kinishbe, który już teraz nie żył.

— Musiał uciec. Nie widzę go tutaj — usłyszał głos.

— Jest tu dość krzaków, żeby ukryć nawet słonia.

— Znajdźcie najbliższą bramę i złapcie go. Jeśli nie przywieziecie tego faceta pułkownikowi Kawałkowi żywego czy martwego, poobcina wam jaja.

Wystrzelona na oślep kula zaśpiewała w popołudniowym powietrzu i wzbijała fontannę pyłu zaledwie kilkanaście stóp od Daniela. Ale żandarmi nie strzelali ponownie.

Daniel wycofał się, prześlizgując się chyłkiem przez krzaki, w dół do rowu, a potem biegł i skakał, aż dotarł do głębokiego rowu pięćdziesiąt stóp na zachód, jednego ze starych indiańskich kanałów. Dyszał tak głośno, że był pewien, iż każdy może go usłyszeć z odległości mili. Miał skręconą kostkę i mógł tylko skakać, utykać albo turlać się. Wolałby tu nie przyjeżdżać, wolałby na Boga, żeby to wszystko było tylko nocnym koszmarem i żeby Ronald nadal żył. Wolałby, żeby widok bezgłowej szyi Willy'ego nie wrył się tak mocno w jego pamięć. Usiadł na chwilę obok gigantycznej saguary, wytarł pot i kurz z twarzy, złapał oddech.

Teraz w krzakach nie było prawie nic słyszeć. Tylko dalekie mruczenie odrzutów i granie świerszczy. Żandarmeria musiała zaniechać poszukiwań, albo też szukała go w złym kierunku. Wydawało mu się, że słyszy jak ktoś krzyczy, ale i to szybko ucichło. Położył się na plecach i zamknął oczy.

Rozdział siedemnasty

Było ciemno, kiedy Kathy Forbes otworzyła oczy. Podświetlony budzik cyfrowy przy łóżku wskazywał 23:17. Czuła się oszołomiona i senna. Przez długą chwilę przypuszczała, że miała wypadek samochodowy i jest pod wpływem silnych środków znieczulających. Sięgnęła instynktownie ręką w dół, żeby sprawdzić, czy nogi są na swoim miejscu.

Przewróciła się na bok, a potem usiłowała usiąść. Jej głowa pulsowała i Kathy stwierdziła, że trudno jest jej skupić na czymkolwiek wzrok. Kilka minut siedziała bez ruchu, ale oszołomienie i nudności były zbyt silne i w końcu opadła znów na poduszkę.

Przypomniała sobie, że James Skellett zadawał jej pytania. Pamiętała wyłożony grubym dywanem pokój, ze szczelnie zaciągniętymi perkalowymi zasłonami, podświetlonymi słonecznym blaskiem. Pamiętała bujany fotel, który skrzypiał przy każdym ruchu i reprodukcję „Guerniki” Picassa. Pamiętała też kogoś innego, mężczyznę w białej koszuli 2 drogim zegarkiem na ręce. Usiadł z tyłu, paląc papierosa o dziwnym aromacie. Od czasu do czasu rzucał Skellettowi jakieś uwagi z akcentem, którego nie rozpoznała.

— Czy sądzisz, że ona rozumie coś z tego, co się stało?

— Nie wiem. Ale trzeba się upewnić.

— Trzeba? Z jakiego powodu? Mógłbyś ją natychmiast zabić albo poprosić tego swojego pana Frienda, żeby to zrobił dla ciebie. Wtedy nie miałbyś już żadnego kłopotu.

— Tak sądzisz? Przypuśćmy, że ona powiedziała już komuś innemu? Przypuśćmy, że Schneider zwierzyła się jej zanim umarła? Ona może być teraz najgroźniejszą kobietą na tej planecie.

— Zawsze za bardzo dramatyzujesz. Powinieneś pracować w teatrze, Skellett, a nie w agencji bezpieczeństwa. Ten nonsens dzisiaj w Phoenix... Nie mogłeś znaleźć bardziej dyskretnego sposobu na usunięcie szefa policji niż wysadzenie go w powietrze? Ikon był wściekły.

— Ikona tam nie było. Nie znał sytuacji. A poza tym, tak naprawdę nie planowałem tego w ten akurat sposób. Powiedziałem po prostu Friendowi, żeby się go pozbył, tak

szybko, jak to tylko możliwe.

— Był chyba zbyt gorliwy.

— Ręczę za Frienda. To dobry fachowiec.

— Naprawdę? Trudno było dzisiaj to zauważyć. Zapadła cisza, raczej wyrachowana niż wroga. A potem:

— Friend to nie problem. Być może ma tendencje do popisywania się. Ale tak w ogóle jest geniuszem w tym, co robi. Znalazł Margot Schneider, prawda? Usunął ją i utrzymał to w całkowitej tajemnicy.

— Tajemnicy, co do której zrobiłeś bardzo wiele, żeby nią nie pozostała.

— Nie mam żadnego obowiązku, żeby usprawiedliwiać swoje poczynania przed tobą.

Słyszała też inne rozmowy, byli inni mężczyźni. A potem jeszcze ktoś, kto podniósł jej rękę, przetrął skórę spirytusem i zrobił jej zastrzyk z czegoś, co uśpiło ją w ciągu kilku sekund. Jej sny wypełnione były powykrzywianymi twarzami, odbijającymi się jak echo śmiechem i uczuciem, że wcale jej tu nie było, że w rzeczywistości żyła lata, lata temu. Mówiła, rozmawiając w sobotnie popołudnie w 1962 roku. Jakiś głos wołał: — Jack? Jack Kennedy? Jack Kennedy? — A inny głos przyłączył się: — Tak! Furgonetki Ford Galaxie rocznik 1962, charakterystyczne drewnopodobne wykończenie i układ napędowy typu Cruise-O-Matic.

Teraz już się obudziła, czujna i wystraszona. Jej łóżko było całkiem wygodną otomaną, z czystą pościelą. Na oknach pokoju wisiały kasztanowe, welwetowe zasłony, przez które przeświecało światło lamp ulicznych — nawet w ciemności mogła rozróżnić kształty mebli, pomalowanych na białe. W powietrzu unosił się leciutki zapach dymu z cygar, ale poza tym pokój wręcz pachniał czystością. Słyszała szmer telewizora gdzieś w domu i kogoś kaszlącego.

Znowu spróbowała usiąść. Ubrana była tylko w biustonosz, majtki, pasek od pończoch oraz pończochy. Cała jej biżuteria zniknęła, nawet pierścionek, który Ken podarował jej nad jeziorem Tahoe. Miała uczucie, jakby jej głowa unosiła się, w ustach czuła smak czegoś gorzkiego. Z pokoju obok usłyszała jak ktoś znowu kaszle, a potem kobiecy głos mówiący:

— To nie będzie możliwe, aż do jutra. Nie, oczywiście, że nie. Nie będę w stanie zobaczyć tego przed świtem.

Wyciągnęła rękę w kierunku stolika, żeby pomóc sobie wydostać się z łóżka. Ale łóżko nagle urosło i przechyliło się pod nią. Upadła ciężko na bok, strącając na dywan budzik, lampę nocną i szklankę wody. Leżała na plecach, oddychając szybko. Czymkolwiek było to, co dali jej na sen, zupełnie rozregulowało jej zmysł równowagi.

Drzwi sypialni otworzyły się. W drzwiach, w świetle z sąsiedniego pokoju, pojawiła się sylwetka mężczyzny. Obserwował ją. Nie mogła skupić wzroku, ale była pewna, że

to Skellett. Po chwili podszedł i stanął tuż przy niej. Nawet nie próbował podnieść bu-
dzika ani lampy.

— Jak długo śpię? — odezwała się chrapliwie.

— Dwie albo trzy godziny, to wszystko. Miałas spać aż do rana.

— Chciałabym trochę wody — poprosiła.

— Chwileczkę.

Odwróciła głowę i zacisnęła oczy, chcąc w ten sposób rozjaśnić umysł. Chciałaby przynajmniej nie odczuwać nudności i zawrotów głowy. Nigdy w życiu nie była po-
ważnie chora i nie znosiła uzależnienia od kogokolwiek i w jakiegokolwiek sytuacji. Tak
samo jak jej ojciec. Uparty i niezależny, aż do granic wytrzymałości. Ta twardość stano-
wiła najmocniejszą cechę jej charakteru i jakakolwiek opiekuńczość, czy czułość, któ-
rą okazywała, były wbrew jej naturze. Skellett pozostał w tym samym miejscu i obser-
wował ją.

— Dłużej nie możesz mnie tutaj trzymać — powiedziała. — Szef Ruse...

— Szef Ruse nie żyje.

Otworzyła oczy i wpatrywała się w niego.

— Co to znaczy, że szef Ruse nie żyje?

— Dokładnie to. W jego samochodzie wybuchła bomba, jakieś dziesięć minut po
tym, gdy ostatni raz z nim rozmawiałaś. Nie zostało z niego nawet tyle, żeby nakarmić
psa.

Kathy przycisnęła rękę do ust.

— O Boże — powiedziała.

Miała wrażenie, jakby cały ten piękny świat nagle okazał się całkowicie innym, kosz-
marnym miejscem, jakby to że wierzyła w ludzi, okazało się drażniącym nieporozumie-
niem.

— Jeśli będzie to dla ciebie jakimś pocieszeniem, nie odbyło się to tak, jak tego chcia-
łem. Ale szef Ruse przeszkadzał zupełnie niepotrzebnie. A kiedy w grę wchodzi pro-
blem bezpieczeństwa narodowego... — Skellett zawiesił na moment głos.

— Jaki problem bezpieczeństwa narodowego mógłby usprawiedliwić to, że zamor-
dowałeś Ruse'a? — Kathy domagała się wyjaśnienia.

Skellett lekko cmoknął. — No, spokojnie Kathy. Nie ekscytuj się tak. Dostałaś za-
strzyk z silnym środkiem nasennym.

Kathy wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić i przywrócić poczucie równowa-
gi. Skellett podszedł do okna i rozchylił lekko zasłony, wyglądając na ulicę z zadowole-
niem. Po chwili wyjaśnił:

— Szef Ruse świadomie zignorował nakaz wydany przez Narodową Agencję Bezpie-
czeństwa i polecenie wydane przez sędziego stanowego. Zwłoki pani Schneider miały
być natychmiast przewiezione z Phoenix do Waszyngtonu i poddane specjalnym bada-

niom, zanim nastąpiłby dalszy ich rozkład. Ruse upierał się, że nie wyda zwłok i dlatego jedynym możliwym sposobem postępowania było zlikwidowanie go. Muszę ci powiedzieć, że wydaje się całkiem prawdopodobne, iż Ruse należał do dużej i wpływowej komunistycznej szajki szpiegowskiej.

— Szef Ruse? Żartujesz! Był największym twardogłowym antykomunistą z Południa, jakiego kiedykolwiek spotkałam.

Skellett uśmiechnął się kwaśno.

— „Twardogłowy” nie okazało się zbyt właściwym określeniem.

— Czy musieliście go zabijać? Nie mogliście po prostu kazać go aresztować?

— To by znaczyło oskarżenie go, a w tej chwili nie możemy sobie pozwolić na to, aby postawić na nogi całą siatkę szpiegowską, dokonując oficjalnych aresztowań. A poza tym, nie bylibyśmy w stanie trzymać go długo. Mamy bardzo mało niezbitych dowodów. W rezultacie moglibyśmy wstrzymać operację antyszpiegowską na pięć lat i w tym czasie ryzykować życie kolejnych naszych ludzi.

— Ale dlaczego mnie tu trzymasz? Co ja mam z tym wspólnego? — zapytała Kathy.

— Właśnie tego mam zamiar się dowiedzieć.

— Ale ja nic nie wiem o szajkach szpiegowskich, czy agentach komunistycznych. Jeśli masz choć odrobinę rozumu, z pewnością zdajesz sobie z tego sprawę.

Skellett opuścił zasłony, które opadły na swoje miejsce, a sam podszedł do Kathy i stanął znowu obok niej.

— Nigdy nie byłem tak bezczelny, żeby twierdzić, że struktura mojej inteligencji jest w stu procentach wydajna. Z tego co wiem, równie dobrze możesz być radzieckim „uśpionym” agentem. Sprawdzamy teraz twoją przeszłość. Czyż nie należałaś kiedyś do Socjalistycznej Grupy Dyskusyjnej w Palo Alto w Kalifornii?

— To absurd. To było w collegu.

— Absurd? No, powiedzmy. Nie poluję na czarownice. Przynajmniej do czasu, kiedy nie pojawią się prawdziwe czarownice, które trzeba złapać.

— Czego jeszcze chcesz? Powiedziałam ci wszystko, co wiem. A to znaczy, dokładnie nic.

— Jeszcze nie wyjaśniłaś, dlaczego zapytałaś mnie o Kubę.

— Wyjaśniłam. To był ślepy strzał, to wszystko.

— Nie wierzę ci. Z jakichś powodów skojarzyłaś Margot Schneider z Kubą i ja chcę wiedzieć z jakich. Poszłaś do jej domu po tym, jak została zamordowana, prawda?

— Oczywiście, że poszłam. To był mój obowiązek.

— Znalazłaś tam coś, albo zobaczyłaś, albo ktoś tam o czymś wspomniał, co mogło naprowadzić cię na myśl, że Schneider miała jakieś powiązania z Kubą?

Kathy potrząsnęła głową.

— Nie, nic.

— Może szef Ruse zasugerował ci coś?
— Co to ma za znaczenie? — stwierdziła cierpko — On nie żyje.
— On nie, ale ty żyjesz.
— No więc, co masz zamiar ze mną zrobić? Zabić mnie także? Jestem taką samą zawadą jak szef Ruse. Przynajmniej wydaje się, że tak uważasz.

Skellett krążył dookoła łóżka w zamyśleniu. A potem powiedział:

— Wspomniałaś Jacka Kennedy'ego we śnie.
— Kogo?
— Słyszałaś, co powiedziałem. Nie mówiłabyś o Jack'u Kennedy'm, gdyby to nazwisko nie miało dla ciebie znaczenia. A dlaczego Kennedy mógłby mieć dla ciebie jakieś znaczenie? Możesz mi powiedzieć?

Kathy spojrzała na niego z ukosa.

— Dlaczego tak interesujesz się Kubą i Jackiem Kennedy? To wszystko wydarzyło się dwadzieścia lat temu. Co, u diabła, jest tak ważnego, jeśli chodzi o Kubę i Jack'a Kennedy'ego, że chcesz trzymać mnie tutaj? To już niemal historia starożytna.

— Ta historia może i jest starożytna, ale w dalszym ciągu znacząca.

— Wolałabym, żebyś skończył to kiepskie filozofowanie. Gdzie są moje rzeczy? Chcę się ubrać.

— To niemożliwe — odparł Skellett.

— Słuchaj, Skellett, nie wiem, co sprawiło, że powiedziałam „Kuba”. Po prostu nie wiem. To był głupi pomysł, przyznaję. Ale krąży tyle historii o kubańskich uchodźcach, próbujących przekonać prezydenta, żeby...

Skellett zamachnął się i uderzył ją w twarz tak mocno, że wydała głośny okrzyk bólu i zdziwienia. Próbowала wstać, gdy uderzył ją znowu, mocniej niż poprzednio, raniąc ją po jednej stronie ust. Policzek bolał ją tak, jakby ktoś przycisnął do niego gorące żelazo. Jej oczy wypełniły się łzami.

— Nigdy więcej nie wspominaj o kubańskich uchodźcach — powiedział. Jego głos był równie zimny i opanowany jak przedtem. — Całe to gadanie o kubańskich uchodźcach to bzdura. Wiesz równie dobrze jak ja, że Margot Schneider nie miała nic z nimi wspólnego. To, co mnie interesuje, to związek, jaki według ciebie miała ona z Kubą.

Kathy nie odpowiedziała, tylko rogiem poduszki otarła z twarzy łzy. Skellett czekał minutę, czy dwie, potem odezwał się:

— Nie powiesz mi? Bardzo dobrze.

Wyszedł do sąsiedniego pokoju i tylko przymknął drzwi. Kathy słyszała jego głos, a potem drzwi znowu się otworzyły i wszedł z powrotem do pokoju. Teraz był z nim mężczyzna w białej koszuli, którego widziała już wcześniej, a takie inny, którego nie rozpoznała. Ten w białej koszuli podwinął rękawy. Papieros wystawał mu z kącika ust. Wyglądał jak zdegenerowany bliźniak Alaina Delona. Wyższy mężczyzna, o wystających,

słowiańskich kościach policzkowych, miał małe błyszczące oczy i duże znamię po lewej stronie twarzy.

Skellett zwrócił się do Kathy:

— Chcę ci coś wyjaśnić. Dla bezpieczeństwa i spokoju Stanów Zjednoczonych ważne jest, żebyś powiedziała mi, co sprawiło, że powiązałaś Margot Schneider z Kubą i dlaczego wspomniałaś we śnie Jack'a Kennedy'ego. W Stanach Zjednoczonych żyje dwieście dwadzieścia sześć i pół miliona ludzi. Ty jesteś jedna. Jestem upoważniony do tego, żeby zrobić z tobą to, co uważam za konieczne, aby zabezpieczyć życie wszystkich tych ludzi. Mogę cię torturować i mogę też zabić. To zależy tylko ode mnie. Jeśli nie pozostawisz mi wyboru, to zrobię to.

Kathy wydusiła zdławionym głosem:

— To morderstwo, nie możesz mnie zabić.

— Nie zrozumiałaś mnie. Mogę cię zamordować, jeśli zagwarantowanie bezpieczeństwa będzie tego wymagało. W NAB nazywamy to U.P.5. Usuwanie Przeszkód piątego stopnia. U.P.1 to po prostu przesiedlanie w obrębie Stanów Zjednoczonych. U.P.2 to przymusowe wydalenie z kraju. U.P.3 to uwięzienie na tak długo, jak to będzie konieczne. U.P.4 to okaleczenie albo perswazja przy użyciu siły, wystarczająco silna, żeby zagwarantować całkowitą współpracę. U.P.5 to ostateczne usunięcie przeszkody.

Kathy patrzyła na niego. Nigdy, w całym swoim życiu nie czuła się tak słaba i bezradna. Ale twardość charakterystyczna dla Forbesów czyniła ją jeszcze bardziej zdecydowaną, aby stawić Skellettowi opór. Dopóki będzie odmawiała powiedzenia mu czegokolwiek o Margot Schneider i Kubie, będzie w miarę bezpieczna. Najwyraźniej było to dla niego niezmiernie ważne, w przeciwnym razie nie podejmowałby przecież tego całego trudu trzymania jej tutaj. Pewnie spróbuje ją torturować, ale jeśli będzie trzymała usta zamknięte, nie zabije jej.

Nie wyobrażała sobie nawet, że mógłby sprawić jej taki ból, że będzie błagała, aby ją zabił.

— To twoja ostatnia szansa — powiedział Skellett. — Powiedz mi co wiesz, a nie tkniemy cię.

— Nic nie wiem — odrzekła.

Skellett zrobił kpiącą minę, udającą rozczarowanie. A potem bez chwili wahania rzucił:

— Walsh, przywiążmy ją do łóżka.

— Tylko spróbujcie — warknęła Kathy. Ale Skellett uderzył ją znowu w twarz, potem jeszcze raz, aż zamilkła. Wielki mężczyzna ze znamieniem na twarzy, nazwany Walshem, podszedł do niej. Trzymał w ręce pełno chustek i ścierek kuchennych, którymi przywiązał jej nadgarstki i kostki do ramy łóżka, tak że po chwili leżała rozciągnięta z rozpostartymi nogami i ramionami.

— Jesteście prymitywami — łkała Kathy. Była wściekła na siebie za to, że płacze. — Powinniście dbać o cywilizację amerykańską, a tymczasem zachowujecie się jak średniowieczni oprawcy.

— To tylko twoja wina — powiedział Skellett. — Informacje które ukrywasz przed nimi, są najwyższej wagi. Czy nie widzisz, jak niepatriotycznie się zachowujesz? Nie chcemy tego robić, jaką jednak mamy alternatywę?

Mężczyzna ze znamieniem znowu do niej podszedł, ale tym razem niósł w rękę dzieciociały nóż do mięsa. Żołądek Kathy skurczył się z przerażenia, ale on tylko pochylił się nad nią, chwycił biustonosz i przeciął go jednym gwałtownym ruchem. Skellett spojrzał na jej nagie piersi z uznaniem i uśmiechnął się. Mężczyzna podobny do Alaina Delona nic nie mówił, tylko stał w kącie, palił papierosa i obserwował.

— Jesteś zboczony — powiedziała Kathy — Zboczony i chory.

— Nie mam wyboru. Przykro mi, ale tak to już jest — odparł Skellett.

Teraz Walsh wsunął nóż pod jej elastyczne majtki i przeciął je podobnym cięciem. Nie zawracał sobie głowy przecięciem paska do pończoch, czy ich samych. Starczyło, że była obnażona, że jej nogi były rozstawione i wszyscy trzej mogli siedzieć gapiąc się na nią tak lubieżnie i uważnie, jak im się tylko podobało.

Skellett wydał polecenie:

— Walsh, przynieś mi jedną z tych igieł. Tak, tych podskórnych. Dzięki.

Usiadł na łóżku i uśmiechnął się, patrząc na nią tak życzliwie jak domowy lekarz.

— Nie zamierzam zadawać żadnych pytań więcej — stwierdził. — Po prostu zacznę pracować nad tobą, a kiedy zdecydujesz że masz dość, powiesz mi. W porządku?

Kathy zadrżała.

— Jesteś szalony. Jesteś kompletnie obłąkany.

— Jestem praktyczny, to wszystko — powiedział.

Bez dalszej dyskusji wziął do ręki jedną z igieł, chwycił mocno jej lewą pierś i wkuł igłę prosto w brodawkę. Krzyczała, próbowała uwolnić się z więzów przytwierdzających ją do łóżka, wykręcając się i szarpiąc, ale Skellett trzymał igłę tam gdzie wbił i uśmiechnął się spokojnie, jakby nic innego nie robił tylko mierzył jej temperaturę.

Mówił prawdę, co do słowa: nie zadawał więcej żadnych pytań. Ze śmiertelnym okrucieństwem wkuwał igły w jej piersi i brodawki, aż Kathy doznała uczucia, że piersi płoną. Kiedy krzyczała zbyt głośno uderzał ją w twarz, potem znowu i znowu. Jeśli była cicho, z zębami zaciśniętymi z bólu, przerywał jej milczenie wkłuwaniem igły przez brodawkę z jednej strony na drugą i obracał nią, jakby nakręcał zegarek.

Nigdy nie doznała nic tak śmiertelnie bolesnego. Modliła się, żeby przestał, ale wiedziała, że nie zrobi tego, dopóki ona nie powie mu, co wie o Margot Schneider, a z kolei jeśli mu powie, to prawdopodobnie ją zabije. Jedynie ta myśl powstrzymywała ją od poddania się.

W pewnym momencie, wczesnym rankiem, Skellett wstał z łóżka i wyszedł z pokoju. Walsh i tamten drugi mężczyzna w białej koszuli zostali, ale nie próbowali nawet dotknąć jej. Miała oczy zamknięte i próbowała sobie wyobrazić, że jest kimś innym i że wcale jej tu nie było. Nagle przyszło jej do głowy, że nie wiedziała, gdzie właściwie jest to „tutaj”. Było to z pewnością gdzieś blisko Phoenix, tego była pewna; nie jechali zbyt daleko. Ale mogli ją przewieźć w inne miejsce, kiedy spała. Ten dom wydawał się zupełnie inny od pierwszego, do którego Skellett ją przywiózł; sprawiał wrażenie częściej zamieszkiwanego, lepiej umeblowanego, jakby zajętego na stałe.

Prawie udało się jej zasnąć, mimo bólu w piersiach. Skutki działania środka nasennego jeszcze nie ustąpiły całkowicie i wpadła w płytką drzemkę bez snów. Kiedy się obudziła, było jasno, chociaż zasłony zostały zaciągnięte, a Walsh i mężczyzna w białej koszuli znajdowali się nadal w pokoju, obserwując ją. Spojrzała na swoje piersi — były pokryte czerwonymi plamami i opuchnięte.

Skellett wszedł do pokoju, jedząc kanapkę. Zwrócił się do Walsh:

— W kuchni jest trochę kawy. Weź sobie.

Walsh wyszedł, a po chwili podążył za nim także mężczyzna w białej koszuli.

— No i co? — odezwał się Skellett. — Zmieniłaś decyzje?

Odwrociła głowę. Nie chciała nawet patrzeć na niego. Usiadł w końcu łóżka, przeżuwając kanapkę, a potem powiedział:

— Takie poświęcenie nie ma sensu. Będziesz cierpieć jak diabli, a w końcu i tak powiesz mi to, czego chcę się dowiedzieć.

Skończył gryźć skórkę od chleba i wyjął chusteczkę, żeby wytrzeć ręce.

— Powinnaś była słyszeć szefa Ruse, jaki był bohaterski. Pełen ognia. Pełen determinacji. Ale ogień i determinacja nie pomogą, kiedy od samego początku jest się w błędzie, kiedy walczy się w imię złej sprawy. I tak w końcu trzeba wyznaczyć błąd i poddać się. Mogę zapewnić cię, panno Forbes, że nie pomagasz nikomu tym swoim uporem, a już szczególnie nie sobie.

Kathy trzymała głowę odwróconą.

— Odpierdol się, dobrze? — powiedziała w końcu.

Skellett wydał wargi i zamyślił się. Wreszcie rzucił:

— Ty mnie ciągle nie rozumiesz. Za chwilę doprowadzę cię prawie do utraty zmysłów. Ciągle jeszcze próbuję uniknąć tej konieczności. Z natury nie jestem okrutnym człowiekiem, a to będzie okrutne.

— Nie jesteś w stanie zrobić nic gorszego niż to, co już zrobiłeś.

— Założymy się?

— Och, do cholery, rób co ci się podoba, jeśli ci to sprawia przyjemność.

— Szkoda tylko, że tak nie jest — zakończył smutno Skellett.

Do pokoju wszedł Walsh, niosąc małe tekturowe pudełko.

Mężczyzna w białej koszuli siedł tuż za nim, paląc kolejnego papierosa. Papierosy miały dziwnie obcy, gryzący zapach i Kathy uświadomiła sobie gdzieś w głębi umysłu, że to musi być ten zapach, który poprzednio wzięła za zapach cygar. „Wschodnioeuropejskie” — pomyślała z jakiegoś nie wyjaśnionego powodu.

Skellett wziął małe pudełko i położył je na kolanach, przytrzymując pokrywkę kciukami.

— Słyszałaś kiedykolwiek o „*Heloderma suspectum*”? — zapytał Kathy.

— Nie. Myślę, że za chwilę usłyszę.

— Oczywiście. Nawet najohydniejszy gość zasługuje na właściwe przedstawienie. „*Heloderma suspectum*” to naukowa nazwa jaszczurki znanej jako Monster Gila, jedynej jadowitej jaszczurki, która zamieszkuje pustynie Teksasu, Nowego Meksyku i Arizony. Ale z pewnością jako rodowita mieszkanka Arizony znasz ją dobrze.

— Monster Gila atakuje tylko ptaki i małe zwierzęta.

— Oczywiście. Trudno powiedzieć, żeby był szczególnie niebezpieczny dla ludzi, z wyjątkiem, oczywiście, pewnych okoliczności. Na przykład, jeżeli człowiek połknąłby go żywego i dotarłby on do jego żołądka. Albo gdyby Monster Gila dostał się do środka ciała człowieka jakąś inną drogą — po raz pierwszy Skellett skierował wzrok w dół, pomiędzy uda Kathy, bębniąc palcami po pudełku.

— Nie możesz tego zrobić — wykrztusiła Kathy dysząc.

— Co? Chyba się przesłyszałem? — powiedział Skellett — Zapominasz, że mogę zrobić co zechcę. Zapominasz, że mam oficjalne zezwolenie na to, aby pokroić ciebie na maleńkie kawałeczki, jeśli tylko uznam to za konieczne.

W pudełku coś się poruszyło, drapiąc o cienkie ścianki. Kathy nie mogła oderwać wzroku od tekturowego pudełka. Prawie bez tchu wyszeptwała:

— To nie ma nic wspólnego z oficjalnymi sankcjami. Chodzi o zwykłą ludzką przyzwoitość.

— Przyzwoitość? Chcesz dyskutować na temat ludzkiej przyzwoitości? No więc, w tym jestem szczególnie dobry. Wiem dość dużo o ludzkiej przyzwoitości, tak... i o ludzkiej nieprzyzwoitości także. Rzekłbym, że z twojej strony ukrywanie tego, co wiesz o Margot Schneider, jest bardzo nieprzyzwoite. I powiedziałbym, że to co zamierzam teraz zrobić tobie, jest w pełni usprawiedliwione, jeżeli wziąć pod uwagę interesy bezpieczeństwa naszego wielkiego narodu.

— Jesteś pomyłony. Nie możesz...

Skellett skinął głową, dając znak Walshowi, żeby odwiązał jedną nogę Kathy. Kathy dyszała, szarpała się i wyginała, ale Walsh był zbyt silny.

— Łajdaki! — krzyczała. — Łajdaki! Puśćcie mnie! Dranie! Puśćcie mnie!

Uśmiechając się Skellett otworzył pudełko. W szparze ukazała się tępo zakończona głowa, podobna do głowy węża, a tuż za nią jeden pazur, szurający po tekturze. Skellett

sięgnął do pudełka i wyjął młodą, mniej więcej siedmiocalową jaszczurkę Gila o cętkowanych czarnopomarańczowych łuskach. Ruszała ogonem to w jedną, to w drugą stronę, a z czarnego pyszczka na chwilę wysunął się język, kształtem przypominający bicz.

Walsh złapał Kathy tak mocno za udo, że jego paznokcie rozryły jej skórę. Krzyczała przenikliwym i piszczącym głosem, lecz Skellett nie zwracał na nią uwagi. Wolno przysuwał głowę Monster Gila do rozchylonego różowego krocza.

— Ciągłe odmawiasz odpowiedzi na temat Margot Schneider? — zapytał jednak jeszcze raz.

Kathy była w stanie takiej hysterii, że rzucała tylko ciałem i krzyczała z przerażenia. Skellett palcami rozsunął jej wargi sromowe i trzymał jaszczurkę tak blisko, że śmigający czarny języczek dotykał jej różowości.

— To twoja ostatnia szansa — odezwał się głosem chłodnym jak zawsze. — Jeśli nie powiesz mi wszystkiego co wiesz, wepchnę w ciebie tę jaszczurkę, a potem związę ci nogi razem tak, żeby nie mogła wyjść.

Kathy wydała jęk całkowitej porażki.

— Znalazłam fotografię — łkała — Znalazłam fotografię prezydenta Kennedy'ego. Była na niej dedykacja dla N., z początku nie mogłam zgadnąć dlaczego..., było tam też dużo wycinków o „The Misfits...”, nie byłam pewna, czy mam rację...

Skellett trzymał Monster Gila w tym samym miejscu jeszcze przez jakieś dwadzieścia sekund. Potem podniósł prawą rękę i ścisnął ją tak, że kości jaszczurki zatrzeszczały, jak łamane gałązki, a jej ogon walił z furią w obie strony. Niczego nie zrobił, żeby skrócić agonię zwierzęcia. Trzymał je, a ono drżało i wiło się, a z pyska wyciekał ciemny strumyczek krwi.

— Zgadłaś więc — powiedział. — Albo raczej sądziłaś, że zgadłaś.

Kathy odwróciła wzrok. Nie mogła znieść widoku Skelletta, miażdżącego jaszczurkę z takim opanowaniem. Czuła, jak łyzy zbierają się na jej nosie, gdy — przerywając co kawałek — płaczliwym głosem, wyznawała wszystko, co odkryła i wszystko, czego domyśliła się w związku z morderstwem Margot Schneider.

W kącie pokoju mężczyzna w białej koszuli zapalił kolejnego papierosa i przyglądał się jej beznamietnie: jej zalanej łzami twarzy, potarganym włosom, szeroko rozwartej pochwie, jakby był to symbol jej całkowitego oddania i poddania się. Teraz, kiedy napięcie związane z wymuszeniem wyznania opadło, Walsh, wsadziwszy ręce do kieszeni, prawie niedosłyszalnie mruczał starą piosenkę Groucho Marxa „Everyone says I love you...”.

— Fotografia prezydenta Kennedy'ego nie była żadnym oficjalnym zdjęciem. Była to polaroidowa fotka, zrobiona przy czymś basenie. Nie można było odgadnąć, gdzie ją wykonano: chyba, że się znało to miejsce albo trafiło tam przypadkiem. Ale miałam przeczucie... I przejrzałam archiwa zdjęciowe w biurze, a potem pół tuzina książek mo-

jej koleżanki. I tam to znalazłam. Ten sam basen, ta sama *czabana*. To był basen Marilyn Monroe w Brentwood.

Skellett wstał i przeszedł w drogi koniec pokoju. Z hałasem wrzucił martwą jaszczurkę do metalowego kubła na śmieci. Potem odezwał się:

— Ciągłe jeszcze nie wyjaśniłaś, skąd ta Kuba.

— Mówiłam prawdę — powiedziała Kathy. Zsunęła razem nogi, nagle świadoma swojej całkowitej nagości. — Kuba to był tylko ślepy strzał. Było tyle teorii na temat śmierci Marilyn Monroe. Norman Mailer powiedział, że FBI mogło się jej pozbyć, żeby ochronić reputację Kennedy'ego. Inni mówili, że została zabita przez mafię. Ale nikt nigdy nie zasugerował, że może wcale nie umarła, że może ciągle jeszcze żyje.

Skellett poczekał chwilę, a potem odezwał się:

— Dalej. Chcę usłyszeć wszystko.

— Nie mam wiele więcej do powiedzenia — odpowiedziała Kathy. — Większość tego to były przypuszczenia. Domyśliłam się, że „N” to była Norma, a „P” to prezydent. Domyśliłam się, że Marilyn Monroe żyła, była zdrowa i mieszkała w Phoenix w Arizonie pod przybranym nazwiskiem. Ze wszystkich fotografii, jakie kiedykolwiek posiadała, zatrzymała tę jedną. Możliwe miała jeszcze zdjęcia Bobby'ego, ale nie widziałam ich.

— A więc sądziłaś, że Margot Schneider nie była wcale Margot Schneider, ale Marilyn Monroe? Sądziłaś, że ta ciemnowłosa, niechlujna kobieta była kiedyś największą gwiazdą ekranu wszystkich czasów?

— Tak — powiedziała Kathy. — Tak sądziłam. A skąd wiesz, że Margot Schneider była ciemnowłosa? Czy widziałeś jakieś jej fotografie? Bo ja nie. Możliwe widziałeś jej głowę?

Skellett nic nie powiedział, tylko patrzył na nią lodowatym wzrokiem, a ręce trzymał przed sobą tak, jak tancerz czekający na swoją partię w balecie „Dafne i Chloe”.

— Jest tyle teorii na temat tego, co się stało z Marilyn Monroe, czy była zamordowana, czy popełniła samobójstwo, czy też po prostu zażyła zbyt dużo nembutalu. Było trzech, może czterech ludzi, którzy mogli ją uratować tej nocy, kiedy miała rzekomo umrzeć. Zaczęłam się zastanawiać, czy może któryś z nich to zrobił. Możliwe pokłócili się tej nocy z Bobby'm Kennedy'm, może wzięła za dużo pigułek. Możliwe w rzeczywistości ktoś odebrał jeden z jej telefonów i zjawił się, żeby jej pomóc. Miała licznych przyjaciół i tyle samo wrogów. Możliwe ktoś zdawał sobie sprawę w jakich kłopotach się znalazła i w tajemniczy sposób porwał ją, żeby uratować — powiedziała Kathy niepewnym głosem.

— To czysta fantazja — skwitował Skellett.

— Powiedziałam ci już, że to tylko przypuszczenia. A poza tym, było ciało. Ale jeśli chodzi o to ciało, to wiele rzeczy było niejasnych. Na przykład jego dziwne ułożenie, to, że jej żołądek był zupełnie pusty, jakby został opróżniony. Jakiś świadek zeznał, że będąc

już martwa, Marilyn wyglądała „nadzwyczaj młodo”, a przecież na robionych w tym samym roku zdjęciach Berta Sterna na których jest naga, wygląda na otyłą i starą, nawet jej ręce wyglądają staro. Przyszło mi na myśl, że ten ktoś, kto był wystarczająco wpływowy, żeby ją porwać, mógłby być równie wpływowy, żeby podmienić jej ciało.

Skellett milczał przez chwilę, a potem rzucił polecenie Walshowi:

— Rozwiąż ją. Przynies szlafrok, a potem przyprowadź do salonu.

Po pięciu minutach, owinięta w brudny beżowy szlafrok, Kathy siedziała w fotelu naprzeciwko Skelletta, który obcinał paznokcie. Był już jasny poranek i pokój wypełniał słoneczny blask. Wszystkie meble pochodziły z lat sześćdziesiątych: czarne plastikowe krzesła, okrągłe włochate dywany i stoliki do kawy z metalowymi nogami, pomalowanymi na czarno. Była tam nawet lekka półka z płytami, z czarnymi, drewnianymi kulami zamiast nóg.

Skellett odezwał się:

— Musisz zrozumieć, że byłeś w błędzie. Robiłaś to, co każdy reporter w naszych czasach próbuje robić. Usiłowałaś wygrzebać jakiś sensacyjny skandal polityczny, podczas gdy on faktycznie nie istnieje. No więc, nie masz racji. Pracuję dla Narodowej Agencji Bezpieczeństwa od ośmiu lat i widziałam wszystkie akta. W śmierci Marilyn Monroe w roku 1962 nie ma niczego niewyjaśnionego.

— To dlaczego tak się niepokoiłeś tym, że powiązałam Margot Schneider z Kubą? — dopytywała się Kathy. — Dlaczego było to dla ciebie tak ważne, że byłeś gotów mnie zabić?

Skellett zignorował jej pytanie i powiedział:

— Czy mówiłaś jeszcze komuś o swoich przypuszczeniach?

— Nie — odpowiedziała Kathy. — Nikomu nie mówiłam. Chciałam zebrać jeszcze trochę dowodów. Jedyne jaki miałam, to było zdjęcie polaroidowe prezydenta Kennedy'ego.

— Powiedz mi dokładnie, dlaczego sądziłaś, że Schneider ma coś wspólnego z Kubą? — nalegał Skellett.

— Zraniłaś mnie. Wiesz o tym? Bardzo mnie zraniłaś — powiedziała tylko.

— A nie sadzisz, że zasłużyłaś na to?

— Zasłużyłam! Ty łajdaku!

Skellett wzruszył ramionami.

— Na pustyni jest jeszcze całe mnóstwo Monster Gila.

Zamilkła na chwilę, a potem odezwała się:

— Ty byś to zrobił, prawda? Zrobiłbyś to?

— Oczywiście. Moim nadrzędnym celem jest bezpieczeństwo kraju.

Kathy objęła ramionami swoje piersi. Bolały ją tak bardzo, że chciała płakać, ale postanowiła, że nie będzie. I tak już wylała zbyt dużo łez przez Skelletta. Zaczęła mówić

wolno.

— Pomyślałam, że Margot Schneider to Marilyn Monroe albo że mogła nią być. Jeśli była, to ukrywała się pod inną postacią. Powód mógł być tylko jeden — bała się. A więc, czego się obawiała? — pytałam samą siebie.

Kathy przerwała, a po chwili cicho ciągnęła dalej.

— Mogła obawiać się skandalu, który wybuchłby po ujawnieniu jej romansu z Bobbym i Jackiem Kennedy. Ale w końcu doszłam do wniosku, że nie. Ona nie była kobietą, która przejmowała się takimi rzeczami. Troszczyła się o swój publiczny image, o swoją osobowość, ale nie o reputację. Jedną rzeczą, która by ją naprawdę dręczyła, mogła być groźba okaleczenia albo śmierci. W tym czasie jedynymi ludźmi, którzy mogliby jej grozić byli ci, którzy chcieli dobrać się do prezydenta. Jastrzębie obawiający się, że bracia Kennedy wpuszczą falę lewicowego prawodawstwa: konserwatywni demokraci z Południa, rasiści albo Ku-Klux-Klan. A może Lyndon Johnson, kto wie? Albo uchodźcy kubańscy, którzy uważali, że zostali zdradzeni w Zatoce Świń. A może sami bracia Kennedy chcieli się jej pozbyć? Może wiedziała zbyt dużo o tym, co robią, jak bardzo zawiedli? Nie można ukryć wiele przed kobietą, kiedy jest się z nią w łóżku. Może Jack i Bobby po prostu powiedzieli jej trochę za dużo.

Skellett przerwał jej:

— Na początku nie powiedziałaś mi tego.

— Nie, bo tylko podejrzewałam, że to może być prawda. A im bardziej stawaleś się wściekły, tym bardziej byłam pewna, że to jest właśnie prawda albo przynajmniej jej część. Margot Schneider była Marilyn Monroe, prawda? Niezależnie od tego, jak dostała się do Phoenix, jak zamieszkała tam, w jaki sposób udało się jej zmienić tożsamość — była Marilyn Monroe, prawda?

Skellett potrząsnął głową.

— Nie! nie była. Przykro mi, że muszę cię rozczarować. Wszystko to brzmi, owszem, jak największy skandal tysiąclecia. Ale Margot Schneider nie była nikim innym jak tylko Margot Schneider! Prawda była taka, że sprzedawała dane techniczne o amerykańskim radarze typu „planar array” sowieckiej siatce szpiegowskiej. To nie było nic szczególnego, nic, co by poważnie zagrażało narodowemu bezpieczeństwu. Było jednak wystarczająco istotne, żeby nazwać to zdradą.

Starannie obciął długi paznokieć u lewego kciuka.

— Według mnie próbowała wydusić więcej pieniędzy. Próbowала być sprytniejsza. Albo może przekazała jakąś bezwartościową informację. Cokolwiek się wydarzyło, to została zamordowana przez zabójcę z KGB. Dlatego właśnie musieliśmy szybko przenieść jej ciało do Waszyngtonu, żeby sprawdzić odciski palców i porównać *modus operandi* tego zabójcy ze sposobami działania innych radzieckich fachowców. To było pilne, a szef Ruse próbował stanąć nam na drodze. Dlatego musiał zginąć. A potem ty za-

częłaś zadawać niezręczne pytania, musiałem się więc dowiedzieć, jakie posiadasz informacje.

— Nie była więc Marilyn Monroe? — pytała Kathy.

— Naprawdę nie była?

— Nie — odparł Skellett.

— No to skąd miała tę fotografię Kennedy'ego? Dlaczego przechowywała te wszystkie recenzje o „The Missfits” i zdjęcia Clarka Gable?

— Będziemy to sprawdzać, nie martw się — zapewnił ją Skellett. — Pamiętaj, że tysiące ludzi robiły zdjęcia Kennedy'emu i tysiące mają taką samą *cabane*, jaką miała Marilyn Monroe w Brentwood. Można ją kupić wszędzie.

— Skąd wiesz, jakiego rodzaju *cabane* ona miała?

— Byliśmy w twoim mieszkaniu, Kathy i obejrzelśmy zdjęcie. Jesteśmy bardzo dokładni. Musimy tacy być. A przy okazji, to była całkiem dobra kryjówka, ta w dzbanku do kawy. Ale niezbyt oryginalna.

Kathy patrzyła na niego pustym wzrokiem.

— Wiedziałeś przez cały czas? Wiedziałeś przez cały czas i tak mnie torturowałeś?

Skellett uśmiechnął się.

— Może i jesteśmy okrutni, Kathy, ale nie jesteśmy głupi.

Rozdział osiemnasty

Tylko niewielu rozpoznałoby Tytusa tego ranka, w jego wielkich rogowych okularach, rozłożonego na tylnym siedzeniu limuzyny, zmierzającej na południe 23 Ulicą z Washington Circle w kierunku Departamentu Stanu. Bez większego powodzenia próbował skupić uwagę na treści raportu dotyczącego sytuacji w Izraelu i Libanie. W lekturze nie przeszkadzały mu bynajmniej przytłumione dźwięki muzyki Smetany, dobiegające z doskonałego sprzętu stereofonicznego, zainstalowanego w samochodzie. Co chwilę podnosił wzrok znad papierów, aby sprawdzić którą ulicę mija samochód; J, H, G — wiedział więc z dużą dokładnością, ile czasu pozostaje mu, aby przetrwać wszystkie te bezsensowne brednie, które mu sztab przygotował na temat ostatnich walk falgistów z muzułmanami.

„Cholerna religia” — pomyślał. „Religia to nic, tylko jeden wielki kłopot. Jedyna rzecz godna wiary to ludzki mózg i jego dążenie do postępu”.

Gdzieś pomiędzy „wyznaniowym podziałem Zachodniego Bejrutu” i jego „socjalno-religijnymi podobieństwami”, myśli Tytusa powędrowały ku Nadine. Ostatniego wieczoru powróciła do domu cuchnąc whisky, roześmiana, wesoła... i momentalnie zaciągnęła go do łóżka — mimo że i Carl, i Samantha byli w salonie. Rozparci wygodnie na jego antycznej sofie, z nogami w brudnych trampkach podwiniętymi pod siebie, pijący jego najlepszą brandy, obserwowali jak ich matka popycha ojczyrna na górę, po schodach prowadzących do sypialni.

Nadine była niezwykle zachłanna tej nocy. Poobrywała mu wszystkie guziki od koszuli i dobrała się do jego penisa, zanim jeszcze zdążył ściągnąć do końca slipy. Usiadła na nim okrakiem, wysoko podciągając różową jedwabną suknię koktajlową i ujeżdżała go z dzikim zacierzowaniem. Gdy osiągnęła orgazm, zeszła z niego i z furią szarpała członka tak długo, aż Tytus krzyknął głośno i wystrzelił strumieniem spermy na jej suknię, brzuch i gęste włosy łonowe.

Podczas tej nocy pragnęła go ciągle i ciągle od nowa. Gdy świtało już, wreszcie zasnęła. Tytus cichutko wymknął się wtedy z łóżka i na palcach zszedł po schodach do

swej biblioteki, aby zatelefonować do Londynu, do Bonn i w parę innych miejsc. Po raz pierwszy od niemal dwóch lat zapalił cygaro przed śniadaniem i długo palił je w zamyśleniu.

— Zabieram pana o dziesiątej, panie sekretarzu — powiedział kierowca, gdy limuzyna zatrzymała się przed budynkiem Departamentu Stanu, a drzwi samochodu otwarte zostały przez jednego z goryli Tytusa.

— Tak, dziękuję John. Jak twój chłopak, zdrowy już?

— Znacznie z nim lepiej, dziękuję. Dziękuję panu za pamięć.

— Uhm...

Joe Jasper czekał na Tytusa w jego gabinecie. Czekala również taca z gorącą czarną kawą i talerz z jego ulubionymi ciasteczkami orzechowymi. A także dwie róże, zawinięte w celofan, jedna biała i jedna czerwona.

— Kwiaty są od Nadine — powiedział Joe z nieśmiałym uśmiechem.

Tytus podniósł je i uważnie im się przyjrzał.

— Jedna biała i jedna czerwona. Symbol utraconego dziewictwa.

— Jak to się ma do faktów? — zapytał Joe.

Tytus zmierzył go wzrokiem i rzucił kwiaty na biurko.

— To nie twój zasrany interes — tak się ma.

Dopiero po chwili Joe odezwał się znowu:

— Wydaje mi się, że Colleen Petley zaaklimatyzowała się zupełnie dobrze. Jest swobodna, gotowa z nami współpracować, nie ma żadnych specjalnych wymagań, nie marudzi, chociaż zażądała wanny do gorących kąpiel. Bardzo jej pochlebia to, że Nadine dba o nią osobiście. To był nadzwyczajny pomysł, panie sekretarzu, nadzwyczajny.

Tytus nalał sobie trochę kawy i wrzucił ciasteczko do gorącego napoju. Nie był specjalnie głodny, jednak był to już rytuał, pamiętający jego służbę w armii, gdy przeprowadzał niespodziewane inspekcje podczas śniadania, a później siorbał kawę, zagryzając ciasteczkami, razem ze swoimi marines. Jedno z jego wojskowych przezwisk brzmiało „siorbek”.

— Co nowego z RINC? — niby to zapytał Joe’go. — Telefonowałem do senatora Rodneya dziś rano, a on stwierdził że Marshall będzie próbował wymanewrować nas, wzywając na pomoc Droxorda i Smitha. — Hugh Drosord był przewodniczącym Komisji Wojskowej Kongresu; Nestor Smith z kolei zastępcą przewodniczącego Komisji Finansowej. Obaj należeli do najbardziej liczących się demokratów z południa Stanów i ich zdanie mogłoby w sposób decydujący wpłynąć na Kongres, gdyby przyszło do głosowania na temat redukcji broni nuklearnej.

Obaj byliby szczęśliwi, gdyby pewnego dnia ujrzeli Tytusa nadzianego na maszt przed Departamentem Stanu, powiewającego na wietrze zamiast sztandaru.

Pojawienie się teraz tych nazwisk świadczyło niezbicie, że Marshall Roberts myśli

o sfinalizowaniu układów RINC jeszcze szybciej niż Tytus mógłby przypuszczać. Nie spodziewany ruch nerwowego szachisty.

Joe przerwał milczenie.

— Wydaje mi się, że prezydent oświadczy dziś na posiedzeniu gabinetu, że czas zacząć rozmowy RINC II, a układ RINC I powinien zostać ratyfikowany natychmiast po zakończeniu przerwy letniej.

Tytus sięgnął po kolejne ciasteczko i umoczył je w kawie.

— Pcha to jak opętany, prawda? Szybciej niż można by się tego po nim spodziewać, szybciej niż nakazuje zwykły zdrowy rozsądek. Cóż, myślę że będziemy zmuszeni już teraz odkryć przed nim nasze karty. Nie chciałem jeszcze używać Colleen, przynajmniej zanim nie zobaczę do jakiego punktu doprowadzą rozmowy RINC, ale skoro Marshall zaczyna przyspieszać zabawę i rozgrywać piłkę jak marny junior, myślę, że nadszedł czas, aby go przyblokować.

— Wie pan, że on nigdy panu tego nie daruje? — stwierdził Joe z wyraźną przyjemnością.

— Przeżyłem jedno z jego uderzeń, przeżyję i następne. Jeżeli — w co wątpię — odważy się na jeszcze jeden zamach przeciwko mojemu życiu. Wbiję mu do głowy, że taśmy wideo, fotografie, wszystko... zostanie opublikowane, jeśli tylko przydarzy mi się cokolwiek złego. Chociażby zza grobu, ale dosięgnę go, jeżeli tego chce, zniszczę go tak lub inaczej, żywy lub martwy.

Twarz Joe'go przybierała po kolei dwadzieścia różnych wyrazów, od zwykłego uznania, do niemalże czołobitnego uwielbienia.

— Jest pan twardym człowiekiem, panie sekretarzu. Nikt mi nie wmówi, że jest inaczej.

Tytus usiadł za swoim biurkiem.

— Co dalej? — chciał wiedzieć. — Czytałem dziś rano te wszystkie gówna o Libanie. Dlaczego, do diabła, Dżemajel nie panuje nad sytuacją? Działa jak jakiś zasrany szczeniak.

— Fedzał przylatuje dziś przed południem. Coś koło jedenastej.

— A co ze Skopiem? Przyleci do nas?

— Myślę, że nie.

— O.K., niech go szlag trafi. Przekłęci Szwedzi. Chcę mieć z głowy cały ten hałas z łodziami podwodnymi tak szybko, jak to tylko będzie możliwe. Czy słyszałeś coś na ten temat z Biura Połączonych Sztabów?

— Ma pan memoriał BPS przed sobą.

Tytus ciągle przeglądał papiery na biurku, gdy rozległo się przeciągłe brzęczenie interkomu.

— To senator Rodney, sir. Bardzo prosi, aby zechciał mu pan poświęcić dwie lub trzy

minuty — powiedziała sekretarka.

— Dobrze — mruknął Tytus. Po chwili, gdy jasne było, że sekretarka jest jeszcze na linii, dodał: — Niech wejdzie.

Senator Rodney, wkraczając do gabinetu Tytusa, wycierał nos w chusteczkę. Był niskim, siwowłosym mężczyzną, nosił luźne spodnie, z jego kamizelki zwiisał łańcuszek złotego kieszonkowego zegarka. Wyglądem, nie działalnością polityczną, Rodney przypominał Tytusowi Johna L. Lewisa, lidera związków zawodowych z lat trzydziestych. Te same krzaczaste brwi, taki sam głęboko osadzony podbródek.

— Ken — Tytus wyszedł mu na spotkanie, potrząsając dłonią. — Usiądź, proszę. Właśnie byliśmy w trakcie dyskusji o dzisiejszym posiedzeniu gabinetu.

Senator Rodney przyciągnął sobie krzesło.

— Masz tę kobietę?

— Całą i bezpieczną — zapewnił go Tytus. — Napijesz się kawy?

— Tak, dziękuję. Masz trochę whisky? To przekłete zimne lato zabija mnie. Słuchaj, jak się domyślam, masz zamiar przycisnąć Marshalla cholernie szybko. I masz rację. Nie baw się w subtelności. Był cholernie zajęty przez ostatnie kilka dni, przekupywał, namawiał, groził, jednym słowem — zbierał sobie głosy potrzebne do ratyfikacji RINC I i zgody na rozpoczęcie wstępnych dyskusji z Rosjanami w zakresie RINC II. I będzie działał tak, aby jak najszybciej uzyskać jakieś rezultaty. Słuchaj, ta mała kurewka z jego biura prasowego zadzwoniła wczoraj wieczorem do Jerry'ego Rosena i powiedziała, że na własne oczy widziała broszury kampanii wyborczej Marshalla na rok 1984.

— Czy można jej wierzyć? — zapytał Tytus.

— Przynajmniej Jerry wierzy — w łóżku. Powiedziała, że tytuł jednej z broszur brzmi „Ameryka — kraj Robertsa”. To chyba jest dostatecznie przekonujące, prawda? O co tu może chodzić, jak nie o następne cztery lata?

Tytus powiedział szorstko:

— Do cholery, obiecywał przecież i to nie raz! Pamiętasz! Powtarzał to w Denver, powtarzał w Settle, w Nowym Jorku! „Jeśli wygram tę kampanię, zamierzam być prezydentem jednej i tylko jednej kadencji. Jestem za stary na powtórkę”. Kłamliwy bękart!

— Co zamierza pan uczynić? — włączył się Joe.

— Zamierzam zatrzymać go — powiedział Tytus. — Ściągnę mu lejce tak, że stanie w miejscu. Chciałem zachować Colleen Petley na później, użyć jej może jedynie do zablokowania głupiego programu podatkowego, a z RINC skończyć jakoś inaczej. Ale wygląda na to, że w tej chwili nie mam już żadnego wyboru.

— Uważaj — to wszystko co ci mogę powiedzieć — stwierdził senator Rodney.

— Żartujesz? Na co mam jeszcze uważać, po tym fajerwerku jaki urządził pod moim samochodem?

— Marshall Roberts jest człowiekiem gwałtownym i sprytnym. Choćbyś batyska-

fem próbował dotrzeć do dna jego mózgowicy, nie odgadniesz co się w niej kłębi. Naciśniesz mu na odcisk, Tytus, a on to zapamięta i uczyni wszystko, co będzie w stanie uczynić, aby cię odstawić na boczny tor. A gdy już nie będziesz groźny, każe cię zabić, z zemsty. Jeśli o mnie chodzi, nie mam wątpliwości: Marshall Roberts jest człowiekiem, który nie lubi przegrywać i nie przegrywa.

Tytus wstał.

— Marshall Roberts dostanie takiego kopa z Białego Domu, jakiego nie otrzymał jeszcze żaden prezydent, nie wyłączając Nixona. I ja zamierzam osobiście go kopnąć. Wiem że jest mściwy, wiem że jest próżny. „Dumny Prezydent”, powiedział kiedyś o sobie. Pamiętasz? Gównu zostanie z tej dumy, kiedy wyleci z Białego Domu z wielkim, kurwa, z wielkim hukiem.

Tytus i senator Rodney rozmawiali jeszcze piętnaście minut o dzisiejszym posiedzeniu gabinetu, którego głównym tematem miały być rozmowy rozbrojeniowe ze Związkiem Radzieckim, a później o sposobie w jaki Tytus zamierza zaznaczyć swoją pozycję jako potencjalny kandydat w przyszłorocznych wyborach prezydenckich. godzili się, że Tytus powinien oficjalnie trzymać się jak najdalej od wszelkich wydarzeń, związanych z przygotowywaną kompromitacją Marshalla Roberta. W wypadku gdyby ktoś odkrył w nim politycznego konspiratora lub człowieka, który przez długi czas wiedział — i milczał — o seksualnych upodobaniach prezydenta, jego kariera polityczna także zawisłaby na włosku. Z pewnością żaden wyborca nie byłby skłonny do oddania swojego głosu na sekretarza stanu, który trzymał w ukryciu informacje o wstrętnej perwersji seksualnej prezydenta.

Joe Jasper dopił ostatni łyk zimnej kawy z brudnej filiżanki, pozostawionej przez Tytusa i powiedział:

— Cokolwiek się wydarzy, panie sekretarzu, musi pan mieć czyste ręce.

— I czystą dupę — podsumował Ken Rodney, z charakterystycznym dla niego poczuciem humoru.

O dziesiątej Tytus wyjechał z Departamentu Stanu, udając się do Białego Domu. Marshall Roberts zwołał zebranie swego gabinetu w sprawie RINC w Pokoju Lincoln, ulubionym przez Tytusa. Zdecydował tak częściowo ze względu na jego komfortowe wyposażenie, a częściowo po to, aby dać wyraźnie Tytusowi do zrozumienia, że on, Marshall, jest tutaj gospodarzem i władcą. Nikt z zebranych nie miał wątpliwości, że podczas posiedzenia dojdzie do ostrej konfrontacji między prezydentem, byłym jastrzębiem, który w zupełnie niewytłumaczalny sposób stał się po elekcji orędownikiem jak najgłębszego rozbrojenia, a byłym żołnierzem, który zyskał sobie reputację najtwardszego i najbardziej nieustępliwego polityka od czasu Johna Fostera Dullesa. Marshall rozmyślnie spóźniał się, co dawało członkom jego gabinetu okazję do nerwowych rozmów i głośnej wymiany zdań i uwag, krzyżujących się we wszystkich kierunkach przez

prawie piętnaście minut, zanim wreszcie wkroczył do pokoju. Jedyne Tytus przez cały czas pozostawał spokojny. Milczał.

Marshall Roberts zawsze wyglądał imponująco. Dzisiaj wydawał się nawet jeszcze wspanialszy niż zwykle. Był wysoki, opalony po tygodniowych wakacjach w Big Sur, ze zdecydowanym czołem, silnie zarysowanym ponad głęboko osadzonymi, skupionymi oczami i jakby rzeźbioną falą starannie ułożonych, stalowo-szarych włosów. Ubrany był w ciemną sportową marynarkę ze szkockiej wełny i szare spodnie, a z kieszonki nad piersią wystawała mu szkarłatna chusteczka, niczym „sztuczna krew, płynąca z fałszywego serca”, jak ujął to kiedyś senator Rodney.

— Dzień dobry, panowie. — powiedział prezydent swobodnie i skierował się wprost do swego krzesła. — Za chwilę podadzą nam kawę.

Drzwi wejściowe zamknęły się i wszyscy usiedli. Jakby w wyniku jakiejś naturalnej selekcji, wojskowi i wszyscy przeciwnicy szybkiego rozbrojenia nuklearnego zgromadzili się po prawej stronie pokoju — grupa ludzi o krótko ściętych włosach i błyszczących, wypucowanych do połysku lakierkach. Ci o bardziej liberalnych poglądach zajęli miejsca z lewej strony — co ciekawe, większość z nich miała poluzowane krawaty i wygodne zamszowe obuwie. Marshall Roberts odczekał, aż umilkną odgłosy przestawiania i szurania krzesłami, wszelkie pochrząkiwania i szelest papierów przekładanych z jednej sterty na drugą, i odezwał się wreszcie swym przyjemnym, miłym ale też świadczącym o całkowitej pewności siebie głosem.

— Panowie, nie zebraliśmy się dzisiaj na żadną długą i pustą dyskusję. Chciałbym poinformować was po prostu, że zamierzam ponownie podjąć rozmowy, jakie toczyliśmy ze Związkiem Radzieckim na temat redukcji broni nuklearnej, natychmiast jak tylko Kongres zbierze się po letniej przerwie. Jak wam wiadomo, nie możemy kontynuować tych rozmów, dopóki Izba Reprezentantów nie ratyfikuje dwóch ostatnich klauzuli RINC I, odnoszących się do wycofania pocisków Cruise z naszych baz w Wielkiej Brytanii. Te dwie klauzule stały się — z powodu letnich wakacji — przeszkodą nie do pokonania, odwrotnie proporcjonalnie do ich znaczenia w całości zagadnienia, ich realnej, politycznej i militarnej, wartości.

Marshall powoli otaksował wzrokiem członków swojego gabinetu oraz oficerów z Biura Połączonych Sztabów. Kilku mężczyzn wyszczerzyło zęby w niepewnym uśmiechu.

— Znajdują się wśród was osoby, które od samego początku, uparcie lub skrycie, oponują przeciwko ratyfikacji RINC I. Chciałbym jasno powiedzieć tym gentlemenom, tu i teraz, że porozumienie to zostanie ratyfikowane tak czy inaczej, czy wam się to podoba, czy nie, z wami czy bez was. Chcę, aby moją prezydenturę historia odnotowała jako prezydenturę silną, ale też inteligentną. Potężną, ale ludzką. Zawsze stałem na stanowisku, że aby móc stawić czoła komunistycznej ekspansji, należy być nieustannie

czujnym i uzbrojonym po zęby. Ale stoję nie tylko na straży wolności, lecz również życia, stąd moje głęboko przemyślane przekonanie, że jeżeli będziemy kontynuować dążenie w kierunku wyważonej redukcji broni nuklearnych, szczególnie na europejskim teatrze działań wojennych, uczynimy dla świata rzeczy większe i mądrzejsze niż jakakolwiek administracja amerykańska uczyniła w ciągu ostatnich dwustu lat.

John Gibbons, łysy jak kolano Sekretarz Obrony, uniósł w górę rękę z długim ołówkiem i zapytał gwałtownie:

— Panie prezydencie, w pełni doceniamy ludzkie przesłanki panem kierujące. Ale przedstawione nam w zarysie proporcje rozwiązań, jakie mają przynieść rozmowy RINC II, prowadzą do rozbrojenia nierównoważnego. Ich przyjęcie nie oznacza wcale dwustronnej i zrównoważonej redukcji nuklearnej.

Marshall odchrząknął.

— John — powiedział łagodnym głosem, który jednak niczego dobrego Gibbonsowi nie wróżył. — Nie ma możliwości uzyskania matematycznej równowagi w sytuacji, gdy chodzi o rozbrojenie nuklearne. Nasz system obrony jest całkowicie odmienny od sowieckiego. Różne więc od sowieckich muszą być i nasze poglądy na strategię nuklearną. Zainstalujemy na przykład w którejś z naszych baz coś, czemu nie poświęcimy zbyt wielkiej uwagi, a nagle może się to okazać śmiertelnym zagrożeniem w oczach Sowietów i dążyć będą do zlikwidowania tego przez nas za wszelką cenę. Punkt dla nas. I na odwrót. Dążenie do równoczesnej redukcji broni nuklearnej w skali jeden do jednego jest nie tylko dążeniem błędnym, ale i niczym nieuzasadnionym. A właśnie przekonanie o konieczności idealnej równowagi likwidowanych środków jest największą przeszkodą na drodze do rozbrojenia atomowego już od trzech dekad. Możemy przełamać ten impas, ratyfikując w całości układ RINC I i przystępując, tak szybko jak się tylko da, do rozmów RINC II.

— Przepraszam, panie prezydencie — wtrącił generał Paul D. Immerman, poprzednio Szef Sztabu Armii, a obecnie Szef Połączonych Sztabów. — Nasze Biuro jest pełne głębokiego szacunku wobec pana poglądów. Jednak przepuściliśmy przez komputer wszystkie dane strategiczne związane z przekazanymi przez pana propozycjami na rozmowy RINC II i nie mamy w tej chwili najmniejszej wątpliwości, że jeżeli Stany Zjednoczone przystąpią do realizacji chociaż najmniejszej części z nich, staniemy w obliczu sytuacji, w której wszelka konfrontacja nuklearna ze Związkiem Radzieckim będzie nie do wygrania. Jeśli wycofamy chociażby połowę naszych ALCMS z Wielkiej Brytanii i zmniejszymy uzbrojenie w broń neutronową niechby nawet o trzydzieści procent, to Związek Radziecki będzie miał szansę zajęcia całej Europy w ciągu pięciu dni, z prawdopodobieństwem wynoszącym aż 63,9 procent. Zgadzam się z panem co do bezsensu obsesji na punkcie równoczesnego i równoważnego rozbrojenia. Rzeczywiście, obsesja taka jest największą przeszkodą na drodze do sensownej redukcji, jednak jestem prze-

ciwny temu co pan proponuje, gdyż jest to droga do narodowego samobójstwa.

Tytus wyprostował się na swym antycznym krześle o wysokim oparciu i Marshall skierował wzrok ku niemu.

— Tytus, jaka jest twoja opinia?

Spoczęły na nim pełne napięcia oczy członków gabinetu. Wszyscy doskonale wiedzieli, że Tytus był zatwardziałym przeciwnikiem jakiegokolwiek rozbrojenia nuklearnego. Wiedzieli też, że nadszedł moment jego decydującego starcia z Marshalllem, lub — co wątpliwe — zawarcia kompromisu pomiędzy nimi, który — w przypadku dojścia do skutku w tej sytuacji — jak powiedział niedawno Tytus, „postawiłby Amerykę na głowie”.

Tytus starannie wyrównał kartki papieru, które spoczywały na jego kolanach i uśmiechnął się.

— Panie prezydencie — powiedział. — Wydaje mi się, że zanim zaczniemy zbyt konkretne rozmowy o rozbrojeniu nuklearnym, powinniśmy poważnie zastanowić się, czy do takiej właśnie polityki nasza administracja zobowiązana została przez wyborców w 1980 roku. Takiej czy nie? Czy wręcz przeciwniej?

Marshall ze złością pochylił się do przodu. Było oczywiste, że ma trudności z panowaniem nad sobą, podczas gdy Tytus zdawał się doskonale kontrolować. Marshall chciał, aby Tytus powiedział dzisiaj wszystko, co miał do powiedzenia, aby zaplatał się w tym swoim głupim sarkazmie. Następnie zamierzał pogrzebać Tytusa żywcem, przed obliczem całego swojego gabinetu, a później także wobec mass mediów. Gdyby ten duppek zdawał sobie sprawę z tego, co on — Marshall — musiał przejść od dnia swojej inauguracji... Mimo zakończonego niedawno urlopu czuł się o całą dekadę starszy, niż te jego 66 lat. Gdyby tylko ten próżny bękart wiedział... Gdyby miał choć odrobinę intelektu aby to wyczuć. Ale nie miał i nigdy nie będzie miał, dlatego Marshall widział dla niego tylko jedno miejsce — w grobie, sześć stóp pod ziemią.

W skupieniu, nie śpiesząc się, Tytus kontynuował:

— Wydaje mi się, panie prezydencie, że zbyttno przejął się pan budową swego wizerunku światowego dobroczyńcy, budowniczego ogólnoświatowego pokoju, zapominając jaką cenę może zapłacić nasz kraj za te egoistyczne dążenia.

— Tytus... — Marshall chciał mu przerwać, ale ten uśmiechnął się i podniósł w górę rękę.

— Proszę, chciałbym dokończyć. Ważą się w tej chwili wielkie rzeczy. Wcale nie nasze polityczne ambicje, nawet nie możliwości obronne Ameryki — ale bezpieczeństwo całej naszej planety. I chociaż w sposób widoczny wziął pan sobie do serca, panie prezydencie, Konwencje Genewskie, gotów je przestrzegać, stawiać ponad inne i stosować się do nich bezwarunkowo, prawdopodobnie zapomina pan o protokołach z Nevady.

Marshall Roberts zmarszczył brwi, poszukując w pamięci tych protokołów.

— Ee, jakie protokoły? — warknął wreszcie. Nie dogrzebał się ich w pamięci, a wiedział że Tytus nie pozwala sobie w takich sytuacjach na powiedzenie niczego irracjonalnego ani lekkomyślnego. Każde jego słowo było tak cholernie dopasowane do reszty kontekstu, że przypominało instalacje alarmowe — dotkniesz czegoś — zabuczy, spróbujesz ominąć — też źle.

— Och, przepraszam — Tytus wyglądał na rozluźnionego. — Protokoły z Nevady oparte zostały na czysto nieformalnym spotkaniu pewnych osobistości politycznych w hotelu „Futura” w Las Vegas, w Nevadzie, krótko przed udzieleniem prezydentowi Robertsowi nominacji partyjnej do walki o prezydenturę.

— Czy moglibyśmy poznać nazwiska tych osobistości? — zapytał John Gibbons. — Bo mnie wśród nich nie było.

Nie miał najmniejszego pojęcia, o czym mówił Tytus, ale dotarło do niego z tonu sekretarza stanu, z jego postawy, że myśliwy wreszcie dopadł ofiary. Poza tym uderzyło go to, że Marshall Roberts od dłuższej chwili milczał, jakby skwarzył się w swym krześle, a zwykle twardy i nieustępliwy wzrok w sposób widoczny zdradzał ogromne zderzenie nerwowania prezydenta.

Tytus stwierdził: — Był tam obecny prezydent Roberts oraz personel specjalnie dobrany ze względu na swe odświeżające polityczne poglądy. Ogólnie wyrażono wówczas przekonanie, że gdy Marshall Roberts zostanie prezydentem, będzie to początek całkowicie nowej, „złotej” ery.

Teraz Roberts już wiedział na pewno. Jego twarz stała się bladą maską, oczy błędziły od twarzy Tytusa do jego nóg, założonych jedna na drugą, a później skierowały się na żółty wzorzysty dywan. Tytus monotonnym ruchem wymachiwał nogą i ciągle się uśmiechał. Jego błyszczący czarny but zniknął i powracał w pole widzenia Roberts'a. „Pamiętam nawet jej imię”, pomyślał prezydent.

Tytus podsumował swoje wystąpienie z nie ukrywanym triumfem w głosie.

— Pan prezydent zapewne pamięta, że protokoły z Nevady jednoznacznie wyrażają zdecydowanie ówczesnego kandydata na prezydenta, aby udzielić Połączonym Szta bom wszelkiej potrzebnej pomocy w ramach możliwości budżetu federalnego, w celu realizacji w stopniu możliwie najwyższym zaleceń JSOP II. Inaczej mówiąc — aby zapewnić Stanom Zjednoczonym optymalne możliwości obronne, do poziomu określonego przez same służby militarne.

Zapadła bardzo długa cisza. Marshall Roberts ciągle wpatrywał się w dywan. W końcu Tytus dodał, bardzo łagodnym tonem:

— Zasugerowałem tylko, że Pan prezydent — w swoim gorliwym dążeniu do rozbiorzenia — mógł zapomnieć, iż jego własna partia uważa, że międzynarodowy pokój może zostać osiągnięty w prostszy i bardziej bezpieczny sposób. — Skinął głową w kierunku Marshalla z nie ukrywanym sarkazmem. — Mam szczerą nadzieję, że zostałem

prawidłowo zrozumiany.

Marshall Roberts podniósł w końcu wzrok.

— Cóż — odezwał się, a jego głos zabrzmiał niespodziewanie jak głos starego, zmęczonego człowieka — wydaje mi się, że sekretarz stanu użył argumentów o kapitalnym znaczeniu politycznym. Argumenty te wymagają uważnego przestudiowania z mojej strony.

— Panie prezydencie, za pozwoleniem, pan Alexander ciągle nie wyjaśnił nam, co protokoły z Nevady... — zaczął generał Immerman, ale Marshall Roberts posłał ku niemu szybkie wściekle spojrzenie, tak że Szef Połączonych Sztabów zamilkł natychmiast. Popatrzył tylko na admirała Corstairsa i wzruszył z zakłopotaniem ramionami.

— Odraczam posiedzenie gabinetu — powiedział Marshall Roberts. Wstał i natychmiast opuścił pokój. Członkowie gabinetu zaczęli zbierać swoje papiery i teczki w kompletnym zdumieniu. Zdumieni byli wszyscy, oczywiście z wyjątkiem Tytusa, który pozostał na swoim miejscu, spokojny, z przylepionym ciągle do ust nikłym uśmiechem. John Gibbons podszedł do niego i powiedział:

— Tym razem naprawdę dobrałeś mu się do skóry.

Tytus przytaknął.

— Na to wygląda.

— Czy mógłbyś mi jednak powiedzieć, do cholery, co to takiego te protokoły z Nevady?

— Pogłówkuj trochę, John. Są tylko dwie rzeczy, z którymi może kojarzyć się Las Vegas: pieniądze i seks. Chodzi więc o jedno, albo o drugie.

John Gibbons zmarszczył w zdziwieniu swoje wielkie czoło, aż po sam czubek łysej czaszki.

— Ha! — wykrzyknął. — Zdaje się, że idziesz na całego!

— Walczę o Amerykę takimi środkami, jakich wymaga sytuacja.

— Wiesz co, pójdźmy razem na lunch — powiedział Gibbons. — I porozmawiajmy o tym dokładniej.

— Nie John, w żadnym wypadku. Jestem na diecie.

Gdy tylko John Gibbons oddalił się, otworzyły się te drzwi Pokoju Lincolna, za którymi przed paroma minutami zniknął prezydent i Rosemary Wuppers, osobista sekretarka Roberta, wykonała dyskretny przywołujący gest w kierunku Tytusa. Ten wstał, wygładził swoją marynarkę i podążył za Rosemary Wuppers do małego pokoiku, którego wszystkie ściany zastawione były półkami z książkami. Pokój ten Marshall od początku urzędowania przeznaczył na swój prywatny, cichy gabinet i w zasadzie nikogo w nim nie przyjmował. Teraz stał, wpatrzony w okno, z rękami w kieszeniach, swą sylwetką przypominając starego lwa, na tle jasnego, bezchmurnego nieba, widniejącego za oknem.

— Wejdz Tytus i zamknij drzwi — powiedział.

Tytus zrobił co mu kazano, doszedł do środka pokoju i położył swoje papiery na obitym skórą biurku Marshalla.

— Chcesz cygaro? — zapytał Marshall Roberts.

— Nie, dziękuję panie prezydencie. W tych trudnych czasach próbuję być trochę bardziej ascetyczny — powiedział z sarkazmem.

Marshall milczał przez chwilę. Tytus obserwował go, stojąc niedbale, prezentując dużą pewność siebie. To była walka, znów czuł się żołnierzem. Wreszcie Marshall odezwał się:

— Trudno mi jest wytłumaczyć ci, Tytus, jak wielką popełniasz omyłkę.

— Och!

— Zapewne zdobyłeś jakieś fotografie?

Tytus rzucił szybkie spojrzenie dookoła.

— Czy jest tu podsłuch?

Marshall potrząsnął przecząco głową.

— Nawet jakby był, to nie ma to dla ciebie żadnego znaczenia, prawda? Jeśli masz te fotografie, nie zależy mi przecież na rozgłoszeniu tego wszem i wobec, zgadza się?

— Mam coś więcej niż fotografie — powiedział Tytus. — Oprócz nich — zeznania na kasecie wideo, no i oczywiście żywego świadka.

— Odnalazłeś te dziewczynę?

— To zrozumiałe.

Marshall odszedł od okna i stanął tak blisko Tytusa, że ten czuł ciepły, równy oddech prezydenta na swoim policzku.

— Chciałbym ci coś powiedzieć, Tytus. Próba zakłócenia rozmów RINC nie jest najlepszym pomysłem.

— Tak twierdzisz, Marshall? Przecież poprzez RINC dajesz Sowietom tak wielkie korzyści strategiczne, że jest to praktycznie zbrodnia przeciwko narodowi!

— Uwierz mi, wybieram mniejsze zło. Jeśli w ogóle można to jakoś stopniować...

Tytus uważnie popatrzył na niego.

— Co to znaczy, do diabła, stopniować? Co ci się stało, Marshall? Ty i ja byliśmy kiedyś najbliższymi przyjaciółmi. I również najbliższymi współpracownikami. Wiem, że nie wierzysz w żadną redukcję sił strategicznych, podobnie jak i ja nie wierzę. Spuściłbyś najchętniej bombę atomową na Rosjan w Afganistanie, gdybyś miał taką możliwość. Znam ciebie od tylu lat. Więc jak teraz możesz stać tu przede mną, mówić, że chcesz wycofać Cruisy z Wielkiej Brytanii i kazać mi wierzyć, że jesteś zdolny nadal sprawować swoje rządy, z honorem, w imieniu narodu i dla narodu?

— Honor? — zapytał Marshall niepewnie, jakby nie mógł przypomnieć sobie, co to słowo oznacza. Odszedł od Tytusa i usiadł ciężko za swym biurkiem. — Honor jest rze-

czą rzadką w dzisiejszych czasach, Tytusie. Szczególnie gdy musisz spoglądać na świat z samego szczytu.

— Nie chciałem tego robić — powiedział Tytus. — Nie chciałem ruszać tej Nevada. Brudna gra nie jest zabawą, którą bym szczególnie uwielbiał. Ale RINC to zbyt wielkie ryzyko dla narodu, Marshall, a ty na dodatek grasz przy tym niekonsekwentnie i — spójrzmy prawdzie w oczy — głupio, jak na Prezydenta USA.

— Głupio?

— Czy nie uważasz za rzecz głupią naruszanie przez Prezydenta jednej z najważniejszych obietnic wyborczych? Czy nie uważasz za głupie i dziwne tych szczególnych, perwersyjnych upodobań seksualnych? Czy wreszcie nie jest głupotą, że próbowałeś zgłodzić własnego Sekretarza Stanu?

Marshall uniósł głowę.

— Myślisz, że miałem cokolwiek wspólnego z tą bombą? Tytus, czy ty przypuszczasz, że rozkazałem cię zabić?

— Ktoś to zrobił, Marshall, a ty jesteś pierwszym podejrzanym na mojej liście. Pamiętam dobrze, co się stało z Fredem Cogginsem w 1976 roku, gdy próbował wymanewrować cię przy Asquehamna Power Project, i ciągle przekonany jestem, że maczałeś swoje paluchy w sprawie Sybil Coles.

— Jesteś szalony, Tytus, czy wiesz o tym? Może ja jestem głupi, ale ty z pewnością szalony!

Tytus uśmiechnął się.

— W każdym razie, Marshall, zrobisz to, co ci powiem. Zamkniesz RINC I w najciemniejszej szufladzie, a o RINC II w ogóle zapomnisz. Czy rozumiesz mnie dosyć wyraźnie? W przeciwnym wypadku kasety wideo trafią w takie ręce, które cię zniszczą w jednej chwili, a dziewczyna z fanfarami objawi się w telewizji i w gazetach. Czy wyobrażasz sobie spotkanie twarzą w twarz z Margaret Thatcher po tym, jak publicznie zostanie ci udowodnione twoje zboczenie?

— Ja... Tytus, ja chciałbym to wszystko przemyśleć przez dzień lub dwa — powiedział Marshall. Jego głos pełen był rezygnacji. — Daj mi trochę czasu.

— Żadnego czasu, Marshall. Odpowiadaj: tak lub nie i to w tej chwili.

Marshall bębnił nerwowo palcami po biurku.

— To nie ja chciałem cię zabić w tym samochodzie, chciałbym żebyś w to uwierzył.

— Marshall, ja czekam na odpowiedź.

Marshall Roberts niespodziewanie wałnął obiema rękami w bibularz. Jego czoło zaczerwieniło się od ogarniającej go złości i frustracji.

— Nie mogę ci odpowiedzieć, na miłość boską — krzyknął. — Nie mogę zatrzymać RINC dla nikogo i z żadnego powodu. One już są opóźnione. Mój Boże, Tytus, czy nie rozumiesz tego, co chcę ci powiedzieć? Mnie nie wolno!

Tytus poczuł nagle ogarniającą go od stóp do czubka głowy niepewność. Ostatni raz poczuł się tak na froncie w Nam. Zmarszczył czoło i odezwał się do Marshalla ochrypłym ze zdenerwowania głosem.

— Tobie nie wolno? Czy ja dobrze słyszę? Czyż nie jesteś Prezydentem Stanów Zjednoczonych?

Marshall rzucił się z rezygnacją na oparcie krzesła.

— Nie mogę powiedzieć ci niczego więcej, Tytus. I tak usłyszałeś już zbyt dużo. Ale uwierz mi, jeśli będziesz próbował opóźnić lub zatrzymać te rozmowy, wykopiesz bardzo wiele grobów, nie tylko swój.

— Czy chcesz mnie przestraszyć? Szantażujesz mnie? Grozisz mi?

— Jedynym szantażem w tym pokoju jest ten, który zastosowałeś wobec mnie. A moją groźbą wobec ciebie jest wizja Stanów Zjednoczonych, rozpadających się jak domek z kart.

— Do cholery, o czym ty mówisz? Co to ma znaczyć? Stany rozpadające się jak domek z kart? Niby dlaczego? Na Boga, Marshall mów z sensem.

Marshall potrząsnął przecząco głową.

— Musisz po prostu uwierzyć w to, co ci mówię. Wiesz, że nigdy nie byłem człowiekiem błagającym o litość i jeśli teraz proszę cię o to, abyś wycofał się z gry, to nie dlatego, aby ratować swoją własną skórę. Jestem gotów ponieść konsekwencje tego, co zrobiłem w polityce i w życiu... seksualnym, gdy nadejdzie czas. Ale nie teraz, Tytus. Proszę cię, nie teraz. Jeśli zatrzymamy RINC II, jeśli zmusisz mnie do zrezygnowania z prezydentury z powodów, no, moralnych, wtedy, uwierz mi, zwali się na twoje ramiona takie brzemie, którego przenigdy nie będziesz w stanie unieść.

Tytus milczał. Nigdy nie widział Marshalla takiego, jak dzisiaj. A widział go już wstrząśniętego, uwodzicielskiego, żartującego i wesołego. Widział go, gdy mu schlebiano i rugano go. Ale nigdy nie widział go proszącego. Nie widział jeszcze u niego takich wybuchów złości i takiego strachu w oczach. Nigdy nie patrzył w jego oczy niespokojnie rozbiegane i rozszerzone jak u przerażonej ryby, zdejmowanej z haczyka. Nie wiedział, co robić: czy nalegać na Marshalla, aby definitywnie, w tej chwili podjął decyzję o skończeniu z RINC II, czy jednak dać mu trochę czasu, w nadziei że dzięki temu uzyska trochę więcej wyjaśnień. Problem polegał na tym, że decyzja o daniu czasu Marshallowi zawierała czysto praktyczne ryzyko. W ciągu doby lub nawet szybciej Marshall mógł wysledzić Colleen Petley i definitywnie ją uciszyć. Doba wystarczyłaby Marshallowi, aby spowodować jakiś politycznie kłopotliwy incydent w dowolnym zakątku świata — aby ogłosić na przykład, że Tytus w sekrecie przekazywał amerykańską broń do Ekwadoru i zniszczyć go jako polityka. Doba wystarczyłaby mu wreszcie do tego, aby powtórzyć numer z bombą pod samochodem, który nie powiódł się w Zachodniej Wirginii, tym razem skutecznie. Po długim namyśle Tytus stwierdził więc:

— Masz godzinę. To wszystko, co ci mogę ofiarować. Zatelefonujesz do mnie za godzinę do Departamentu Stanu i powiesz mi, co zdecydowałeś. Możesz działać w taki sposób, aby twój autorytet jak najmniej ucierpiał. Powiedzmy, wynajdziesz jakieś wiarygodne powody, uzasadniające opóźnienie RINC II o rok, czy coś w tym rodzaju, potem nikt już nie będzie tego pamiętał. Ale jeśli nie zadzwonisz, lub zadzwonisz i powiesz „nie”, zacznę cię niszczyć. Słyszysz mnie? Wobec tego, co z tobą zrobię, potomni uznają Warrena Hardinga niemalże za świętego. Ja nie żartuję.

Marshall nic nie powiedział. Ale gdy Tytus zapinał guziki i przygotowywał się do opuszczenia pokoju, spojrzał na zaciśnięte pięści prezydenta, drżące tak mocno jakby miały za chwilę eksplodować. Skojarzyły się Tytusowi z granatami.

Rozdział dziewiętnasty

Porucznik Berridge siedział właśnie za swym biurkiem, popijając jogurt grejpfrutowy, gdy wpadł sierżant Corso i oznajmił mu, że zidentyfikowano samochód Skelletta, przed jakimś domem na Palmeroft Drive w Tempe.

— Kto go zidentyfikował? — zapytał Berridge. — O cholera — zaklął, gdyż sięgając po marynarkę rozlał pół kartonu jogurtu na papiery, którymi miał zavalone biurko.

— Wydział straży pożarnej w Tempe. Wezwano ich do pożaru jakąś godzinę temu. Podejrzany pożar — ktoś podpalił zasłony w sypialni, w budynku przed którym stoi samochód.

— Dobra, jadę tam natychmiast. Gdzie, do diabła, jest Norris?

— W szpitalu, jego staruszka właśnie urodziła bliźniaki.

— Dobrze, wezmę więc Pulaskiego. Potrzebuję kogoś, kto naprawdę umie prowadzić samochód.

Po czterech minutach porucznik Berridge i detektyw Pulaski wyjeżdżali z policyjnego garażu brązowym Chevroletem, z wyjącą syreną i czerwonym światłem, migającym na dachu. Pulaski prowadził z jeżącą włosy na głowie precyzją, a skrzyżowanie 7 Ulicy z Maricopa Freeway wziął na kontrolowanym poślizgu jak najdoskonalszy rajdowiec. Wyprzedził po prawej stronie wielką chłodnię i w ostatniej chwili wyskoczył przed jej maskę, unikając zderzenia z poruszającą się wolno zewnętrznym pasem potężną ciężarówką.

— Przypuszczam, że to doskonały sposób wyprzedzania ciężkich pojazdów — zauważył porucznik Berridge, starając się nie zdradzić drżenia w swym głosie. Stopy wciśkał w podłogę tak mocno, że trzęsły mu się kolana.

— A są jakieś inne? — zapytał Pulaski.

Pulaski był być może doskonałym kierowcą, ale jego znajomość przedmieść Phoenix pozostawiała wiele do życzenia. Dojechał szczęśliwie do Palm Road, lecz później stracił cenne minuty, krążąc wokół Loma Vista Road, Broadmoir Drive, El Parque Drive i Del Rio Terrace, mijając po kilka razy te same małe, zatopione w zieleni domki i pozosta-

wiając za sobą smród spalin w gorączce upalnego lata. W końcu jednak znalazł Palmercroft Drive i wcisnął hamulec do dechy, zatrzymując się z piskiem opon przed trzema pojazdami straży pożarnej i czterema wozami patrolowymi z wydziału policji w Tempe. Porucznik Berridge niepewnie wygramolił się z samochodu i przeszedł na drugą stronę ulicy. Sprawiał wrażenie człowieka, który przed chwilą cudem uniknął śmiertelnego wypadku.

— Poruczniku — powiedział Bill Hagerty, szef policji w Tempe, po przywitaniu Berridge’a — tutaj właśnie się ukryli, numer 1226.

Dom numer 1226 przy Palcroft Drive stał na jednej z większych parcel w okolicy. Był jednopiętrowy, z dachem pokrytym deskami. Gęsty żywopłot otaczał budynek ze wszystkich stron. Na zapuszczonym podjeździe parkował Cadillac Skelletta, jedną oponę miał przedziurawioną. Na piętrze budynku z otwartego okna sypialni zwisały nadpalone zasłony. Szyby, framugi i mur nad oknem poczerniały były od sadzy.

— Czy oni są ciągle w środku? — zapytał Berridge.

— Oczywiście. Troje: dziewczyna i dwóch mężczyzn.

— Ta dziewczyna to prawdopodobnie Kathy Forbes z „The Flag”.

— Próbowaliśmy z nimi rozmawiać — stwierdził Hagerty. — Ale jak dotąd bezskutecznie. Słuchawkę telefonu mają odwieszoną, a wszystko co do nich mówiłem przez tubę — zignorowali.

— A co pan myśli o tym pożarze?

— Jeśli ta dziewczyna do rzeczywiście Kathy Forbes, prawdopodobnie sama wznieciła ogień, aby zwrócić uwagę na ten budynek. Miała szczęście, że strażacy uporali się z tym szybko z zewnątrz. Inaczej upiekłaby się żywcem. Cała trójka zresztą mogła się upiec.

— Czy widzieliście już ich?

— Nie, ale strażacy widzieli. Kiedy wyłamali drzwi, próbując dostać się do środka, aby zdusić płomienie, dwóch mężczyzn czekało na nich w hallu. Jeden potężny, a drugi średniego wzrostu, obaj uzbrojeni. Oddali trzy strzały, sądzą że z broni kalibru 45. W tej sytuacji szef strażaków rozkazał swoim ludziom wycofać się i trudno mieć do niego o to pretensje.

— Kto widział dziewczynę?

— O, ten strażak, tam stoi. Widział ją przez chwilę w oknie sypialni, zanim dym stał się zbyt gęsty.

— Nikt więcej nie widział jej od tego czasu?

— Uhm.

— Może więc już nie żyje?

— Możliwe, trudno cokolwiek powiedzieć.

Podszedł do nich jeden z policjantów.

— Szefie, panie poruczniku, właśnie skończyliśmy przepytawać tę parę staruszków którzy mieszkają dokładnie naprzeciwko 1226. Przysięgają, że widzieli ostatniej nocy trzech mężczyzn wchodzących do domu numer 1226. Trzech mężczyzn i dwie dziewczyny. Z początku trochę wstydzieli się o tym mówić, ale później przyznali że większość czasu spędzają przy frontowym oknie i wiedzą praktycznie wszystko, co dzieje się w sąsiedztwie. Staruszka jest po prostu przykuta do wózka inwalidzkiego. Są całkowicie pewni co do tych trzech mężczyzn i dwóch dziewczyn ostatniej nocy. Mówią, że jedna z dziewczyn opuściła dom dzisiaj, wcześniej rano i nie widzieli, aby do tej pory wróciła.

— Dzięki Bogu za wścibskich sąsiadów — mruknął szef Hagerty.

— Ten trzeci facet to prawdopodobnie Skellett — stwierdził porucznik Berridge.
— Czy ktokolwiek kontaktował się z Narodową Agencją Bezpieczeństwa i próbował dowiedzieć się od nich, co jest, do diabła, grane?

— Telefonowałem jakieś pół godziny temu — powiedział szef Hagerty. — Jak dotąd ich reakcja na to wszystko jest co najmniej powściągliwa, żeby nie powiedzieć — żadna. Odpowiadają półsłówkami, powołując się na specjalne prerogatywy. Ten kraj udusi się niedługo w takim żargonie.

— Co pan zamierza w tej sytuacji? — zapytał Berridge.

Szef Hagerty chrząknął.

— Rozgrywać to powoli i spokojnie, oto co zamierzam. Nie widzę powodu, aby ruszać szturmem na budynek, niczym szarżująca kawaleria. Nie ma możliwości uwolnienia w ten sposób dziewczyny od śmiertelnego niebezpieczeństwa, o ile ona jeszcze żyje, oczywiście. Poczekamy, ci w środku podenerwują się, może sami wyjdą. Wiedzą, że nie mają najmniejszych szans na ucieczkę.

— Czy nie będzie panu przeszkadzało, jeżeli się tu trochę pokręcę?

— Skądże, proszę się czuć moim gościem. Posłałem po hot-dogi, jeśli jest pan głodny, poruczniku.

Przez resztę popołudnia, gdy gorące słońce wlokło się po niebie ku zachodowi, pili kawę za kawą, palili papierosy, stali beczynnymi, opierając się o policyjne samochody, a czasami rozmawiali o baseballu. Porucznik dużo opowiadał o szefie Ruse, ale nie zdradził się ani słowem swymi podejrzeniami, że zamordowanie go było niczym innym, jak tylko szybką i prostą drogą do wyeliminowania jego sprzeciwu wobec usunięcia ciała Margot Schneider z kostnicy w Phoenix. Oficjalne stanowisko, jak zażyczył sobie burmistrz Gardens, było takie, że Ruse prowadził szeroko zakrojone śledztwo przeciwko mafii w Arizonie i jego egzekucja „nosiła wszelkie znamiona zemsty w sycylijskim stylu”.

Szef Hagerty kazał porozstawiać mikrofony kierunkowe pod domem numer 1226 na Palmcroft, a policjanci w cywilu nieustannie czaili się wokół posiadłości, najbliżej jak mogli. Jeśli jednak w budynku odbywały się jakiekolwiek konwersacje, musiały się

one toczyć najcichszym szeptem. Żadna spośród osób znajdujących się w otoczonym budynku nie podjęła nawet najmniejszej próby wystawienia z niego choćby nosa. Dom z równym powodzeniem mógł być już pusty.

— Potrzebne mi będą generatory i reflektory — instruował szef Hagerty swoich ludzi, gdy zaczęły zapadać ciemności. Po chwili podszedł do porucznika Berridge'a i powiedział: — Jak pan widzi, to może potrwać bardzo długo. Jeśli pan zechce, może pan pojechać teraz do domu i wrócić później.

— O.K., ale poczekam jeszcze jakąś godzinę.

— Jak pan uważa.

Była dokładnie minuta po zachodzie słońca, godzina 18.42, gdy z otworu po wyłamanych drzwiach frontowych dobiegł policjantów krzyk mężczyzny.

— Hej tam! Wychodzę! Słyszycie mnie? Wychodzę i trzymam ręce w górze. Jestem nieuzbrojony!

Natychmiast na ulicy zaczęła się szalona bieranina. Policjanci powracali pędem na swoje stanowiska, kryjąc się i nurkując za samochodami, w biegu wyciągając i odbezpieczając broń. Szef Hagerty krzyknął aby zapalić reflektory i skupić je na drzwiach frontowych.

Niemal natychmiast niebiesko-białe światła halogenowych reflektorów wyłoniły z szarości sylwetkę mężczyzny w białej koszuli z podwiniętymi rękawami, z rękoma uniesionymi wysoko nad głową.

— Czy to jest Skellett? — szef Hagerty zapytał Berridge'a.

Porucznik potrząsnął głową.

— Nigdy w życiu nie widziałem tego faceta.

Mężczyzna wyszedł z budynku i stanął na ścieżce, w połowie drogi do wyjścia na ulicę, mrużąc oczy w potężnych strumieniach światła. Stał tam, jakby obawiał się jakiejś pułapki na swej dalszej drodze w kierunku policjantów. W końcu porucznik Berridge nie wytrzymał.

— Co z nim jest, do diabła? Dlaczego tam stoi? Szef Hagerty podniósł do ust swoją tubę i zażądał:

— Idź powoli do przodu jeszcze dziesięć kroków. Następnie połóż się na jezdni, twarzą w dół. Ręce i nogi masz rozrzucić tak szeroko, jak tylko możesz. Czy zrozumiałeś?

Z wahaniem, niezgrabnie, mężczyzna uczynił to, czego zażądał Hagerty. Gdy tylko położył się na asfalcie, dwaj policjanci, którzy wybiegli zza samochodu, chwycili go za nadgarstki i szybko, bez wielkich ceregieli, zawlekli go za barykadę z aut. Jeden z nich przyłożył mu lufę potężnego Pythona do głowy, a drugi błyskawicznie przeszu-kał, w poszukiwaniu jakiejś broni.

— Wygląda na czystego.

— O.K., zakujcie go w kajdanki.

Z wprawą wykręcili mu ręce do tyłu i nałożyli kajdanki, po czym podnieśli go z kolan na nogi i popychając i szarpiąc powlekli w kierunku okratowanej furgonetki do przewozu więźniów.

Szef Hagerty opuścił stanowisko za swoim samochodem i dołączył do policjantów, zajmujących się zatrzymanym mężczyzną. Porucznik Berridge podążył za nim, ale trzymał się o dwie, trzy stopy z tyłu. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że przebywa na terytorium Hagerty'ego i ten drobny gest policyjnej etykiety mógł mu dać więcej niż jakiegokolwiek inne zachowanie. Szef Ruse zawsze mu powtarzał: „Policjanci są cholernie bardziej terytorialnymi zwierzętami niż kojoty”.

Mężczyznę pchnięto na tylne drzwi furgonetki. Szef Hagerty zbliżył się do niego i stał przez chwilę z rękoma opartymi na biodrach, wpatrując się w niego uważnie. Mężczyzna był spocony, nieogolony i śmierdzał zagranicznymi papierosami. Żrenice miał rozszerzone, jakby znajdował się pod wpływem narkotyków.

— Będziesz odpowiadał na pytania? — odezwał się Hagerty.

— To nie ma sensu — powiedział mężczyzna, akcentując ostatnie słowo.

— O... tak ci się wydaje? Troje czy czworo z was siedzi zamkniętych w tamtym domu, grozicie bronią bogu ducha winnym strażakom i uważasz że nie ma sensu o tym rozmawiać? Jak się nazywasz?

— Andrej.

— Andrej? Co to za nazwisko? Jesteś obcokrajowcem, czy jak?

— Czech.

— Co takiego?

Porucznik Berridge wtrącił łagodnie.

— Szefie, myślę że powiedział „Czech”. To znaczy — z Czechosłowacji.

Szef Hagerty wyglądał na zdezorientowanego.

— Czy to prawda? — zapytał. — Jesteś Czechosłowakiem? Mężczyzna pokiwał głową twierdząco.

— Naturalizowanym Amerykaninem, czy jak?

— Nie muszę ci tego mówić.

— Ty dupku pierdolony. W budzie, którą zajęliście, siedzi dwóch twoich kumpli, razem z porwaną dziewczyną. Jeśli nie zaczniesz mówić, i to szybko mówić, sam nawiniesz się na drut telefoniczny.

Mężczyzna spoglądał niepewnie na policjantów, nie zrozumiałwszy ostatniego zdania.

— Czy wiesz, co oznacza „drut telefoniczny”? — zapytał porucznik Berridge tak łagodnie, jak tylko potrafił. Mężczyzna zaprzeczył ruchem głowy.

— Dożywotnie więzienie, dupku — wyjaśnił szef Hagerty. — Wiezienie do końca twojego zasranego życia.

W tym momencie niespodziewanie dobiegł z domu odgłos strzałów z broni automatycznej. Kula wielkiego kalibru roztrzaskała przednią szybę furgonetki i utkwiała gdzieś wewnątrz wozu. Światło reflektorów najpierw osłabło, a później zgasło prawie zupełnie. Po celnych strzałach z budynku pozostał już tylko jeden sprawny. Po chwili dezorientacji zaczęli strzelać także policjanci, ukryci za samochodem. Ktoś krzyknął:

— Cholera, uciekają.

To co nastąpiło za chwilę, powracać będzie do porucznika Berridge'a w najgorszych snach do końca jego dni. Mężczyzna w białej koszuli niespodziewanie wyrwał się dwóm przytrzymującym go policjantom i wałnął szefa Hagerty'ego głową prosto w czoło. Hagerty padł na ziemię bez czucia, jak człowiek który otrzymał uderzenie pałką do baseballa. Wtedy mężczyzna wykonał piłkarski zwód i nie pozwolił się schwytać rzucającemu się na niego Berridge'owi. Wybiegł następnie przed front furgonetki, ciągle z rękami zakutymi w kajdanki na plecach. Jeden z policjantów naciskał już prawie spust rewolweru, gdy Berridge krzyknął:

— Nie strzelaj!

Mężczyzna doskonale wyliczył czas swej ucieczki. Akurat gdy Skellett i Walsh ukazali się we frontowych drzwiach budynku, obaj z automatycznymi koltami skierowanymi w stronę policjantów, przebiegał Palmcroft Drive po długiej przekątnej, znalazł się na linii strzału, pomiędzy Skellettem i Walshem a samochodami i — eksplodował.

Porucznik Berridge w całkowitym zdumieniu gapił się na głowę mężczyzny, wyrzuconą dziesięć stóp w górę. Jego ręce poleciały w przeciwnych kierunkach, a wnętrzności pofrunęły w górę jeszcze wyżej od głowy, powracając po chwili ku ziemi powolnym, spiralnym lotem w dół. Mięso, krew i fragmenty odzieży opadały na policjantów niczym deszcz. Lecz po chwili odgłosy opadających z góry ludzkich szczątków skończyły się i nie było już nic tylko dym i zapach spalonego mięsa.

W zamieszaniu Skellett i Walsh pobiegli w kierunku sąsiedniej posesji, wspięli się na płot i zniknęli. Żaden z policjantów nawet nie skierował rewolweru w ich stronę. Byli zbyt zajęci kontemplowaniem horroru, który rozegrał się na ich oczach, strząsaniem z twarzy i mundurów resztek tego, co przed chwilą było człowiekiem w białej koszuli.

Szef Hagerty, ciągle leżący na ziemi, popatrzył rozszerzonymi oczami na Berridge'a.

— Jezu, ten facet wybuchnął — wyszeptał. — Kurwa mać, po prostu wybuchnął.

Porucznik Berridge usiadł na krawężniku, wyciągnął z kieszeni chusteczkę i wolnymi ruchami zaczął ścierać krew z twarzy i rąk. Był tak wstrząśnięty, że nie mógł wydobyć z siebie słowa. Hagerty podniósł się niepewnie z ziemi i usiadł przygarbiony obok Berridge'a, masując delikatnie potężnego guza za czołem.

— Musiał być chodzącą bombą, Jezusie, chodzącą bombą. Przecież przeszukaliśmy go dokładnie, był czysty, ale miał to przy sobie, mój Boże, w sobie. On to musiał mieć w dupie! Boże, kto by o tym pomyślał?

— Wyobraża pan sobie, jakim był fanatykiem? — zapytał porucznik Berridge.
— Przecież wypchał sobie materiałem wybuchowym cały swój cholerny odbył. Mało, musiał tam również włożyć zapalnik czasowy.

— Jezu — jęknął tylko Hagerty.

Podszedł do nich jeden z policjantów, blady jak trup w słabym świetle lamp halogenowych. Mundur upstrzony miał czerwonymi plamami.

— Przykro mi, sir, ale ta dwójka uciekła. Przeskoczyli przez płot, a potem, jak nam się zdaje, zniknęli w kanałach, lecz nie jesteśmy pewni. Nyman sądzi, że widział ich przez chwilę, ale nie daje głowy.

Szef Hagerty zdołał powstać na nogi. Jeszcze przez chwilę chwiał się niepewnie.

— Tym razem nie wyciągnę konsekwencji — stwierdził. Później niespodziewanie solidnie czknał i położył rękę na ustach.

— Czy dobrze się pan czuje? — zapytał go porucznik Berridge.

— Oczywiście. Tylko ten guz na głowie... Spanier, weź wąż gumowy i polej wodą to cholerne ścierwo na ulicy.

— Tak, szefie. Sir?

— No, co jeszcze?

— Czy jest pan pewien, że mam to zrobić?

— Jasne. Spanier, zrób to. Weź Monteza do pomocy. Pracował kiedyś w rzeźni, nie będzie miał więc obiekcji.

— Pozostaje jeszcze ta dziewczyna — powiedział porucznik Berridge. — Lepiej chodźmy i rozejrzyjmy się po budynku.

— A jeśli i ona jest bombą-pułapką?

— Czy pan żartuje?

— Niech pan spojrzy na to całe gówno na jezdni i powie mi, czy to nie jest przypadkiem żart.

— Chciałbym, aby był. Ale teraz chodźmy zobaczyć, co stało się z dziewczyną.

Znaleźli Kathy Forbes w salonie, związaną i zakneblowaną, ubraną tylko w pończochy i pas do podwiązek. Była posiniaczona, a jej piersi upstrzone były mnóstwem małych szkarłatnych punkcików, lecz poza tym nic jej nie było. Porucznik Berridge ukląkł przy niej, pozwalając jednemu z policjantów porozcinać jej więzy, a gdy tylko została oswobodzona, zapytał:

— To był Skellett, prawda? Uciekł, niestety.

— Uciekł? — wyszeptała Kathy. — Słyszałam strzały, myślałam że go zabiliście.

Porucznik Berridge potrząsnął głową.

— Użył na nas przynęty. Tego faceta w białej koszuli. Czy słyszałaś ten potężny huk przed kilkoma minutami? To był on. Wysadził się w powietrze.

— Był Czechem — powiedział Kathy, jakby miało to jakiekolwiek znaczenie. — Po-

wiedział mi dziś rano, że pochodzi z Pardubic. Mówił, że stracił już swych braci. Czy to nie jest okropne?

— Jest, szczególnie teraz. Właśnie sprzątają go z ulicy wodą z ogrodowego węża.

Któryś z policjantów przyniósł Kathy prześcieradło z sypialni, a ona, trzęsąc się, dokładnie się nim okryła. Kiedy wyszli z nią z domu, na zewnątrz kłębiła się już chmara reporterów, kamerzystów z telewizji i świecących prosto w oczy reflektorów. Porucznik Berridge musiał torować Kathy drogę do ambulansu.

— Proszę o nic teraz nie pytać — nalegał. — Ta dziewczyna jest ranna. Jak ciężko? Dowiecie się jutro. Teraz rozsuńcie się.

W ambulansie Kathy od razu się położyła, nasłuchując krzyków i przekleństw z zewnątrz, przecinającego do szpiku kości wycia syren i nagle zaczęła trząść się jak ktoś, kto ujrzał niespodziewanie swój własny grób. Berridge wpełchnął się do ambulansu zaraz za nią i powiedział:

— Pojadę z tobą do szpitala, dobrze? Muszę zadać ci kilka pytań.

— W porządku — powiedziała głucho. Zdawała sobie sprawę, że za chwilę zaśnie. Przypuszczała, że to z powodu szoku — po dużym szoku zawsze nadchodzi sen.

— Czego chciałbyś się dowiedzieć?

— To ty podpaliłaś zasłony w sypialni, zgadza się?

— Tak. Byłam zdesperowana. Myślałam, że znowu zaczną mnie torturować.

— Oni cię torturowali?

Pokiwała głową. Ambulans ruszył i czuła jakieś nierealne huśtanie auta w przód i w tył, podczas gdy wyjechali z Palmcroft Drive w Terrace Road, a później w Lona Vista.

— Wbijali igły w moje piersi. Skellett wbijał igły w moje piersi. Wypytywali mnie o Margot Schneider.

— Czy wiesz, że oni zabili szefa Ruse? To znaczy, teraz mam pewność, że to oni.

Kathy znów kiwnęła potakująco. Z trudem powstrzymywała się przed zamknięciem oczu.

— Byli przestraszeni, wiesz? Byli bardzo niespokojni, czy nie odkryłam ich tajemnicy. Chcieli wpełchnąć we mnie Monster Gila. Czy wierzysz mi? Mieli tę jaszczurkę i chcieli, aby weszła we mnie, do środka.

— Kathy — powiedział Berridge. — Jaka to tajemnica?

— To dlatego zabili szefa Ruse, rozumiesz? Byli przerażeni na myśli, że się czegoś dowie. Byli przerażeni, że może się domysleć prawdy.

— Ale jaka jest ta prawda? Co ich tak bardzo przeraża? Kathy popatrzyła na niego szparkami oczu.

— Nie wiem. Nie mogę sobie przypomnieć.

— Kathy, musisz mi powiedzieć!

— Nie mogę myśleć, poruczniku. Nie mogę sobie przypomnieć.

— Na Boga, dziewczyno, to jest dochodzenie w sprawie zabójstwa. Podwójnego zabójstwa, plus tego, nie wiem jak to nazwać, że facet załadował sobie odbyt materiałem wybuchowym i pokrył swoim ścierwem pół miasta!

Na twarzy Kathy pojawił się słaby uśmiech. Po chwili już głęboko spała.

Rozdział dwudziesty

O piątej nad ranem, kiedy jasny księżyc rozkwitał na niebie, Daniel gwałtownie usiadł na łóżku i zawołał:

— Co to było, do cholery? słyszałaś ten hałas?

Cara odruchowo przytuliła się do niego i powiedziała.

— Jaki hałas? Nie słyszałam żadnego hałasu.

— A ja słyszałem. Jakby ktoś kręcił się tu dookoła.

— To pewnie psy. Albo kojoty. Lepiej połóż się z powrotem.

Daniel wyskoczył jednak z łóżka i podszedł do okna. Na zewnątrz, na zalanym księżycowym światłem parkingu, zobaczył dwóch obdartych włóczęgów, myszkujących w blaszanym pojemniku na odpadki, który stary Tremlett, jego sąsiad, wystawił na zewnątrz dla śmieciarzy. Obserwował przez chwilę, jak szarpią się i walczą o resztki jedzenia, a później wrócił do łóżka i wsunął się pod cienką kołdrę.

— Psy? — zapytała Cara, obejmując go ręką i przyciskając swoje nagie piersi do jego boku.

— Tak, psy. Chyba nie powinienem być tak cholernie nerwowy.

— Może zrobić ci kawy? A może chcesz szklankę wody sodowej?

Odwrócił się do niej i pocałował ją w czoło.

— Nie, dziękuję ci Caro. I tak wstanę za niecałą godzinę.

— Otworzysz dzisiaj bar?

— A dlaczego nie? Albo wiedzą, kim jestem, albo nie. Nie mam zamiaru kryć się, ani nigdzie uciekać. Nie mogę sobie na to pozwolić. Musiałoby mi się lepiej wieść, abym mógł zdecydować się znów na wędrowkę. To jest kosztowne, szczególnie kiedy trzeba ze sobą zabrać małą dziewczynkę i przyjaciółkę taką jak ty.

Cara milczała przez moment, gładząc jego ramię. Wreszcie powiedziała:

— Zabili Willy'ego. Mogą zabić i ciebie.

— Zabili go dlatego, że był bliski wyjawienia wszem i wobec największego od lat skandalu w naszej armii. Tak to wygląda. Ktoś dostał kontrakt na wykonanie pocisków

i systemów naprowadzających i wykonał robotę tak, że wszystko można rozbić o kant dupy. Czy ty zdajesz sobie sprawę, jakie pieniądze zostały w to włożone? Miliardy, setki miliardów. A mimo to nie jesteśmy chronieni przed żadnym atakiem wroga.

— Daniel, oni muszą wiedzieć, że byłeś przyjacielem Willy'ego. I myślę że wystarczy im, że zidentyfikują Ronalda, aby dojść kto był z nim w bazie. Przecież nawet Pete Burns może im podsunąć na myśl twoją osobę, nie zdając sobie sprawy, na co ciebie naraża.

— Czego się więc po mnie spodziewasz? Że zapakuję swoje rzeczy i wskoczę do pierwszego lepszego autobusu? Na wschód? Na zachód? Niewiele mi pozostało, gdy rozpadło się moje małżeństwo. Tylko to, czego dorobiłem się tutaj. Nie mogę teraz tego tak sobie po prostu pozostawić. Nie potrafię.

Cara podparła się na łokciu i patrzyła na niego z bardzo bliska. Światło księżyca podkreślało delikatną linię jej bioder i krągłość pośladków. Kupiła wczoraj jakieś indiańskie perfumy w sklepie Nawajów, na drodze do Tortilla Flat i pachniała teraz zapachem świeżego kaktusa. Pocałowała go. A potem jeszcze raz, i jeszcze, i jeszcze.

— Jesteś bardzo odważny — wyszeptała.

— Odważny? Cóż, może. Tak naprawdę, to nie znam smaku odwagi i nie wiem, co to znaczy, mimo że uważasz mnie za odważnego. Pozostanę tutaj i to być może ma coś wspólnego z odwagą. Jednak nie zamierzam już dowiadywać się w jaki sposób zabity został Willy, kto go zabił i komu tak naprawdę, bezpośrednio się naraził.

— Kochaj mnie — powiedziała.

Kochali się długo, powoli, a tymczasem księżyc zaglądał przez górną część okna do sypialni. Daniel poruszał się w niej rytmicznie, zanurzając się powoli, a później coraz szybciej i szybciej pomiędzy miedzianymi lokami jej włosów łonowych. Gładził i ścisnął dłońmi jej piersi, aż różowe sutki stwardniały pod jego palcami, niczym guziki. Wstrząsnął nią orgazm na moment przed nim, a jej drżenie doprowadziło i jego do wytrysku. Później leżeli obok siebie w ciszy, wpatrując się w siebie nawzajem z przyjaźnią, czułością i zadowoleniem z dokonanego przed chwilą szczerego, prostego i niemal perfekcyjnego aktu miłości.

— Czy chcesz, żebym odeszła? — zapytała Cara po długiej przerwie.

— Co? Skąd ci to przyszło do głowy?

— Kiedyś taki czas nadejdzie, czy tego chcesz, czy nie.

Położył swe ręce na jej brzuchu, w taki sam sposób, jak położył je dawno temu na brzuchu Candii, gdy po raz pierwszy powiedziała mu, że jest w ciąży.

— Nie chcę, abyś mnie opuszczała. Nie teraz. A może nawet nigdy.

— Nigdy nie będę twoją żoną.

— Nie chcę, żebyś była moją żoną. Jak na razie, chcę abyś została.

Cara przybliżyła się do niego i położyła rękę na jego głowie.

— Jesteś dobrym człowiekiem, Danielu.

Musiał już zejść do kuchni, aby przygotować kawę. Susie zbiegła na dół i oświadczyła że jest gotowa, postawił więc przed nią talerz płatków i szklankę soku pomarańczowego. Włączył radio, nastawiając stację KSTM na falach ultrakrótkich i razem z odbiornikiem gwizdał „Joleen”. Cichym, niepewnym głosem, Susie odezwała się:

— Cara powiedziała mi, że Ronald nie żyje. Czy to prawda?

Daniel głośno przełknął ślinę. Chciał ukryć przed Susie swoje ogromne zdenerwowanie tym, co wydarzyło się wczoraj.

— Tak — powiedział. — Tak, to prawda. Ronald nie żyje.

— Będzie miał pogrzeb?

— Myślę, że tak.

— Pójdziemy tam? To znaczy na pogrzeb?

— Nie wiem, skarbie, to wszystko zależy.

— Zależy od czego?

— Nie wiem. Nie pytaj mnie. Wszystko zależy od... nie wiem, przeznaczenia.

— A czym jest przeznaczenie?

— Zapytaj Carę, dobrze? Nie wiem, co to takiego przeznaczenie. Myślę, że to jest coś takiego, co wyskakuje z muszli klozetowej, kiedy spodziewasz się akurat nowych dżinsów i kolorowej koszulki.

Spojrzała na niego, marszcząc czoło, ale nie zadawała więcej pytań na temat Ronalda. Znała swojego ojca wystarczająco długo, aby wiedzieć, kiedy jest zbyt wyprowadzony z równowagi, by z nią rozmawiać. Daniel skończył przygotowywać kawę, później objął Susie i pocałował ją w złotowłosą główkę.

— Dokończ swoje płatki, dobrze?

W tym momencie rozległ się z radia głos spikera.

— „Podajemy najnowsze wiadomości. Przede wszystkim najświeższe informacje z Tempe, gdzie wczoraj policja przez kilka godzin oblegała pewien budynek przy Palmcroft Drive. Jak się dowiadujemy, jeden z obłożonych terrorystów z całkowitym rozmysłem wysadził się w powietrze na oczach policjantów i obserwujących przebieg obławy okolicznych mieszkańców, w ten przerażający sposób odwracając uwagę policji od próby ucieczki, podjętej przez dwóch swoich współników przestępstwa, którym rzeczywiście udało się zbiec w wyniku ogólnego szoku, jaki nastąpił po wybuchu. Po wtargnięciu do budynku policja odnalazła w nim skrupowaną Kathy Forbes, reporterkę „Arizona Flag”, od pewnego czasu zajmującą się niemniej przerażającą historią, tajemnicą wdowy po pilocie Air Force, pani Margot Schneider, której wcześniej w tym tygodniu nieznanym sprawca obciął głowę w jej mieszkaniu na północnych przedmieściach Phoenix. Pani Forbes była torturowana przez porywaczy, oświadczyła nam jednak, że nie ma pojęcia, czego chcieli od niej terroryści, ani jakie informacje zamierzali z niej wydobyć”.

Daniel nastawił głośniej radio, ale na tym wiadomość z Palmcroft Drive skończyła

się. Spiker zaczął odczytywać komunikaty meteorologiczne. Zapowiadał kolejną burzę piaskową. Susie popatrzyła na Daniela i zapytała:

— Po prostu pękł? Jak balon?

Daniel potrząsnął głową.

— Nie, skarbie. Jak bomba. Zrobił ogromne bum, rozumiesz?

— Bang! — wykrzyknęła Susie i zgarnęła z talerza reszkę swych płatków.

Daniel zabrał na górę dwie kawy i usiadł na skraju łóżka. Cara początkowo leżała szczelnie zakopana w pościeli, ale wkrótce podniosła z poduszki zmierzwioną czuprynę i zapytała:

— No, co tam? Dlaczego jesteś taki zamyślony?

— Słuchałem właśnie porannych wiadomości. Ot tak, jednym uchem. Pamiętasz, rozmawialiśmy o kobiecie, którą ktoś zamordował, odcinając jej głowę.

— Tak, oczywiście. To był właśnie powód, dla którego...

— Właśnie. Otóż dziewczyna, która opisała tę historię w swojej gazecie, została porwana przez terrorystów, czy coś takiego, i najwidoczniej torturowali ją, aby wydostać z niej jakieś informacje. To właśnie słyszałem przed chwilą z radia.

— Gdzie to było?

— W Tempe. Parę mil stąd. Powiedzieli, że jeden z terrorystów wysadził się w powietrze, aby umożliwić ucieczkę pozostałym.

Cara popatrzyła na niego.

— To była ta sama reporterka?

— Tak powiedzieli. Pracowała nad sprawą Margot Schneider i porwali ją. Nie wiem, dlaczego jej nie zabili.

— I ktoś wysadził się w powietrze?

— Tak.

— Daniel — powiedziała Cara niespokojnym głosem. — Co się właściwie dzieje?

Daniel popił łyk kawy. Zbliżał się świt i księżyc zbladł gdzieś za zasłaniającą go już wysoką fasadą głównego hotelu Apache Junction.

— Nie wiem — powiedział. — Ale tej kobiecie odcięto głowę metalowym brzeszczotem, a nie mam wątpliwości że głowy Willy'ego nie obciął żaden wirnik śmigłowca. Śmigłowiec, mój Boże, rozwaliłby go. A jego szyja wyglądała jak przecięta, jak przepiłowana.

— Przestań — szepnęła Cara.

— Przecież to dwoje ludzi, zamordowanych w ten sam sposób wokół Phoenix w ciągu zaledwie kilku dni... Willy i Margot Schneider. I jeszcze reporterka, porwana przez terrorystów. Nie wiem, o co tu chodzi, ale wygląda na to, że wszystko jest ze sobą cholernie powiązane. Wiesz? Wydaje mi się, że jedna rzecz wywołała drugą, a Willy zginął, ponieważ dowiedział się czegoś, o czym nie powinien był się dowiedzieć i może ta Mar-

got Schneider umarła z tego samego powodu? Nie wiem.

— Cóż, może więc skontaktujesz się z tą dziewczyną, reporterką?

— I niby po co? Przecież mi nic nie pomoże.

— Zdaje się, że na filmach w podobnych sytuacjach handlują wiadomościami. Spróbuj i ty. Znasz prawdę o Willy'm, a ona nie zna, zaoferuj więc wymianę wiadomości.

— Czy przez całe życie wzorujesz się na tym, co zobaczysz w filmach?

— A co mam robić w mojej Południowej Karolinie?

Tego ranka Daniel otworzył bar jak zwykle i wkrótce na śniadanie przyszedł Pete Burns. Usiadł wygodnie na swoim stałym taborecie i nie odezwał się do Daniela ani słowem, z wyjątkiem krótkiej uwagi — „jaki to dzisiaj gorący dzień”. Dwa pojazdy Air Force przemknęły szybko za oknem, jeden z nich jechał z Davis Monthan, a drugi z Luke, później jakaś ciężarówka wojskowa parkowała przez dziesięć minut na zewnątrz, nie było jednak żadnego śladu żandarmerii.

— Widziałeś dzisiaj RONALDA? — zapytał Pete Burns, zbierając się do wyjścia i zakładając czapkę na głowę.

— RONALDA? Nie, jeszcze nie.

— Gdy go zobaczysz, powiedz mu że jego rozprawa została wyznaczona na dwudzieste go trzeciego w przyszłym miesiącu.

— Powiem mu. Jakie jest oskarżenie?

— Takie, że prowadził motocykl na autostradzie jak kopulujący lunatyk.

Daniel stanął w drzwiach, przyciskając ręce do swojego postrzępionego fartucha i obserwując jak Pete Burns wchodzi do policyjnego samochodu.

— Hej, Pete — zawołał. — Czy słyszałeś może o tym oblężeniu wczoraj w Tempe?

— Żebyś wiedział. Przez większość nocy musiałem sterczeć na stanowisku przy blokadzie szosy.

— Może wiesz coś więcej na ten temat?

Pete Burns włożył okulary przeciwsłoneczne i zapuścił silnik.

— Nie, nie wiem. A dlaczego pytasz?

— Przez zwykłą ciekawość.

— Nie pytaj więc mnie. Przeczytaj, jak się to nazywa, „Flag”. Uparta reporterka odmówiła policji odpowiedzi na stawiane jej pytania, za to zamierza opublikować całą opowieść w swojej cholernej gazecie, w odcinkach, uwierzyłbyś — w ciągu następnych trzech dni.

— Może to zrobić? Nie naruszy prawa, ani nic takiego?

— Jej prawnicy podobno twierdzą, że nie. Wydaje mi się, że policja w Phoenix ma fatalne dni. Najpierw szef Ruse, a teraz ta historia. Ale dziewczyna jest nieustępliwa. Szef Hagerty z Tempe mówi, że jest ostra jak włócznia i kolczasty drut jednocześnie.

— O.K., Pete. Dziękuję ci za wizytę i do jutra.

— Żebyś wiedział.

Pete Burns odjechał i Daniel wrócił do baru. Cara prawą ręką przygotowywała kawę dla dwóch, wyglądających na bardzo zmęczonych, kierowców ciężarówek, lewą wycierała jednocześnie kontuar.

— Powiedział ci coś? — zapytała.

— Niewiele. Dziewczyna z „Flag” odmówiła rozmów z policja. Zamiast tego zamierza opisać całą historię w swojej gazecie.

— Mówiłam ci, żebyś do niej zadzwonił. Zatelefonuj i sprawdź, czy pójdzie na wymianę informacji.

— Cóż, niech tak będzie.

Daniel wszedł po schodach do sypialni i padł na plecy na rozgrzebane łóżko. Ustawił sobie na piersiach aparat telefoniczny i wybrał numer biura „Arizona Flag” na East van Burden Street. Gazeta posiadała skomputeryzowaną centralę, a ta wydawała się dzisiaj niezwykle zajęta. Dopiero po pięciu minutach zwariowanej muzyki krótkich przerywanych sygnałów Daniel usłyszał głęboki, nosowy damski głos.

— „Flag”.

— Dzień dobry. Niech pani posłucha. Moje nazwisko brzmi Daniel Korvitz. Chciałbym rozmawiać z dziewczyną, która zajmuje się sprawą Margot Schneider. Wie pani, tej kobiety, której odcięto głowę.

— Chodzi panu o Kathy Forbes? Przykro mi, ale pani Forbes nie przyjmuje dzisiaj żadnych telefonów.

— Proszę jej powiedzieć, że to bardzo ważne. Mam dla niej kilka niezwykle istotnych informacji i chciałbym je z nią przedyskutować.

— Przykro mi, ale będzie pan musiał zadzwonić później.

— Proszę jej powiedzieć, że znam jeszcze jeden przypadek. Mam na myśli odcięcie głowy.

— Nie rozumiem.

— Odcięcie głowy, wie pani co to takiego odcięcie głowy?

— Mówi pan „odcięcie głowy”? Jeszcze jedno odcięcie głowy?

— Tak, właśnie tak powiedziałem.

— Proszę chwilę poczekać.

Znów długie oczekiwanie. Daniela kusilo, aby odłożyć słuchawkę, zapomnieć o tej całej strasznej i wstrętnej sprawie, zapakować co się da, zabrać Carę i Susie i spędzić resztę życia w Chicago albo w Denver, albo w Nowym Orleanie. Zapuścić brodę, włożyć przyciemnione okulary i nigdy nie rozmawiać o pociskach rakietowych, o Willy’m, o pozbawionych głów trupach, nigdy więcej. Lecz zanim odłożył słuchawkę, doczekał się wyraźnego, zdecydowanego głosu kobiety, pytającego:

— Pan Konvitz?

— Korvitz.

— Mówi Kathy Forbes. Powiedziano mi, że wie pan o jeszcze jednym zabójstwie.

— Tak, zgadza się.

— Czy poinformował pan policję?

— Nie. I jak dotąd nie zamierzam tego robić.

— Dlaczego nie? Proszę pana, czy to jakiś żart? Wystarczająco zmęczyły mnie już głupie dowcipy dziś rano.

— To nie żart, pani Forbes — zawołał Daniel. — Proszę mnie posłuchać przez minutę, tylko jedną minutę i pomyśleć nad tym, co mam do powiedzenia. Jeśli stwierdzi pani, że to żart, może pani w każdej chwili odłożyć słuchawkę i zapomnieć o tej rozmowie. Ale myślę, że pani tego nie zrobi. Ponieważ nikt nie mógłby wymyślać tego, co pani opowiem. Tak jak nikt nie wymyśliłby tego, co się pani przytrafiło.

Tak w rzeczywistości, to nie wiedział, co przydarzyło się Kathy Forbes, z wyjątkiem tego że porywacze ją torturowali. Ale to, co powiedział wystarczyło, aby zatrzymać ją przy telefonie, a następnie skupić jej uwagę na opowieści o Willy'm i jego teorii o bezużytecznych radarach, o Ronaldzie Reaganie Kinishba i o tym, co wydarzyło się w bazie Air Force w Williams. Uwierzyła mu. Wywnioskował to z tonu jej głosu, a później z tego, że opowiedziała mu krótko o swojej wczorajszej przygodzie w Tempe.

— Myśli pan, że chodzi tu o jakiś dobrze zakonspirowany spisek?

— Nie wiem. A jaka jest pani opinia?

— Spotkajmy się może i porozmawiajmy o tym dokładniej.

— W pani biurze?

— Nie, to by zbyt rzucało się w oczy. Rozumiem, że jest pan teraz w Apache Junction?

— Tak, ale gdyby pani przyjechała tutaj, zbyt wielu ludzi by to spostrzegło. To mała miejscowość i przybysze nie pozostają niezauważeni.

— Kawalek za Apache Junction jest chyba takie rancho filmowe, Apacheland, zdaje się. Spotkajmy się tam... powiedzmy o trzeciej. Proszę wziąć ze sobą egzemplarz „Flag”, po nim pana rozpoznam.

— O.K. — zgodził się Daniel. — O trzeciej w Apacheland, pod szubienicami.

Odłożył telefon i zszedł na dół. Susie zapinała właśnie sandały, przygotowując się do wymarszu do szkoły, a Cara pomagała pani Koperwas w przygotowywaniu porannych dań.

— Dlaczego jesteś dla mnie taka dobra, słoneczko? — Daniel zapytał Carę, starając się, aby jego słowa zabrzmiały wesoło. Pogłaskał ją po pośladkach, napiętych pod ciastnymi szortami i pocałował ją w ucho.

— Powinien mieć pan właśnie taką żonę — stwierdziła pani Koperwas, wskazując na Carę.

— Już raz miałem, i co z tego wyszło? — Przygotował sobie filiżankę kawy i popijał, stojąc przed oknem i wpatrując się w nie. Później odwrócił się i spojrzał na Carę. Stała z posępną miną, obrażona jego ostatnim stwierdzeniem.

— Przepraszani cię, Caro — rzekł. — Głupio mi się powiedziało. Nie powinienem odzywać się w ten sposób. To wszystko przez zmartwienia.

— Zadzwoń do niej?

Pokiwał głową.

— Umówiłem się z nią na trzecią w Apacheland.

— Co tam będziecie robić, bawić się w Indian i kowbojów? Daniel odstawił filiżankę i wzruszył ramionami.

— Chciałbym, aby to co się dzieje, było po prostu zabawą w Indian i kowbojów. Ale niestety — skalpy są prawdziwe i wisi nad nami realna groźba ich utracenia.

— Czy mogę pojechać z tobą? — zapytała Susie. — Całe wieki nie byłam już w Apacheland.

— Nie, ty musisz iść do szkoły — pouczył ją Daniel. — Czy myślisz, że chcę aby moja córka pozostała niedokształconym imbecylem?

— A kto to jest imbecylek?

— Nie wiesz? To właśnie ty.

Był to pracowity dzień w barze. Przewijało się nieustannie całe mnóstwo podróżnych i kierowców ciężarówek. Zatrzymywali się na piwo, jakieś szybkie dania i specjalność Daniela — trzywarstwowy Downhome Burger z sosem grzybowym. Daniel był bardzo spięty i mało rozmowny, jednak Cara sprawiła w końcu, że odzyskał mowę, przez dłuższy czas biegała pomiędzy stolikami w jednej ze swych najciaśniejszych koszulek i flirtowała z każdym kierowcą, który wchodził do środka.

— Jakie to piękne miejsce — zauważył wytatuowany kierowca cysterny z Idaho. — I obsługa wspaniała. Chyba smaczniejsza od burgerów.

W kuchni Daniel syknął do Cary.

— Przestaniesz kręcić tyłkiem jak idiotka? Zamkną mi bar za obrazę moralności.

— Zazdrosny? — roześmiała się.

Daniel wzruszył ramionami i wydał wargi. Cara stanęła na palcach i pocałowała go, najpierw w policzek, a później w usta.

— Nie musisz być zazdrosny — powiedziała. — Tak długo, jak długo jestem z tobą, jestem po prostu z tobą.

— To brzmi jak zła kowbojska piosenka — skomentował Daniel, a później przycisnął ją mocno do siebie i roześmiał się, mimo że wcale nie było mu do śmiechu. Miał przed oczyma obraz czerwonej papki, która była kiedyś twarzą Ronalda, na tle drucianego ogrodzenia, niczym jakaś odrażająca kompozycja Salvadora Dali.

Kwadrans przed trzecią Daniel pozostawił Carze opiekę nad barem i pojechał swym

poobijanym samochodem na wschód, w kierunku Apachelandu. Gorączka była tak wielka, że Superstition Mountains marszczyły się i falowały w perspektywie szosy, a urządzenie klimatyzacyjne starego auta syczało tylko beznadziejnie i bezskutecznie. Dwa odrzutowce U.S. Air Force przeleciały z grzmotem, przecinając prostopadle drogę i wtedy Daniel znów pomyślał Willy'm i o Ronaldzie, i przekonanie o jakimś ciemnym, wiszącym nad nimi fatum, wkradło się do głowy Daniela jeszcze natrętniej i głębiej niż do tej pory.

— To była jedna możliwość na milion — mówił Willy. — Jedna na milion. I ja ją wykryłem.

Boże, Willy, dlaczego?

Apacheland znajdował się na końcu półmilowej drogi pomiędzy sześćdziesiątą autostradą i przedgórzem Superstition Mountains. Samochód Daniela ciągnął za sobą długi ogon brunatnożółtego kurzu, gdy jechał drogą pomiędzy naroślami i skarłowaciałymi kaktusami, a zawieszenie pojazdu trzęsło się na każdej dziurze, każdej nierówności. Dojechawszy, skierował samochód na parking. Był na miejscu, w osiemnastowiecznym amerykańskim miasteczku, z bramą przypominającą wejście do starego fortu. Wszystko co tu wybudowano, było jedną wielką dekoracją, używaną do kręcenia westernów. Była to także turystyczna atrakcja dla każdego, kto chciałby przypomnieć sobie, jak wyglądało amerykańskie społeczeństwo przed zamknięciem się w klimatyzowanych domach i wynalezieniem ekspresów do kawy.

Główna ulica biegła lekko pod górę w kierunku biura szeryfa i wypożyczalni wierzchowców. Przed salonem dwóch aktorów, przebranych z dawnych poszukiwaczy złota, odgrywało pojedynki rewolwerowy dla małej grupki turystów i w ciszy popołudnia rozległy się strzały. Upadek jednego z aktorów w piasek nagrodzony został śmiechem i brawami. „Żyję w kraju, w którym śmierć wywołuje oklaski i wesołość”, pomyślał Daniel.

Czekała na niego, tak jak się umówili, pod szubienicami. Siedziała na wyblakłych do słońca stopniach, a cień dyndającego nad nią stryczka monotonnie przesuwiał się po jej twarzy. Miała potężne okulary przeciwsłoneczne, których szkła zabarwione były na kolor różowy. Ubrana była w przewiewną sukienkę z szerokimi rękawami, o trudnym do określenia, zgniłym kolorze. Aby uniknąć pomyłki, trzymała świeży numer „Flag”.

— Pan Korvitz? — zapytała, gdy się zbliżył.

— Cześć — powiedział Daniel, potrząsając jej ręką.

— Na wypadek, gdybyś nie był tym, za kogo się podawałeś, przyprowadziłam ze sobą przyjaciela — powiedziała Kathy. Ruchem głowy wskazała wypożyczalnię koni, przy której stał solidnie zbudowany mężczyzna. Ubrany był w ciężki, długi płaszcz w kratę, ręce trzymał w kieszeniach i monotonnie żuł gumę. — Mój wydawca nalegał, niestety.

Daniel miał trochę zdziwioną minę.

— To zrozumiałe — powiedział jednak.

— Czy powiesz mi dokładnie, kim jesteś i co wiesz?

— Cóż, tak na dobrą sprawę nie jestem nikim nadzwyczajnym, nie mam swojej roli w tym wszystkim. To znaczy, nie jestem wpłątany w żadne morderstwo, nie mam związków z przestępczym syndykatem, ani z terrorystami. Prowadzę bar w Apache Junction. Żyję z tego jako tako i wielki okropny świat zwykle daje mi święty spokój. Przynajmniej do wczoraj.

Jeszcze raz dokładnie opowiedział jej wszystko, co się wydarzyło, próbując odgrzebać z pamięci jak najwięcej technicznych szczegółów, które wyjaśniał mu Willy. Stał przy niej, z rękami założonymi na piersiach i mówił, mrużąc lewe oko, które oświetlało słońce, czubkiem buta rysując jakieś półkola na piasku. Kathy słuchała, nie przerywając, nie notując też jego słów. Kiedy skończył, zerknęła w kierunku swojego goryla, a później spojrzała na Daniela. Z wyrazu twarzy bardzo trudno było odczytać jej myśli.

— Czy wiesz, dlaczego odmówiłam jakichkolwiek odpowiedzi na pytania, która zadawała mi policja?

Daniel potrząsnął głową.

— Nasz miejscowy policjant mówi, że to dlatego, ponieważ chciałaś zatrzymać swoją historię wyłącznie dla „Flag”. Jeśli to nie jest przyczyną, to nie... nie wiem.

— Nie odpowiadałam na ich pytania, bo się bałam. Jeśli w te zbrodnie wmieszany jest agent Narodowej Agencji Bezpieczeństwa, dlaczego nie miałyby być wmieszana i policja? I gdybym powiedziała im co wiem, a także — co odgadłam...

— A co odgadłaś? Czy zechcesz mi opowiedzieć?

Kathy zdjęła okulary i ścisnęły je w ręce. Pod jednym okiem miała cienką czerwonawą szramę.

— Może zwariowałam — powiedziała. — Może to porwanie poprzestawiało mi w głowie. Wiesz, mówią że ofiary porwań po jakimś czasie zaczynają mieć przywidzenia. To jest coś związanego z wymuszonym zdaniem się na kogoś we wszystkich sprawach. Jedzenie, picie, kontakt ze światem, wszystkie te drobne sprawy fizjologiczne...

— Myślę, że nie byłaś jednak porwana na dość długo, aby mieć te przewidzenia.

— Nie — odpowiedziała Kathy. — Wiem o tym. Może cierpię na zwykłe zaburzenia paranoiczne. Może zaczynam być podobna do tych starszych dam, które myjąc ręce, zamykają korkiem umywalki, w obawie że jakiś kanalarz podgląda je przez rurę odpływową.

— Co w końcu zamierzasz mi powiedzieć? — zapytał Daniel. — Czy powiesz mi, że ma miejsce jakiś spisek? I że Narodowa Agencja Bezpieczeństwa, i policja, i siły powietrzne, są w to wmieszane? Czy tak? I boisz się mówić o tym w obawie, że ktoś stwierdzi, iż doznałaś pomieszania zmysłów?

Kathy spojrzała na Daniela i wzięła głęboki oddech. Z widocznym trudem broniła

się przed wypowiedzeniem słowa „tak”.

Daniel otarł rękawem pot z brody.

— Jeśli jest to dla ciebie jakimkolwiek pocieszeniem, czuję dokładnie to samo — powiedział jej. — Najpierw był Willy i jego pociski, później ten nieszczęsny Ronald, później Margot Schneider i... i — jak mu tam — Skellett, i szef policji zabity w Phoenix, i facet, który wysadził się w powietrze w Tempe. Normalnie moglibyśmy rozpatrywać to wszystko jako oddzielne, nie powiązane ze sobą wydarzenia. Jeszcze jeden z tych gwałtownych wybuchów przemocy, jakie zdarzają się czasami latem, kiedy robi się bardzo gorąco i ludziom miesza się w głowach. Ale sama widzisz, że te wszystkie wydarzenia logicznie się łączą. To jest bezsporne.

— Dzięki Bogu — powiedziała Kathy.

— Dzięki Bogu za co?

— Za to, że ktoś jeszcze, oprócz mnie, wierzy w spisek. konspirację. Korvitz, dzięki tobie zaczynam odyskiwać nadzieję, że jednak jestem przy zdrowych zmysłach.

— Poczekaj, może nie jesteś. Może i ja zwariowałem?

— Szaleni ludzie niezwykle rzadko zgadzają się między sobą. A poza tym, popatrz. Usiądź, spójrz i powiedz mi, co o tym myślisz. — Daniel usiadł obok niej na skraju platformy, na której znajdowała się szubienica. Otworzyła wypłowiały skórzany portfel i wyciągnęła z niego kserokopię fotografii z polaroidu.

— Jest to dość niewyraźne — powiedziała. — Chciałam zrobić kitka lepszych kopii, ale ludzie Skelletta włamali się do mojego mieszkania i skradli fotografię, zanim zdołałam to uczynić. Mimo wszystko rozpoznasz chyba faceta na zdjęciu.

— Oczywiście. To jest fotografia prezydenta Kennedy’ego. Ale niby dlaczego mieliby kraść ci zdjęcie Kennedy’ego? Przecież mogliby zdobyć coś takiego gdziekolwiek.

— Ale nie tę fotografię Kennedy’ego. Ta jest jedna, niepowtarzalna i jedyna w swoim rodzaju. Przedstawia prezydenta Kennedy’ego siedzącego przy basenie Marilyn Monroe w Brentwood, w Los Angeles, późnym latem 1961, a raczej, tak przypuszczam, wiosną 1962 roku.

— Tak, poczekaj, ale przecież wszyscy wiedzą, że Jack i Bobby Kennedy, obaj się z nią spotykali. To znaczy, nie jest to żadna tajemnica.

— O, tak. Ale, jak myślisz, gdzie znalazłem tę fotografię? Wśród papierów Margot Schneider, dzień po jej śmierci, zanim jeszcze do nich policja. Ciągłe nie wiem, dlaczego ją wtedy stamtąd zabrałam. Chyba wydała mi się bardzo dziwna w tym miejscu. Rozumiesz, jakim cudem wdowa po pilocie Air Force, mieszkająca w Phoenix, może posiadać oryginalne zdjęcie prezydenta Kennedy’ego? Myślę, że to mnie wtedy zainteresowało. Pomyślałam wówczas o jakiejś łzawej historii kobiety, która kiedyś na własne oczy w prywatnej sytuacji widziała prezydenta. Ale Skellett, niechcący, ostatecznie wybił mi to z głowy...

— Mów dalej — powiedział Daniel. — Jeżeli nie zaufasz teraz facetowi, który prowadzi mały bar, Daniel's Downhome Diner, w Apache Junction w Arizonie, czy będziesz mogła zaufać komukolwiek?

— Cóż — Kathy wzruszyła ramionami. — Chyba masz rację. Zaufam ci. Otóż kiedy wzięłam zdjęcie do domu, tego samego wieczoru kiedy je znalazłam, zaczęłam rozmyślać. Dlaczego Margot Schneider przechowywała to zdjęcie wśród swych prywatnych papierów? Nie możesz przeczytać tego na kserokopii, ale na oryginale napisane jest: „dla N. na pamiątkę od P”. Pomyślałam, że „P” może oznaczać Prezydenta, natomiast „N” to po prostu Norma Jean.

— Myślę, że to ma sens.

— Oczywiście... Ale dlaczego właśnie Margot Schneider przechowywała tę fotografię? Nie kolekcjonowała w mieszkaniu zdjęć prezydenta Kennedy'ego, ani nic z tych rzeczy, to było jedyne. Nie zbierała również żadnych rzeczy, związanych z kinem, słynnymi aktorami i tak dalej. Przy tej fotografii było tylko kilka recenzji z filmu „The Misfits”, ale nic ponadto. Mogła to być pamiątka jedyna w swoim rodzaju, coś co znalazła, albo coś, co kupiła w jednym z tych sklepów, które sprzedają suweniry po zapomnianych, dawnych kampaniach politycznych. Fotografie przecież trafiają do ludzkich rąk w najdziwniejszy sposób. Ale...

Daniel obdarzył Kathy przeciągłym, badawczym spojrzeniem. Zaczynał zdawać sobie sprawę, co zamierzała powiedzieć za chwilę i rozumiał, dlaczego się wahała. Najprostszy powód, dla którego Margot Schneider mogła posiadać to zdjęcie oznaczał że zapisana historia i polityczna logika od wielu lat postawione były na głowie.

W głosie Kathy pojawiła się lekka chrypka.

— Ale wtedy, oczywiście, pomyślałam o najprostszym rozwiązaniu. Margot Schneider posiadała fotografię, ponieważ była jej własnością, ponieważ otrzymała ją od prezydenta Kennedy'ego. Może sama ją wykonała.

— Przecież była wdową po lotniku — stwierdził Daniel, broniąc się jeszcze przed tą natrętną myślą. — Cóż więc robiłaby w Hollywood, wykonując zdjęcia prezydentowi Kennedy'emu?

— Rzeczywiście. Przypuszczalnie była wdową po lotniku z Air Force, normalną kobietą w średnim wieku, żyjącą z wojskowej renty, wiodącą zwyczajne, przeciętne życie. Ale nikt nie mógł odnaleźć jej karty ubezpieczenia społecznego, nigdzie nie znaleziono fotografii jej twarzy, nawet w kartotekach bazy Air Force w Luke, gdzie zatrudniony był ostatnio jej mąż. No i dla niezrozumiałego motywu została zamordowana przez nieznanego mężczyznę lub kobietę w najbardziej okrutny sposób, jaki można sobie wyobrazić. Nie została zgwałcona, nie okradziono jej. Natomiast usunięto jej głowę, tak że nikt nie mógł jej zidentyfikować. A po dwudziestu czterech godzinach Narodowa Agencja Bezpieczeństwa przysłała agenta, aby usunął resztę jej ciała — agenta posiadającego carte

blanche na zabijanie, kogokolwiek by musiał usunąć, by wydostać te zwłoki.

— Dlaczego jednak facet, który ją zabił, nie zabrał zwłok od razu? — Daniel chciał wiedzieć. — Przecież mógł wyrzucić je gdziekolwiek na pustyni i nikt nie natknąłby się na nie przez całe lata, jeśli nie w ogóle nigdy.

— Myślałam o tym również. I doszłam do wniosku, że gdyby Margot Schneider tak po prostu zniknęła bez śladu, policja podjęłaby bardziej intensywne poszukiwania w jej przeszłości: skąd pochodzi, kim są jej krewni i tym podobne — zamiast zaakceptować, że biedna pani Margot Schneider została zamordowana i tu oto leży nieżywa.

Kathy przerwała na chwilę, a potem kontynuowała.

— Była w średnim wieku, poprawnie, normalnie zbudowana. Policja znalazła włosy w umywalce w łazience, odpowiadające naturalnemu kolorowi jej włosów, zanim tak je rozjaśniła. Miała również małe znamię na prawym ramieniu.

— Czy naprawdę wierzysz, że to jest możliwe? To znaczy, czy naprawdę wierzysz, że to była ona?

— Mam osiemdziesiąt procent pewności. Dla jakiego innego powodu Skellett reago-
wałby tak gwałtownie, gdy zapytałam go, czy zabójstwo ma coś wspólnego z Kubą? Nie mogłam jeszcze dopasować cegiełek do siebie, ale już wówczas wiedziałam, że wszystkie pochodzą z jednego pieca, Kennedy — Monroe — Margot Schneider. Gdyby Margot Schneider nie była Marilyn Monroe, jaki powód miałby Skellett, aby mnie torturować? Próbował wmówić mi, że Schneider była ogniwem sowieckiej siatki szpiegowskiej, lub kimś w tym rodzaju. Ale wcale nie miał zamiaru wyjaśnić mi, dlaczego samo wspomnienia Kuby w związku z Margot Schneider było przyczyną szaleńczej jazdy przez Phoenix z prędkością dziewięćdziesięciu mil na godzinę, zabicia dwóch glin i zachowania przypominającego średniowiecznego inkwizytora. I coś ci powiem — cokolwiek Skellett wie o Margot Schneider lub Marylin Monroe, jest to wystarczająco istotne, aby wysadzić własnego człowieka w powietrze, tylko po to, aby on, Skellett, mógł uciec.

— Ale dlaczego w takim razie zapytałaś go o Kubę?

— Nie miałam żadnego szczególnego powodu. Po prostu reporterska intuicja. To była największa polityczna burza, akurat w tym czasie, w 1962 roku. Wystrzeliłam po prostu. Przeczytałam wiele książek o śmierci Marilyn Monroe i próbowałam sformułować sobie własną opinię na temat różnych teorii jej śmierci — dlaczego zginęła, w jaki sposób? I nie miałam żadnej teorii, która zawierałaby rzeczywiście wystarczająco mocne argumenty dowodzące zabójstwa, albo ukrycia jej gdziekolwiek na resztę życia.

— Czy nie powiedział ktoś, kiedyś, że została zamordowana przez agentów partii komunistycznej dlatego, że groziła iż ujawni plan Bobby'ego, który zamierzał zalegalizować całą masę politycznych organizacji z lewego skrzydła?

Kathy Forbes potrząsnęła głową.

— Istnieje mnóstwo teorii, większość z nich bez sensu. Ta, o której mówisz, ma pod-

stawową słabość. Nie odpowiada na pytanie, czy Marilyn Monroe rzeczywiście by to zrobiła. Nie była osobą aktywną politycznie, nie miała też powodów do żadnej zemsty. Nie, moim zdaniem ona po prostu zbyt wiele usłyszała od Jack'a i Bobby'ego, zwierzyli się jej ze zbyt wielu problemów politycznych. A pewnego dnia zdali sobie sprawę, że wiedziała tak wiele o pewnym szczególnym problemie, iż jej życie mogło znaleźć się w niebezpieczeństwie. Ich życia także były w niebezpieczeństwie, jak teraz wierzy i tego, co wydarzyło się w listopadzie 1963 roku i w czerwcu 1968. I to właśnie skłania mnie do twierdzenia, że wszyscy troje — Marilyn, Jack i Bobby — zagrażali tym samym ludziom. Ludziom Skelletta, kimkolwiek oni są.

Nałożyła z powrotem okulary przeciwsłoneczne i mówiła dalej.

— Czy Marilyn umarła w 1962 roku, czy nie — a teraz naprawdę wierzę, że wtedy nie umarła — zginęła dlatego, że wiedziała coś, o czym zdawała sobie sprawę, że jest cholerne istotne i — jak mi się wydaje — kryzys kubański mógł być jedyną taką istotną sprawą. Co więcej, jeżeli Margot Schneider naprawdę była Marilyn Monroe, trzeba wyciągnąć wniosek, że kryzys kubański spowodował nie znane ogółowi, a trwające do dzisiaj implikacje — na tyle istotne, że warte zamordowania Marilyn po dwudziestu latach. Wybrałam Kubę, a reakcja Skelletta udowodniła, że mam rację.

— A teraz Willy — powiedział Daniel. — Gdzie jego przypasujesz do tej całej historii?

— Nie wiem — stwierdziła Kathy. — Układam to wszystko w głowie, jak kostkę Rubika, od twojego telefonu dziś rano.

— Nigdy jeszcze nie udało mi się złożyć tej kostki.

— Cóż, mnie tylko pięć razy. No, ale spróbujmy ułożyć jakąś teorię i sprawdźmy, czy będzie pasować do całości. Pierwszą rzeczą, którą wiemy z całą pewnością jest, że twój przyjaciel Willy został zabity w ten sam sposób co Margot Schneider. Zabójstwa wydarzyły się w niewielkiej odległości od siebie, w odstępie trzech dni. Metoda zadania śmierci była w obu przypadkach wystarczająco niezwykła, aby przyjąć z minimalnym prawdopodobieństwem błędu, że sprawcą było to samo indywiduum. To znaczy, myślę że nie zdarzają się często morderstwa popełniane elastyczną piłą.

Daniel otarł pot z twarzy.

— Może wypilibyśmy po piwie — powiedział. — Czy nie moglibyśmy kontynuować naszej rozmowy w salonie?

— Oczywiście — Kathy pokiwała głową. — Czy będziesz miał coś przeciwko temu, że mój przyjaciel pójdzie z nami? Wygląda na twardego, ale w rzeczywistości pot spływa po nim pod płaszczem. Zresztą jest zupełnie nieszkodliwy.

— Wszyscy oni są nieszkodliwi — zauważył Daniel.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Usiedli przy stoliku w rogu, popijając piwo bezpośrednio z butelek i obserwując przez chwilę miejscowych „kowbojów”, zabawiających turystów sztuczkami z bronią i udawanym pijaństwem. Goryl Kathy zajął miejsce kilka metrów od nich, poza zasięgiem słuchu i monotonnymi ruchami ręki pakował sobie do ust orzeszki. Poza tym nie poruszał się i można było odnieść wrażenie, że nie myślał.

Kathy kontynuowała.

— Mam przynajmniej cztery główne teorie odpowiadające na pytanie dlaczego Willy Monahan został zamordowany przez tego samego człowieka, który zgładził Marilyn Monroe. Oczywiście, żadna z nich może nie być kompletna. Na przykład, możemy założyć, że Willy został sprzątnięty przez kogoś w bazie w Williams, kto odciął mu głowę w ten sam sposób, jak to uczynił z Marilyn. tylko dlatego, aby naprowadzić nas na fałszywy ślad. Te dwa zabójstwa mogą być ze sobą powiązane w taki właśnie sposób. Ale wydaje mi się, że gdyby morderca chciał, aby myślano że obydwie zabójstwa popełniła ta sama osoba, wtedy nie próbowałby utrzymywać śmierci Willy’ego w takiej tajemnicy. Morderstwa były wystarczająco odległe, aby związek między nimi pozostał tajemnicą, a ktokolwiek ewentualnie nabrałby podejrzeń o ich rzeczywistym związku, jak ty i Ronald Kinishba, nie mógłby już nigdy nikomu o tym oznajmić. Może to jest zbyt zawiłe, nie wiem.

— Nie miałem żadnych trudności z dostaniem się do kostnicy — powiedział Daniel.

— Kłopoty zaczęły się później.

— Cóż, jest to więc rzecz wymagająca przemyślenia — stwierdziła Kathy. — A teraz musimy pomyśleć, co takiego mogła wiedzieć Marilyn Monroe na temat Kuby, związanego z tym, co twój przyjaciel Willy Monahan odkrył na temat pocisków rakietowych w Williams. Monroe — Kennedy — Kuba — pociski. Nuklearne pociski były głównym przedmiotem sporu w kryzysie kubańskim w roku 1962. Może więc to, co odkrył Willy Monahan, miało związek z porozumieniem zawartym przez Kennedy’ego i Chruszczowa? Wszystko, co wiemy na temat traktatu z 23 lipca 1963 roku to fakt, że zakazuje

wszelkich prób z bronią nuklearną, z wyjątkiem podziemnych. I jest to bezpośredni rezultat kryzysu kubańskiego. Ale może miały miejsce inne porozumienia, tajne porozumienia, o których wie tylko bardzo niewielu ludzi?

— Czy uważasz, że te pociski, z którymi związane jest odkrycie Willy'ego, nigdy nie miały trafiać w sowieckie samoloty? Że Kennedy mógł uzgodnić z Chruszczowem, że samoloty USA nie będą zdolne zestrzelić żadnego rosyjskiego samolotu bojowego?

— Tak, ale to tylko teoria.

— Ale przecież z całą pewnością następni prezydenci zrobiliby coś z tym. Nie mogę sobie wyobrazić Marshalla Robertsa, zezwalającego na to, aby amerykańskie samoloty bojowe latały z bezużytecznym uzbrojeniem.

— Jeszcze niedawno nie mogłam sobie wyobrazić Marshalla Robertsa, zasiadającego do rozmów RINC.

Daniel siedział przez moment w ciszy, później przełknął kolejny łyk piwa i stwierdził:

— To brzmi nieprawdopodobnie.

— Mnie też tak się wydawało. Ale im więcej nad tym rozmyślam, im dokładniej układam to sobie w głowie, tym to wszystko wydaje mi się coraz bardziej możliwe. Dziennikarskie teorie mają jednak to do siebie, że nawet po złożeniu wszystkich znanych faktów pozostają absurdalnie niedorzeczne. Ale jeśli istniały jakieś tajne nuklearne porozumienia między Kennedy'm a Chruszczowem, jeśli cena zmuszenia Rosjan do wycofania swoich rakiet jądrowych z Kuby z powrotem do Rosji była o wiele większa niż wydaje się to nam wszystkim, wtedy morderstwo Marilyn Monroe zaczyna mieć sens. A także morderstwo Willy'ego oraz Jacka i Roberta Kennedy'ch. Chociaż, zachowanie Skelletta ciągle jest niezrozumiałe. Dlaczego na przykład zrobił taki cyrk z usuwaniem ciała Marilyn, skoro już nie żyła i nie mogła nic powiedzieć? Zwrócił przez to powszechną uwagę na to morderstwo, a przecież mogło ono spokojnie pozostać jeszcze jedną okropną, nie rozwiązaną tajemnicą, na wieki wieków. Cóż, może dowiemy się jeszcze czegoś na ten temat.

— Czy nie uważasz, że powinniśmy jednak pójść z tym na policję? — zapytał Daniel.

— Nie. Jeśli nawet połowa tego o czym mówimy znajduje pokrycie w realnych faktach, mamy do czynienia z ludźmi zdecydowanymi na wszystko. A wtedy, im mniej ludzi dowie się o tym, co my wiemy, tym lepiej. Nie bardzo chciałbym zostać kolejną ofiarą z odciętą głową, a ty?

— Myślałem, że zamierzasz opublikować całą tę historię we „Flag”.

— Na razie wszystko, co zamierzam opublikować to „Przeżycia porwanej reporterki”, opisane przez nią samą. Z dokładnymi opisami tego co mi zrobili i jeszcze zamierzali ze mną zrobić. Nie mówiłam nikomu o mojej teorii dotyczącej Marilyn Monroe,

z wyjątkiem ciebie i Skelletta, a Skelletowi mówiłam tylko dlatego, że mnie torturował. Naprawdę uważam, że jest na to jeszcze za wcześnie i zbyt jest to niebezpieczne. Oczywiście, jeśli jesteś jednak agentem Skelletta i zamierzasz powiesić mnie na jednej z tych szubienic...

Daniel dokończył piwo.

— Więc co możemy zrobić? Masz jakieś pomysły, jakieś rozsądne pomysły? Może właśnie najlepiej będzie nie robić nic? Udawać, że to wszystko się nie wydarzyło? No bo czy mamy możliwość wywarcia skutecznego wpływu na historię świata?

— Żartujesz? — zapytała Kathy. — Jeśli Kennedy zawarł supertajne porozumienie z Chruszczowem, zezwalając na to, aby amerykańskie rakiety były kompletnie nieskuteczne wobec rosyjskich samolotów i jeśli prezydent Roberts do dziś trzyma się postanowień tego traktatu — czy ty wiesz, jaka to będzie sensacja? Gdy to ujawnimy, będziemy słynni. I bogaci. Czy chcesz prowadzić ten swój bar do końca życia?

— Ja po prostu nie chcę umrzeć przedwcześnie, to wszystko.

— Cóż, to zależy od ciebie — powiedziała Kathy opryskliwie. — Ja muszę dalej poszukiwać, ponieważ to jest mój zawód. I instynkt pcha mnie dalej w to wszystko. Jeśli nie chcesz mi pomóc, trudno, dam sobie radę. Ale musisz obiecać mi, że nie ujawnisz niczego przed żadną inną gazetą. Myślę że po tym, co przeszłam, mam prawo do wyłączności, nie sądzisz?

— Naprawdę chcesz pchać w to swój nos, mówisz poważnie? Czy wiesz, na co się narażasz? Przecież oni obcinają ludziom głowy, wysadzają ludzi w powietrze, cholera, wbijają igły w piersi!

— Panie Korvitz...

— Daniel.

— Daniel, ja muszę. To mój zawód. Stoję przed szansą, o jakiej marzy każdy reporter.

— Co zamierzasz więc uczynić?

— Przede wszystkim pojadę do Los Angeles. Chcę porozmawiać z tak wieloma ludźmi, jak tylko zdołam, którzy widzieli Marilyn Monroe podczas ostatnich kilku dni jej życia, a szczególnie podczas tego wieczoru i nocy, kiedy stwierdzono jej śmierć. Chciałbym porozmawiać z ludźmi z kostnicy i wszystkimi innymi, którzy mieli dostęp do jej ciała. Jeżeli spotkam się z najmniejszą sugestią, że ciało pochowane w Westwood nie było zwłokami Marilyn... cóż, będzie to dla mnie ostateczny dowód, że nie myślę się w moich przypuszczeniach.

Daniel potarł przemęczone oczy.

— Byłoby prościej, wiesz, gdyby to wszystko, jeżeli okaże się prawdą, nie pociągało za sobą tak cholernie daleko idących konsekwencji.

— Daniel, cały problem leży w tym, że to nie spowodowało żadnych konsekwencji.

Przecież moje domysły zmieniają całą zapisaną historię, zaakceptowaną historię o Marilyn Monroe, o Kennedy'ch, o kryzysie kubańskim. Doskonale składają poszczególne fakty w całości i nawet wyjaśniają dziwny co najmniej bieg historii tego kraju i sposób rządzenia nim przez ostatnie dwadzieścia lat.

— Skoro tak twierdzisz — powiedział Daniel bez przekonania.

— Pozwól, że spędzę trochę czasu w Los Angeles, a później wrócę do ciebie i porozmawiamy.

— W porządku — zgodził się Daniel. Niespodziewanie przestało być ważne wyjaśnienie przyczyny śmierci Willy'ego. Niespodziewanie ważniejszym okazało się pozostawienie go spoczywającego w pokoju i niezakłócanie jego wiecznego spoczynku odległym dudnieniem grzmotów z 1962 roku.

Powiedzieli sobie do widzenia na zakurczonym parkingu. Daniel nią miał wątpliwości, że nigdy już jej nie zobaczy, energicznej, zbyt entuzjastycznej reporterki, chociaż z pewnością przeczyta jej opowieść w „Arizona Flag” i długo jeszcze będzie rozmyślał o jej wnioskach, dotyczących kryzysu kubańskiego. Potrząsnął delikatnie jej rękę i poszedł do swojego samochodu. Usiadł za kierownicą i przebierając wśród kluczyków, zastanawiał się dlaczego to spotkanie tak go przygnębiło.

Miał właśnie zapuścić silnik, gdy Kathy podeszła do samochodu i wsadziła głowę przez otwarte okno od prawej strony.

— Powiedz mi, co teraz czujesz? — zapytała go.

Nie odpowiedział jej, nie wiedział, co odpowiedzieć.

— Czujesz strach, to wszystko — odpowiedziała za niego. — I jeśli chcesz, to coś ci powiem. Szanuję cię za to. Bo to oznacza, że masz dosyć wyobraźni, aby zdać sobie sprawę, że to, o czym rozmawialiśmy, jest prawdą, straszną prawdą. Wiem, że masz małą córeczkę. Wiem, Daniel, że jesteś takim facetem, który lubi mieć święty spokój. Ale pamiętam też, że jesteś mężczyzną z jajami, takim który potrafił wdrzeć się do bazy sił powietrznych, aby naocznie przekonać się, co stało się z jego przyjacielem. I miałeś na tyle odwagi, aby tu przyjechać i porozmawiać ze mną o tym wszystkim.

— Jesteś już dzisiaj drugą osobą, która mówi mi, jaki to ja jestem odważny — powiedział Daniel. — Zaczynam czuć się jak Audie Murphy.

— Będę z tobą w kontakcie, zgoda? — zaproponowała Kathy i odeszła. Wzruszył ramionami i przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik zakaszłał, wystrzelił głośno i zgasł z jękiem, jaki wydaje zepsuta pralka.

Kathy, która znajdowała się już w połowie drogi do swojego samochodu, powróciła do niego i znów zajrzała przez okno.

— Nie wydaje mi się, żebyś dał radę uruchomić tego grata — powiedziała.

Gdy jechali jej samochodem do Apache Junction, poczuli się trochę swobodniej w swoim towarzystwie. Kathy opowiedziała Danielowi, jak znalazła się w Kalifornii

i jak zaczęła zdobywać popularność w „Arizona Flag”. — Po pierwszym roku pracy wydawało mi się, że szybko zdobędę nagrodę Pulitzera — powiedziała. Daniel opowiedział jej o Candii i Susie, i o spokojnym, nieskomplikowanym życiu w cieniu Superstition Mountains.

— Boisz się życia? Boisz się sukcesu, czy czegoś jeszcze? — zapytała Kathy. — Nie myśl, że jestem wścibska, ale wydaje mi się, że pragniesz od życia rzeczy, które w rzeczywistości już nie istnieją, jak na przykład kobiet z piosenek *country and western*, czy kompletnej ciszy i spokoju. Życie nigdy nie pozostawi cię na uboczu. A wszystkie kobiety w tym stylu, które ja spotkałam, są przyjemne dla oka, ale w głębi duszy pozostają twarde jak beton.

— Jeśli chcesz wiedzieć, to nie brak mi wiary we własne siły — powiedział Daniel. — Nie brak mi zdecydowania. Ale rozglądam się dookoła i zaczynam się zastanawiać, dokąd pewność siebie i determinacja mogą mnie zaprowadzić. Do pieniędzy? Wiedzie mi się dość dobrze. Do szczęścia? Mam małą córkę i przyjaciółki od czasu do czasu. Do sławy? Jestem sławny wśród ludzi, którzy mnie znają. Możesz sądzić, że jestem słabym, małym człowieczkiem, ale ja tak nie myślę. Mam wszystko to, czego akurat potrzebuję i przekonany jestem, że moja prawdziwa siła bierze się stąd, że potrafię sobie powiedzieć, iż jestem szczęśliwy.

— Problem w tym — rzekła Kathy — że ja ci nie wierzę.

Zajechali przed front baru Daniela.

— Zauważyłam to miejsce, jadąc do Apacheland — powiedziała Kathy. — Czy mógłbyś poczęstować mnie i mojego kolegę kawą i może jakimiś bułkami? Nie mieliśmy czasu na lunch.

Daniel zawahał się, ale Kathy dodała:

— Mógłbyś przesłać rachunek do mojej gazety. Zapłacą ci.

Wyszczерzył zęby w uśmiechu.

— Dalej, zapraszam do siebie — powiedział. — Myślę, że stać mnie jeszcze na to, aby cię ugościć.

Lecz w tej samej sekundzie, w której wszedł do baru, zorientował się, że coś jest nie w porządku. Był tam Pete Burns, dwóch policjantów z patrolu drogowego i trzech albo czterech zwykłych klientów, lecz żaden z nich niczego nie konsumował. Natychmiast ujrzał nogi Cary na podłodze, rozrzucone między krzesłami i nagle poczuł się, jakby wszystko dookoła ruszyło ku niemu z szybkością lokomotywy; twarze, krzesła, stoły, ściany... Pete Burns zaczął mówić do niego głosem takim, jakim ogłasza się tylko nie-dobre wiadomości, a później Daniel nie wiedział już, kto co mówił, bo wszyscy obstąpili go zwartym kręgiem.

— Było tu dwóch facetów. Przyszli jakieś pół godziny temu. Neil twierdzi, że pytali o ciebie.

— Ona żyje, Daniel, ona żyje. Rozumiesz? Nic jej nie będzie. Poturbowali ją trochę i dostała po głowie, to wszystko. Nic groźnego, oprzytomnieje, dostanie środki uspokajające i będzie w porządku. Daniel, uspokój się.

— Pytali o ciebie, wymieniali twoje nazwisko. Tak mówi Neil. Jimmy również to słyszał. Pytali, gdzie jest Daniel Korvitz, a Cara powiedziała, że nie ma cię i nie wie, gdzie jesteś, no i wtedy zaczęli ją trochę przyciskać, rozumiesz? Jeden z nich uderzył ją czymś, nikt nie wie co to było, ale ma skaleczenie na twarzy i na ramieniu. Może to była rozwalona butelka? W każdym razie zaraz przyjedzie ambulans. Problem w tym, Daniel...

Daniel wpatrywał się w nich tępym wzrokiem. Ktoś trącił go z tyłu i Daniel odwrócił się. Ale wtedy Pete Burns powiedział:

— Problem w tym, Daniel, że akurat wtedy Susie wróciła ze szkoły...

— Susie?

— To był cholerny pech. Kilka minut później i rozminęłaby się z nimi. Właśnie mieli wychodzić, gdy podjechał szkolny autobus i gdy weszła do baru i zapytała, wiesz, „gdzie jest mój tata?...”

— Nie wiem, czym ją, do diabła, uderzyli. Widzisz tę ranę?

— Pete, co się stało? Gdzie jest Susie?

Odpowiedział mu Charlie McEverts, grobowym głosem:

— Porwali ją, Daniel. I to właśnie jest w tym wszystkim najgorsze. Po prostu wzięli ją i wywlekli, i wierz mi, nikt z nas nie był w stanie temu zapobiec.

Daniel rozejrzał się. Przy drzwiach stała Kathy Forbes, obserwując go z litością w oczach. „Życie nigdy nie pozostawi cię na uboczu...”

Ktoś podstawił krzesło i Daniel usiadł. Powiedział do Pete’a Burnsa drżącym głosem.

— Musisz ją znaleźć, rozumiesz? Chce, abyś mi ją odnalazł. I na Boga, jeśli ktoś zerwie jej choćby włos z głowy, zabiję. Ostrzegam, Pete, zabiję takiego faceta, to jest pewne tak, jak to, że tu siedzę przed tobą.

— Oczywiście, Daniel. I nikt nie będzie miał ci tego za złe.

Nadjechał ambulans z syreną przeraźliwie wyjącą w popołudniowym upale. Sanitariusze przenieśli Carę na nosze i przedfilowali z nią przed Danielem. Jeszcze jedna ofiara tej wielkiej katastrofy, jaką jest jego życie... Była nieprzytomna, oczy miała zamknięte, usta otwarte. Daniel mógł wyraźnie zauważyć dwie równoległe szramy, biegnące przez jej policzek i obojczyk. Wyglądała niemal tak, jakby podrapał ją tygrys.

Pete Burns zapytał Daniela.

— Chcesz może kawy? Odrobinę koniaku?

Daniel potrząsnął głową.

— Czy wiesz, czego ci faceci mogli chcieć od ciebie? — zapytał znów Pete Burns.
— Masz jakieś podejrzenia?

— Nie, nie mam — powiedział Daniel. — Nie mam zielonego pojęcia, czego mogli chcieć. Nie mam żadnych wielkich pieniędzy.

— Czy nikt ci ostatnio nie groził? Może jacyś Sycylijczycy chcą otworzyć w okolicy sklep z alkoholem, albo restaurację i dają ci do zrozumienia, że im przeszkadzasz?

— Nic z tych rzeczy — powiedział Daniel.

Podeszła Kathy i położyła dłoń na jego ramieniu.

— Jak się czujesz — zapytała. — Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

Któryś z konsumentów odezwał się.

— Jeden z tych facetów był taki szczupły, chudy, za to drugi — wielki, zwałisty. Prawdziwy goryl, z czerwonym znamieniem na twarzy.

Daniel podniósł wzrok i spojrzał na Kathy ze złością i siłą w oczach.

— Skellett — wyszeptała i Daniel zadrżał na całym ciele. Po raz pierwszy w życiu czuł, że pragnie kogoś zabić.

Rozdział dwudziesty drugi

Spotkała się z Ikonem w jego prywatnej jadalni na szóstym piętrze. Rzadko opuszczał budynek w tych dniach, mimo że tęsknił za *sole fouree tzarine* w restauracji Montpellier na rogu 15 Ulicy i M. Zestarzał się w tym szczególnym rosyjskim stylu, jakby grawitacja ziemską, której jego ciało poddawane było przez osiemdziesiąt dwa lata życia, stopniowo ciągnęła go ku ziemi, powodując duże starcze worki pod oczyma, marszcząc skórę na policzkach i podbródku, rozpychając za to żołądek do tego stopnia, że musiał opierać brzuch o krawędź starego, zabytkowego stołu przy każdym posiłku. Mówił grubym głosem, popijał małymi łykami doskonały tokaj, sprowadzany specjalnie dla niego z Węgier. W ciemnym, pokrytym na całej powierzchni dywanami pokoju, z draperiami zasłaniającymi okna tak szczelnie, że wpadał tu tylko wąski trójkąt światła słonecznego z zewnątrz, wyglądał jak jeden z podupadłych prowincjonalnych ziemian z powieści Michaiła Sołtykowa „Rodzina Gołowiewów”.

— Wydaje mi się, że jesteś zmęczony — powiedziała wyciskając cytrynę do porcji kawioru z sewrugi.

— Cóż — powiedział Ikon. — Bo jestem zmęczony. Ci, którzy walczą, zawsze płacą za to ogromną cenę.

— Wiem, że musisz wytrzymać jeszcze dwa — trzy miesiące. Tak długo, dopóki Marshall Roberts znów nie zasiądzie do rozmów RINC.

Ikon ciężko wzruszył ramionami i sięgnął po kolejnego małego gryczanego naleśnika. Zawsze serwowano mu je z kawiozem. Rozsmarowywał ikrę jesiotra po naleśniku tak grubo, jak dziecko smarowałoby chleb masłem kokosowym, potem polał wierzch kwaśną śmietaną i odgryzł łapczywie niespodziewanie mały kęs.

— Lepiej aby Marshall Roberts działał szybko. W przeciwnym razie pograży i siebie, i mnie przy okazji.

— Robi, co może. Ale rozumiesz chyba, w jakiej trudnej jest sytuacji?

— Oczywiście — powiedział Ikon, ocierając usta serwetką. — Ale jest w końcu prezydentem, *niet*? A Prezydent Stanów Zjednoczonych musi dać sobie radę z każdym pro-

blemem, w obliczu którego stanie. Po to są właśnie prezydenci.

— Twój angielski jest coraz lepszy — uśmiechnęła się Nadine.

— Hmm — mruknął Ikon. — Nigdy nie nauczyłem się go tak, jak powinienem. Powinienem uczęszczać na party, przyjęcia... A tymczasem mówię jak spiker telewizyjny.

— Czy badał cię ostatnio lekarz? — zapytała Nadine.

Ikon spojrzał na nią z nieskrywaną przyjemnością. Przez wszystkie lata, które spędził w Waszyngtonie, przez wszystkie noce i dni, kiedy mieszkał w tym budynku, nie zetknął się z nikim tak żywym i stanowczym, jak Nadine. Nie spotkał nigdy kobiety, która z takim powodzeniem łączyłaby wartości marksizmu-leninizmu z wymogami nowoczesnego życia. Gdyby był tylko ze czterdzieści lat młodszy... Była taką podniecającą, seksowną kobietą... Wysoką, z dumnie podniesioną głową, inteligentną. Typ kobiety, która owinie wokół palca każdego mężczyznę.

— Lekarz? Doktorzy są tak pesymistyczni jak zawsze. Przypuszczani, że wszyscy lekarze są urodzonymi pesymistami. Albo po prostu wszyscy pesymiści zostają lekarzami. W każdym razie moja białaczka jest tak złośliwa, jak tylko może być i będę miał szczęście, jeżeli doczekam następnego Pierwszego Maja.

— Nikołaju Niekrasow — powiedziała Nadine i wyciągnęła do niego rękę. Dotknął jej palców swoimi, a potem bardzo szybko wycofał dłoń.

— Musisz jeść, cieszyć się życiem — powiedział do niej. — Twoje problemy nadejdą później. I będzie ich wiele.

— Moje problemy już się zaczęły. Tytus ostrzegł Marshalla, że jeśli zasiądzie do rokowań RINC II, to on natychmiast ogłosi publicznie całą tę historię z Colleen Petley. Dał Marshallowi bardzo mało czasu do namysłu. Najpierw tylko godzinę, ale w końcu stanęło na tym, że dał mu dobę. I ta doba zakończy się mniej więcej za dwie godziny. A wierz mi, Tytus nie żartuje.

— To była zawsze najgorsza cecha Tytusa — zauważył Ikon, rozsmarowując kolejną porcję kawioru — brak poczucia humoru. Nigdy nie potrafił żartować. No i jak widzisz, doprowadzi go ona do zguby.

Nadine odłożyła na bok sztucę.

— Czekam na instrukcję od ciebie. Wiesz o tym przecież.

— No cóż — westchnął Ikon — wygląda na to, że mamy przed sobą tylko jedną drogę. Rozmowy RINC muszą być kontynuowane, w przeciwnym wypadku wszystko do czego dążę, będzie stracone. Wiem, że ta powolna, stopniowa droga obrana przeze mnie, jest żmudna. Wiem, jak bardzo niecierpliwi są młodszy ode mnie, jak pragną przyspieszenia, wyraźniejszego postępu. Ale tylko ta powolna droga jest w stanie doprowadzić naród amerykański do rzeczywistego zrozumienia jego sytuacji, bez przelewu krwi, buntów i wojny domowej. Czy wyobrażasz sobie, co by się stało, gdybyśmy powiedzieli im o wszystkim teraz? Kraj zapłonąłby od wschodu po zachód. Byłyby walki, barykady,

zorganizowany ruch oporu. Tysiące ludzi poległoby. A przecież mamy już lata osiemdziesiąte, ludzie wydają się bardziej liberalni i pojętni. Co więc nastąpiłoby, gdyby dowiedzieli się już w 1962 roku?

— Co chcesz, żebym zrobiła?

Ikon popatrzył na nią przez szkło swojej szklanki. Jego gęste brwi przywodziły Nadine na myśl rozmyślającego niedźwiedzia. Powiedział:

— Colleen Petley musi odejść, to wszystko. Możesz to załatwić? No i oczywiście pokojówka z hotelu „Futura”... też będzie musiała odejść.

— Chcesz, abym...

— Nikt poza tobą nie dostanie się do Colleen Petley dostatecznie blisko, bez wzbudzania podejrzeń. Poza tym istnieje idealna, szybka metoda.

Nadine położyła swój talerzyk z kawiozem na podstawkę.

— Czy jesteś zupełnie pewien? Chcesz, abym ją zabiła?

Ikon położył palec na swoich ustach i powiedział.

— Pss. Nie należy tutaj używać takich słów. Po prostu usuniesz ją.

— Jak mam to zrobić?

— To będzie bardzo łatwe. Powiesz po prostu pannie Petley, że musisz zrobić jej zastrzyk przeciwko grypie, aby uniknąć ryzyka, że zachoruje akurat wtedy, gdy będzie miała stanąć przed Kongresem. Lekarstwo wygląda w ten sposób — Ikon wyciągnął małą szklaną ampułkę z płynem w kolorze słomy i położył ją ostrożnie na popielniczce w kształcie liścia. — Jest to mieszanka wody, zwykłego cukru oraz jedna kropla kwasu cyjanowodorowego. Śmierć będzie niemal natychmiastowa — zatrzymanie akcji serca.

Nadine wpatrywała się w jego twarz, sprawiającą wrażenie starej maski. Wyglądała, jakby była pokryta lateksową szmatą. Dawał jej dotąd do wykonania wiele dziwnych i wstrętnych zadań. Jedno z nich — uwiedzenie i małżeństwo z Tytusem Alexandrem — było chyba najtrudniejszym, najbardziej złożonym i wymagającym największego poświęcenia z jej strony. Ale nigdy dotąd nie wymagał, aby kogoś zabiła. Było to okrutne zadanie, tym bardziej przerażające, że miała zabić akurat Colleen, pierwszą od wielu lat dziewczynę, z którą znalazła tak wspaniałe i natychmiastowe seksualne porozumienie. Miała przed oczami Colleen nawet wtedy, gdy kochała się z Tytusem.

Rozkazywał jej teraz, aby zabiła Colleen z zimną krwią, za pomocą najsilniejszej trucizny spośród znanych człowiekowi.

— Widzę, że cię wzburzyłem — powiedział Ikon.

Nadine odepchnęła talerz z kawiozem i wstała. Podeszła do okna, popatrzyła przez prześwit w żaluzjach. Pojedynczy, wąski pas światła, który wpadł do pokoju, nienaturalnie oświetlił jej twarz.

— Wzdragasz się przed zabiciem dla swojego kraju? — zapytał Ikon. Kolejny raz odgryzł kawałek naleśnika z kawiozem i kwaśną śmietaną. — Dla żołnierza zabójstwo po-

winno być rzeczą naturalną. Nikt nie zastanawia się, co czuje żołnierz, który musi zabić wroga.

— Colleen Petley jest... Colleen Petley to inna sprawa. Trudno mi jest myśleć o niej jako o wrogu.

— Ale jest wrogiem. Jest gorzej niż wrogiem. Mogła pozostać neutralna, lecz zdecydowała się sprzedać swoje informacje za pieniądze.

— Nikołaju Niekrasow, dla dziewczyny takiej jak Colleen Petley jest to najnormalniejszy sposób zarobienia kilku dolarów.

— Czy odmawiasz? — zapytał Ikon, a do jego głosu wkradło się niezadowolenie.

Odwrociła się od niego. Ubrana była dziś w delikatną, jedwabną bluzkę z szerokimi rękawami, wąską w pasie i w kanarkowożółtą spódniczkę z tafty. Przez moment Ikon miał ochotę zapomnieć o wszystkim, uwolnić ją od wszelkiego rodzaju obowiązków i przymusu. Ale niestety, czasy były zbyt trudne. Musiał użyć każdego, kogo miał pod ręką, aby uniknąć przejęcia kontroli nad sytuacją przez „Peredoviki”, zanim on sam zdecyduje się odejść. Wszystko należało poświęcić, aby utrzymać świat w równowadze politycznej, przynajmniej przez jeszcze jedną generację, nawet miłość; należało poświęcić każdą słabość, każde zbędne uczucie.

„Jesteś dobrym człowiekiem”, przeczytał kiedyś Ikon słowa amerykańskiego poety, Gregory Corso, „bo wiesz dobre życie”. Ikon wiedział, że jego życie nigdy takim nie było.

— Był taki czas — odezwał się Ikon, nie czekając aż Nadine mu odpowie — był taki czas, kiedy ja również zakochałem się w osobie tej samej płci. To było w 1937 roku, gdy pracowałem dla Goerlo, Państwowej Komisji Elektryfikacji Związku Radzieckiego. Budowaliśmy elektrownię w Saratowie, w Przywołżańskim Kraju. Byliśmy specjalną brygadą, rozumiesz, młodymi ludźmi, którzy wyrażali swą wiarę w komunizm szczególnie intensywną ciężką pracą. Pracowaliśmy przez siedem dni w tygodniu, po dwanaście i trzynaście godzin na dobę. Potrafilśmy wybudować w ciągu miesiąca fabrykę, którą by teraz budowano przez rok i dłużej. No i był wśród nas taki chłopak, układał cegły. Z jakiegoś powodu zakochałem się w nim. Był wprost nieprzyzwoicie przystojny, muskularny, no i nic nie wiedział o seksie. Jaką karierę zrobiłby w Hollywood! Pewnego dnia, po wyjątkowo ciężkim dniu, poszliśmy do łóżka, kompletnie wyczerpani i kochaliśmy się. Tak, kochaliśmy się jak dwaj pederasty, ale z dumą i zadowoleniem, i z takim wzajemnym szacunkiem, jaki mogą żywić do siebie tylko mężczyźni, ciężko pracujący ramię w ramię dla tej samej politycznej idei.

Ikon zamilkł na chwilę, bębniąc palcami po białym adamaszkowym obiciu stołu.

— Rozumiem więc, jak widzisz, co możesz czuć do Colleen Petley — powiedział.

— Nic nie wiesz o mnie i Colleen Petley.

— Nie, nie wiem — przyznał Ikon. — Ale od wielu lat znam szczegóły twojej przygo-

dy w szkole i rozpoznaję te sarnę objawy. Po prostu sprawiasz wrażenie, jakbyś była pod jej wpływem. Może to nie jest nawet miłość, ale nie jesteś sobą, ktoś cię opętał, a przecież wiem z całą pewnością, że nie Tytus.

— Stałeś się zbyt amerykański — stwierdziła Nadine. — Wiesz o tym? Stałeś się tak bardzo Amerykaninem, że aż nie mogę w to uwierzyć.

— Czy zrobisz to, o co cię proszę z Colleen Petley?

— To znaczy, czy ją zamorduję?

Ikon znów podniósł swój palec do ust; przypomnienie że tutaj, w tym najspokojniejszym i najciemniejszym z miejsc sprawowania władzy nad Ameryką, takie słowa jak „śmierć”, „zabójstwo”, „rozkaz” nie powinny być głośno wypowiedane. Ogromnym odstępstwem od przyjętych zasad było już to, że Nadine pozwolono tu jeść, rozmawiać z Ikonem osobiście. Specjalnym przywilejem Nadine była możliwość zwracania się do niego po imieniu — Nikołaju Niekrasow. Przetawione pierwsze cztery litery imienia stanowiły jego pseudonim — IKON. Wszyscy w tym budynku — poza Nadine — mogli o nim mówić tylko „Premier Ikon”.

Było typowo rosyjskim ironicznym żartem, że najważniejszy komunista na zachodniej półkuli kazał się nazywać słowem, które było symbolem najgłębszego religijnego szacunku; że mężczyzna o tak rozrośłym na wszystkie strony ciele kazał kojarzyć się ze wspaniałymi dziełami sztuki sakralnej, tradycyjnie niewielkimi i płaskimi.

— Czy nie przyszło ci kiedyś na myśl, że czasem żądasz ode mnie zbyt wiele? — zapytała Nadine.

— Niedługo umrę — powiedział Ikon. — Ale teraz muszę wymagać od każdego tego, co uważam na stosowne. Czy chcesz, aby „Peredoviki” zniszczyło wszystko nad czym pracowałem? Chcesz doczekać chaosu i krwi na ulicach? Nie przysłano mnie tutaj, abym nadzorował całkowitą destrukcję Stanów Zjednoczonych. Przysłany zostałem, aby utrzymać równowagę. Aby nie doszło do naruszenia równowagi na świecie. Jedno życie, nawet jeśli jest to życie kobiety, którą ty kochasz, nie jest warte tej ceny.

— Czy słyszałeś, co stało się w Arizonie?

— Tak, oczywiście — pokiwał głową Ikon. — Nie myśl, że nie rozmawiałem już o tym z Kama. Kama, oczywiście, był bardzo grzeczny. „Robiłem tylko to, co uważałem za konieczne, towarzyszu Ikon. Działiałem stosownie do zaistniałej sytuacji, towarzyszu Ikon”. Nie możemy mieć żadnych iluzji co do tego, do czego zmierza Kama. Robi wszystko, co tylko jest w stanie, aby rozwiązać Komitet Nadzorczy, ale w taki sposób, aby nie padło na niego podejrzenie, że podejmował działania w tym kierunku. Zwycięstwo jego linii doprowadzi do zamienienia świata w kostnicę. Na szczęście trzymam go krótko od siedmiu lat i dam radę jeszcze trzymać, ale pod warunkiem że zostanie ratyfikowany układ RINC II. A to może nastąpić tylko, jeśli poprzesz mnie i zrobisz to, co powinnaś zrobić z Colleen Petley.

Nadine usiadła w najdalszym kącie pokoju na krześle z drzewa orzechowego. Głowę trzymała opuszczoną, jakby rozmyślała, albo się modliła. Ikon obserwował ją, od czasu do czasu sięgając po swój tokaj lub nakładając więcej kawioru na naleśniki. Oddychał głośno i nieprzyjemnie, a to za sprawą wypełnionych płynem zakamarków jego starczych płuc.

— Jeśli nie zgodzę się usunąć jej, przypuszczam że rozkażesz to komuś innemu.

— Oczywiście.

— Myślę więc, że lepiej będzie jeżeli zrobię to sama. Przynajmniej nie będę miała wątpliwości kim jestem i jak nisko upadłam.

— Nadine, wiedziałem że zgodzisz się. Usiądź teraz i dokończ swój kawior. Czy wiesz ile to kosztuje teraz w Ameryce? Najlepsza seruga.

Nadine usiadła przy stole, z szelestem żółtej tafty.

— Wiesz, Nikołaju Niekrasow, jest coś niesamowitego w tobie. Wcale nie jesteś złym człowiekiem. A historia uzna cię pewnie za świętego.

Ikon szybko mlasnął. Nie zamierzał zgodzić się z Nadine.

— Ludzi o umiarkowanych poglądach nigdy nie kanonizowano. Aby zostać świętym, trzeba w życiu być ekstremistą. Trzeba zgnić w więzieniu lub spłonąć na stosie. Wiesz przecież, że nigdy mi to nie groziło. Nie jestem człowiekiem, którego by coś takiego pociągało. Wolę żyć, jeść, przetrwać niesprzyjające momenty i być pewnym, że świat dookoła mnie myśli tak samo. Ludzi takich jak ja nikt długo nie pamięta, a przecież czynimy najwięcej dobra.

Skończyli posiłek w kompletnej ciszy, jedząc, pijąc i rozmyślając. Później przeszli do innego pokoju, którego okna wychodziły na Pennsylvania Avenue i ktoś z personelu włączył płytę gramofonową z „Miłością do trzech pomarańczy” Prokofiewa.

— Przepiękna muzyka — powiedział Ikon, jedną rękę wepchnąwszy do kieszeni swych wielkich spodni, w drugiej trzymając szklankę z wódką truskawkową. — Czasami płaczę, gdy tego słucham, płaczę z żalu, że światem nie można dyrygować jak operą. Życia nie można zapisać na pięciolinii.

— Czy boisz się Kamy? — zapytała Nadine.

— Masz dar zadawania bardzo bezpośrednich pytań.

— Muszę wiedzieć. W maju przyszłego roku ty możesz nie żyć, a ja będę żyła.

— Kama jest jednym z protegowanych Breżniewa. Zawsze popierał breżniewowską doktrynę policentryzmu. Ale podczas gdy Breżniew gotowy był pozostawić sytuację w Stanach Zjednoczonych naturalnemu biegowi, nie naciskać zbyt gwałtownie, ani zbyt szybko. Kama uważa że powinniśmy ogłosić powstanie szesnastej Radzieckiej Republiki Socjalistycznej w ciągu jednej nocy. Kama, człowiek ognia i gromu! Ha! Wymieść starych, awansować młodych! Co tam konsekwencje? I niestety, on jest przekonany, że kontroluje wszystkie agencje wykonawcze, dzięki którym będzie w stanie swo-

je zamiary wprowadzić w czyn. Narodową Agencję Bezpieczeństwa, Radę Doradców Ekonomicznych, Biuro Administracji. Nie można go nie doceniać, moja droga Nadine. Jest drugą siłą w tym kraju, zaraz po mnie i mimo że jestem jego przełożonym, nie będę w stanie zbyt długo go powstrzymywać.

— Czy on więc chciał, aby ciało tej kobiety z Phoenix zostało zidentyfikowane?

— Oczywiście. Musi być głęboko rozczarowany tym, że mass-media nie pojmują tego, co robią jego agenci. Te wszystkie historie: „Porwanie trupa”, czy „Fanatycy torturują reporterkę”... prasa amerykańska nigdy nie spojrzy dalej niż na pierwszą parę piersi. Marilyn Monroe była zresztą taką piersiastą bohaterką. Osobiście uważam, że była zwykłą pulchną krową. Dobrą do dojenia, niczego więcej.

Powoli zaczął zapadać zmierzch. Pili truskawkową wódkę, a Ikon opowiadał jej o swoich chłopięcych latach w Zbarsku, jeszcze w czasach cara. Opowiadał jak podkra-
dał czereśnie, jak spał na sianie, jak spędzał czas w domu w długie, ciepłe sierpniowe wieczory, siedemdziesiąt dwa lata temu.

O siódmej Nadine powiedziała:

— Muszę już iść. Mamy party w ambasadzie brytyjskiej. Sir Leonard Grosvenor za-
prasza.

— Bardzo dobrze — stwierdził Ikon. Nie próbował nawet powstać z krzesła.

Nadine zabrała swoją chustkę, notatnik i lokaj odprowadził ją do windy. Ikon odcze-
kał pięć minut, zanim wstał i potoczył się swym wolnym, ciężkim krokiem do jadalni. Podszedł do stołu i spojrzał na popielniczkę w kształcie liścia, na której wcześniej tego
wieczoru położył kapsułkę z kwasem cyjanowodorowym.

Ku jego zadowoleniu popielniczka była pusta.

Rozdział dwudziesty trzeci

Tytus był tego wieczoru w cholernie dobrym nastroju. Co prawda tradycyjnie już myślał ze wstrętem o wieczorze w ambasadzie Wielkiej Brytanii. „Brytyjczycy rozmawiają, jakby przeżuwali przez cały czas swoje pieprzone skarpetki do krykieta”, mawiał. Jednak uścisnął dłoń sir Leonarda Grosvenora co najmniej tak, jakby witał kumpla ze szkoły, nie widzianego od matury w trzydziestym ósmym, natomiast Lady Grosvenor cmoknął w policzek z niezwykle wprost entuzjazmem.

Nadine wiedziała dlaczego. Tego popołudnia, krótko po godzinie trzeciej, Marshall Roberts zatelefonował do Tytusa do Departamentu Stanu i niechętnie oznajmił, że zgadza się odłożyć RINC II „na czas nieograniczony”. Nie ukazało się jeszcze żadne oświadczenie na ten temat, ale Tytus nalegał, aby prezydent szybko ogłosił swoją decyzję publicznie. Wydział Prasowy Białego Domu pracował właśnie nad oświadczeniem, które zadowoliliby obu, i które nie brzmiałoby zbyt zaskakująco i zbyt dziwacznie po niespodziewanym ogłoszeniu przez massmedia.

Party w ambasadzie brytyjskiej upływało na pijaństwie i bezsensownych rozmowach. Prowadzono szowinistyczne rozmowy o Falklandach, zżerano całe sterty tłustego rostbefu, a dwie młode angielskie aktorki z wielkimi cyckami o konsystencji rżądkiem galarety, przysiadły się bliźniutko do tak wielu dyplomatów w średnim wieku, ilu tylko mogły obskoczyć w ciągu wieczoru i chichotały bez końca. Na zakończenie wieczoru nastąpił godzinny pokaz tańca Morrisa. Tytus oglądał to jednak ze zblazowaną miną człowieka, pragnącego jak najszybciej znaleźć się w domu, we własnym łóżku.

Podczas drogi powrotnej do Georgetown, w upojnym chłodzie klimatyzowanego Cadillaka, Nadine zapytała:

— Miałeś dziś odpowiedź od Marshalla, prawda?

Tytus, który siedział ze zmrużonymi oczami, spojrzał na nią uważnie, wzrokiem lekko mętawym od wypitego alkoholu.

— Tak, rzeczywiście miałem. A ty skąd o tym wiesz?

— Tytus, mój drogi, nie potrafisz niczego ukryć przede mną. Jeszcze zanim rozpo-

częli te dzikie tańce, siedziałeś taki znudzony jak piętnaście bobrów. Myślałeś o czymś zupełnie innym. Tylko jedna rzecz mogła wprowadzić cię w taki stan.

— Masz rację — powiedział Tytus. — Marshall zadzwonił do mnie późnym popołudniem i poddał się. RINC II są martwe jak końskie gówno.

Nastąpiła długa cisza, którą przerwała Nadine.

— Tytus, muszę z tobą porozmawiać.

— Oczywiście, zaczynaj.

— To poważna rozmowa, Tytusie, zawodowa.

— W porządku. Poważna rozmowa. Słucham cię. Może twoje dzieci wynoszą się wreszcie z naszego domu? Nie wierzę. Bóg przenigdy nie uśmiechnąłby się do mnie dwukrotnie w ciągu jednego dnia.

— Tytus, chcę abyś zadzwonił do Marshalla Robertsa jeszcze dziś w nocy i powiedział mu, że te materiały które miałeś przeciwko niemu to była pomyłka. Fałszywe pośądzenie.

— Że co?

— Chcę, abyś zadzwonił do Marshalla Robertsa i...

— Żebyś co zrobił?

— Tytus, to jest konieczne!

— Pilnuj swojej dupy, to jest konieczne. Marshall o mało nie zniszczył całego systemu obrony strategicznej w Europie. Niedługo nie byłoby tam bomb neutronowych, ALCM, ani żadnych pocisków rakietowych trzeciej generacji. Czy czytałaś, co on chciał zrobić? Ten facet jest szalony. Chciał nas otworzyć, jak pieprzoną ostrygę i przygotować do połknięcia przez Sowietów.

— Tytus — powiedziała Nadine, z niespotykanym u niej chłodem w głosie. Jej włosy lśniły w świetle mijanych lamp ulicznych. — Co powiedziałbyś, gdybyśmy już byli połknięci?

Tytus zeszytywniał, odchrząknął niepewnie i spojrzał na nią.

— O czym ty mówisz? Co ma znaczyć „już połknięci”?

— Ot, tak. Może już jesteśmy połknięci?

— Ale przez kogo? Przez co? Do cholery, Nadine, co ty do diabła bredzisz?

— Przykro mi, Tytus. Jesteś pijany. Nie chciałam, abyś był pijany, kiedy ci o tym będę mówiła.

— Co to ma do cholery za znaczenie, że jestem pijany? W porządku, piłem, ale nadal żądam odpowiedzi, o czym przed chwilą mówiłaś?

— Tytus, poczekaj aż dojedziemy do domu. Spójrz, będziemy w domu za dziesięć minut.

— Nie, do cholery, porozmawiajmy o tym teraz i tutaj. Połknięci, co to, do diabła, miało znaczyć, połknięci? John, zatrzymaj ten zaszary samochód. Tutaj. Tak, właśnie tu-

taj, gdziekolwiek, do cholery jasnej.

Kierowca wjechał prawymi kołami na krawężnik Constitution Avenue akurat przy drodze wiodącej do jeziora, znajdującego się na terenie Ogrodów Konstytucji. Była ciepła, jasna noc, jedna z tych nocy, podczas których wydaje się, że sen jest niepotrzebny i wszyscy zasypiają dopiero o świcie. Mimo że dochodziła północ, ludzie wciąż spacerowali alejkami, próbowali fotografować zalany światłem pomnik Lincolna, wyprowadzali psy, palili papierosy, rozmawiali tak swobodnie, jakby to była pełnia dnia.

Tytus z Nadine podeszli do jeziora i przystanęli nad pomarszczoną przez podmuchy wiatru taflą wody. Stali w odległości dwóch, może trzech stóp od siebie, Tytus w smokingu z czarnym krawatem, a Nadine w długiej, plisowanej wieczorowej sukni z turkusowej krepy.

— Wiedziałam, że pewnego dnia będę musiała ci to powiedzieć — stwierdziła Nadine. — Cóż, dowiedziałbyś się zresztą tak, czy inaczej, gdybyś został prezydentem. Ale sytuacja uległa niespodziewanej zmianie. Zmierzamy do punktu krytycznego. To także częściowo twoja wina, chociaż nie możesz przecież zdawać sobie z tego sprawy. Gdybyś nie szantażował Robertsa, aby zatrzymał rozmowy rozbrojeniowe... cóż, moglibyśmy to odwlekać. Ale teraz... nie wydaje mi się, abyśmy mieli jakąkolwiek szansę, jeśli nie zgodzisz się wycofać swojego nacisku na Marshalla.

— Nadine — powiedział Tytus spokojnym, ale z trudem kontrolowanym głosem. — Wyduś z siebie to najważniejsze, do diabła.

— Próbuję ci powiedzieć. Próbuję, Tytus. Ale, widzisz, niemniej istotne niż żebyś mnie wysłuchał, jest to, abyś zrozumiał. Bo wszystko co uważałeś za solidną, niepodważalną rzeczywistość, każda linia polityczna, której się trzymałeś, wszystko, Tytus, w co wierzyłeś, że jest realną prawdą... cóż, nie jest nią. Świat jest kompletnie różny od tego, w którym wydaje ci się, że żyjesz.

Tytus obejrzał się do tyłu. Ludzie z ochrony zaparkowali swój samochód bezpośrednio za jego limuzyną i stali teraz piętnaście lub dwadzieścia stóp za nimi, z wysoko uniesionymi głowami, rozglądając się w poszukiwaniu snajperów lub chętnych do podłożenia bomby, rękami nerwowo przebierając w kieszeniach płaszczy.

— Nadine powiedział Tytus, trzeźwiej trochę, niemalże czułym głosem. — Czy nie dał ci ktoś jakiejś trawki podczas przyjęcia?

Gwałtownym ruchem głowy Nadine odrzuciła włosy, opadające jej na twarz.

— Uważasz, że jestem naćpana? Tak przypuszczasz?

— Uważam, że uleciałaś myślami gdzieś w przestworza i nie jestem pewien, czy powrócisz na ziemię do Dnia Dziękczynienia.

— Tytus — powiedziała. — Jest absolutną koniecznością, aby Marshall kontynuował rozmowy RINC.

— Czy zechcesz mi powiedzieć dlaczego?

— Tak od razu? Chcesz poznać całą prawdę?

— Tak, od razu. Strzelaj. Nie mam zamiaru sterczeć przez całą noc przy tym pieprzonym jeziorze.

— Prawda jest taka, Tytusie, że Stany Zjednoczone rządzone są od dwudziestu lat nie przez Kongres, nie przez żadnego z prezydentów, ale przez radziecki Komitet Nadzorczy.

Przerwała, aby poczekać na reakcję Tytusa, ale on nic nie powiedział, po prostu wpatrywał się w nią z bliska przymrużonymi oczami. Jedno oko miał prawie zamknięte, jakby chciał skupić wzrok gdzieś dalej, na jakimś odległym przedmiocie w parku.

— W Moskwie, mówiąc o Stanach Zjednoczonych Ameryki, używa się obecnie skrótu AKAO, Awtonomiczeskaja Kapitalistичесkaja Amerykańskaja Oblast. Komitet Nadzorczy składa się z trzydziestu najważniejszych przebywających tu oficjeli partyjnych. Kilku z nich znasz, na przykład Jewgenija Saratowa z ONZ, czy Antona Swiridowa z Rosyjskiej Rady Kultury. Przewodniczącym Komitetu jest były bliski przyjaciel Leonida Breżniewa, człowiek którego większość wtajemniczonych zna pod pseudonimem „Ikon”.

Nadine znów się zawahała. Nie mogła nadal wywnioskować z zachowania Tytusa czy ją rozumie, czy wierzy jej. Powiedział jednak:

— Mów dalej — bezbarwnym, słabym głosem i czekał, aż będzie kontynuowała.

— Ikon rządzi Ameryką od dwudziestu lat — powiedziała Nadine. — Każdy prezydent, wieczorem w dniu swojej inauguracji, dowiaduje się tego, co ja teraz mówię tobie. Mówi mu się, że ogólny styl jego administracji musi pozostać zgodny z zapowiedziami i obietnicami wyborczymi, ale wszystkie poważniejsze ruchy... polityczne, ekonomiczne, wojskowe... muszą być zgodne z ogólnym kierunkiem, wyznaczonym przez Ikona.

— Tak? — mruknął Tytus.

Nadine skrzyżowała ręce na piersiach, jakby owiał ją nagły chłód.

— Ikon, cokolwiek byś nie powiedział o jego marksistowskich przekonaniach, jest mądrym i wrażliwym człowiekiem. Czyni wszystko, co leży w jego mocy, aby doprowadzić Amerykę stopniowo do demokracji socjalistycznej, aby nie trzeba było poświęcać ani odrobiny z ducha samorządności i samodzielności, dzięki któremu Ameryka jest tym, czym jest. Lub czym była, zanim Ikon objął władzę.

— Pierwszą rzeczą, przeciwko której Ikon zawsze występował — kontynuowała — jest nagłe publiczne ujawnienie, że Amerykanie są podbitym narodem. Był przeciwny temu w 1962 i jest przeciwny do dnia dzisiejszego. Uważa, że Ameryce należy zezwolić egzystować i rozwijać się we własny sposób. Uważa, że nadal trzeba podtrzymywać wrażenie nieustannej sprzeczności między Wschodem i Zachodem. To wszystko jest częścią jego fundamentalnego trzydziestoletniego planu. Jest komunistą, oczywiście, ale jest też realistą i humanistą. „Nigdy nie należy szermować ludzkim życiem”, powtarza.

„Gdy raz zmusisz ludzi do walki, na zawsze odbierzesz im chęć do spokojnego życia”.

Tytus odwrócił się w kierunku jeziora i wpatrywał się w powierzchnię wody takim wzrokiem, jakby patrzył na wielki ocean, a nie na mały, ozdobny staw.

— Wszystko, w co wierzyłeś, co związane jest z amerykańską polityką, wszystkie związki przyczynowo-skutkowe w każdym obszarze polityki i władzy w ciągu ostatnich dwudziestu lat, to nieprawda. Ikon kontroluje wszystko. Każdy jego ruch polityczny ma na celu stopniowe uświadomienie Amerykanom, że są obywatelami świata, że ludzie radzieccy są ich przyjaciółmi i towarzyszami i że komunizm jest jedyną drogą prowadzącą do wolności i szczęścia. Wszystkich, a nie tylko groteskowo nieliczną elitę.

— Rozumiem — powiedział Tytus w nadprzyrodzony sposób jeszcze nad sobą panując. — A w jaki sposób Ikon chce osiągnąć ten socjalny i polityczny cud?

— Głównie dzięki systemowi ekonomicznemu Stanów Zjednoczonych — powiedziała Nadine. — Ikon używa wpływów Rosji w krajach bliskowschodnich, produkujących ropę naftową, jak również rosyjskiego wpływu na światowy system bankowy po to, aby wpuścić gospodarkę USA w ślepy zaułek. Jego celem jest podważenie samych podstaw systemu kapitalistycznego, zachęcenie amerykańskiej klasy robotniczej, aby odważniej zwróciła się ku nowej politycznej alternatywie. Uczyni to, gdy nie będzie miała innego wyboru.

— A co mają do tego rozmowy RINC?

— RINC jest jednym z ostatnich długoterminowych przedsięwzięć Ikona, prowadzących do całkowitego rozbrojenia nuklearnego. To Ikon jest autorem całości porozumień SALT, ale RINC to jego specjalny powód do dumy, głównie z tej przyczyny, że został poparty przez tak wielu wybitnych europejskich polityków i wojskowych — nawet przez generała Rogersa, głównodowodzącego Połączonymi Siłami w Europie. RINC po ratyfikowaniu oznaczać będzie koniec tego, co NATO nazywa „elastyczną reakcją”, koniec założenia że Zachód mógłby jako pierwszy użyć broni jądrowej. Efektem tego będzie też początek nieskrępowanej radzieckiej supremacji w Europie. No i pokój, na zawsze.

— Nie mogę uwierzyć własnym uszom — powiedział Tytus.

— Wiem, że to jest trudne — mówiła Nadine. — Ale musisz mnie wysłuchać i zadać sobie trud zrozumienia wszystkiego, ponieważ będzie to miało rozstrzygające znaczenie. I to w wyniku twego działania, przez twoją upartą walkę przeciwko RINC. Ikon jest już stary i bardzo chory. Może nie przeżyć najbliższych sześciu miesięcy. Przynajmniej dwóch członków Komitetu Nadzorczego chce usunąć go już teraz, dzisiaj, a większość Komitetu przekonana jest, że Amerykę należy już w tej chwili otwarcie ogłosić krajem podległym Związkowi Radzieckiemu. Ikon chciał zachować Stany Zjednoczone, nie dopuścić do ataku na ich tradycje, folklor, kolorystykę, nie mówiąc już o samopoczuciu psychicznym ludzi. Ale w szczególności Kama, Komisarz do spraw Narodowego Bezpieczeństwa, chce natychmiast zobaczyć czerwoną flagę, powiewającą nad Waszyngto-

nem i utopić cały dorobek kapitalizmu w szkarłacie. Kama jest liderem grupy „Peredoviki”, innowatorów, rewolucjonistów.

— Jeśli jednak rozmowy RINC zakończą się sukcesem — kontynuowała Nadine — społeczność amerykańską będzie można stopniowo przekonywać, że prawdziwe i całkowite rozbrojenie jest nie tylko możliwe, ale już bliskie. Czy wyobrażasz sobie ten oddech ulgi po trzydziestu latach zimnej wojny? Nadzieję, jaką poczują ludzie, gdy zdadzą sobie sprawę, że cała broń nuklearna zostanie wkrótce zniszczona? Moskwa już wiele razy naciskała na Ikona. Żądali od niego, aby wprowadził oficjalnie komunistyczne rządy w Waszyngtonie przynajmniej dwa razy szybciej, niż on to zaplanował. Resztą sił kontroluje sytuację. Z największym trudem udało mu się przekonać Moskwę, że RINC I i RINC II mogą być ratyfikowane i że za pomocą wszystkich środków które on stosuje, Ameryka zostanie z pewnością skomunizowana w ciągu najbliższych dziesięciu lat. Ale...

— Ale? — powtórzył Tytus.

— Ale jeśli RINC upadnie, prawie na pewno „Peredoviki” przejmą kontrolę nad sytuacją. Kama i Iljuszkin zmuszą Marshalla Robertsa do ogłoszenia, że Ameryka jest administracyjną obłast’ią, odpowiedzialną bezpośrednio przed Komunistyczną Partią Związku Radzieckiego. I wtedy rozpocznie się piekło. Uwierz mi Tytus, piekło. Już widzę te bomby wodorowe, uderzające gdzie popadnie. Ameryka zginie.

Tytus usiadł na trawie i bardzo długo wpatrywał się w falujące na wodzie odbicie okolicznych promenad i pomnika Lincolna. Jeden z członków ochrony podszedł trochę bliżej, nie za blisko jednak i odezwał się grzecznie:

— Kiedy będzie pan gotowy, aby stąd ruszyć, panie sekretarzu? Jesteśmy trochę niepokojni o warunki bezpieczeństwa tutaj.

Tytus powstał i spojrzał na Nadine. Po chwili powiedział:

— Już, już jedziemy. Natychmiast. Chodź, Nadine. Dokończymy naszą dyskusję w domu.

Jechali do Georgetown w milczeniu. Tytus bębnił palcami po szarym obiciu wnętrza Cadillaka i pokasływał od czasu do czasu. Były to ostre, krótkie kaszlnięcia. Ani razu nie spojrzał na Nadine i nie odpowiedział jej nawet wtedy, gdy zapytała:

— Tytus, dobrze się czujesz?

W salonie Carl i Samantha porozrzucali po całej podłodze płyty i akurat słuchali muzyki z „Fame”, tak głośno, że drżał kryształowy żyrandol. Tytus wkroczył do pokoju i powiedział:

— Wyłączcie ten cholerny hałas i wynoście się stąd do diabła.

— Przepraszam cię, tatusiu, ale nie słyszę co mówisz — krzyknął Carl. — Muzyka jest zbyt głośna.

Tytus w mgnieniu oka obiegł stół, znalazł się przy adapterze i w tym samym mo-

mencie dźwięki muzyki zastąpione zostały przez przeciągły pisk igły, brutalnie niszczącej płytę. Następnie Tytus wyrwał kable, łączące gramofon ze wzmacniaczem i cisnął gramofonem przez cały pokój. Trafił w zbiór marmurowych figurek, odłupując głowę pasterce z Staffordshire i niszcząc znajdujące się z tyłu lustro w pozłacanych ramach.

— A teraz wynoście się stąd! — wrzasnął ze złością. — Wynoście się, bachory, zanim to samo zrobię z wami!

Carl i Samanta pozbierali swoje płyty i opuścili pokój z niespotykanym u nich pośpiechem, w zupełnej ciszy.

— Idę do łóżka — powiedziała Nadine. — Nie mam zamiaru znosić twoich chamskich wybuchów. Mówiąc ci dzisiaj prawdę, zaryzykowałam życiem, a cała twoja reakcja ogranicza się do zachowania godnego tępego sierżanta.

— Nigdzie nie pójdziesz — warknął Tytus. Podeszedł do szafki z alkoholami, szeroko otworzył drzwiczki i wyciągnął butelkę dziesięcioletniej whisky Glenmorangic.

— Jeśli zamierzasz pić...

— Zamknij się! — ryknął, wyciągając w jej kierunku palec wskazujący. — Posłuchaj mnie teraz uważnie.

— Bardzo dobrze — powiedział Nadine. — Ale skoro już zajmujesz się alkoholem, to nalej mi Campari z wodą sodową.

— Jesteś pewna, że nie wolałabyś Stolicznej?

— Jestem Rosjanką, jeśli masz jakiegokolwiek wątpliwości.

— Jesteś Rosjanką, naprawdę? Przypuszczam więc, że również Carl i Samanta są Rosjanami i cała służba to Rosjanie, a ja przez ten cały czas niczego nie podejrzewałem! Nadine, na miłość boską, dość tego, jestem Sekretarzem Stanu, jestem, do cholery, Sekretarzem Stanu w tym kraju!

Usiadł ciężko na swoim ulubionym, obitym perkalem fotelu, skrzyżował nogi na kolanach i wlał w siebie błyskawicznie dwa lub trzy tyki whisky.

— Jezu Chryste — westchnął.

Nadine usiadła na dywanie naprzeciw niego. Gdy spojrzał na nią, zobaczył na jej twarzy wyraz głębokiego smutku.

— Nie widziałam innego wyjścia — powiedziała. — Naprawdę nie było innego rozwiązania.

— Nie widziałas innego wyjścia z czego?

— Tytus, miałam wybór. Albo powiedzieć ci wszystko i przekonać cię do wycofania zastrzeżeń wobec RINC, albo po prostu zabić jutro Colleen Petley.

— Teraz wiem już na pewno, że zwariowałaś — powiedział Tytus.

— Tytus, proszę cię, musisz zrozumieć, że...

— Już rozumiem. Rozumiem doskonale. Rozumiem, że moja lojalna, kochana żona, żona na którą zawsze mogę liczyć, opowiada mi jakieś nieprzyzwoite i niepatriotyczne

gówniane bajki, po to abym czuł się winnym z powodu powstrzymania Marshalla Roberta od tych głupich dyskusji rozbrojeniowych, z powodu odebrania Ameryce szansy pozbycia się broni atomowej. Przestań Nadine, nie jestem kompletnym głupcem. Potrafię dostrzec alegorię, gdy ktoś jej używa rozmawiając ze mną. Bo to była alegoria, prawda? Bajka Ezopa o Ameryce. Opowiadanie, które miało dać mi do zrozumienia, że odrzucam w siną dal szansę pozbycia się przez świat broni atomowej.

Nadine siedziała w osłupieniu, jej policzki straciły wszelki kolor. Tytus znów wyciągnął palec w jej kierunku i powiedział:

— Pozwól, że teraz ja ci coś powiem, moja damo. Jesteś piękną kobietą. Masz wszystko, czego tylko zapagniesz. Ale jeśli zaczniesz wtrącać się w nie swoje sprawy, jeśli zaczniesz mądrzyć się na przyjęciach w ambasadach i jeśli zrobisz z siebie moralizatorkę, wymyślającą antyamerykańskie bajki w złym guście, takie jak ta którą mnie dzisiaj uraczyłaś, będzie z nami koniec. A jeśli się rozejdziemy, to zapamiętaj sobie, odczujesz to tak, że nawet sobie tego nie jesteś w stanie wyobrazić.

— Tytus — wyszeptała. — Na Boga, ty sobie nie zdajesz sprawy...

— Zdaję sobie sprawę, że poślubiłem księżniczkę o umyśle wiążmy, z tego sobie doskonale zdaję sprawę. Ale ty sobie nie zdajesz sprawy, co za chwilę zrobisz. Otóż księżniczka wyskoczy teraz ze wszystkich swoich pięknych łaszków, będzie pełzać po podłodze i całować moje stopy. Powie mi, że jest jej bardzo przykro, przeprosi za swoją podłość nie tylko mnie, ale całe Stany Zjednoczone Ameryki i wielki, dumny naród amerykański.

— Tytus, jesteś bardzo pijany.

— O nie, Nadine, nie jestem pijany. Zatruty tym wszystkim, co mi opowiedziałaś, tak. Ale nie pijany. Żaden mężczyzna nie jest pijany, gdy ty znajdziesz się w pobliżu. Otrzeźwiesz każdego, nawet umarlaka w jego grobie.

— Tytus...

— Pierdolę cię, damo! — wrzasnął Tytus i wrzucił swą pustą szklankę po whisky do kominka. Zsunął się z fotela i dworna gwałtownymi szarpnięciami rozerwał przód sukni wieczorowej Nadine, obnażając jej piersi i brzuch aż do talii.

— Jak śmiesz opowiadać mi takie kretyństwa! — trząsł się z gniewu. — Walczyłem dla tego kraju, oddawałem dla niego siódme poty przez całe moje dorosłe życie. Widziałem moich przyjaciół, wypatroszonych przez wroga. Widziałem moją rodzinę, oszalałą z żalu. Oddałem wszystko i jeszcze raz wszystko dla flagi z gwiazd i pasów, i dla Amerykańskiej Konstytucji.

Wstał. Był tak pijany, że musiał przytrzymywać się oparcia swego fotela, aby utrzymać się w pionie. Nagle zaczął śpiewać, głośnym, grubym głosem, ostatnie wersy „The Red — Spangled Banner”.

*Oh! thus be it ever, when freemen shall stand
Between their loved home and the war's desolation!
Blest with victory and peace, may the heav'n rescued land
Praise the Power that hath made and preserved us a nation.*

Nadine chwyciła go za rękaw i powiedziała: — Tytus, proszę. — Ale on odepchnął ją. Dotarł do środka pokoju, z oczami nabiegłymi krwią i zamglonymi przez działanie alkoholu, i śpiewał, najgłośniejszym jak tylko potrafił:

*Then conquer we must, when our case is just
And this be our motto: „In God is our trust”.
And the star — spangled banner in triumph shall wave
O'er the land of the free and the home of the brave.*

— Tytus, proszę. Musisz posłuchać.

— Już dość dziś wysłuchałem, do cholery. Od dnia, w którym się z tobą pobrałem, wiem, jaką jesteś zasraną pacyfistką. Nie mogłem nie zauważyć, naprawdę, jak sobie ze mnie szydziłaś. „Nuklearna nierównowaga”, mówiłaś, jakby to był kawałek gówna! A teraz to wszystko! Amerykańska Kapitałistyczna Obszar. Myślisz że to jest zabawne? Do cholery, czy wydaje ci się, że to jest zabawne?

— Tytus! — wykrzyknęła Nadine. — To jest prawda! A ja nie chcę zabijać Colleen! Proszę! Posłuchaj! Jeśli mnie nie wysłuchasz, będę musiała zabić Colleen! Tytus! Niech cię diabli wezmą, Tytus, ja ją kocham!

Tytus odwrócił się i rąbnął Nadine zaciśniętą pięścią prosto w szczękę. Upadła na dywan, a Tytus padł koło niej na kolana i zrywał z niej suknię, dopóki nie pozostała prawie naga, wyłącznie w pończochach i jedwabnych majteczkach.

— Jezu, ty suko — warknął na nią. Otworzyła oczy, jeszcze oszołomiona i wpatrywała się w niego, jakby go nie rozpoznawała.

— Tytus? — wyszeptała.

Zerwał z niej majtki i uwolnił się niezdarnie z własnego ubrania, pozostawiając na sobie koszulę z przekrzywionym, wykrochmalonym kołnierzykiem; i wspiał się na nią. Nie broniła się, nie mogła. Był zbyt ciężki, zbyt silny, zbyt rozwścieczony, zbyt podniecony i zbyt pijany. Jego penis sterczał we wzwodzie, dorodny narząd, ale jakby jakiś zimny, nieożywiony. Zaczął wpychać go w nią z zawziętością, mocno, raz po raz. Gwałcił ją, gdyż nie uczestniczyła w tym i nie chciała tego. Później przewrócił ją na brzuch i znów jej włożył, a ona drapała paznokciami delikatny puch perskiego dywanu i rozrywała go dłońmi, nad których ruchami już nie panowała. Wreszcie Tytus dotarł do jej najciaśniejszego miejsca, zadrżał w orgazmie, a ona zamknęła oczy i próbowała pocieszyć się na-

dzieją, że to było ostatnie, skrajne poświęcenie dla idei, dla której żyła i dla realizowania której ją wytrenowano. Nie mogła dać już nic więcej, oprócz życia.

Tytus wstał, zachwiał się i spróbował skupić swój wzrok na niej, triumfujący, lubieżny.

— Jesteś niczym, wiesz o tym? Waszyngtońską kurwą. Polityczną dziwką. Suką. Wiesz co? Rzygać mi się chce, gdy na ciebie patrzę.

Wypowiedziawszy to, niepewnym krokiem ruszył ku drzwiom.

Nadine usiadła wśród strzępów swej wieczorowej sukni. Na piersiach i na brzuchu miała wyraźne ślady po jego palcach. Głowa pulsowała jej ostrym, tętniącym, niemożliwym do zniesienia bólem. Pochyliła ją i spojrzała w miejsce, gdzie wdarł się przed chwilą Tytus. Poczwała płyn, sączący się ze sponiewieranej waginy. Tytus wtargnął w nią i zachwiał jej równowagę psychiczną — erotycznie i politycznie — z obojętnością, bez uczucia, jakby była przedmiotem i niczym więcej. Okazał się zimny i okrutny, podczas gdy Colleen całowała ją, pieściła i ją rozumiała. I jak na ironię, to Colleen miała zabić na rozkaz Ikona, a Tytusem, na rozkaz tego samego człowieka, miała się opiekować, dbać o niego i być wzorową żoną.

Tytus wrócił do pokoju, otwierając drzwi tak gwałtownie, że spadła jedna z pamiątkowych fotografii, wiszących na ścianie.

— Idziesz do łóżka? — zapytał.

— Nie — odpowiedziała. Ale za chwilę: Tak.

— Posłuchaj — odezwał się. Po chwili powtórzył z wahaniem, delikatniejszym głosem. — Posłuchaj, jest mi strasznie przykro. Uderzyłem cię. Przykro mi, że cię zraniłem. Ty... to ty jednak doprowadziłaś do tego, że straciłem nad sobą kontrolę.

Spojrzał na nią uważnie i widział ją nagą wśród strzępów sukni, a błysk w jego oczach powiedział Nadine, że znów jest gotowy, podniecony. Tytus był jednak żołnierzem. Swój sukces zawsze mierzył wielkością bólu, zadanego innym ludziom. Po to są w końcu żołnierze. Zranił ją głęboko, zranił ją najmocniej jak mógł i triumfował.

Odbył z nią kolejny stosunek.

Później szeptał jej w ucho:

— Ta cała historia o Rosji...

— Tak? — wyobrażała sobie, jak jej szept ulatuje ku ozdobnemu wysokiemu sufity, niczym balon wypełniony helem.

— To wszystko była brednia, prawda?

— Jeśli tego chcesz?

— Amerykańskaja Kapitalistyczeskaja Oblast? To był żart, prawda? Ostry, intelektualny żart. Trochę za ostry na tak patriotycznego faceta, jak ja.

— Jesteś ciągle pijany.

— Nie, nie jestem. Nie było ani jednego oficera w Nam, który mógłby wypić wię-

cej ode mnie. Ani jednego. A piliśmy wówczas Chivas Regal i Singha Beer. Na wyjściu. Wiesz, co to takiego Singha Beer? Piwo z Tajlandii. Dwa — wystarczyłyby dwa kufle Singha Beer, aby kompletnie rozłożyć przeciętnego amerykańskiego pijaczka.

— Tytus, to prawda. Ikon istnieje. Amerykańska Oblast jest prawdą, od dwudziestu lat.

Tytus zacisnął oczy.

— Nadine — powiedział. — Porozmawiamy o tym rano. Dobrze? I będziemy jeszcze musieli porozmawiać o tych twoich pieprzonych bachorach. W porządku? Zrozumiałaś? A teraz przygotuję sobie spanie na kanapie w bibliotece.

— Dzięki ci za to, Boże — powiedziała. Gorycz w jej głosie była jak sok cytrynowy, wylany na ranę.

Wstał i obserwował jak Nadine ciężko podnosi się z podłogi, zbiera swoje porozdzierane ubranie i powłóczy nogami idąc w kierunku schodów. Nie był w stanie nawet w minimalnym stopniu pojąć, co ona czuła; nie fizycznie, z powodu tego co jej zrobił, ale psychicznie. Nie pozostawił jej żadnej alternatywy, musiała otruć Colleen Petley; nie miała już żadnej nadziei, czekała ją konieczność unicestwienia jedynej osoby, której była w stanie ofiarować szczere uczucie.

— Oblast, na rany Chrystusa — szepnął Tytus, gdy go mijała.

Była zaledwie piąta rano, gdy Tytus obudził się z policzkiem przyciśniętym do lśniącej brązowej skóry małej kanapy, ustawionej w jego bibliotece, mokry od śliny, sączący mu się przez cały czas z ust. Wtedy po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że Nadine mogła wcale nie żartować i że rządy Ikona mogą być od dwudziestu lat ohydą rzeczywistością. Usiadł: ścienny zegar wybijał właśnie godzinę piątą. Pomyślał: „Jezu Chryste”.

U góry, łóżko Nadine było puste. Zimne, tej nocy nie używane. Tytus wpatrywał się w nie prawie pięć minut. Później podszedł do telefonu i zadzwonił do Joe’go Jaspera.

Rozdział dwudziesty czwarty

Padło wiele gwałtownych argumentów, trzaskały drzwi, były długie chwile pełne ciszy i bólu, ale w końcu Kathy Forbes namówiła Daniela, aby poleciał z nią do Los Angeles. Dwa dni minęły bowiem bez telefonu od porywaczy, dwa dni bez listu z żądaniem okupu, dwa dni puste, bez niczego, tylko z żołądkiem podchodzącym Danielowi do gardła na każdy dźwięk telefonu; i dwie bezsenne noce.

W głowie kołatał mu tylko ten rym:

*Mój tatko zakończył swoje życie długie,
Zostawił mi konie, aby szły za pługiem*

Za radą Kathy, Pete Burns porozwieszał plakaty o poszukiwaniu zaginionego dziecka, z czarno-białą fotografią Susie, zrobioną podczas Święta Dziękczynienia.

Naturalnie, Pete Burns przekazał szczegółowe informacje porucznikowi Berridge z Phoenix. I do tego swą rękę przyłożyła Kathy. Podejrzanym o dokonanie porwania był bowiem Skellett.

Daniel pozostawił informację, gdzie go szukać i w ostatni czwartek sierpnia wylecieli z Kathy ze Sky Harbor. Lecieli najpierw w kierunku wschodnim, a dopiero później samolot zmienił kurs na południowo-zachodni, tak że Daniel mógł obejrzeć z lotu ptaka całe Phoenix, rozwijające się w kierunku New River Mountains.

Myślał o Carze. Ciągle leżała w szpitalu, z założonymi dwudziestoma sześcioma szwami i trzema pękniętymi żebrami. Później spojrzał na Kathy, siedzącą obok niego, a ona uśmiechnęła się łagodnie i czuł przynajmniej, że nie jest sam.

Wkrótce razem z Kathy zainstalowali się w wynajętym spokojnym domku w pobliżu Bulwaru Zachodzącego Słońca i spędzili większość czasu, próbując rozmawiać z kimkolwiek, kto mógł pamiętać Marilyn Monroe. Znaleźli się agenci i aktorzy, którzy zjedli z nimi lunch na koszt „Arizona Flag” i opowiadali jakieś apokryficzne historie o nocy, gdy zmarła Marilyn Monroe, albo opowieści o wyimaginowanych konfliktach pomię-

dzy Marilyn i różnymi ludźmi, albo cokolwiek, co im przychodziło do głów. Ale większość zawodowców z Hollywood po prostu wzruszała ramionami, błędząc dookoła niepewnym wzrokiem, jakby zejście Marilyn wciąż było niemiłym osobistym wspomnieniem, jakby wielu z nich czuło się osobiście odpowiedzialnymi za ten tydzień, gdy nie pojawiła się na zdjęciach do „Something’s Got to Give”. Jakby wszyscy z nich byli tej nocy w Brentwood i wpychali jej do gardła nembutał, aby uciszyć ten blondwłosy wyrzut sumienia na zawsze i uzyskać kto wie jaki rodzaj zapomnienia, świętego spokoju od seksualnego ducha późnych lat pięćdziesiątych.

Jeden z nich powiedział: — Miałaby teraz pięćdziesiąt sześć lat, gdyby jeszcze żyła. Pięćdziesiąt sześć lat, rozumiecie? Ona nienawidziłaby tego.

Ale większość z nich mówiła: — Chcecie, abym rozmawiał o Marilyn? Po co? Wszystko skończone. Nie żyje i niech spokojnie spoczywa w swoim grobie.

A jednak, przez przypadek, spotkali Rolo Sekulowitza.

Było to nad ranem trzeciego dnia. Jedli właśnie śniadanie w barze przy Sunset Hyatt i Daniel wrócił przed chwilą z budki telefonicznej po rozmowie z Pete Burnsem. Sprawdził, jak co dzień, czy nie ma wiadomości o Susie. Bar pachniał kawą i smażonym bekonem, rozbrzmiewał konwersacją biznesmenów, którzy dopiero co wstali z łóżek, żon, które właśnie wyruszały na zakupy i kelnerek, odmawiających podawania czegokolwiek, co nie było zapisane w karcie dań.

— Żadnych wiadomości? — zapytała Kathy.

Daniel zaprzeczył ruchem głowy.

— Nic. Nie ma nawet żądania okupu.

— To nie jest zły znak.

— To nie jest również dobry znak.

— Wiem. Nie zamierzam udawać, że wszystko idzie pięknie i jak po maśle. To nie w moim stylu.

Daniel usiadł i zmierzył wzrokiem swój talerz z jajecznicą na bekonie po kanadyjsku.

— Myślisz, że ją zabili? — zapytał.

— Nie — odpowiedziała Kathy. — Wszystko wskazuje na to, że nie. Po co by mieli ją zabijać? Jeśli chcą pieniędzy, potrzebna jest im żywa, jeśli chcą mieć zakładnika, także nie mogą jej zabić. Jeśli chcą ciebie, również potrzebują ją żywą.

— Dlaczego mieliby chcieć mnie?

— Może jakiś ptaszek z Air Force zaśpiewał im, że kręciłeś się dookoła kostnicy w bazie w Williams? Może to jest jedyny powód jej porwania?

— Ale jeśli mają coś do mnie, dlaczego się ze mną nie kontaktują? To cholerne milczenie. Nawet nie wiem, czy moja córka żyje. Nie wiem gdzie jest, jaką krzywdę jej zrobili. A ona jest moja, rozumiesz? To moja córka. Moja wina, nie upilnowałem jej.

Kathy pochyliła się nad stołem i dotknęła jego ręki.

— Musisz przestać się obwiniać. To nie była twoja wina.

— A czyja? Nawet nie jej matki, sam odpowiadam za nią.

— Skontaktowałeś się z Candii?

— Z Candii? Po co? Susie jej zupełnie nie obchodzi. Zbyt jest zajęta tym swoim głupim Howardem Keefem.

W tym momencie jakiś mężczyzna w krzycząco purpurowym swetrze stanął przy nich i zapytał:

— Mogę usiąść przy was, ludzie?

— Siadaj pan — odpowiedział Daniel. Potem dalej mówił do Kathy. — Kogo marny dzisiaj na liście? Skontaktowałaś się z MGM? Jest tam jeszcze ktoś, kto mógłby wiedzieć, co robiła Marilyn ostatniej nocy? A może policjanci, albo jaki lekarz?

— Przepraszam — powiedział mężczyzna w purpurowym swetrze — czy rozmawiacie może o Marilyn Monroe?

Daniel i Kathy popatrzeni po sobie i po chwili Daniel powiedział ostrożnie:

— Właśnie. Jesteśmy, widzi pan, dziennikarzami. Piszemy książkę o słynnych skandalach w Hollywood.

— Cóż, macie więc sporo materiałów — mężczyzna wyszczerzył zęby. Przypominał Danielowi Eda Kocha, był tylko trochę mniejszy. — Ale skoro mówicie o Marilyn, to znaczy że mówicie o Marilyn. Tak, to był skandal. Mówicie o Marilyn, a połowa ludzi w Hollywood sra w majtki na sam dźwięk jej imienia, jeszcze dzisiaj. Znałem Marilyn. Oczywiście, że ją znałem, nie bądźcie tacy zdziwieni. Znałem Marilyn prawie tak dobrze, jak znam moją kuzynkę Frumę.

I tak prawdę mówiąc nie widzę między nimi żadnej różnicy, no może Fruma ma trochę większe piersi.

— Widział pan Marilyn tej nocy, kiedy umarła? — spytała Kathy. — Lub chociaż w tym samym tygodniu?

— Więcej — powiedział mężczyzna. — Wiem coś bardzo interesującego na ten temat. Ale posłuchajcie... Aha, powinienem najpierw się przedstawić. Rolo Sekulowitz, do usług. Jestem agentem. Ludzie wołają na mnie R.S. Słyszeliście o Christy Welcome? To jedna z moich dziewcząt. Pracuję głównie dla dziewcząt. Młodych, nowych w branży dziewcząt. Znajduję im jakieś zajęcia w filmach tak, że nie muszą pchać się do łóżek producentom, wybaczcie wulgarność. Możecie ranie nazywać jednoosobową misją dobroczynną, jeśli chcecie. No i Christy Welcome wcale nie musiała iść do łóżka z Donem Oppenheimem, aby dostać główną rolę w „The Triple Murder”, i Jean Prisnik wcale nie musiała spać z Jimem Martinem, chociaż spała. Cóż, polubiła go, to miły facet.

Kathy nabrała na widelec ostatnią porcję sałatki z tropikalnych owoców.

— Czy chciał pan nam coś opowiedzieć o Marilyn?

— Marilyn, oczywiście. To interesująca historia. Może mi nie uwierzycie, kto wie? Ale zawsze możecie sprawdzić. Może w policji w Brentwood wskażą wam kogoś, kto pamięta tę noc, któregoś z ówczesnych funkcjonariuszy. To było dwadzieścia lat temu, prawda? Ale pamiętam wszystko, jakby to było wczoraj. Chcecie wiedzieć dlaczego? Miałem nową dziewczynę o nazwisku Vera Rutledge. Co za nazwisko, prawda? Vera Rutledge. Czasami myślę sobie, że ludzie zostają aktorami tylko po to, aby pozbyć się głupich nazwisk, wybaczcie.

— No i co z tą Verą Rutledge? — naciskała Kathy.

— Była kapitalna — powiedział Rolo Sekulowitz. — Była blondynką, naturalną blondynką i wyglądała zupełnie jak Marilyn. Marilyn miała poprawiany nos, wiecie o tym, ale Vera nie potrzebowała niczego takiego. Wyglądała idealnie tak, jak Marilyn powinna wyglądać, niestety jej nieszczęściem było to, że Marilyn była pierwsza. Dziesięć lat wcześniej zrobiłbym z niej wielką gwiazdę. Miała taki wzrok, wiecie, przyprawiający o dreszcze, idealnie taki jak Marilyn i to spojrzenie, mówiące „podejdź do mnie”. Była chodzącym seksem. Vera Rutledge, jedno z wielkich nazwisk, które nigdy nie stało się wielkim.

— Co się z nią stało? — zapytał Daniel.

— I to właśnie jest sedno rzeczy — stwierdził Rolo Sekulowitz. — Vera Rutledge została zaproszona na party tej samej nocy, kiedy umarła Marilyn... na party, na którym spodziewano się również Marilyn. Poinformowałem dyskretnie moich przyjaciół z „Times’a”, że będą mieli okazję zrobić kilka ciekawych fotek, jeśli dopadną Verę i Marilyn razem, wiecie o czym myślę, „Marilyn spotyka Marilyn” lub „Bliźniaczki Monroe”, czy coś w tym stylu. No i słuchajcie, około pomocy ciągle pracuję nad nowym kontraktem dla mojej najnowszej dziewczynki, Darlene Hughes, tak, pracowałem, a tu Rick Montez z „Times’a” dzwoni do mnie wściekły i mówi, że ani Vera ani Marilyn nie pokazały się na party, oczywiście klnie mnie jak wszyscy diabli, wybaczcie.

— No dobrze, gdzie była wtedy Marilyn to wszyscy doskonale wiemy — stwierdziła Kathy. — Co nowego więc może pan powiedzieć? Poza tym, że gwiazdeczka o nazwisku Vera Rutledge nie zjawiała się dwadzieścia lat temu na przyjęciu, na którym nie pojawiła się również Marilyn.

— Słuchajcie mnie uważnie powiedział Rolo Sekulowitz. — Żadnej z nich już nigdy nie widziano żywej. Marilyn Monroe, jak nam zakomunikowano, przedawkowała tabletki nasenne, a Vera Rutledge po prostu zniknęła bez śladu. Wynająłem dwóch prywatnych detektywów, aby ją odnaleźli. Ale musieli dać spokój po sześciu miesiącach. Jak wiele zaginionych pańienek odnaleźli, jak wiele ciał młodych dziewcząt, bylibyście zdziwieni. Dwóch morderców stracono w efekcie ich śledztwa, a jeden poszedł za kratki z dożywotnim wyrokiem. Ale nigdy nie znalazłem Very. Zwyczajnie rozpułyła się, ot tak, tej samej nocy kiedy umarła Marilyn, jakby była duchem lub czymś takim, jakby

ona i Marilyn były częściami tej samej osoby.

— Gdzie mieszkała Vera, panie Sekulowicz? — spytała Kathy. — W Los Angeles?

— Żyła razem z matką w Van Nuys. Niedaleko od miejsca, gdzie Marilyn mieszkała z Jimem Dougherty, gdy była pierwszy raz zamężna. Matka Very zawsze powtarzała, że rodzina Rutledge'ów przyjaźniła się z rodziną Dougherty, ale myślę że to tylko jej wymysł. Mieszka w tym samym miejscu do dnia dzisiejszego.

Daniel skończył swoje śniadanie i odsunął talerz.

— Panie Sekulowicz — zapytał. — Dlaczego nam pan o tym wszystkim opowiada?

Rolo Sekulowicz przybrał przygnębiony, sentymentalny wyraz twarzy.

— Chcecie wiedzieć prawdę? Vera Rutledge była zawsze moim cacuszkiem. Nigdy nie zaciągnąłem jej do łóżka. Byłem wierny mojej żonie. Boże świeć nad jej duszą. Zawsze byłem człowiekiem z zasadami. I Vera Rutledge była dla mnie czymś specjalnym, czymś więcej niż kiedykolwiek mogłaby być Marilyn. Gdybyście chcieli Marilyn idealnej, z cudownymi, puszystymi jasnymi włosami, to właśnie taka była Vera. I ja posłałem ją na to party tego wieczoru. „To będzie doskonała reklama dla ciebie”, powiedziałem jej. „Idź”. No i poszła, a ja nigdy więcej już jej nie zobaczyłem. Nigdy.

Daniel pomyślał o Susie, że też być może nigdy już jej nie zobaczy. Vera Rutledge i Marilyn Monroe, i Susie Korvitz, zabłąkane wędrowniczynie w tajemniczym wymiarze.

Tego popołudnia pojechali do Brentwood. Zanim dojechali do Mandeville Canyon Road, gdzie mieszkał emerytowany porucznik Lindblad, z policji w Los Angeles, skręcili w lewo z Bulwaru Zachodzącego Słońca i jechali wolno wzdłuż rzędów ekskluzywnych, ślepych uliczek, nazwanych Helena Drive. Łącznie było dwadzieścia pięć Helena Drive, osiemnaście z nich po południowej stronie bulwaru i na jednej z nich żyła i — jak stwierdzono — umarła Marilyn Monroe.

Zatrzymali się. Było gorąco popołudnie, a jednak promienie słoneczne z trudem przedzierały się przez smog wiszący nad Los Angeles. Silnik ich wynajętego Monaco charczał i gwizdał, lecz na piątej Helena Drive był to jedyny dźwięk, nie licząc dalekiego radia, grającego, o ironio, „Candle in the Wind”. Danielowi przyszło na myśl, że Elton John mógłby rzeczywiście poznać Normę Jean; gdyby tylko komukolwiek przyszło na myśl, że przez dwadzieścia lat, w obawie o swoje życie, ukrywała się w Phoenix, pod przybranym nazwiskiem Margot Schneider.

— To jest dom Monroe — powiedziała Kathy. — Nieduży, prawda?

— Do niczego niepodobny. Taka cementowo-ceglana hacjenda.

Gdy ruszali, Kathy odezwała się cicho:

— Proszę cię, Daniel, bądź odważny. Jestem pewna, że z Susie jest wszystko w porządku.

— Odważny? A co, co cholery, wspólnego ma z tym wszystkim odwaga?

— Nie wiem. Ale myślę, że to pomaga.

— Skoro tak twierdzisz.

Porucznik Lindblad mieszkał w małym białym, pokrytym stiukiem bungalowie, z czerwonymi meksykańskimi dachówkami i kutym w żelazie znakiem na murze, obwieszczającym że oto przybysz znajduje się w „La Casita Mia”. Kiedy się zbliżyli, akurat podlewał trawnik, chudy, sześćdziesięcioletni mężczyzna, w białej koszuli z krótkimi rękawami i w lekkich szarych spodniach, typ człowieka, u którego wydawało się, że zanikły wszelkie mięśnie, z którego nie pozostało nic pod gęsto pomarszczoną skórą, tylko kości, ścięgna i żyły. Okulary przeciwsłoneczne trzymał uniesione na czole, odsłaniając oczy wypłowiałe przez lata pracy w policji i przez lata mrużenia ich przed słońcem. Uniósł rękę w geście pozdrowienia, gdy podeszli do niego. Daniel dostrzegł wówczas wątle, luźne mięśnie na jego barku. Chodząca lekcja anatomii.

— Ludzie, macie ochotę na odrobinę guacamoli? Moja żona przyrządziła właśnie świeże. Robi to najlepiej w całym wielkim Los Angeles, wierzcie mi. Rosa, wyjdź i przywitaj się!

Sympatyczna, pulchna Meksykanka, z włosami pełnymi spinek, wyszła z domu, powiedziała „cześć” i „cześć”, i to było wszystko. Ubrana była w lekką purpurowo-żółtą sukienkę, z trudem mieszczącą jej nadzwyczaj wielkie piersi i szerokie pośladki. Odwróciła się zaraz i weszła z powrotem do bungalowu. W ruchu, wszystkie części jej ciała wydawały się tańczyć, lecz każda do rytmu wystukiwanego przez innego perkusistę.

— Rosa jest nadzwyczajną kobietą — powiedział Lindblad. — To moja druga żona. Taki typ kobiety, o jakiej zawsze marzyłem. Moja pierwsza żona była chuda, podła i zgryźliwa. Potrzebowałem takiej kobiety, dla której byłbym w życiu wszystkim. Rozumiecie, o czym myślę? No i mam, czego chciałem. Nigdy nie było mi tak wspaniale, jak teraz.

Usiedli w środku, w chłodzie, wokół szklanego stolika o kutyh w żelazie nogach i jedli guacamole oraz świeżo upieczone taco z frytkami, popijając Budweiserem.

— Pochodzę z Wisconsin, z Milwaukee — mówił porucznik. — Nie tknę piwa z Zachodu za nic w świecie.

— Powiedziano nam w komisariacie, że prowadził pan sprawę zniknięcia Very Rutledge. Sprawdzili to w kartotekach.

Porucznik Lindblad rozgryzł kęs taco sztucznymi szczękami. Połknął, popił łykiem Budweisera i powiedział:

— Vera Rutledge, tak? Zdaje się, że mówiliście, że piszecie książkę o słynnych skandalach w Hollywood?

— Czy sprawa Very Rutledge nie była skandalem?

— Ona po prostu zniknęła, to wszystko.

— Rutynowa sprawa? Nic nadzwyczajnego?

— Nic, co bym zapamiętał.

— Dziwię się, że w ogóle pamięta pan to nazwisko — powiedziała Kathy. — Było to, mimo wszystko, dwadzieścia lat temu.

— Zaginęła tej nocy kiedy umarła Monroe, to wszystko. Dlatego o niej pamiętam.

— Była podobna do Marilyn Monroe?

— Myślę, że tak. Tak wynikało przynajmniej z opisu.

Nastąpiła długa cisza. Porucznik Lindblad popatrzył na Daniela, na Kathy, znów na Daniela i tak kilka razy.

— Czy to jest wszystko, co chcecie wiedzieć? — zapytał.

— To zależy od tego, czy zechce pan powiedzieć nam coś więcej — stwierdziła Kathy.

— A co mam powiedzieć? Byłem na służbie tej nocy. Dostałem informację, że zaginęła jakaś młoda, jasnowłosa gwiazdeczka. A później dostałem przez radio rozkaz, aby natychmiast jechać na piątą Helenę, bo Marilyn Monroe cierpi z powodu przedawkowania, nie wiadomo czego. To wszystko. Oto co pamiętam. Normalnie rozpoczęliśmy poszukiwania Very Rutledge. Znaleźliśmy ładnych parę ciał, kilka zaginionych gwiazdeczek, ale to się zawsze zdarza przy okazji przeszukania całego Hollywood na wyłot. Można by to zrobić i dzisiaj, z takim samym efektem. Nigdy jednak nie znaleźliśmy Very Rutledge.

— O której godzinie zgłoszono zaginięcie Very Rutledge?

— Chyba o dziesiątej. Nie pamiętam.

— A o której dowiedział się pan o Marilyn Monroe?

— Posłuchajcie — powiedział Lindblad gwałtownie. Zazgrzytał nieprzyjemnie sztucznym uzębieniem. — Z takimi pytaniami możecie się udać do jakiejś biblioteki historycznej. A mnie nie zwracajcie głowy.

— Historyczne książki pełne są kłamstw i sprzeczności — nalegała Kathy — Dobrze pan o tym wie, bo tej nocy pracował pan i zna pan prawdę, inną niż ta, która jest w bibliotekach.

— Czy chcecie przez to powiedzieć, że zdarzyło się coś innego niż to, o czym wie cały świat?

— My wiemy, że zdarzyło się coś innego.

— W takim razie nie ma sensu, abyście mnie wypytywali. Nie pamiętam zbyt wiele. To była tylko jedna z wielu nocy, rozumiecie? Trochę bardziej nerwowa. Wielu gapiów, wiele nerwów. I każdy świadek kłamiący, w obawie o swój tyłek.

— Wiemy, że Marilyn Monroe nie umarła tej nocy — powiedział Daniel.

Porucznik Lindblad spojrzał na niego.

— Zwariowałeś człowieku?

Daniel potrząsnął głową. Jego serce waliło z łoskotem jak delfin o fale oceanu, ale był zdecydowany opowiedzieć porucznikowi tę historię.

— Marilyn Monroe nie umarła tej nocy, ale ktoś inny. Jakaś inna dziewczyna, która nie jadła kolacji tego wieczoru, bo Marilyn kolację jadła. Jadła z Bobby Kennedy'm, Peterem Lawfordem oraz Patem Newcombem i swoją gospodynią, panią Murray. A autopsja ciała dziewczyny znalezionej w domu na Helena Drive wykazała, że żołądek i jelita były puste. Tylko we krwi znajdowały się barbiturany.

Kathy dodała delikatnym głosem.

— Tej samej nocy w 1962 roku kiedy przypuszcza się, że zginęła w tajemniczych okolicznościach Marilyn Monroe, zaginęła bez śladu inna dziewczyna, podobna do Marilyn jak kropla wody. Dwadzieścia lat później w Phoenix, w Arizonie, zamordowano kobietę, kobietę która prawdopodobnie była Normą Jane Baker, wiek lat pięćdziesiąt sześć. Jaki wniosek wyciągnąłby pan z tego?

— Co pani próbuje mi zasugerować? — zapytał porucznik Lindblad. — Dlaczego nie powie pani tego wprost?

— Chciałby pan? — spytała Kathy.

Lindblad w zamyśleniu i rozdrażnieniu miał w ustach sztuczną szczękę. Po chwili milczenia odezwał się:

— Nie wiem, dlaczego się w tym grzebiecie. To wszystko było tak dawno, dwadzieścia lat temu. Komu teraz sprawi różnicę, czy kobieta którą zamordowano w Phoenix była Normą Jean, czy nie, jakie to ma znaczenie? Obie nie żyją, nie żyje Jack i Bobby. trzeba o tym zapomnieć, skończona historia.

— Poruczniku, to nie jest koniec historii, ale jej początek. Marilyn Monroe musiała opuścić Brentwood w 1962 roku dlatego, że wiedziała coś, czego nigdy nie powinna wiedzieć. I prawdopodobnie chronił ją Bobby Kennedy. Nie mógł jej jednak ochronić po swojej śmierci. Po dwudziestu latach ktoś ją odnalazł i zabił. Jeśli to, co wiedziała było tak istotne, że uzasadniało dwudziestoletnie poszukiwanie jej, niech mi pan wierzy, sprawa musi być cholernie ważna. Nie wiem, jak ważna, przyznaję. Ale nikt nie poświęca swojego życia, kariery, dla czegoś nieistotnego, nawet za sprawą Kennedy'ch.

Porucznik Lindblad odstawił swoje piwo, powstał i podeszedł do drzwi. Jego żona, Rosa, energicznie krzątała się po kuchni. Pokiwał na nią palcem, a później zaniknął drzwi. Podeszedł następnie do okna. rozejrzał się po ulicy, spojrzął nawet w górę.

— Nit macie żadnych mikrofonów? — zapytał, patrząc na Kathy. — Nie chcę, aby to, co wam powiem, zostało nagrane, nie chcę aby ktokolwiek skojarzył to ze mną.

Kathy podniosła ręce do góry, na znak że jest czysta. Daniel uczynił to samo.

— Ile jest to dla was ważne? — chciał wiedzieć porucznik Lindblad.

— A ile by pan chciał? — zapytała Kathy.

— Dwa tysiące, gotówką.

— Tysiąc pięćset, to wszystko co mam przy sobie.

— Niech będzie — powiedział porucznik Lindblad. — Najpierw forsa.

Kathy otworzyła torebkę i wyciągnęła spory zwitek banknotów, który otrzymała od „Flag” na opłacenie informatorów w Los Angeles. Odliczyła tysiąc pięćset dolarów i pozostały jej tylko dwie dwudziestodolarówki i jedna piątka. Porucznik Lindblad odebrał pieniądze od Kathy i bez słów schował do bocznej kieszeni spodni.

Wyciągnął jeszcze trzy piwa i usiadł z powrotem w swoim fotelu.

— Powiem wam to tylko raz i nie zamierzam nigdy powtórzyć. Nie notujcie tego i nie

nagrywajcie. Jeśli kiedykolwiek poprosicie mnie o powtórzenie lub potwierdzenie tego, zaprzeczę wszystkiemu. Zaprzeczę, że was kiedykolwiek widziałem i tak samo zaprzeczę Rosa. Weźcie to na serio. Wciąż mam wielu przyjaciół w policji, ciągle mam swój służbowy rewolwer, mam na to pozwolenie. Nie próbujcie więc żadnych numerów.

— Obiecujemy, że nie będzie żadnych numerów — powiedział Daniel.

Porucznik Lindblad posłał mu długie, badawcze spojrzenie. Danielowi udało się zachować kamienną twarz. Po niekończącej się ciszy oczekiwania Lindblad wreszcie odezwał się:

— Dobrze. Wydarzyło się to wszystko w ten sposób. W sierpniu 1962 roku...

Rozdział dwudziesty piąty

Joe Jasper delikatnie odwiesił słuchawkę i przeczesał palcami czuprynę. Po drugiej stronie pokoju, na prowizorycznym posłaniu, leżał Crack Nielsen, szczelnie zawinięty w różowy koc, z ustami szeroko otwartymi, chrapiący, i posapujący jak lokomotywa. Joe patrzył przez chwilę na niego, po czym wstał z własnego łóżka, poszedł do salonu i rozsunął zasłony.

Colleen była już na nogach, chociaż dopiero przed minutą, czy dwiema, minęła godzina siódma. Miała na sobie jasnozieloną koszulę nocną z falbankami z przejrzystego nylonu, przez który wyraźnie przebijały różowe sutki jej piersi. Joe zignorował to. Nie odczuwał popędu seksualnego w powszechnie przyjęty sposób. Nie podniecały go wielkopiersiaste amerykańskie dziewczyny, ani w ogóle kobiety jako gatunek.

Joego Jaspera mogło podniecić tylko czyjeś upokorzenie. Lub czyjś ból. Jeśli miał w swym życiu jakiegokolwiek credo, to było to przekonanie, że już wkrótce ziemię będą zamieszkiwać tylko masochiści i sadyści.

— Wcześniej wstałaś — odezwał się do Colleen.

— Nie byłam jeszcze w łóżku.

— O której wróciłaś?

— O czwartej.

— Czy Crack był z tobą?

— Przez większość czasu.

— Zdajesz sobie sprawę, jak ryzykujesz, wychodząc stąd tak często?

— Odpierdol się, Joe. Nadine mi pozwoliła. A poza tym, nie jestem waszym więźniem.

— Nie powiedziałem, że jesteś. Ale wiesz, że pewnego dnia będziesz bardzo potrzebna. Nie wychodź więc nigdzie, siedź w domu, tu jesteś bezpieczna. Jesteś zbyt cennym świadkiem, abyśmy mogli cię stracić.

— Wiem o tym, nie musisz mi przypominać. To w końcu ja musiałam robić to, czego sobie Marshall Roberts zażyczył. Nie ty.

— Jaka jest różnica między Marshallem Robertsem, a jakimkolwiek innym mężczyzną? Robisz to przecież przez cały czas.

— Robię to dla pieniędzy, masz rację. A Marshall Roberts dobrze zapłacił.

— Wyobrażam sobie, że głodem nigdy nie przymierałaś.

— Pocałuj mnie w dupę.

Joe Jasper otworzył szafkę z alkoholem i nalał sobie dużą porcję likieru. Był zimny i mocny, ale jeśli dzień rozpoczynało się od picia i to w towarzystwie ubranej w przejryste szaty kurwy, to był to prawdopodobnie najlepszy z możliwych drinków. Colleen obserwowała go przez chwilę uważnie, po czym powiedziała:

— Nie wiem nawet o co, do diabła, w tym wszystkim chodzi.

— Nie musisz. Nikt nie powinien tego wiedzieć do końca. Nawet ja nie mam pojęcia, co jest grane. Kompletnie.

— Cóż, świadczy to tylko o tym, że jesteś kompletnym kretynek.

Joe łyknął potężną porcję likieru i przymknął oczy. Po telefonie od Tytusa był bardzo zaniepokojony, chociaż robił co mógł, aby Colleen tego nie zauważyła. Jeżeli Tytus uwierzył Nadine, że Stany Zjednoczone rzeczywiście stały się Amerykańską Kapitalistyczną Oblast'ią latem 1962 roku, wtedy istniała realna groźba, że pozwoli on Marshallowi Robertsonowi kontynuować rozmowy RINC II, a to poważnie zagroziłoby szansom Kamy na odebranie Ikonowi pozycji przewodniczącego Komitetu Nadzorczego Oblasti. Tytus był jastrzębiem i nienawidził Marshalla Roberta za oddanie tak wiele Rosjanom w pierwszej fazie RINC. Ale Tytus był także patriotą, gwałtownym, zawziętym i upartym. Mógł dostrzec, że RINC były aktualnie mniejszym zagrożeniem dla narodu amerykańskiego. I jeśli rzeczywiście zrozumiał, że RINC oznaczać będzie na razie stopniowy tylko, powolny wzrost wpływu sowieckiego na Amerykę, podczas gdy Kama groził natychmiastową komunizację we wszystkich sferach, wtedy Tytus natychmiast wycofa swój sprzeciw wobec RINC, pozostawiając Joe'go samemu sobie z tą piersiastą dziwką.

Dziś rano przez telefon Tytus powiedział, że jest „co najmniej zaniepokojony” tym wszystkim, co powiedziała mu Nadine. Joe udawał głupka, słuchając o Amerykańskiej Oblasti. Śmiał się głośno do słuchawki. „Czy Nadine była przy zdrowych zmysłach? Przecież to niemożliwe, aby Stanami Zjednoczonymi rządził sowiecki komitet. To był głupi gag, sposób na doprowadzenie Tytusa do zwątpienia, czy dobrze robi, nieodwołalnie powstrzymując rozmowy RINC. Obaj przecież wiedzieli, jak bardzo Nadine popierała rozbrojenie nuklearne. Była pacyfistką, czy nie? A czego innego, jak nie takiego zachowania, można spodziewać się po pacyfistach?”

Ale przez cały czas Joe wyczuwał w głosie Tytusa niepewność, podejrzenie że Nadine nie opowiedziałaby mu jednak tak niedorzecznej historii, gdyby nie było w niej przynajmniej odrobiny prawdy. Ale co za bzdura. Rosjanie rządzący Stanami Zjednoczonymi od dwudziestu lat? Czy ona naprawdę spodziewała się, że tak dumny żołnierz

jak Tytus połknie coś tak oczywiście głupiego? Wystarczy spojrzeć na Amerykę, prawda? Wolna, zalana dobrobytem i zadowolona z siebie jak nigdy. A poza tym, czy Rosjanie pozwoliliby na ten bałagan na Times Square? Na dziwki, zaczepiające ludzi na Hollywood Boulevard? Czy pozwoliliby na narkotyki, na pijaństwo, na rozwiązłość seksualną? Czy cokolwiek przez dwadzieścia lat dało podstawy do przypuszczeń, że rządzą tu Rosjanie? A te wszystkie pieniądze, które wydajemy na obronę. Co by się z nimi działo, gdyby trzymali na nich łapę Rosjanie? Czy Rosjanie sfinansowaliby MX albo bombo-wiec B-1, albo pociski Cruise wycelowane w samo serce Moskwy?

Chyba że, oczywiście, Rosjanie stwierdziliby, że Stany Zjednoczone są zbyt dużym i zbyt wrogim krajem, aby podbić go w normalny sposób, w taki w jaki ZSRR podbijał do tej pory inne narody. Chyba że w Moskwie uznanoby, że najprostszą drogą do zapanowania nad doskonale rozwiniętym, silnym dwustudwudziestomilionowym narodem będzie uchwycenie przyczółków w newralgicznych punktach gospodarki, władzy ekonomicznej i militarnej i zezwolenie ogółowi narodu na rozwijanie się na swój sposób, jeszcze przez jakiś, ściśle określony czas.

I dalej, chyba że Rosjanie zakładali iż kapitalistyczno-komunistyczna równowaga sił, przynajmniej na pokaz, jest konieczna dla równowagi światowej, a w szczególności dla stabilności w samym Związku Sowieckim i wśród jego satelitów. No bo kto w sowieckim bloku poddawałby się komunistycznemu reżimowi, gdyby nie istniało zagrożenie z Zachodu? Kto tolerowałby tak długo życie wśród represji i faktycznego bezprawia, wśród długich kolejek i braku świeżego mięsa, gdyby nie groźba skorumpowanej kapitalistycznej hordy u bram, wymachującej swymi rakietami nuklearnymi?

Joe znał Tytusa wystarczająco dobrze, aby odgadnąć że takie i podobne myśli przebiegały mu przynajmniej przez głowę i że w związku z tym szansę Kamy na sukcesję po Ikonie mogą natychmiastowo i nieodwołalnie ulecieć w powietrze. Joe'go kusiło, aby sprzeczać się u Tytusie, ale zdołał opanować się na tyle, by nie powiedzieć nic więcej, tylko: „Cóż, sir... brzmi to dla mnie jak totalna głupota. To znaczy, nie zauważyłem na Constitution Avenue nikogo ze śniegiem na butach”.

— Jestem głodna. Czy ktoś zrobi mi śniadanie? — odezwała się Colleen.

— Co chcesz zjeść? — zapytał Joe, znów zmuszony do uważnego kontrolowania swojego zachowania.

— Nie wiem. Jajka może. Na bekonie.

— Dlaczego nie zrobisz sobie sama?

Colleen spojrzała na niego. W jej wzroku była kompletna pustka, nie było w nim nic: ani sympatii, ani przyjaźni, ani litości. Była kurwą i znała swoją wartość. Wiedziała, kiedy jest potrzebna i za jakie pieniądze, wiedziała też kiedy jest niepotrzebna. A teraz Joe'emu Jasperowi była cholernie potrzebna. Nie mogła, oczywiście, zrozumieć dlaczego, ale wyczuła jednak jego nerwowość, strach.

— O.K. — powiedział Joe. — Zobaczę, co się da zrobić. Chcesz bułki do tego? Jakiś sok?

Colleen nie odpowiedziała i po chwili Joe Jasper odwrócił się i pomaszerował sztywno do kuchni. „Pierdolę je”, pomyślał, zawiązując winylowy fartuch. „Pierdolę te wszystkie kobiety, niech zjeżdżają do piekła”. Otworzył zamrażalnik w lodówce i wyciągnął paczkę bekonu. „Gdybym nie potrzebował jej tak bardzo, pokroiłbym ją na plasterki od pizdy po podbródek i nakarmiłbym wszystkie psy Departamentu Stanu”.

Ktoś zadzwonił do frontowych drzwi. Wytarł ręce i poszedł aby otworzyć, ale Colleen dotarła pierwsza do korytarzyka. Ku przerażeniu Joe’go była to Nadine, w krzykliwym kostiumie w białe paski oraz eleganckim kapeluszu z białymi piórami i białą woalką.

— Joe — Nadine przywitała go skinieniem głowy. — Masz bardzo ładny fartuszek.

Joe spojrzał po sobie. To był jeden z tych fartuchów, na których drukowano kobiety tułów w nienaturalnych proporcjach, z potężnymi stanikiem i plisowanym, czarnym paskiem do podwiązek.

— Dzień dobry, pani Alexander — powiedział Joe, starając się nadać swoim ustom coś na kształt uśmiechu powitalnego. — Pan sekretarz telefonował niedawno, pytał o panią.

— Wysłałam z domu wcześniej rano, gdy jeszcze spał — powiedziała Nadine i ruszyła pewnym krokiem do salonu, gdzie ściągnęła rękawiczki z białej siatki. — Przygotowujesz śniadanie? Byłabym ci wdzięczna za odrobinę kawy.

— Służę uprzejmie — powiedział Joe uniżenie podając jej filiżankę. — Jak się pani podoba?

— Czarna jak smoła — powiedziała lekko ochrypłym głosem. Wręczyła mu rękawiczki, zwinięte w białą niczym śnieg kulkę, a później kapelusz.

Podczas gdy Joe zaczął smażyć bekon i nasypał kolejną porcję kawy do ekspresu, Nadine i Colleen poszły do sypialni. Colleen miała tego ranka potężną chciwą. Błyskawicznie ściągnęła przez głowę nocną koszulę, podeszła do Nadine blisko i pocałowała ją prosto w usta.

— Tęskniłam za tobą — wyszeptała. Oparła swe gołe piersi o perfekcyjnie uszytą białą suknię Nadine. Pocałowała ją znów i dotknęła jej ust opuszkami palców, jakby nie wierzyła, że te pocałunki mogły być prawdziwe.

— Wychodziłaś stąd — powiedziała Nadine. — Widziano cię wczoraj wieczorem w Ulvaro.

— Nie możesz trzymać mnie tu jak w więzieniu — odparła Colleen.

— Obawiam się, że od teraz będę musiała. Sytuacja stała się bardzo niebezpieczna.

Colleen pocałowała ją znowu i jeszcze raz, tak gwałtownie, że rozmazała jej szminkę na ustach. Nadine próbowała odsunąć się, ale Colleen objęła ją ramionami i przycią-

gnęła mocno do siebie.

— Kochaj mnie — nalegała.

— Teraz? A co z Joe?

— Co tam Joe. Przecież po to przyszedł dziś do mnie, kochać się ze mną, prawda?

— Przyszedł... — Nadine zawahała się. Odwróciła głowę i spojrzała na małą dziecienną portmonetkę, która zawierała truciznę, wręczoną jej przez Ikona. Prawie wymknęło jej się z ust, szczerze i nieodwołalnie: „Przyszedł cię zabić”. O niczym innym nie myślała przez całą noc i jakoś przez chwilę wydawało się jej to całkiem naturalne, wyrzucić to z siebie, powiedzieć Colleen. Dręcząc się, przez całą noc nie zmrużyła oka.

— Tak, przyszedł się z tobą kochać.

— Moja najdroższa — uśmiechnęła się Colleen. Jej oczy błędziły po twarzy Nadine, jakby ogromną przyjemność sprawiało Colleen wpatrywanie się w przyjaciółkę.

— Moja sławna, elegancka, wspaniała, najukochańsza.

Colleen rzuciła się w wymiętoszoną pościel na łóżku, jakby nurkowała, w zwolnionym tempie zbliżając się do powierzchni wody. Kołdra była jasnozielona, jedwabna i mogła przypominać lśniąca i migotającą taflę basenu. Ułożywszy się na plecach, Colleen otworzyła usta i szeroko rozłożyła nogi. Oblizwała wilgotne wargi i rozwarła swój seks, mokry i lśniący jak poranny kwiat. Może kochała się z mężczyzną tej nocy, a może ta wilgoć była po prostu rezultatem podniecających myśli. Nie miało to żadnego znaczenia dla Nadine, która uklękła przy końcu łóżka i wcisnęła twarz głęboko między nogi Colleen, jakby przykładając usta do maski z ożywczym tlenem, jakby musiała nie tylko nim oddychać, ale też go smakować.

— Nadine — Colleen westchnęła. A po chwili: — Nadineeee...

Uniosła uda wysoko do góry, tak że Nadine mogła ujrzyć każdy szczegół w jej szparze i wtedy właśnie sięgnęła błędzącą ręką za siebie i znalazła swoją portmonetkę. Otworzyła ją i wyciągnęła strzykawkę z cyjankiem, który otrzymała od Ikona.

Colleen dyszała, rozczochrywała włosy Nadine, przyciągała jej twarz ku sobie tak blisko jak tylko mogła, wijąc się, rzucając głową z boku na bok, czując chleptający język Nadine na swojej lechtaczce.

— Och, Nadine, co ty roi robisz... Nadine...

Nadine trzymała strzykawkę w swej prawej ręce, jak sztylet. To wymagało tylko jednego pchnięcia, jednego ukłucia. Jedna pojedyncza kropla w zupełności wystarczyła. Ułożyła rękę, zamknęła oczy i przygotowywała się do zanurzenia igły głęboko w uniesionym udzie Colleen.

I wtedy drzwi sypialni otworzyły się jak szeroko z wielkim trzaskiem i wysoki męski głos wykrzyknął:

— Nie ruszaj się. Nie ruszaj się! Tylko spróbuj ją dotknąć tą igłą, a odstrzelę ci twoją pieprzoną główkę.

Nadine uniosła głowę, nie mogąc złapać oddechu. W tym samym momencie Colleen przekręciła się i zeszła z łóżka.

W drzwiach stał Joe Jasper, trzymając w obu wyciągniętych rękach wielkie Magnum, kaliber 357, wycelowane prosto w szyję Nadine. Oczy miał szeroko otwarte, a jego usta wykrzywione były w grymasie z obrazu Edwarda Muncha. Rewolwer był tak ciężki, że Joe z trudem utrzymywał go bez ruchu. Colleen sięgnęła po swój płaszcz kąpielowy i wsunęła się w niego, ciasno zawiązując pas wokół talii, wpatrując się na zmianę w Joe'go i Nadine ze strachem i niedowierzaniem.

— W porządku, pani Alexander, niech pani rzuci strzykawkę, czy pani mnie rozumie? Proszę ją rzucić. Tutaj, na dywan. W porządku. A teraz niech pani wstanie i podejdzie do ściany.

Nadine odruchowo wygładziła spódnice, wycofując się do ściany sypialni. Pozostawiła strzykawkę na cienkim białym dywanie, błyszczącym w porannym słońcu. Joe Jasper podszedł i podniósł ją.

— Co to jest? Strychnina? Cyjanek?

Nadine nie odpowiedziała. Joe wyciągnął rękę ze strzykawką w kierunku Colleen i powiedział:

— Oto, jakie zamiary miała wobec ciebie twoja najdroższa Nadine Alexander. Jedną ręką cię kochała, a drugą przygotowywała truciznę do zamordowania cię. Co o tym myślisz?

— To jest trucizna? — zapytała Colleen, oszołomiona.

— To jest środek usypiający — powiedziała Nadine. — Wszystko, co zamierzałam, to wyjść stąd pewna, że pozostaniesz dziś w domu.

— Środek usypiający? — powtórzył Joe z powątpiewaniem. — W porządku, jeśli to środek usypiający, zademonstrujesz nam na sobie jego działanie. Teraz... wbijesz igłę we własne ramię. Wtedy zobaczymy, jaki to rodzaj środka usypiającego.

— Nie bądź śmieszny, Joe — powiedziała Nadine. — Ja tylko chce powstrzymać Colleen przed wychodzeniem stąd. Tytus poprosił mnie, abym się upewniła, że Colleen zostanie tu dzisiaj przez cały dzień.

— Pan Alexander zadzwonił do mnie dzisiaj rano, zanim jeszcze tu przyszedł — powiedział Joe. — I nic mi na ten temat nie mówił. A wręcz przeciwnie, wyrażał obawę, że możesz zechcieć zrobić coś głupiego.

— To jest środek nasenny, nic więcej. Roztwór chlorohydratu.

— Udowodnij to.

— Nie muszę.

— O, tak, musisz. Crack! Wyłaż z tego twojego cholernego łóżka i pomóż mi tu trochę. Crack! Słyszysz mnie?

Chwilę potrwało, zanim Crack Nielsen pojawił się w drzwiach, w podkoszulku

i szortach, przecierając twarz i zaspane oczy.

— Co się tu dzieje? O, dzień dobry pani Alexander, cześć Colleen. O co chodzi, Joe? Joe machnął swym Magnum w kierunku Nadine.

— Pani Alexander potrzebuje drobnej pomocy przy wykonywaniu zastrzyku. Tu masz strzykawkę. Wszystko, czego po tobie oczekujemy, to dopilnowania aby wbiła tę igłę w swoje ciało. Prosto w żyłę, najlepiej.

Crack zmarszczył brwi i skierował najpierw na Joe'go, a później na Nadine.

— Słuchajcie ludzie, czy tu miała miejsce jakaś sprzeczka?

— Nie zadawaj pytań Crack, na miłość boską! Weź tę strzykawkę i dopilnuj, aby pani Alexander otrzymała swój zastrzyk.

Crack zawahał się przez chwilę, a później wzruszył ramionami.

— Skoro tak sobie życzysz, Joe.

Podniósł strzykawkę, przytrzymując ją końcami kciuka i palca wskazującego.

— Co to jednak jest? Narkotyk, czy coś w tym rodzaju?

— Nic z tych rzeczy. Po prostu odrobina środka nasennego. Przynajmniej tak twierdzi pani Alexander.

Crack podszedł do Nadine i uniósł jej rękę. Nadine spojrzała na Joe'go wzrokiem, który był twardy jak granit, a zarazem nieodgadniony, niczego nie wyrażający. W odpowiedzi, a może ze strachu, Joe uniósł lufę Magnum troszeczkę wyżej. Jeśli strzykawka rzeczywiście zawierała truciznę, Nadine umrze niemal natychmiast. Lecz jeśli nie, Joe stanie przed koniecznością zastrzelenia jej. Nie miał wyboru, a jednak decyzja taka nie była łatwa. Oprócz konieczności tłumaczenia się przed policją i tajnymi służbami oraz przed Tytusem osobiście, musiałby wytłumaczyć się Kamie. Oprócz tego. Magnum kaliber 357 było zupełnie nieodpowiednią bronią dla zastrzelenia kobiety w sypialni z białymi ścianami i białym dywanem. Krew i szczątki Nadine rozbryzgają się na cały pokój, upaprają ściany, podłogę, sufit, wszystko.

Crack Nielsen odwrócił się do Joe'go i zapytał:

— Teraz? — lecz w tym samym momencie Joe („ — O Boże!”) zobaczył to, zobaczył na własne oczy; ale Crack był zbyt blisko Nadine, zbyt blisko aby Joe mógł pociągnąć za spust, już pomijając, że wcale nie chciał strzelać. Nadine wykręciła nadgarstek tej ręki Cracka, w której trzymał strzykawkę i wepchnęła igłę prosto w jego twarz, tak że igła utkwiała mocno w umięśnionym miejscu pod nosem. Zacisnęła palce na chromowym uchwycie i w jednej chwili popchnęła tłoczek niemal do połowy, tak błyskawicznie, że Crack nie miał żadnej szansy na skuteczną reakcję.

— Kurwa mać — warknął Crack i wyrwał igłę spod nosa, odrzucając strzykawkę ze złością przez cały pokój. Po chwili podniósł wzrok i zdał sobie sprawę, że wszyscy wpadają się w niego jak w zjawę. Joe, Nadine i Colleen.

— Co was tak, kurwa, zafascynowało? — zapytał.

Joe powiedział do Nadine:

— Ostrzegam cię, jeśli on umrze, zginiesz tam, gdzie stoisz.

Colleen podeszła do łóżka, jednak Joe wykonał w jej kierunku ruch pistoletem i ostrzegł ją:

— Zostań na miejscu damulko, bo inaczej to samo przydarzy się tobie.

— Jeśli on umrze? — zapytał Crack. Jego twarz zaczęła przybierać wyraźny, niebieskawy odcień. — O czym mówicie, jeśli on umrze? Jeśli on umrze? Co to ma znaczyć?

Kwas cyjanowodorowy z przerażającą szybkością przenikał do systemu nerwowego Cracka. Nagle zaczął się dusić. Próbował podnieść ręce do twarzy, ale zamiast tego opadł ciężko na kolana. Wówczas, zanim ktokolwiek mógłby do niego podbiec, ulżył mu w cierpieniach, upadł na plecy i leżał przez chwilę trzęsąc się i drgając, aż skonał.

Nie było wątpliwości, że nie żyje. Jego oczy zrobiły się jak ze szkła, turkusowy język wysunął się daleko spomiędzy rozchylonych warg, sprawiając wrażenie, że jakieś wstrętne pasożytnicze stworzenie bezskutecznie próbuje opuścić swego zmarłego żywiciela.

Joe Jasper znów uniósł swoje Magnum, lecz Nadine była pewna, że nie zamierza jej zastrzelić. Nie od razu, przynajmniej. Nie tutaj. Jeżeli ona sama nie wykona jakiegoś gwałtownego, głupiego ruchu.

— Dobrze cię wyszkolili — stwierdził Joe. — Ale, niestety, przyjmij do wiadomości, że nadszedł twój kres. Nie wywiniesz się z tego.

— Zawsze podejrzewałam, że pracujesz dla „Peredoviki” — odparła Nadine. — Byłeś zbyt służalczy, zbyt uczynny, zbyt grzeczny. Nikt nigdy nie pozwoliłby się tak traktować, gdyby nie wierzył, że kiedyś odegra się za to wszystko.

Joe nie odpowiedział, ale odezwał się głośno do Colleen.

— Widzisz, kim ona jest naprawdę, Colleen? Zdrajczynią. Spójrz na biednego Nielse-na. To ty miałaś tak leżeć. Cyjanek. Był przeznaczony dla ciebie.

Colleen cofnęła się o kilka kroków, jak najdalej od Joe’go i Nadine, przyciskając do siebie poły płaszcza kąpielowego, jakby to co widzi zmroziło ją; jedną pierś miała jednak odkrytą, włosy w nieładzie.

— Nadine Alexander — powiedział Joe głośno, bawiąc się rewolwerem. — W rzeczywistości Nadiana Katia Woroszyłowa, jedna z najlepszych „śpiących” agentek naszych czasów. Podobno jest pozamałżeńskim dzieckiem Klimenta Woroszyłowa, który był tytułarną głową Rosji po śmierci Stalina i który wciąż jest symbolem rewolucyjnego bohaterstwa. Przyjechała do Stanów Zjednoczonych w wieku siedemnastu lat i umieszczona została w rodzinie Mayhew, w Back Bay, w Bostonie, jako adoptowana córka. Po raz pierwszy zamężna z młodym, energicznym przewodniczącym „Sparling Aeronautics”, w celu przekazywania do Związku Radzieckiego informacji z zakresu niektórych najnowszych amerykańskich osiągnięć z pociskami sterowanymi. Następnie, po dyskretnym romansie z generałem Tytusem Alexandrem i jeszcze bardziej dyskretnym

rozwodzie, ożeniona z jednym z czołowych oficerów armii amerykańskiej, a później, oczywiście, sekretarzem stanu. Być może — za dwa lata — prezydentem. Imponująca kariera. A przy tym dama bardzo elegancka, i cokolwiek niebezpieczna.

— Co zamierzasz teraz zrobić? — zapytała Nadine. — Przypuszczam, że zdecydowałeś jednak, aby mnie nie zabijać.

— Ten wybór jest jeszcze przede mną, pani Alexander — powiedział Joe. Jego twarz była blada i połyskująca potem. — Ale w tej chwili rzeczywiście zachowam panią przy życiu. Z jednej przyczyny. Nie chcę mieć żadnych kłopotów z policją. No i poza tym pragnę, aby pojechała pani do sekretarza stanu i powiedziała mu, że wszystko tu jest w porządku, pod kontrolą i że to, co powiedziała mu pani o Ikonie nie było niczym innym, jak tylko fantazją lewicującej pacyfistki. Po prostu sposobem na zmuszenie go do przemyślenia jeszcze raz postępowania w sprawie RINC.

— Chyba nie myślisz poważnie, że to zrobię — powiedziała Nadine.

Joe opuścił rewolwer. Popatrzył na niego, następnie delikatnie zabezpieczył iglicę i położył go na nocnym stoliku.

— Pani Alexander — powiedział, wyciągając chusteczkę, rozkładając ją i ścierając pot z twarzy. — W tym pokoju jest podwójne lustro. Wszystko co pani wyczyniała tu z Colleen Petley, naprawdę wszystko, zostało zarejestrowane, sfotografowane.

Nadine rzuciła szybkie spojrzenie na Colleen, ale ta nie uczyniła nic, wzruszyła tylko z obojętnością ramionami.

— To była zawsze twoja słabość, co? — uśmiechnął się Joe. — To była twoja słabość w szkole i później, oczywiście, kiedy przeniesiono cię do Bostonu. Tak, tak, wiemy o tobie wszystko.

Nadine przycisnęła jedną rękę do drugiej na wprost swoich ust, tak jakby głęboko nad czymś rozmyślała, albo się modliła.

— Nie muszę wcale grozić ci pistoletem, prawda? — stwierdził Joe. — Jeśli jakiegokolwiek zdjęcie ujrzy światło dzienne, szansę Tytusa na urząd prezydencki wyparują w jednej chwili i wszelkie wpływy, jakie kiedykolwiek miałaś w Waszyngtonie, wyparują również. Byłby to największy lesbijski skandal od czasu Billie Jean King. Gorzej. Nie dostałabyś już nigdy zaproszenia do Girl Scout, musiałabyś pożegnać za zawsze bankiety w Białym Domu.

Nadine odwróciła wzrok od niego. Powinna była już dawno zdać sobie sprawę, że Joe Jasper był zawsze zbyt dobry, zbyt służalczy, aby być prawdziwy. Ale sowiecka infiltracja amerykańskich polityków zaszła tak daleko, że trudno już było odgadnąć, czy rozmawia się z Rosjaninem, czy nie. Przewrotnie używając tytułu, który nadawano arystokratycznym władcom, obojętnie, cywilnym czy wojskowym, w czasach przed Piotrem Wielkim, infiltratorzy nazywali siebie „bojarami”, a swe struktury „dumą bojarską”. Percy F. Nash, Skarbnik Stanów Zjednoczonych był bojarem. Bojarem był Frank Runcie,

Przewodniczący Komisji Apelacyjnej Urzędu Imigracyjnego. Administracja Ikona rozpostarła swe skrzydła przez całą szerokość Stanów Zjednoczonych na wielu różnych poziomach, przez dwadzieścia lat spenetrowała i zawładnęła tysiącami biur i urzędów, jak nieuleczalny nowotwór. Często przewodniczący lokalnej władzy, był prawdziwym, „czystym” Amerykaninem, nieświadomym kontroli Ikona, podczas gdy jego podwładni mogli być wszyscy bojarami. Polityka Ikona doprowadziła do opanowania, z nielicznymi wyjątkami, wszystkich warstw administracji publicznej i osiągnięte to zostało niemal w kompletnym sekrecie.

— Myślę, że powinnam być ci jednak wdzięczna, że nie zastrzeliłeś mnie od razu i że twój przyjaciel był takim kretyńcem, że nie udało mu się wbić we mnie igły — powiedziała Nadine.

— Wątpię, czy Ikon będzie z ciebie zadowolony — Joe wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Nie przypuszczam też, aby Kama był zbyt uradowany rozwojem sytuacji. Cóż, żyjesz, ale jesteś, niestety, potrzebna.

— Co mam robić? — zapytała Nadine.

— Już ci mówiłem, pójdziesz do domu, to wszystko. Przeprosisz Tytusa za swoje nocne histerie. Wyjaśnisz, że wszystko to było pomyłką, głupim żartem. A później zatelefonujesz do mnie i zameldujesz, że polecenie wykonałaś.

— Jesteś wstrętną świnią, wiesz o tym?

Joe uniósł ręce w górę, w udawanym geście kapitulacji.

— To jest rola, którą gram najlepiej. Przygotowywano mnie do niej przez cztery lata w Sewero-Zadońsku, tam gdzie szkolony był również Lee Harvey Oswald. Wcześniej pewnie byś mnie nawet polubiła.

— Wątpię — powiedziała Nadine chłodnym głosem. — Jak słusznie zauważyłeś, wolę kobiety.

— Za te zdjęcia dostałbym fortunę na 42 Ulicy — zadrwił Joe. — „Dama z kurewką” — roześmiał się.

W momencie, w którym Joe zrobił krok w jej kierunku. Nadine zdała sobie sprawę, że Colleen Petley przez cały czas przesuwając się wzdłuż brzegu łóżka za jego plecami. Nagle Nadine uświadomiła sobie, że Colleen znajduje się w odległości zaledwie dwóch stóp od stolika, na którym leży rewolwer. Popatrzyła na Colleen rozszerzającymi się oczyma, ale ta posłała jej spojrzenie zakazujące jakiegokolwiek reakcji. Spojrzała więc znów na Joe’go, który ponownie wyciągnął chusteczkę, przygotowując się tym razem do wydmuchania nosa. Każdy ułamek sekundy wydawał się teraz wiecznością.

Colleen podniosła Magnum ze stolika, uchwyciła rewolwer w dwie ręce, delikatnie pociągając kurek. Przyjęła postawę doświadczonego strzelca, nie zważając że opadł z niej przy tym płaszcz kąpielowy, odsłaniając nagie ciało. Nadine uniosła rękę do wysokości piersi; Joe zamrugał oczami, gdy zdał sobie sprawę z przerażenia wymalowane-

go na jej twarzy...

Ale wtedy Magnum wypaliło z hukiem, jaki wydaje samolot odrzutowy przekraczający barierę dźwięku i spodnie Joe'go eksplodowały fontanną krwi i rozerwanego nylonu.

Ciągle ściskając chusteczkę, w bezgranicznym zdumieniu Joe Jasper wytrzeszczonymi oczami spojrzął w dół, na swoje poszarpane krocze. To co pozostało z jego genitaliów było teraz okropną mieszaniną krwi, skóry, i mięsa. Zdołał powiedzieć „co” i Colleen wystrzeliła ponownie i tym razem kula trafiła w tył głowy, nadymając ją niczym balon. W ułamku sekundy czaszka też pękła jak balon, rozpryskując się po sypialni, a reszta ciała Joe'go zakołysała się i opadła z impetem na brzeg łóżka, a później zsunęła się na podłogę.

Colleen rzuciła rewolwer obok zwłok. Nie uczyniła żadnego ruchu, aby się ubrać. Nadine popatrzyła na jej nagie ciało, na Cracka Nielsena i Joe'go, później znowu na Colleen.

— Zdaje się, że i ty nie jesteś osobą, za którą się podajesz, a przynajmniej nie całkowicie — stwierdziła.

— Nie wszyscy Amerykanie są nieświadomi — powiedziała Colleen. Posłała Nadine krzywy, szybki uśmiech. — Wiemy o Ikonie do wielu lat.

— Kim ty jesteś?

— Jestem Colleen Petley, to ci musi wystarczyć. Zabiłabym cię również, gdybym nie miała instrukcji aby zachować cię przy życiu. Potrzebujemy cię żywej i skompromitowanej.

— Nie zabijesz mnie, po tym jak ja próbowałam zabić ciebie?

— Cóż — westchnęła Colleen. Zmierzwiała ręką swoje włosy gestem kogoś, kto nie nawidzi tego co robi, ale nie ma wyboru. — Tak, mogłam już nie żyć. Ale ty również. A przypuszczam, że obie przyzwyczajone jesteśmy do ryzykowania, każda z nas na swój sposób.

— Należysz do jakiegoś rodzaju ruchu oporu, tak? — zapytała Nadine.

— Można tak powiedzieć.

— Zawsze czułam, że istnieje jakiś rodzaj zorganizowanej opozycji. To znaczy, trudno było to stwierdzić, ponieważ kraj zawsze pełen był przemocy. Ale te bomby, które znaleziono w zeszłym roku w Greenwich Village — zupełnie poważnie podejrzewaliśmy, że mogły być wymierzone przeciwko obiektom radzieckim.

Colleen obeszła ciało Joe'go Jaspera i stała przez chwilę w milczeniu. Wreszcie odezwała się.

— Zaczynaliśmy jako buntownicy przeciwko Ameryce. Domyślasz się, o co chodzi, prawda? Czarne Pantery, Armia Symbioza, Weather Underground. Chcieliśmy zobaczyć koniec kapitalizmu i śmierć wszelkich uprzedzeń. Ale w pewnym momencie zda-

liśmy sobie sprawę, że kraj przeciwko któremu walczyliśmy, wcale nie jest tym, czym wydawało nam się, że jest. Nasi prezydenci byli marionetkami, cały nasz sposób życia był sztucznie podtrzymywanym oszustwem. J wydawało się, że nikt tego nie rozumie, a jeżeli rozumie — zupełnie o to nie dba. Nikt z nas nie wie, jak to się stało, ani dokładnie kiedy, przypuszczamy że gdzieś na początku lat sześćdziesiątych. Coś się wtedy wydarzyło, coś jak narodowy wstrząs, taki sam rodzaj wstrząsu, jakiego doznaje ludzkie ciało, kiedy wdiera się w nie kula z pistoletu. Niepożądany intruz w organizmie, rozumiesz? Coś, co narusza funkcjonowanie każdego zakamarka ciała, od stóp do głowy. Tym intruzem był Ikon. Kiedy tylko dokonaliśmy tego odkrycia, połączyliśmy się, Czarne Pantery i Weather Underground i wszystkimi innymi, i postanowiliśmy, że sowieckie bękarty łatwo nie dostaną Ameryki w swoje łapska. Zdecydowaliśmy się ponieść kaganek wolności, walczyć o nią do skutku. Nazywamy się Free Columbia, wiesz o tym?

— Jesteście terrorystami — stwierdziła Nadine.

— Coś w tym rodzaju. Dzisiaj pierwszy raz w życiu zabiłam człowieka.

— Ale ten cały szantaż wobec Marshalla Robertsa... chyba nie chcesz powiedzieć, że został zaplanowany przez was, jak się tam nazywacie, Free Columbia.

— O mały włos nie popełniliśmy wielkiej omyłki — powiedziała Colleen. Usiadła na skraju łóżka, w odpowiedniej odległości od skrzyżowanego ciała Joe'go. — Mieliliśmy dziewczyny, które chodziły do łóżka podczas ostatniej kampanii wyborczej z tak wieloma prezydenckimi kandydatami, jak tylko się dało. Wszystkie te sesje były filmowane. Pomyśl był taki, aby zdobyć materiały obciążające człowieka, który będzie prezydentem, a później zobaczyć, jaki nacisk będziemy mogli na niego wywrzeć. Chcieliśmy spróbować poruszyć w ten sposób jakiś mechanizm obronny, ukręcić jak najwięcej sowieckich lub prosowieckich głów.

Umilkła na długie minuty. Potem kontynuowała.

— Musiałam przemienić się w prawdziwą dziwkę z Las Vegas. Wyobrażasz to sobie? Musiałam sobie wymyśleć życiorys, znaleźć alfonsa, no i być dziwką. Myślę, że wyleczyło mnie to z mężczyzn na zawsze... Dlatego kochałam się z tobą... no, może niezupełnie. Chciałam postawić cię w takiej sytuacji, żebyś była zmuszona zezwalać mi na opuszczanie tego budynku, kiedy zechcę. Musiałam spotykać się z innymi ludźmi z Free Columbia.

Znów przerwała i znów podjęła po chwili.

— Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że istnieją tak poważne rozgrywki wewnątrz sowieckiej administracji. Nie wiedzieliśmy nic o Kamie i o „Peredoviki”. Po prostu myśleliśmy, że Joe Jasper chciał zdobyć nasze kasety video i fotografie i zniszczyć je po to, aby ochronić prezydenta. Zresztą tak właśnie powiedział. Pomyśleliśmy, że jednak wiele nimi nie zwojujemy, najwyżej usuniemy za ich pomocą kilku sowieckich infiltratorów, kosztem skompromitowania bądź co bądź prezydenta USA, no i je dostał.

Jeszcze raz przerwała. Później powiedziała zmienionym tonem:

— Kama byłby gorszy od Ikona, prawda? Kama jest w stanie zniszczyć ten kraj w mgnieniu oka.

— Prawda — odparła Nadine. — Kama byłby piekłem. Cofnęlibyśmy się do dni terroru Wielkiej Inkwizycji.

Colleen spojrzała na nią pytającym wzrokiem.

— Co zamierzasz więc teraz robić? Czy pójdziesz i namówisz Tytusa, aby jednak pozwolił rozmowom RINC toczyć się dalej?

— Wątpię, czy posłucha. Powiedziałam mu już o wiele więcej, niż mi było wolno. Bez skutku.

— Ale z pewnością weźmie pod uwagę to, co mu powiesz o zagrożeniu ze strony „Peredoviki”.

— Myślę, że nie.

Colleen nagle zdała sobie sprawę, że pozostawiła rewolwer na dywanie, obok ciała Joe’go Jaspera. Zdała też sobie sprawę jak wielką Nadine jest pesymistką, co do swoich szans namówienia Tytusa, aby rozmowy RINC toczyły się nadal. I zdała sobie sprawę, że w tej sytuacji pozostała Nadine tylko jedna droga, aby zlikwidować nacisk Tytusa na Marshalla Robertsa i zdobyć pewność, że rozmowy RINC jednak się potoczą. Zabicie koronnego świadka Tytusa, czyli jej, Colleen Petley. A poza tym, czy Nadine nie przyszła tu dziś rano rzeczywiście po to, aby ją zamordować?

W tym samym, krótkim jak oka mgnienie momencie, obie odgadły swoje zamiary, jakby jakaś iskra, wstrząs elektryczny, przebiegł od jednej do drugiej. Obie rzuciły się w kierunku rewolweru w tym samym momencie. Nadine udało się nawet objąć rękojeść, ale Colleen trzasnęła ją w dłoń tak mocno, że rewolwer poleciał z hałasem w poprzek pokoju.

Walczyły gwałtownie na podłodze. Nadine owinęła na swej dłoni włosy Colleen i wykręciła jej głowę do tyłu. Ale gdy chciała znów sięgnąć po broń, Colleen chwyciła za jej białą suknię i szarpnęła nią. Słychać było trzask rozdzieranej wełny oraz pękającego jedwabiu, kiedy Colleen pociągnęła Nadine do tyłu i gwałtownie przycisnęła do łóżka. Teraz Colleen wyciągnęła rękę po rewolwer, ale znów Nadine rzuciła się na nią i przez nieskończenie długie minuty walczyły, drapały jedna drugą i szarpały się wzajemnie za włosy. Nie krzyczały, jak kobiety walczące w zazdrości lub złości. Obie zdawały sobie sprawę, że tylko jedna z nich zakończy ten pojedynek żywa.

Nagle Colleen uderzyła z całej siły Nadine czołem w nos. Nadine szarpnęła się do tyłu pod wpływem potężnego bólu i ten moment był wszystkim, czego Colleen potrzebowała. Wywinęła się spod ciała Nadine i chwyciła rewolwer. Ta jednak zdołała uchwycić przegub ręki Colleen obiema dłońmi, nie dopuszczając, aby skierowała lufę w jej kierunku, Colleen nacisnęła cyngiel i kula uderzyła w sufit, pokrywając je za chwilę gęstym

deszczem białego pyłu. Walczyły teraz i przetaczały się po ciele Joe'go Jaspera, pokrywając swoje ciała jego krwią. Po chwili przetoczyły się na środek białego dywanu, pozostawiając za sobą krwawe ślady. Ciężko chwytając powietrze, Nadine przycisnęła głowę do piersi Colleen, zaciskając zęby i próbując wykrzesać z siebie jeszcze resztki energii.

Ale stopniowo, wśród steków i pojękiwań, Colleen udawało się obniżyć rewolwer, do tego stopnia że w pewnym momencie wylot lufy znajdował się już tylko o cal od głowy Nadine. Nadine zacharczała z wysiłku, ale lufa była już tak blisko, że czuła zapach spalonego prochu. Powoli docierała do niej przerażająca pewność, że za chwilę zginie.

Uczyniła jedną rzecz, która jej jeszcze przyszła do głowy. Jeszcze raz, gwałtownym ruchem, w który włożyła wszystkie siły, odepchnęła od siebie rękę z rewolwerem i zatopiła zęby głęboko w piersi Colleen. Poczuła krew w ustach w momencie, gdy Colleen krzyknęła i to był już prawie koniec tej walki. Wyrwała broń z ręki Colleen, odskoczyła od niej i wycelowała Magnum w jej głowę.

Twarz Colleen była nieprzeniknioną maską. Powiedziała coś, co zabrzmiało jak: „Cokolwiek zrobisz”, ale wówczas Nadine pociągnęła za spust i głowa Colleen rozpadła się, eksplodując jak pękający balon.

Powoli, sztywno, Nadine powstała. Stała przez chwilę w miejscu, trzęsąc się. Wreszcie, powłócząc nogami, poszła do salonu i usiadła na sofie. Nie licząc pokojówki z Newady, szansę Tytusa na skuteczny szantaż wobec Marshalla Robertsa zmalały do zera. Było zresztą nieprawdopodobne, aby świadectwo pokojówki wystarczyło dla Komisji Kongresu. Wszystkie kasety wideo były tutaj, w ukrytym w podłodze sejfie, który Joe Jasper kazał zainstalować razem z wanną dla Colleen.

Sięgnęła po słuchawkę aparatu, stojącego obok sofy i wykręciła numer telefonu operacyjnego Ikona. Chłodny damski głos zadał jej pytanie:

— Jak mogę pani pomóc? — z wyraźnym rosyjskim akcentem.

— Mówi V. Sprawa najwyższej pilności. Czy mnie pani rozumie? Miał miejsce wypadek w domu w Rockville. Są tu trzy mocno okaleczone trupy. Potrzebni są ludzie do sprzątnięcia, a także ślusarz. A przede wszystkim trzeba zawiadomić ludzi w policji w Rockville, aby trzymali policję z daleka. Ktoś z pewnością słyszał strzały.

— Czy to wszystko? — zapytał głos nieporuszony.

Nadine spojrzała na swoje poplamione krwią ręce i na podarty kostium.

— To wszystko — powiedziała.

Odłożyła słuchawkę. Siedziała z pochyloną do tyłu głową i wpatrywała się w zegar, wesoło tykający nad kominkiem. Potem zaczęła płakać. Najpierw w ciszy, pojedyncze łzy potoczyły się po jej twarzy, a później zanosła się głośnym, gwałtownym szlochem.

Rozdział dwudziesty szósty

Ikon i Kama spotkali się w Smithsonian Institution przed frontem pomalowanego na czarno samolotu X-15 i z powagą uścisnęli sobie ręce. Żaden z nich nie przybył sam. Dwóch ubranych na czarno młodych goryli postępowało za Ikonem w dyskretnej, lecz nie zanadto dużej odległości, a Kamę obstawiał mężczyzna w szarej sportowej marynarce. Ikon ubrany był w płaszcz z wielbłądziej skóry nawet w tej okropnej letniej gorącznie i wyglądał otyłe i niezdrowo. Kama był chudszy, wyższy i młodszy, chociaż jego głowa była kompletnie łysa. Nosił silne okulary dalekowidza, powiększające jego jasnoniebieskie oczy.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy Ikon wyszedł na świeże powietrze i od razu płacił za to urywanym kaszlem i trudnością w utrzymaniu regularnego oddechu. Ale i on, i Kama rozumieli, że ich spotkanie możliwe było tego dnia tylko na gruncie neutralnym. Rozłam w Komitecie Nadzorczym był zbyt poważny i zbyt nawarstwiony, aby Ikon mógł przejść nad nim do porządku dziennego. Już dawno zaczął tracić swych najsilniejszych zwolenników na Kremlu. Część zabrała śmierć, część z powodu zaawansowanego wieku pokończyła polityczne kariery, część popadła w niełaskę, a część po prostu zdezerterowała. Kama, mimo wszystko, był człowiekiem młodszym, silniejszym i energiczniejszym. Posiadał potężne kontakty w KGB i w Komitecie Centralnym. I co najistotniejsze — był bez reszty oddany idei natychmiastowego publicznego ogłoszenia, że Stany Zjednoczone zostały podbite przez Związek Radziecki. Była to jego obsesja. „Amerykańska Kapitalistyczeskaja Obłast jest nasza” — zwykł powtarzać. „Jest nasza od dwudziestu lat. Potraktujemy więc ją wreszcie jak naszą własność”.

Ikon zanurzył ręce w kieszeniach swojego płaszcza i kontemplował czarną, wysmukłą sylwetkę X-15.

— Amerykańskie pierwsze uderzenie w przestrzeń kosmiczną — powiedział. — Wcześniejsze od naszego. Powinniśmy podziwiać ich technikę.

Kama wymijająco skinął głową. Ikon pozostawał wciąż tytułarnym przewodniczącym Komitetu i Kama nie był na tyle nierozważny, aby się z nim wprost, otwarcie nie

zgadzać. Kariera polityczna Kamy o mały włos nie zakończyła się w roku 1961, gdy wyraził głośno swoje poparcie dla chruszczowowskiej polityki izolacji Chin. Wszyscy wówczas odwrócili się od niego i tylko przyjaźń z Leonidem Breżniewem sprawiła, że uniknął politycznej odstawki.

Dwóch mężczyzn spacerowało obok siebie, a echo z wielokrotnością odgłosy ich kroków. W następnej sali grupa czarnych dzieciaków chichotała i szurała nogami, podczas gdy nauczycielka próbowała wyjaśnić im co przedstawiają poszczególne eksponaty. Światło docierające do środka przez szyby, sprawiało wrażenie zimnego, lodowatego, jakby znów byli w Moskwie.

— Cieszę się, że zechcieliście właśnie tutaj spotkać się ze mną — powiedział Kama.
— To jest dobre, nie rzucające się w oczy miejsce.

— Od czasu do czasu czynię wyjątki od mojej reguły — stwierdził Ikon.

Kama uśmiechnął się chłodno.

— Oczywiście, rozmyślacie już o ustąpieniu w najbliższym czasie.

— Dopiero wtedy, gdy będę przekonany, że Amerykańska Obłast pozostanie w odpowiednich rękach, dopiero wtedy gdy będę pewny, że rozmowy RINC II zakończą się sukcesem.

— Wybaczcie Mikołaju Niekrasow — powiedział Kama — ale wydaje mi się, że rokovania RINC są niepotrzebną stratą czasu. Oczywiście, może jestem naiwny. Jesteście o wiele mądrzejsi ode mnie, bardziej doświadczeni. Ale czemu mają one służyć, skoro żadna amerykańska głowica bojowa nie jest zdolna do zadania nam ciosu? Ameryka jest prawie bezbronna. Po co więc ten kłopot z rozmowami rozbrojeniowymi?

Ikon uniósł do góry gęsto zarośniętą, niczym u niedźwiedzia, brew.

— Musisz się jeszcze wiele uczyć. Na przykład psychologii społecznej, towarzyszu Kama. Całego narodu nie da się wciągnąć kopniakami i krzykiem w nową erę, w nową filozofię, w nowy ustrój, nie da się bez grobowych reperkusji, które mogą trwać całe dekady. Związek Radziecki jest tego klasycznym przykładem. Ciągłe podnosimy się moralnie, politycznie i ekonomicznie po Rewolucji Październikowej. I to potrwa jeszcze ze sto lat.

— To brzmi prawie jak herezja — powiedział Kama z uśmiechem.

— Herezja nie jest przeważnie niczym innym jak najprostszą prawdą — odparł Ikon.

Rozmawiali w ten sposób jeszcze przez jakieś dziesięć minut. Dopiero wtedy Ikon zaproponował, aby wyszli na zewnątrz. Czuł się tu jak w pułapce, czuł że się dusi, nie miał siły, aby reagować na nieugięty oportunizm Kamy. Przecięli Jefferson Drive i przeszli trawnikiem The Mall, zmierzając w kierunku pomnika Waszyngtona. Wokół nich biegały dzieciaki z czerwonymi i białymi latawcami. Ludzie potrącali ich co chwilę łokciami, a ruch uliczny ryczał i pomrukiwał po obu stronach, niczym stado niespokojne-

go bydła.

— Słyszeliście, oczywiście, że prezydent Roberts postanowił wstrzymać rozmowy RINC — stwierdził Kama.

Ikon spojrział na zegarek. Colleen Petley powinna już nie żyć. Nie miał co do tego żadnych gwarancji, oczywiście. Nadine mogła mieć kłopoty z Joe Jasperem. Ale była sprawną, elegancką kobietą, nadzwyczajnym agentem, samą śmietanką KGB. Nie było drugiej takiej kobiety-agentki od czasu Marii Denisowej, której perwersyjne skłonności seksualne wykorzystano, aby wpłynąć w Jałcie na Churchilla i Roosevelta. Później przekazywała Moskwie najbardziej istotne informacje na temat broni atomowej.

— Wierzę, że prezydent ma tylko przejściowe kłopoty — powiedział Ikon.

— Przejściowe? Jeśli rozmowy RINC II spalą na panewce, wówczas sowietyzacja Ameryki może się odwlec o całe dziesięć lat!

— Przesadzasz — stwierdził Ikon. — Najwyżej o pięć.

— Nikołaju Niekrasow, konieczne jest aby Związek Radziecki już teraz potwierdził swoją władzę nad Ameryką. Ameryka ciągle wywiera zbyt żrący wpływ na cały świat. Jej kultura jest jak wścieklizna. Doprowadza świat do szaleństwa. Świat będzie pograżał się w nim tak długo, dopóki nie dowie się, iż Ameryka została podporządkowana Moskwie i nie dojdzie do wniosku, że polityczny rozsądek wreszcie zwyciężył.

— Czy chcesz, aby doszło do narodowej masakry? — zapytał Ikon.

— Oczywiście że nie, chociaż zdaję sobie sprawę, że pewna ilość przelanej krwi będzie nie do uniknięcia. Ameryka pełna jest lunatyków, którzy raczej zginą niż pozwolą na otwarte zdominowanie tego kraju przez Związek Radziecki. Wolą śmierć od komunizmu. Ale większość ludzi zrozumie, że walka nie ma żadnego sensu. Jest głęboko przekonany, że nie doświadczymy nawet połowy takiego oporu, jakim straszycie. Amerykanie są zmęczonym narodem, Nikołaju Niekrasow, ogień z ich żył już się dawno wypalił, zastąpiony został przez cholesterol. Obecnie jedyną rzeczą jakiej naprawdę chce większość z nich, jest święty spokój i możliwość gapienia się na telewizję.

Ikon zatrzymał się. Kątem oka zauważył, jak jeden z jego goryli zaczyna iść w jego kierunku, przecinając trawę. Człowiek ten zmienił jednak gwałtownie kierunek, gdy był już tylko kilka kroków od niego i z dużą szybkością skręcił w prawo, w kierunku blade niebieskiego Chryslera, którego ktoś zaparkował w pobliżu, na czerwonej linii.

— Entuzjasta amerykańskich samochodów, tak? — zapytał Kama z sarkazmem.
— A może obawia się, że ktoś mógłby spróbować zrobić z wami to, co wy próbowaliście uczynić z Tytusem Alexandrem?

— Entuzjasta amerykańskich samochodów — przyznał Ikon spokojnym, bezbarwnym głosem. Nie powiedział Kamie, że marsz jednego z goryli w jego kierunku był wcześniej ustalonym sygnałem, który oznaczał, że otrzymał on właśnie przez walkietalkie informację o sytuacji w Rockville. Skręt w lewo oznaczał złe wiadomości. Skręt

w prawo znaczył, że wszystko jest w porządku i pod kontrolą.

Nadine najwidoczniej zabiła Colleen Petley. Sprawa więc przybrała taki obrót, o jakim Kama w ogóle nie miał pojęcia. Ikon spojrział na Kamę i nie mógł powstrzymać nikłego uśmiechu wyższości.

— Spotkałem się z wami, aby zasugerować pewien rodzaj porozumienia — powiedział Kama — pomiędzy mną a wami. Dzielące nas różnice ideologiczne wydają się rosnąć z każdym dniem. A nie powinny. Jesteście starym człowiekiem, Nikołaju Niekrasow, czy chcecie to przyznać, czy nie. I chociaż bardzo szanuję wasz wiek, waszą mądrość i doświadczenie, uważam że lekceważycie naturalny marsz Ameryki w kierunku nieuchronnej akceptacji tego, czym w rzeczywistości jest: rosyjską własnością.

— Cóż — westchnął Ikon. — Co więc proponujesz? — zapytał.

— Proponuję, abyście złożyli rezygnację — powiedział Kama — Osiągnęliście wielkie rzeczy, ale nadszedł czas waszego odejścia. Niepowodzenie RINC II dowodzi, że wasz gradualizm jest już bezużyteczny. Jeśli zgodzicie się zrezygnować, wierzę, że będziecie mogli pozostać w Amerykańskiej Obłasti jako tytularny przywódca, stary człowiek, w którego kierunku amerykański naród będzie mógł się zwrócić w swej godzinie rozczarowania i zaskoczenia. Przedstawimy was jako człowieka, który osobiście opiekuje się republiką od ponad dwudziestu lat, jako człowieka który wziął na swoje barki olbrzymi ciężar przygotowania Ameryki na spotkanie dnia, kiedy można jej będzie powiedzieć, że Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich kontroluje ją i rządzi nią od szóstego sierpnia 1962 roku, od Czerwonego Poniedziałku.

Ikon odchrząknął delikatnie.

— To wszystko? — zapytał. — Nic więcej nie masz mi do powiedzenia? Czy dla wysłuchania tych słów musiałem się ubrać dziś po południu i pójść do Smithsonian Institution zamiast zażywać mojego zwykłego o tej porze wypoczynku?

— Nikołaju Niekrasow — powiedział Kama już gwałtowniej. — Nie miejcie nadziei na dalsze pozostanie na czele Komitetu Nadzorczego, gdy Moskwa zda sobie sprawę, że rozmowy RINC II ostatecznie upadły i nie będą kontynuowane. Nawet umiarkowane skrzydło zacznie żądać szybszych rezultatów, a sytuacja jaka powstanie doda argumentów do ręki tym wszystkim, którzy zawsze występowali przeciwko waszemu przywództwu i zawsze byli przeciwni gradualizmowi.

— I to jest cała twoja oferta? Powinienem zezwolić ci na przejęcie całkowitej kontroli nad Autonomiczną Kapitalistyczną Obłastią Ameryki i przyjąć rolę dobrego narodowego wujaszka? Mam zostać socjalistycznym Świętym Mikołajem?

Kama wykrzywił twarz. Miał niewielkie poczucie humoru, a już w ogóle bywał wściekły, gdy ktoś wspominał przy nim o chrześcijańskich zabobonach. W młodości ciężko jak pies pracował nad wykorzenieniem z Rosji Kościoła Katolickiego i Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej, w przekonaniu że wszelka cześć oddawana istotom nadprzyro-

dzonym jest w prostej linii zaprzeczeniem racji istnienia Państwa.

— Cóż — westchnął Ikon. — Nie jestem pewien, czy odpowiadałoby mi takie zajęcie. Wątpię, czy mam odpowiedni charakter do tej roli.

— Ktoś musi Amerykanom wyjaśnić to, co się będzie działo — nalegał Kama. Ktoś musi im opowiedzieć jak prezydent Kennedy zrozumiał, że Ameryka stała się bezbronna wobec pocisków umieszczonych na Kubie. Ktoś musi powiedzieć narodowi Stanów Zjednoczonych, że prezydent Kennedy nie miał innego wyjścia, tylko poddać swój kraj.

— Mówisz o niszczeniu potężnych narodowych mitów — ostrzegł Ikon.

— Ale nie ma innej alternatywy — powiedział Kama. — A poza tym wierzę, że ogromną ulgę przyniesie Amerykanom zrozumienie, jak wiele ich narodowych mitów i politycznych tajemnic nie jest niczym więcej niż nadzwyczaj prosto wytłumaczalnymi faktami. Jak długo drażni ich tajemnica zamordowania Kennedy'ego? Od blisko dwudziestu lat! I po dwudziestu latach wy powiecie im prostą prawdę, że Kennedy próbował rzucić z Ameryki radziecką okupację, że próbował zorganizować narodowy ruch oporu i musiał zostać wyeliminowany dla utrzymania socjalistycznego pokoju. To samo jego brat i wszyscy głupi świadkowie i malkontenci, którzy wiedzieli, co się w rzeczywistości wydarzyło, a nie pogodzili się z tym. Nikołaju Niekrasow, będziecie mogli im powiedzieć, dlaczego musieli pójść na wojnę do Wietnamu, wyjaśnić że było to konieczne dla podtrzymania wiary Chin w nienawiść pomiędzy Ameryką i Związkiem Radzieckim. I powiecie im, że przegrali i musieli się stamtąd wycofać, ponieważ było to z góry ukartowane. Będziecie mogli opowiedzieć im o Nixonie, że był jednym do tej pory prezydentem, który próbował buntować się przeciwko Komitetowi Nadzorczemu. Opowiecie jak KGB zmontowało aferę Watergate, aby zmusić go do odejścia w niesławie. Amerykański naród zobaczy w was wielkiego lidera, wielkiego demistyfi-katora tego, co niepokoiło i leżało cieniem na Ameryce przez ostatnie dwadzieścia lat. Dlaczego prezydent Carter odstąpił od budowy bombowca B-1? Dlaczego Marshall Roberts walczył tak zażarcie o rozmowy RINC II? Powiecie im to.

Ikon słuchał Kamy z udawanym zainteresowaniem. Gdy Kama skończył, wskazał na ławeczkę i powiedział:

— Myślę, że lepiej będzie jak na chwilę usiądę. Twoja propozycja trochę mną zachwiała.

Kama zawahał się i rozejrzał dookoła. Był to nerwowy odruch, zrodzony z wielu lat funkcjonowania na krawędzi. Usiadł jednak, a Ikon obok niego — dwóch mężczyzn na ławeczce w popołudniowym słońcu Waszyngtonu, dwóch mężczyzn którzy mogli być osobami zupełnie bez znaczenia, na przykład prawnikiem i klientem, ojcem i krnąbrnym synem.

Prawda była jednak taka, że byli dwoma najpotężniejszymi ludźmi na całej półkuli

zachodniej. Byli władcami życia i śmierci prawie miliarda ludzi.

Ikon wyciągnął jakieś lekarstwo w areozolu i prysnął szybkim ruchem do obu dziurek w nosie.

— I z tym muszę być ostrożny, odkąd ogłosili w telewizji o zatruciu tylenolu. Mogłoby to nasunąć komuś w Komitecie Nadzorczym doskonały pomysł.

— Wiecie dobrze, że nie chcę aby to się odbyło w ten sposób — powiedział Kama. — Te stare techniki, ciągłe zabójstwa, to nie jest już sposób na rządzenie taką obłastią jak Ameryka.

— Odnaleźliśmy Marilyn Monroe, wiesz o tym — powiedział Ikon z satysfakcją w głosie. — Dwadzieścia lat jej szukaliśmy. Dwadzieścia lat. I przez ten czas żyła sobie spokojnie w Arizonie.

— Kolpasew mi powiedział. Wspaniałe osiągnięcie. To Henry Friend, prawda?

— Henry Friend, tak. Wiesz doskonale, że Henry Friend. Zaraz później rozkazałeś mu wysadzić w powietrze tego nieszczęsnego szefa policji. Przesłałem ci krytyczne memorandum w tej sprawie. Czy je czytałeś?

— Użyłem go tylko dlatego, że był pod ręką.

— Nie było to jednak mądre. Rozwazałem przekazanie do Moskwy zalecenia, aby nie sankcjonowano żadnych tego typu działań z twojej strony.

— Henry Friend jest najlepszy. A sprawą najwyższej wagi było jak najszybsze zabranie ciała Marilyn Monroe. Friend powinien mieć instrukcje, aby usunąć je zaraz po zabójstwie.

— Naprawdę tak uważasz? — zapytał Ikon. Jego głos wydawał się Kamie podejrzenie dobrotliwy. Brzmiał, jakby Ikon rozmawiał o nieistotnych sprawach na jakimś nudnym popołudniowym party, a nie o gwałcie, przemocy i próbie sił, i przyszłości całej Amerykańskiej Obłasti.

— Oczywiście, że tak — powiedział Kama. — A gdyby autopsja wykazała, że to zwłoki Marilyn Monroe?

— Nie wykazałaby. Szansę na to były znikome. Usunięcie głowy było oczywiście koniecznością. Groźba identyfikacji stomatologicznej była już bardziej realna. No i ryzyko, że ktoś coś skojarzy z jej fotografią, gdyby opublikowano ją w gazetach. Ale ta cała zabawa w Indian, aby zabrać jej ciało z kostnicy w Phoenix...

— Mam prawo — powiedział Kama chłodnym głosem.

— Oczywiście. Ale ponosisz też odpowiedzialność. A według mnie rozmyślnie i nieodpowiedzialnie poinstruowałeś swoich agentów, aby narobili w Phoenix jak najwięcej hałasu i szumu. I zawiodłeś się, amerykańskie mass-media milczą. Najskromniejszy brukowiec nie zadał pytania, które chciałeś, aby zostało postawione: czy śmierć szefa policji związana jest z działaniem jakiejś konspiracji? A jeśli konspiracja istnieje, jakiego jest ona rodzaju? Jakiej barwy? To był twój cel, prawda? Chciałeś, aby podbój Ame-

ryki odkryły gazety i telewizja, tak abyś nie musiał tłumaczyć się przed Moskwą, że to ty osobiście zdecydowałeś, aby ogłosić o tym światu.

Ikon poprawił swoje okulary w rogowej oprawie i popatrzył w górę. Odrzutowiec American Airlines krążył z hałasem nad miastem. Jego srebrny kadłub skrzył w promieniach słońca.

— Najwyraźniej przeliczyliście się, towarzyszu Kama — stwierdził Ikon. — Ciągłe próbujesz odebrać mi władzę, do znudzenia. Czynisz wszystko, aby prasa tego kraju zamieściła wreszcie informację, że Ameryka nie jest tym demokratycznym państwem, za jakie uważają je jego mieszkańcy. Muszę powiedzieć, że nie podobacie mi się — ani ty, ani twoi stronnicy w Komitecie Nadzorczym. Jak jakieś gryzonie, twoi agenci nieudolnie próbują realizować twoje plugawe pomysły... Myślę, że im mniej powiem na ten temat, tym lepiej. Otrzymałem pełen raport o tej bombie w Phoenix i o porwaniu dziewczyny, reporterki. To twoi ludzie, prawda? Szczury z Narodowej Agencji Bezpieczeństwa. Jak najwięcej zamieszania, jak najwięcej kłopotów, jak najwięcej zabawy w Indian. Cóż, towarzyszu Kama, to nie jest sposób na rządzenie wielką Obłastią. Ta Obłast jest częścią Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich i nadejdzie czas, gdy znajdzie ona swoje miejsce jako jedna z tych Republik. Nie jako zlepek chciwych i zaślepionych kapitalistów, rządzonych przez brutalnych socjalistycznych gangsterów, nawet nie ze mną jako marionetkowym przywódcą. Ale jako dumny i produktywny członek światowej społeczności socjalistycznej, społeczności która w końcu usunie wszelkie pozostałości wojen i antagonizmów, prawdziwych i udawanych, i przyniesie światu upragniony pokój i dobrobyt.

— Nie przemawiacie przed Komitetem Centralnym, towarzyszu Niekrasow — powiedział Kama.

— Nie — odpowiedział Ikon z godnością w głosie. — Mówię do ciebie.

Kama powstał i zaczął zapinać płaszcz.

— Piękne przemówienie. Moglibyście zachować te słowa na swoją mowę pożegnalną.

— Nie mam zamiaru rezygnować — powiedział Ikon ochryple, tak że Kama z trudem zrozumiał jego słowa.

— Co? — zapytał. Chciał być pewien.

— Powiedziałem, że nie mam zamiaru zrezygnować. Tylko śmierć może pozbawić mnie przywództwa. A już z pewnością nie ty.

— Nikołaju Niekrasow, RINC II zostały pogrzebane, a to oznacza także wasz polityczny pogrzeb.

— Jedną pogrzebaną osobą, towarzyszu Kama, jest Colleen Petley.

Kama zmierzył go wzrokiem.

— Lepiej powiedzcie, że żartujecie, Nikołaju Niekrasow.

— To nie żart, towarzyszu Kama — Ikon znów potrząsnął głową. — Colleen Petley nie żyje.

— Ale są taśmy. Taśmy wideo.

— W moich rękach.

— Nadiana Woroszyłowa? — zapytał Kama po chwili.

— Mógłbyś mieć rację — zgodził się Ikon.

— Nadiana Woroszyłowa... — Kama powtórzył z tak histeryczną irytacją, że prawie się śmiał. — Nadiana Woroszyłowa.

— To była głupia rozgrywka, towarzyszu Kama. Wiem, że chciałeś również Nadianę wciągnąć do twojego pożałowania godnego szantażu. Nadiana nie jest amatorką. Ani ja. Żal mi ciebie. Żal jest dobrym rosyjskim uczuciem. Cóż, zaryzykowałeś i przegrałeś. Podaję ci rękę po raz ostatni. Jeśli jej nie przyjmiesz — stracisz, być może życie. Ale cokolwiek byś nie zrobił, uwierz mi, RINC II potoczą się naprzód. A po RINC II nastąpi porozumienia handlowe, postępujące odprężenie, a w swoim czasie wielkie socjalistyczne zjednoczenie.

Ikon zaniósł się długim kaszlem.

— Muszę wracać na Pennsylvania Avenue — powiedział wreszcie. — Lubię świeże powietrze, ale nie w nadmiarze.

Kama zignorował te słowa, przycisnął dłoń do czoła. Z trudem panował nad sobą i powstrzymywał wybuch gniewu. Dziś wieczorem pojedzie do swego apartamentu w Arlington i spije się do nieprzytomności czystym polskim spirytusem. Rozbije przy okazji coś w drobny mak: jakąś wazę, może stół, jakiś komplet szkiele. Nie z histerii ale z lodowatą, wykalkulowaną furią człowieka, który me potrafi znieść porażki. Jego służąca później wszystko posprząta.

Przymknął oczy, a kiedy otworzył je znowu, Ikona już nie było.

Rozdział dwudziesty siódmy

Porucznik Lindblad rozpoczął swoją opowieść:

— Ktoś zadzwonił do mnie pierwszego sierpnia 1962 roku, to była środa przed tą sobotą, kiedy — jak się twierdzi — Marilyn zmarła. Powiedział, że reprezentuje Biały Dom i będzie potrzebował jakiejś pomocy tu, na miejscu, w Los Angeles.

— Czy pan mu uwierzył? — zapytała Kathy.

— Sam nie wiem. Myślę, że na wpół uwierzyłem. Bracia Kennedy przylatywali i wylatywali z Los Angeles w tych dniach bardzo często, nie było to więc całkiem niewiarygodne.

— Dlaczego jednak zwrócono się akurat do pana? Z pewnością było wielu wyższych funkcjonariuszy policji, którzy mogliby pomóc Białemu Domowi o wiele lepiej.

— Nigdy tego nie odgadłem. Byłem wtedy energicznym oficerem, świeżo po awansie, wiele razy odnajdywałem wówczas swoje fotografie w prasie. Myślę, że bracia Kennedy mogli stwierdzić, że byłem akurat kimś działającym w ich stylu. Mój rozmówca był niepokojny, stwierdził że cała sprawa musi się odbyć dyskretnie, a przypuszczalnie wyższy oficer mógłby skontaktować się z komisarzem, czy nawet burmistrzem. A to była ostatnia rzecz, której by chcieli.

Daniel stał przy oknie, słuchając opowieści byłego policjanta. Smog, zamazujący panoramę Los Angeles przez większą część dnia, jakby znów zgęstniał. Dookoła stały domy w hiszpańskim stylu, z wyrastającym z nich, wysoko ku niebu, lasem wysokich anten telewizyjnych. Dzieci bawiły się na okolicznych podwórkach. Daniel zazdrościł im śmiechu i wesołych okrzyków towarzyszących beztroskiej zabawie.

Porucznik Lindblad znów pociągnął łyk piwa i kontynuował:

— Ten ktoś powiedział mi, że sprawą najwyższej wagi jest, abym spotkał się z przedstawicielem Białego Domu w „Brown Derby” w czwartek wieczorem. Odpowiedziałem, że „Brown Derby” nie jest najlepszym miejscem na spotkanie, ponieważ w 1962 roku, wierzcie mi, nie można było tam zjeść niczego porządnego i prawdopodobnie byłibyśmy jedynymi gośćmi w lokalu. W końcu uzgodniliśmy, że zobaczymy się u Dino, na

Sunset. Tam przynajmniej przez cały czas panował półmrok.

Uchwycił wzrok swojej żony stojącej w drzwiach do kuchni, znów jej pokiwał palcem i powiedział słodkim głosem: — Nie denerwuj się, kochanie. Jeszcze tylko chwilę — po czym odwrócił się do Kathy i mówił dalej.

— Możecie sobie wyobrazić, co czułem, kiedy przedstawicielem Białego Domu okazał się nie kto inny, tylko Bobby Kennedy osobiście? Był z nim jeszcze jeden facet, ale nie wyglądał na zbyt bystrego i przypuszczam, że był to po prostu jego goryl. W każdym razie przez cały czas nie powiedział ani jednego słowa.

— Czego chciał Kennedy? Czy był spięty, zdenerwowany?

— Zdenerwowany? Ten facet zachowywał się, jakby miał w dupie robaki. Ani sekundy nie usiedział spokojnie. Powiedział, że pewna gwiazda filmowa, jego dobra znajoma, popadła w poważne kłopoty. Jej życie jest w niebezpieczeństwie, stąd sprawą najwyższej wagi byłoby zorganizowanie jej zniknięcia. Odparłem na to, że nie będzie to zbyt trudne do zaaranżowania i wtedy Bobby Kennedy powiedział, że ktoś z jego przyjaciół zauważył w jakimś czasopiśmie filmowym zdjęcie dziewczyny zdumiewająco podobnej do owej gwiazdy filmowej. Zapytał, czy byłoby możliwe zamienić te dwie osobki rolami? Powiedział, że ma taki pomysł, aby tę gwiazdę wywieźć z Los Angeles i umieścić gdzieś poza miastem, natomiast dziewczynę podobną do niej umieścić w domu gwiazdy i zaaplikować jakąś troszeczkę nadmierną dawkę barbituranów i wówczas na oczach wielu świadków, przekonanych że to jest właśnie gwiazda filmowa, wywieźć ją do jakiejś kliniki, może Payne-Whitney. Przedawkowanie byłoby doskonałym pretekstem. W klinice ta osoba będzie dobrze strzeżona, to zrozumiałe, a jednocześnie ściągnie na siebie uwagę dziennikarzy jako owa gwiazda filmowa, odwracając w ten sposób uwagę od miejsca pobytu tej prawdziwej.

— Przez cały czas wiedziałem, że mówi o Monroe. Przecież nie było to sekretem dla nikogo. Ale pozwalałem mu mówić „pewna gwiazda filmowa” podczas całej rozmowy i nie dawałem nic po sobie poznać. Na miłość boską, był przecież prokuratorem generalnym. Zapytałem go jednak w jaki sposób usprawiedliwi wystawienie niewinnej młodej dziewczyny na niebezpieczeństwo, którego chce oszczędzić swej znajomej. Odparkł, że była to trudna decyzja, ale w końcu podjął ją, gdyż w całej sprawie chodzi o coś więcej niż o tę kobietę, chodzi o narodowe bezpieczeństwo. Najszerzej ujmując problem, tak powiedział, cała Ameryka była w wielkim niebezpieczeństwie.

— Czy powiedział coś więcej? — zapytał Daniel. — Czy wyjaśnił dokładniej, co ma na myśli?

— Nie — odpowiedział Lindblad. — Wypił na koniec potężnego drinka i poszedł sobie..

— Ile zgodził się panu zapłacić?

— Nie żądałem od niego pieniędzy.

— A czego pan żądał?

— Tego domu, nic poza tym. Przyjemnego domku w Brentwood. No i poprosiłem go jeszcze, żeby tak to załatwił, aby ludzie uwierzyli, że ten dom odziedziczyłem po zmarłym wuju.

— Znalazł pan dziewczynę? — zapytała Kathy.

— Oczywiście. To była Vera Rutledge. Sam ją wcześniej widziałem w jakimś „Foto-play”, czy jak to się tam nazywało. Bardzo przyjemna dziewczyna. Przyjemniejsza od Monroe, gdybyście mnie o to zapytali. Świeższa. I z pewnością nie sprawiała wrażenia, że kiedykolwiek zasypiała po nembutalu.

Kathy ściągnęła z nosa okulary i złożyła je w ręce.

— Czy nie miał pan żadnej obawy, że Vera Rutledge może przy tym zginąć? Mimo wszystko było dużym ryzykiem takie świadome przedawkowanie środków nasennych.

Porucznik Lindblad wzruszył z lekceważeniem ramionami.

— Specjalnie nie wywierało na mnie wrażenia to, co chcieli zrobić. Mówiąc prawdę, trącało to trochę amatorszczyzną. Ale, jak powiedziałem, Bobby Kennedy był prokuratorem generalnym i zakładałem, że wie co robi. Jeśli chcecie znać moją opinię, to przekonany jestem, że działał przez cały czas zgodnie z planem, również wówczas gdy Vera Rutledge zmarła. Powiedział mi, że będzie można przystąpić do ratowania dziewczyny około czwartej godziny nad ranem i nie będzie żadnych obaw o jej życie. Wcześniej zapewnił sobie, żeby było tam mnóstwo ludzi, ludzi którzy mogliby być niezależnymi świadkami. O trzeciej nad ranem pojawiła się pani Murray, później doktor Greensau i doktor Engelberg. A gdy ja przybyłem wozem policyjnym, było po wszystkim. Od dawna nie żyła.

— Marilyn Monroe wykonała kilka telefonów podczas swej ostatniej nocy... to znaczy podczas ostatniej nocy życia Very Rutledge — powiedziała Kathy ostrożnie. — Ale bardzo niewielu ludziom zezwolono na przesłuchanie taśm z ich nagraniami. FBI usunęła wszystkie taśmy z przedsiębiorstwa telefonicznego w Santa Monica. Ma pan jakiś pomysł, aby to wyjaśnić?

— Wiem z całą pewnością, że zaaranżowano rozmowy telefoniczne Marilyn Monroe z kilkoma osobami które знаła i podczas tych rozmów miała zachowywać się tak, jakby rzeczywiście znajdowała się pod wpływem narkotyków, czy czegoś w tym rodzaju i traciła powoli kontrolę nad sobą z powodu przedawkowania. Ale w rzeczywistości oczywiście nie telefonowała z Brentwood, lecz prowadziła rozmowy międzymiastowe aż z San Diego, z pierwszego miejsca do którego ją wysłali. Kompania telefoniczna mogła bez trudu wykazać, że żadna rozmowa nie odbyła się z aparatu w Brentwood. Oto dlaczego FBI dobrała się natychmiast do taśm, wcześniej niż mogłby ewentualnie wpaść na to jakiś sprytny dziennikarz.

— Czy nikt — ludzie z ambulansu, lekarze — nikt nie rozpoznał, że ta dziewczyna

nie była Marilyn Monroe? Przecież, mimo wszystko, była o ładnych kilka lat młodsza.

— Wszystko zostało tak zaaranżowane, że nikt nie miał do czynienia z ciałem dłużej, niż moment wystarczający na krótki rzut okiem. Do chwili autopsji... wówczas, na prawdę nie wiem. Przypuszczam, że podczas autopsji szukano tylko przyczyny śmierci, w przekonaniu że zwłoki zostały już w sposób satysfakcjonujący zidentyfikowane. Ale nie wiem na pewno. Kiedy ciało trafiło do kostnicy, nie była to już moja sprawa.

Opuścili dom porucznika Lindblada dwadzieścia minut później. Skierowali się na zachód, zrobili pętlę wokół Will Rogers State Historical Park i wreszcie dotarli do wybrzeża oceanu. Daniel zaparkował Monaco na poboczu autostrady. Oboje zdjęli buty i spacerowali po «szarym piasku plaży, mając o kilka metrów od siebie skrzący, niespokojny Pacyfik, a wokół, jak daleko sięgnąć wzrokiem, szarość smogu unoszącego się nad rozgrzanym przez sierpniowe słońce Los Angeles.

— Co o tym myślisz? — zapytał Daniel.

— Nie wiem — stwierdziła Kathy. — Myślę, że potwierdza to przynajmniej moją teorię kubańską. To znaczy, jasne jest teraz, że Bobby Kennedy przeszmuglował Marilyn Monroe z Hollywood, aby uratować jej życie. A jeśli ona zdecydowana była zrezygnować z całej swojej kariery dla zachowania życia, to cokolwiek lub ktokolwiek jej zagrażał, musiała to być cholernie realna groźba. Jak by na to nie patrzeć, wreszcie skończyli z nią w Phoenix, odcinając głowę, prawda? Ciągłe jednak zbyt mało wiemy o Kubie i Kennedy'ch, aby w to się wgryźć.

— Pomyślałbym, że zachowanie Skelletta wystarczy za wszystko.

— Skellett mógł być nikim innym, jak pojedynczym wariatem. Myślę, że w rzeczywistości nim nie jest, ale mógłby być, a nie mamy żadnych danych, aby to udowodnić, że nie jest.

— Czy miałas choć odrobinę szczęścia w Narodowej Agencji Bezpieczeństwa? — zapytał Daniel.

— Uhm. Ściana milczenia. „Żałujemy, ale w interesie bezpieczeństwa narodowego nie możemy udzielić odpowiedzi na pani pytania”.

Daniel stanął na brzegu. Jego nagie stopy wrzynały się w piasek, ręce włożył głęboko w kieszenie luźnych spodni w kolorze khaki.

— Co teraz robimy? Z kim jeszcze moglibyśmy porozmawiać? A może rzucimy ręcznik, poddamy się i wrócimy do domów?

— Czy tego właśnie chcesz?

Odwrocił się i popatrzył na nią, a później zaprzeczył ruchem głowy.

— Dom bez Susie nie jest domem.

— A Cara?

— Cara zjawiła się jak wszystkie inne. Ładna, beztroska, słodka, miła. I w ten sam sposób odeszła. Dzwoniłem dziś rano do szpitala i dowiedziałem się, że została wypisa-

na na własną odpowiedzialność. Nie zostawiła żadnego adresu.

— Przykro mi — rzekła Kathy. — Nic mi nie wspomniałeś.

— A po co? Przychodzą i odchodzą. Matka Susie była jedną z nich. Trudno ich nie lubić. Trudno nie kochać ich od czasu do czasu. Ale nie sposób płakać za nimi za każdym razem, gdy odchodzą.

Powędrowali z powrotem do samochodu. Kilka jardów od ich Monaco zobaczyli siedzącego na wielkim plecaku opalonego młodego mężczyznę w wieku mniej więcej dwudziestu siedmiu lat, wyglądającego — jak Daniel zauważył — na przedwcześnie posiwiatego. Mężczyzna popijał piwo z puszki. Ubrany był w skórzane spodnie na szelkach, w zieloną koszulę z krótkimi rękawami i wielkie brudne płócienne trampki.

— Hej, proszę pana — zawołał, gdy Daniel otwierał drzwi samochodu. — Przepraszam pana bardzo...

Daniel przystanął i spojrzał na niego ponad dachem samochodu. Młody człowiek powstał, uwalniając swoje stopy od leżących na ziemi rzemieni plecaka i powiedział:

— Czy nie jedziecie przypadkiem w kierunku Hollywood? Cóż, wiem że przód samochodu wskazuje na południe, ale obserwując was spacerujących po plaży, pomyślałem że jednak zawrócicie na wschód.

— Znajduje się pan na autostradzie północ-południe i chce pan jechać na wschód?

Młody człowiek głupawym ruchem uderzył się w tył szyi.

— Tak prawdę mówiąc, chciałem złapać jakąś okazję na północ, do Santa Barbara. Pokłóciłem się z moją dziewczyną dziś po południu i wygląda na to, że koniec z nami. Chciałem pojechać do domu, zobaczyć moich rodziców. No, ale siedzę tu od dwóch godzin, nic nie mogę złapać i tak sobie rozmyślam, rozumiecie? Zastanawiałem się, czy nie wrócić przypadkiem z powrotem do Hollywood, znam tam w końcu kilka innych dziewczyn.

— I nie możesz się zdecydować? — zapytała Kathy.

Młody człowiek pokiwał głową.

— Można tak powiedzieć. Rozumiecie, dużo mi nie trzeba aby jednak pojechać do domu, do starych.

Daniel wszedł do samochodu i zwolnił hamulec ręczny.

— Wsiadaj — powiedział do młodego człowieka. — Zawieziemy cię na Doheny.

Gdy jechali zatłoczonym Bulwarem Zachodzącego Słońca, młodzieniec przechylił się do przodu, oparł ręce na przednich fotelach i zaczął im opowiadać o swojej dziewczynie.

— Ona jest niesamowita, wiecie? Myślę zresztą, że większość dziewczyn z Hollywood jest niesamowita. Jest piękna. Ale wierzy w rzeczy nadprzyrodzone, jakby była opętana, wyobrażacie sobie? Gdy tylko dowiedziała się, że kometa Halleya powraca ku Ziemi, zaczęła słyszeć głosy. Jej się wydaje, że kometa zbliża się do Ziemi tylko po to, aby

ją szpiegować.

— Może ma rację — powiedział Daniel. — Nie można lekceważyć takich rzeczy.

— Hej — zmarszczył brwi młodzieniec. — Chyba pan nie jest taki sam?

— Zaczynam się czuć, jakbym był.

Młody mężczyzna popatrzył na Kathy i zapytał:

— Czy pani mąż na pewno dobrze się czuje?

— On nie jest moim mężem. Ale owszem, wszystko z nim w porządku.

Młodzieniec niespodziewanie klasnął dłońmi.

— Przecież się wam nie przedstawiłem! Co za nietakt! Nazywam się Rick Terroni. Pewnie widzieliście mnie już setki razy w filmach. I w telewizji. Pratifaller Extraordinaire, tak się reklamuję. To znaczy, że jestem kaskaderem, facetem który zarabia na życie, upadając na dupę. Ktoś wyrzucony przez okno, rozjechany przez samochód, kopnięty przez konia, siadający na rozwalone krzesło, przewracający się na skórcie od banana — to właśnie ja. Widzieliście taki film, jak Ryan O'Neal idzie schodami w górę, a potem nagle leci w dół, na łeb, na szyję? To właśnie ja leciałem. Spójrzmy prawdzie w oczy. Ryan O'Neal jest zbyt wielkim aktorem, aby musiał chodzić przez tydzień z kolorową, posiniaczoną dupą.

— Miło cię poznać — powiedział Daniel.

Przez chwilę jechali w milczeniu, minęli Bel Air i znów Rick Terroni odezwał się.

— Słuchajcie, wyglądacie na przygnębionych. Czy straciliście kogoś z rodziny? Wracacie z pogrzebu?

— To nasza sprawa — stwierdził Daniel.

— Jeśli pan tak twierdzi. Po prostu mam taki nos, że na milę wyczuję cierpienie.

— Nos wyczuwający cierpienie? — zapytała Kathy. — Cóż to za rodzaj autoreklamy?

— A czy ja powiedziałem, że to była reklama?

Daniel dojechał do Doheny i zatrzymał się ze zbyt gwałtownym piskiem opon.

— Jesteśmy na miejscu — powiedział. — Jesteś z powrotem w Hollywood.

Rick wyrzwał przez okno samochodu.

— Hm — mruknął. — Doheny Drive.

— Tak jak ci powiedziałem, Doheny.

— Nie możecie podrzucić mnie gdzieś dalej?

— Nie. Jesteś na miejscu.

Rick wziął głęboki oddech.

— Posłuchajcie — powiedział. — Prawda jest taka, że w ogóle nie mam gdzie teraz pójść.

— Chciałeś, abyśmy cię podwieźli, a teraz mamy jeszcze znaleźć ci jakiś dom? — zapytał Daniel.

— Nie powiedziałem tego. Jeśli chcecie abym wysiadł, to wysiadę.

— Daniel — odezwała się Kathy. — On nie wygląda na żebraka. Myślę, że możemy mu użyczyć trochę miejsca na podłodze dziś w nocy. Jedzeniem też się podzielimy. „Flag” za wszystko zapłaci. Do cholery, „Flag” płaci za samochód i za ciebie. A więc i ty i on znajdziecie się w prawie identycznej sytuacji, jeśli wnikliwie na to popatrzeć. Dwóch utrzymanków „Flag” w jednym domu.

Daniel odwrócił się do Ricka z kwaśnym uśmiechem.

— Wspaniała dziewczyna, prawda? — zapytał, włączając się znów do ruchu. Właściwie było mu wszystko jedno, czy Rick pojedzie z nimi, czy nie. Zastanawiał się, dlaczego przyjechał do Kalifornii. Powinien być w Arizonie, opiekować się swoim barem i oczekiwać wiadomości od Susie. Dwa dni temu wyjazd z Kathy Forbes do Hollywood wydawał mu się jedyną rozsądną rzeczą jaką mógł zrobić. Lecz teraz zaczynał z przerażeniem zdawać sobie sprawę, że był to wjazd w ślepą uliczkę, działanie fascynujące dla dziennikarki, szukającej wywiadu z rozdartym przez ból ojcem do wieczornego wydania, ale działanie bezużyteczne, „Gdybym tylko wiedział, gdzie te zwierzęta trzymają moją córkę...”

Wykonał gwałtowny skręt w lewo w Sunset Plaża, o włos unikając zderzenia z nadjeżdżającą ciężarówką w krotce zahamował przed ich wynajętym domem. Kathy dotknęła jego ramienia i zapytała:

— Co z tobą, Daniel?

Popatrzył na nią. Nagle ogarnęło go dziwne uczucie. Poczuł, że już chyba nigdy nie będzie w stanie zamknąć oczu. Głupie uczucie.

— Nic. Wszystko w porządku. Jestem tylko trochę zmęczony.

— Słuchajcie ludzie, jeśli jest między wami coś, w co nie powinienem się mieszać...

— powiedział Rick Terroni. — To znaczy, zaczynam czuć się nieswojo, jakbym wam bardzo przeszkadzał. Z łatwością znajdę sobie inny kąt do przenocowania...

— Czy twoi rodzice rzeczywiście mieszkają w Santa Barbara? — zapytała Kathy.

— Oczywiście.

— Kiedy ostatnio pracowałeś? To znaczy — dla kina, dla telewizji?

— Kilka miesięcy temu. Dublowałem Keillera Pierce’a w „Nightmare II”. Miał zlecieć z balkonu. Popatrzył w dół z tego balkonu, z którego miał polecieć i powiedział: — „Jeśli serio myślicie, że skoczę tam, to chyba trzymają się was pierdolone żarty”. Wtedy reżyser odrzekł mu: — „Keiller, to jest bardzo łatwe”. I popchnął go. Keiller spadł z balkonu i połamał sobie obie nogi w kostkach, a zdjęcia trzeba było przerwać na siedem miesięcy, dopóki nie nauczył się chodzić. No i gdy przyszło do tej balkonowej sceny, to ja skoczyłem.

— I to były ostatnie twoje zdjęcia do tej pory?

— Jestem na liście kandydatów do nowego serialu kryminalnego.

Kathy potrząsnęła głową i uśmiechnęła się do niego.

— Chodź — powiedziała. — Daniel poda ci porcję wspaniałych smażonych krewek. Musisz wiedzieć, że Daniel jest kimś w rodzaju restauratora. Jest geniuszem, jeśli chodzi o gotowanie.

— Gotowanie jest substytutem oralnego seksu, wiedziałeś o tym? — zapytał Daniel przewrotnie.

— Myślałem, że jest odwrotnie — powiedział Rick. — Myślałem, że to seks oralny jest substytutem gotowania.

Weszli do domu. Rick z przewieszonym przez ramiona plecakiem. Był to typowy dla Hollywood domek do wynajęcia, z salonem w hiszpańskim stylu, z gładko wypolerowanym parkietem, małą kuchenką i białawymi dywanami w sypialni, które zapewne były białe, kiedy były nowe.

— Nie jest to Beverly Wilshire — stwierdził Daniel.

— Jak dla mnie, jest O.K. Z pewnością nie jest to też schronisko Y.M.C.A. — odparł Rick.

— Daniel! — zawołała Kathy. W jej głosie było coś takiego, że Daniel znieruchomiał.

— Co jest?

— Ktoś tutaj był. Drzwi do ogrodu są wyłamane. Pamiętam, że przekręciłam klucz w zamku, gdy wychodziliśmy.

Daniel poczuł nagły dreszcz alarmu, przebiegający jego ciałem. Prędko ruszył w kierunku Kathy, cicho otworzył drzwi sypialni, obejrzał ją, później sprawdził łazienkę, otwierając drzwi kopniakiem. Dom był pusty, nie było jednak cienia wątpliwości, że ktoś po nim buszował tego popołudnia. Rick ciągle stał tam, gdzie go zostawili, w hallu, z plecakiem u nóg; wyglądał na zaskoczonego i zdenerwowanego.

— Słuchajcie, czy jesteście zupełnie pewni, że wam nie zawadzam? Bo jeśli tak, to bez słowa sobie pójdę.

— Nie, w porządku, zostań — powiedział Daniel. — Przynajmniej mam nadzieję, że wszystko jest w porządku.

— Może tu być bomba w tym domu, prawda? — spytała Kathy.

— Bomba? — wykrzyknął Rick. — Jezusie, zaczynam żałować, że nie stoję sobie spokojnie na autostradzie Pacific Coast.

— Weź sobie piwo i zamknij się — warknął Daniel. — Jest w lodówce.

Rick otworzył lodówkę i wyciągnął paczkę sześciu butelek Coors'a. — No, przynajmniej wiemy, że nie ma bomby w lodówce — powiedziała Kathy.

Rick spojrzał na nią z przerażeniem.

— A przypuszczałaś że jest?

Daniel wzruszył ramionami.

W salonie, na stoliku przy sofie, znaleźli list. Koperta była starannie zaadresowana cienkim zielonym mazakiem do D. Korvitz.

— Daniel, może nie powinieneś tego dotykać? Może są tam jakieś odciski palców? — ostrzegła Kathy.

Daniel zignorował ją i rozerwał kopertę. W jej wnętrzu znajdowała się gładka kartka papieru wypełniona tym samym starannym pismem, którym ktoś wykaligrafował jego nazwisko na kopercie. Szybko przebiegł ją wzrokiem.

„Drogi panie Korvitz. Jesteśmy obecnie w Los Angeles i mamy ze sobą pana córkę. Chcielibyśmy przedyskutować z panem kilka poważnych zagadnień, co wymaga osobistego spotkania. Jeśli zechce pan przybyć do wielopiętrowego parkingu na Santa Monica Boulevard w Wilcox, jutro rano o godzinie 9.15, zwrócimy pańską córkę, a pana zabierzemy ze sobą na intensywne rozmowy”.

Ręce Daniela drżały, gdy czytał list. Kiedy skończył, wręczył go bez słowa Kathy.

— Czy wiesz, co mają na myśli, pisząc o „kilku poważnych zagadnieniach”? — zapytał.

Kathy odłożyła list i położyła mu rękę na ramieniu.

— Chcą cię zabić, Danielu. Jestem tego pewna. Nie powinieneś tam jechać.

— A Susie?

— Nie wiem. Nie wiem, co ci poradzić. Może nadszedł czas, aby o wszystkim zawiadomić policję?

— Prawdopodobnie oni są policją, jeśli to, co mówiłaś o Kubie zawiera choć ziarno prawdy.

— Więc co zamierzasz robić? — naciskała Kathy. — Poddać się jak krowa idąca na rzeź? Jaki sens ma uwolnienie Susie, jeżeli ty zginiesz? Kto będzie się nią opiekował?

— Ona ma matkę.

— Och, przestań zgrywać teraz zasranego bohatera.

Daniel odebrał ponownie list z jej rąk.

— To nie ma, do cholery, nic wspólnego z bohaterstwem, Kathy. To jest moja córeczka. Wychowuję ją dzień po dniu, od siedmiu lat. Ona ma siedem lat i jeden Bóg wie, jaką te bękarty robią jej teraz krzywdę. Pomyśl o tym, co zrobili tobie. A w końcu — może jednak nie zamierzają mnie zabić? Może tylko przestraszyć?

— Daniel — Kathy nie ustępowała. — Gdybyś był jednym z nich, gdybyś wiedział, że odkryto wszystkie fakty związane z popełnionymi przez ciebie morderstwami, wszystkie motywy zbrodni, co byś, do diabła, zrobił?

— A jednak muszę tam pojechać — powiedział Daniel. Jego strach i niepokój o Susie był wszechogarniający. Rozmawiając tracił głowę — krzyczał na Kathy, jakby ta była czemukolwiek winna. Na Boga, jeżeli tylko któryś z tych brudnych skurwysynów tknął chociaż jednym palcem Susie. Nie mógł myśleć o niczym innym tylko o twarzy Susie,

nabrzmiałej i zniekształconej od ciągłych uderzeń, o jej ciele, zgwałconym przez śmiertecznych mężczyzn.

— Daniel! — zawołała Kathy. Gdy odwrócił się do niej, powiedziała:

— Daniel, musi być jakieś inne wyjście.

— Nie mogę wymyśleć żadnego, a ty? Jaki mamy wybór? Albo Susie umrze, albo nie. Jeśli nie, to będzie już moje zwycięstwo. Cóż, Kathy, jestem o wiele od niej starszy. A przynajmniej mam tę odrobinę siły i doświadczenia, aby się bronić. A ona? To zaledwie siedmioletnie dziecko, które znało do tej pory tylko przyjaźń i uśmiech.

— Daniel!

— Nie odwiedzisz mnie od tego! Nie próbuj!

Kathy zacisnęła oczy pod wpływem napięcia i zmęczenia. Daniel zerwał kapsel z butelki Coors'a i zaczął łąć piwo do szklanki. Czynił to jednak zbyt szybko i w efekcie prawie cała szklanka wypełniła się pianą. — Cholera — zaklął, ale przytknął szkło do ust.

— Ja jednak czuję się, jakbym wam zawadzał — powiedział Rick.

— Nie zawadzasz — jęknął Daniel. — Po prostu zamknij się i znajdź sobie jakieś legowisko.

— Nie chciałem być zbyt nachalny, ani nic w tym rodzaju, ale wydaje mi się, że macie cholernie poważny problem. Może mógłbym w czymś pomóc?

— Czy widziałeś kiedyś jak ktoś traci życie? — zapytał Daniel.

— Tylko przez przypadek. Pewien mój znajomy, też kaskader, nieszczęśliwie zginął przy filmowaniu kraksy samochodowej.

Daniel skończył pić spienione piwo i nalał sobie następną szklankę.

— Pozwól, że ci coś wytłumaczę — powiedział do Ricka. — Jutro rano o godzinie dziewiątej piętnaście pojedę na wielopiętrowy parking na Santa Monica Boulevard i oddam się w ręce jednego lub większej liczby bandytów w zamian za uwolnienie mojej siedmioletniej córki, Susie, która została porwana w Arizonie w zeszłym tygodniu. Najprawdopodobniej zostanę następnie zamordowany.

— Żartujesz? — zapytał Rick. — Czy ja dobrze słyszę?

— Nie ma to chyba dla ciebie znaczenia, czy ja żartuję, czy nie. — stwierdził Daniel. — Ciebie tam nie będzie. Nie przejmuj się kłopotami moimi i Kathy. Rozpakuj swój bagaż, połóż się gdzieś wygodnie i trzymaj usta zamknięte. Będzie ci lżej, jeśli niczego więcej się nie dowiesz.

Rick wepchnął ręce głęboko w kieszenie spodni.

— Czy to chodzi o ten parking w Seward, czy w Wilcox?

— Wilcox, ale dlaczego pytasz?

— Cóż, wydaje mi się, że powinienem ci o tym powiedzieć... jeden z moich przyjaciół wyleciał kiedyś z tego parkingu. Autentycznie. Był pijany, przeleciał balustradę na trzecim poziomie i wylądował na dachu sąsiedniego budynku.

— A co to, do cholery, może mieć dla mnie za znaczenie? — zapytał Daniel.

— Poczekaj chwileczkę. Mój przyjaciel powiedział później, że średnio dobry kierowca mógłby z tego dachu dojechać spokojnie na dach następny i tak dalej, i w ten sposób dojechać aż do Cole.

— Ciągłe nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć... — stwierdziła Kathy z wahaniem.

— Słuchajcie, czy to, o czym przez cały czas mówiliście, to prawda, czy może szukacie pomysłów do jakiegoś filmu? — zapytał Rick. Zaciśnął usta, a jego oczy biegały w tę i z powrotem od twarzy Daniela do Kathy. — Pytam poważnie, czy to prawda?

— A jeśli tak? — spytała Kathy.

— Cóż, jeśli to jest prawda, jeżeli rzeczywiście macie spotkać się twarzą w twarz z mordercami na parkingu w Wilcox, to musicie wszystko zorganizować tak, jak udział kaskadera na planie filmowym, rozumiecie? Przede wszystkim należy dobrze znać teren. Ja zawsze rozglądałem się za miejscami, gdzie można by kręcić dobre sceny kaskaderskie. Parking w Wilcox jest jednym z nich, sam widziałem, choć nie wyjeżdżałem na dach. Słuchajcie więc, mówię wam że moglibyście wyrwać dziewczynkę porwaczom, tak, a później popędzić z nią do góry, zamiast do wyjazdu — w kierunku, którego mordercy w ogóle nie wezmą pod uwagę, rozerwać barierkę i pojechać po sąsiednich dachach. Później wysiądziecie z samochodu, zostawicie go na dachu, a mordercy będą krążyć po parkingu jak idioci i będą zastanawiać się, na którym poziomie się schowaliście.

— Jesteś szalony — powiedziała Kathy.

— Przecież właśnie takie numery kaskaderzy wykonują w filmach. A jeśli tam one wychodzą, dlaczego, do cholery, nie miałyoby to się udać raz naprawdę, w życiu?

Daniel odstawił swoją szklankę i przez chwilę wpatrywał się w Ricka z zamyśleniem. W końcu odezwał się:

— Jedźmy więc do Wilcox i zobaczmy na miejscu, jak to wygląda. Może masz rację, Rick, może mamy szansę. Powiedziałeś, że pojechalibyśmy samochodem po dachach?

— Właśnie. Można przy tym ściąć kilka kominów wentylacyjnych, ale nic ponadto. Rozumiesz czy nie? Możesz dostać swoją córkę z powrotem i z nią uciec, ocalić swoje życie, jeżeli to poprawnie zaplanujemy. Powiem ci coś. Wszystkie numery kaskaderskie, które robimy dla filmów, planowane są z dokładnością co do sekundy. Możemy, na przykład, zaplanować że będziemy potrzebowali sześć sekund na zniknięcie z oczu tym mordercom i tyle to musi trwać. Po tych sześciu sekundach żaden z nich nigdy więcej nie ujrzy nas na oczy.

— Nas?

— A co, może pojedziecie tam we dwoje i mnie zostawicie? Przecież to ja jestem kaskaderem.

Daniel popatrzył na swoją pustą szklankę.
— Melech Ham'lochin — wyszeptał.

Rozdział dwudziesty ósmy

Tego samego popołudnia Tytus wyjechał z Departamentu Stanu i popędził swoim własnym Porsche do bazy Air Force w Boiling, w Wirginii. Na nos założył ciemne przeciwsłoneczne okulary, a na głowę kapelusz, którego używał dotąd tylko łowiąc ryby. Miał nadzieję, że nikt go nie rozpozna. Strażnicy przy zewnętrznej bramie bazy byli już jednak uprzedzeni o jego przyjeździe, przepuścili więc Porsche bez zatrzymywania. Jeden z wystrojonych w białe rękawiczki żołnierzy MP skierował go na drogę okrążającą bazę dookoła i Tytus pojechał, mijając rzędy gigantycznych Starlifterów C-141 i cały ten pozorny bałagan dżipów, skrzyń z amunicją i półciężarówek ze znakami Military Airlift Command.

Lśniący czarny Lincoln generała Caufielda, zaparkowany w cieniu wielkiego dębu, widoczny był już z drogi. Sam generał Caufield stał w pobliżu, z rękami opartymi na biodrach, obserwując transportowiec C-5A, kołujący w kierunku głównego pasa, w przygotowaniu do startu. Hałas i gorąco dolatywały falami.

— Jak się masz, Pierce? — zagadnął Tytus, gdy zatrzasnął drzwi samochodu i podszedł do generała, ściskając w rękach swój kapelusz.

— Ja, w porządku — odparł generał Caufield. Miał regulaminowo bardzo krótko obcięte włosy, przez co nie wyglądał na swoje 55 lat. — Nie miałem ostatnio wiele czasu na łowienie ryb, cóż, każdy z nas dźwiga swój krzyż.

— Łowienie ryb jest teraz ostatnią z rzeczy, na które miałbym czas i ochotę — odparł Tytus.

— Tak przypuszczam. Kiedy pierwszy raz o tym usłyszałem, też się cholernie poczułem. Nie mogłem uwierzyć własnym uszom. Przez kilka dni byłem w depresji, jeśli chcesz wiedzieć. To cholerna rzecz, kiedy dowiadujesz się, że wszystko o co walczyłeś, wszystko w co wierzyłeś, twój sztandar, twój kraj, wszystko zostało ci odebrane tak, że nawet nie spostrzegłeś kiedy i nie byłeś w stanie temu zapobiec.

— A więc to prawda — powiedział Tytus. Patrzył na Pierce'a Caufielda lekko przy-mrużonymi oczyma, z głową trochę przekrzywioną. Jeszcze przed chwilą miał nadzieję,

że generał wszystkiemu zaprzeczy, powie że istnienie Ikona to głupi żart.

Pierce Caufield odwrócił się do Tytusa i powiedział szorstko:

— Tak, to prawda, niestety. Stany Zjednoczone rządzone są przez Związek Radziecki od lata 1962 roku. Jednym z pierwszych posunięć Rosjan było zapewnienie sobie, że siły amerykańskie nigdy nie będą mogły skutecznie zagrozić ZSRR.

— Dlaczego więc po prostu nie rozbroili naszej armii? Przecież byłoby to o wiele prostsze niż cały ten wieloletni kamuflaż.

— To byłoby głupie — odparł Pierce. — Zdawali sobie sprawę, że wygrali tylko poprzez umiejętnie zastosowaną groźbę nuklearnej katastrofy, że gdyby próbowali wziąć nas wszystkich brutalną siłą, ta katastrofa rzeczywiście by nastąpiła. Nie znam wszystkich szczegółów, nie byłem wtajemniczony w to, co się wówczas działo. Dowiedziałem się o wszystkim dopiero w 1974 roku, prawie dwanaście lat później. Z tego co sobie zdołałem odtworzyć wynika, że zdecydowano zrobić z nas komunistów w ciągu dłuższego okresu czasu. Postanowili nas złamać: socjalnie, moralnie, politycznie i ekonomicznie. Tak, byśmy przy ich pomocy „sami” doszli do przekonania, że przyjęcie komunizmu jest dla nas najlepszym wyjściem i abyśmy w końcu stwierdzili, że połączenie ze Związkiem Sowieckim jest w tej sytuacji jedyną konsekwentną drogą rozwoju.

— Chyba żartujesz — powiedział Tytus.

— Myślę, że byli zbyt dużymi optymistami, jeśli chodzi o czas, jaki im zabierze uczynienie z Amerykanów komunistów. Jestem przekonany, że Ikon miał z tego powodu wiele kłopotów na Kremlu. Lecz stopniowa destrukcja gospodarki Stanów Zjednoczonych wydaje się przebiegać zgodnie z ich planem. Nie mam przynajmniej wątpliwości, że pojawiają się na tle ekonomicznym te pytania i rozczarowania, których spodziewali się Rosjanie.

Tytus stał z pochyloną głową, podczas gdy Pierce Caufield osłonił dłonią oczy i podążył wzrokiem za C-5A, który właśnie wystartował i z malejącym hałasem oddalał się, lecąc w kierunku zachodnim.

— To wspaniały samolot, wiesz? Nadzwyczajne osiągnięcie naszej techniki. Wiesz ile on waży? Ponad trzysta dwadzieścia pięć tysięcy funtów, pusty. Było trochę trudności z napięciami na skrzydłach, ale już zostały rozwiązane. To jeden z dowodów, że jest wiele przyczyn, dla których Sowieci nie chcieli od razu podbijać militarnie Ameryki. Na przykład konieczność zachowania poziomu naszej techniki, możliwości jakie niesie nasza nauka. Słusznie ocenili, że jesteśmy najlepsi w świecie prawie we wszystkich jej dziedzinach. Byłoby absurdem i marnotrawstwem z ich strony, gdyby zakłócili nasz program badania kosmosu, albo gdyby rozpieprzyli naszą armię na drobne kawałki. Po co, skoro z łatwością przeniknęło do armii USA tylu rosyjskich szpiegów, że w krótkim czasie zapewnili sobie zupełną bezużyteczność naszych głównych broni — już nigdy nie będą w stanie zagrozić Rosji. Wszystkie nasze stacje wczesnego ostrzegania nada-

ją się tylko do obserwacji naszego ruchu lotniczego, bo nic z ich ostrzeżeń nie wynika. Doskonale służą teraz Aerofłotowi. Zresztą, nie ma już żadnego zagrożenia za strony ZSRR, od dwudziestu lat już nie. Nie musimy obawiać się konfliktu, wszystko skończone, a my wszyscy w Ameryce nie jesteśmy nikim więcej niż więźniami wojennymi.

— Ale nasze rakiety — powiedział Tytus. — Nasi żołnierze, nasze samoloty... właśnie zamówiliśmy nowy czołg, do cholery.

— Wiem — odrzekł Pierce, z ogromnym chłodem. — Wiem, jak musisz się czuć. Kiedy ja się dowiedziałem, długo zastanawiałem się nad samobójstwem. Nawet chciałem wsiąść w samolot i rozbić się razem z nim na Kremlu. No, ale w końcu było to przecież jakoś dziwnie uspokajające, dowiedzieć się że wszystko, co się wydarzyło w Ameryce przez ostatnie lata, było zaplanowane, że obecny moralny upadek kraju nie jest naszą winą. Seksualna rewolucja była zaplanowana, ogromna liczba młodych ludzi zażywających narkotyki to też wynik rosyjskiego planu. Nawet powszechna kontrola urodzeń to efekt działań, które miał trzymać pod nadzorem nasz przyrost naturalny. Każdy większy narodowy trend, od ruchów studenckich począwszy, po modę na jogging i konserwatywny styl ubierania się, był częścią starannie obmyślonego socjopsychologicznego schematu działań, dążących do uczynienia Amerykanów bardziej niepewnymi swej przyszłości, bardziej krytycznymi wobec przeszłości. No i gdy Ikon uzna, że nadszedł właściwy czas, ogłosi nową, złotą erę socjalizmu. Pełna odwilż w stosunkach pomiędzy Ameryką a Związkiem Radzieckim da podstawy do proletariackiego zjednoczenia się. Za pięć albo dziesięć lat, będziemy pili wódkę i śpiewali „Międzynarodówkę”.

— Ale jak oni to zrobili? Jak mogli dokonać tego wszystkiego w takiej tajemnicy, że nikt tego nie odkrył? — zapytał Tytus.

— Wielu ludzi dowiedziało się o tym. Część z nich zamordowano. Inni stwierdzili, że bezpieczniej będzie siedzieć cicho. Jak ja. Wezwali mnie do Pentagonu pewnego sierpniowego poranka i oznajmili, że za chwilę powiedzą mi coś, co pewnie mi się nie spodoba, ale jeśli nie podejmę mimo wszystko współpracy, moi synowie, moje córki i żona zostaną zamordowane. Widzisz więc, że nie miałem żadnego wyboru. Osobiście byłem odpowiedzialny za to, aby wszystkie pociski Minuteman były bezpieczne, to znaczy żeby żaden nie miał sprawnej głowicy bojowej. System naprowadzania jest sprawny i ciągle funkcjonuje, a Boeing ciągle prowadzi badania nad nowymi rozwiązaniami. Ale nie zostaną one nigdy wykorzystane przeciwko Rosjanom. Jeżeli kiedykolwiek przeciwko komuś zostaną użyte, to ofiarą będą zapewne Chińczycy. Nie możemy mieć złudzeń, Tytus. W momencie gdy Chruszczow zatelefonował do Kennedy'ego i powiedział, że na Kubie znajdują się całe tuziny rakiet dalekiego zasięgu z głowicami nuklearnymi, wszystkie wymierzone w terytorium USA, Kennedy nie miał wyboru. Poddał kraj natychmiast, a później, aby nie wywracać całego świata do góry nogami, zaaranżowali z Chruszczowem wielką mistyfikację: Chruszczow udał, że został powstrzymany

i wycofuje pociski z Kuby. Naprawdę dziwi mnie, że nikt wówczas nie zdał sobie sprawy, co wydarzyło się w rzeczywistości. Myślę, że zbyt wielką ulgę odczuliśmy po tym, jak nam zakomunikowano ostateczne rozwiązanie kryzysu. Przecież był to jedyny wypadek, w którym Chruszczow okazał się — oficjalnie — stroną przegraną, a porażki nie leżały w jego charakterze... Chodź Tytus do samochodu, pokażę ci coś. A przy okazji pewnie będziesz chciał czegoś się napić.

Dwaj starzy przyjaciele usiedli na tylnym siedzeniu Lincolna i zamknęli drzwi. Pierce opuścił wysuwany ze ścianki stolik i nalał sobie i Tytusowi po dużej szklance Wild Turkey. Później wyciągnął skądś brązową kopertę z nadrukiem ŚCIŚLE TAJNE i wytrząsnął z niej kilka starych, ale jeszcze wyraźnych fotografii.

— To są zdjęcia, które nigdy nie trafiły do gazet. Wykonano je w dniu, w którym Rosjanie niby rozpoczęli ładowanie swych rakiet w drogę powrotną do ZSRR.

Tytus wziął jedną z fotografii i popatrzył zmarszczywszy brwi.

— Co to jest? — zapytał. — Wygląda jak wiele innych zdjęć na które się napatrzyłem. Rakiety ładowane na pokłady rosyjskich statków transportowych.

— Tak, ale spójrz tutaj. Samolot, z którego wykonano te zdjęcia, leciał bardzo nisko. Zbyt nisko, jak się okazało. Dlatego całkiem wyraźnie możesz zobaczyć, że najbliższy kontener na rakiety, na tej burcie statku od strony portu, jest pusty, zwykła rura, wydrążona w środku. Spójrz jak padają promienie słoneczne, jak głęboko wnikają do wewnątrz. Te rury, w których transportuje się pociski, są puste. Wielkie oszustwo. Strategiczne pociski nuklearne ciągle rozlokowane są na Kubie i nic już nigdy na to nie poradzimy.

Tytus wypił potężny łyk whisky, później rzucił się plecami na oparcie siedzenia i popatrzył na przyjaciela na pół z rezygnacją, na pół z wyrzutem w oczach.

— Dlaczego nie powiedziałeś mi, Pierce? Przez te wszystkie lata nie miałem zielonego pojęcia. Mój Boże, Pierce. Ja byłem odpowiedzialny za większość z tych broni. I nigdy nie przyszło mi nawet do głowy, że może z nimi być coś nie w porządku. To się nazywa ślepa wiara, cholera, głupia ślepotą.

— Nie mogłeś wiedzieć, Tytus. To nie był zwykły sabotaż. To był szeroko zakrojony i systematycznie realizowany program sekretnego rozbrowienia, prowadzony przez ekspertów, którzy mieli możliwość użycia wszystkich środków, w razie jakichkolwiek kłopotów. Wiem z całą pewnością, że przez te lata zamordowano ponad stu techników i robotników, którzy próbowali przekazać tajne informacje dziennikarzom. Niemała liczba ludzi, głównie z prasy i telewizji, poddana została szantażowi. Pewien reporter, który pisał o rozbrowieniu nuklearnym dla „The Reader’s Digest” znaleziony został w swym samochodzie na dnie Chincoteague Bay. Jest całkiem możliwe, że jeśli ktokolwiek się dowie, co tobie powiedziałem, znajdę się również w poważnym niebezpieczeństwie. Ale kiedy zadzwoniłeś do mnie dziś rano, nie mogłem, po prostu nie mogłem zwyczajnie cię

spławić. Pomyślałem, że nadszedł czas abyś się dowiedział. Mam nadzieję, że będziesz w stanie to znieść.

— Ale to oznacza, że jestem jeńcem — powiedział Tytus ochryłym głosem. — To oznacza, że nigdy w życiu nie będę już wolnym człowiekiem.

— Od dwudziestu lat nie jesteś wolny.

— Cholera, Pierce, ale dopiero teraz o tym się dowiaduję. Jeszcze w zeszłym tygodniu byłem szczęśliwym idiotą, który nie zdawał sobie sprawy, że przez cały czas zamknięty jest w klatce, a teraz widzę pręty tej klatki.

Pierce położył mu rękę na ramieniu.

— Nie chciałbym, abyś działał gwałtownie, abyś cokolwiek w związku z tym podejmował, Tytus. Narazisz wielu ludzi na śmierć, nie wyłączając mnie i mojej rodziny. Jedź teraz spokojnie do domu, przemyśl wszystko, a dopiero potem zadecyduj, co chcesz robić. Jeżeli w ogóle się do czegokolwiek w tej sprawie zabierzesz. Spotkajmy się jutro, jeśli będziesz chciał. Mniej więcej o tej samej porze, na brzegu w Windmill Point.

Tytus dopił jednym haustem resztę whisky. Potem wygramolił się z Lincolna i poszedł do swojego Porsche. Po drodze założył na głowę wędkarski kapelusz.

— Zapamiętaj, co powiedział kiedyś Kennedy — krzyknął za nim Pierce. — „Podstawowych problemów współczesnego świata nie można rozwiązać środkami militarnymi”.

Tytus zatrzymał się i odwrócił głowę.

— Powiedział to, gdy rozwiązanie wojskowe było już poza jego zasięgiem — warknął. — Powiedział to po tym, gdy nas sprzedał.

Pierce krzyknął coś w odpowiedzi, ale jego głos zagłuszony został przez potężny grzmot silników C-5A „Galaxy”, podchodzącego do lądowania z kierunku zachodniego. Cień samolotu przemknął nad oboma mężczyznami jak cień historii; historii która przyniosła im wiele przerażenia i rozczarowania, historii na której bieg żaden z nich nie będzie już nigdy miał wpływu.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Porucznik Berridge uprawiał jogging wraz ze swoją żoną, Stellą, nad brzegami Arizona Canal. Była właśnie szósta nad ranem, jeszcze chłodno, ale leniwie płynąca woda wybudowanego przez Indian kanału odbijała już wznoszące się nisko nad horyzontem słońce i zwisające nad wodą liście rosnących przy brzegach wierzb. Przebiegli kanał przez most prowadzący do Biltmore Hotel i skręcili na zachód, biegnąc wśród rzędów drzew pomarańczowych. Ich profesjonalne obuwie delikatnie klapało o czarną asfaltową nawierzchnię. Dresy „Lacosta” powoli wilgotniały na plecach od potu.

— Sprawa tego porwania... nie pozostała bez wpływu... na moją formę — porucznik Berridge trochę zwolnił. — Jestem wykończony.

— Nie dziwię ci się — powiedziała Stella. Jej blond włosy podskakiwały wesoło na głowie podczas biegu. — Jak by nie było, przez dwie noce nie zmrużyłeś oka. Nie możesz zostawić tego Mulliganowi?

— Jeszcze nie teraz. Najpierw muszę się zorientować, o co w tym wszystkim chodzi.

— A może nigdy ci się nie uda? Mogli wywieźć dziewczynkę na pustynię, tam ją zamordować i zakopać w piasku — i kto kiedykolwiek to odkryje?

— Ja to odkryję. Ja. Mam instynkt, jeśli chodzi o tego typu uprowadzenia. A poza tym jestem przekonany, że ta dziewczynka żyje. Wiesz co? Myślę, że on ukrywa coś przed policją. Bo niby dlaczego poleciał do Los Angeles z tą Kathy Forbes z „Flag”?

— Może są zakochani — powiedziała Stella.

— Zakochani? Kto by się zakochał w takiej dziewczynie?

— Wydawała mi się bardzo ładna, sądząc z fotografii.

— Jest zupełnie przeciętna, to wszystko.

Stella trąciła go łokciem w żebra.

— Kiedy twierdzisz, że dziewczyna jest przeciętna, czuję że podoba ci się jak cholera. Czyli że wilk Berridge znowu poluje. Dzięki Bogu, że pojechała na wybrzeże.

Prawie dobiegli do 24 Ulicy, chociaż ciągle byli oddzieleni od niej rzędami drzew pomarańczowych. Nagle, bez ostrzeżenia, zza zakrętu wyskoczył jasnoniebieski Thunder-

brid i zatrzymał się na wprost nich, kołysząc się na swym szerokim zawieszaniu. Porucznik Berridge zmienił rytm biegu, zwolnił i chwycił Stellę za rękę, aby uczyniła to samo. Samochód stał tam, gdzie się zatrzymał, kilka metrów przed rogiem, jego silnik pracował, a zza przyciemnionych szyb rysowała się sylwetka kierowcy.

— Coś nie w porządku? — zapytała Stellą.

— Nie wiem, myślę, że nie — odparł jej mąż, ale zwolnił tempo do marszu. Okrążył przód Thunderbirda i podszedł do okna kierowcy. Szyba opadła w dół. Naklejka z numerem na przedniej szybie samochodu poinformowała Berridge, że samochód jest wypożyczony, a pierwszą rzeczą, którą zobaczył przez otwarte okno, był breloczek firmy Avis, dołączony do kluczyków zwisających ze stacyjki.

Kierowca był człowiekiem dobiegającym pięćdziesiątki, w brązowej sportowej koszuli i okularach przeciwsłonecznych. Uśmiechnął się do porucznika Berridge'a i zapytał:

— Czy mogę panu w czymś pomóc?

— Jestem funkcjonariuszem policji. Wywołuje pan potencjalne zagrożenie dla ruchu, zatrzymując się tutaj. Zechciałby pan stąd odjechać?

— Pan jest funkcjonariuszem policji? — zdziwił się mężczyzna, mierząc porucznika uważnym wzrokiem od stóp do czubka głowy.

— Bywa, że nawet policjanci miewają odrobinę wolnego czasu — odpowiedział mu porucznik Berridge. — Byłbym wdzięczny, gdyby pan stąd odjechał.

Mężczyzna ściągnął okulary. Jego oczy otoczone były gęstymi zmarszczkami. Zimne, martwe. Jak z kamienia. Oczy człowieka, który spędził całe lata na poszukiwaniach, lata na przebijaniu się wzrokiem przez dym zatłoczonych barów, lata na poszukiwaniu jednej i tylko jednej osoby. Oczy człowieka, który odnalazł ją i teraz dyskontował swój sukces.

— Musi pan być porucznikiem Berridge — stwierdził mężczyzna.

Berridge cofnął się o pół kroku. Później obejrzał się do tyłu na Stellę. Obcy ludzie, którzy mówili do niego po nazwisku, wzbudzali jego ostrożność. Był kiedyś na patrolu z gliniarzem o nazwisku O'Manion, dawno temu, gdy rozpoczynał policyjną karierę. I pewnej nocy na Indian School Road, gdy chcieli wsiadać do swojego samochodu, ktoś krzyknął: „O'Manion!” i wielka dziura po kuli pojawiła się w plecach O'Maniona.

— Niech pan się nie boi, poruczniku — powiedział nieznajomy. — Nie sprawię panu żadnych kłopotów, jeżeli nie będę musiał. Ale niech pan nie zgrywa bohatera, bardzo proszę. Trzymam na kolanach automat Ingrama, wymierzony prosto w pana przez drzwi i chwila nieuwagi może spowodować poważne uszkodzenia karoserii, no i pana.

Porucznik Berridge machnął jedną ręką za siebie i próbował dać znać Stelli, aby odszła jak najdalej od samochodu. Ale ona podeszła kilka kroków bliżej i powiedziała:

— No chodź, kochanie. Tracę adrenalinę.

— Niech pan nic nie mówi — mężczyzna ostrzegł porucznika. — Przyjechałem tu, aby pana ostrzec, nie zastrzelić. Zajmuje się pan sprawą porwania Susie Korvitz, prawda? I tym nieszczęsnym wypadkiem w Tempe.

— To prawda — twarz porucznika zeszytniała. — A co pan ma z tym wspólnego?

— Nie musi pan wiedzieć. Jedyne, co ma pan zrobić, a raczej czego nie robić, to nie szukać żadnych dowodów, zgubić wszelkie ślady i puścić obie sprawy w niepamięć.

— A jeśli powiem, abys się odpierdolił?

— Wówczas zabiję pana. Pamięta pan biednego szefa Ruse?

— Zabiłeś szefa Ruse?

— Właśnie. I zabiję pan również, jeżeli nie będzie pan wiedział, jak się zachować. Rozumie pan, musiałem pana ostrzec. Takie wydano mi polecenia.

Porucznik Berridge powiedział głośno do Stelli:

— Kochanie, odejdz stąd, rozumiesz?

— Co, co powiedziałaś? — zapytała.

— Powiedziałem, abys stąd odeszła. Schowaj się za czymś.

Mężczyzna w samochodzie niespodziewanie uniósł z kolan mały, czarny automat. Porucznik Berridge rozpoznał tę broń od razu i poczuł mrozącą krew w żyłach falę strachu. Przez ułamek sekundy nie wiedział co robić; jednak zaraz zdecydował — krótkim skokiem rzucił się do przodu i wylądował na dachu Thunderbirda.

Ta nieprzewidziana akcja najprawdopodobniej uratowała mu życie, ponieważ gdy tylko skoczył, mężczyzna otworzył ogień i Berridge usłyszał ten zdecydowany i przerażający trzask, który wydaje tylko Ingram, strzelający ciągłym ogniem. Wystrzelenie serii trzydziestu pocisków zabrało dokładnie półtorej sekundy. Kilka z nich trafiło Stellę, stojącą przed samochodem w całkowitym zdumieniu i zaskoczeniu.

Obie jej nogi zostały przecięte w połowie ud i asfalt wokół niej pokrył się w jednej sekundzie przerażającymi bryzgami krwi i potrzaskanymi fragmentami kości. Miała czas, aby spojrzeć w dół, na swoje nogi, z wyrazem bezbrzeżnego zdumienia i bólu. Miała nawet dosyć czasu, aby podnieść wzrok jeszcze raz, ostatni raz i rozszerzonymi z bólu i przerażenia oczyma poszukać swojego męża. A potem po prostu jej ciało odpało od nóg i uderzyło o asfalt z ohydny łoskotem. Jej krzyk miał tak wysokie natężenie, że porucznik Berridge prawie go nie słyszał. Krzyk z rodzaju tych, które obudziłyby psy w nocy, krzyk który powraca po latach w najbardziej koszmarnych snach.

Mężczyzna w samochodzie wyciągnął z kieszeni drugi magazynek. Porucznik przesliznął się po winylowym dachu i włożył lewą rękę przez okno do środka samochodu, ściskając najpierw ramię a później szyję mężczyzny, który uderzył jego rękę kolbą automatu, zdzierając mu skórę i mięso ze stawów. Ale porucznik Berridge zdołał schwycić go za gardło i zsunąć się bezpiecznie z dachu na ziemię. Mógł teraz uchwycić mężczyznę obiema rękami. Pchając jego głowę z całych sił na przednią szybę, od razu zła-

mał mu nos. Na szkłe pozostał szkarłatny ślad, a mężczyzna zacharczał i spróbował wyrwać się z uścisku.

— Wysiadaj — wykrzyknął Berridge z histerią w głosie. — Wyłaź z tego pierdolonego samochodu!

Otworzył gwałtownie drzwi i wywlekł go na drogę, a później kilkakrotnie kopnął z całej siły w twarz. Automat wypadł z samochodu i wtoczył się gdzieś pod koła.

Mężczyzna próbował powstać, ale został uderzony w gardło dzikim, potężnym ciosem karate, po którym porucznik doznał otwartego złamania jednego z palców prawej ręki. Kopnął jeszcze padającego mężczyznę tak silnie pomiędzy nogi, iż wydawało mu się, że usłyszał trzask pękających jąder. Nieznajomy powłókł się w kierunku pobocza i tam upadł ostatecznie, jęcząc i skomląc.

Porucznik Berridge uklęknął przy Stelli. Jej twarz, mimo opalenizny, przybrała kolor popiołu, jakby w jednej chwili Stella stała się starą kobietą. Krew wylewała się z jej ud niepowstrzymanie, a szok paraliżujący jej zmysły, był tak potężny, że mogła tylko patrzeć na niego unosząc lekko rękę w poszukiwaniu jego dłoni. Umierała bardzo szybko. Sylwetka męża stanowiła już dla niej prawdopodobnie tylko mgliste przypomnienie kończącego się życia, świat w który wkraczała, był dla niej czymś realniejszym.

— Stella — wyszeptał porucznik Berridge. Wiedział, że nie może go już usłyszeć. W polu jego widzenia znajdowała się jej lewa noga, leżąca kilka metrów od niej, nachylona ku ziemi pod nienaturalnym kątem. Powiedział znów: — Stella — a ona umarła na jego rękach i podziękował Bogu, że nastąpiło to tak szybko. Klęczał jeszcze przy niej przez dwie lub trzy minuty, nic nie mówiąc, nie myśląc, z nadzieją, że wszystko jest jednak okropnym snem.

Nagle usłyszał metaliczny dźwięk za sobą i zeszytniał, jego twarz stała się zaciętą maską. Powoli odwrócił głowę i znów patrzył na mężczyznę. Stał, z wyłupiastymi oczami, mętnymi od bólu, z twarzą całą we krwi, oparty ciężko o maskę Thunderbirda i z Ingramem celującym w niego, z wymienionym właśnie magazynkiem.

Porucznik Berridge powstał.

— Rzuć broń — powiedział. — Jesteś aresztowany za popełnienie zabójstwa pierwszego stopnia.

Mężczyzna strzelił, półsekundowym strumieniem kul, które przeleciały obok głowy porucznika Berridge. Lecz ten, z uporem człowieka, któremu nie zależy już na życiu, podszedł do mordercy i położył rękę na jego ramieniu.

— Powiedziałem, że jesteś aresztowany — powtórzył. Mężczyzna gapił się w niego i nie wystrzelił już więcej. Berridge widział przed sobą jego twarz, nabrzmiałą i rozmazaną — w miejscu nosa znajdował się tylko trójkąt ciemnej czerwieni. Wstrząsnął nim przenikający do szpiku kości zimny dreszcz, ale nie zwalniał uścisku z ramienia mężczyzny powtórzył jeszcze: „aresztowany”, a później już zamierającym głosem: „areszto...”.

Stracił przytomność.

Upadł na drogę. Żył jeszcze. Widział powierzchnię drogi przy swej twarzy. Trochę dalej leżała pomarańcza, która spadła z drzewa. Ostatnią rzeczą jaką usłyszał był warkot silnika i odgłos zatraskiwanych drzwi samochodu.

Mężczyzna zawrócił Thunderbirdem, po czym przejechał przez porucznika Berridge, miażdżąc mu klatkę piersiową. Wykonał w ten sposób swoje zadanie. Dojechał do skrzyżowania z 24 Ulicą i na czerwonym świetle skręcił w lewo, wywołując momentalnie cały chór klaksonów i pisk opon hamujących nagle pojazdów. Krzyknął na całe gardło: — Odpierdolcie się, sukinsyny — mimo że nikt nie mógł go usłyszeć. Ból z rozbitego nosa nieomal odbierał mu świadomość. Pod skórą czuł potraskane kości. Prawe jądro pulsowało gwałtownie. Wydawało mu się, że jest dziesięć razy większe niż być powinno i drga i skacze jak szalone, powodując nieopisane cierpienia.

W ciągu dwudziestu minut dotarł do bezpiecznego domu w Tempe, cały czas naruszając przepisy ruchu drogowego, nie zważając na światła, ani znaki. Potworny ból w genitaliach odbierał mu możliwość jakiejkolwiek koncentracji. Zaparkował samochód przed domem i pokuśtykał frontowymi schodami, spocony, z trudem łapiąc powietrze. Długo i niezdarnie szukał klucza po kieszeniach aż wreszcie udało mu się wejść do środka. Wówczas, łkając przeraźliwie, upadł twarzą na dywan i leżał tak drgając i trzęsąc się. Czuł, że cały świat jest tylko dwoma calami sześciennymi najstraszniejszego bólu.

Było już prawie południe, gdy zadzwonił telefon. Udało mu się sięgnąć ręką i ściągnąć aparat na podłogę.

— Tak — odezwał się przechrypłym, nosowym głosem.

Rozmowa była zamiejscowa. Słyszał słaby śpiew sygnałów elektronicznych i zakłócenia powodowane przez innych ludzi, próbujących uzyskać połączenia. Wreszcie dobiegł go męski głos.

— Słyszeliśmy właśnie o Berridge. Dobra robota. Porządnie i szybko.

— Jestem ranny.

— Zostaniemy w Los Angeles jeszcze przez tydzień lub trochę dłużej. Może przyjedziesz do L.A. na dobre? Będą tu jeszcze dwie małe robótki, a później pozostawimy cię w świętym spokoju.

— Mówiłeś, że Ruse będzie ostatni. Potem powiedziałeś, że Berridge będzie ostatni. Daj mi spokój, Skellett, jestem ranny. Nie mogę już więcej, jestem skończony.

— Jak możesz tak mówić? Jesteś najlepszy...

— Straciłem dwadzieścia lat życia, szukając jednej kobiety. Jestem skończony. Żadnej roboty przez dwadzieścia lat, a teraz to. Trzy w ciągu tygodnia! Już nie mogę więcej, panie Skellett, koniec ze mną. A poza tym nie jestem pewien, czy wszyscy w Waszyngtonie będą tak zadowoleni z tej roboty, jak pan. Jak mi wiadomo, niektórym osobom nie podoba się to zamieszanie. Szczególnie w obliczu tych zbliżających się rozmów rozbro-

jeniowych.

— Henry — odpowiedział Skellett, a ton jego głosu był kwaśny, jak ocet. — Henry, rozbrojenie to nie twój zasrany interes. Ty jesteś człowiekiem do wynajęcia, to wszystko.

— Jestem człowiekiem do wynajęcia, ale właśnie kończę z tym. Mam złamany nos, nie słyszysz, że mam złamany nos! I ten pieprzony Berridge skopał mnie po jajach. Potrzebuję lekarza, do cholery, lekarza, a nie jakiejś nowej roboty. Przyślij tu do mnie lekarza!

Nastąpiła długa cisza w słuchawce, po czym Skellett zapytał:

— Czy możesz złapać popołudniowy samolot do L.A.? Western Airlines ma lot o pierwszej czterdzieści.

— Spróbuję. Nie wiem.

— Spróbuj, dobrze? Zarezerwuję ci separatkę w Welford Clinic. Ale potrzebuję cię tutaj. Dla mnie ciągle pozostajesz najlepszy, ze złamanym nosem, czy nie. Cenię cię z głębi serca.

— Nie wiedziałem, że masz serce.

Skellett roześmiał się fałszywie.

— Wsiądź do samolotu o pierwszej czterdzieści — powiedział. — Wyślę po ciebie samochód na lotnisko.

— Dobrze. I już nigdy więcej nie dam się wysłać do Phoenix.

Skellett znów się roześmiał, a później gwałtownie rzucił słuchawkę.

Rozdział trzydziesty

Krążyli wokół wielopiętrowego parkingu na Santa Monica Boulevard i siedząc w samochodzie gapili się w niego jak załęcznieni rycerze, rozważający ewentualne następstwa wdarcia się do zamku złego czarownika. Jechali powoli, lecz Rick spędził w nocy wiele godzin, grzebiąc pod maską samochodu z małą latarką między zębami i płaskimi kluczami w obu rękach, więc chociaż ich Monaco nie można było porównać do Cobry Shelby, silnik pracował równomiernie i zadowolił w końcu Ricka, który kilkakrotnie wypróbowywał zryw samochodu, przyciskając gwałtownie pedał gazu. Okoliczności sprawiły, że Rick, rzecz jasna, awansował na kierowcę.

— Myślę, że oni już są — powiedział Daniel. — Pewnie rozstawili też swoich ludzi na zewnątrz, aby mieć pewność, że nie spróbujemy żadnych sztuczek.

— Co mam robić? — zapytał Rick.

Daniel spojrzał na zegarek.

— Wjedź już do środka i dalej działamy tak, jak ustaliliśmy. Tylko, na Boga, bądź ostrożny. Ci faceci są naprawdę niebezpieczni. To jest, chciałem powiedzieć, że to dziwie bestie.

Rick wrzucił wyższy bieg, głośno odchrząknął i zapytała:

— Czy robiłeś już kiedyś coś takiego?

Daniel potrząsnął przecząco głową.

— Ja również — powiedział Rick. Milczał przez chwilę, a później dodał: — Cholerne się boję, a wy?

Nie oczekiwał odpowiedzi. Podjechał ostrożnie na rampę i wykupił bilet. Szlaban uniósł się do góry i ruszyli w ciemność. Koła piszczały głośno na gładkiej betonowej nawierzchni.

— Czy napisali, na którym poziomie? — zapytał Rick.

— Nie napisali nawet, że rzeczywiście tutaj będą czekać.

— Cóż wszystkiego się dowiemy, jak przejedziemy cały parking.

Dotarli do końca pierwszego poziomu i wyjechali wśród niespodziewanych promie-

ni słonecznych na rampę prowadzącą na poziom drugi. Przytłumiony warkot odbijał się echem od ścian. Razem z piskiem opon ich samochodu, odgłosy parkingu bardziej niż kiedykolwiek przywodziły na myśl tajemniczą posiadłość złego czarownika.

— Powinniśmy zabrać pistolety — szepnęła Kathy.

— Powinniśmy wziąć ze sobą Gwardię Narodową — odparł Rick.

Daniel, rozmyślając tylko o Susie, nie mówił nic. Zacinał mocno pięści, a jego mięśnie były tak naprężone, jakby za chwilę miały pęknąć.

Dojechali do końca drugiego poziomu i wjechali na rampę prowadzącą do trzeciego.

— To ten — stwierdził Rick. — Popatrzcie przed siebie aż do końca, tam gdzie są barierki. Za nimi nie ma nic, tylko płaskie dachy. Przejedziemy przez barierki i pojedziemy dachem aż do tego zbiornika na wodę. Później zostawimy samochód i zejdziemy schodami pożarowymi.

Daniel popatrzył z powątpiewaniem na pokryte smołą dachy. Widział wszędzie kupy śmieci, a poza tym kilka sterczących w różnych punktach otworów wentylacyjnych i kominów. — Co będzie, jeżeli nie puszcza barierki? — dopytywał się Ricka. — Albo jeśli zderzymy się z jednym z tych kominów?

— Albo jeżeli twoi mordercy w ogóle się tu nie zjawią — odburknął Rick — Jeszcze ich nie spotkaliśmy, a prawie kończy się trzeci poziom.

Ale kiedy dojechali do rampy prowadzącej na poziom czwarty, usłyszeli warkot innego silnika i gdy skręcili, zjeżdżając z rampy, zobaczyli oczekujący na nich komitet powitalny na samym końcu poziomu. Było ich pięciu, otoczonych przez dwa szare Cadillacy z zapalonymi reflektorami i pracującymi silnikami.

— Skellett — wyszeptała Kathy, rozpoznając natychmiast mężczyznę stojącego w centrum grupy, w bładoniebieskiej marynarce ze sztucznej skóry, wąskim krawacie i wielkim kowbojskim kapeluszu o szerokim rondzie. Obok Skelletta stał Walsh — człowiek ze szkarłatno-truskawkowym znamieniem na twarzy. Kilka kroków za nimi tkwiło trzech Aniołów Piekieł z Los Angeles — groźnie wyglądający młodzieńcy w drelichowych kurtkach bez rękawów, w butach na wysokich obcasach, wszyscy wytatuowani, z kolczykami w uszach i różnymi spinkami, gwoździami i pinezkami poprzybijanymi i poprzywieszanymi gdzie się da. Najwidoczniej Skellett zdecydował się zapłacić za porcję dodatkowych mięśni.

— Zatrzymaj samochód. Nie podjeżdżaj zbyt blisko — powiedział Daniel do Ricka.

Rick przystanął, pozostawiając silnik na chodzie i zaciągnął hamulec ręczny. Po chwili jednak odwrócił się do Daniela i naśladując brytyjski akcent, stwierdził:

— Zdaje się, że nasz doskonały plan zawiera drobną usterkę.

— Co takiego? Co masz na myśli?

— Cóż, przykro mi to mówić, przyjacielu, ale znajdujemy się na czwartym, najwyż-

szym poziomie i nie możemy zawrócić. Nasz samochód stoi teraz frontem do niezbyt dobrze do nas usposobionych przyjaciół, a droga ucieczki, którą tak doskonale wykombinowaliśmy, jest niestety za nami.

— Co to znaczy? — zapytał Daniel niepewnie.

— Znaczy to, że kiedy będziemy stąd zwiewać, musimy uczynić to na wstecznym biegu.

Daniel spojrzał przez tylną szybę na wiodącą w dół betonową rampę, która była jedyną drogą powrotu na trzeci poziom. Była ciemna i ledwie mieściła szeroki kadłub Monaco. Nie chciałby prowadzić tamtędy samochodu tyłem, nawet bardzo powoli.

Długo wpatrywał się w twarz Ricka, podczas gdy pięćdziesiąt stóp od nich mężczyźni, którzy torturowali Kathy i porwali Susie stali spokojnie i niewzruszenie. Prawie niewidoczni pomiędzy oślepiającymi reflektorami swoich samochodów, oczekujący bez ruchu, jak ludzie którzy mają cały długi poranek na to, aby zabić.

— Czy będziesz w stanie to zrobić? — zapytał Daniel. — Jeżeli nie, to możemy się wycofać już teraz. Nie mam nic przeciwko wymienieniu mnie na Susie, jeżeli już tak musi być, ale nie chcę zostać zabity tutaj, na jej oczach.

— Nawet nie wiesz, czy ją ze sobą przywieźli — powiedziała Kathy. — Jeszcze jej nie widzieliśmy.

Rick uniósł ręce na swoim siedzeniu kierowcy i posłał uważne, długie spojrzenie do tyłu. Po czym uśmiechnął się niewinnie do Daniela i rzekł:

— Pamiętaj, że jestem kaskaderem. Potrafię nie takie rzeczy.

— Naprawdę pojedziesz do tyłu tą rampą z pełną szybkością? A później cały czas tyłem przez trzeci poziom i przez te dachy?

— Drobiazg — uśmiechnął się Rick.

Daniel rzucił na Kathy krótkie powątpiewające spojrzenie. Ale Rick uchwycił ten wzrok, uderzył Daniela po przyjacielsku w ramię i powiedział:

— Wiesz, kto ty jesteś? Daniel Niedowiarek. Jeśli potrafiłem tu wjechać to potrafię stąd również wyjechać.

Jeden z Aniołów Piekieł podszedł do nich i zastukał w okno końcówką kija do baseballa. Daniel opuścił szybę i zapytał:

— Co jest?

— Ty jesteś Korvitz, tak?

— Zgadza się.

— Pan Skellett chce, abyś wysiadł z samochodu.

— Powiedz panu Skellettowi, że nie zrobię niczego, dopóki moja córka nie będzie bezpieczna.

Anioł zastanawiał się nad tym przez chwilę, wreszcie odwrócił się do Skelletta i krzyknął:

— Facet mówi, że chce zobaczyć dziewczynkę!

Początkowo wydawało się, że Skellett nie usłyszał tej wykrzycanej wiadomości, ale w końcu odwrócił się i kiwnął na Welsha, aby podążył za nim. Podeszli do jednego z szarych Cadillaców i otworzyli tylne drzwi. Wyciągnęli dziewczynkę z samochodu i popchnęli tak, aby mógł ją zobaczyć ojciec. Miała związane ręce i oczy przewiązane czarną opaską.

— Susie! — zawołał Daniel. Jego głos odbił się zwielokrotnionym echem.

— Susie! — zawołał raz jeszcze.

Susie powiedziała niespodziewanie: — Tatusiu — głosem pełnym rozpacz i bólu. Daniel z najwyższym trudem zapanował nad sobą, aby nie pobiec do niej i nie chwycić jej w ramiona, swojej małej dziewczynki, córki jego i Candii. Zauważył, że po raz pierwszy pomyślał o Susie jako o córce nie tylko swojej, ale również Candii. Tak jak powinien zawsze. Dodało mu to jakoś siły, pewności, że tak naprawdę to nigdy nie był i nie zostanie sam.

— Skellett! — zawołał.

— Tak, panie Korvitz, słyszę pana.

— Skellett, pozwól Susie tu przyjść.

— Po to tu jesteśmy, panie Korvitz. Ale chcielibyśmy usłyszeć, co ma pan nam do powiedzenia, co pan wie.

— Nic nie wiem, Skellett. Zupełnie nic. Puść Susie i nie usłyszysz nigdy nic, o niczym. I nikt nie usłyszy. Obiecuję ci to.

— Obiecanki, panie Korvitz, obiecanki. Zapewnienia i obiecanki. Za takie zapewnienia na tym cholernym świecie nie można kupić nawet lunchu. Zapewnienia i obietnice to takie idiotyzmy w dzisiejszych czasach... Niech pan wyjdzie teraz z samochodu, pojdzie do nas, a my uwolnimy pana córkę.

Daniel obrócił się na siedzeniu, aby widzieć Kathy.

— Słuchajcie — powiedział szybko. — Jestem przekonany, że ich najsłabszy moment to ten, w którym uwolnią Susie. Susie nie może walczyć przeciwko nim, ale ja mogę i zamierzam. W tej sekundzie kiedy Susie znajdzie się przy samochodzie, wciągnijcie ją szybko do środka, a ja zacznę uciekać. Może zdążę, a może nie. Ale pierwszą sprawą, jaką zrobicie, mając już Susie w środku, to ruszycie do przodu, w moim kierunku, co zwiększy moją szansę ucieczki.

— Ale oni są uzbrojeni, na miłość boską — zaprotestował Rick.

— Oczywiście, że są uzbrojeni. Ale mamy tę przewagę, że wiemy co się wydarzy, a oni nie. Musimy wykorzystać ich zaskoczenie.

— Zrobiłeś się nagle władczy, ale... — zaczęła Kathy.

Daniel otworzył już drzwi.

— Tam jest moja córka, we władzy największego sadysty o jakim kiedykolwiek sły-

szalem. Myślisz że dbam o cokolwiek jeszcze?

— *Bonne chance* — powiedziała Kathy.

Daniel stanął przy Monaco, używając drzwi jako tarczy dla niższej partii swego ciała. Czuł zimny strach, lecz był zdeterminowany. Musiał dostać Susie, całą i bezpieczną. Jeżeli w całym jego dotychczasowym życiu było coś, co chciałby aby ocalało, to była to właśnie Susie. Chciał aby żyła, nic więcej.

— Skellett! — zawołał. A później dodał, spokojniej: — Podchodzę. Chcę, abyś puścił dziewczynkę.

— Puścimy ją, jak będzie pan w połowie drogi, panie Korvitz. Nie widzę żadnej potrzeby, abym musiał nadmiernie ryzykować. Ale ostrzegam pana — każdy nieprzemysłany ruch z pana strony sprawi, że oboje staniecie się tylko martwym mięsem.

— Idę, panie Skellett.

Daniel puścił drzwi i zaczął iść — dwadzieścia odbijających się echem kroków — w kierunku Skelletta i jego obstawy. Uwolniona od przepaski, Susie rozszerzała coraz bardziej oczy, gdy Daniel zbliżał się, ale nie krzyknęła, nic nie powiedziała. Skellett popchnął ją w końcu delikatnie i mruknął:

— Idź, Susie. Idź w kierunku niebieskiego samochodu. Nie zatrzymuj się, nie rozmawiaj z tatusiem. Zobaczysz go później.

Powoli, niepewnie jak świeżo narodzone źrebię, Susie zaczęła iść w kierunku Daniela. Wpatrywała się w niego uważnie przez cały czas, jakby mając nadzieję na otrzymanie od niego jakiegoś sygnału, że wszystko jest w porządku, że ta cała pantomima wymyślona przez Skelletta jest tylko wstrętnym żartem dorosłych, że wkrótce będą znów w Apache Junction, smażąc bekon, gotując płatki i czekając na pierwszych gderliwych klientów baru Daniela.

Gdy mieli się minąć, Daniel zatrzymał się, a Susie instynktownie uczyniła to samo.

— Idź Korvitz, ruszaj się! — zawołał Skellett.

Niezgrabnie, lecz błyskawicznie, Daniel potoczył się na bok, porywając Susie w ramiona, w momencie gdy się przewracał. Zaczął kulać się z nią w kierunku Monaco. Przez długą chwilę nikt się nie poruszył, nikt nie zareagował. A potem dwie rzeczy zdarzyły się jednocześnie. Rick ruszył do przodu samochodem, a Walsh sięgnął do kieszeni swej sportowej kurtki po pistolet. Nagłym echem zabrzmiały kroki Skelletta i jego Aniołów Piekieł, gdy popędzili w kierunku Daniela. On tymczasem powstał z betonu, zachwiał się, lecz utrzymał równowagę i jednym szarpnięciem otworzył drzwiczki Monaco, gdy Rick z piskiem opon zatrzymał się przy nim.

Walsh wypalił dwa razy. Kule małego kalibru odbiły się od maski i dachu Monaco i poleciały gdzieś w ciemność parkingu. Daniel wrzucił Susie na przednie siedzenie i sam opadł na nią, uderzając się przy wskakiwaniu do samochodu głową o framugę drzwi. Rick zdążył w tym czasie wrzucić wsteczny bieg i samochód szarpnął do tyłu,

a spod gwałtownie ruszających kół wystrzeliły małe obłoki niebieskiego dymu.

Walsh strzelił znowu i przednia szyba zrobiła się biała jak mleko.

— Dzięki Bogu, jedziemy w przeciwną stronę — wykrzyknął Rick, wychylony do tyłu w swym fotelu, z jedną ręką na kierownicy i oczami skupionymi na tylnym oknie, podczas gdy Monaco pędziło z prędkością trzydziestu mil na godzinę na wstecznym biegu przez całą długość czwartego poziomu parkingu.

Jednak przy zakręcie zawiódł go instynkt kaskadera. Z impetem uderzył w samochód zaparkowany przed samą rampą i wszyscy pasażerowie Monaco odczuli potężny wstrząs i usłyszeli huk gniecionej blachy. Rick wrzucił pierwszy bieg, potem znowu wsteczny i tym razem zmieścił się w zakręcie. Jadąc w dół z wielką prędkością po betonowej rampie, modlił się, aby nikomu teraz nie przyszło do głowy wjeżdżać na czwarty poziom w poszukiwaniu miejsca do parkowania.

Kiedy znaleźli się na poziomie trzecim, Daniel z przerażeniem stwierdził, że Skellett przez cały czas gonił za ich samochodem. I dogonił ich. Wepchnął rękę z rewolwerem przez otwarte okno, mierząc dokładnie w głowę Ricka i zawołał:

— Stój! Zatrzymaj ten cholerny samochód, albo cię zabiję!

Daniel chwycił go jednak za nadgarstek i wykręcił rękę tak mocno, że chyba popękały ścięgna. Wtedy rewolwer wystrzelił, jeden raz, wewnątrz samochodu: gorący podmuch ognia i czarnego dymu wydobył się z lufy, rozrywając na strzępy podbicie dachu, a im wszystkim odbierając na moment słuch. Daniel już miał puścić rękę Skelletta, lecz Rick krzyknął:

— Trzymaj skurwysyna, Daniel. Trzymaj go mocno, słyszysz mnie?

Unosząc się znów na swym siedzeniu, Rick przycisnął pedał gazu i Monaco zaryczało, pędząc tyłem wzdłuż poziomu trzeciego. Skellett, z wykręconą ręką, ciągle ścisnął przez Daniela, wleczony był przy samochodzie, jego buty podskakiwały i szurały po betonie, wstrętna twarz wykrzywiona była ze zdziwienia i bólu.

— Puść mnie! Puść mnie! — zaskowyczał, lecz Daniel trzymał go tak mocno, że udało mu się tylko przekręcić na plecy i przy okazji wykręcić sobie rękę w łokciu. Wydał przy tym przeciągłe, desperackie:

— Ouuuuuu...

Monaco dotarło do końca poziomu trzeciego w momencie, gdy mały rodzinny furgon ukazał się u wzniesienia rampy. Kierowca furgonu wcisnął pedał hamulca i z rosnącym przerażeniem patrzył jak Monaco gna wprost ku niemu na wstecznym biegu. Jednak w ostatniej chwili ominęło go i grzmotnęło w barierkę, kończącą trzeci poziom, z hałasem jaki wydaje wylatująca z torów lokomotywa i wypadło na światło słoneczne, na dach sąsiedniego budynku. Skellett, ciągle wleczony, poleciał razem z samochodem, z nogami uniesionymi wysoko w powietrze. Daniel nie zamierzał wypuścić go z rąk za nic w świecie, nawet gdyby sam Bóg Wszechmogący go o to poprosił.

— Jezusie! — wykrzyknął Skellett, śmiertelnie przerażony. — Jezu Chryste, puśćcie mnie!

Walsh, na drugim końcu poziomu trzeciego, przyklęknął i otworzył ogień ze swego automatycznego pistoletu. Jedna z kul trafiła w chłodnicę i usłyszeli nagły syk ulatującej pary. Inna uderzyła w oponę, ale jej nie przebiła.

— Dalej! — krzyknął Daniel i Rick rozpoczął, ciągle na wstecznym biegu, slalom pomiędzy otworami wentylacyjnymi, śmieciami i ceglanymi kominami. Przejechawszy w ten sposób przez cztery budynki, zatrzymali się przy szerokiej rampie samochodowej, prowadzącej w dół.

— Wciągnij tego skurwiela do samochodu — powiedział Rick. — Tylko szybko.

Daniel uwolnił rękę Skelletta, po czym otworzył swoje drzwiczki, a następnie tylne i wrzucił bandytę na miejsce obok Kathy. Popatrzyła na niego z przerażeniem i obrzydzeniem, lecz Skellett był zbyt potłuczony i wstrząśnięty, aby chociaż zwrócić na nią uwagę. Zajęczał, opadł bezwładnie na siedzenie i zgarbiwszy się, dotknął zdrową ręką zakrwawionej klapy swojej bladoniebieskiej marynarki.

— Dokąd prowadzi ta rampa? — spytała Kathy.

— Wydaje mi się, że do salonu samochodowego — odpowiedział Daniel. — To znaczy, że wyjedziemy samochodem aż na ulice.

— Tatusiu! — krzyknęła Susie. — Tatusiu, oni nadjeżdżają!

Daniel wysunął głowę przez boczne okno Monaco i stwierdził, że ludzie Skelletta musieli wrócić po swoje limuzyny, bo pędzili teraz trzecim poziomem parkingu w ich kierunku, z zapalonymi ciągle reflektorami. Rick owinął końcówkę rękawa swojej koszuli wokół pięści i rozbił popękana od kuli przednią szybę. Znow zapalił silnik i ruszył samochodem prosto w dół zbawczą rampą, w kilka sekund osiągając prędkość czterdziestu mil.

Otarli się lewą stroną o ścianę w nagłym skręcie, tracąc osłony na kołach, klamki i ozdobne chromowane paski na karoserii. Minęli warsztaty, w których mechanicy pracowali przy samochodach z palnikami acetylenowymi i młotkami. Chwilę później minęli górne piętro salonu, zatłoczone lśnącymi, nowymi samochodami. I zaraz niespodziewanie z warkotem wjechali na poziom zerowy, rzęsiście oświetlony, pełen nowych Toyot na obracających się podwyższeniach i klientów, krążących między samochodami, zaglądających w okna i wertujących broszury reklamowe.

— O Boże — westchnął Rick. Nie musiał mówić, że nie jest w stanie zahamować. Monaco mknęło przez salon z pełną szybkością, koła piszczały na gładkim marmurze, uderzali w doniczki z palmami, stoliki, tekturowe reklamy, lampy i krzesła. Zahaczyli o najnowszy, jasnoczerwony egzemplarz drogiej Toyoty, rujnując jej tył i posyłając ją nosem prosto w betonowy filar. Za chwilę przód Monaco zawadził o zderzak jeszcze jednej Toyoty i zerwał z niej do połowy kratę czołową.

— Tatusiu, oni są tutaj! — krzyknęła Susie. Z gardłowym wyciem silników i chrzęstem dartego metalu dwa szare Cadillaki wyłoniły się z rampy, jak dwa głodne wilki, z włączonymi reflektorami i wyciem klaksonów.

— Naprzód! — zawołał Rick i wdusił prawą nogą pedał gazu. Monaco wyskoczyło nagle prosto na ulicę przez frontowe okno salonu, z nieopisanym hałasem i eksplozją tysięcy kawałków tłuczonej szyby, lśniących i błyszczących w porannym słońcu. Niektóre fragmenty były jak małe brylanty, inne — jak miecze, a przez długą chwilę do uszu wszystkich przypadkowych przechodniów docierały odgłosy pękającego szkła, skrzypiącego, trzaskającego, dzwoniącego, bębniącego.

Pierwszy z Cadillaków wpadł do salonu i ślizgając się na marmurowym podłożu próbował wyrównać swój bieg w dzikim pościgu. Jego drugi tył zahaczył jednak o czerwoną Toyotę, którą wcześniej już zmaltretował Rick. Koła Cadillaka zatańczyły na gładkiej powierzchni. Drugi Cadillac grzmotnął z całym rozpędem w pierwszego, wyginając drzwi. Gwałtowna próba objechania go dookoła skończyła się poślizgiem i potężnym uderzeniem w betonowy filar, co definitywnie zakończyło pościg.

Nastąpiła ogromna eksplozja, gdy wybuchnął zbiornik paliwa Cadillaka. Potężny grzyb ognia spopielił samochód i wszystko, co znajdowało się w promieniu dwudziestu stóp. Po chwili wybuchło paliwo w drugim Cadillaku i salon zamienił się w piec hutniczy. Płonął przy akompaniamencie strasznego grzmotu i huku ognia, a obserwujący to wszystko ludzie nie mogli uczynić nic, tylko podziękować Bogu, że nie znajdowali się w środku.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Rozebrali Skelletta do naga, związali sznurem i zamknęli w łazience, która była jedynym pomieszczeniem bez okien. Następnie Rick, Daniel i Kathy przeszli do salonu i nagrodzili się dużą porcją whisky. Później siedzieli i gapili się na siebie w opóźnie-
nym szoku i wszechogarniającej uldze. Daniel nie mógł wierzyć, że słońce ciągle jeszcze
świeci przez wzorzyste zasłony, że to nie jest nawet pora lunchu. Mieli wiele czasu, aby
pójść do Butterfielda na sałatkę i szklankę wina, albo do Cock'n'Bull na żeberka. Jednak
żadne z nich nie miało ochoty ani na jedzenie, ani na to aby gdziekolwiek pójść.

Susie wydawała się nietknięta, nie była ranna, chociaż miała brudne włosy i odzież
nie zmienianą od dnia porwania. Daniel delikatnie ją wykąpał, dał jej mleka, małą por-
cję środka uspokajającego i ułożył ją na swoim łóżku. Spała już po kilku minutach
w dziecięcej niewinnej reakcji na odzyskanie wolności.

Rick ziewnął głośno. — Przepraszam — powiedział — ale zawsze ziewam, kiedy
opadnie ze mnie napięcie.

Daniel spojrzał na Kathy i zastanowił się, czy myśli o tym samym, o czym i on sam
— o dziwnym zachowaniu Ricka.

— Ci faceci to jednak byli szaleńcy — odezwał się wreszcie Rick. — Naprawdę wa-
riaci. Miałeś rację.

Daniel przytaknął głową i popił odrobinę whisky.

— Aż nie mogę uwierzyć, że wyjechaliśmy z tego salonu samochodowego — stwier-
dziła Kathy. — Będzie mi się to pewnie śniło dziś w nocy.

— Kawał dobrej roboty odwaliłeś za kierownicą, Rick — dodał Daniel.

— Dziękuję ci.

— A poza tym jest z ciebie kawał kłamcy.

Rick połknął whisky, wyprostował się na krześle i w zdumieniu wskazał na swoją
klatkę piersiową.

— Ja? To znaczy, o mnie mówisz?

— Tak, o tobie. O Ricku Terronim, beztroskim kaskaderze i szczęśliwym autostopo-

wiczu. Zbyt szczęśliwym, powiedzmy. Autostopowiczu, który nie bardzo wie, dokąd jedzie i nie bardzo wie, skąd. Autostopowiczu, który ma przyjaciół rozsianych po całym mieście, a nie ma miejsca, gdzie mógłby przenocować. Autostopowiczu, który gotów jest spędzić pół nocy na przygotowaniu samochodu do niebezpiecznej i szalonej wyprawy z zupełnie nieznanymi osobami i nie narzeka ani słowem.

— Coś ci się pomyliło, Daniel — Rick zmarszczył brwi. — Myślę, że bierzesz mnie za kogoś, kim absolutnie nie jestem.

Daniel potrząsnął głową.

— Jedna rzecz zdradziła cię bardziej niż wszystkie inne. Dlaczego tak nalegałeś, abym złapał Skelletta? Dlaczego tak pilnowałeś, abym wepchnął go do samochodu? Gdybyś był tylko zwykłym autostopowiczem, nie obchodziłoby cię, co stanie się ze Skellettem — raczej byłbyś zadowolony z możliwości pozostawienia go jak najdalej za sobą. Nie nalegałbyś, aby zabierać go z nami i nie znajdowałbyś tak widocznej przyjemności w wiązaniu go i wsadzaniu do łazienki. Nie jesteś tym, za kogo się podajesz, Rick. Zupełnie nie rozumiem, kim możesz być i jaki interes mogłeś mieć w tym wszystkim. Ale masz interes i chcę, abyś mi wszystko wyjaśnił.

Rick uśmiechnął się krzywo, dopił whisky i jeszcze raz uśmiechnął się do nich, tym razem weselej.

— Nie jesteś zadowolony, że odzyskałeś dziewczynkę?

— Jestem bardziej niż zadowolony. Nigdy nie spłacę długu wdzięczności, jaki zaciągnąłem dzisiaj wobec ciebie. Ale jestem przekonany, że okłamujesz nas oboje.

— Są różne rodzaje kłamstw.

— Jaki rodzaj kłamstwa nam zaserwowałeś?

— Kłamstwo patriotyczne.

— Istnieje coś takiego? — zapytała Kathy zgryźliwie.

— Oczywiście. Każde kłamstwo wymyślone w obronie narodu amerykańskiego i jego prawa do wolności jest kłamstwem patriotycznym, rozumiecie? I z tej przyczyny wybaczone za każdym razem, gdy się je stosuje.

— Rick — powiedział Daniel delikatnie. — Dziękuję ci najbardziej jak tylko potrafię, za uratowanie dziś Susie. Za uratowanie nas wszystkich. Wymyśliłeś niezwykle i ryzykowny plan, ale co najważniejsze — skuteczny. Zrealizowałeś go dzięki swym umiejętnościom kaskaderskim. Ale jest coś, o czym musisz się od razu dowiedzieć. Nie przyjechaliśmy do Los Angeles, aby uganiać się za chuliganami i porywaczami. Stawiamy czoła politycznej konspiracji, czemuś o wiele potężniejszemu i bardziej przerażającemu niż cokolwiek, co groziło naszemu narodowi w całej jego dotychczasowej historii. A przynajmniej jesteśmy przekonani, że stajemy w obliczu czegoś takiego.

— Cóż — powiedział Rick — to coś, z czego doskonale zdaję sobie sprawę.

— Czy wiesz o tym? — zapytała Kathy z niedowierzaniem. — Wiesz o Kubie, o Ken-

nedych i o Marilyn Monroe?

— Nie wiem nic o Marilyn Monroe, co z nią?

— Została zamordowana, ponieważ wplątała się w to wszystko, cokolwiek to jest. Ale nie w 1962 roku... w tym miesiącu, zamordowano ją zaledwie przed tygodniem, w Phoenix.

— Słuchajcie, ludzie, wyjaśnię wam jednak wszystko — obiecał Rick. — Zresztą zamierzałem tak czy inaczej zaspokoić waszą ciekawość. Nasze spotkanie na Pacific Coast Highway nie było przypadkiem. Jeździłem za wami przez dwa dni, obserwując co robicie. Kiedy zatrzymaliście się przy plaży, mój przyjaciel wysadził mnie przy waszym samochodzie i poprosił was o podwiezienie. Gdybyście odmówili, no cóż, przyjaciel zabrałby mnie stamtąd z powrotem i znów jeździłbym za wami. Ale stwierdziliśmy, że wyglądacie na ludzi, którzy nie odmówią podwiezienia samotnemu facetowi i że numer z autostopem będzie najlepszym sposobem, aby zbliżyć się do was.

— Kim więc jesteś? — zapytała Kathy. — Detektywem, czy kimś w tym rodzaju? No bo z pewnością nie jesteś związany z tymi ludźmi — ruchem głowy wskazała łazienkę, gdzie leżał związany Skellett.

— Nie, nie jestem — powiedział Rick. Podrapał się po głowie i przeciągnął się tak, jak by to zrobił człowiek nie mający kłopotów, będący na kompletnym luzie. — Jestem szefem regionu Free Columbia. Słyszeliście o Free Columbia?

Daniel potrząsnął głową, ale Kathy powiedziała:

— Słyszałam o tym jakieś plotki. Mówi się, że jest to połączenie wszystkich wywrotowych grup z lat sześćdziesiątych, tak? Pantery, Weathermen, Yippies. Niektórzy nawet mówią, że również eks-Mansonites, Dune Buggy, Attack Battalion i tak dalej...

— Cokolwiek o tym czytałaś lub słyszałaś, jest to nieprawda — stwierdził Rick. — Free Columbia jest wspólnym frontem tych wszystkich grup, związanych w celu dokonania jednej i tylko jednej rzeczy: uwolnienia Ameryki od Rosjan. Oczywiście propaganda, którą znajdziesz w massmediach przedstawia nas jako grono nieodpowiedzialnych terrorystów. Ktokolwiek próbuje podnieść głowę i ogłosić prawdę jest natychmiast bezwzględnie niszczone. Ale to prawda. Od 1962 roku Stany Zjednoczone kontrolowane są przez sowiecki komitet, któremu przewodniczy stary bolszewicki polityk, zwany przez nich Ikonem.

— Żartujesz, czy co?

— Chciałbym — powiedział mu Rick. — Ale to wszystko prawda. Kennedy przegrał z kretelem kryzys kubański w 1962 roku. W czasie, gdy nam ogłoszono, że kryzys został zażegnany, Rosjanie już nas kontrolowali, przenikając do rządu i do sił zbrojnych. Zgodnie z tym, co zdołaliśmy ustalić, kryzys i wydarzenia które po nim nastąpiły były wybiegiem, aby ukryć zmiany w rządzeniu i dać amerykańskiej opinii publicznej fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Kryzys usprawiedliwił też fałszywe rozmowy rozbrojeniowe

z roku 1963. Bądźmy szczerzy, niemal całowaliśmy wówczas Rosjan w dupy.

— Czy chcesz nam powiedzieć, że Związek Radziecki rządzi Stanami Zjednoczonymi Ameryki? To właśnie chcesz powiedzieć? — zawołał Daniel.

— Uspokój się. Każdy reaguje w ten sposób, gdy słyszy o tym po raz pierwszy — zapewnił Rick. — Wielu ludzi, których znałem, popełniło nawet samobójstwa. Rozumiesz, dowiedzieli się nagle, że ich życie od wielu lat jest zupełnie czymś innym, niż im się wydaje. Świat jest obcy i należy do znienawidzonych cudzoziemców.

— Ale jakim cudem możliwe jest utrzymywanie tego przez tak drogi czas w sekrecie? Skoro tak wielu ludzi musi wiedzieć?

— A jak Hitler utrzymywał w tajemnicy istnienie obozów koncentracyjnych? Jak Stalin ukrył śmierć milionów Rosjan? Sekrety nie muszą być pełnymi sekretami, jeśli jest się w stanie wymusić milczenie terrorem. Powiedzieliście, że ostatnio zabili Marilyn Monroe. Wierzę wam. To jest ich sposób postępowania. Nigdy nie pozwalają nikomu uciec. Będą cię ścigać i ścigać aż cię złapią i zabiją bez miłosierdzia. Wierzcie mi. Pantery straciły ośmiu ludzi w kwietniu. Słyszeliście o ośmiu czarnych facetach, którzy zginęli w płonącym autobusie w Georgii? Nie jest to informacja, którą się zapamiętuje. Ale ten autobus został wysadzony w powietrze przez ludzi Ikona. Popatrzcie na siebie. Boicie się iść na policje. Nie wiecie, kto będzie sowieckim informatorem, a kto nie, a — wiercie mi — jeżeli otworzylibyście usta do złej osoby, byłibyście w tym samym momencie potencjalnymi kandydatami do piachu.

Sięgnął po butelkę i dolał sobie whisky.

— Nie wiem, ilu członków liczy Free Columbia. Może to być tylko trzydzieści tysięcy, a mogą to być i miliony. Przez cały czas próbujemy uświadamiać ludziom, że znajdujemy się pod sowiecką kontrolą, ale sami już wiecie, jak trudno jest rozpowszechnić po całym kraju taką wiadomość. Jeden z naszych ludzi pracował w drukarni. Udało mu się zamieścić wielką informację na pierwszej stronie „The New York Times’a”, ogłaszającą, że Stany Zjednoczone kontrolowane są przez Związek Radziecki i że Ameryka powinna powstać i zrzucić z siebie to jarzmo. To było 17 lipca 1964 roku. I wiecie, co się stało? Dwóch ludzi zatelefonowało do „The New York Times’a” i zapytało, czy to prawda. Dwóch ludzi. No, oczywiście cała historia zwróciła natychmiast uwagę czujnego zastępcy redaktora naczelnego, który zadziałał błyskawicznie i część nakładu zawierała na tym samym miejscu tylko relację ze strajku angielskiej poczty. Tydzień później facet, który zamieścił w gazecie informację o rosyjskiej okupacji, znaleziony został w rzece. Utopił się... przy czyjejs pomocy.

— Nie rozumiem jednak, dlaczego Sowietów nie zastosowali w naszym kraju większej liczby swych praw, nie wprowadzili tu swego prawodawstwa — powiedziała Kathy.

— Nie musieli. Eksploatują nas ekonomicznie i politycznie, nie widząc na razie potrzeby nawracania nas na komunizm, chociaż jest to, rzecz jasna, ich rzeczywisty, osta-

teczny cel. To zresztą jedno z zadań rozmów rozbrojeniowych — chcą stopniowo doprowadzić amerykańską opinię do przekonania, że nie ma już groźby wojny nuklearnej, że nadszedł czas, aby Stany Zjednoczone i ZSRR stały się sojusznikami i przyjaciółmi. Temu celowi służy też recesja ekonomiczna. Sowieci tak manipulują amerykańskimi bankami i funduszami, że wielkie kwoty przeznaczone na inwestycje w rzeczywistości nie trafiają do amerykańskiego przemysłu. Recesja w rzeczywistości nie jest prawdziwa i nie powinna była nigdy nastąpić. Jesteśmy po prostu ofiarami największego oblężenia w historii świata. Poza naszymi granicami, w Japonii, Szwajcarii i w samym Związku Radzieckim jest wystarczająco dużo amerykańskich pieniędzy, aby skończyć z recesją w ciągu jednej doby. Dobrze słyszycie: w ciągu jednej doby. Ale Rosjanie nie zamierzają zezwolić nam na położenie na tej forsie rąk, dopóki nie przyjmimy międzynarodowego socjalizmu i leninizmu. Swój nacisk na światową gospodarkę rozluźnią dopiero wtedy gdy my, Amerykanie, uwierzemy, że tylko komunizm jest drogą do stałego dobrobytu i prosperity.

Siedzieli w milczeniu, podczas gdy światło słoneczne przebijało się przez lekkie zasłony, a zza ukwieconego ogródka dochodziły do nich głosy Sunset Strip. Danielowi wydawało się że śni, że za chwilę obudzi się w swym łóżku w Apache Junction. Kathy dopiła swego drinka i w końcu rzekła:

— Jestem oszołomiona. Nawet nie wiem, co o tym myśleć. Cały mój świat okazuje się czymś, z czego nie zdawałam sobie sprawy w najgorszych przypuszczeniach. Nie wiem, czy potrafię to znieść. Nawet nie wiem w co wierzyć.

— Jest jedna rzecz — powiedział Rick. — I jeśli stwierdzisz, że kiedykolwiek pomyślałaś, że usłyszysz to od byłego członka Weather Underground... cóż, nie uwierzę ci. Otóż rzeczą, w którą powinnaś wierzyć jest Amerykańska Konstytucja. To, co zawiera Konstytucja, jest obecnie treścią naszej walki. Oraz to wszystko, o czym uczono cię w szkole. John Paul Jones, Sam Houston, Benjamin Franklin, George Washington. Ich duch żyje i żyć będzie zawsze. Pamiętajcie, ludzie mają wciąż swoich bohaterów, na przykład w Polsce. Na Węgrzech ciągle pamiętają o Imre Nagym.

— Ale co mamy robić? — zapytała Kathy cicho.

— Nie pozostaje nam nic innego, jak walczyć. Jeśli chcecie dołączyć do nas, witani was z otwartymi ramionami.

— Rzyko... — zaczął Daniel.

— Jest ogromne — przerwał mu Rick. — Sam zresztą dziś widziałeś, co potrafią ludzie Ikona. Moje zwykłe szczęście starego kalifornijczyka sprawiło, że wyszliśmy z tego z życiem. Ale ile razy jeszcze?...

— Dlaczego tak bardzo zależało ci na zatrzymaniu Skelletta?

— On jest jednym z ich najlepszych agentów. I ma reputację jednego z najbardziej okrutnych. Zabierzemy go do Mojave Movie Ranch, dokąd zwykle zawozimy wszyst-

kich sowieckich agentów, jakich udaje nam się złapać. Przesłuchamy go, a później przypuszczalnie zabijemy.

— To morderstwo.

— Tak myślisz? Są w Ameryce całe tuziny takich agentów jak Skellett i działają z takim okrucieństwem, jakiego nawet sobie nie wyobrażasz. Chyba mają syberyjski lód, zamiast krwi.

— Czy są Rosjanami?

— Część z nich tak, Skellett akurat nie. Sowietci mają program rekrutacji ludzi opuszczających amerykańskie więzienia. Wybierają najgorszy element i trenują tych złoczyńców w posługiwaniu się bronią, w walce wręcz, czynią ich jeszcze gorszymi i groźniejszymi. Część z nich to przypadki dla psychiatrów, osobnicy niespełna rozumu, a przy tym groźni dla otoczenia. Stąd widzicie czasami w telewizji odpowiednio nagłośnione wypadki masowych morderstw, strzałów do przypadkowych przechodniów. Mniej więcej rok temu doszliśmy do wniosku, że ma miejsce coś, jakby próba sił w sowieckim Komitecie i niektórzy agenci Ikona zostali spolaryzowani przez jakiegoś innego przywódcę. Ikon jest oczywiście bezwzględny, ale istnieją dowody, że jeden lub dwóch Rosjan działa aktualnie bardziej gwałtownie i bardziej otwarcie niż zwykli to czynić ludzie Ikona. Wygląda na to, że któryś z sowieckich przywódców chce usunąć Ikona lub zmusić go do działań, których on nie zamierza podejmować. Nie wiemy dokładnie, o co w tym chodzi i dlatego mam zamiar przesłuchać Skelletta.

— Myślisz, że ci coś powie?

— Nie wiem. Niektórzy z nich mówią. W ciągu ostatnich trzech lat złapaliśmy chyba sześciu. Ale niektórzy z nowych agentów są jak kamikadze, całkowicie zindoktrynowani. Wolą zginąć niż cokolwiek powiedzieć.

— Widziałam takiego jednego — powiedziała Kathy. — Młody człowiek w Arizonie wpakował w tyłek dynamit i wybuchnął, po to tylko aby dać Skellettowi czas na ucieczkę.

— No proszę, o takim pomysłe jeszcze nie słyszałem — stwierdził Rick.

Później Daniel poszedł do pokoju Susie i patrzył jak dziewczynka śpi. Jej włosy rozlały się szeroko na poduszce, jedna ręka kurczowo ścisnęła rąbek prześcieradła, jakby miało to chronić ją przed upadkiem w jakiś ciemny i niechciany sen. Daniel zastanawiał się, czy kiedykolwiek potrafi powiedzieć jej, że Ameryka nie jest już wolnym krajem, że przez całe swoje życie Susie będzie niewolnicą komunizmu, że kraj w którym się urodziła, dawno przed dniem jej urodzin stracił wolność.

*Mój tatko zakończył swe życie długie
Zostawił mi konie, aby szły za pługiem*

Sprzedalam ja konie i kupilam krowe
Zaprzegnę do pluga i pole gotowe

Sprzedalam ja krowe i kupilam kotke
Aby przy kominku glaskac futro wiotkie

I sprzedalam kotke, by bawic sie myszka —
Z ogniem na ogonku podpalila wszystko

Nie mam koni, pieniedzy, ani mego domu
Ale o tym, kochani, nie mówcie nikomu

Mój tatko zakonczył swoje życie długie
Zostawił mi konie, aby szły za plugiem...

Susie poruszyła się przez sen. Daniel zamknął drzwi sypialni, lecz długo stał na zewnątrz, przed drzwiami. Stał na straży...

Rozdział trzydziesty drugi

Nadine wróciła tego wieczora do domu dopiero po północy i stwierdziła, że Tytus wciąż nie śpi. Siedział samotnie w bibliotece i popijał koniak z 1924 roku, z butelki wręczonej mu przez Prezydenta Francji, Giscarda d'Estaing, butelki, której — przysięgał — nigdy nie zamierzał otworzyć. Podniósł ze zdziwieniem głowę, gdy Nadine weszła i stanęła w drzwiach, w wytwornej szarej nakrapianej sukni, z rękawiczkami ściśniętymi w lewej dłoni i w kapeluszu przekrzywionym pod takim kątem, że rondo zasłaniało niemal całą twarz.

— Proszę, proszę — zawołał Tytus ochryple. — Masz cholerne nerwy. Dziwię się, że cię tu wpuścili.

— Nie przejmuj się. Prawdopodobnie zawołali na pomoc FBI.

— Zabiłaś tych ludzi, wszystkich. Rzeczywiście ich zabiłaś.

— Nie znajdziesz żadnego dowodu. Ani swoich nagrań wideo.

— Do cholery, Nadine, ale ja wiem, że to ty ich zabiłaś.

— To co wiesz, a to co możesz udowodnić, to dwie odrębne sprawy. A teraz, skoro już otworzyłeś tę bezcenną butelkę z 1924 roku, czy nie zechciałbyś nalać i dla mnie kieliszka?

Jeden z członków ochrony Tytusa stanął za Nadine, z trudem łapiąc oddech po szybkim biegu i zastukał delikatnie w boazerię.

— Panie sekretarzu, czy wszystko w porządku?

— Jak widzisz — warknął Tytus. — Gdyby przyszła tutaj mnie zabić, dawno już bym nie żył.

— Tak. sir. Przykro mi.

— Tobie przykro? Wracaj na swoje miejsce.

Tytus nalał Nadine odrobinę koniaku i nie wstając z krzesła, wyciągnął ku niej rękę z pękatym kieliszkiem.

Nadine podeszła do niego z łobuzerskim uśmiechem i odebrała swój koniak.

— Przykro mi, że to musiało stać się w ten sposób — powiedziała — Ale nie pozo-

stawieś mi żadnego wyboru.

— Wielu ludzi już mi dziś mówiło, że im przykro.

— Wyglądasz na rozzłoszczonego.

— Bo jestem, jestem wściekły. Jestem też chory, ogłupiały, oszołomiony, przestraszony, zdezorientowany, wyprowadzony z równowagi i zmęczony.

— Całkiem niezła litania.

Tytus połknął resztę alkoholu jaka pozostała w jego szkle, popatrzył na butelkę i nalał sobie kolejną, i tym razem potężną porcję.

— Do diabła, w końcu to tylko koniak.

Nadine powąchała płyn.

— Jest wspaniały.

— Wczoraj po południu — powiedział Tytus — pojechałem do bazy Air Force w Boeing i rozmawiałem z moim starym przyjacielem, Pierce Caufieldem.

— Z generałem Caufieldem? Znam go.

— Powinnaś. Jest jednym z waszych. Dowiedział się o Ikonie w 1974 roku i od tego czasu nie szepnął mi na ten temat ani jednego słowa. Ani słowa. Do jasnej cholery, jadłem obiady i kolacje z tym człowiekiem, razem łowiliśmy ryby, byłem na weselu jego głupiej córki, a on przez ten cały czas wiedział o Ikonie i nic mi nie powiedział.

Nadine usiadła na podłodze i położyła rękę na kolanie Tytusa.

— Przykro mi — odezwała się. — Jesteś wspaniałym mężem, mimo że tak często kłóciliśmy się przez ten czas, jesteś niezrównanym kochankiem. I jesteś najlepszym Sekretarzem Stanu, jakiego kiedykolwiek miała Ameryka.

— Ameryka! — zawołał Tytus gorzko. — Awtonomiczeskaja Kapitalisticzeskaja Oblast!

— Joe był również jednym z nas — powiedziała Nadine.

Tytus popatrzył na nią uważnie.

— Naprawdę? Hm... — tylko w ten sposób potrafił zareagować. Jakby ta kolejna zdrada nie miała dla niego już żadnego znaczenia wśród tak wielu rozczarowań.

— Nie chcę cię zostawiać — powiedziała Nadine.

— Wolę jednak, abyś to uczyniła.

— Chcę, żebyś spotkał się z Ikonem.

— Czego chcesz?

— Jutro rano. Chcę, abyś pojechał ze mną i spotkał się z Ikonem. Musisz go zobaczyć i porozmawiać z nim. Ikon potrzebuje natychmiastowej pomocy. Cokolwiek byś nie myślał o Awtonomiczeskiej Kapitalisticzeskiej Oblasti, Ikon jest najmniejszym złem. Masz obowiązek pomóc mu przetrwać, przezwyciężyć zagrożenia, które się przed nim pojawiły.

— Rozwalę tę jego komunistyczną mordę na kawałki.

— Tytus, proszę. Próbuję ci pomóc...

— Jak ty mi możesz pomóc? — wykrzyknął Tytus. — Jaka to może być pomoc? Całe moje przekłete życie zostało splukane, jak w jakimś śmierdzącym sraczu, w jednej chwili. Przez dwadzieścia lat maszerowałem z głową w obłokach, a z nogami w cholerycznym, przeklętym gównie. Jak ty możesz mi pomóc?

— Tytus...

— Zostaw mnie w spokoju, Nadine, na miłość boską. Daj mi spokojnie dokończyć tę butelkę koniaku.

— Tytus, proszę.

Tytus potrząsnął głową i tak długo trząsnął nią przecząc, aż zaczęły trząść mu się również policzki. Wstał wówczas i zaczął krzyczeć:

— Nie! Nie! Nie! Nie! Nie!

Nadine odstawiła swój koniak, delikatnie wstała i opuściła bibliotekę. Gdy wychodziła, jeden z agentów ochrony zapytał ją:

— Czy wszystko w porządku, pani Alexander?

— Tak, oczywiście, dziękuję ci. Czy... mógłbyś zrobić coś dla mnie? Chciałabym, aby samochód pana Alexandra czekał na nas przed domem o dziesiątej rano. Mamy spotkanie na Pennsylvania Avenue.

Agent zajrzał do biblioteki. Tytus siedział z rozpalonymi oczami i wpatrywał się w podłogę, jakby za chwilę miał podpalić dywan swoim wzrokiem lub raczej myślami, które kłębiły się w jego mózgu.

— Oczywiście, pani Alexander — powiedział agent cichym głosem. — Jak pani sobie życzy. Dokładnie o dziesiątej.

Rozdział trzydziesty trzeci

Jeszcze dwa inne incydenty miały miejsce tego wieczoru dokładnie o północy, chociaż w Las Vegas w Newadzie, w strefie czasowej Pacyfiku, północ nadeszła trzy godziny później. Pewna pokojówka z hotelu „Futura” z Las Vegas opuściła hotel służbowym wyjściem i zmierzała w kierunku na północny wschód aleją, która prowadziła do Bonanza Road, gdzie zamierzała złapać taksówkę do domu. Swoją zmianę zakończyła o jedenastej piętnaście przed północą, ale spędziła jeszcze trzy kwadranse w hotelowej kuchni, rozmawiając z przyjaciółką, która przed kilkoma dniami rozwiodła się i jedząc kolację, składającą się z zimnej szynki, sera i sałatki.

Była już w połowie drogi, gdy usłyszała głos, wołający za nią:

— Anna!

Odwróciła się i zdążyła powiedzieć: — Nie jestem Anna — po czym nastąpił ogłuszający huk strzału z rewolweru, a później jeszcze jeden. Strzały oddane zostały z tak bliskiej odległości, że została niemal całkowicie wypatroszona i zmarła zanim jeszcze upadła na ziemię. Kucharz — Chińczyk, który usłyszał hałas i wybiegł na aleję, znalazł już tylko broczące krwią zwłoki. Nie było natomiast śladu po mordercy pokojówki. Tylko wścibski kot, który odskoczył w ciemność na odgłos wystrzałów, powracał teraz aby wąchać gorący zapach śmierci.

W domu, na skraju pustyni Nevada, leżał na łóżku mąż pokojówki. Nie spał, oczekując na znajomy dźwięk silnika taksówki, przywożącej jego żonę z miasta. Stojące przy łóżku radio przyciszone było tak, aby nie pobudzić dzieci. Właśnie słuchał „Stand by your Man” Tommy Wynette’a i pogwizdywał melodię cichutko wraz z piosenkarzem.

Nigdy się nie dowiedział, że dwa lata temu jego żona zauważyła przelotnie senatora Marshalla Robertsa, opuszczającego pokój numer 1198 w hotelu „Futura” razem z wysokiej klasy kurwą, znaną jako Rita Haze. I nigdy już się nie dowie. Ale za jakieś dwadzieścia minut usłyszy dźwięk syreny policyjnego samochodu patrolowego, pędzącego pustynną drogą, aby przywieźć mu wiadomość, że jego żona nie żyje. Zobaczy czerwone światło „koguta”, błyskające również na suficie sypialni i jeszcze zanim mu powiedzą,

zorientuje się, że wydarzyło się coś przerażająco złego.

Również o północy, Prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki, Marshall Roberts, rozbierał się właśnie, przygotowując się do snu, gdy rozległ się dzwonek jego prywatnego telefonu.

— Ja odbiorę, kochanie — powiedział do swojej żony i ruszył przez pokrytą białym dywanem sypialnię, po drodze odpinając mankiety. Podniósł słuchawkę stylowego aparatu telefonicznego i powiedział:

— Marshall Roberts.

— Dobry wieczór, panie prezydencie — usłyszał gruby głos. — Tu Nikołaj. Proszę mi wybaczyć, że telefonuję o tak późnej porze.

— Drobiazg — odparł Marshall, jednak niezbyt grzecznym głosem. — Jaką masz sprawę, Nikołaju?

— Nie mogę zasnąć, panie prezydencie.

— Czy to coś niezwykłego?

— Cóż, wziąłem swoje tabletki. Ale to nie o ból chodzi... To jest strach, panie prezydencie. Boję się. Czuję się jak Cezar przed Idami Marcowymi.

— Czy chodzi o Kamę?

— Nie jestem pewien. Nigdy dotąd tak się nie czułem, przez całe moje życie. Panie prezydencie, boję się, że to może być moja ostatnia noc. Umrę.

— Nikołaju, nie opowiadaj bzdur. Jesteś pewnie przemęczony.

— Może — nastąpiła przerwa, podczas której Marshall Roberts słyszał tylko głośny oddech Ikona w słuchawce. — Wie pan, że rozmowy R1NC mogą ruszyć? Wszelka opozycja została całkowicie wyeliminowana.

— Pokojówka?

— Jeszcze dziś w nocy. Ale gazety nie napiszą.

— Dobrze. Cóż, w takim razie od jutra zacznę działać.

Nastąpiła kolejna, dłuższa przerwa.

— Czy to wszystko, Nikołaju? — zapytał Marshall Roberts. — Jestem wykończony. Chciałbym się trochę przespać.

— Boję się, panie prezydencie. Nie uważa pan, że to dziwne?

— Nie w twojej sytuacji. I nie w twoim wieku.

— Boję się.

— Napij się czegoś. Może odrobinę tej wspaiałej czereśniowej wódki. A później liczy owoce. Albo myśl o tym, co w życiu osiągnąłeś.

— Cóż ja osiągnąłem, panie prezydencie?

— Wciąż żyjesz, Mikołaju. To wielkie osiągnięcie. Świat nie został jeszcze zniszczony przez broń nuklearną. To kolejne osiągnięcie. Jeśli zechcesz, wpadnę do ciebie jutro po południu i napijemy się czegoś.

— Tak, chętnie — powiedział Ikon, ze słyszalnym jednak wahaniem w głosie.
— Chętnie. Teraz spróbuję zasnąć. Ale to przeczucie... śmierci. Zimno mi, trzęsę się cały.

— Przykryj się kocem elektrycznym — zasugerował Marshall Roberts i odłożył słuchawkę.

Rozdział trzydziesty czwarty

Tej samej nocy Daniel, leżąc bezsennie w łóżku, usłyszał skrzypienie otwieranych drzwi. Zamarł, a po chwili sięgnął po długi na trzy stopy pogrzebacz, który położył wcześniej pod poduszką. W pokoju było zupełnie ciemno. Tylko małe skrawki światła o wielkości plasterka sera widniały na suficie.

— Kto tam? — wyszeptał. Miał katar i kompletnie zapchany nos, co było jedną z przyczyn, dla których nie mógł zasnąć. Lecz teraz w jednej chwili odblokowały mu się zatoki, mięśnie stężały i poczuł nerwowy skurcz w żołądku.

— To ja — usłyszał wyszeptaną odpowiedź. — Kathy. Mogę wejść?

Daniel odetchnął głęboko i uspokoił się.

— Na miłość boską, mogłem cię zabić. Co chcesz?

Przebiegła przez pokój i nachyliła się nad nim. W mroku zauważył kształt jej piersi i stwierdził, że jest naga. Pachniała dobrymi perfumami.

— Nie mogę zasnąć w tamtym pokoju, tak blisko łazienki. Skellett wali głową o ścianę i wydaje takie przerażające odgłosy.

— Wskakuj obok mnie.

Podniosła róg kołdry i wsunęła się do łóżka, natychmiast obejmując go ramionami. Była ciepła, gładka i delikatna, a sutki jej piersi były tak twarde i uroczo pomarszczone jak kalifornijskie rodzyнки. Włożyła jedną nogę pomiędzy nogi Daniela i powoli rozszerzała jego uda. Przyczyna tego ruchu stała się dla niego jasna, gdy poczuł chłodną lekkość jej włosów łonowych na swojej gołej skórze.

— Kathy? — zapytał, ale pytania były niepotrzebne. Członek sztywniał mu i rósł w kierunku jej brzucha, aż dotknął pępka. Wówczas Daniel objął jej twarz rękami i pocałował ją gwałtownie i głęboko.

— Proszę, nie czekaj — westchnęła.

Przekręcił się na prześcieradle i położył się na niej. Wzięła członka w swoje ręce, bażyła się nim przez chwilę, po czym skierowała pulsującą pałę pomiędzy swoje uda. Daniel zawahał się przez sekundę, a później pchnął naprzód powoli i dotarł aż do samego

końca śliskiej, gorącej szpary, tak, że głębiej już nie mógł.

— Różnij mnie — zażądała, wbijając paznokcie w mięśnie na jego barkach. — Nie chcę już myśleć, nie chcę się bać, chcę żebyś mnie różnił.

I różnił ją. Kochali się prawie przez godzinę, czasem powoli, żmudnie, mozolnie, a czasem z furiackim wręcz zacięciem. Przeklinała go i szczebiotała do niego wesoło, biła go i głaskała. Drażniła go biodrami, kiedy członek opadał i doprowadzała do jednego wytrysku po drugim. Nadszedł moment, gdy wsiadła na niego i podskakiwała na sterczącym chuju tak szybko i gwałtownie, że przy każdym podskoku w górę kutas prawie cały wymykał się ze szpary. W trakcie tego dzikiego ujeżdżania zadrżała i zadygotała, jakby owiał ją zimny, nocny wiatr, krzyknęła: — Daniel, oszczędź mnie, Daniel! — i runęła w pościel obok niego.

Leżeli potem przy sobie przez długi czas w milczeniu.

— Myślisz pewnie, że jestem straszną kurwą — Kathy przerwała ciszę.

— Kurwą? Nie. Wręcz przeciwnie. Kurwy robią to dla pieniędzy. A ty przyszedłaś do mnie, bo tego chciałaś.

— A ty?

— Zrobiłem to, bo cię lubię, bo jesteś piękna, atrakcyjna, dokładnie w moim typie.

— Myślałam, że twój typ kobiety to bohaterki z westernów.

— Czy mężczyzna nie może zmieniać upodobań? Podobnie zresztą jak i kobieta.

Daniel sięgnął ręką ponad Kathy i zapalił nocną lampkę.

— Może chcesz drinka? Napijmy się. Myślę, że nie będę już w stanie spać tej nocy. Cały czas myślałem o Ikonie.

Pocałowała go w ramię.

— Wiesz co? Kiedy wyjeżdżałam, aby zrobić reportaż o morderstwie Margot Schneider... nie przypuszczałam, że doprowadzi to do takich rzeczy.

— Willy Monahan też nie przypuszczał. Boże, gdyby tylko przewidział...

— Biedny Willy.

— Tak — powiedział Daniel. — Biedny Willy.

Kathy pogłaskała jego uniesioną rękę.

— Wiesz co? Polubiłam cię już wtedy, gdy po raz pierwszy się spotkaliśmy. Spodobałeś mi się. Czy ktokolwiek ci mówił, że jesteś atrakcyjny jako mężczyzna? Masz wygląd mądrego, inteligentnego, a jednocześnie silnego człowieka.

Odwrócił głowę ku niej i pocałował ją w czoło.

— Nie jestem silny. A z pewnością nie byłem przez ostatnie kilka lat.

— Ale dlaczego? Masz w sobie jakiś czar, wiesz o tym? Taki naprawdę seksualny wdzięk. A brak ci pewności siebie, która powinna temu właśnie towarzyszyć.

— Myślę, że częściowo jest tak dlatego, bo Candii mnie opuściła. Była dziewczyną z moich marzeń. Była — aż do czasu, gdy zmienił się mój typ kobiety.

— Nie zmieniaj upodobań specjalnie dla mnie — roześmiała się Kathy.

— Po tym, jak mnie zgwałciłaś, muszę to zrobić.

— Zgwałciłam cię? Nie zauważyłam, żebyś protestował.

— Bałem się, że jeśli zaprotestuję, zrobisz mi jeszcze większą krzywdę.

Kathy naparła się na niego całym ciałem, przywarła do jego klatki piersiowej, w swej dłoni zamknęła jego zmęczonego, odpoczywającego członka. Powiedziała bardzo cicho:

— Słyszę, jak bije twoje serce. Czasami mnie przeraża, gdy słyszę bicie czyjegoś serca. Boję się, że w każdej chwili może się zatrzymać.

Daniel nie odpowiedział, pogłaskał ją tylko po włosach. Z powodu obecności Kathy, z powodu jej bliskości, znów czuł się samotny. Być może przyczyną była też okrutna świadomość, że Ameryka nigdy już nie będzie wolna, że przyszłość całego narodu zasnuta jest mgłą niepewności. Ile jeszcze czasu minie, zanim Sowietci oficjalnie ogłoszą swą władzę nad Stanami Zjednoczonymi i zaczną tępić wszelką swobodę? Ile czasu potrzeba, aby zabronić wszelkich rozmów i uwag przeciwko Państwu? Kiedy nadejdzie dzień, gdy codzienne pogawędki w barze Daniela cenzurowane będą przez strach? Kiedy nocne programy telewizyjne zaczną przekazywać wyłącznie oficjalne wiadomości partyjne i zaniknie na zawsze urok i wyjątkowość amerykańskiej telewizji? Pomyślał o piosence Joni Mitchel, ostrzegającej „Nie tęsknisz za tym, co masz, zanim tego nie utracisz”. Teraz, w ramionach Kathy, zaczął tęsknić za Ameryką.

— Nie wiem już, co myśleć o Kennedy’u — powiedziała Kathy. — Wielbiłam go. Był moim bohaterem, gdy miałam czternaście lat.

— To prawdopodobnie nie była jego wina — powiedział Daniel. — Boże, co byś ty zrobiła, gdyby ktoś ci powiedział, że pięćdziesiąt dziesięciomegawatowych pocisków jądrowych wymierzonych jest w Nowy Jork, St. Louis, Chicago i Denver, i że są one rozlokowane tak blisko, że nie ma żadnych szans na zatrzymanie ich? Czy wiesz, ile czasu potrzeba, aby taki pocisk doleciał z Kuby do Houston? Ja również nie wiem, ale to nie może trwać dłużej niż kilka minut. Willy wiedziałby...

Daniel przeszedł nad nią i wyszedł z łóżka. Jeszcze raz pochylił się nad Kathy i pocałował ją w usta.

— Na pewno zjesz nocnego hamburgera, prawda? Muszę znów wprawiać się do swojej roli. W lodówce jest pełno mielonej wołowiny i cebuli.

— Co ty chcesz ze mną zrobić? Utuczyć mnie i ogłosić najgrubszą reporterką Ameryki?

— Nie, po prostu zaczynam tęsknić za gotowaniem.

— Wspaniale, ale nie chcę stać się ofiarą twojej obsesji kulinarnej.

Daniel uniósł obie ręce w geście poddania.

— O.K., obiecuję, że nie przyrządzę ci hamburgera. Ale nie narzekaj, kiedy zobaczysz

mojego.

Popatrzył na nią z uśmiechem. Siedząc w łóżku wyglądała ślicznie, taka bezbronna i dziecinna. Jedną pierś miała odkrytą, gładką kształną, zwieńczoną różowym sutkiem.

— Daniel, to co zrobiliśmy dziś w nocy... nie chciałabym, abyś przywiązywał do tego jakieś głębsze znaczenie — powiedziała. — To dlatego, że byłam zmęczona, przerażona i chciałam cię. Jutro... nie spodziewaj się z tego powodu niczego.

— Jutro? — zapytał Daniel. — Nigdy nie sięgam myślami tak daleko. Porozmawiamy o jutrze, kiedy będzie jutro.

Otworzył drzwi, a za nimi stał Skellett. Nie tylko zresztą Skellett, ale również Walsh i obydwaj byli uzbrojeni.

— Z powrotem do pokoju — warknął Skellett. Daniel zawahał się i bandyta wrzasnął: — Z powrotem do pokoju, kretynie!

Daniel cofnął się, unosząc ręce w górę. I Skellett i Walsh trzymali w rękach automatyczne czterdziestki piątki, wystarczające aby rozwalić na strzępy przeciętną ludzką głowę. Daniel stanął aż pod ścianą i czekał spokojnie, nic nie mówiąc, z rękami ciągle uniesionymi wysoko.

Skellett powiedział zgryźliwie:

— Pan Walsh i policja z Los Angeles serdecznie państwu dziękują za łaskawe zaparkowanie samochodu pod domem i za zarejestrowanie się w agencji wynajmującej nieruchomości pod własnymi nazwiskami. Nie mogliście już bardziej ułatwić im zadania, no chyba, że wystrzelilibyście rakietę sygnalizacyjną z dachu.

— Jak się tu dostałeś? — Kathy zapytała Skelletta. — Przecież byłeś goły i związany w łazience.

— Byłem, piękna damo i wierz mi, nie ma zamiaru tego zapomnieć. Na szczęście pan Walsh jest nieoceniony przy otwieraniu zamkniętych drzwi, prawda Walsh? Wrywał je z zawiasów. Wasze pieprzone szczęście, że nie zniszczyliście mojego ubrania. Ta marynarka kosztuje czterysta pięćdziesiąt dolarów, że nie wspomnę o kamizelce.

— Gdzie jest Rick? — zapytał Daniel. — Rick Terroni, ten drugi facet, który był z nami.

— Rick Terroni? Jestem w domu! R i c k T e r r o n i, Pratifaller Extraordinaire! Cóż, jest komfortowo związany w swoim pokoju, dzięki grzeczności pana Walsha i nie ma większych szans na ucieczkę. Z tego prostego powodu, że ma ręce przybite do podłogi.

— Ty krwawy skurwysynu — powiedziała Kathy.

Skellett podszedł do łóżka, uniósł rękę i trzasnął Kathy otwartą dłońią w policzek, pozostawiając czerwone ślady dłoni na jej twarzy.

— Zauważ damo, że raz puściłem cię wolno. Powinnaś była trzymać się ode mnie z daleka.

Daniel opuścił ręce. Krew burzyła się w jego żyłach jak wrząca rtęć. Ale wystarczyło, że Skellett skierował tylko lufę swej czterdziestki piątki ku jego twarzy, aby się uspokoił.

— A jeśli chodzi o ciebie, też sam sobie jesteś winien. Tak samo jak ten twój węszący kumpel z Air Force.

— Jeśli ją jeszcze raz uderzysz... — powiedział Daniel. Skellett podszedł do niego i przyłożył mu lufę automatycznego pistoletu między oczy.

— Tak? — zaciekawił się. — Uderzę jeszcze raz i co? Co mi zrobisz, słucham?

Daniel opuścił głowę, upokorzony.

— Rób, co masz zrobić — powiedział. — Zrób to zaraz, O.K.? Skellett popatrzał na Daniela kamiennym wzrokiem.

— Gdyby to zależało ode mnie, przyjacielu, zabiłbym was tu i teraz. Trzech naszych ludzi nie żyje z powodu tego, co zrobiliście wczoraj rano na parkingu. Trzech doskonałych agentów, którzy całe lata spędzili, infiltrując kalifornijskich Aniołów Piekieł. Wiesz, co zmarnowałeś wczoraj z tym swoim kaskaderem? Lata ciężkiej, delikatnej pracy! Lata, cholera.

— Skellett...

— Nie drażnij mnie, rozumiesz? Tylko mnie nie drażnij. Zabieram was wszystkich do Waszyngtonu. Wolałbym, oczywiście, odstrzelić wasze pierdolone głowy osobiście, tutaj, na miejscu, całą zasaną czwórkę, wliczając w to Susie. Ale wygląda na to, że wiecie o wiele więcej niż powinniście i bojarzy z Waszyngtonu chcą wiedzieć ile rzeczywiście i skąd. Przejdziecie twarde przesłuchanie, wierzcie mi.

— Ubieraj się — powiedział Skellett do Kathy. — Mamy samolot z Burbank o trzeciej nad ranem.

Kathy z wahaniem zaczęła owijać swoje nagie ciało w prześcieradło.

— Nie wysilaj się — warknął Skellett. — Już to wszystko widzieliśmy.

Ale obaj z Walshem patrzyli na nią lubieżnie, gdy przechodziła przez pokój do swojej sypialni.

— Pilnuj jej, Walsh — powiedział Skellett. — Korvitz, ty też się ubieraj. I pośpiesz się. Mam już dosyć na dzisiaj tego pieprzonego domu.

Daniel szybko wciągnął džinsy i sweter i poszedł do pokoju Susie, aby i ją ubrać. Gdy ujrzała Skelletta, stojącego w drzwiach, jej twarz zeszywniała ze strachu, lecz Daniel usiadł obok niej i powiedział.

— Wszystko w porządku, Susie. Rozumiesz? Tym razem nikt nas nie rozdzieli i nic złego się nie stanie.

Skellett głośno i złośliwie odchrząknął, ale nie odezwał się ani słowem.

Później poszli do Ricka, który leżał w hallu na brzuchu z rozrzuconymi rękami jak ukrzyżowany, z jakąś szmatą wepchniętą do ust. Był bardzo blady i trząsł się niczym

epileptyk, drżeniem którego nie mógł powstrzymać. Ręce miał przybite do podłogi kuchennymi nożami, tkwiącymi mocno w gładkiej drewnianej podłodze. Skellett stał przez chwilę nad nim, obserwując z satysfakcją jego mękę.

— W porządku, rozwiąż go, Walsh — powiedział. — Pójdzie z nami.

Walsh wyrwał noże, jeden po drugim i odrzucił daleko w głąb hallu. Rick jednak nadal nie ruszał się, drżący i blady jak trup. Walsh kopnął go w żebra i przewrócił nogą na plecy.

— Wstawaj — zażądał. — Chyba nie chcesz, abym ci poskakał po jajach.

Ciągle drżący, z rozszerzonymi nienaturalnie oczyma, Rick wstał. Walsh szturchnął go wystarczająco mocno, aby ten znów się przewrócił. Kopnął go jeszcze raz.

— Mówiłem ci, żebyś wstał, czy nie? Co się z tobą dzieje? Wstawaj!

Rick ponownie zdołał podnieść się na nogi. Wpatrywał się w twarz Daniela, ale jakby go nie poznawał. Daniel nic nie mówił. Obejmował Susie ramieniem i modlił się, aby Skellett nie zabił ich. Nie teraz. Boże, przynajmniej nie teraz.

Rozdział trzydziesty piąty

O dziesiątej następnego ranka Ikon jeszcze spał, mimo że dwie bardzo ważne delegacje przybyły niemal równocześnie do wielkiego budynku z szarego kamienia przy Pennsylvania Avenue. Pod frontowe wejście, otoczone sześcioma półokrągłymi schodami, obsługiwane przez portiera w pięknym uniformie, podjechał długi ciemnoszary Cadillac z Tytusem i Nadine Alexander.

Pod tylne wejście, w prostej brązowej furgonetce, przybył Skellett wraz z Rickiem, Danielem, Kathy i Susie. Przylecieli odrzutowcem „Gulfstream III” z Burbank do portu lotniczego College Park, położonego na północny wschód od Waszyngtonu, a później przyjechali do miasta autostradą numer 1. Skellett zabronił im jakichkolwiek rozmów. Byli pogrążeni w pełnej napięcia ciszy od wielu godzin. Susie, zaledwie wczoraj uwolniona z rąk porywaczy, znów znalazła się we władzy Skelletta i Walsha. Świadoma tego mała dziewczynka, twarz miała ściągniętą i mizerną, bardziej przypominającą twarz starej kobiety, niż dziecka. Daniel przez cały czas obejmował ją czule ramieniem — to wszystko, co mógł zrobić.

— O.K., wysiadać — powiedział Skellett, gdy ktoś z zewnątrz otworzył drzwi furgonetki. — I nie próbujcie niczego głupiego. Jedyne co możecie przez to osiągnąć, to śmierć. Rozumiecie? Róbcie, co wam rozkażą, zachowujcie się spokojnie, a być może nie zginiecie. To wasza jedyna szansa.

Szybko przeprowadzono ich przez zaniedbany, pomalowany na zielono korytarz i stanęli przed drzwiami windy towarowej. Skellett wcisnął guzik i kiedy oczekiwali na przyjazd windy, uśmiechnął się łagodnie, jakby byli niegrzeczными dziećmi, a on — nauczyciel — prowadził ich do dyrektora szkoły. Jednak za tym uśmiechem krył się wyraz twarzy głodnego wilka: poczekajcie, niedługo was dostane w swoje ręce. Kiedy drzwi otworzyły się, kazał im wejść do środka.

Winda ze zgrzytem i drżeniem dojechała do dziesiątego piętra, a gdy przystanęła, Skellett pchnął drzwi i polecił:

— Wychodzić. Idźcie prosto przed siebie aż do końca korytarza, później skróćcie

w lewo.

W milczeniu ruszyli korytarzem, oświetlonym jarzeniowym światłem. Jedynym słyszalnym dźwiękiem było kłapanie ich obuwia. Na końcu korytarza czekało na nich dwóch mężczyzn. Wyglądali na agentów ochrony. Ubrani byli w szare mundury, a na ramionach mieli odznaki, jakich Daniel nigdy przedtem nie widział, lecz których znaczenie natychmiast pojął. Odznaki przedstawiały orła, usadowionego na sierpie — motyw Awtonomiczeskiej Kapitalistycznej Obłasti Ameryki. Kathy popatrzyła na Daniela po raz pierwszy od chwili, gdy wprowadzeni zostali do budynku i Daniel wiedział bez słów, o czym ona myśli. Nie byłoby strażników z tymi odznakami, gdyby Ikon nie istniał, gdyby wszystko, co Rick powiedział o zawładnięciu Ameryką przez Sowietów, nie było prawdą.

— Tędy — powiedział Skellett. — Tu poczekacie. — Dodał jeszcze coś po rosyjsku do agentów, którzy energicznie mu odpowiedzieli i zasalutowali.

Cała czwórka więźniów umieszczona została w pustym, wymalowanym na zielono pokoju, którego okna wychodziły na budynek Internal Revenue Service, będący w tej chwili zamazanym kształtem w porannej mgle. W pokoju nie było mebli, firan ani zasłon na oknach, nie było dywanu. Drzwi zatrzaśnięto za nimi z hukiem i przekręcono klucz.

Podeszli do okna i spojrzeli z wysokości dziesięciu pięter na Pennsylvania Avenue. Rick spróbował przekręcić klamkę na ramie okiennej. Krzywił się przy tym z bólu, jaki sprawiały mu poranione ręce.

— Okna nie są zamknięte. Możemy wszyscy przecisnąć się tędy — stwierdził.

Rama okienna miała zawiasy u góry. Kiedy opierali się na parapecie, mogli spoglądać prosto na Pennsylvania Avenue.

— Trzysta stóp nad ziemią? — zapytał Daniel. Chyba żartujesz.

Rick szerzej otworzył okno.

— Prawdę mówiąc, pod nami jest stopień. Musimy dostać się na ten stopień.

— Przestań Rick. Nie jesteśmy kaskaderami jak ty. Jesteśmy normalnymi ludźmi, którzy nie nadają się do wspinania po wysokich budynkach. A poza tym, nawet gdy dostaniemy się na ten stopień, to dokąd pójdziemy?

— A jeśli zamierzają nas torturować? — zapytał Kathy. — Nie wiem, czy przeżyję po raz drugi to, co zrobił ze mną Skellett w Phoenix.

Daniel dotknął jej dłoni. Przypuszczał, że wszyscy z nich będą torturowani, może z wyjątkiem Susie, która niczego nie mogła wiedzieć. Torturą będzie dla niej ból i cierpienie jej ojca.

— Posłuchajcie — zawołał Rick. — Posłuchajcie mnie. Możemy przejść po tym stopniu i wspiąć się do góry.

— O czym ty mówisz? — zdenerwował się Daniel. — Przecież pod nami jest dziesięć

pięter. A ty chcesz, abyśmy wyszli przez okno i wspięli się jeszcze wyżej?

— Do cholery, jesteśmy w stanie to zrobić — powiedział Rick. — Stopnie kończą się nad dziewiątym piętrem, ale tu są takie dekoracyjne występy, które ciągną się aż do samego dachu. Zejdziemy na stopień pod naszym oknem i podejmiemy wzdłuż niego do rogu budynku. Jest tam tyle występów, że możemy się wspiąć po nich aż na dach.

— Rick, ja mam ze sobą siedmioletnią dziewczynkę!

— No i co z tego? Siedmioletnie dziecko przejdzie tamtędy jeszcze prędzej niż ty.

— Ale Rick, mój Boże, to jest trzysta stóp nad ziemią!

Rick szeroko rozłożył ręce.

— Daniel, my nie będziemy zmierzać w dół, ale na dach, do góry!

Daniel popatrzył na Ricka wzrokiem, który przewierciłby najtwardszy beton. Kiedy Rick nie uląkł się tego spojrzenia, wiedział że jest on pewien, iż są w stanie wydostać się na ten dach, lub że przynajmniej ich szansę przeżycia tej wyprawy są większe niż gdyby dostali się w łapy Skelletta i Walsha lub innych oprawców, których mógłby wynaleźć dla nich Ikon. Odwrócił się, spojrzał na Kathy i Susie i poczuł strach. Strach o nie, ponieważ wiedział że obie są słabsze od niego i Ricka i jeśli ktokolwiek spadnie ze ściany, będzie to najpierw któraś z nich. Bał się również o siebie, z powodu tego co musiał zrobić jak i z powodu swojej odpowiedzialności za życie Susie i Kathy.

Ktoś kopnął w drzwi wejściowe.

— Za dziesięć minut zobaczycie się z Ikonem! — zawołał głos zza drzwi. — Przygotujcie się.

— Słyszeliście? — zapytał Rick. — Mamy dziesięć minut, żeby się zdecydować. Nawet mniej. Pozostały nam dwie minuty na decyzję i osiem, aby znaleźć się za tym przeklętym oknem.

Daniel na moment przymknął oczy.

— Znowu się modlisz? — zapytał Rick.

Daniel otworzył oczy.

— Zastanawiam się, co powiem Bogu Wszechmogącemu, spadając w dół. „Wybacz mi Panie, straciłem grunt?”

Kathy szarpnęła rękę Daniela.

— Przestań Daniel. Uspokój się. Nie musimy wychodzić przez to okno, jeśli nie chcemy.

— A chcesz spróbować?

— Chcę.

Rick otworzył okno tak szeroko, jak tylko mógł. Mimo że był spokojny, mglisty poranek, wiatr wleciał w szeroką na jedną stopę szparę z dźwiękiem, jaki wydają wyjące demony.

— Myślę, że najlepiej będzie, gdy pójde pierwszy i pokażę wam najlepszą drogę wspi-

naczki. Zasada jest taka, aby się nie śpieszyć, nie stawiać kroków, nie mając pewności, że stopa trafi na twarde podłoże. I mieć do siebie zaufanie. Jesteśmy w stanie dostać się na ten dach. Nikt nie spadnie i to wszystko, co chcę wam powiedzieć.

Stanął na parapecie i opuszczał się stopami w dół przez otwarte okno, dopóki pode-
szwami butów nie dotknął stopnia.

— W porządku — powiedział. — Stopień jest wystarczająco szeroki, ma przynajmniej trzy cale szerokości. Teraz niech idzie Susie, potem Kathy. Daniel, ty pilnuj tyłów. Musisz pomóc paniom, gdyby któraś z nich zaczęła sprawiać wrażenie, że chce odpaść od ściany.

— Chyba żartujesz.

— Nie, tu nie ma miejsca na żarty. Czuwaj nad nimi.

Daniel pochylił się nad Susie i powiedział cicho:

— Spróbujemy wydostać się stąd tym oknem, a później wejdziemy na dach. Będzie trochę stromo, moje słoneczko, rozumiesz? Ale przez cały czas Kathy i ja będziemy za tobą. Jedyne, co masz robić, to trzymać się mocno i postępować według wskazówek Ricka.

Susie pokiwała głową. Miała takie małe isierki w oczach, które łatwo mogły przeroz-
dzić się w ciężkie łzy. Daniel ostatni raz przytulił ją do piersi. Później podniósł ją i po-
mógł przedostać się przez parapet, po czym z pomocą Ricka stanęła na stopniu na ze-
wnątrz.

— Nie musisz patrzeć w dół, jeśli nie chcesz — powiedział Rick. — Ale jeśli już to zrobisz, pomyśl że to jest miasto z zabawek. Żaden powód do strachu.

Kathy wyszła zaraz po Susie, potem Daniel. Stali teraz w rzędzie. Ich głowy, z wyjąt-
kiem głowy Susie, ciągle widoczne były w zarysie otwartego okna. Musieli ruszyć w le-
wo, schylając się pod metalową rączką, która utrzymywała okno w pozycji otwartej. A później przebyć po betonowym stopniu trzy stopy otwartej przestrzeni dzielącej ich od dekoracyjnych występów na rogu.

Wiatr zawodził i pojękiwał, a Daniel miał wrażenie, że zamierza oderwać go od
budynku. W dół spojrział tylko raz i ujrzał samochody, posuwające się po jezdni ni-
czym żuki oraz tłumy pieszych. To jedno spojrzenie sprawiło, że poczuł się jakby cała
jego psyche opadła trzysta stóp niżej, na chodnik, i zniknęła pod betonem w dziwnym
czyścicu kanałów, rur i kabli.

Rick krzyknął do nich.

— W tym samym momencie wolno poruszać tylko jedną nogą. Najpierw lewą, a po-
tem dołączajcie prawą. Nie wolno poruszać obiema stopami naraz! No to idziemy.

Rick schylił głowę pod rączką okna i rozpoczął swoją drogę do rogu. Susie odwróci-
ła głowę ku Danielowi, miała rozszerzone ze strachu oczy, lecz Daniel zdobył się na sła-
by uśmiech i powiedział:

— Ruszaj, Susie. Wszystko będzie dobrze.

Kathy szeptała coś, co brzmiało jak modlitwa. Ale niespodziewanie odwróciła się do Daniela, pocałowała go szybko i powiedziała:

— Chodźmy. Kto by się bał tak niewielkiej wysokości. Droga do rogu budynku zabrała im prawie pięć minut. Tam wiatr był jeszcze silniejszy, niespodziewanie poczuli podmuchy zimnego powietrza, wiejącego wokół budynku, pochodziły z północno-zachodniego niżu. Wszyscy musieli jeszcze bardziej przycisnąć się do betonowej ściany.

Rick wygiął głowę do tyłu i popatrzył w górę, w kierunku dachu.

— To tylko dwa piętra. Gdybyście przeszli trening od parteru do tego miejsca, pokonalibyście ten odcinek w kilku podskokach tak jak małpa skacze po drzewie palmowym. No, dalej, idziemy zanim odkryją, dokąd się udaliśmy.

Cał po cał, ściskając kurczowo w dłoniach wszystko co mu mogło pomóc po drodze, Rick wspiał się do poziomu następnego piętra. Susie ostrożnie ruszyła za nim. Kathy wahala się bardziej, lecz od czasu do czasu Rick spoglądał w dół i mówił do niej:

— Połóż rękę tutaj, o — na tym listku. W porządku. A teraz stopę, o, tutaj. I do góry. Wspaniale.

Kolejne dziesięć minut zabrało Rickowi wspięcie się na sam dach. Najtrudniejszym momentem okazało się dokładne uchwycenie odstającego od ściany skraju dachu i przekręcenie się całym ciałem na górę.

— Uważajcie na tę krawędź. Ona nie jest zupełnie stabilna. Pewnie jest bezpieczna, ale nie ryzykujcie opierania na niej od razu całej wagi ciała.

Sięgnął w dół i pomógł Susie na ostatnim odcinku drogi, wciągając ją na dach. Później wyciągnął rękę po Kathy. Wspinając się, straciła jednak oparcie dla lewej nogi i zaczęła nią drapać z desperacją o betonową powierzchnię. Wypuściła powietrze z płuc, a potem nabrała znowu, z dźwiękiem przypominającym dudnienie miecha kowalskiego. Była zbyt przerażona, aby krzyczeć. Daniel sięgnął ręką do góry i udało mu się chwycić jej lewą stopę.

— Przestań kopać! — krzyknął. — Kathy, przestań kopać! Tu masz zaraz oparcie, spokojnie!

Trafiła wreszcie nogą na powierzchnię jednego z występów i w końcu odzyskała oparcie. Udało się jej wówczas pokonać ostatnie trzy stopy, dzielące ją od dachu, mimo że straszliwie się przy tym trzęsła.

Daniel znów spojrzał w dół. Wydawało mu się, że chodnik znajduje się o wiele dalej od niego niż te dwanaście pięter. Czuł jakby znajdował się na szczycie przerażająco wysokiej góry, jakby świat oddalił się przez to tak daleko, że stał się kompletnie nierealny. Wspiał się do góry, chwycił ostatni występ, przewinął się wokół niego i znalazł się na dachu. Jednak zanim to zrobił wszyscy usłyszeli ogromny hałas i pokrył ich, gnany wiatrem, drobny pył. Uchwyt, który im wszystkim pomógł znaleźć się na dachu, odpadł od

ściany i poszybował ku ziemi. Daniel poszybowałby za nim, gdyby nie Rick, który w porę chwycił go za rękę i sweter na grzbiecie. Już leżąc na dachu, Daniel patrzył jak wielki kawał betonu kurczy się, maleje, oddalając się i wreszcie uderza jak bomba w trotuar.

— Ruszajmy stąd — powiedział Rick. — Nie potrwa długo, zanim ktoś zainteresuje się, skąd odpadł ten kawał kamienia.

— Ale jak mamy się stąd wydostać? — zapytała Kathy. — Gdy zorientują się że zniknęliśmy, przeszukają cały budynek. A wszystkie wyjścia są zapewne strzeżone.

— Nie będziemy na razie się wydostawać. — powiedział Daniel.

— Masz jakiś pomysł? — zapytał Rick.

— Pierwszą rzeczą, jakiej się będą po nas spodziewać, będzie oczywiście próby wydostania się stąd. I z pewnością będą na nas czekali przy wszystkich wyjściach. Musimy więc zostać w budynku. Myślę, że najlepszym miejscem będą piwnice. Zawsze w piwnicy jest wiele zakamarków, w których można się schować, no i poza tym, gdy stwierdzimy że nadszedł czas zwiania stąd, nie będziemy mieli daleko do wyjścia.

— Moim zdaniem jest to sensowne — stwierdziła Kathy.

— Ale niezbyt bohaterские — zauważył Rick.

— Jeśli chcesz być bohaterem, rusz w kierunku wyjścia i sprawdź, jak daleko zajdziesz.

— Dobrze — powiedział Rick z powątpiewaniem. — Znajdźmy w takim razie jakąś windę. Miejmy nadzieję, że drzwi od dachu nie są zamknięte.

Usłyszeli odgłos syreny, dochodzący z ulicy. To straż pożarna już się zainteresowała upadłym na chodnik kawałkiem gzymsu.

— Chodźmy stąd — powiedziała Kathy. — Wszędzie jest bezpieczniej niż tutaj.

Rozdział trzydziesty szósty

Kama zamierzał polecieć tego ranka do Nowego Jorku, aby porozmawiać z Serge Gaponenko z ONZ. Lecz Gaponenko niespodziewanie został wezwany do Moskwy na jakąś naradę. Kama postanowił więc zajrzeć do Nikołaja Niekrasowa na Pennsylvania Avenue, żeby sprawdzić czy nie nadszedł już może czas dla niego, by stawić czoła staremu lwu w jego legowisku.

Kama ciągle nie mógł dojść do siebie po tym, jak Ikon go przechytrzył. Najwyraźniej nie docenił tego bezwzględnego starca. Dzwoniły mu jeszcze w uszach własne słowa, gdy namawiał Ikona do przyjęcia roli figuranta, podczas gdy Ikon zniszczył już wszystkie dowody, które miały służyć powstrzymaniu rozmów RINC. Jak Ikon musiał się z niego śmiać!

Teraz, jakby wszystko sprzysięgło się przeciwko niemu, jego limuzyna utknęła w potężnym korku ulicznym i na dodatek zepsuła się klimatyzacja. Pocił się i zgrzytał zębami. Co jakiś czas nerwowo splatał dłonie. Zastanawiał się nad czymś bardzo poważnym. Rozmyślał, jak zniszczyć Ikona, obecnie — jak przypuszczał — bardzo z siebie zadowolonego.

Tymczasem Ikon spożywał śniadanie w swoim zaciemnionym pokoju na Pennsylvania Avenue. Ubrany w piękną jedwabną szatę, ozdobioną rysunkami smoków, podarowaną mu przez Chai Zemina, ambasadora Chin przy Awtonomiczeskiej Kapitalistycznej Obszaru Ameryki, rozsmarowywał meksykański miód na cieniutkim kawałku białego chleba, popijając herbatą z cytryną, z pięknej rosyjskiej szklanki.

Tytus siedział po przeciwnej stronie pokoju, sztywno, bez ruchu, jak manekin krawiecki. Nadine siedziała obok niego, elegancka jak zawsze, starannie uczesana. Obserwowała to pierwsze spotkanie dwóch najważniejszych mężczyzn w jej życiu z mieszaniną dumy i głębokiej obawy. Obaj byli gwałtowni, bezkompromisowi, lecz podczas gdy Ikon uważał swą władzę nad Ameryką za prawowitą i historycznie uzasadnioną, Tytus widział w nim uzurpatora i najgorszego wroga. Tym bardziej, że Nikołaj Niekrasow w tajemnicy kontrolował życie Tytusa i miał władzę nad jego przyszłością od po-

nad dwudziestu lat, a Tytus dopiero niedawno o tym się dowiedział.

— Ten miód jest bardzo dobry — powiedział Ikon. — Czy jest pan pewien, że nie będzie mi pan towarzyszyć przy śniadaniu.

Tytus nie odpowiedział.

— Zawsze uważałem, że należy jeść spokojnie i powoli — mówił Ikon, niezrażony. — Po takim śniadaniu można spokojnie i efektywnie rozważać wszystkie zagadki i niespodzianki, które niesie dzień.

— Nie ja nalegałem na spotkanie z panem — powiedział Tytus. Jego głosy był napięty i chłodny.

— Cóż, to zrozumiałe — stwierdził Ikon. — Musiało być dla pana ogromnym szokiem odkrycie, że tak wiele z tego do czego pan dążył i — jak się panu zdawało — osiągnął, okazało się czymś zupełnie innym.

— Nie wiem jak, do diabła, udawało się panu ciągnąć to wszystko tak długo w tajemnicy.

Ikon uniósł krzaczaste brwi i uśmiechnął się.

— Było to tylko kwestią starannego zachowania tego wielkiego ideału, za jaki wy uważacie „amerykańską drogę”. Na Kremlu tylko nieliczni moi koledzy tak naprawdę rozumieją, co oznacza to pojęcie i jak wiele ono znaczy dla Amerykanów. Ja zadałem sobie trud dokładnego zrozumienia tego i uczynienia z „amerykańskiej drogi” osnowy mojej administracji. Powoli, przez lata, próbowałem zmieniać waszą koncepcję. Doszedłem do doskonałych efektów i spodziewam się, że w stosunkowo krótkim czasie pomiędzy pojęciami „międzynarodowy socjalizm” i „amerykańska droga” nie będzie żadnej dostrzegalnej różnicy.

Tytus milczał bardzo długo. Wreszcie stwierdził:

— Widzę, że polegać to będzie jedynie na fałszu, gwałcie, bezprawiu i wszelkiej działalności kryminalnej.

Ikon pokiwał głową:

— Wiedziałem, że pan to zauważy.

Rozdział trzydziesty siódmy

W tym samym czasie Daniel, Susie, Rick i Kathy dotarli do piwnicy. Drzwi na dach zablokowane były od wewnątrz tylko pojedynczym rygłem i Daniel wraz z Rickiem bez kłopotu wyłamali je kilkoma mocniejszymi kopniakami. Później szybko zbiegli po schodach na jedenaste piętro — najwyższy poziom do którego docierała winda. Musieli długo czekać po przywołaniu windy. Zbliżała się do nich powoli z piątego piętra, zatrzymując się niemal na każdym kolejnym. Kiedy wreszcie do nich dotarła, była pusta. Po wejściu do środka nacisnęli guzik oznaczający piwnicę i po drodze modlili się, aby nie zatrzymała się na żadnym z pięter. Dojechali na dół bez przeszkód.

Gdy znaleźli się w piwnicy, stanęli w korytarzu z białych gładkich cegieł, mających troje drzwi. Pierwsze wiodły do kotłowni, drugie do jakiegoś zagraconego magazynu. Trzecie zamknięte były na kłódkę.

— Co robimy? — zapytała Kathy.

Rick uśmiechnął się.

— To bardzo proste. Wszystkie kłódki można łatwo otworzyć, nie mając klucza i jest to mój kolejny mały talent. Pracowałem kiedyś u ślusarza na Pico Boulevard: dorabianie kluczy, otwieranie samochodów zatrzaśniętych przez roztargnione damy, uwalnianie kobiet z zablokowanych wind. Taka tam codzienna dłubanina.

W jednej z szaf znajdujących się w magazynie Rick znalazł kartonowe pudło pełne różnych żelaznych przedmiotów, w tym również wszelakiego rodzaju metalowych spinaczy do papieru. Nie zważając na rany na dłoniach, wyprostował, a później przygiął koniec jednego z mocniejszych spinaczy i włożył go do otworu w kłódce. Patrzyli na niego i czekali w nerwowej ciszy, gdy usiłował przezwyciężyć jej opór.

— Myślę, że trafiłeś akurat na taką kłódkę, której nie otworzysz zbyt łatwo — powiedziała Kathy.

— Cierpliwości — odparł Rick.

Czekali chyba z pięć minut. Na czole Ricka zaczęły pojawiać się krople potu, wysunął język spoza zębów, co ułatwiało koncentrację. A jednak kłódka wciąż pozostawała

zamknięta.

— Winda znów zjeżdża w dół — powiedziała Susie. — Spójrzcie na te zielone światła.

— Otwórz tę kłódkę, Rick — szepnęła Kathy w napięciu.

— Cierpliwości, na miłość boską.

— Rick, daj mi spróbować — zażądał Daniel.

— Po co? Co ty wiesz o otwieraniu kłódek?

— Daj mi. Nie zrobię nic gorszego od ciebie.

Rick wyprostował się i wręczył spinacz Danielowi.

— Ten spinacz jest jednak zbyt słaby. Potrzebowałbym wytrycha z twardej stali lub czegoś w tym rodzaju.

Daniel ujął kłódkę w dłoń. Była ciepła i mokra od potu rąk Ricka. Pchnął spinacz prosto w dziurkę od klucza, szarpnął nim gwałtownie i warknął:

— Otwieraj się, słyszysz? Otwieraj się, na miłość boską.

— On do niej mówi, niesłychane! — zdumiał się Rick.

Usłyszeli krótki trzask i kłódka puściła. Daniel odhaczył ją, rzucił Rickowi niedbalem ruchem profesjonalisty i roześmiał się.

— Jeszcze się trochę musisz nauczyć, niezdaro. Później podrapał się po brodzie i dodał spokojnie:

— Nigdy w życiu tego nie robiłem, uwierzyłbyś?

Słyszeli już bardzo wyraźnie windę, zbliżającą się do piwnicy. Liny głośno trzęsły się w szybie. Szybko otworzyli drzwi, z których Daniel przed chwilą zerwał kłódkę i weszli do środka, do wielkiego ciemnego magazynu.

— Światło, szukajcie światła — powiedział Daniel.

Rick znalazł kontakt i przekręcił go. Kathy cichutko zamknęła drzwi za nimi, wprowadzając do środka Susie.

Magazyn był suchy i chłodny, jakby ktoś celowo regulował tutaj temperaturę. Panował w nim dziwny słaby zapach, który coś Danielowi przywodził na myśl, nie mógł jednak go z niczym skojarzyć. Jedna ze ścian pomieszczenia, prawie do sufitu zastawiona była małymi drewnianymi skrzynkami. Na każdej skrzynce widniał symbol białego orła siedzącego na sierpie i opis w języku rosyjskim, zawierający symbol RPG7V. Rick natychmiast podszedł do skrzyń i kilkakrotnie wciągnął nosem powietrze. Później zaczął myszkować dookoła i kręcił się tak długo, aż znalazł jakiś śrubokręt.

— Jeśli te skrzynki zawierają to, o czym myślę... — powiedział i zaczął podważać wieko jednej z nich. Posypały się drzazgi, usłyszeli zgrzyt gwoździ wyciąganych z drewna i wieko odskoczyło, upadając na podłogę. W środku znajdowały się paczki, spoczywające wśród trocin. W sumie było ich sześć, w każdej znajdował się czterocalowy pocisk, zawierający konwencjonalny materiał wybuchowy.

— Czy to są bomby? — zapytała Kathy.

Rick podniósł jedną do góry i dokładnie obejrzał.

— Pociski rakietowe. Przypuszczalnie trzymają je tutaj na wypadek oblężenia, gdyby coś poszło nie tak i budynek został zaatakowany. Większość ważniejszych ambasad ma arsenały tego lub podobnego rodzaju, niektóre ograniczają się do kilku karabinów maszynowych.

— Na miłość boską, bądź z tym ostrożny — powiedziała Kathy.

— Nic się nie stanie, dopóki tego nie wystrzelisz — stwierdził Rick, wkładając raketę z powrotem do pudła. — Tu jest elektryczny zapalnik, który uruchamia się automatycznie po wystrzeleniu. Zwykle odpala się to z RPG7, czegoś w rodzaju wyrzutni rakietowej, obsługiwanej przez jednego tylko człowieka. Rosjanie często obdarowują nimi różne organizacje partyzanckie i terrorystyczne, jak OWP czy IRA. W swoim czasie otrzymały też trochę tego i nasze organizacje wywrotowe, ale wątpię czy wyposażona jest w to również straż graniczna Stanów Zjednoczonych.

— Musi być tego przynajmniej kilka tysięcy — powiedział Daniel. — Czy nie ma żadnej możliwości zdetonowania tych pocisków bez wyrzutni?

— Oczywiście że są... — zaczął Rick, ale urwał niemal natychmiast, podnosząc ręce w górę w geście zdziwienia. — O nie. Chyba nie myślisz o tym, o czym ja myślę, że ty myślisz? Naprawdę chcesz?...

— Dlaczego nie? Dlaczego by nie wysadzić w powietrze całej kwatery głównej pieprzonych władców Autonomicznej Kapitałistycznej Obszaru Ameryki? Dlaczego nie zlikwidować ich wszystkich od razu? Przecież nawet sam Ikon jest teraz u góry.

Rick spojrzał na Kathy.

— Rozumiesz, o czym ten człowiek mówi?

— Oczywiście, że rozumiem.

Rick spojrzał ponownie na Daniela.

— Wiesz co? — zapytał. — Jesteś większym wariatem niż przypuszczałem. Jeśli to wszystko od razu wybuchnie, co my zrobimy? Jak, do diabła, wydostaniemy się stąd?

— Ty pomyśl, jak spowodować wybuch, a ja zajmę się ucieczką — odpowiedział Daniel.

Rick otarł ręce o swoje dżinsy. Krew z dwóch ran od noży zakrzepła już dość dawno i utworzyła na jego dłoniach dwa czarne skrzepy.

— W porządku — powiedział z rezygnacją. — Zrobię, co będę mógł.

Spreparowanie zapalnika zajęło Rickowi prawie godzinę. Użył po prostu zegarka Daniela i połączył go z kolejnym włącznikiem światła, który odnalazł na ścianie magazynu. Zrobił to tak, aby — gdy wskazówki zegarka wskażą określony przez Ricka czas i zamkną obwód — prąd popłynął do zapalnika elektrycznego jednej z rakiet RPG7V i spowodował wybuch. Był bardzo dumny ze swego dzieła gdy skończył, chociaż strasz-

nie się spocił z powodu ogromnego napięcia w jakim pracował. Mrugał oczami, które wcześniej przez długie minuty miał skupione na cieniutkich drucikach, którymi łączył zegarek i włącznik światła.

— Mam nadzieję, że znaleźliście drogę ucieczki — powiedział, wycierając czoło rękawem. — Nie mam zamiaru tu siedzieć, kiedy wszystko wyleci w powietrze.

— Myślę, że najbardziej ryzykowny sposób będzie najlepszy — powiedział Daniel. — Nastawimy zapalnik na nie więcej niż trzy minuty, a później wjedziemy windą do hallu i spróbujemy po prostu wyjść przez drzwi frontowe. Mam nadzieję, że kiedy bomba wybuchnie, nikogo nie będzie obchodziło, co robimy.

— Masz nadzieję — stwierdził Rick.

— Widzisz inne rozwiązanie?

— Przestańcie! — wtrąciła się Kathy — Jeżeli mamy to zrobić, to nie ma już sensu dłużej się zastanawiać. Rick, nastaw zapalnik czasowy. A my ściagniemy windę, aby mieć pewność, że nie będziemy musieli czekać, kiedy nadejdzie czas odjazdu.

Ostrożnie otworzyli ponownie drzwi magazynu i znaleźli się znów w białym korytarzu. Susie nacisnęła guzik, by ściągnąć windę i usłyszeli jej zgrzyt, gdy zjeżdżała do piwnicy.

— Jesteś gotów? — krzyknął Daniel do Ricka. — Winda jest już prawie przy nas.

— Już idę! Mamy trzy minuty do śmierci!

Rick wybiegł z magazynu akurat gdy otwierały się drzwi windy. Ku ich ogromnemu zaskoczeniu, w windzie stał rosyjski strażnik.

— Wszyscy ręce do góry — zażądał, odpinając kaburę pistoletu. Ale Rick był szybszy. Błyskawicznym kopnięciem, opanowanym podczas przygotowań do kręcenia „Kung-Fu”, trzasnął Rosjanina w podbródek i ten padł jak nieżywy na podłogę.

Daniel wywlókł szybko nieprzytomnego mężczyznę na korytarz, a potem cała czwórka weszła do windy. Nacisnął guzik parteru. Drzwi windy zamknęły się, nastąpił krótki moment bezruchu i drzwi otworzyły się znowu. Potem znów się zamknęły. Patrzyli na siebie przerażeni, ale winda powoli ruszyła. Po chwili znaleźli się na parterze.

Hall pełen był uzbrojonych strażników, ludzi wyglądających na dyplomatów i innych załatwiających tu różne sprawy. Było to bardzo wysokie pomieszczenie, wyłożone szarym cętkowanym marmurem, z ogromnym żyrandolem zawieszonym na środku sufitu, przypominającym przepych hotelu „Moskwa”. Słychać było dzwoniące telefony, kłapanie podeszew o posadzkę i szmer prowadzonych rozmów.

— Chodźcie — powiedział Daniel. — Musimy wyglądać naturalnie, to wszystko.

— Naturalnie? — zwątpił Rick, rozglądając się wśród rosyjskich dyplomatów i urzędników, ubranych w eleganckie ciemne marynarki i błyszczące czarne buty.

Przebiegli hall nie indagowani przez nikogo i dotarli do drzwi obrotowych. Po chwili li znajdowali się na schodach prowadzących na chodnik, ku wolności, ku słońcu. Susie

wydała potężne dziecięce westchnienie ulgi.

— Udało nam się — powiedział Rick. — Czy wierzycie? Udało się nam.

W tym momencie zagroziło im drogę dwóch umundurowanych strażników. Tutaj, na ulicy, nie mieli odznak Obłasti, a rewolwery ukryli pod płaszczami. Lecz z wyrazów ich twarzy oraz sposobu w jaki trzymali ręce w kieszeniach, wynikało jasno że są zdolni bez skrupułów zastrzelić całą czwórkę na miejscu.

— Zechciejcie powrócić do budynku — powiedział jeden z nich.

Stanęli w osłupieniu. Rick zaczął powoli podnosić ręce do góry.

— Nie podnosić rąk tylko odwrócić się i wejść z powrotem do budynku.

Daniel wyciągnął rękę, wskazując na Susie.

— Proszę pana — powiedział. — Mam tutaj małą córeczkę. Ona ma tylko siedem lat. Niech pan zlituje się i pozwoli jej odejść. Ona nie jest w stanie wyrządzić wam niczego złego.

Rick spojrzał na Daniela, którego twarz wyrażała tylko tę płynącą z głębi duszy molitwę, aby zapalnik czasowy nie zadziałał, aby rakiety nie eksplodowały.

Jeden ze strażników zwrócił się do kumpla:

— Zadzwoń do towarzysza Skelletta. To są ci więźniowie, którzy uciekli z dziesiątego piętra. Powiedz mu, aby jak najszybciej tu przyszedł.

Po chwili ten sam strażnik odezwał się do Daniela:

— Dziewczynka musi pozostać, dopóki nie wyjaśnicie do końca waszych spraw z towarem Skellettem. Takie mam instrukcje.

— Co pan powiedział? — zapytał Daniel.

Strażnik podszedł jeden krok bliżej, jego płaszcz rozchylił się na chwilę i zobaczyli pod nim karabin maszynowy.

— Powiedziałem...

Lecz w tym momencie jego słowa zostały całkowicie zagłuszone przez najpotężniejszą eksplozję, jaką Daniel kiedykolwiek słyszał. Marmurowe schody pod ich stopami uniosły się w górę, wyrzucając ich w powietrze. Polecieli do góry, bezwiednie jak kukły i upadli na skraju chodnika podrapani, potłuczeni, pozbawieni oddechu. Toczyli się jeszcze gwałtownie, dalej i dalej od budynku, jakby nie mogli, albo nie chcieli, zatrzymać się. Nastąpiła druga eksplozja, a potem trzecia. Daniel, oszołomiony, podniósł się z asfaltowej jezdni, i zaczął rozglądać się za Susie. Ku jego wielkiej uldze, znajdowała się tylko kilka jardów od niego i właśnie jakiś starszy mężczyzna pomagał jej podnieść się z krawężnika. Kathy też była bezpieczna, cały był i Rick, chociaż miał głęboką ranę na policzku.

Czwarta eksplozja wstrząsnęła Pennsylvania Avenue i wielkie kawały tynku zaczęły odpadać z siedziby Ikona, jakby nastąpiła erupcja wulkanu. Lawina szkła i aluminiowych ram okiennych poleciała z wieżowca na wszystkie strony. Daniel uniósł Su-

sie w ramiona i przebiegł przez ulicę, na której zamarł ruch. Byle znaleźć się jak najdalej od budynku.

To co nastąpiło później było publicznym upadkiem tajnego imperium.

Pierwsze piętro budynku zapadło się do piwnicy wśród potężnych tumanów kurzu i dymu. Później kolejno piętro za piętro, budowla zaczęła się rozpadać z hukiem, grzmotem i rozzierającym hałasem, który uniemożliwiał przyglądającym się temu ludziom prowadzenie wszelkich rozmów, czy też skupienie myśli. Potężne stalowe dźwigi brzęczały jak dzwony piekielne, opadające w dół, jeden na drugi. Przez cały czas dudnił uderzający o ziemię beton, zapadające się piętra, pękające rury, rozpadające się klatki schodowe. Wkrótce nie można już było rozpoznać miejsca, w którym znajdował się budynek. Nie było widać niczego poza chmurami kurzu, wznoszącymi się setki stóp w górę, ku zamglonemu porannemu niebu.

Minęło całe dziesięć minut zanim wszystko się rozpadło wśród tumanów kurzu i pyłu. W momencie gdy nie było już dachu, a na ziemi leżało szkło ze wszystkich okien, zaczęły przybywać służby alarmowe i Pennsylvania Avenue zarośla się od samochodów straży pożarnej, ambulansów i pojazdów policyjnych. Większość zaparkowała na trawie naprzeciwko Departamentu Łączności, a część na chodniku przed budynkiem Internal Revenue Service.

Skellett zginął. Akurat zjeżdżał widną na parter. Był na wysokości piątego piętra, gdy rakiety eksplodowały, a budynek zaczął się rozpadać. Klatka windy została po prostu zmiażdżona przez dwie stalowe bele i przy okazji zmiażdżony został także Skellett. W ostatniej sekundzie swego życia czuł niemożliwy do wytrzymania ucisk na głowę, żebra i klatkę piersiową. Był tak przerażony, że chciał krzyczeć i wyć, ale nie mógł złapać powietrza w płuca. Umarł w milczeniu.

Ikon zmarł, zanim jeszcze zwałił mu się sufit na głowę. Atak serca spowodował natychmiastową śmierć. Ostatnim jego słowem było głośno wykrzyknięte po rosyjsku „*nie!*”, przypominające krzyk Tytusa tej nocy, gdy Nadine opowiadała mu prawdę o imperium Ikona. Umarł, trzymając w ręce cieniutką pajdę białego chleba, posmarowaną miodem. Głowa opadła mu na stół, przy którym właśnie spożywał swoje rytualne śniadanie.

Tytus i Nadine, przerażeni, powstali ze swoich krzeseł.

— Boże, to trzęsienie ziemi! — krzyknęła Nadine.

Ale Tytus, spokojny już, popatrzył na nią wesołym wzrokiem i zawołał prawie z radością:

— Żadne trzęsienie ziemi! Po prostu jakiś skurwysyn właśnie wysadził w powietrze cały ten cholerny budynek!

Później opadł na nich sufit, tony betonu, stali i tynku. Oboje zginęli od razu. Ich ciała odnaleźli potem strażacy. Do ostatniej chwili trzymali się za ręce.

Kama przeżył. Ocalił go korek na ulicy E. Jego samochód dotarł do skrzyżowania E z 14 Ulicą w momencie, gdy imperium Ikona wylatywało w powietrze. Natychmiast polecił swojemu kierowcy, aby skręcił. Przez przyciemnioną tylną szybę samochodu zobaczył kurz i dym unoszący się w powietrzu i wiedział, że może to być tylko wybuch w kwaterze głównej Awtonomiczeskoj Kapitalistycznej Obłasti Ameryki.

Jeżeli Ikon znajdował się w środku, wkrótce AKOA będzie należała do niego.

— Dotąd teraz, towarzyszu? — zapytał go kierowca.

— Nigdzie w szczególności. Nie martw się, jutro zadecydujemy dokąd.

Rozdział trzydziesty ósmy

Daniel otworzył oczy i spojrzał na sufit. Była godzina szósta trzydzieści nad ranem i słońce Arizony jasnymi promieniami przedzierało się już przez zasłony. Ziewnął, potarł rękami twarz i usiadł.

Cara ciągle spała. Coś jej się śniło. Spojrzał na jej brązowe włosy, blade białe plecy, kształtne półkola pośladków. Wiedział, że śni, mruczała coś do siebie. Nie mógł odgadnąć treści tym pomruków, a ona nigdy nie chciała mu ich opowiedzieć. Miała przed nim swoje sekrety.

Wydostał się z pościeli i wstał. Minęły cztery dni od czasu, gdy razem z Susie powrócił do Apache Junction. Cztery spokojne dni. Znowu przygotowywał jajecznicę na bekonie, a Susie chodziła do szkoły.

Najprzyjemniejszą niespodzianką było dla niego to, że oczekiwała na niego po powrocie Cara. Dojechała autostopem na zachód aż do Havasu City, a później zdecydowała się powrócić.

— Nie nazywaj tego miłością — powiedziała mu — ale chcę z tobą zostać.

Kathy Forbes powróciła do „Flag”, aby rozpocząć pracę nad wieloczęściowym reportażem o tym, co przeżyła i czego doświadczyła. Jej zapał szybko jednak stonował wydawca.

— Nikt w to nie uwierzy — powiedział uprzejmie. — Jeśli to prawda i Ikon nie żyje, nie ma to większego znaczenia. Jeśli to nieprawda, nie ma to również znaczenia. Czytelnicy nie lubią tego typu historii. A ja mam sprzedawać gazetę, a nie straszyć ludzi na śmierć.

Rick Terroni powrócił do Hollywood i do półświatka Free Columbia. Umrze za rok w wypadku samochodowym. Jego śmierć gazety odnotują w dwóch liniijkach w rubryce „różne”.

Daniel podniósł dzinsy z podłogi i zaczął się w nie wciskać. Znów myślał o Willy'm Monahanie i zastanawiał się, co by Willy powiedział, gdyby kiedykolwiek dowiedział się, o wydarzeniach, które miały miejsce po jego śmierci. A może Willy wiedział, gdzieś

w nirwanie. Daniel zatelefonował do bazy Air Force w Williams, aby uzyskać jakieś wiadomości na temat jego pogrzebu, ale spotkał się z grzecznym: „przepraszamy, ale takie informacje przekazujemy tylko rodzinie”.

Popatrzył przez okno, zapinając guziki koszuli. Pomyślał, że Ameryka jest znowu wolna. Kraj, który nigdy nie zaznał podboju. Włożył koszulę w spodnie, odwrócił się i poszedł do kuchni, aby przygotować śniadanie.

Spoglądając przez okno na Apache Junction, nie zauważył ciemnoniebieskiego wynajętego Pontiaka z tablicami rejestracyjnymi z Teksasu, parkującego nieopodal apteki Felley’a. W samochodzie, słuchając radia, z cierpliwą miną człowieka, który potrafi czekać godziny, dni i całe lata, siedział za kierownicą Henry Friend.

Spiker w radiu powiedział:

— Dzień dobry państwu. Czeką nas kolejny gorący dzień, wysokie temperatury i upalne, piękne słońeczko.

KONIEC

SPIS TREŚCI

Rozdział pierwszy	3
Rozdział drugi	18
Rozdział trzeci	26
Rozdział czwarty	33
Rozdział piąty	46
Rozdział szósty	56
Rozdział siódmy	64
Rozdział ósmy	70
Rozdział dziewiąty	77
Rozdział dziesiąty	81
Rozdział jedenasty	91
Rozdział dwunasty	99
Rozdział trzynasty	104
Rozdział czternasty	108
Rozdział piętnasty	118
Rozdział szesnasty	119
Rozdział siedemnasty	132
Rozdział osiemnasty	146
Rozdział dziewiętnasty	160
Rozdział dwudziesty	169
Rozdział dwudziesty pierwszy	183
Rozdział dwudziesty drugi	190
Rozdział dwudziesty trzeci	197
Rozdział dwudziesty czwarty	208

Rozdział dwudziesty piąty	217
Rozdział dwudziesty szósty	231
Rozdział dwudziesty siódmy	239
Rozdział dwudziesty ósmy	251
Rozdział dwudziesty dziewiąty	256
Rozdział trzydziesty	262
Rozdział trzydziesty pierwszy	270
Rozdział trzydziesty drugi	277
Rozdział trzydziesty trzeci	280
Rozdział trzydziesty czwarty	283
Rozdział trzydziesty piąty	289
Rozdział trzydziesty szósty	295
Rozdział trzydziesty siódmy	297
Rozdział trzydziesty ósmy	304